

David Mason

„Cień nad Babilonem”

David Mason urodził się w 1951 roku.

Po ukończeniu elitarnej szkoły w Eton, wstąpił do równie elitarnej Gwardii Walijskiej.

W 1974 roku został odkomenderowany jako instruktor do Omanu, gdzie służył do 1976 roku.

W 1975 odebrał z rąk Sultana Omanu najwyższe odznaczenie wojskowe - Medal Odwagi za udział w dwóch niesłychanie ryzykownych akcjach (podczas jednej z nich uratował siedmiu rannych żołnierzy, wynosząc ich kolejno z pola minowego w nocy).

Jest uważany za jednego z najlepszych strzelców wyborowych w Wielkiej Brytanii.

Prawa do ekranizacji Cienia nad Babilonem zostały zakupione przez wytwórnię MGM za milion dolarów, co jest rekordową sumą w przypadku debiutu książkowego.

David Mason płynnie mówi po arabsku, niemiecku i francusku.

Jest właścicielem posiadłości w Oxfordshire, gdzie mieszka z żoną i czworgiem dzieci.

Podziękowania

Rozpoczynając pracę nad tą książką w marcu 1992 roku szybko zdałem sobie sprawę, że nie doceniłem ogromu czekającego mnie wysiłku i że pisanie jej będzie czymś więcej niż tylko ubocznym zajęciem.

Od tamtej pory nie byłem właściwie w stanie zajmować się niczym innym.

Moi przyjaciele cały czas szczerze dodawali mi otuchy.

Osoby, którym chciałbym szczególnie podziękować za pomysły, rady i sugestie, to Tim Nicholas, Jock Tillotson, George Plumtre i mój brat, Robert Mason.

Ludzie wykonujący papierkową robotę dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy potrafią zawsze utrzymać na biurku porządek i tych, którzy z jakiegoś powodu zupełnie nie są do tego zdolni.

Niestety, należę zdecydowanie do tej drugiej grupy - i być może musi już tak pozostać.

Gdyby nie przyszła mi z pomocą Tricia Joyce, a ostatnio Sarah Nethersole, wiele miesięcy temu zasypałyby mnie sterty nie posegregowanych dokumentów i pozostawionej bez odpowiedzi korespondencji.

Jestem im bardzo wdzięczny, a równocześnie przepraszam najmocniej tych wszystkich, których doprowadzałem zapewne do pasji, nie mogąc zająć się na czas innymi, wymagającymi mojej decyzji sprawami.

Pani Hilary Thomas wyszukiwała dla mnie materiały w Londynie, a

James Edwards pomagał przeglądać doniesienia prasowe, radiowe i telewizyjne, aby nie przeoczyć żadnych istotnych wiadomości.

Nigel Cooper z Arabii Saudyjskiej poświęcił wiele godzin, zapoznając mnie z realiami tego kraju i wynajdując fakty oraz dane, których nie znałem.

Rodion Cantacuzene, emerytowany kapitan amerykańskiej marynarki, był uprzejmy podzielić się ze mną swą wiedzą na temat floty USA i panujących w niej obyczajów.

Osoby studiujące wnikliwie historię sił morskich Stanów Zjednoczonych zauważą zapewne, że pozwoliłem sobie na pewną dowolność w opisie przebiegu służby okrętu USS "Mis souri".

Nie uczestniczył on, jak to sugeruję, w wojnie wietnamskiej - a w roku 1992, w którym rozgrywa się akcja książki, de facto już nie pływał.

Frank Sutton i Sheila Dewart pomogli mi ogromnie w zbieraniu danych statystycznych, a dr Michael Kenworthy-Browne uzupełnił luki w mojej wiedzy medycznej.

Derek Cannon wykonał przekład łacińskiej sentencji, której nie potrafiłem sam przetłumaczyć, chociaż powinienem.

Graham Markham dostarczył wielu użytecznych informacji na temat kontenerów, a Stan Walker był moim doradcą w sprawach transportu morskiego.

O ile mi wiadomo, nie istnieje statek o nazwie "Manatee".

Jego pierwowzorem była inna jednostka, która rzeczywiście odbywała wówczas rejs na opisywanej trasie.

Przez wzgląd na kapitana i załogę tego statku ufam, że nie wzbudził on takiego zainteresowania policji i służb celnych w Mombasie, jak

frachtowiec przedstawiony w książce.

Powieść zawiera też sporo szczegółowych informacji na temat broni strzeleckiej i balistyki.

Chociaż tematyka ta nie jest mi obca, nie mógłbym pisać o niej z pełną odpowiedzialnością, gdy by nie współpraca Johna Leightona-Dysona, a szczególnie Malcolma Coopera, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego.

Malcolm posiada w tej dziedzinie niezrównaną wiedzę i doświadczenie.

Jestem mu ogromnie wdzięczny za pomoc.

(Czytelników obawiających się, że publikowanie tak szczegółowych i potencjalnie niebezpiecznych informacji dowodzi mojej lekkomyślności, pragnę uspokoić, iż w paru miejscach przytoczyłem celowo niedokładne dane.)

Dr Dave Sloggett wie zapewne więcej niż którykolwiek z żyjących współcześnie ludzi na temat satelitów i techniki kosmicznej.

Jego zaangażowanie i entuzjazm były godne podziwu i pragnę mu ogromnie podziękować za mnóstwo cennych uwag.

Okazał się prawdziwym przyjacielem, umożliwiając mi dokładniejsze poznanie technicznych zawiłości tej bardzo specjalistycznej dziedziny wiedzy.

Równocześnie dzięki jego rozległej znajomości tematu unikałem ryzyka ujawnienia tajnych informacji - co inaczej mogłoby się przypadkiem zdarzyć.

Były jeszcze cztery inne osoby, które okazały mi nieocenioną pomoc, służąc fachową ekspertyzą w różnych sprawach.

Ze względów bezpieczeństwa nie mogę wymienić ich nazwisk, ale ludzie ci wiedzą, jak bardzo jestem im wdzięczny.

Moja wydawczyni, Vivienne Schuster, nieustannie zachęcała mnie do dalszej pracy.

Głównie dzięki niej ukończyłem tę książkę w stosunkowo krótkim czasie.

Właściwie fakt, że w ogóle została ukończona, jest w znacznym stopniu jej zasługą.

Czytałem kiedyś, że pisarzom i wydawcom trudno się na ogół porozumieć, albo wręcz mają do siebie otwarcie wrogi stosunek.

W wielu przypadkach niewątpliwie tak jest, ale na pewno nie w moim.

Trudno o bardziej życzliwych i skorych do pomocy współpracowników niż cały personel wydawnictwa Bloomsbury, a szczególnie Nigel Newton, David Reynolds i Penny Phillips.

Jestem im szczerze zobowiązany.

Siłą rzeczy pisanie tej książki pochłaniało mnie prawie bez reszty.

W rezultacie zaniedbywałem wiele innych spraw, a jednak moja żona Monique cierpliwie to znosiła.

Musiałem nieraz do prowadzić ją do szału, zawsze jednak znajdowałem w niej oparcie.

To ona zasługuje na moje najgorętsze podziękowania i wyrazy miłości.

D.P.M.

CZEŚĆ PIERWSZA - MROczne MOTYWY.

1

Tropiciel rozejrzał się uważnie po okolicy i ukrył lornetkę pod kurtką.

- Będziemy musieli iść teraz bardzo, bardzo wolno - wyszeptał do swego towarzysza.

- Te trzy łąnie po lewej nie ułatwiają nam sprawy.

Przez najbliższych trzydzieści parę metrów, dopóki nie dotrzemy do tamtego strumyka, będą nas miały jak na dłoni.

Myśliwy, pułkownik w stanie spoczynku, skinął głową ze zrozumieniem.

Ufał bezgranicznie zdaniu tropiciela.

Skoro Danny twierdził, że nie ma innej drogi, na pewno się nie mylił.

Zdumiewało go, że zaszli już tak daleko.

W ciągu ostatniej godziny skradali się powoli obok rozproszonych grup łań i jelonków.

Zakrawało na cud, że żadne ze zwierząt ich nie dostrzegło.

Jeszcze bardziej niezwykły był fakt, że łąnie dotychczas ich nie zwietrzyły.

Lekki wiatr chwilami zanikał, a potem zmieniał nieco kierunek.

Wystarczyło, by do niesłychanie wrażliwego nosa jednej tylko łąni dotarł z najłżejszym choćby powiewem zapach człowieka, by zerwała się do ucieczki, alarmując wszystkie zwierzęta w promieniu kilkuset metrów.

Pułkownik pomyślał, że gdyby nawet polowanie się nie udało, od

dawna już żadne inne nie dostarczyło mu równie wielu emocji.

Uniósłszy ostrożnie głowę spojrzął na odkrytą, podmokłą łąkę, przez którą musieli teraz przejść.

Nie mieli się gdzie ukryć.

Zwierzęta stojące na zboczu z lewej strony czujnie obserwowały teren.

Kiedy myśliwi znajdą się na otwartej przestrzeni, łanie z pewnością ich zobaczą.

Na razie pasły się, nieświadome obecności ludzi, ale były w odległości zaledwie stu trzydziestu metrów i zauważą natychmiast każdy gwałtowny ruch.

Pułkownik wiedział, że muszą poruszać się tak wolno i ostrożnie, by było to niemal niedostrzegalne.

Musieli przyłgnąć do ziemi i dosłownie pełznąć, jak sunące w zwolnionym tempie węże.

Tropiciel po raz ostatni skinął na niego głową, po czym wyczołgał się na otwartą przestrzeń.

Pułkownik ruszył za nim, posuwając się na przód centymetr po centymetrze.

Obaj mężczyźni pełzli powoli, leżąc płasko na brzuchu.

Pułkownik zwracał baczną uwagę na buty tropiciela, które widział kilkanaście centymetrów przed sobą.

Kiedy parę razy nieruchomiały, on również zastygał w bezruchu, dopóki znów nie zaczęły sunąć do przodu.

Jedna z pasących się łań podniosła łeb, wypatrując czujnie oznak grożącego niebezpieczeństwa.

Pułkownik nie próbował nawet zobaczyć, co się dzieje.

Gdyby zostali za uważeni, natychmiast by o tym wiedział.

Łania wydałaby krótkie, ostrzegawcze prychnięcie i rzuciłaby się do ucieczki.

Byłby to koniec polowania.

Przez cały poprzedni tydzień padał deszcz i choć mżawka już ustała, trawa na zboczu wciąż była mokra.

Myśliwi byli przemoczeni do suchej nitki.

Potrzebowali kolejnych dwudziestu minut, aby pokonać odległość czterdziestu kilku metrów do płytkiej niecki strumyka.

Pułkownik dyszał ciężko z wysiłku.

Dotarłszy do strumienia zniknęli na chwilę z oczu łaniom i szli dalej na czworakach.

Pułkownik nie mógł się nadziwić, że zdołali przejść nie zauważeni.

Woda w strumieniu szemrała hałaśliwie, ale tropiciel odezwał się znowu szeptem:

- Jeleń jest o jakieś sto osiemdziesiąt metrów stąd, może trochę bliżej.

Podejdziemy pięćdziesiąt parę metrów wzdłuż po toku do tego niewielkiego pagórka po prawej stronie.

Może stamtąd da się go ustrzelić.

Pułkownik znowu skinął głową i podążył za Dannym w górę strumienia.

Nie widział jelenia, odkąd przed dwiema godzinami zaczęli go tropić w miejscu oddalonym o ponad pół kilometra od wzgórza.

Pułkownik - niewysoki, muskularny mężczyzna - był w niezłej

formie, jak na swoje pięćdziesiąt trzy lata.

Miał nadal dobry wzrok, ale tropiciel musiał mu dokładnie wskazać, gdzie leży rogacz.

Dotarli do niewysokiego pagórka.

Danny nakazał pułkownikowi gestem ręki, aby nie ruszał się z miejsca, a sam podczołgał się kilka metrów do przodu, niemal natychmiast znikając wśród traw i wrzosów.

Pułkownik odprężył się, robiąc kilka głębokich wdechów i pomyślał o tym, co go czeka.

Choć polował od ponad trzydziestu lat, towarzyszyły tej pasji wciąż nie słabnące emocje i napięcie.

Był urodzonym myśliwym.

Uwielbiał łowy.

Polując co roku przez tydzień na jelenie wracał potem zawsze do swego londyńskiego biura wypoczęty i zrelaksowany o wiele bardziej, niż gdyby spędzał czas w jakikolwiek inny sposób.

Za kilka minut, jeśli wszystko dobrze pójdzie, jelen będzie martwy, a on dozna jak zwykle ekscytującego uczucia triumfu, zmieszanego ze smutkiem, jaki ogarnia człowieka na widok śmierci zwierzęcia.

Tropiciel powrócił równie bezgłośnie i niezauważenie, jak się oddalił.

- Leży ciągle w tym samym miejscu - oznajmił.

- Myślę, że będzie można go ustrzelić ze zbocza tego pagórka.

- Gdzie jest?

- zapytał pułkownik.

- Jak daleko?

- Jakieś sto trzydzieści metrów stąd, nieco w dole, zwrócony częściowo w naszym kierunku - odparł tropiciel.

-Jeśli pan chce, mogę krzyknąć, żeby się podniósł - jak już się pan złoży do strzału - ale wolałbym tego nie robić.

Musimy być bardzo ostrożni.

Zaledwie pięćdziesiąt parę metrów stąd, między nami a jeleniem, jest jeszcze kilka łań.

Najbliższa łania wietrzy jakieś nie bezpieczeństwo.

Jeśli się przestraszy, ucieknie.

Myślę, że będzie pan musiał strzelić do byka zanim stanie na nogi.

- Jaki on jest?

- To bardzo stary rogacz.

Ósmak.

Być może dożywa już swoich dni.

Ma niepokąźny, wąski łeb, ale nadaje się doskonale do odstrzału.

Waży z siedemdziesiąt pięć kilogramów, może osiemdziesiąt.

Dobry okaz do ustrzelenia na wzgórzu.

Był z łaniami, a teraz od poczywa.

Jest ubrudzony torfem i wygląda na zmęczonego.

Pułkownik był zadowolony.

Nigdy nie pragnął upolować jelenia z rekordowym porożem, ani zwierzęcia w kwiecie wieku.

Wolał zdecydowanie strzelać do leciwych, słabych okazów.

Wiadomość, że tropiony przez nich rogacz jest stary, była mu bardzo na rękę.

Wiedział, jaka śmierć czeka jelenia, który traci ostatnie zęby.

Wycieńczone i osłabione wskutek głodu i zimna, pozbawione resztek energii zwierzę pada w końcu na ziemię podczas dotkliwych, zimowych mrozów.

Zanim rogacz zdechnie obsiadają go wrony, wydziobując mu oczy i szarpiąc ciało, drgające słabo w ostatnich konwulsjach.

O wiele lepiej, gdy uśmierci go kula.

Tropiciel wyjął z brezentowego pokrowca sztucer Rigby'ego i zdjął z optycznego celownika ochronną plastikową pokrywę.

Odciągnął bardzo cicho rączkę zamkową, wprowadzając nabój kalibru.275 z magazynka do komory, po czym zabezpieczył broń.

Nie mogli podejść do jelenia bliżej niż na sto trzydzieści metrów.

Dla wprawnego strzelca był to wystarczający dystans.

Dzień wcześniej pułkownik zaprezentował swoje możliwości na strzelnicy koło domu.

Radził sobie nieźle - a właściwie bardzo dobrze.

Będzie w stanie trafić z tej, czy nawet większej odległości.

Tropiciel doprowadzał jednak zawsze myśliwych jak najbliżej celu i nigdy nie pozwalał, by nawet najlepszy z nich strzelał z dystansu przekraczającego sto sześćdziesiąt - sto osiemdziesiąt metrów.

Skinął na pułkownika, aby ten podążył za nim.

Podczołgali się powoli jeszcze kilka metrów po zboczu pagórka.

Przed oczami pułkownika wyłonił się stopniowo cały krajobraz.

Wprost przed sobą widział łanie z jelonkami.

Najbliższa z nich stała bardzo blisko.

Miała podniesiony łeb i patrzyła w dół zbocza.

Dalej zobaczył starego jelenia, który rzeczywiście leżał na ziemi.

Tropiciel podał mu bardzo powoli broń i pułkownik zaczął układać się wygodnie do oddania strzału.

Nagle stojąca najbliżej łania odwróciła łeb, spoglądając prosto w jego kierunku.

Pułkownik zamarł w bezruchu.

Boże, patrzy dokładnie w naszą stronę, pomyślał.

Tym razem na pewno nas zobaczy.

Człowiek i zwierzę wpatrywali się w siebie jakby bez końca.

Łania dostrzegła kątem oka jakiś ruch i utkwiała wzrok w miejscu, gdzie się pojawił.

Teraz nic się już nie poruszało, w pejzażu zaszła jednak jakaś nieuchwytna zmiana.

Łania była czujna i nie spokojna.

Niebezpieczeństwo?

Nie miała pewności.

Przestawiła jedną nogę, a jej niepokój udzielił się jelonkowi, który przysunął się bliżej.

Łania rzuciła na niego okiem, a potem spojrzała znów na miejsce, gdzie zauważyła podejrzany ruch.

Młodsza łania, stojąca o kilka metrów dalej, popatrzyła na nią z zaciekawieniem, podążając wzrokiem w tym samym kierunku.

Nie zauważywszy niczego godnego uwagi, straciła wkrótce zainteresowanie dla całej sprawy.

Jelonek spoglądał zdezorientowany to w jedną, to w drugą stronę.

Po chwili jego matka przestała wpatrywać się w przestrzeń i zaczęła znowu skubać trawę.

Zajęcie to nie po chłaniało jej jednak bez reszty.

Pozostała czujna.

Pułkownik odetchnął z ulgą, gdy łania opuściła w końcu łeb i zaczęła się paść.

Z największą ostrożnością wymierzył optyczny celownik w kierunku jelenia i odbezpieczył broń.

Zobaczył leżące ukośnie zwierzę, które spoglądało w dół zbocza.

Wycelował w dolną część klatki piersiowej, w pobliżu prawej łopatki.

Światło było coraz lepsze i gdy po raz ostatni zaczerpnął tchu przed oddaniem strzału, słońce wyszło zza chmur, ukazując jeszcze ostrzej w celowniku sylwetkę jelenia.

Doskonale, pomyślał pułkownik.

Zaczął powoli wypuszczać z płuc powietrze, za ciskając palec na spuście.

Tym razem łania nie miała wątpliwości.

Dostrzegła błysk światła w tym samym miejscu co poprzednio.

Promień słońca odbijał się od soczewki optycznego celownika.

Spłoszone zwierzę prychnęło głośno i rzuciło się do ucieczki.

Pozostałe łanie zrobiły to samo.

Pułkownik usłyszał ostrzegawcze prychnięcie, koncentrował jednak teraz całą uwagę na jeleniu i nie widział, jak łanie ruszyły z miejsca.

Zobaczył w celowniku, że rogacz odwraca gwałtownie łeb w jego kierunku i ściągnął spust.

Dokładnie w tym momencie zwierzę zaczęło dźwigać się na nogi.

Huk wystrzału był ogłuszający.

Spowodowany przez pocisk podmuch powietrza uniósł w górę kropelki wody z mokrej trawy, przesłaniając na chwilę widok obu mężczyznom.

W niecałą sekundę po oddaniu strzału usłyszeli charakterystyczny odgłos uderzenia kuli o ciało.

Mgiełka opadła i ujrzeni, co się dzieje.

Całe stado uciekało już w popłochu.

Stary jeleń zaczął się właśnie podnosić, gdy poczuł silne uderzenie w prawy bok, jakieś trzydzieści centymetrów za przednią nogą.

O mało nie upadł.

W nie całe ćwierć sekundy później dotarł do niego huk wystrzału.

Słyszał go już przedtem wiele razy.

Zawsze zwiastował niebezpieczeństwo: obecność ludzi.

Podźwignął się z trudem na nogi.

Żaden człowiek trafiony takim pociskiem nie byłby w stanie się poruszyć, ale czerwony jeleń jest zwierzęciem niezwykle wytrzymałym.

Spojrząwszy w kierunku, z którego dochodził huk, rogacz zobaczył unoszący się nad trawą obłok rosy.

Nie potrzebował dalszej zachęty, by rzucić się do ucieczki.

- Dostał, panie pułkowniku - oznajmił tropiciel, przyglądając się przez lornetkę galopującemu stadu.

- Tak, z całą pewnością, nie wiem tylko, gdzie go pan trafił. Jeżeli w płuca, nie przebiegnie nawet stu metrów, ale myślę, że mógł dostać trochę bardziej z tyłu.

Proszę na wszelki wypadek dać mi sztucer.

- Danny, ten skurczybyk się poruszył!

- powiedział pułkownik.

Gdy opadło napięcie i nie trzeba już było zachowywać mil czenia, stał się nagle bardzo rozmowny.

- Ruszył się cholernik akurat, gdy wystrzeliłem!

A niech to diabli!

Wystarczyłoby mi pół sekundy więcej!

Jeleń uciekał.

Czuł się dziwnie słaby, brakowało mu tchu i trochę niepewnie stawiał nogi, ale serce ciągle pompowało do krwioobiegu adrenalinę.

Instynkt samozachowawczy nie pozwalał mu się zatrzymać.

Łanie zdążyły już umknąć, pokonując szybko i bez wysiłku trudny teren.

Jeleń gnał za nimi.

O niecałe sto metrów dalej stado zbiegło urwiskiem do wąwozu i zniknęło im z oczu.

Danny zerwał się na równe nogi.

- Ruszajmy, pułkowniku.

Nie możemy go zgubić!

Zaczął biec, a pułkownik popędził za nim.

W pewnej odległości od skraju wąwozu Danny rzucił się nagle na ziemię na porośniętym trawą zboczku i przyłożył do ramienia sztucer.

Odciągnął rączkę zamkową, wyrzucił łuskę pozostałą po strzale pułkownika i wprowadził do komory nowy nabój.

W polu widzenia pojawiło się znowu kilka łań.

Były daleko i pięły się

- Cieszę się, że pan przyszedł, panie Asher.

Jestem doprawdy bardzo wdzięczny, że poświęca mi pan tak wiele swego cennego czasu.

Minister uśmiechał się ciepło, podając Rogerowi Asherowi dłoń.

Miał nadzieję, że nie przesadza.

Był zwykle nieco zbyt wylewny, witając się z kimś, kogo nie lubił.

Powiedział mu to kiedyś jeden z przyjaciół.

Rozdrażniła go ta uwaga, dostrzegł jednak jej słuszność i od tamtej pory był ostrożniejszy.

Na szczęście miał dość osobistego uroku, aby sobie poradzić.

Niewiele osób potrafiło całkowicie mu się oprzeć.

Między innymi dzięki temu urokowi robił z powodzeniem karierę jako polityk.

Obserwował z niechęcią twarz Ashera, skrywając prawdziwe uczucia pod maską przyjaznego uśmiechu.

Pojął, że nie ma powodu do obaw.

Roger Asher był przyzwyczajony do pochlebstw.

W istocie rzadko miał do czynienia z czymkolwiek innym.

Zdawał się niemal oczekiwać pochwał i służalczości.

Minister przypuszczał, że to skutek ciągłego otaczania się ludźmi, którzy mu tylko przytakiwali.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie ministrze - zagrzmiął Asher.

Minister wskazał mu uprzejmie obszerny, wygodny fotel.

Gdy Asher usiadł, skórzana tapicerka syknęła pod jego opasłym cielskiem.

Minister zauważył, że jego gość się poci.

Nie potrafił zrozumieć, jak można doprowadzić się do takiego stanu.

Ten pozbawiony kondycji, mocno otyły człowiek był żywym pomnikiem nadmiernego dogadzania swoim zachciankom.

- Szklaneczkę lemoniady?

- zaproponował minister.

- Domowej roboty.

Znakomicie orzeźwia.

- Bardzo chętnie.

Minister nalał lemoniadę do szklanki, po czym usiadł na fotelu naprzeciwko Ashera i przyglądał się, jak grubas łapczywie wlewa w siebie płyn.

Zastanawiało go, czy złe maniere pomogły Asherowi w zgromadzeniu ogromnego majątku, czy też dorobiwszy się fortuny uznał, że ogląda nie jest już mu do niczego potrzebna? Był to interesujący problem.

Asher najwyraźniej nie przejmował się zanadto konwenansami.

Miał charakter pasujący do swej postury i prawdopodobnie nie dbał już o to, co ludzie myślą o jego zachowaniu - o ile w ogóle liczył się z czyjąkolwiek opinią.

Niewątpliwie jednak kontakty z wpływowymi ludźmi i rozmowy z ministrami należały do zajęć, którymi się delectował.

Przyjął zaproszenie na to spotkanie z nieprzyzwoitą wręcz skwapliwością.

- Mam nadzieję, że podróżowało się panu wygodnie?

- zapytał troskliwie minister.

Wiedział, że Asher przyleciał z Nowego Jorku swym prywatnym

odrzutowcem Gulfstream IV, bogato wyposażonym wedle jego wątpliwego gustu.

Wnętrze owszem wystawne, ale niewygodne.

- Dziękuję, panie ministrze - odparł Asher.

- Lot był bardzo spokojny, chociaż prawdę mówiąc nie lubię podróżować samolotem.

Nigdy za tym nie przepadałem.

Wypił jeszcze łyk lemoniady i odstawił szklanekę.

Skończywszy z uprzejmościowymi frazesami minister przy glądał się przez chwilę swoim paznokciom, po czym rzekł:

- Nasz rząd ma pewien delikatny problem.

Zamilkł, jakby zastanawiając się nad dalszym ciągiem.

Wiedział dokładnie, co ma powiedzieć, ale chciał sprawić wrażenie, że jest trochę zakłopotany.

Miał świadomość, że potrafi umiejętnie manipulować ludźmi.

Należało tylko podejść odpowiednio do każdego człowieka.

Nie łudził się ani przez chwilę, że ma tym razem do czynienia z byle głupcem.

Asher był sprytny, przebiegły i zręczny, co potwierdzały jego sukcesy finansowe.

Cóż, w tej grze nie ma monopolistów, pomyślał.

On sam musiał wykazać sporo sprytu, aby utrzymać się na stanowisku podczas radykalnych przemian politycznych, które nastąpiły w latach osiemdziesiątych.

Jego uprzywilejowane pochodzenie i wykształcenie nie pomagały w robieniu kariery tak, jak bywało w dawnych czasach.

Tradycje rodzinne, Eton, Oxford...

Tego rodzaju wychowanie i edukację uważano obecnie, delikatnie rzecz ujmując, za nieco anachroniczne.

Minister starał się bagatelizować wszelkie wzmianki na ten temat i przetrwał jakoś bez szwanku na swoim stanowisku.

Teraz nowy przywódca wykaże prawdopodobnie bardziej umiarkowaną postawę.

Odpowiadało mu to, gdyż wolał delikatność i umiar od agresywności.

Miał nadzieję, że wybory, zapowiadane na wiosnę 1992 roku, potwierdzą te nowe tendencje.

- Jest pewna sprawa, która przysparza rządowi kłopotów - ciągnął.

- Pragniemy szybko się z nią uporać i uznaliśmy, że może będzie pan w stanie posłużyć nam radą albo wskazówkami, jakie kroki należałoby podjąć.

- Minister wiedział, że Asherowi się to spodoba.

Spojrzał na twarz grubasa i w jego oczach zauważył skupienie.

- Sprawa jest dość delikatna - oznajmił w końcu, starając się okazać jeszcze większe zakłopotanie.

- Jestem zaszczycony, panie ministrze, że pańskim zdaniem mogę się na coś przydać - zaczął Asher.

- Oczywiście, bardzo chętnie pomogę.

Będzie to dla mnie zaszczyt - powtórzył.

Minister pomyślał, że Asher wcale nie czuje się zaszczycony.

Po prostu mu to schlebia, tyle że nie potrafi dostrzec różnicy między jednym i drugim.

Powinien jednak zwrócić uwagę na określenie "delikatna sprawa".

Asher nie był głupcem i musiał doskonale wiedzieć, że za takim określeniem kryło się zawsze coś wyjątkowo niedelikatnego.

Minister uznał, że na razie wszystko idzie dobrze.

Zgodnie z jego oczekiwaniami Asher wcale nie protestował słysząc, że może się uwikłać w potencjalnie ryzykowne przedsięwzięcie.

Na wszelki wypadek minister postanowił się upewnić, czy w pełni to do niego dotarło.

- Doszliśmy do wniosku, że sytuacja zmusza nas do bezkompromisowych działań.

- Na twarzy Ashera nadal nie było ani śladu zmieszania czy niepokoju.

Minister uznał, że nie mógł już wyrazić się jaśniej.

Grubas kiwał głową ze zrozumieniem.

Wszystko okazywało się prostsze niż można było oczekiwać.

Minister postanowił darować sobie kilka następnych, starannie sformułowanych zdań.

Był niemal zawiedziony, że nie musi wdawać się w szermierkę słowną z tym człowiekiem.

- Mamy tu do czynienia z jednostkowym problemem - oznajmił, robiąc znów przerwę, aby jego uwaga dotarła do rozmówcy.

Był zaskoczony, gdy Asher odparł bez ogródek:

- Zapewne wielu ludzi stwarza rządowi problemy.

Na ile kłopotliwa jest ta konkretna osoba?

- Asher pochylił się z trudem, by dolać sobie lemoniady.

- Hm, bardzo mi smakuje.

Każę moim ludziom przyrządzać coś takiego.

Zakładam - kontynuował - że nie chodzi o kogoś, kto sprawia tylko drobne kłopoty?

- Widzę - zauważył minister, z trudem zachowując zimną krew - że nie muszę już dłużej owijać niczego w bawełnę.

Zawsze podziwiałem pańską spostrzegawczość.

Szkoda, że brakuje jej wielu ludziom, z którymi mam do czynienia.

- Dobry Boże, pomyślał.

Ten facet jeszcze mi przytakuje!

- Może najlepiej przejść od razu do rzeczy - dodał.

Kwadrans później obaj mężczyźni zakończyli rozmowę i wstali z miejsc.

Minister pożegnał Ashera serdecznym uściskiem dłoni, dziękując mu wylewnie za obiecaną pomoc.

Spotkanie miało nadzwyczaj pomyślny przebieg.

Asher zgodził się wszystko załatwić.

Rząd nie będzie w nic zamieszany.

Skorzystają z usług...

jak brzmi to eufemistyczne określenie?

Aha, "po średnika".

Kiedy grubas wyszedł, minister zamknął drzwi do gabinetu i przez chwilę się o nie opierał.

Myśl o tym, jak dziecinnie proste okazało się załatwienie całej sprawy, przyprawiała go niemal o zawrót głowy.

Sir Peter Dartington był zaintrygowany otrzymanym zaproszeniem.

Zaintrygowany, a także - musiał to przyznać - mile polechtany i podniecony.

Tacy jak on szacowni biznesmeni nie powinni, oczywiście, niczym się ekscytować.

Należało o tym pamiętać.

Dartington ogromnie sobie cenił powszechne poważanie, jakim go darzono.

Ciężko zapracował na swoją reputację i był ogromnie dumny z tego, co osiągnął.

Pomyślał, że faktycznie przez całe życie harował jak wół.

Do słownie.

Nieustannie opowiadał wszystkim o swoim skromnym pochodzeniu, o wypadku, który zmienił całe jego życie i przekształceniu budowlanej firmy ojca "Dartington i syn", w spółkę Darcon International.

Wiedział, że ta opowieść robi wrażenie i nie miał wątpliwości, iż skłoniła wielu ludzi do uwierzenia w możliwość osiągnięcia sukcesu dzięki solidnej pracy i determinacji.

Był natchnieniem dla innych.

Ileż razy słyszał te słowa, gdy przedstawiano go przy różnych okazjach?

Dziesiątki, jeśli nie setki.

Przemawiając opowiadał zawsze tę samą anegdotę.

Można by mnie chyba nazwać budowniczym, którego poddano kosmetyce, i to wszechstronnej, mawiał.

Kosmetyka to termin budowlany, oznaczający ostatnie prace wykończeniowe po postawieniu budynku: wypełnianie niewielkich szpar, tynkowanie, i tak dalej.

Roboty upiększające, jeśli kto woli.

No cóż, po wypadku, który miałem przed wielu laty, musiano mi załatać sporo dziur i leżałem w gipsie niemal od stóp do głowy.

Wątpliwe jednak, czy jestem dzięki temu dużo przystojniejszy.

Ta historia zawsze rozbawiała publiczność.

Dartington był urodzonym mówcą.

Nigdy nie próbował ukrywać swego prowincjonalnego akcentu, ani nie ulegał zanadto konwenansom, które obowiązywały liczących się biznesmenów.

Poza, oczywiście, pewnymi wyjątkami.

Stwierdził dość szybko, że aby mieć szansę powodzenia na rynku budowlanym, trzeba postępować z pewną bezwzględnością.

Początkowo nie był tym zachwycony, ale zauważył, że podejmowanie nieprzyjemnych decyzji przychodzi mu dość łatwo.

Uważał jednak, by tego za bardzo nie dostrzegano i potrafił ukryć swoje ambicje, prezentując światu prostotę obejścia.

Niewielu ludzi wchodziło mu w drogę.

Ci, którzy to zrobili, przekonywali się szybko, z kim mają do czynienia i żałowali swego postępowania.

Wszyscy inni oceniali go na podstawie powierzchownej obserwacji.

Był osobą popularną, powszechnie lubianą.

Otrzymywał więcej zaproszeń na różne spotkania i zebrania, niż mógł przyjąć.

Temu zaproszeniu nie potrafił się jednak oprzeć.

Pan Roger Asher ma nadzieję, że zechce pan spędzić weekend w jego towarzystwie na jachcie "Księżniczka Szeherezada" u wybrzeży Cannes.

Osobista sekretarka Ashera wyjaśniła następnie, że gdyby sir Peter przyjął zaproszenie - a była najwyraźniej przekonana, że to zrobi - prywatny samolot pana Ashera zabierze go do Cannes i z powrotem, a na lotnisku będzie czekał samochód, którym pojedzie do portu.

Dartington był kompletnie zaskoczony i przez moment zaniemówił z wrażenia.

Słyszał, oczywiście, o Asherze - któż by o nim nie słyszał?

- nigdy się jednak nie spotkali.

Bąknąwszy, że musi sprawdzić, czy nie jest z kimś umówiony, wezwał pospiesznie swą sekretarkę.

Weekend miał rzeczywiście wolny.

Żona wyjeżdżała jak zwykle na wieś, a jemu nie uśmiechało się wcale siedzenie w domu.

Przyjął więc zaproszenie.

I tak znalazł się na tym cholernie wielkim, lśniącym jachcie.

Leżał sobie w słońcu na leżaku, a lokaje nadskakowali mu ze wszystkich stron.

Zauważył ze zdziwieniem, że on i Asher są jedynymi osobami na pokładzie - nie licząc, oczywiście, załogi:

jedenastu ludzi, obsługujących dwóch pasażerów!

Asher sprawił mu jednak bez porównania większą niespodziankę, gdy poprzedniego wieczoru odprawił zaraz po kolacji stewarda i

powiedział mu prosto z mostu, jaką ma do niego sprawę.

Cóż za historia!

Jeszcze kręciło mu się w głowie.

Co za niezwykła propozycja!

Pete, chłopcze, pomyślał.

Musisz teraz na siebie uważać.

- Dzień dobry, Peter.

- Odwróciwszy głowę Dartington zobaczył Ashera, który wyłonił się w szlafroku z salonu, wszedł z wysiłkiem na pokład i zapadł się w obszernym fotelu.

- Napijesz się jeszcze?

Andrew!

- krzyknął w kierunku drzwi salonu.

- Drinki dla sir Petera i dla mnie.

- Dzień dobry, Roger - odparł Dartington.

Postanowił nie wypominać mu, że jest już dobrze po południu.

Nie potrafił zrozumieć, jak można wstawać o tak późnej porze.

Sam zawsze był wcześniej na nogach.

I wcale nie życzył sobie kolejnego drinka.

Biedny Andrew przynosił mu już trzy razy gin z tonikiem, a on prawie nic nie wypił.

Dartington pomyślał, że młody steward otrzymał pewnie polecenie, by przynosić zawsze kolejnego drinka, gdy tylko zaczynał topnieć lód.

Andrew podał Asherowi dużą szklankę soku pomarańczowego.

Grubas przyjął go bez słowa i zaczął łapczywie pić.

Dartington dostał następną porcję ginu z tonikiem.

Podziękował stewardowi.

Andrew uśmiechnął się i odszedł.

- Zastanawiałeś się jeszcze nad tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem?

- zapytał Asher, ocierając usta.

Dartington wstał z leżaka i podszedł do krzesła w cieniu markizy, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

- Na pewno rozumiesz, Roger, że czuję się trochę nieswojo.

No wiesz...

nigdy dotąd nie miałem z czymś takim do czynienia.

- Ja też, mój stary - odparł wesoło Asher.

- Wiem, że to nie szablonowy sposób załatwiania spraw.

Ale najważniejsze, że chodzi o interes państwa.

Jestem patriotą i ty oczywiście także.

To najistotniejsze.

Działamy dla dobra kraju.

- Przyjmuję twoje zapewnienie, Roger.

W zasadzie nie ma co do tego wątpliwości.

Ale dlaczego ci faceci nie mogą poradzić sobie sami?

Dlaczego nie zaangażują ludzi z SAS lub innej jednostki specjalnej?

Nie rozumiem, czemu dotychczas tego nie zrobili.

- Nie zdradzę chyba żadnej tajemnicy, jeśli ci powiem, że rozważali taką możliwość.

Problem jest trojakiemu rodzaju.

Po pierwsze, potrzeba bardzo długich przygotowań, żeby ulokować tych ludzi w miejscu, z którego mogliby wykonać zadanie.

Po trwałoby to chyba ponad rok.

Po drugie, nie ma żadnej gwarancji powodzenia, a ewentualne fiasko akcji i ujawnienie jej kulisów byłoby dla rządu całkowicie nie do przyjęcia.

Sromotna porażka - choćby nawet jej ryzyko było niewielkie - przyniosłaby nieobliczalne straty.

- Asher przerwał, aby wypić kolejny łyk soku.

- Po trzecie, i to jest chyba najważniejsze, istnieje niepisane prawo, że rządy nie występują nigdy przeciw konkretnym osobom.

Mogą postępować drastycznie wobec jakiegoś kraju, i często tak się dzieje, ale nie wobec jednostki.

Zapewniam cię, że nawet w tym przypadku cały świat by protestował, gdyby sprawa wyszła na jaw.

To idiotyczne, ale prawdziwe.

Istnieją godne uwagi przykłady sytuacji, gdy pogwałcenie tej zasady omal nie przyniosło odwrotnego skutku.

- Asher zaczął wyliczać je na palcach.

- Dwa najbardziej oczywiste przypadki dotyczą polityki Stanów Zjednoczonych.

Pierwszy to schwytywanie i uwięzienie Norriego w Panamie, drugi - zbombardowanie Ltbii w celu pozbycia się Kadafiego.

Obie akcje uznano za atak na konkretnych ludzi.

Skierowane były przeciwko osobom, których śmierci czy aresztowania nikt by nie opłakiwał, a jednak w obu przypadkach - tu Asher ze smutkiem pokręcił głową - zarzucano Stanom Zjednoczonym niedopuszczalne pogwałcenie suwerenności innego kraju, stosowanie

polityki zastraszania i inne idiotyczne rzeczy, które są w stanie wymyślić te kapuściane głąby z ONZ.

Problem polega na tym - stwierdził - że w dziewięćdziesięciu procentach krajów członkowskich Organizacji Narodów Zjednoczonych rządzą rozmaici tyrani i despoci, którzy nie chcą dopuszczać do tego rodzaju precedensów, by pewnego dnia nie zajęto się nimi w po dobnym sposób.

Dlatego właśnie trzymają się razem i dlatego trzeźwo myślące rządy nie kuszą losu i nie lekceważą niepisanego prawa.

Wyglądało na to, że Asher skończył, po chwili jednak dodał jeszcze:

- Istnieje oczywiście kraj, który nigdy nie liczył się z tą zasadą i uparcie ścigał ludzi, głównie terrorystów, winnych zbrodni wobec jego obywateli.

Myślę, rzecz jasna, o Izraelu.

Jednak nie muszę ci chyba przypominać, Peter, że w oczach międzynarodowej opinii Izrael jest od lat jednym z najbardziej izolowanych krajów na świecie.

Dartington podniósł się z miejsca i zaczął chodzić po pokładzie, marszcząc brwi.

- A więc twierdzisz, Roger, że kiedy rząd ma do wykonania jakąś brudną robotę, zleca ją komuś takiemu, jak ty czy ja?

- Nie mam pojęcia - odparł z nonszalancją Asher.

- Nigdy przedtem nie zwracali się do mnie z podobną sprawą.

Zakładam jednak, że tak zwykle robią.

- Ale dlaczego akurat ja?

- Dartington chciał raczej zapytać "dlaczego ty"?

- To proste.

Nie zwrócili się do ciebie, tylko do mnie.

Nie wiedzą jeszcze, że cię we wszystko wtajemniczam.

Pomyślałem o tobie, bo wiem, że po pierwsze jesteś patriotą, który udowodnił, jak wiele znaczy dla niego ojczysty kraj, a po drugie twoja firma działa od dawna w interesującym nas rejonie, może więc służyć niezbędną pomocą i stanowić bazę całej operacji.

Trzeci powód jest nieco bardziej skomplikowany, ale myślę, że powinienem wyjaśnić ci sprawę do końca.

Łatwiej zrozumiesz, dla czego rząd angażuje się w akcję, która z punktu widzenia prawa międzynarodowego jest ewidentnie nielegalna.

Asher zastanawiał się przez chwilę, zanim zaczął mówić dalej:

- Rząd brytyjski - w co wierzy zresztą chyba większość ludzi bardzo dba o przestrzeganie prawa.

Domaga się tego naród.

Czasami utrudnia to władzom życie, ale dzięki temu pozostają poza wszelkimi podejrzeniami.

Przecież gdyby rząd najstarszej demokracji parlamentarnej na świecie lekceważył prawo, można sobie wyobrazić, jaki wpływ wywierałoby to na rządy bardziej pozbawione skrupułów.

W razie potrzeby my, Brytyjczycy, możemy przynajmniej z podniesionym czołem potępiać czyny innych, którzy łamią obowiązujące zasady.

Czasem zajmowanie takiego stanowiska okazuje się uciążliwe, ale w sumie wynika z tego więcej korzyści niż strat.

Jak wiesz byłem kiedyś członkiem parlamentu i zapewniam cię, że

znam sytuację.

Od czasu do czasu rząd zmuszony jest jednak działać nie zgodnie z tą regułą.

Teraz mamy właśnie do czynienia z takim przypadkiem.

Pozwól, że ci to wyjaśnię.

- Asher znów zamilkł, aby łyknąć soku ze szklanki.

- Wiesz, że jestem zagorzałym zwolennikiem jedności Europy.

Moja gazeta...

- Machnął wymijająco ręką, wpatrując się w przestrzeń, po czym przyjrzał się uważnie Dartingtonowi, który usiadł znowu na krześle i słuchał go w skupieniu.

- Zgodzisz się chyba, że moja wiarygodność w tej kwestii jest nie do podważenia.

Dartington skinął głową.

Rzeczywiście tak było, nie rozumiał jednak, do czego Asher zmierza.

Co miała z tym wszystkim wspólnego zjednoczona Europa?

- Nasi europejscy partnerzy bywają czasem...

powiedzmy, trudnymi negocjatorami - kontynuował Asher.

- Jak ci wiadomo, prowadzimy właśnie ostatnie rozmowy w sprawie traktatu, który za parę miesięcy ma być podpisany w Maastricht.

Pozostaje do rozwiązania kilka szczególnie trudnych kwestii.

Większość krajów opowiada się za federalizmem - słowo to nie budzi tam złych skojarzeń i takiej podejrzliwości, jak u wielu Brytyjczyków.

Brytyjski rząd ocenia moim zdaniem właściwie nastroje w kraju i są granice, których nie zechce przekroczyć.

Żałuję, ale uważam, że władze mają w zasadzie rację, nie zgadzając się obecnie na przystąpienie do bardziej sfederalizowanych struktur.

Nie byłoby sensu angażować się mocno w coś, co naród może potem od rzucić, albo co spowoduje niepokoje w parlamencie przed następnymi wyborami.

Decyzję taką należy podjąć później, kiedy wszyscy zobaczą wyraźnie, w jakim kierunku zmierza Europa i dostrzegą korzyści płynące z federalizmu.

Na razie tego jednak nie widać, chociaż więc ci z nas, którzy mają jasną wizję zjednoczonej Europy, chcieliby przyspieszyć tempo przemian, rozsądniej będzie poczekać, aż ludzie zaczną podzielać nasze po głady.

Odbiegam jednak od tematu.

Faktem jest, że niektórzy nasi partnerzy nalegają na szybkie przejście do systemu federalnego.

Chodzi szczególnie o jeden kraj.

Domyślasz się zapewne który.

Francuzi, pomyślał Dartington.

To muszą być ci cholerni Francuzi.

Co oni mają z tym wspólnego?

- Obroty handlowe Francji - kontynuował Asher - ucierpiały nieco w ciągu ostatniego roku z powodu sytuacji międzynarodowej.

Słyszałeś już na pewno o kilku skandalach, ale zapewniam, że będzie ich więcej.

Ich bilans handlowy poważnie ucierpiał.

Nie muszę chyba niczego dodawać, biorąc pod uwagę po zbawioną skrupułów postawę żabojadów.

Najprościej byłoby stwierdzić, że w przeszłości wykazywali gotowość do podpisywania kontraktów z każdym krajem, bez względu na jego polityczną orientację.

Przypominasz sobie na pewno, jak ochoczo sprzedawali Argentyńczykom pociski manewrujące Exocetw czasie wojny o Falklandy.

Teraz znaleźli się, niestety, w kłopotliwym położeniu.

Zawieszono im kilka szczególnie dużych i korzystnych kontraktów.

Poszukują rozpaczliwie jakiegoś wyjścia z sytuacji.

Wystarczyłoby usunąć jedną przeszkodę.

Tylko jedną.

Wiesz już, do czego

zmierzam?

Dartington zaczął rozumieć.

- Ale co ma z tym wspólnego brytyjski rząd?

- To proste - odparł Asher.

- Francuzom najwyraźniej brakuje możliwości, aby usunąć wspomnianą przeszkodę.

Wiedzą o tym, i Brytyjczycy także.

Tak więc brytyjski rząd obiecał im pomoc.

W zamian zgodzą się podpisać na naszych warunkach traktat z Maastricht, dotyczący zjednoczenia Europy.

A rząd brytyjski zabezpiecza się, wykorzystując do przeprowadzenia operacji prywatne osoby, a nie ludzi z SAS.

Oczywiście, Francuzi o tym akurat nie wiedzą.

Tak w każdym razie wygląda tło całej sprawy - kontynuował Asher.

- Powodem planowanej akcji jest umowa z Francją.

Nie sędzę, by w innej sytuacji rządowi brytyjskiemu zależało szczególnie na jej przeprowadzeniu.

Istnieją wprawdzie argumenty za utrzymaniem obecnego stanu rzeczy, ale ze względu na wagę traktatu z Maastricht Brytyjczycy są teraz żywotnie zainteresowani spełnieniem oczekiwań Francuzów.

Przypuszczam - ciągnął Asher, patrząc Dartingtonowi prosto w oczy - że rozumiesz również, dlaczego zwróciłem się do ciebie.

Wiem, że jesteś zwolennikiem jedności Europy, a równocześnie patriotą.

Te dwie rzeczy nie pozostają ze sobą w sprzeczności, jak wmawiają nam niektórzy.

Mam nadzieję, że dostarczyłem ci wystarczającą liczbę przekonywających argumentów.

Jest jeszcze jeden dodatkowy, o którym powiem ci dopiero, gdy zgodzisz się wziąć udział w akcji.

- Wybacz, Roger, ale jestem tym wszystkim trochę oszołomiony.

- Dartington wiedział doskonale, że Asher próbuje wyrzucić na niego presję.

Ta stara śpiewka o patriotyzmie.

Zgoda, jest patriotą.

Cóż w tym złego?

Ale wrodzona ostrożność kazała mu nie dawać zbyt pochopnej odpowiedzi.

- Czy mogę się przez chwilę zastanowić?

- zapytał.

- Dobry pomysł - odparł Asher.

- Bardzo rozsądny.

Chodźmy coś zjeść.

Obiad upłynął w milczeniu.

Asher opróżniał kolejne kieliszki różowego szampana, mając usta wypełnione niemal bez przerwy ogromnymi kęsami jedzenia, natomiast Dartington, pogrążony w myślach, jadł bardzo niewiele.

Zastanawiał się intensywnie, w co może się wpackować.

Dostrzegał logikę argumentów Ashera.

Jego przemowa na temat zjednoczonej Europy nie zrobiła w sumie na Dartingtonie większego wrażenia.

Podchodził do tej koncepcji pragmatycznie, bez entuzjazmu.

Osobiście wolał, aby Wielka Brytania trzymała się z daleka od rosnących wpływów Brukseli i Strasburga.

Nie miał nic przeciwko Francuzom i nawet podziwiał ich umiejętność robienia interesów.

Nie lubił Niemców, których uważał za krzykliwych i aroganckich głupców, w razie potrzeby potrafił jednak się z nimi dogadać.

Widział natomiast potrzebę pozostania Wielkiej Brytanii w centrum Europy ze względu na kontakty gospodarcze.

Z punktu widzenia jego firmy nie było co do tego wątpliwości.

Zjednoczona Europa stanowiła jedyną realną drogę postępu.

Podkreślał to we wszystkich swoich oficjalnych wystąpieniach i zapewne stąd Asher wyciągnął wniosek o jego "proeuropejskości".

Dartington zajmował jednak takie stanowisko wyłącznie ze względu na firmę.

Jego zdaniem wspólnota europejska oznaczała korupcję w

najczystszej postaci.

Przyłącz się, a będziesz miał możliwość rywalizowania o kontrakty; pozostając z boku jesteś bez szans.

Prywatnie nie znosił korupcji i określiłby siebie jako "eurosceptyka".

Czasem wręcz, na przykład wtedy, gdy w telewizji pojawiała się znieawidzona twarz Jacquesa Delorsa, czuł się niemal "eurobójcą" i dochodził do przekonania, że najbardziej właściwe podejście miał do Europy marszałek RAF, świętej pamięci sir Arthur Harris.

Najtrudniej było ścierpieć religijną wręcz gorliwość, z jaką fanatyczni zwolennicy zjednoczenia głosili swoje poglądy.

Używali ciągle tej samej retoryki, zaprawionej idiotycznymi metaforami, niedorzecznymi do granic absurdu.

Mówili wzniosłe, podobnie jak Asher, o "europejskim śnie" i "europejskiej wizji".

Dartington uważał, że żadne z tych określeń nie jest odpowiednie.

Sprawdził wyrazy "sen" i "wizja" w słowniku i znalazł wspólną im definicję, która wydała mu się o wiele trafniejsza: halucynacja.

Musiał jednak przyznać, że plan Ashera zrobił na nim wrażenie.

Byłoby co opowiadać wnukom!

Zreflektował się zaraz, do chodząc do wniosku, że zapewne nigdy nie mógłby o tym nikomu wspomnieć.

Cóż za historia!

Bardzo podniecająca!

Znowu pojawiało się to słowo - ale dlaczego by nie, do cholery?

Lata młodości już minęły, a każdy powinien mieć jakieś wspomnienia.

Syn budowniczego, ciężko ranny jako osiemnastolatek w wypadku na rusztowaniu, poruszy teraz świat.

Aż do tego weekendu w Cannes poświęcał całą energię kierowaniu firmą, która borykała się z głęboką recesją w budownictwie.

Może potrzebował czegoś nowego, żeby otrząsnąć się z przygnębienia...

Obaj mężczyźni skończyli obiad tuż przed trzecią i wyszli ponownie na pokład.

Andrew nalewał kawę ze srebrnego dzbanka.

Przyjemna, łagodna aura sprawiła, że Dartington poczuł się świetnie.

To jest życie!, pomyślał.

Człowiek ma sześćdziesiątkę i nagle przytrafia mu się coś takiego.

Dlaczego nie?

- W porządku, Roger - powiedział.

- Jestem zainteresowany.

Myślę, że wiem od czego zacząć.

- Znakomicie!

- zagrzmiął Asher.

- Wspaniale!

To bardzo rozsądna i dowodząca patriotyzmu decyzja, jeśli wolno mi tak po wiedzieć.

- Zamilkł, po czym jego głos przybrał pompatyczny ton.

- Mogę cię teraz w zaufaniu zapewnić, że rząd potrafi okazać wdzięczność.

- Nie rozumiem - zdziwił się Dartington.

- Mówiłeś chyba, że rząd niczego nie wie o mojej roli.

- Zgadza się.

Oficjalnie dalej niczego nie będą wiedzieli.

Oficjalnie.

Wyraźnie to podkreślam.

Jestem jednak upoważniony do zawarcia z tobą umowy w ich imieniu.

- Co to znaczy?

- Żyjemy wszyscy w ciężkich czasach - stwierdził Asher.

- Wybacz, ale zasięgnąłem pewnych informacji.

Mam też kilka udziałów w spółce Darcon - dodał, wzruszając ramionami.

- Nie jest tajemnicą, że w ciągu minionego roku przemysł budowlany borykał się z poważnymi trudnościami.

- Do czego zmierzasz, Roger?

- Dartingtona opuścił spokój, a jego twarz przybrała wojowniczy wyraz.

- Nie jesteśmy na sprzedaż, jeśli o to ci chodzi.

- Nie, na Boga, nie!

- zaprotestował Asher.

- Mój drogi!

Nic z tych rzeczy!

Proponuję zupełnie inne rozwiązanie waszych problemów.

Pozwól to sobie spokojnie wyjaśnić.

- Asher zebrał myśli, uśmiechając się uspokajająco.

Dartington nadal milczał, pełen podejrzeń.

- Jeśli się nie mylę - kontynuował Asher - Darcon zamierza złożyć

oferty na jedenaście dużych kontraktów budowlanych na całym świecie: trzy w Wielkiej Brytanii, dwa w Europie, a pozostałe za oceanem.

Mówiąc o dużych kontraktach - dodał - mam na myśli te, których jednostkowa wartość przekracza pięćdziesiąt milionów dolarów.

Dartington słuchał z otwartymi ustami, gdy Asher niepowstrzymanie ciągnął dalej: - Gdyby Darcon uzyskał chociaż jeden z tych kontraktów, twoja firma stałaby na jakiś czas na nogi.

Moglibyście przetrwać.

Podpisując dwa kontrakty będziecie mieli przed sobą doprawdy świetlaną przyszłość.

Istnieje, oczywiście, bardzo ostra konkurencja.

- Asher dopił głośno kawę.

- Powiem otwarcie.

Jeśli nasz plan się powiedzie, rząd gwarantuje przyjęcie dwóch waszych ofert.

Możliwe, rzecz jasna, że wygracie trzy przetargi, albo nawet cztery, dzięki własnym zasługom.

Ja daję wam jednak gwarancję co najmniej dwóch pewnych kontraktów.

Szczęka opadła Dartingtonowi gdzieś poniżej zeber.

Wpatrywał się tępo w Ashera, rozważając otrzymaną właśnie niezwykłą obietnicę.

Bo musiała to być obietnica.

Asher złożył ją dopiero wtedy, gdy Dartington przyjął jego propozycję, nie wcześniej.

Po co by to robił, gdyby w istocie było inaczej i gdyby nie mógł

dotrzymać słowa?

Z pewnością mówił prawdę.

Asher wstał z miejsca i poklepawszy Dartingtona przyjacielsko po ramieniu wszedł do kabiny, pozostawiając go oszołomionego w fotelu na pokładzie.

Trzy godziny później stewardessa na pokładzie samolotu Gulfstream IV zwróciła uwagę pilotowi, że sir Peter Dartington zachowuje się dość dziwnie.

To zastanawiające, stwierdziła.

Co kilka minut zaczyna nagle chichotać jak pensjonarka.

Zupełnie bez powodu.

Czy pańskim zdaniem nic mu nie jest?

Pilot powiedział jej, żeby nie zwracała na to uwagi.

Szef często wywierał na ludzi dziwny wpływ.

Ed Howard miał czterdzieści pięć lat.

Był wysokim, szczupłym mężczyzną o ciemnych oczach.

Przez trzynaście lat służył czynnie w wojsku.

Od roku 1966 do 1979 był oficerem Królewskiej Piechoty Morskiej i SBS, elitarnej formacji w ramach tego korpusu.

Gdy ożenił się w 1976 roku, jego żona, Claire, zaczęła wkrótce wywierać na niego nacisk, żeby wystąpił z wojska i znalazł sobie lepiej płatne i bardziej regularne zajęcie.

Kiedy ojciec kolegi z amerykańskich Sił Specjalnych zaproponował mu pracę w Londynie, Claire zmusiła go, aby ją przyjął.

Zrobił to niechętnie, rezygnując ze służby.

Howard wiedział, że będzie mu brakowało wojskowego życia, ale

nie miał nawet pojęcia, jak bardzo.

W Londynie czuł się źle.

Nie znał tam nikogo, nie znał się na handlu i nigdy dotąd nie prowadził biura.

Po tygodniu daremnych wysiłków powiedział swemu pracodawcy, że nie nadaje się do takiej pracy, ale stary Ziegler wcale nie miał mu tego za złe.

Przeciwnie, był nawet zadowolony: Howard wykazał się uczciwością i szczerością.

- Ed, nie zatrudniłem cię dlatego, że znasz się na rynku terminowych transakcji, ale ze względu na twój zdrowy rozsądek i zdolności organizacyjne.

Znajdź odpowiednich ludzi do tej roboty i miej ich na oku.

Tylko tego od ciebie oczekuję.

- Howard uznał, że stary uczciwie stawia sprawę.

Ale niezupełnie tak było.

Nie wspomniał, że ma w tym jeszcze jeden cel.

Chciał, żeby jego syn poszedł za przykładem Howarda.

Stary Ziegler często wyrażał nadzieję, że Mikę ”skończy z bumelowaniem w wojsku i zajmie się robieniem interesów”.

Następne trzy lata wykazały, że stary słusznie wierzył w Eda.

Howard spenetrował rynek, znalazł sfrustrowanego, młodego i ambitnego biznesmena, którego zatrudniała pewna duża spółka i namówił go do zmiany pracy.

Chłopak sprowadził ze sobą cały zespół.

Howard służył im radą i zapewniał wysokie premie, dzięki czemu

ludzie solidnie i lojalnie pracowali, zapoczątkowując po trzech miesiącach zastoju wyjątkowo pomyślną działalność firmy.

Stary Ziegler był zachwycony, a Howard stwierdził ku swemu zaskoczeniu, że prowadzenie interesów całkiem nieźle mu idzie.

Cały zespół z zadowoleniem, a nawet z ulgą, pozostawiał sprawy administracyjne w jego gestii.

Traktowano go dobrze, opłacano jeszcze lepiej, nie potrafił jednak przemóc w sobie niechęci do dusznej atmosfery Londynu.

Wytrzymał tam przez trzy lata, po czym powiedział swemu pracodawcy, że ma już dość.

Stary przyjął jego decyzję ze smutkiem.

- Co zamierzasz teraz robić, Ed?

- zapytał.

- Zajmę się ochroną prywatnych osób i firm - odparł.

- Będę doradzał ludziom, w jaki sposób mogą się zabezpieczać i pilnował, żeby nie narażali się za bardzo na szantaż ze strony terrorystów i porywaczy.

Jest dzisiaj duże zapotrzebowanie na takie usługi.

A ja się na tym znam.

- Zabierasz ze sobą Mike'a?

- Ziegler domyślał się, że tak będzie.

Jego syn, zgodnie z oczekiwaniami ojca, poszedł w ślady Howarda, ojciec zorientował się jednak szybko, że nie jest stworzony do pracy w biznesie.

- Nie pytałem go - odparł Howard.

- nie zrobiłbym tego bez pańskiego przyzwolenia.

Ale kiedy się o wszystkim dowie, może zechce do mnie dołączyć.

Nie będę chłopaka prosił, ale jeśli przyjdzie, przyjmę go z radością.
Staruszek westchnął zrezygnowany.

Życzył Howardowi powodzenia i rozstali się w szczerzej przyjaźni.

Claire była wstrząśnięta, kiedy powiedział jej, że rzuca pracę w biurze, a gdy oświadczył, co ma zamiar robić, dostała szału.

Przez dwa tygodnie klęła, złorzeczyła i prawila mu kazania.

W końcu Howardowi się to znudziło i stwierdził, że powinna znaleźć sobie wycieraczkę pod drzwi, a nie męża - kogoś, kto znosiłby jej fanaberie i spełniał wszystkie jej zachcianki, do czego - dzięki Edowi - zdążyła przywyknąć.

Wpadła w histerię i rzuciła w niego tasakiem do mięsa, rozbijając szymbę w kuchni i omal nie pozbawiając głowy szarej wiewiórki, która urzędowała w karmniku za oknem.

W odpowiedzi Howard wylał żonie spokojnie na głowę miskę zimnego gazpacho, aby ją ostudzić, po czym poszedł do telefonu odwołać proszony obiad.

Nigdy nie lubił gazpacho.

Przyprawiało go o niestrawność.

Kosztowna suknia Claire trafiła następnego dnia do pralni, bo trzeba było usunąć z niej plamy po kwaśnej zupie, a wkrótce potem także Howard poczuł się wyżęty, gdy doszło do przykrew sprawy rozwodowej.

Ponieważ nie miał ochoty na kłótnie w sądzie i trafił na dość kiepskiego adwokata, pozostała mu tylko połowa domu w Fulham, ale za to sto procent poważnego długu hipotecznego.

W istocie nie miał więc prawie nic.

Jego oszczędności poszły na opłaty sądowe, hojne finansowe

zabezpieczenie dla Claire i niewielkie mieszkanie w Wandsworth.

W nowy interes mógł zainwestować bardzo niewiele.

Pomógł mu finansowo Mike, syn starego Zieglera.

Założyli razem firmę, rekrutując do współpracy grupę byłych kolegów z wojska, głównie z sił specjalnych.

Tak powstała Agencja Ochrony XF.

Mike Ziegler i jego czteroosobowy zespół obsługiwali z Los Angeles rynek amerykański i Daleki Wschód, natomiast Howard z kilkoma innymi ludźmi zajmował się z biura w Londynie bardziej rozległym obszarem Europy, Afryki i Bliskiego Wschodu.

Odnieśli spektakularny sukces już na początku, gdy próbowano porwać ich zamożnego klienta z Włoch.

Porywacze mieli pecha, gdyż jeden z ludzi Howarda był akurat na miejscu.

Udaremnił ich akcję w imponującym stylu.

Trzej porywacze z Sardynii zostali błyskawicznie rozbrojeni i spędzili kilka tygodni przed procesem w szpitalu, pod bezsensownie silną - zważywszy na okoliczności - obstawą policji.

Gdyby nawet czterej uzbrojeni karabinierzy przez cały czas spali albo byli pijani w sztok, kidnaperzy nie zdołaliby i tak uciec.

Podczas procesu ich obrońca mówił wiele o nadmiernej brutalności, z jaką potraktował jego klientów pracownik Howarda, wyglądający złowrogo pan Harris.

Adwokat nie musiał się specjalnie wysilać.

Kondycja trzech "poszkodowanych" była wystarczająco wymowna: każdy z nich wjeżdżał na salę sądową na wózku, mając nadal prawą nogę i

obie ręce w gipsie.

Sędzia nie okazał jednak współczucia dla ich niedoli.

Słuchał natomiast z zainteresowaniem zeznań pana Harrisa.

Pomyślał, że ma przed sobą człowieka, który zna się na swojej robocie.

Kiwał głową ze zrozumieniem, gdy Harris wyjaśniał prostymi słowami, że aby uzbrojony człowiek nie użył broni, należy złamać mu w nadgarstkach obie ręce.

Przytakiwał również, kiedy Harris mówił, iż najskuteczniej zatrzymuje się przestępcę do czasu przyjazdu policji, łamiąc mu rękę w prawym kolanie.

Zapewnił, że dokonał tego łatwo i szybko.

Nie, nie spojrzał wtedy na zegarek, ale potrzebował najwyżej pięciu - dziesięciu sekund.

Nie, nie na każdego z porywaczy.

Na wszystkich trzech.

Sędzia uznał, że wywody pana Harrisa brzmią nader logicznie.

Podkreślił to podczas ogłaszania wyroku, dodając, iż jego zdaniem człowiek ten wykazał się godną pochwałą przedsiębiorczością, jego działalność przynosi korzyść społeczeństwu, a każdy, kto obawia się porwania, powinien być na tyle rozsądny, by korzystać z usług pana Harrisa i organizacji, dla której pracuje.

Wiele osobistości i organizacji potraktowało poważnie słowa sędziego i do firmy zaczęły napływać zlecenia.

Agencja Ochrony XF robiła karierę.

Przeżywali chwilowe trudności, gdy sam Howard i jeden z jego ludzi

spędzili pół roku w tureckim więzieniu w Ankarze.

Aresztowano ich i skazano za zapłacenie okupu porywaczom, ale nawet ta sprawa wystawiała im chlubne świadectwo.

Gdyby nie oni, porwany mężczyzna powiększyłby szeregi zaginionych bez wieści przemysłowców, a tak został uwolniony, nie ponosząc żadnego uszczerbku.

Jego firma, która zgłosiła się do Howarda dopiero wtedy, gdy doszło do porwania, okazała stosowną wdzięczność, natomiast tureckie władze były mniej wyrozumiałe.

Chociaż dzięki Howardowi odzyskano wypłacone porywaczom pieniądze, a ich samych aresztowała i zastrzeliła (w tej właśnie kolejności) turecka policja, Howard i jego kolega stanęli przed sądem za prowadzenie nielegalnych pertraktacji z przestępcami.

Firma poszkodowanego przemysłowca doceniła fakt, że Howard zachował milczenie i nie uwikłał jej w proces sądowy, zlecając odtąd Agencji Ochrony XF wszelkie zadania dotyczące swojego bezpieczeństwa.

Spółką tą była firma budowlana Dartington Construction Ltd, późniejszy Darcon International.

Howard siedział właśnie przy biurku naprzeciw jej prezesa w gabinecie jego domu w hrabstwie Kent.

- Peter, mówisz poważnie?

- zapytał Ed Howard, odgadując już odpowiedź, widział determinację w oczach Petera Dartingtona.

Znał to spojrzenie.

Zastanawiał się przez moment, czy Dartington nie oszalał.

Łączyły ich od dawna obopólnie korzystne stosunki.

Howard pomyślał, że szkoda byłoby utracić jednego z najlepszych klientów.

- Mówię śmiertelnie poważnie, Ed - odparł Dartington.

- Prosiłbym, żebyś zbadał tę sprawę - hipotetycznie, jeśli chcesz - i przekazał mi swoją opinię.

Jeśli dojdiesz rzeczywiście do wniosku, że nic z tego nie wyjdzie, zapomnimy obaj o dzisiejszej rozmowie.

Ale jeśli uznasz, że akcja jest wykonalna, chcę wiedzieć, kto i w jaki sposób mógłby się jej podjąć.

Zdążysz przygotować mi raport w ciągu, powiedzmy, dwóch tygodni?

Howard potarł z namysłem podbródek - W tak krótkim czasie niewiele zdziałam, Peter.

Mogę najwyżej zrobić wstępne rozpoznanie i zorientować się w możliwościach.

Szczerze mówiąc, wiem o sytuacji tylko tyle, ile piszą w gazetach.

Ale zgoda, zajmę się tym, jeśli chcesz.

- W porządku.

Musisz, niestety, przyjąć pewne warunki.

Po pierwsze, powinniśmy obaj zachować milczenie.

Poza mną nikt w Darconie nie może o niczym wiedzieć, więc nie rozmawiaj na ten temat z żadnym z moich ludzi.

Gdybyś musiał wtajemniczać kogoś od siebie - a proponuję ograniczyć liczbę takich osób do absolutnego minimum - nie wspominaj pod żadnym pozorem o moim zaangażowaniu w tę sprawę.

- Dartington przerwał, aby zapalić papierosa.

- Po drugie, co jest równie istotne, nie zwracaj się do nikogo, kto mógłby powiadomić władze.

Należy również, niestety, wykluczyć wszelkie kontakty z zaprzyjaźnionymi pracownikami policji lub służb bezpieczeństwa.

Operacja jest całkowicie nieoficjalna, i taka musi pozostać.

Może to głupie, zważywszy na okoliczności, ale cóż zrobić.

Nie popisałeś się, Peter, pomyślał Howard.

Ta zdawkowa uwaga była dość wymowna.

- Mam kilka pytań, Peter - powiedział na głos., - Rozumiem, że jeśli mój plan okaże się wykonalny, zlecisz mi przeprowadzenie całej akcji, czy tak?

- Zgadza się.

- W porządku.

Chciałem się tylko upewnić.

Teraz druga sprawa.

To bardzo ryzykowne przedsięwzięcie.

Nie zajmowałem się dotąd niczym równie niebezpiecznym.

To samo powie ci każdy, kto zgodziłby się wziąć w nim udział.

Wiesz już, do czego zmierzam?

- Niezupełnie.

Ale mów dalej.

- Chodzi o to, że w życiu uczestnika takiej akcji bardzo wiele się zmieni.

Trzeba mieć cholernie silną motywację, żeby podjąć się zadania, którego fiasko może załatwić człowieka na amen.

Mówimy tu o dużej robocie, więc mam nadzieję, że wolno mi zapytać o budżet?

Dartington zaciągnął się dymem z papierosa i zmierzył Howarda przenikliwym spojrzeniem, zanim odparł: - Ed, powiedziałem ci, że mówię poważnie.

Wiem, że to duża operacja.

Jeżeli potrafisz ją zorganizować, gotów jestem zapłacić pięć milionów funtów.

- Obawiam się, Peter, że to nie wystarczy.

- Howard milczał przez moment, przyglądając się uważnie twarzy Dartingtona.

Czyżby dostrzegął na niej zaskoczenie?

- Spójrz na to z innej strony.

Muszę zebrać grupę specjalistów wysokiej klasy.

Razem byliby chyba w stanie obrabować Bank Anglii, a już na pewno zdołaliby zorganizować serię dużych napadów, zgarniając do podziału z dziesięć milionów albo więcej.

I nie ryzykowaliby, że zginą podczas akcji.

To prawda, że ludzie, których wybiorę, muszą mieć czyste kartoteki, więc nie zrobiliby czegoś takiego.

Inaczej bym ich nie zatrudniał.

Ale zadanie, które mają wykonać, nie jest zupełnie legalne.

Nie spuszczając wzroku Dartington strząsnął popiół z papierosa do leżącej przed nim na biurku niewielkiej, srebrnej popielniczki.

- Na początek - mówił dalej Howard - muszę prosić o pięćdziesiąt tysięcy na przygotowanie raportu.

Gdyby nie okazał się tyle wart, dam ci znać.

Jeśli przyjmiesz projekt i zlecisz mi wykonanie zadania, będziemy

zapewne rozmawiać o co najmniej półmilionowej zaliczce.

Potem dojdą koszty operacji.

Mogą sięgnąć miliona funtów.

- Znowu przerwał.

Twarz Dartingtona nie zdradzała żadnych emocji.

- Na koniec pozostaje kwestia honorarium.

Jak już powiedziałem, udział w akcji, zważywszy na ryzyko, musi być opłacalny.

Pogadam jeszcze z ludźmi.

Myślę, że na całą operację trzeba przeznaczyć z dziesięć milionów.

Szczerze mówiąc nie sądzę, żeby ktoś kompetentny podjął się tego za mniejszą sumę.

Dartington zmierzył go twardym spojrzeniem i w końcu powiedział:

- Doskonale cię rozumiem, Ed.

Wiem, co masz na myśli.

W porządku.

Przygotuj raport.

- Zastanawiał się przez chwilę.

- Zobaczę, jak załatwić sprawy finansowe.

- Obdarzył Howarda uspokajającym uśmiechem.

- Zdajesz sobie sprawę, że dziesięć milionów funtów to spora suma.

Ale może mi się uda.

Dartington zamierzał wstać z fotela, ale Howard przytrzymał go za rękę.

- Jeszcze jedno, Peter.

Przy tego rodzaju akcji wiele rzeczy może się nie udać.

Wspomniałeś już o kwestii bezpieczeństwa.

Dobrze, że chcesz zachować wszystko w tajemnicy przed swoimi ludźmi.

Prawdę mówiąc, sam bym na to nalegał.

Takie przedsięwzięcie wymaga prowadzenia podwójnego życia we własnej firmie, a nawet w rodzinie.

Żadnych stenogramów, nagrań, notatek, w ogóle żadnych śladów.

Ze mną będzie tak samo, dopóki nie zacznę rekrutacji.

Pełna tajemnica.

Rozumiesz, o czym mówię?

Dartington pokiwał głową.

- Może więc - kontynuował Howard - dostosujemy się od razu do tych zasad.

Dartington okazał zdziwienie.

Howard wyciągnął dłoń w jego kierunku.

- Taśma, Peter.

Daj mi tę taśmę, dobrze?

Dartington najwyraźniej pojął nagle, o co chodzi.

Howard nie był pewien, czy jego rozmówca nie blefuje, Dartington otworzył jednak szufladę biurka i wyłączył pracujący bezgłośnie podczas ich rozmowy magnetofon.

Wyjawszy kasetę wręczył ją Howardowi z przepaszającym uśmiechem.

- W porządku, Peter.

W normalnych warunkach powiedziałbym, że zachowujesz rutynowe środki ostrożności.

Przepraszam, że musiałem prosić cię o taśmę.

Właściwie cieszę się, że korzystasz z moich zaleceń.

Ale nasze spotkanie nie jest ani normalne, ani rutynowe, prawda?

- Howard uśmiechnął się i wstał.

- Zgłoszę się za dwa tygodnie.

Jeżeli coś z tego wyjdzie, dołączę listę niezbędnych wydatków i uzgodnienia na temat honorariów.

Przyniosę ci do przeczytania raport - w jednym egzemplarzu.

Potem go zabiorę i zniszczę.

Czy masz do mnie coś jeszcze?

Nie było innych spraw.

Dartington odprowadził Howarda do samochodu i pomachał mu ręką, gdy jego Saab ruszył po zwirowanym podjeździe.

Wracając do Londynu autostradą M2 Howard tylko częściowo koncentrował uwagę na prowadzeniu wozu.

Rozmyślał nad przebiegiem spotkania z Dartingtonem.

Próbował skupić się chwilowo na sprawach, o których Dartington nie

wspomniał, a nie na tym, o czym rozmawiali.

Zostaw na razie w spokoju samą akcję, pomyślał.

Zastanów się, dlaczego ten facet chce ją przeprowadzić.

Dartington zdemaskował się uwagą, że "w zaistniałych okolicznościach" głupio jest nie korzystać z pomocy sił bezpieczeństwa.

Nie czuł się też zbyt pewnie, gdy mowa była o finansach.

Zgoda, dziesięć milionów to kupa forsy.

Taka suma każdego by poruszyła.

Tylko że on nie wydawał się wstrząśnięty.

Po prostu nie mógł samodzielnie podjąć decyzji.

Dlaczego zresztą Dartington miałby organizować samodzielnie taką operację?

Howard orientował się w bieżącej działalności spółki Darcon.

Jej interesy nie były nigdzie zagrożone w takim stopniu, by usprawiedliwiać podjęcie planowanej przez Dartingtona akcji.

Howard przyjechał do domu i wszedł do mieszkania.

Nalał sobie whisky, rozpałił niewielki ogień na kominku i usiadłszy w fotelu mieszał powoli w szklance kostki lodu, przyglądając się czerniejącej, poskręcanej od żaru kasecie.

Płomień wybuchnął raptownie, gdy zapaliła się sama taśma.

Kto za tobą stoi, Peter?

pomyślał.

Rząd?

Pewnie tak.

Ale jest w tym wszystkim coś dziwnego.

Podszedł do biurka, włączył komputer i zaczął czekać, aż będzie on

gotowy do pracy.

Odpowiedziawszy na pytanie o hasło, wywołał edytor tekstu i otworzył nowy zbiór pod nazwą "zapis".

Pomyślał, że to jedyny materiał, którego nie skopiuje na twardy dysk.

Pozostawi go wyłącznie na 3,5-calowej dyskietce, a gdy nie będzie z niej korzystał, zamknie ją w sejfie albo będzie nosił cały czas przy sobie.

Komputer wyświetlił na ekranie słowo: Do:-.

Howard napisał po prostu: PD.

Poniżej pojawił się od razu tekst: Od-EH.

Teraz komputer wyświetlał słowo: Temat: -.

Howard wpisał jedną linijkę tekstu, po czym oparł się o krzesło.

Uznał, że będzie to ciekawe teoretyczne zadanie, choć najprawdopodobniej nic z niego nie wyniknie.

Zaczął medytować nad kilkoma z wielu zagadnień, którymi należało się zająć.

Spoglądając za okno prawie nie zauważał delikatnych ruchów liści na wiśniowym drzewie.

Błądził myślami gdzieś daleko.

Kursor pulsował cierpliwie na ekranie monitora, oczekując dalszych instrukcji pod trzema linijkami tekstu: Do:-PD Od:-EH Temat: Zabójstwo prezydenta Iraku Saddama Hussajna.

Przez następnych dziesięć dni Howard spędzał czas na pozór bezproduktywnie.

Wyszedł z domu tylko po to, by przelecieć się po księgarniach i powrócił ze stertą książek na temat Bliskiego Wschodu, wojny w Zatoce

Perskiej z 1991 roku i Saddama Hussajna.

Zapłacił za wszystkie gotówką, a nie kartą kredytową.

Ślęczał nad nimi wiele godzin, zaznaczając pewne fragmenty tekstu zielonym flamastrem lub samoprzylepnymi karteczkami.

Kolega z BBC, który relacjonował przebieg wojny w Zatoce z Tel Awiwu, zdobył dla niego w telewizyjnych archiwach kopie kaset wideo ze wszystkimi reportażami z inwazji na Kuwejt i zbrojnej interwencji sprzymierzonych.

Były to dziesiątki godzin nagrań, wiele rzeczy się powtarzało, Howard stracił więc mnóstwo czasu, operując przyciskiem szybkiego przesuwania obrazu i opuszczając sceny, które nie miały dla niego znaczenia.

Zaczął żałować, że nie mógł poprosić kolegi o bardziej konkretny materiał: o fragmenty filmów, w których pojawia się sam Hussajn.

Celowo jednak nie chciał ujawniać zakresu swoich zainteresowań.

Jakość obrazu z magnetowidu pozostawiała wiele do życzenia, a tempo przesuwu taśmy mogło doprowadzić człowieka do szału.

Jego stary Betamax był o wiele lepszy i szybszy.

Na ekranie telewizora zaczęła pojawiać się teraz regularnie dobrze znana twarz dyktatora.

Słuchał uważnie wszelkich informacji na temat Hussajna, zapamiętując każdy szczegół dotyczący jego wyglądu i otoczenia.

W tych nielicznych scenach, gdzie Saddam pojawiał się publicznie, Howard oglądał niemal każdą klatkę filmu z osobna.

Spędził wiele godzin w Brytyjskiej Bibliotece Czasopism przy Colindale Avenue, przeglądając stare numery gazet i periodyków, robiąc notatki, a czasem kserokopie.

Odwiedził też firmę Edward Stanford Ltd w Long Acre, gdzie nabył egzemplarze wszystkich dostępnych map Iraku i Bliskiego Wschodu.

Pod koniec tygodnia, gdy wpadł jeszcze do portu w Felixstowe, miał już w głowie wstępną koncepcję planu, wiedział jednak, że to nie wystarczy.

Przede wszystkim mapy, które udało mu się zdobyć, były za mało

dokładne.

Poza tym, choć przeczytał sporo o Iraku, nie był specjalistą od spraw Bliskiego Wschodu.

Musiał porozmawiać z Johnnym Bournem i zasięgnąć jego opinii.

Nie oczekiwał tu żadnych trudności.

Pomówi z nim w stosownym momencie.

Trzeci problem wydawał się nie do pokonania i Howard wątpił, czy Johnny będzie mu w stanie pomóc.

Tak czy inaczej, zacznij od map.

Była to chyba najprostsza sprawa, choć groziła potencjalnie ujawnieniem przygotowywanej akcji.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił domowy numer kolegi z 21.

Pułku SAS, który służył w sztabie w Northwood podczas wojny w Zatoce.

- Derek?

Mówi Ed Howard.

Czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę?

- Howard opowiedział mu wiarygodną bajeczkę o współpracującej z nimi firmie, która zaangażowała się w odbudowę powojennych zniszczeń w Kuwejcie i na północy Arabii Saudyjskiej.

- Może to dziwne, ale nie mogę zdobyć szczegółowych map tego regionu.

Dostępne są tylko taktyczne mapy pilotażowe w skali 1:500.000 i operacyjne mapy nawigacyjne w skali 1:1.000.000, które dostałem u Stanforda.

Te pierwsze są dobre, ale za mało dokładne dla moich potrzeb, poza

tym zostały wydane w 1981 roku.

Mapy nawigacyjne są nowsze, z 1990, ale jeszcze mniej dokładne.

Zastanawiałem się, czy w Ministerstwie Obrony nie mają czegoś lepszego.

Jak myślisz?

Derek, pomruczawszy i pochrząkawszy przez chwilę, zaproponował Londyński Ośrodek Kartograficzny, który Howard zdążył już odwiedzić, a potem wspomniał o Wojskowym Centrum Kartografii w Guildford.

- Musiałbym jednak te mapy zamówić i posłać po nie kierowcę - stwierdził.

- Mógłbym sam je odebrać, jeśli to ułatwi sprawę - zasugerował Howard.

- Ale czy są naprawdę aktualne?

Na tym polega cały problem.

- Szczerze mówiąc sam nie wiem, co oni tam mają.

Pewnie niewiele więcej, niż dostałeś u Stanforda.

Te same mapy taktyczne i operacyjne.

Jeśli nie znalazłeś tam innych, to znaczy, że nic lepszego nie istnieje.

Oni zbierają wszystko.

Howard zdawał sobie z tego sprawę.

Firma Stanford była wyjątkowo operatywna.

- A więc w Ministerstwie Obrony nie będą mieli niczego nowego?

Żadnych map satelitarnych, robionych dla potrzeb wojny w Zatoce?

- No cóż...

- Derek jakby się zawahał.

- Pojawiało się trochę takich map, ale były objęte dość ścisłą

tajemnicą i nie dotyczyły bynajmniej całego obszaru.

Sporządzano je, mając na względzie tylko określone cele i rejony.

Być może nie są już tajne, skoro wojna się skończyła, a na pewno nie straciły na aktualności, jeśli nie liczyć różnych strukturalnych zmian, które powstały w krajobrazie dzięki uprzejmości RAF i amerykańskiego lotnictwa.

Rozumiesz: wysadzone mosty, budynki, i tak dalej.

Ale to wszystko dotyczy Iraku, a mówiłeś, że interesuje cię Arabia Saudyjska i Kuwejt.

Kuwejt nie jest już, oczywiście, taki jak dawniej.

Pozostało tam mnóstwo sadzy po fajerwerkach z pożegnalnego przyjęcia Saddama, nowe szlaki, wytyczone przez nasze czołgi, dziury po pociskach w ścianach pałaców, tego rodzaju rzeczy.

Ciepło, ciepło... pomyślał Howard, mówiąc na głos: - Takie mapy by mi się przydały.

Można je gdzieś zdobyć?

- Cholernie o nie trudno, stary.

Ale mam gdzieś jeszcze swoje...

Strzał w dziesiątkę, pomyślał Howard.

Teraz ostrożnie.

- Czy mógłbym je od ciebie pożyczyć na dzień albo dwa, tylko dla porównania z tymi, które mam?

- powiedział swobodnie, jakby od niechcienia.

- Czemu nie.

Wpadnij na drinka, to dam ci cały zestaw.

Są chyba w skrzyni na poddaszu.

Ale koniecznie muszę je dostać z powrotem.

- Znakomicie, Derek.

Nie ma sprawy.

Podrzucę ci je w środę.

Muszę tylko porównać parę rzeczy.

Właściwie wpadłbym po nie od razu, jeśli nie sprawi ci to kłopotu...

Mogę przyjechać za piętnaście minut?

- Czyli za kwadrans ósma.

W porządku.

- Derek odłożył słuchawkę.

Howard sięgnął po kurtkę i wyszedł z domu, włożywszy do kieszeni dyskietkę.

Godzinę później wrócił z zestawem map od Dereka.

Wystarczył rzut oka, żeby stwierdzić, że właśnie takich potrzebował.

W środę zrobi z nich kserokopie i odda Derekowi oryginały.

Jeden problem został rozwiązany.

Pozostały jeszcze dwa.

Postanowił zrobić sobie kanapkę i posłuchać wiadomości BBC o dziewiątej.

Potem zadzwoni do Johnny'ego.

- No i jak wyglądam?

- Co?

Świetnie, po prostu świetnie.

- Johnny Bourne siedział w samej koszuli za biurkiem, twarzą do okna i przeglądał raport, który musiał być gotowy na rano.

- Hej, spójrz chociaż na mnie, ty szczurze!

- Och, przepraszam, Juliet.

Ta robota wymaga skupienia.

-Johnny obrócił się na krześle i spojrzał na swoją współlokatorkę.

- No, całkiem nieźle!

- Niech mnie diabli, pomyślał.

Cóż za przemiana!

Z trudem ją rozpoznał.

Zniknęły gdzieś luźne dzinsy, szmatławy, poplamiony farbą pulower, upięte z tyłu włosy i nie umalowana twarz - właściwie nawet dosyć ładna.

Johnny zdążył przyzwyczać się już do widoku tej dziewczyny, odkąd wprowadziła się przed trzema tygodniami, zajmując wolny pokój.

Kiedy nie siedziała obłożona książkami, była zwykle cała usmarowana farbą, klejem do tapet, czy jakimś innym świństwem.

Wyglądała zawsze...

jakby trochę niechlujnie, choć, dzięki Bogu, nie robiła bałaganu wokół siebie.

Przychodząc z ogłoszenia w sprawie wynajęcia pokoju sprawiła na nim od razu wrażenie osoby szczerzej i konkretnej.

Nie miała głupich manier ani pretensji, szybko więc uzgodnili, że zamieszkają razem.

Johnny pomyślał, że jest w sumie bardzo dobrą współlokatorką.

Zawsze kładła wszystkie rzeczy na swoje miejsce - kawę, cukier, i tak dalej.

Nie wypełniała lodówki dziwnymi wiktuałami.

Pomagała utrzymać mieszkanie w czystości i nie wprowadziła za wiele typowo babskiego rozgardiaszu, tylko trochę sympatycznych akcentów kobiecej obecności.

Jej chłopak, Mike, nie sprawiał kłopotów.

Wpadł po nią zaledwie kilka razy i nigdy nie zostawał dłużej niż parę minut.

Co najważniejsze, w łazience nie wisały nigdy dniem i nocą sznury rajstop i innych damskich fatalasek.

Tak, okazała się doskonałą współlokatorką.

Łatwo znaleźli wspólny język, zupełnie bez problemów.

Miał nadzieję, że podzielała tę opinię.

Czasem przygotowywała mu nawet wieczorem coś do zjedzenia, widząc, że ciężko pracuje.

On też zrobił jej parę razy kolację.

Zawiązała się między nimi bezinteresowna, szczerza, zupełnie nie zobowiązująca przyjaźń.

Tyle że on...

no cóż, prawdę mówiąc nigdy dotąd właściwie jej nie zauważał.

Teraz wygląda wspaniale, pomyślał.

Prosta, klasyczna w stylu, czarna sukienka, podkreślająca kształty jej szczupłej figury, których dotąd nie dostrzegął, opadające na ramiona i okalające twarz dziewczyny ciemne włosy, lekki makijaż, uwydatniający głębię ciemnych oczu...

Chryste, wyglądała naprawdę cudownie.

Zdumiewająco.

- Masz szalową randkę, co?

Dokąd cię zabiera?

- Po prostu na kolację.

Ma po mnie wpaść za jakieś dwadzieścia minut, około dziewiątej.

- Zauważyła zaskoczenie na twarzy John'ego, kiedy na nią spojrział.

Kąciki jej ust zadrgały w lekkim uśmiechu.

Odwróciła się, zanim zdążył to zobaczyć.

- Zrobić ci drinka, Johnny?

- Co?

A, tak.

Dzięki, jesteś bardzo miła.

Whisky z dwiema kostkami lodu, jeśli można.

Przepraszam, Juliet, że tak cię zbyłem.

Wyglądasz naprawdę wspaniale.

Nalewając whisky spojrziała na niego przez ramię i podziękowała uśmiechem za komplement.

Johnny wrócił do pracy.

Czytał raport i postukiwał ołówkiem w podbródek.

Do diabła z tymi Szwabami, pomyślał, nie mogąc się skoncentrować.

Juliet przyniosła mu drinka na biurko.

Postawiła szklanekę na tacy i stanęła obok jego krzesła.

- Nad czym pracujesz?

- zapytała, pochylając się i zaglądając mu w papiery.

- To tylko raport o stanie bezpieczeństwa dla jednego z naszych klientów w Niemczech.

Nic specjalnie ciekawego.

- Chryste, pomyślał.

Co to za perfumy?

Poczuł znieczulający, delikatny zapach.

Popatrzył na nią z uśmiechem.

- To właściwie dość nudna robota.

- Naprawdę nudna?

- Odwzajemniła jego uśmiech, kładąc mu na ramieniu lewą dłoń, gdy zaczął pić nie rozcieńczoną whisky.

Odstawiwszy szklanekę oparł się wygodnie i spojrzał na Juliet, obejmując ją prawą ręką w talii.

Było to całkiem naturalne i przyjemne.

Bardzo przyjemne.

Ostrożnie, Johnny, pomyślał.

Pamiętaj o swojej złotej zasadzie.

Nigdy nie zadawaj się ze współlokatorkami.

Skutki są zawsze fatalne.

- Tak, Juliet, to by cię zupełnie nie interesowało - powiedział, patrząc jej w oczy z figlarnym uśmiechem.

- Cholerni, nudni Niemcy.

- Położył jej rękę na biodrze.

Boże, cóż za rozkoszne uczucie, pomyślał.

Długie paznokcie Juliet błędziły mu delikatnie po karku, pod gęstymi, brązowymi włosami.

Palce miała lodowato zimne od szklanki whisky.

Chryste, pomyślał.

Jej dotyk działał na niego elektryzująco.

Po plecach przeszedł mu przyjemny dreszcz.

Poczuł znów upojną woń perfum.

Spojrząwszy Juliet w oczy przestał się uśmiechać.

W jej twarzy zaszła jakaś ledwo dostrzegalna zmiana.

Nadal muskała mu palcami kark.

Było to niezwykle podniecające.

Boże, co się dzieje?, przebiegło mu przez głowę.

Przesunął ręką po jej udzie, gładząc je pieszczotliwie przez delikatny materiał sukienki.

Nachyliła się, przywierając lekko biodrem do jego ramienia.

Ręka Johnego powędrowała jeszcze niżej.

- Hm...

Wiesz co, Juliet?

To jest naprawdę bardzo miłe.

- Miała lekko rozchylone usta i widział, jak przesuwa językiem po zębach.

Boże, czy to naprawdę ta sama dziewczyna?

- Jesteś nader uprzejmy, Johnny Bourne.

Ty też sprawiasz mi przyjemność.

- Gładziła go nadal po szyi, a potem zaczęła delikatnie przesuwać rękę w kierunku torsu.

Jej nozdrza rozszerzyły się lekko, a usta rozchyliły jeszcze bardziej.

Wielki Boże, pomyślał Johnny, czując dotyk palców dziewczyny.

Co się dzieje?

Miał w głowie zamęt.

Juliet wsunęła mu dłoń pod koszulę, kreśląc rozkosznie paznokciami hieroglify na jego piersi.

Spokojnie, Johnny, nie zapominaj o swojej zasadzie...

Trzy guziki od koszuli miał już rozpięte.

Odnalazł ręką brzeg spódnicy i dotknął nogi Juliet.

To tylko jej łydka, próbował przekonać samego siebie.

Jakim cudem może człowieka aż tak cholernie podniecać?

- Serce waliło mu jak młotem i zdawał sobie sprawę, że zdradza go jego własne spojrzenie.

Przesunął powoli dłonią po nodze dziewczyny, trafiając pod sukienką na łuk jej lewego kolana.

Dobry Boże, co za wspaniałe uczucie.

- Zapomniałeś o swoim drinku, Johnny - powiedziała niskim, nieco ochrypłym głosem.

Kiedy znów spojrział jej w oczy, zobaczył, że przybrały czarną barwę, a ich źrenice niemal zupełnie się rozszerzyły.

Trzymał teraz rękę tuż nad kolanem Juliet, pieszcząc ją i ostrożnie posuwając się dalej.

Jej szczupła, gładka noga robiła nieziemskie wrażenie.

O Boże, to jedwab, a nie nylon.

I ten zapach...

- Nie mogę dosięgnąć szklanki - powiedział.

- Przeszkadza mi najwyraźniej piękna dziewczyna...

- Panował jakoś nad swoim głosem, ale w uszach mu huczało.

Tracił kontrolę nad sobą.

Juliet odsunie się zaraz od niego, zanim sprawy zajdą za daleko...

Jej udo...

Och, dobry Boże...

Juliet nachyliła się i przytknęła mu szklankę do ust.

Wypił niewielki łyk whisky.

Jej ręka lekko drżała - a może to jego wargi?

Kilka kropli płynu pociekło znad krawędzi szklanki i spłynęło mu po twarzy.

Dziewczyna zniżyła błyskawicznie głowę, zlizując mu je delikatnie z podbródka wargami i językiem.

Dotyk jej ust zrobił na nim piorunujące wrażenie.

Z trudem powstrzymał jęk.

Co się dzieje?, myślał gorączkowo.

Co się dzieje?...

Przesuwał rękę po jej subtelnie zaokrąglonym udzie.

Było jędrne, ale zarazem jedwabście miękkie...

Boże, niech teraz nie odchodzi, myślał z desperacją.

Podnosząc powoli głowę musnęła ustami jego policzek.

Poczuł znów zapach perfum, zmieszany tym razem ze słodyczą jej oddechu...

Wydał długie, głębokie westchnienie, przestając się opierać i zamykając oczy.

Sięgał ręką coraz wyżej i...

O Chryste!

To były pończochy, a nie rajstopy...

Przytrzymały je małe, drobne klamerki...

Czuł teraz delikatne jak jedwab, nagie ciało, tak cudownie miękkie i ciepłe...

Wielki Boże...

Zadrżała, gdy pieszcząc jej uda zaczął delikatnie przesuwać ręką wzdłuż linii koronkowych majteczek.

To tylko piękny sen, to nie może być prawda...

Tracił całkowicie siłę woli...

Juliet rozpiniała mu kolejne guziki koszuli, a potem sięgnęła niżej, do klamry przy pasku...

Podniósł w końcu lewą rękę i wplótł palce w jej ciemne włosy, aby sen nie uleciał...

Nie mogąc się już opanować, przyciągnął dziewczynę ku sobie.

Ich usta zwały się w namiętym pocałunku.

Johnny poczuł dreszcz rozkoszy, gdy prawa ręka Juliet odnalazła właściwą drogę, oswobadzając go czułym dotykiem i pieszczotą.

Huk w uszach brzmiał teraz ogłuszająco.

Nie istniało nic poza tym prześlicznym dzieckiem rajy...

Wstał powoli, drżąc jak w gorączce.

Ich ciała przylgnęły do siebie gwałtownie, poddając się nieodpartej żądzy.

Johnny wziął Juliet bez wysiłku na ręce.

Gdy niósł ją do sypialni, zamykając za sobą kopniakiem drzwi, objęła go mocno, wtuliwszy mu głowę w szyję i tors.

- Chryste, Julie!

- Głos Johnny'ego brzmiał cicho, niemal bojaźliwie.

- Co się, do diabła, wydarzyło?

Leżał nago na łóżku, które dwadzieścia minut wcześniej było starannie pościelone, a teraz wyglądało jak po przejściu huraganu.

Dziewczyna, również naga, przywierała lekko piersiami do jego torsu.

Obejmowała Johnny'ego jedną ręką, a jej lewa noga spoczywała mu na biodrze.

Na plecach Juliet, aż po idealnie kształtne pośladki, widać było lśniące kropelki potu.

Przygarnął ją do siebie, oczarowany nadal upojnym zapachem.

Dzika namiętność porwała ich oboje jak burza, ale teraz oddychali już spokojniej.

Leżeli odprężeni, rozciągnięci leniwie na łóżku w czułym uścisku.

Popatrzyła mu w oczy z uśmiechem.

- Myślę, że przytrafiliśmy się sobie nawzajem.

- Wybuchnęła radosnym śmiechem, znów zbliżając zachłannie usta do jego twarzy.

Był to długi, pełen wdzięczności pocałunek.

Do diabła, pomyślał Johnny ze zdumieniem.

Ona jest taka piękna...

W głowie miał nadal zamęt z powodu tak nieoczekiwanego przebiegu wydarzeń.

Przekroczyli chyba maksymalny pułap skali Richtera.

Zakrawało właściwie na cud, że to cholerne łóżko się nie zapaliło.

Zaledwie dwadzieścia minut temu prawie nie zwracał na nią uwagi, a teraz...

Uczucie, które go ogarnęło, było potężne i zniewalające.

Jak to możliwe, do cholery, żebym dotąd jej nie zauważał?, zastanawiał się.

Czyżbym był ślepy?

Ta kobieta kompletnie zawróciła mu w głowie.

Nie potrafił jej się oprzeć.

- Julie, moja droga - powiedział.

- Jesteś jak dynamit.

Zupełnie mnie załatwiłaś.

Nie miałem pojęcia, co się dzieje.

I dalej nie wiem.

Fantastyczna z ciebie dziewczyna!

- Zniżył głos.

- Jesteś taka cudowna, taka piękna...

- Przyciągnął ją do siebie i objął z całej siły.

Juliet przygryzła wargę, opanowując dreszcz, jaki wzbudził w niej ten objaw czułości z jego strony.

Tylko spokojnie, pomyślała.

Nie za szybko.

- A więc to była moja wina, tak?

- powiedziała na głos.

- Ty stary capie!

Podobno nigdy nie zadajesz się ze współlokatorkami.

A co z tą ręką, błądzącą po mojej nodze?

Masz pojęcie, ile mnie kosztowało, żeby się opanować, kiedy to robiłeś?

Johnny uśmiechnął się promiennie i znów ją pocałował.

Leżała na nim, patrząc mu drwiąco w oczy.

Jego twarz znowu spoważniała.

Przyciągnął dziewczynę do siebie.

Poczuła przyspieszone bicie serca, gdy szepnął jej do ucha: - Julie, ja naprawdę tak myślę.

Jesteś...

wspaniała, cudowna.

Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się nic podobnego.

- Popatrzył na nią płomiennym wzrokiem, lecz po chwili dodał już spokojniej: - Jesteś taka piękna.

Nigdy nie sądziłem...

Ja chyba...

Zostaniesz ze mną, prawda?

Bingo, pomyślała.

Jej spojrzenie też złagodniało.

Uśmiechnęła się do niego promiennie, a potem, widząc jego nagły niepokój, położyła mu głowę na muskularnej piersi, aby ukryć przed nim twarz.

Czuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Cóż, nie miałam na razie zamiaru się przeprowadzać...

oznajmiła, przygryzając znowu wargę i dodając w myślach: to było największe nieudomówienie stulecia.

- Oczywiście, że zostanę, ty wielki małpiszonie.

Ale pod jednym warunkiem.

- Zamrugła powiekami i podniósłszy się na łokciu pogroziła mu palcem z udawaną powagą.

- Możesz łamać tę swoją żelazną zasadę tylko ze mną, jasne?

- Zgoda - odparł Johnny radośnie, całując Juliet, kosztując raz jeszcze delikatnej słodyczy jej ust.

Poczuł znów subtelny, upojny zapach i wciągnął go głęboko w nozdrza.

- Hm, Julie, cóż to za wspaniałe perfumy?

Czy na pewno wolno ich używać?

Dziewczyna wydała ciche westchnienie rozkoszy.

- Nie używam żadnych perfum, kochanie - szepnęła mu do ucha.

- To ja tak pachnę.

Znów objął ją mocnym, zniewalającym uściskiem.

Jest niezrównana, pomyślał.

Ja chyba śnię.

Muszę być...

W tym momencie zadzwonił telefon i Juliet drgnęła.

Johnny zrobił kwaśną minę.

- Niech sobie dzwoni, do cholery.

Jest automatyczna sekretarka.

- Nie pamiętał, czy włączył automat zgłoszeniowy.

Źle, jeśli tego nie zrobił.

Kto mógł telefonować, do diabła?...

Chryste!

Usiadł na łóżku i błyskawicznie zerwał się na nogi.

Juliet stwierdziła nagle ze zdumieniem, że leży na wznak na łóżku.

Boże, pomyślała, ależ on jest zwinny.

Jak kot...

- Hej, Julie!

Mark!

- krzyknął Johnny.

- Co z Markiem?

Cholera!

Ten biedak lada chwila się tu zjawi!

- Spokojnie, mój amancie.

- Śmiejąc się głośno wciągnęła go z powrotem do łóżka.

Tym razem to on był zaskoczony.

- Powiedziałam, Johnny, żebyś się uspokoił, prawda?

Mark nie przyjdzie.

W każdym razie nie jest umówiony ze mną.

- Zachichotała.

- Wszystko w porządku.

Zadzwoiłam po południu do jego biura i wszystko odwołałam.

- Co takiego?

A więc...

- Nagle zaczęło mu coś świtać.

- To znaczy, że zaaranżowałaś tę całą...

ty mała flirciario!

- Znów się położył, wsparty na łokciu, studiując uważnie szczupłą figurę Juliet.

Wolną ręką objął delikatnie pierś dziewczyny, a potem przylgnął wargami do jej ust i znów przyciągnął ją do siebie, całując zamknięte powieki.

Poczuła na nowo radosne podniecenie, gdy między pocałunkami szepnął jej wprost do ucha: - Od jak dawna to planowałaś, ty cudowna, przewrotna ślicznotko?

Przytuliła się do niego mocniej.

Od samego początku, mój fantastyczny mężczyzno, miała ochotę powiedzieć.

Wiedziałam o tym od chwili, gdy po raz pierwszy cię ujrzałam.

Ale musiałam się najpierw przekonać, jaki naprawdę jesteś, żeby nie

popęlnić kolejnego błędu.

Chodziłam więc w starych łąkach, starałam się być mało pociągająca, żebyś nie zwrócił na mnie uwagi tylko ze względu na mój wygląd...

Okazałeś się taki miły, troskliwy, szczery, uprzejmy i dobry...

Ten twój uśmiech, oczy...

Kryło się w nich jakieś wieczne cierpienie, a jednak pozostało w tobie coś chłopięcego...

z jakim zakłopotaniem mówiłeś mi, że z zasady nie podrywasz współlokatorek...

Wtedy się zdecydowałam.

Wiedziała jednak, że za nic mu tego nie powie, bo mogłaby wszystko popsuć...

- Uwierzysz w nagły, szaleńczy impuls?

- zapytała.

- Nie - odparł.

- A co by było...

no, gdyby do niczego nie doszło?

- Och, siedziałabym tu przez cały wieczór, robiąc nieszczęśliwą minę i przyglądając ci się ukradkiem, dopóki nie stanąłbyś na wysokości zadania i nie zaprosił mnie na kolację.

- Znowu wybuchnęła śmiechem, tuląc się do niego.

Po chwili objęła go delikatnie za szyję.

- Johnny?

- Jestem wciąż przy tobie, czarnulko - mruknął.

- Czy masz jeszcze jakieś zasady, które moglibyśmy złamać?

- Jej ręka znów powędrowała w dół.

- Niestety, miałem tylko tę jedną - odparł, muskając Juliet delikatnie palcami po ramionach i plecach.

- Może złamiemy ją jeszcze raz?

- Tak, proszę!

Czując na całym ciele dotyk jego rąk i ust, Juliet pogрузyła się znowu w ekstazie.

Miała wrażenie, że słyszy jakieś dziwne słowa, wypowiedane szeptem w obcym języku.

Nie rozumiała ich, ale brzmiały pięknie aż do bólu i wiedziała, że Johnny otwiera przed nią duszę.

Mą szłkani, mą szłka al-'uyłn al-mudakhkhaniyd'h, 'ąszek aląn wa da'im al-ayyam, mą szłkani, mą szłka latd'fa...

Kiedy znów w nią wszedł, nie powstrzymywała już łez radości.

Krzyczała głośno, zespolona z nim w najwyższej rozkoszy spełnienia.

Wiedziała, że nadeszła wreszcie ta chwila.

Płacząc i drżąc oddawała mu się z ekstatyczną, żarliwą uległością.

Czuła, że jej serce przepęlnia ogromne szczęście, jakiego nigdy dotąd nie zaznała.

Stało się.

Juliet Shelley po raz pierwszy w życiu zupełnie straciła panowanie nad sobą.

Była zakochana bez pamięci.

- Więc dlaczego się na to godzą?

Dlaczego go tolerują i pozwalają, żeby sprowadzał na nich kolejne nieszczęścia?

- Do diabła, Ed, to bardzo złożone pytanie.

Moglibyśmy dyskutować o tym godzinami.

Najprostsza odpowiedź - że rządzi za pomocą terroru, kłamstw,

zbrodni i dezinformacji - zawiera tylko połowę prawdy.

Rzeczywiście tak jest, ale zbytnie upraszczanie sprawy powoduje, że Zachód popełnił w przeszłości wiele błędów w kontaktach z tym rejonem świata.

Johnny zamilkł, aby zaciągnąć się papierosem, po czym kontynuował.

Howard nie przerywał mu, chłonąc usłyszane informacje.

Pomyślał, że Johnny jest dobrym mówcą i najwyraźniej orientuje się w temacie.

Nie musiał robić notatek, gdyż nagrywał wszystko na magnetofon, więc w razie potrzeby skorzysta z taśmy.

To, co opowiadał Johnny, okazało się naprawdę interesujące, nie tylko z profesjonalnego punktu widzenia.

- ...zastanówmy się więc przez chwilę nad kwestią prawdy.

To kluczowe zagadnienie, wokół którego powstało wiele nieporozumień.

Ludzie z Zachodu - szczególnie my, Brytyjczycy, a ostatnio także Amerykanie - okłamywali, oszukiwali i wyzyskiwali Arabów od lat, właściwie odkąd pierwszy raz się z nimi zetknęliśmy.

Uważają nas za rabusiów, zbirów i kłamców, którzy chcą zniszczyć ich kulturę.

I w dużym stopniu mają rację.

Twierdzimy zwykle, że są obłudni i zacofani.

Funkcjonuje u nas stereotyp Araba jako chytrego, perfidnego, zapchlonego zdrajcy w brudnej szacie, który nosi długi, zakrzywiony nóż i patrzy tylko, komu wbić go w plecy.

Do diabła, widujemy to przecież ciągle w kinie.

Więc tak musi być, prawda?

Rzecz jasna, od czasu do czasu pojawia się pozytywny bohater w białym burnusie, jakiś szejka pustyni.

On nam się, oczywiście, podoba.

Dlaczego?

Ponieważ uważamy, że reprezentuje zachodnie wartości, myśli tak jak my, bierze z nas przykład.

Bzdura!

Popęłniamy duży błąd.

Przed wiekami to my uczyliśmy się od niego i jego ludzi, a nie odwrotnie.

Ich kultura jest o wiele starsza i szacowniejsza od naszej.

Do diabła, choćby samo pojęcie rycerskości - uczciwej gry, zamiast zwyciężania za wszelką cenę - pochodzi przecież z Arabii, a nie z Anglii, jak sobie z dumą wyobrażamy.

Ci ludzie starają się przestrzegać nadal tych zasad.

Wszyscy, poczynając od najprostszego, skąpo odzianego wieśniaka.

Czy my postępujemy tak samo?

Akurat!

Kiedy więc wyrasta między nimi ktoś taki jak Saddam, potężny przywódca i mówi to, o czym właśnie wspominałem, wierzą mu.

Obwieszcza im, co ma zamiar zrobić.

Zapowiada wspaniałe zwycięstwa nad wyzyskiwaczami, triumf arabskiej kultury, i tak dalej.

A ludzie mu wierzą.

Bo chcą wierzyć.

I tu dochodzimy do sedna sprawy: dla Araba prawdą jest najczęściej to, czego oczekuje.

Nie kładzie nacisku na suche, niezaprzeczalne fakty, które my tak bardzo rzekomo akcentujemy w kontaktach między sobą.

A skoro już o tym mowa, czy nasi politycy są prawdomówni?

Większość z nich to przekłęci kłamcy.

Dla Araba najważniejszy jest islam i honor.

Nawet prawda zajmuje podrzędniejszą pozycję, ponieważ mieści się w pojęciu honoru.

W ich kulturze ma ona tyle subtelnych odcieni...

szkoda, że tak często zbrodniarze, pozbawione zasad moralnych potwory, dobijają się najwyższych stanowisk...

Taki już jest ten świat, chłopcze, pomyślał Howard.

Musisz się jeszcze sporo nauczyć, Johnny, chociaż masz dwadzieścia osiem lat.

Słuchał jednak z uwagą jego opowieści o ogromnie zróżnicowanej i złożonej arabskiej cywilizacji.

Wyczuwał, że ten młody idealista najwyraźniej darzy owych ludzi sympatią i głębokim szacunkiem.

- ...tak, ostatnio zawiódł ich tyle razy i w tak katastrofalny sposób, że wzbudził w narodzie nienawiść i strach.

W istocie wielu ludzi zawsze go nienawidziło.

Nie oznacza to jednak, że zaczęli myśleć naszymi kategoriami i są teraz zdania, że przez cały czas mieliśmy rację.

Z pewnością będą szczęśliwi, jeśli Saddam odejdzie, ale na jego

miejscu chcą widzieć kolejnego, silnego przywódcę, który pomoże im osiągnąć to, czego pragną...

...źródłem wielu problemów w Iraku jest ogromna rozbieżność poglądów trzech głównych ugrupowań etnicznych, religijnych i kulturalnych.

Istnieją wśród nich - w granicach jednego kraju - większe różnice niż na przykład między nami a Rosjanami - nawet w szczytowym okresie zimnej wojny...

Potem obaj mężczyźni przeszli do omawiania szczegółów: możliwości armii, hierarchii władzy, szczebli administracji, struktur organizacyjnych.

Johnny nie pytał na razie, o co chodzi.

Ed często prowadził ze swoimi ludźmi z XF takie rozmowy, wyciągając z nich różne informacje, kiedy firma miała wejść na jakiś nowy rynek.

Johnny mógł być co najwyżej zaskoczony, że dotychczas go o nic nie pytano.

Ed pozostawił po prostu ten rejon świata w jego gestii.

O pierwszej zrobili sobie przerwę na lunch.

Howard kupił wcześniej w sklepie na rogu kilka kanapek.

Zjedli je, wypijając po puszcze piwa.

Howard zobaczył ze zdumieniem, która jest godzina.

Byli razem od czterech godzin, a on prawie się nie odzywał.

Zadał jedynie kilka pytań i od czasu do czasu naprowadzał rozmowę na właściwy temat.

Siedzieli odprężeni w wygodnych fotelach w jego mieszkaniu.

Johnny wydał mu się nagle zmęczony.

Zmęczony, ale...

Howard przyjrzał mu się uważniej.

Młody człowiek pożerał kanapki, jakby od tygodnia niczego nie jadł.

O, do diabła, pomyślał po chwili Howard, uśmiechając się pod nosem.

- Johnny?

- powiedział na głos, - Hm?

- Jak ona ma na imię?

- Uśmiechał się już teraz szeroko.

- Co?

Skąd...?

- zaczął Johnny, wlepiając w niego wzrok.

Niech mnie diabli!, pomyślał znowu Howard.

Chłopak naprawdę się zarumienił!

- No, Johnny, nie bądź taki.

Powiedz mi wszystko.

Kim ona jest?

Jasny gwint!

Twarz Johnnynego stała się niemal purpurowa.

Howard jęknął w duchu.

Tylko tego brakowało.

Johnny był faktycznie zmęczony, ale najwyraźniej rozpieściło go poczucie triumfu.

Nie mógł się z tym dłużej kryć, zaskoczony Howard wysłuchiwał więc wkrótce jego pospiesznych wynurzeń: - O Boże, Ed, ona jest

cudowna!

Mówię ci, że nic innego się już nie liczy.

Żadna dziewczyna nie wywarła na mnie dotąd tak piorunującego wrażenia...

- Wywnętrzał się przez dłuższą chwilę, po czym zamilkł, spoglądając z pełnym zażenowania uśmiechem na rozbawioną twarz Howarda.

- Daj spokój, Ed.

Nie patrz na mnie w ten sposób.

Mówię poważnie.

To widać, pomyślał Howard.

O tak, nie ma wątpliwości.

- Kiedy ją poznałeś?

- zapytał.

- Właściwie wczoraj...

- Co takiego?

- To znaczy do wczoraj właściwie jej nie zauważyłem, widzisz...

ty ją znasz.

To moja nowa współlokatorka.

- A niech cię, Johnny!

- Howard wybuchnął śmiechem.

- Najpierw rozpowiadasz naokoło, że nie podrywasz nigdy swoich współlokaterek, a potem puszczasz się z...

Mówisz o tym małym, niechlujnym dziewczątku, upakowanym ciągle farbami?

- ED!!

- Głos Johnnynego zabrzmiał jak trzask bicia.

Zacisnął mocno pięści, naprężył twarde mięśnie na karku i ramionach, a jego oczy płonęły gniewem, jakby czaił się do błyskawicznego, śmiertelnego skoku.

Chryste, Ed, uważaj, pomyślał Howard.

Zachowałeś się jak kretyn.

Nie bądź tak cholernie nieuprzejmy dla tego chłopaka.

- Przepraszam, Johnny - powiedział.

- Za daleko się posunąłem.

Naprawdę nie chciałem cię urazić.

Hej, daj spokój.

Musisz sam przyznać, że sytuacja jest trochę zabawna - zważywszy na twoją złotą zasadę.

Niemniej przepraszam.

A więc to nareszcie miłość, tak?

- Uśmiechnął się, rozładowując napięcie.

Johnny opadł znów na fotel, wlepiając wzrok w podłogę.

- Tak - odparł cichym głosem.

- Trudno mi w to uwierzyć, ale tak jest.

Tym razem się zakochałem.

Ja...

nigdy w życiu nie mówiłem nikomu takich rzeczy jak jej.

Nawet teraz, kiedy o tym myślę, wiem, że wszystko bym jeszcze raz powtórzył.

- Co jej powiedziałaś, Johnny?

- zapytał Howard, tym razem delikatnie.

- Cóż...

- Johnny uśmiechnął się.

- Nie rozumiała z tego ani słowa.

Ale myślę, że wiedziała, o co chodzi.

- Jak to: nie rozumiała?

- Mówiłem po arabsku.

Wyrecytowałem fragment starego poematu, z moimi własnymi...

uzupełnieniami.

Kazała mi go potem sobie przetłumaczyć.

- Co to było, Johnny?

- naciskał dyskretnie Howard.

- Powiedziałem, że ją kocham.

Naprawdę.

A potem...

- Mów dalej.

- Howarda ogarnął nagle niepokój.

- Oszalała z radości.

Myślałem, że zadusi mnie na śmierć Zaczęła płakać i...

- Johnny, co jej powiedziałaś?

- Poprosiłem, żeby za mnie wyszła...

O Boże!

- I zgodziła się.

Jasna cholera!!

Howard jęknął w duchu z rozpacz, zagłębiając się w fotelu.

Nie do wiary!

Akurat teraz, kiedy go potrzebuję...

A niech to szlag!

Opanował się z wielkim trudem.

- Posłuchaj, Johnny, bardzo się cieszę.

Gratulacje, chłopie!

-Musisz robić dobrą minę do złej gry, powiedział do siebie w myślach.

Nie próbuj go zniechęcać.

I tak nie masz szans.

- Opowiedz mi o niej.

Czym się zajmuje?

- Zabawne, że o to pytasz.

- Johnny znów się ożywił.

Mówił o Juliet z błyskiem w oczach.

- Do wczoraj sam nie wiedziałem.

Myślałem, że jest studentką, czy coś w tym rodzaju.

W pewnym sensie to prawda.

Ale nigdy nie zwracałem na nią szczególnej uwagi.

Nie zadałem sobie trudu, żeby zapytać, co robi.

Czeka ją awans.

Wkrótce zdaje egzaminy.

Jest naprawdę kimś, Ed.

- Czym się zajmuje, Johnny?

- Jest sierżantem, a będzie inspektorem.

Pracuje w Wydziale Dochodzeniowym, no wiesz.

Wyobrażasz sobie?

Ożenię się z policjantką!

Hej, Ed...

Źle się czujesz?

Ed? Ed Howard jęknął, zapadł się w fotelu i siedział oszołomiony, z zamkniętymi oczami.

Miał naprawdę wrażenie, że zaraz umrze.

Juliet Shelley obudziła się z głębokiego snu kwadrans po trzynastej.

Przyzwyczajając wzrok do światła zastanawiała się przez chwilę,

gdzie jest.

Potem przypomniała sobie nagle wszystko i westchnęła z rozkoszą, a jej twarz opromienił szeroki uśmiech.

Przeciagnęła się leniwie, wyciągając rękę w kierunku Johnny'ego.

Poczuła niepokój, uświadomiwszy sobie, że nie leży obok niej.

Zobaczyła jednak list, przypięty do abażura nocnej lampki.

Sięgnęła po niego i otworzyła kopertę.

Moja kochana!

Chciałbym zostać przy tobie, żeby zobaczyć, jak się budzisz, ale ten telefon, którego wczoraj nie odebrałem, był od mojego szefa.

Zostawił nagrany wiadomość i muszę się z nim teraz spotkać.

Wrócę wieczorem, pewnie około szóstej.

Pójdziemy dziś na uroczystą kolację, a jutro chcę cię zabrać na zakupy, żebyś wybrała sobie obrączkę - bardzo solidną - na serdeczny palec.

Nie używaj tych szatańskich perfum, co wczoraj, bo nigdy nie uda nam się wyjść z mieszkania.

Po namyśle ostrzegam, żebyś nie ważyła się o nich zapomnieć.

Kocham cię-J.

Przycisnęła list do piersi i odwróciwszy się, zaczęła płakać ze szczęścia z głową wtuloną w poduszkę.

Wkrótce wstała z łóżka, o mało nie rozdeptując wiaderka z lodem i opróżnionej do połowy butelki szampana.

Ściągnęła koszulę John'ego z wiszącego nad łóżkiem żyrandola, na którym wylądowała jakimś cudem poprzedniego wieczoru.

Przytknęła ją do twarzy, wciągając w nozdrza męski zapach, a potem włożyła na siebie, nie zapinając dwóch górnych guzików.

Koszula sięgała jej do kolan.

Podeszła do okna, rozsunęła szeroko zasłony i do pokoju wpadły promienie październikowego słońca.

Pracujący na rusztowaniu po drugiej stronie ulicy murarz dostrzegł jakiś ruch, obejrzał się i o mało nie upuścił kielni na widok półnagiej postaci, która stała w oknie kilkanaście metrów od niego.

Zauważywszy jego spojrzenie Juliet uśmiechnęła się czarująco i zniknęła mu z oczu.

Jakiś cholerny szczęściarz, pomyślał z podziwem murarz i próbując odgadnąć powód szampańskiego nastroju dziewczyny, zabrał się z

powrotem do pracy.

Juliet poszła do kuchni i, poczuwszy nagle głód, przygotowała sobie sałatę z dużym kawałkiem camemberta i kilka herbatników.

Wzięła talerz do salonu, skuliła się w dużym fotelu obok biurka Johnnynego i telefonu, a następnie wykręciła numer swej najlepszej przyjaciółki, Janey.

Pomyślała, że musi komuś o wszystkim powiedzieć.

Gdyby ktoś próbował dodzwonić się do jej mieszkania w ciągu następnych dziewięćdziesięciu minut, usłyszałby, że telefon jest bez przerwy zajęty, a włączywszy się przypadkiem na linię, doszedłby zapewne do wniosku, że rozmawiają ze sobą dwie nastolatki, a nie rozsądne, zrównoważone, mające po dwadzieścia kilka lat kobiety na stanowiskach.

Entuzjazm Juliet był najwyraźniej zaraźliwy.

Człowiek, który stanowił główny temat długiej rozmowy telefonicznej Juliet i Janey, siedział nadal w fotelu naprzeciwko Howarda, marszcząc w zamyśleniu brwi.

Pojmował teraz niezrozumiałą dla niego początkowo reakcję Eda na usłyszane nowiny.

Howard postanowił powiedzieć Johnny'emu o planowanej akcji.

Nie widział innego wyjścia.

Żadnemu z arabistów, których znał, nie mógłby tak bezgranicznie zaufać, nikt też nie dorównywał Johnnyemu pod względem zdolności organizacyjnych i dbałości o szczegóły.

Uznał, że tak czy inaczej będzie go potrzebował, choćby tylko do przygotowania wstępnej fazy operacji, jeśli nie do przeniknięcia na

terytorium Iraku.

Cóż, Johnny interesował się teraz wyłącznie penetrowaniem...

Daj spokój, pomyślał Howard.

Nie bądź wulgarny.

Nie, możesz mieć o to do chłopaka pretensji.

Wiedział, że Johnny nikomu się nie wygada, nawet dziewczynie, a jeśli wyrazi zgodę, podejdzie do sprawy, jak zawsze, z pełnym zaangażowaniem.

Miał liczne dowody na to, że chłopak posiada niezwykłą zdolność koncentrowania uwagi na jednym problemie i nie myśli wtedy o niczym innym.

Do diabła, przecież rano, dopóki nie zrobili przerwy na lunch, przez bite cztery godziny skupiał się całkowicie na omawianym temacie, nie był rozkojarzony, ani nie sprawiał wrażenia, że błądzi gdzieś myślami.

A przeżywał właśnie, jak domyślał się Howard, jeden z najbardziej emocjonujących, najszcześniejszych dni w swoim życiu.

W nocy zapewne niewiele spał - albo wcale.

Tak, mógł liczyć, że Johnny poświęci tej akcji całą energię i zachowa wszystko w tajemnicy.

Powinien jednak uświadamiać sobie, że jego nowa znajomość naraża operację na szczególne ryzyko.

- Posłuchaj, Johnny - powiedział.

- Jeżeli możesz jeszcze znieść moje uwagi i spokojnie je przeanalizować, zastanów się nad dwoma oddzielnymi aspektami tej sprawy: nad punktem widzenia Juliet i twoim.

Zacznijmy od tego, że jesteś teraz bardzo zaangażowany uczuciowo.

Nie masz przed swoją dziewczyną żadnych tajemnic i po raz pierwszy od dawna - a może w ogóle po raz pierwszy - pojawia się w twoim życiu ktoś, z kim będziesz chciał dzielić wszystkie myśli.

Dosłownie wszystkie.

To całkiem naturalne i trudno spodziewać się czegoś innego.

Powinieneś jednak w pełni zdawać sobie z tego sprawę, żeby uspokoić jakoś swoje sumienie i nie mieć poczucia, że ją oszukujesz, zwłaszcza na tak wczesnym etapie waszej znajomości.

Rozumiesz, o co mi chodzi?

Mam nadzieję, że nie czujesz się urażony.

Wyciągam po prostu logiczne wnioski z sytuacji.

Johnny skinął głową, słuchając go w skupieniu.

Dobry chłopak, pomyślał Howard.

Podszedł do sprawy analitycznie i nie dał się ponieść emocjom.

- No dobrze - ciągnął dalej.

- Przepraszam za te uwagi, ale wiedziałem, że zrozumiesz.

Teraz druga sprawa.

Ta dziewczyna najwyraźniej za tobą szaleje.

Cieszę się, że jesteście szczęśliwi.

Ale większość zakochanych kobiet pragnie nagle wiedzieć dosłownie wszystko o swoim partnerze.

Na razie prawie się nie znacie, więc zechce koniecznie zaspokoić swoją ciekawość.

Będzie chłoneła wszelkie informacje o tobie, zadawała ci mnóstwo pytań, wsłuchiwała się w każde twoje słowo, zmuszała cię do mówienia.

Zaciekawia ją nawet najdrobniejszy szczegół z twojego życiorysu.

Czym się zajmujesz, i tak dalej.

Nie sugeruję ani przez moment, że zechce cię śledzić, czy coś w tym rodzaju, ale będzie dla niej interesujące dosłownie wszystko, co ciebie dotyczy - nawet tacy starzy, nudziarze jak ja, z którymi pracujesz.

To całkiem naturalne.

Zgadzasz się?

Johnny znów pokiwał głową.

- Jeszcze bardziej komplikuje sprawę jej niewątpliwa inteligencja.

Młoda dziewczyna, która zaszła tak wysoko w Wydziale Dochodzeniowym, musi być cholernie bystra.

Właściwie - dodał z uśmiechem - powinienem to odwołać.

Nie jest zbyt rozgarnięta, skoro zakochała się w takim próżniaku jak ty.

Johnny pogroził mu pięścią, ale oczy miał roześmiane.

- Mówiąc poważnie - kontynuował Howard - dziewczyna jest na pewno nie tylko bystra, ale - zważywszy na jej wykszolenie i zawód - wyjątkowo spostrzegawcza.

Znam ją, co prawda, tylko z widzenia, ale skoro w wieku dwudziestu pięciu lat jest sierżantem-detektywem, a wkrótce zostanie inspektorem, musi być inteligentna.

I to bardzo.

Cholernie trudno ci będzie cokolwiek przed nią ukryć, kolego.

Naprawdę.

Wybacz, ale wątpię, żebyś znał ją już z tej strony.

A powiem szczerze, Johnny, że nie tak trudno cię rozszyfrować.

Przypominasz czasami otwartą książkę.

Dopiero co dałeś mi tego dowód, prawda?

Miałeś wszystko wypisane na twarzy, ty sentymentalny żółtodziobie.

Johnny pokiwał głową z rezygnacją, uśmiechając się cierpko.

- Przypuszczam, że właśnie twoja otwartość i szczerłość zrobiły na niej wrażenie.

Jasne, wiem, że jesteś cholernie przystojny, czarujący, i tak dalej.

Ale pamiętaj, że ta kobieta ma na co dzień do czynienia z różnymi podejrzanymi typami: to kłamcy, oszuści, krętacze, zboczeńcy i prostytutki.

Widywała takich ludzi wiele razy i potrafi ich rozpoznać.

Inaczej nie byłaby tym, kim jest.

I nagle spotyka szczerego, uczciwego, bezpretensjonalnego chłopaka, który niczego przed nią nie ukrywa, nie jest cyniczny, a przy tym ma w sobie coś z bohatera - założę się, że wie już o twoich wyczynach w wojsku.

Musisz być dla niej interesujący.

Cholernie interesujący.

- Howard przerwał, aby pociągnąć z puszkii ostatni łyk piwa.

- Nie twierdzę, że będzie celowo próbowała odnaleźć twoją piętę Achillesa, ale zechce szukać ciągle potwierdzenia, że naprawdę jesteś tym miłym chłopakiem, za jakiego cię uważa i wierz mi, że gdyby coś jej nie pasowało, natychmiast to zauważy.

Podsumowując, do czego dochodzimy?

Do wniosku, że możemy mieć duży problem.

Czeka cię cholernie trudne zadanie.

Akurat teraz, gdy po raz pierwszy w życiu chcesz się otworzyć przed ukochaną osobą, będziesz musiał coś przed nią ukrywać - czego również nigdy nie robiłeś.

Zostaniesz zmuszony, żeby ją oszukiwać, choć wcale nie miałeś takiego zamiaru.

To będzie trudne, kolego.

Trudne jak cholera.

Przepraszam, jeśli jestem zbyt bezpośredni.

Nie chciałem w żadnym wypadku prawić ci kazań.

Wybacz, jeśli tak to wyszło.

Szkoda, że nie umiem się lepiej wysławić.

Może powinienem siedzieć cicho.

Johnny milczał przez chwilę, zastanawiając się nad przedstawioną przez Howarda oceną sytuacji.

Dostrzegł aż nadto wyraźnie logikę jego argumentów.

- Nie, Ed, masz całkowitą rację - odezwał się w końcu.

- Trudno temu zaprzeczyć.

Nie potrafię oszukiwać przyjaciół.

Stwierdzam z satysfakcją, że nigdy tego nie robiłem, ale chyba będę musiał spróbować - przynajmniej przez parę dni, dopóki nie skończymy przygotowań, a ty nie napiszesz raportu.

Z jednym nieźle sobie radzę: umiem koncentrować się na tym, co akurat robię.

Jeśli chcę, po powrocie do domu zapominam o pracy, a gdy pracuję, nie myślę o sprawach osobistych.

Dziś rano mogłeś się o tym przekonać.

Przyznasz, że to ważna umiejętność.

Skoro mam ci pomóc, będzie chyba najlepiej, gdy przekażę Peterowi ten raport na temat Krauta - jest już zresztą prawie gotowy - i przyjrę się działalności któregoś z naszych klientów w Arabii Saudyjskiej.

Może Darcona.

To byłby niezły wybór...

Na twarzy Howarda nie drgnął żaden mięsień.

Nie wymieniał dotąd w ogóle nazwiska sir Petera Dartingtona, ani nie wspomniał o firmie Darcon.

Johnny nie znał tożsamości osoby, która zleciła opracowanie raportu.

Mówił dalej, nieświadom znaczenia wypowiedzianych przed chwilą słów.

- ...tak czy inaczej, jeśli ta sprawa wypali, będziemy musieli zainteresować się paroma koncernami w Arabii Saudyjskiej.

Dzięki temu, nie mówiąc Juliet wszystkiego, nie potrzebowałbym jej oszukiwać.

Rozumiesz, co mam na myśli.

Gdyby chciała wiedzieć, czym się zajmuję, spojrzę jej w oczy i powiem, że pracuję nad tajnym zleceniem, które dotyczy Arabii Saudyjskiej, i będzie to właściwie zgodne z prawdą.

Wolałbym nie kłamać, ale mogę chyba pewne rzeczy przemilczeć.

Jeszcze zobaczę.

Dam ci znać, gdybym doszedł do wniosku, że mi to nie odpowiada albo gdybym popełnił jakiś błąd.

właściwie - dodał ze smętnym uśmiechem - nieźle wyprowadziła mnie w pole, co?

Wściekłem się, że nazwałeś ją "niechlujnym dziewczątkiem".

Ale, do cholery, takie właśnie robiła wrażenie.

Wyglądała nieatrakcyjnie, udawała studentkę, prawie nigdy nie patrzyła mi w oczy...

Jasne, że wystrychnęła mnie na dudka.

Chryste, gdybyś zobaczył ją wczoraj wieczorem!

Mówię ci, to było niewiarygodne!

Wyglądała jak luksusowa modelka, Ed...

- Johnny pogрузił się na moment w przyjemnych wspomnieniach.

Howard zaczekał cierpliwie, aż wróci na ziemię.

Obaj mężczyźni zaczęli omawiać dokładnie plan Howarda, nie pomijając żadnego szczegółu.

Johnny gwizdnął parę razy z podziwu, słysząc pomysły szefa, a od czasu do czasu sam dorzucał jakąś uwagę.

Był znów ożywiony i w pełni skoncentrowany.

Mówili o środkach transportu, trasach przejazdu, metodach działania, sprzęcie, dokumentacji, sprawach administracyjnych, zabezpieczeniu tyłów, systemie ochrony i planach zmylenia przeciwnika.

Uzgodnili skład grupy uderzeniowej.

Milcząca umowa zakładała na razie, że Johnny nie weźmie może udziału w samej akcji, potrzebowali jednak kogoś, kto mówiłby płynnie po arabsku.

Brakowało im też jednego specjalisty.

Nie byli w stanie wskazać od ręki odpowiednio doświadczonego człowieka.

O wpół do szóstej wieczorem, po intensywnej, całodzienniej debacie nad projektem, Howard postanowił zakończyć spotkanie.

Omówili niemal wszystko.

Howard miał praktycznie cały materiał, potrzebny do sporządzenia raportu dla Dartingtona.

Przedyskutowali w istocie znacznie więcej spraw, ale większość szczegółów operacyjnych i tak nie znajdzie się w sprawozdaniu.

Wystarczyło, by Dartington poznał plan operacji w ogólnym zarysie.

Howard odprowadził Johnny'ego do drzwi, po czym przesunął fotel, na którym siedział i odciągnął dywan.

Otworzywszy niewielki schowek w podłodze wyjął z niego dyskietkę, aby popracować dalej nad raportem.

Pomyślał, że po dzisiejszej sesji trafi dodatkowo do skrytki sześć nagranych w całości półtoragodzinnych kaset.

Brakowało tylko jednego istotnego szczegółu.

Howard uznał jednak, że nie zaszkodzi, jeśli sprawi Dartingtonowi małą niespodziankę.

Tak, zostawi to na koniec, żeby zaobserwować jego reakcję.

Włączywszy komputer wywołał program edytora tekstu, ściągnął z dyskietki odpowiedni zbiór i zaczął pisać.

Cztery godziny później, w miejscu odległym o trzy kilometry od domu Howarda, Johnny Bourne i Juliet Shelley leżeli w ciemnej sypialni, spleceni w uścisku, odprężeni i zrelaksowani.

Ich miłosne tete-a-tete poprzedził wieczór jak z romansu: kwiaty, światło świec, kolacja, czułe spojrzenia...

- Johnny?

- Dobiegł go z boku senny pomruk.

- Hm?

- Aresztuję cię.

- O, za co?

- Za napaść na funkcjonariusza policji.

Na mnie.

- Zostałem sprowokowany.

- Nie przyjmuję żadnych usprawiedliwień.

Akceptujesz werdykt i wyrok sądu?

- Naprawdę, to był podstęp.

Zresztą nie jesteś sędzią.

No dobrze, przyznaję się do winy.

Jaki dostanę wyrok?

- Dożywocie.

- Z tobą?

- Tak.

- Podniosła głowę i pocałowała go.

- Johnny?

- Słucham.

- Czy naprawdę pójdziemy jutro do jubilera?

- zapytała, wtulając radośnie twarz w jego szyję.

- Tak - odparł.

- Do którego?

- Poczekaj to zobaczysz, wścibska dziewczyno.

Skoro już musisz wiedzieć, mój kumpel z wojska ma sklep jubilerski.

- Niewiele mi mówiłeś o swoim pobycie w wojsku.

Chcę posłuchać, jak tam było.

- Ziewnęła przeciągle, zapadając w sen.

- Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Wszystko.

Chcę znać każdy szczegół.

Każdy najmniejszy drobiazg...

- Zamilkła, oddychając spokojnie i regularnie.

Zasnęła w jego ramionach.

- Kocham cię, czarnulko - szepnął Johnny.

Howard czekał w milczeniu, aż Dartington przeczyta

trzydziestostronicowy raport.

Przez pierwszych dwadzieścia minut nie słyszał żadnych komentarzy, jedynie mruknięcie "dobra robota" po kilku początkowych stronach.

Howard przypuszczał, że Dartington przejrzy tylko pobieżnie wstępne informacje na temat historii, geografii, klimatu i ludności Iraku, ten czytał jednak wszystko po kolei, najwyraźniej pochłonięty lekturą.

Po namyśle Howard uznał, że właściwie nie ma się czemu dziwić.

Raport kosztował w końcu Dartingtona pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Za połowę tej sumy mógł kupić unikalny egzemplarz pierwszego wydania "Siedmiu filarów mądrości" Lawrence'a, w którym znalazłby sporo istotnych informacji.

Zatrzymałby sobie tę książkę na własność, a raport musiał zwrócić, gdy tylko skończy go czytać.

Dartington zdawał sobie zapewne sprawę, że Howard skorzystał na pisaniu tego raportu w nie mniejszym stopniu niż on sam.

Zbierając przez dwa tygodnie materiały przestudiował setki stron tekstu, w tym cztery współczesne prace historyczne, jedną powieść, trzy książki podróżnicze, pięć rozpraw o problemach politycznych Bliskiego Wschodu, dwie biografie i trzy wydane pospiesznie opracowania na temat przebiegu wojny w Zatoce i jej bezpośrednich następstw.

Uznał, że jego wysiłki, mające na celu zrozumienie sytuacji w Iraku i mentalności rządzącego tam tyrana, nie poszły na marne.

Dzięki konieczności wyselekcjonowania i przedstawienia w formie raportu najistotniejszych faktów, wszystko sobie uporządkował.

Tak, zrobiłby coś takiego, nawet gdyby Dartington o to nie poprosił.

Dotarłszy do końcowego akapitu jego zleceniodawca uniósł wysoko brwi, nie powiedział jednak ani słowa.

Złożył tylko powoli ostatnią kartkę, kładąc raport przed sobą na biurku.

- Tak, nieźle się spisałeś - stwierdził, rzucając Howardowi przenikliwe spojrzenie.

- Nie zdziwi cię zapewne, że mam parę pytań.

Nie bardzo spodobał mi się ten ostatni akapit, ale o tym pomówimy później.

- Ponieważ Howard skinął tylko głową, nic nie odpowiadając, Dartington ciągnął dalej: - Czy pewne są te wszystkie informacje o zamachach na jego życie?

Było ich aż tyle?

- Przypuszczalnie nawet więcej.

Wspomniałem w raporcie tylko o sześciu.

Najtrudniej ustalić, kto je organizował.

W niektórych przypadkach byli to prawie na pewno miejscowi spiskowcy, to znaczy sami Irakijczycy, nie inspirowani przez obce rządy.

Ale inicjatorami zamachów musieli być także cudzoziemcy.

Najprawdopodobniej izraelski Mossad.

Izrael od lat uważa Saddama za największe zagrożenie dla swej egzystencji i chętnie by się go pozbył.

Niewykluczony jest także udział CIA.

W każdym razie żaden obywatel izraelski czy amerykański nie był bezpośrednio zamieszany w przygotowywanie tych zamachów.

Zapewniali jedynie pieniądze, wsparcie, pomoc organizacyjną, sprzęt, i tak dalej.

Brudną robotę wykonywali w każdym przypadku - a właściwie jej nie wykonywali - nienawidzący Saddama Irakijczycy.

Słyszałem tylko o sześciu zamachach, ale mogło ich być więcej.

Nie wspominałem też o nieudanych próbach, które w ogóle nie miały szansy powodzenia.

Uwzględniłem zresztą tylko to, co działo się od zakończenia konfliktu w Zatoce.

Nie sięgałem wstecz, nawet do zamachów, które miały miejsce w trakcie przygotowań do wojny.

- Hm...

- Dartington wydawał się zaskoczony.

- Rozumiem, że chcą się go pozbyć Izraelczycy i niektórzy Irakijczycy, ale Amerykanie?

Czy George Bush nie oświadczał publicznie, że obalenie Saddama

jest wewnętrzną sprawą Iraku?

Czyżby kłamał?

- Niezupełnie.

Widzę tu trzy możliwości.

Po pierwsze, choć to tylko przypuszczenie, mógł nie istnieć żaden spisek popierany przez CIA.

Po drugie, jeśli istniał, prezydent nic o tym nie wiedział lub nie wyraził zgody na przeprowadzenie akcji.

Mogła to być inicjatywa CIA Po trzecie, jak już wspominałem, jeżeli nawet CIA zorganizowała taki spisek, jej agenci nie braliby w nim bezpośredniego udziału.

Inaczej mówiąc, żaden obywatel amerykański nie nacisnąłby na spust.

CIA skontaktowałyby się po prostu z opozycją w armii irackiej czy gdzie indziej i zleciła im zadanie, obiecując pieniądze, ochronę, albo władzę.

Wiesz, jak to się robi.

W pewnym sensie Bush mógłby więc z powodzeniem twierdzić, że to sami Irakijczycy próbowali zabić Saddama, a nie CIA.

Wspieranie irackiej opozycji byłoby jak najbardziej w zgodzie z oficjalnymi deklaracjami prezydenta.

- Skąd dowiedziałeś się o tych zamachach?

- Och - Howard wymijająco machnął ręką - po prostu uważnie nasłuchuję.

Do ciebie też musiały docierać sygnały, ale nie zwróciłeś na nie uwagi.

Pamiętasz doniesienia prasowe sprzed dwóch miesięcy o czystce wśród kadry oficerskiej w irackiej armii?

- Owszem.

To była prawda?

- Jak najbardziej.

Aresztowano, torturowano i rozstrzelano liczną grupę wyższych oficerów.

Saddam osobiście wszystko nadzorował i wielu z nich zabił osobiście.

Tych, rzecz jasna, którzy nie zmarli z powodu tortur.

Wśród ofiar byli niedoszli zamachowcy.

- A co z tymi, którzy nie mieli nic wspólnego ze spiskiem?

- Oni także zginęli.

To typowe dla Saddama.

Cały czas postępuje w ten sposób, aby ludzie z jego otoczenia byli zastraszeni i nie czuli się bezpiecznie.

Zrobi wszystko, zabije każdego, żeby utrzymać się przy władzy.

Pamiętasz, że pisałem w raporcie, jak traktuje członków swego gabinetu, czy nawet krewnych.

Właściwie jego najbliżsi współpracownicy są najbardziej narażeni na niebezpieczeństwo.

Pozbył się już wielu lojalnych zwolenników, tylko dlatego, że uzyskali pewne wpływy i popularność, co odczuł jako zagrożenie dla własnej pozycji.

Zastrzelił jednego z ministrów na sali posiedzeń, w obecności innych członków rządu.

Możesz sobie wyobrazić, jakie wywarło to na nich wrażenie.

Zdaje sobie sprawę, że terror jest jego najlepszą bronią i korzysta z niej bez skrpułów.

Pojęcie wyrzutów sumienia jest mu zupełnie obce - nie rozumie, co ono oznacza.

Najdłużej pozostają w Iraku na wysokich stanowiskach ci, którzy są całkowicie posłuszni, nie mają własnych poglądów i - choć może wydawać się to dziwne - wykazują pewien brak kompetencji.

Wszelkie przejawy inicjatywy czy fachowości u innych Saddam postrzega jako potencjalne zagrożenie.

Jak już wspomniałem, jest nie tylko niebezpiecznym, bezwzględnym psychopata.

Jest też paranoikiem.

Wszędzie węszy podstęp i zdradę.

Między innymi dlatego nikomu nie udało się go dotąd zabić.

- Więc jak masz zamiar to zrobić?

Nic na ten temat nie wspominasz.

- Zupełnie świadomie.

Lepiej, żebyś nie znał szczegółów.

Nie obraż się, ale gdybyś wpadł, muszę być kryty.

- Widząc, że Dartington poczuł się trochę nieswojo, Howard dodał pospiesznie: - Myślę, że kiedy już wszystko ustalimy, trzeba będzie omówić ogólne zasady bezpieczeństwa.

Dam ci parę rad, jak należy postępować.

Mam nadzieję, że okaże się to zbędne, ale nigdy nie wiadomo.

Dartington, uspokojony tymi zapewnieniami, nie dawał jednak za wygraną.

- Mimo wszystko muszę wiedzieć chociaż z grubsza, co planujesz - oznajmił.

Howard uznał to za potwierdzenie swoich domysłów, że Dartington nie jest głównym organizatorem całej operacji.

Odpowiedział dyplomatycznie: - Będziemy stanowili niewielką grupę.

Zastosujemy technikę walki partyzanckiej, spędzając na terenie Iraku jak najmniej czasu i wprowadzając przeciwnika w błąd, zamiast się przed nim ukrywać.

Oczywiście, dołożymy wszelkich starań, żeby nikt nie zorientował się, kim jesteśmy.

Przykro mi, Peter, ale więcej naprawdę nie mogę ci powiedzieć.

Dartington pokiwał głową z rezygnacją, zmieniając temat.

- A co z tymi wszystkimi sobowtórami Saddama, o których wspominasz w raporcie?

- zapytał.

- Nie utrudni wam to zadania?

- Całkiem możliwe.

Wiem o dwunastu dublerach, którzy od czasu do czasu go zastępują.

Teraz może ich już być więcej.

Wysyła tych ludzi w różne miejsca, rzekomo "pokazując się" narodowi, a w rzeczywistości siedzi bezpiecznie w swoim bunkrze w Bagdadzie, gdzie nikt go nie może dopaść.

Niektórzy dublerzy są do niego tylko trochę podobni, inni wyglądają bardziej przekonująco.

W dwóch przypadkach podobieństwo jest ponoć tak uderzające, że niewiele osób zauważa różnicę.

Pamiętasz, na przykład, tę sfilmowaną rozmowę Saddama z irackimi żołnierzami po inwazji na Kuwejt?

- Tak, chyba tak.

Chcesz powiedzieć, że...?

- Właśnie.

To nie był wcale Saddam, tylko jego sobowtór.

Jeden z tych dwóch najlepszych.

Saddam nie bywa nigdy w miejscach, gdzie nie czuje się w stu procentach bezpieczny.

Co więcej, nigdy nie pozwala szeregowym żołnierzom nosić broni w

swojej obecności, aby któryś nie próbował go przypadkiem zastrzelić.

Ci żołnierze na filmie byli uzbrojeni.

Z kolei Saddam zawsze ma przy sobie pistolet.

Nigdy się z nim nie rozstaje.

A człowiek, którego sfilmowano, nie miał broni.

- Skąd wiesz o tych sobowtórach?

-.Mam znajomego w SIS.

Nie obawiaj się - dodał, widząc przerażenie na twarzy Dartingtona.

- Przestrzegałem twoich zaleceń.

Nie wspomniałem mu o tej operacji.

Nasza rozmowa miała miejsce dawno temu, jeszcze podczas wojny nad Zatoką.

Mówił mi wtedy o chirurgach plastycznych. Secret Intelligence Service - wywiad brytyjski (przyp.

tłum.) - O chirurgach?

- Owszem, o dwóch znakomitych specjalistach, którzy prowadzili, że się tak wyrażę, niezupełnie legalną działalność.

Jeden był Niemcem, a drugi Szwajcarem.

Obaj otrzymali równocześnie bardzo intratną propozycję zoperowania europejskiego klienta.

Wyjechali do Francji i zniknęli.

Mossad dowiedział się w jakiś sposób, że przewieziono ich samolotem do Bagdadu.

Potwierdził to później iracki informator, który sam był lekarzem.

Co ciekawe, doniósł również, że obaj chirurdzy przeprowadzili jednocześnie operacje w dwóch klinikach.

Należało więc wnioskować, że zoperowali dwie różne osoby.

Niebawem zniknęli bez śladu.

Nikt już o nich więcej nie słyszał.

Cała ta historia zbiegła się w czasie z krążącymi wówczas pogłoskami o istnieniu sobowtórów Saddama, a wkrótce potem zaczęli go zastępować dwaj nowi dublerzy.

Jeden z nich jest ponoć wyjątkowo przekonujący.

Ma nawet odpowiedni głos.

Nie wolno im jednak nosić broni.

Dartington kręcił głową z niedowierzaniem.

- Więc jak, do cholery, masz zamiar dopaść Saddama?

- Tego właśnie dotyczy końcowy fragment raportu, Peter - odparł spokojnie Howard.

- Niewiele zdałam bez dobrego wywiadu.

Nie miałbym najmniejszej szansy.

Nie pojedę przecież do Iraku szukać tego drania, ani nie zabiorę całej armii do Bagdadu, żeby zaatakować jeden z niezliczonych bunkrów czy tuneli w nadziei, że Saddam się tam ukrywa.

Muszę wiedzieć, kiedy i gdzie można się do niego zbliżyć.

Potrzebuję informacji.

Bez tego zapomnijmy lepiej od razu o całej sprawie.

- I dlatego domagasz się rozmowy z moim "przełożonym"?

- Zagrajmy w otwarte karty, Peter.

Wiem, że nie organizujesz tej akcji sam.

Przede wszystkim to nie w twoim stylu.

Po drugie, nie jesteś aż tak bogaty, żeby dla kaprysu wyrzucić w błoto - nie mrugnawszy nawet okiem - jedenaście milionów funtów.

Nie mógłbyś też ukryć takiego wydatku w księgach.

Saddam nie zagraża w żaden sposób działalności Darcona - w każdym razie nie na tyle, by firmie opłaciło się ponieść tak wysokie koszty.

Za wszystko płaci więc inna osoba lub organizacja, działająca w dodatku legalnie, bo inaczej wolałbyś nie mieć z nią nic wspólnego.

Najbardziej pasuje mi tu rząd, ale to tylko domysły.

Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego nie korzystają w tej sprawie z "oficjalnych kanałów", ani nie chcą ujawniać swego udziału w przygotowywaniu zamachu.

Posłuchaj.

Nie interesuje mnie, kto za tym stoi.

Nie będę nawet zgadywał.

Ale nalegam na rozmowę z samym szefem.

Nie muszę się nawet z nim spotykać.

Możemy pomówić przez telefon.

Mam do niego tylko jedno pytanie i powinien je usłyszeć bezpośrednio ode mnie.

Lepiej, żebyś nie wiedział, co mi odpowie.

Właściwie nawet nie wolno ci tego wiedzieć.

Sprawa jest prosta: nie ustalwszy, gdzie Saddam Hussajn będzie przebywał w określonym dniu, nie mam szans go załatwić.

Potrzebna mi data i miejsce.

Wątpię, żebyś miał dostęp do takich informacji.

Twój przełożony może mi je dostarczyć.

Muszę więc z nim porozmawiać.

Nie bawmy się dłużej w kotka i myszkę.

Obaj mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę, patrząc sobie głęboko w oczy.

Wreszcie Dartington wzruszył ramionami i powiedział: - W porządku.

Przypuszczałem, że wcześniej czy później i tak się domyślisz.

Masz rację, stoją za tym inne osoby.

Z oczywistych powodów nie mogę ci zdradzić ich nazwisk.

Będę musiał sam z nimi porozmawiać.

- Zgoda - odparł Howard.

- Powiem ci, jak to rozegramy.

Żeby zagwarantować nam obu bezpieczeństwo, niech twój szef

zadzwoń pod numer, którego nie będzie mógł skojarzyć z moim nazwiskiem.

Dzięki temu nie dojdzie, kim jestem.

Skorzystam z przenośnego aparatu.

Pożyczysz mi swój - ten, którego używasz tylko wtedy, gdy sam do kogoś dzwonisz, żebym nie musiał przyjmować twoich telefonów.

Będę czekał na kontakt w każdy poniedziałek między ósmą a dziewiątą rano.

Przedstawię się jako pan Hatcher, a twój szef niech się poda za pana Jethro.

Przypomnij mi, że rozmowy prowadzone z bezprzewodowego aparatu przechwytyją czasem krótkofalowcy, więc należy zachować ostrożność.

- Dobrze - zgodził się Dartington.

- Załatwię to.

- W porządku - powiedział Howard.

- Mam nadzieję, że pozwolisz mi na coś jeszcze.

Muszę włamać się któregoś dnia do twego domu.

- Co?

Po jakiego diabła?

- Dartington był wyraźnie poruszony.

- Głównie po to, by zapewnić ci alibi - wyjaśnił Howard.

-Darcon posłuży nam jako przykrywka do pewnych działań w Arabii Saudyjskiej.

Będę więc potrzebował określonych materiałów.

Oczywiście, mógłbyś mi je dostarczyć, ale przypuszczam, że w

pewnym momencie ktoś dojdzie do tego, jaką rolę odegrała w całej sprawie twoja firma i trzeba będzie wyjaśnić, gdzie nastąpił przeciek informacji.

Włamanie wszystko załatwi.

Zadzwoń, żeby ci powiedzieć, kiedy powinieneś być poza domem.

Możesz zabrać panią Dartington do teatru w Londynie, czy coś takiego.

Ale w biurze powinni wiedzieć, gdzie jesteś.

Zostaw dokumenty tutaj, w szufladzie biurka.

Zrobię trochę bałaganu - nie za wiele, i tylko w tym gabinecie, więc pani Dartington nie będzie się musiała za bardzo denerwować.

Zabiorę parę rzeczy - na przykład ten magnetowid - żeby wyglądało to przekonywająco.

Kiedy wrócisz, natychmiast zawiadomisz o wszystkim policję.

Nie ma potrzeby, żeby dom był pusty.

Pani Jephcott, czy ktokolwiek inny, może tu śmiało nocować, jeśli zwykle tak się dzieje, kiedy nie ma was w domu.

Sami powinniście jednak gdzieś wyjść.

Najlepiej, żeby nie zostawała tu osoba zbyt nerwowa, która może dostać ataku serca.

Pani Jephcott jest chyba dość rozsądna i opanowana - myślę, że nadaje się idealnie.

Byłoby dobrze, gdyby to okno pozostało otwarte - Howard wskazał jedno z dwóch wychodzących na ogród georgiańskich podnoszonych okien.

- Ale nie mów o tym pani Jephcott, jednak jeśli je zamknie, nic się nie stanie.

- Co z systemem alarmowym?

- zapytał Dartington.

- Zapomniałeś, że wiem, jak działa?

Nie będzie z tym problemu.

Włączy się wtedy, kiedy zechcę.

Dartington przyznał mu rację i powiedział, że będzie czekał na wiadomość.

Howard poinformował go, jakie dokumenty powinien pozostawić w biurku, po czym obaj mężczyźni wstali z miejsc.

Odebrawszy od Dartingtona telefon komórkowy i raport, Howard wsiadł do swego Saaba i wyruszył do Londynu.

Dwudziestego ósmego października Howard wyjechał o świcie z Londynu i przed ósmą, zgodnie ze swymi oczekiwaniami, utknął jak należy w korku, jaki powstawał zawsze w poniedziałek rano na autostradzie M25.

Tysiące pojazdów wlokło się niemiłosiernie jeden za drugim, a Saab tkwił gdzieś między nimi.

Gdyby nawet ktoś próbował namierzyć rozmowę, której Howard oczekiwał, nie miałby możliwości stwierdzić, że prowadzona jest z jego samochodu.

O ósmej dziesięć zadzwonił cicho komórkowy telefon i Howard odezwał się: - Mówi Hatcher.

Z kim rozmawiam?

- Nazywam się Jethro.

Podobno miałem się z panem skontaktować.

Howard był przez moment zaskoczony nienaturalnym, metalicznym brzmieniem głosu w słuchawce.

Potem zdał sobie sprawę, że nieznajomy korzysta z elektronicznego urządzenia zniekształcającego dźwięk.

- Dziękuję za telefon, panie Jethro - powiedział.

- Sądzę, że będzie pan w stanie mi pomóc.

Mam wykonać za granicą zleczone przez pana zadanie.

Niestety, brakuje mi na razie niezbędnych informacji.

Człowieka, z którym powinienem się skontaktować, bardzo trudno jest odnaleźć.

Muszę wiedzieć, gdzie i kiedy będzie uchwytany.

Potrzebuję co najmniej dwóch miesięcy na załatwienie formalności

przed podróżą.

Czy potrafi pan określić jakiś dogodny termin, w którym mógłbym się z nim spotkać?

- Zdobycie tej informacji zajmie trochę czasu, panie Hatcher.

Zadzwonię do pana jeszcze raz.

Może w przyszłym tygodniu, o tej samej porze.

Albo w kolejny poniedziałek.

- Bardzo dziękuję.

Będę czekał na telefon.

- Do widzenia, panie Hatcher.

Na linii zapadła cisza.

Howard siedział zamyślony za kierownicą Saaba.

Choć rozmowa trwała krótko, a głos w słuchawce został celowo zniekształcony, Jethro zrobił na nim wrażenie osoby energicznej i władczej.

Był trochę arogancki - ale może Howardowi tak się tylko wydawało?

Czuł instynktowną niechęć do tego człowieka i zastanawiał się, kim on jest.

Jethro musiał bardzo dbać o swoje bezpieczeństwo, albo jego głos był powszechnie znany.

Howard wzruszył ramionami.

Nie miał jak się tego dowiedzieć, nabrał jednak przekonania, że Jethro działa na polecenie rządu.

Zjechał z autostrady M25 w kierunku Londynu.

Był umówiony ze znajomym na obiad w Klubie Podróżników.

Roger Asher odłożył słuchawkę telefonu i wyłączył urządzenie do

zniekształcenia głosu.

Nie spodziewał się takich komplikacji.

Musi teraz zadzwonić do paru osób, a miał do załatwienia inne pilne sprawy.

Na domiar złego był mocno przeziębiony.

Powinien zatelefonować do ministra, którego - sądząc z dotychczasowych doświadczeń - trudno będzie złapać.

Co gorsza, musiał sam się do niego dodzwonić.

Nie mógł ryzykować łączenia rozmowy przez centralę w takiej sprawie.

Spróbuje załatwić to wieczorem.

Na razie miał na głowie wiele innych problemów.

Za kwadrans pierwsza Howard wysiadł z taksówki, która zatrzymała się przed Klubem Podróżników.

Portier oznajmił, że jego gość czeka już w barze.

Howard poszedł tam i przywitał się z przyjacielem.

- Henry!

Cieszę się, że przyjąłeś moje zaproszenie.

Miło znowu cię widzieć.

- Obaj mężczyźni wymienili uścisk dłoni, po czym Howard zamówił drinka dla siebie i drugą kolejkę dla Stonera.

Major Henry Stoner miał pięćdziesiąt parę lat i był swego czasu pierwszym dowódcą kompanii, w której Howard służył po wstąpieniu do 42.

Pułku Królewskiej Piechoty Morskiej.

Stoner przeszedł już na emeryturę i pełnił funkcję sekretarza londyńskiej sekcji Brytyjskiego Związku Strzeleckiego.

Będąc zapalonym strzelcem i dobrym organizatorem, spędzał wiele czasu na strzelnicy w Bisley, pomagając urządzać różne krajowe i międzynarodowe zawody.

Sam nieźle strzelał i zdobył kiedyś drugie miejsce w turnieju o medal królowej.

Teraz, chociaż nie tracił kontaktu z bronią, zajmował się głównie szkoleniem reprezentacji południowo-wschodniej Anglii.

Obaj mężczyźni gawędzili przy obiedzie o starych, dobrych czasach.

Stoner z upodobaniem wypominał Howardowi gafy, jakie ten popełniał przed laty jako świeżo upieczony oficer.

Howard pomyślał z rozbawieniem, że emerytowani wojskowi bywają dla swoich podopiecznych jak rodzice, którzy nie zauważają, że ich dzieci zdążyły już dorosnąć.

Szczerze lubił Stonera i wiele się od niego nauczył podczas

pierwszych dwóch lat służby w piechocie morskiej.

Rozmowa zeszła w końcu, zgodnie z oczekiwaniami Howarda, na temat karabinów i strzelnicy w Bisley.

Stoner, jak przystało na prawdziwego zapaleńca, nie potrafił mówić zbyt długo o czymkolwiek innym.

- W dzisiejszych czasach, Ed, wszystko opiera się bardziej na technice.

Będę musiał ci kiedyś pokazać, jak to teraz wygląda.

Postęp jest zadziwiający.

Wprowadzono ostatnio mnóstwo technicznych udoskonaleń.

- Nie jest ci trochę żal?

- zapytał Howard.

- Nie tęsknisz za dawnymi czasami, gdy wszystko zależało wyłącznie od talentu i umiejętności?

- Bynajmniej.

Dzisiaj talent jest jeszcze ważniejszy.

Nawet ktoś, kto korzysta z najnowszych zdobyczy techniki, do niczego nie dojdzie, jeżeli nie będzie równocześnie cholernie dobrym strzelcem.

Nadal trzeba mieć tę smykałkę.

Wiele można zdziałać dzięki treningowi i szkoleniu, ale żeby być naprawdę dobrym, potrzebne są wrodzone zdolności.

- Więc jak trafiają do ciebie ci najlepsi?

Wizytujesz wszystkie jednostki, żeby ich wypatrzyć?

- Wyobraź sobie, że nie.

Dobrzy strzelcy, którzy służą w wojsku, trafiają wcześniej czy

później do Bisley jako reprezentanci swoich pułków.

Kiedy już tam są, szybko można się zorientować, kto naprawdę rokuje nadzieje na przyszłość.

Problem polega na tym, że ostatnio nasi żołnierze mają dużo słabsze wyniki na strzelnicy.

Bardzo się tym martwię, i nie tylko ja - stwierdził Stoner, smętnie kręcąc głową.

- Jak to?

- zdziwił się Howard.

- Sądziłem, że ten nowy karabin SA 80 zdecydowanie poprawił wyniki, a nie odwrotnie.

- Było tak przez jakiś czas - odparł Stoner.

- Ale tylko w przypadku chłopaków, których szkolono początkowo na samopowtarzalnym karabinie L1A1 SLR.

Widzisz, nauczono ich podstawowych umiejętności.

Ci, którzy teraz kończą szkolenie, mieli kontakt wyłącznie z SA 80.

Z założenia jest to karabin, którego może używać byle półgłówki, postanowiono więc najwyraźniej skrócić zajęcia na strzelnicy.

Skutki, które teraz obserwujemy, są...

cóż, szczerze mówiąc, wręcz katastrofalne.

Dam ci przykład.

Zorganizowaliśmy ostatnio w Bisley kurs dla instruktorów strzelania.

No wiesz, dla tych oficerów i podoficerów, którzy wracają potem do swoich batalionów i prowadzą zajęcia na strzelnicy.

Z założenia najlepsi ludzie z każdego pułku.

Tylko jeden z nich trafiał z odległości dziewięćdziesięciu metrów

mniej niż piętnaście centymetrów od środka tarczy.

I to z pozycji leżącej z podparciem.

Połowa tych facetów nie potrafiła nawet przestrzeliwać karabinu.

Pojęcie szkolenia przestało istnieć.

Nie uczy się już żołnierzy podstawowych umiejętności: jak wstrzymać oddech, i tak dalej.

Sytuacja wygląda tragicznie.

Coraz mniejsze są szanse na znalezienie w wojsku dobrych strzelców.

Dziś trafiają się częściej nadspodziewanie uzdolnieni cywile.

Oni też, oczywiście, znajdują drogę do Bisley, jeśli tylko chcą - to podstawowa sprawa.

Są znakomici strzelcy, którzy nigdy nie służyli w wojsku.

Wystarczy trochę treningu i fachowych rad, a zaczynają wkrótce dorównywać najzdolniejszym z naszych żołnierzy.

Wielu przewyższa ich nawet umiejętnościami.

Gdyby wziąć listę stu najlepszych strzelców w kraju, w pierwszej piętnastce byłoby zapewne prawie tylu wojskowych, co cywili.

Za to na dalszych pozycjach cywile przeważają.

Wojskowi zaczynają pozostawać w tyle.

Ci, którzy są jeszcze dobrzy, służą w wojsku od czasów, gdy rzetelne szkolenie było regułą, a nie wyjątkiem.

Kiedy cywile przychodzą na strzelnicę, rozmawiają ze sobą, wymieniają doświadczenia i ogarnia ich coraz większy entuzjazm.

W Bisley panuje wspaniała atmosfera.

Ludzi z różnych sfer łączy jedno: zamiłowanie do uprawianego wspólnie sportu.

Można by rzec, że jest to znakomita ilustracja lansowanej przez naszego premiera teorii bezklasowego społeczeństwa.

- Więc jesteś też jakby łowcą talentów?

- zapytał Howard.

- No cóż, ludzie mojego pokroju lubią wyszukiwać i szkolić uzdolnione jednostki.

Myślę, że mam w tej dziedzinie trochę zasług.

Staram się, oczywiście, trzymać rękę na pulsie.

Od czasu do czasu słyszę o kimś utalentowanym i próbuję go namówić, żeby tu przyjechał i spróbował swoich sił.

Szkoda tylko, że nie zawsze mi się to udaje.

- Co masz na myśli?

- Ostatnio, na przykład, znajomy powiedział mi o młodym człowieku, który nazywa się MacDonald.

To zawodowy tropiciel jeleni.

Rzecz jasna, wszyscy ci ludzie muszą nieźle strzelać.

Ale ten facet jest chyba wyjątkowo dobry.

Napisałem do niego, proponując, żeby przyjechał zademonstrować swoje umiejętności, ale nie był tym zainteresowany.

Mieszka, oczywiście, w Szkocji.

Bardzo chciałbym dostać go w swoje ręce i przekonać się, co potrafi.

- Opowiedz mi o nim - poprosił Howard.

Minister odłożył słuchawkę telefonu i siedział nieruchomo przez dłuższą chwilę, głęboko zamyślony.

Odczuwał niepokój, że Asher zadzwonił do jego domu, ale chyba nie było innego wyjścia.

Asher z pewnością zachowywał należytą ostrożność, a gdyby nawet byli na podsłuchu, ich rozmowa brzmiała na pozór zupełnie niewinnie.

Nie mógł jednak więcej ryzykować.

Asher spełnił swoją rolę.

Teraz minister miał już numer "pana Hatcher'a" i zamierzał osobiście się z nim skontaktować.

Brzmiało to obiecująco.

Wiedział, jakiego rodzaju informacji potrzebuje Hatcher.

A tymczasem czekało go wiele pracy...

Trzydziestego października po południu, dwa dni po telefonicznej rozmowie z ministrem, Asher otrzymał doręczony przez posłańca list.

Kurier na motocyklu nie chciał oddać przesyłki sekretarce, powtarzając uparcie, że musi dostarczyć ją adresatowi do rąk własnych.

Sekretarka usiłowała go przekonać, że to niemożliwe, posłaniec nie dawał jednak za wygraną.

- Proszę powiedzieć panu Asherowi, że sprawa dotyczy pana Jethro - oznajmił.

Jego głos brzmiał głucho spod kasku, którego nie pofatygował się zdjąć.

- Dobrze, ale może pan być pewny, że to niczego nie zmieni - odparła sekretarka, spoglądając na niego z pogardą i niepokojem.

Obawiała się w duchu awantury ze strony Ashera, który zawsze był porywczy, a ostatnio miewał szczególnie zły humor.

Myliła się jednak.

Asher kazał jej poprosić natychmiast posłańca, który - nie zdejmując kasku - wręczył mu bez słowa list i wyszedł.

Asher rozerwał kopertę, odprawiając sekretarkę gestem ręki.

Dziesięć minut później odezwał się przez interkom, polecając jej, aby jego Gulfstream był o świcie gotowy do lotu na Gibraltar.

- Na Gibraltar, sir?

Tak, oczywiście.

Czy mam powiadomić Josepha?

- Nie.

Nie leci ze mną.

- Rozumiem, sir.

- Siedziała przez chwilę, kręcąc głową.

To miejsce przypominało dom wariatów.

Z dnia na dzień działały się tu coraz dziwniejsze rzeczy.

Szef był doprawdy ekscentrykiem.

Pozostawszy w gabinecie bez świadków, Asher spalił kartkę z wiadomością od ministra w ciężkiej szklanej popielniczce.

Cztery dni później Asher odbył rozmowę przez telefon w miejscu oddalonym o trzy tysiące kilometrów na południe od swego biura.

Kolejna zmiana planu.

Zastanawiał się przez chwilę, czy minister nie wodzi go za nos, ale odrzucił to przypuszczenie.

Zresztą w zaistniałej sytuacji nie miał większego wyboru.

A biorąc pod uwagę potencjalne korzyści... Było to jednak denerwujące.

Następnego wieczoru, w poniedziałek czwartego listopada, powinien wygłosić przemówienie w Londynie, a we wtorek miał spotkanie w Nowym Jorku.

Stracił bezużytecznie półtora dnia na Maderze.

Cóż, nie było na to rady.

Poprosi syna, aby zabrał głos w jego imieniu.

I do diabła ze spotkaniem w Nowym Jorku.

Co więcej, nadal nie mógł się pozbyć cholernego przeziębienia.

Potrzebował więcej witaminy C.

Wcisnął klawisz interkomu, kontaktując się z kambuzem.

- Andrew, przynieś mi jeszcze dzbanek soku pomarańczowego - powiedział, a potem połączył się z mostkiem: - GUS, nie wracam na razie do domu.

- Wyjrzał za okno, w kierunku wejścia do portu.

Powierzchnia morza wydawała się niemal gładka.

Było ciepło i bezwietrznie.

- Płyniemy na Teneryfę - rozkazał.

O czwartej po południu jacht "Księżniczka Szeherezada" opuścił Funchal, kierując się na południe w stronę Wysp Kanaryjskich.

Asher, sam w towarzystwie jedenastoosobowej załogi, pracował w gabinecie pod pokładem.

10 We wtorek piątego listopada Dartington był bardzo zdenerwowany.

Wstrząsnęła nim do głębi główna wiadomość porannego dziennika o tajemniczej śmierci magnata prasowego w pobliżu Wysp Kanaryjskich.

Zadzwoił do biura, by powiedzieć, że źle się czuje, a potem przesiedział w domu niemal cały dzień, zastanawiając się, co robić.

Czy powinien zatelefonować do Howarda?

Nie.

Byłoby to zbyt oczywiste.

Po długim namyśle postanowił nie podejmować na razie żadnych działań.

Tuż przed siódmą wieczorem podjechał pod jego dom człowiek na motocyklu.

Otworzyła mu drzwi pani Dartington.

Motocyklista w kasku zasłaniającym twarz wręczył jej kopertę i pośpiesznie się oddalił.

Pani Dartington weszła do gabinetu męża, mówiąc: - Dostałeś właśnie przesyłkę, mój drogi.

- Co?

Od kogo?

- zapytał, przyglądając się zwykłej, białej kopercie, na której wypisano na maszynie tylko jego nazwisko i adres.

- Doręczyciel niczego nie powiedział.

To był jeden z tych posłańców na motocyklach, no wiesz.

- Dziękuję, kochanie.

Kiedy żona wyszła z pokoju, Dartington rozciął kopertę.

Na znajdującej się wewnątrz kartce nie było adresu, daty ani nazwiska, tylko cztery linijki anonimowego maszynopisu.

Sir Peter, z pewnością zaniepokoiły pana wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Spieszę zapewnić, że zawarta z panem umowa będzie honorowana i nie ma żadnych powodów do obaw.

Plan należy realizować zgodnie z ustaleniami.

11 W poniedziałek czwartego listopada Howard czekał bezskutecznie na telefon, siedząc rano w Saabie na autostradzie M25.

Tydzień później, jedenastego, zadzwoniono do niego dwie minuty po wpół do dziewiątej.

Przedstawił się tak jak poprzednio.

- Mówi Hatcher.

Z kim rozmawiam?

- Panie Hatcher, dzwonię w imieniu pana Jethro.

Jestem jego asystentem.

- Howard był zaskoczony, usłyszawszy nowy głos.

Tym razem rozmówca nie korzystał z urządzenia zniekształcającego głos.

Miał akcent absolwenta ekskluzywnej angielskiej szkoły, był opanowany i pewny siebie.

- Mam nadzieję, że zgadza się pan na moje pośrednictwo - dodał.

- Oczywiście - odparł Howard.

- Zakładam, że pan Jethro wspomniał panu, iż potrzebuję pewnych informacji w związku z zagranicznym kontraktem, który mam dla niego realizować?

- Owszem.

Pańska prośba o dodatkowe informacje była jak najbardziej uzasadniona.

Naszego klienta niełatwo zlokalizować.

Dwudziestego ósmego kwietnia powinien jednak brać udział w spotkaniu w swoim rodzinnym mieście.

Będzie tam wiele osób, ale mam nadzieję, że zdoła się pan wtedy z nim skontaktować.

Howard myślał intensywnie.

Podano mu datę i miejsce.

Tego właśnie potrzebował.

Mowa była o publicznym zgromadzeniu.

Musi przestudiować dokładnie mapę Iraku, ale z tego, co pamiętał, dotarcie do celu nie powinno nastęrczać specjalnych trudności.

Potem przypomniał sobie, że na jednej z map Dereka był szczegółowy plan miejscowości, o którą chodziło.

Znakomicie!

- W jego rodzinnym mieście, dwudziestego ósmego kwietnia - powtórzył.

- Dziękuję.

Czy powinienem wiedzieć o czymś jeszcze?

- Na spotkaniu mogą być obecni przedstawiciele innych firm.

Znajdą się tam wyłącznie jako bierni obserwatorzy.

Nie odgrywają żadnej roli.

Tylko tyle mogę powiedzieć.

- Dziękuję.

To powinno mi wystarczyć.

Zorientuję się dokładniej w sytuacji, ale chyba będę mógł wziąć udział w tym spotkaniu.

Czy któryś z panów może zadzwonić do mnie ponownie, na wypadek, gdybym miał jeszcze jakieś pytania?

W razie braku odpowiedzi proszę zakładać, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Tymczasem byłbym wdzięczny, gdybyście panowie nie wspominali nikomu o wyznaczonym spotkaniu.

- Może pan być o to spokojny, panie Hatcher.

Jeden z nas zatelefonuje ponownie za dwa tygodnie, a potem

będziemy dzwonić co drugi poniedziałek.

Dziękuję za współpracę.

W słuchawce zapadła cisza.

Howard rzucił telefon komórkowy na fotel obok kierowcy i zaczął się zastanawiać, z kim rozmawiał.

Pomyślał, że facet nie jest zwykłym "asystentem" pana Jethro.

To ktoś z rządu.

Nie miał co do tego większych wątpliwości.

Zamierzał go zapytać, dlaczego władze same wszystkiego nie zorganizują, dysponując takimi informacjami.

Jakby na to patrzeć, ich wywiad spisał się znakomicie.

Na pewno można by z łatwością ustalić odpowiednie współrzędne i spuścić Saddamowi na głowę pocisk manewrujący.

Współdział rząd w spisku stałby się jednak wówczas oczywisty i niewątpliwie dlatego zlecono wykonanie zadania prywatnej osobie.

"Asystent" Jethro dał mu do zrozumienia, że na "spotkaniu" mogą być obecni zagraniczni dyplomaci, a za wzmianką o ich znikomej roli kryła się niedwuznaczna deklaracja, że gdyby zostali ranni lub nawet zginęli podczas zamachu, byłoby to dla niego bez znaczenia.

No, no, pomyślał Howard.

Poważna sprawa Zastanawiała go kwestia daty.

Należało sprawdzić, co to za okazja.

Dzień wojska?

Nie, przypadał na szóstego stycznia.

Rocznica rewolucji?

Nie, obchodzono ją ósmego lutego.

Święto partii Baas?

Też nie - wypadło dopiero siedemnastego lipca.

Może miało to coś wspólnego z ramadanem?

Musiał sprawdzić w kalendarzu na 1992 rok.

Liczył jednak na bardziej sprzyjający moment.

Podczas ramadanu życie w kraju praktycznie zamierało, a to utrudniłoby wykonanie zadania.

Medytował jeszcze nad tą datą, skręciwszy na drogę M40, ale wkrótce zrezygnował z domysłów i wjeżdżając do Londynu po Western Avenue, snuł już rozważania o tym, w jak obłudny sposób rząd stara się utrzymać w tajemnicy swój udział w planowanej operacji.

Chcieli nade wszystko uniknąć kłopotów, stojąc całkowicie z boku.

Delikatnie mówiąc, do niczego się nie przyznawali.

Howard określiliby to raczej jako chowanie się za czyimiś plecami.

Ale nie miało to znaczenia.

Zdobywszy potrzebne informacje poczuł dreszczyk emocji.

Akcja zostanie przeprowadzona.

Miał teraz zielone światło.

Stał za tym ktoś z rządu, tak?

A więc trzeba będzie cholernie na siebie uważać.

12 W środę wieczorem Howard złożył krótką wizytę Dartingtonowi w jego posiadłości w hrabstwie Kent.

Obaj mężczyźni wyszli na spacer do ogrodu.

Kiedy tylko się tam znaleźli, Howard wyjaśnił, że chce ustalić pewne terminy.

Chodziło w pierwszej kolejności o najbliższy wtorek,

dziewiętnastego listopada.

Dartington zgodził się spędzić tego dnia wieczór poza domem i obiecał zostawić w biurku potrzebne Howardowi dokumenty.

Potem Howard zapytał go o plany urlopowe na przyszły rok.

- Prawdę mówiąc są już dość konkretne - odparł Dartington.

- W marcu wyjeżdżamy na trzy tygodnie na wyspy Bahama.

Dlaczego pytasz?

- Chciałbym, Peter, żebyś zmienił ten termin - oznajmił Howard.

- Możesz przenieść urlop na trzy tygodnie kwietnia?

Od dziewiątego do trzydziestego?

To ważne.

- Do diabła, Ed, jedziemy z przyjaciółmi.

Nie chcę ich zawieść.

Czy to jest naprawdę aż tak istotne?

- Bardzo.

W tym czasie w jednym z twoich zagranicznych przedsiębiorstw będzie trzeba wyjaśnić parę spraw i pojawi się trochę pytań.

Najlepiej, gdybyś był wtedy gdzieś daleko i nie musiał na nie odpowiadać.

Przed wyjazdem zostaw w biurze wiadomość, że chcesz odpocząć i życzysz sobie, by kontaktowano się z tobą tylko w nagłych wypadkach.

W ten sposób w firmie będą przypuszczali, że wydałeś nowe zarządzenia i nie będą ich kwestionować.

Po powrocie stanowczo temu zaprzeczysz.

Będziesz poza wszelkim podejrzeniem, a ja zyskam może trochę na czasie.

W porządku?

- No dobrze - odparł Dartington.

- Zobaczę, co się da zrobić.

Zastanawiał się nad tym jeszcze przez chwilę po wyjściu Howarda.

Nie był głupcem.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że Howard musiał otrzymać informację, na którą czekał i zamach nastąpi we wspomnianym przez niego terminie.

Tak, w tym czasie lepiej być gdzieś daleko.

Pomyślał, wzruszając ramionami, że właściwie nie ma wcale ochoty

spędzać dwóch tygodni na jachcie na Morzu Karaibskim.

Odwoła tę cholerną rezerwację, choćby nawet kosztem wpłaconej już zaliczki i zamówi pokój w hotelu.

Miał dla żony i przyjaciół idealną wymówkę.

Po tym, co przydarzyło się Asherowi, nie przypuszczał, by szczególnie protestowali.

13 W czwartek czternastego listopada Howard oczekiwał na czwartym terminalu lotniska Heathrow przybycia samolotu British Airways z Los Angeles.

Rejs oznaczony był numerem 282.

Na tablicy przylotów zapowiadano punktualne lądowanie maszyny o godzinie 12.25.

Czterdzieści minut później zobaczył smukłego, wysokiego mężczyznę z dużym plecakiem i walizeczką.

- Ziggy!

Ogromnie się cieszę!

- Jak leci, Ed?

- Mike Ziegler uścisnął serdecznie dłoń Howarda i obaj mężczyźni ruszyli w kierunku wyjścia.

Odebrawszy z parkingu Saaba pojechali do centrum Londynu.

Ziegler, usadowiony na fotelu obok kierowcy, przeciągnął się i ziewnął.

Choć w Wielkiej Brytanii minęło już południe, jego biologiczny zegar wskazywał uparcie, że trwa jeszcze noc.

- Płonę z ciekawości, Ed - oznajmił Ziegler.

Cedził leniwie słowa, sprawiając wrażenie, że temat rozmowy

zupełnie go nie interesuje, ale Howard znał Mike'a wystarczająco dobrze, by nie dać się zwieść pozorom.

Przez telefon niewiele mu powiedział.

Wspomniał tylko, że szykuje się pewne "ciekawe, nowe przedsięwzięcie".

Kiedy Ziegler zapytał, na ile ciekawe, Howard nic nie odpowiedział.

Wiedział, że tak intrygującej propozycji Mike'emu nie potrafi odrzucić.

Wrócił pamięcią do chwili, gdy spotkali się po raz pierwszy ponad dwadzieścia lat temu.

Dostał wtedy przydział jako oficer łącznikowy do SEALs Marynarki USA.

Miał uczyć się metod szkolenia jednostek specjalnych.

Mike'emu był młodym oficerem SEALs, któremu polecono odebrać go z lotniska w San Diego i zawieźć do bazy w Coronado.

Howard nie oczekiwał, że jego amerykańscy opiekunowie okażą się tak znakomitymi profesjonalistami.

W SEALs również nie przypuszczano, by brytyjskie SBS miało im wiele do zaoferowania. Dosłownie foki - skrót od słów Sea, Air, Land - nazwa elitarniej jednostki specjalnej Marynarki Wojennej USA jeśli chodzi o dobre rady czy wymianę doświadczeń.

I Howard, i Amerykanie byli mile zaskoczeni, stwierdziwszy że nie doceniali wzajemnie swoich możliwości.

Mike'emu Ziegler - podobnie jak parę lat później jego ojciec - bardzo zaprzyjaźnił się z Edem, a po upływie kilku miesięcy pojechał do Anglii, aby odbyć szkolenie w bazie SBS w Poole, w hrabstwie Dorset.

Od tamtej pory stale byli ze sobą w kontakcie i często się odwiedzali.

Howard uświadomił sobie, że ich przyjaźń trwa już bardzo długo...

Ziegler przerwał jego rozmyślania.

- Ed, powiesz wreszcie, po co mnie tu ściągnąłeś?

- To duża sprawa, Mike.

- Howard postanowił rozbudzić jeszcze bardziej jego ciekawość i zwiększyć poziom adrenaliny we krwi.

Wszystko zaczynało działać jak w zegarku.

- Pozwolę ci zgadnąć, o co chodzi - dodał.

- W porządku.

Królowa wynajęła nas do tresowania swoich dobermanów.

- Pudło.

Zresztą to nie doberman, tylko walijskie corgi.

- Zapytaj amerykańskiego ambasadora - poradził Ziegler.

- Opowie ci o tej krzyżówce dobermana z aligatorem.

Departament Stanu musiał mu kupić nową parę spodni od najlepszego garnituru, po tym jak wpadł któregoś dnia do Pałacu Buckingham na herbatę i kanapki z ogórkiem, a może na zimne piwo z pizzą.

Wiem, co mówię.

Ta kwota stanowiła znaczną część deficytu budżetowego Stanów Zjednoczonych w 1990 roku.

Pozycja na liście kosztów: spodnie ambasadora USA w Zjednoczonym Królestwie.

Podarte na strzępy.

- Pewnie sobie zasłużył - stwierdził Howard.

- Zgaduj dalej.

Dam ci małą wskazówkę.

Kto jest najbardziej nienawidzonym człowiekiem na świecie?

- To proste.

Policjant Morton Kleinberg z drogówki w Los Angeles.

Wlepił mi kiedyś mandat za zbyt szybką jazdę.

Nie wyobrażasz sobie, jak nie znoszę tego faceta.

A co, mamy go załatwić?

- Mówisz o niewłaściwym człowieku.

Ziegler spojrział błyskawicznie na starszego kolegę.

Howard koncentrował się na prowadzeniu samochodu, ale jego obojętne zwykle oczy płonęły ogniem, którego Mikę od dawna w nich nie widział.

O, cholera...

- Chodzi o starego Saddama?

- zapytał.

- Mamy mu złożyć wizytę, tak?

- Strzał w dziesiątkę.

Wybierz sobie nagrodę.

Różowego pluszowego misia albo paczkę słodyczy.

- Coś podobnego...

Mam się czuć zaproszony?

- Jeszcze to przemyślę - odparł Howard.

- Może się zdecyduję - oświadczył Ziegler.

- Stawiam, oczywiście, pewne warunki.

Przede wszystkim chcę dostać po nim w spadku kolekcję gwiazd baseballa i klucz do jego prywatnej rezydencji w Bagdadzie.

Ty spłacisz irackie długi, a dochodami ze sprzedaży ropy podzielimy się po połowie.

- Brzmi to rozsądnie - stwierdził Howard, zachowując powagę na twarzy.

- Masz jeszcze jakieś warunki?

- Napiszesz potem do żony Saddama list z kondolencjami.

Ja się do tego nie nadaję.

- No nie, Mikę.

Grajmy fair.

To twoje zadanie.

Skończyłeś przecież studia.

- Nie ma mowy.

Możesz od razu odwieźć mnie tym gruchotem na lotnisko.

Wracam do Los Angeles.

- W porządku.

Ale najpierw zjedźmy obiad, dobrze?

Pozostali chłopcy już na nas czekają.

W ciągu półgodzinnej jazdy do Londynu Howard zapoznał Zieglera z ogólnymi założeniami akcji.

Podobnie jak w rozmowie z Bourne'm nie wymienił nazwiska Dartingtona, wspomniał jednak, kogo podejrzewa o organizowanie spisku.

Poznawszy wszystkie fakty Ziegler przyznał mu rację.

Miał także obawy co do bezpieczeństwa operacji i z ulgą przyjął wiadomość, że raport, przygotowany dla człowieka, którego Howard nazywał "pośrednikiem", nie zawierał wszystkich operacyjnych szczegółów planowanego zamachu.

- Co z tymi dwoma facetami, którzy do ciebie dzwonili?

- zapytał.

- Kim oni są?

- Trudno powiedzieć.

Jethro to z pewnością ważna figura.

Musi być kimś, skoro ma w kieszeni mojego pośrednika.

Tego drugiego faceta, jego asystenta, trudno rozszyfrować.

Anglik, bardzo opanowany - nie jest raczej osobą, za którą się

podaje.

Jeśli to wysoki urzędnik państwowy, miałby niemal na pewno powiązania z SIS.

Możliwe, ale mało prawdopodobne.

Nie, przypuszczam, że jest kimś ważniejszym niż Jethro.

Jethro może być po prostu aroganckim typem, któremu polecono nawiązać ze mną kontakt przez telefon.

Kto wie?

Tak czy inaczej, w sprawę zamieszany jest ktoś z rządu.

Jestem pewien, że w innym wypadku mój pośrednik nie zgodziłby się brać w tym udziału.

- Tak, chyba masz rację - przyznał Ziegler.

- W porządku, a co z planem akcji?

Jak się do tego zabierzemy?

- Powiem wszystko, kiedy spotkamy się z resztą grupy.

Za parę minut będziemy na miejscu.

Na razie chciałem wyjaśnić ci tylko dwie rzeczy.

- Wal.

- Po pierwsze chcę, żeby tym razem moim zastępcą został Johnny Bourne.

Normalnie byłaby to twoja rola, ale on zna teren i w wielu sprawach powinien mieć decydujący głos.

Dotychczas tylko wy dwaj wiecie o całej operacji.

- Żaden problem.

To dobry chłopak.

Zgadzam się.

- Po drugie, Johnny ma właśnie nową dziewczynę.

Tym razem to poważna sprawa.

Jest bardzo przewrażliwiony na jej punkcie.

Muszę przyznać, że wybrał sobie idealny moment.

Możemy mieć przez nią kłopoty.

- Niby dlaczego?

Kiedy Howard wyjaśnił, o co chodzi, Ziegler wzniósł oczy do nieba i zaklął przez zęby.

- Nawiasem mówiąc, Mikę - kontynuował Howard - mamy dwóch ludzi, których jeszcze nie znasz.

- O, co to za faceci?

- Byli wojskowi z Rodezji - odparł Howard.

- Andy Denard i Chris Palmer.

- z jakiej formacji?

Howard odpowiedział na jego pytanie.

Dziesięć minut później zaparkował Saaba przed domem w Wandsworth i wszedł z Zieglerem do swego mieszkania, aby spotkać się tam z resztą grupy.

- Zostaliście tu zaproszeni, ponieważ każdy z was jest wysokiej klasy specjalistą w swojej dziedzinie.

- Howard spojrzął po twarzach zebranych w pokoju mężczyzn.

Przyglądało mu się uważnie siedem par oczu.

- Na razie tylko Johnny i Mikę wiedzą, o co chodzi i wyrazili zgodę na udział w akcji.

Pozostałym z was mówiłem jedynie, że gra idzie o dużą stawkę, że możemy wszyscy spędzić resztę życia w luksusie, ale mamy zaledwie

pięćdziesiąt procent szans na wykonanie zadania.

Powiem więcej: jeszcze mniejsze jest prawdopodobieństwo, że ujdzie nam to na sucho.

Mam na myśli nie tylko więzienie.

To niebezpieczna misja.

Czy któryś z was chce się wycofać?

- Wspomniałeś o więzieniu.

Do jakiego stopnia ta akcja jest nielegalna?

- zapytał Bob Usher.

Miał prawie czterdziestkę i wyglądał na twardego faceta.

Przed kilku laty nabrał niechęci do więziennego życia.

To właśnie on przesiedział z Howardem pół roku w Ankarze.

Żarcie było tam ohydne, a z powodu braku witamin zaczęły mu wypadać włosy.

Niemal całkiem wyłysiał.

O dziwo, wcale nie wyglądał przez to starzej.

Wprost przeciwnie.

Miał silnie zarysowaną szczękę i robił wrażenie awanturnika.

Przed podjęciem pracy w Agencji Ochrony XF Usher był sierżantem w 22.

Pułku SAS.

- Niestety, będziemy musieli złamać kilka przepisów brytyjskiego prawa - wyjaśnił Howard.

- ale tym nie należy się specjalnie przejmować.

Samą akcją przeprowadzimy za granicą.

Tam, dokąd się wybieramy, w razie wpadki grozi nam strybek.

Możemy jednak wyświadczyć przysługę całemu światu.

- O Boże - skrzywił się Usher.

- Znowu pakujesz mnie w kłopoty.

- Dzięki, Bob - powiedział Howard z szerokim uśmiechem.

- Załatwię ci złagodzenie kary za dobre sprawowanie.

- Co do mnie, szefie - odezwał się Mel Harris - skoro uważacie razem z Mike'em i Johnnym, że sprawa jest czysta, ja też się przyłączę.

- Harris robił wrażenie człowieka bardzo niespokojnego.

Siedział na krawędzi krzesła, pochylony do przodu, z łokciami na kolanach i splecionymi dłońmi.

W wyglądzie Harrisa nie byłoby nic szczególnego, gdyby nie jego intensywnie błękitne oczy.

Każdy zauważał, jak przenikliwe ma spojrzenie.

Harris zdawał sobie z tego sprawę i kiedy nie chciał, by zwracano na niego uwagę, zakładał ciemne okulary.

Podobnie jak Usher, był kiedyś sierżantem w 22.

Pułku SAS.

Howard nie spotkał nigdy człowieka o równie szybkim refleksie.

Nawet Bourne był wolniejszy.

To właśnie Harrisa nie docenili swego czasu - z fatalnym dla siebie skutkiem - trzech niedoszli porywacze z Sardynii.

- Dzięki, Mel.

A ty, Tony?

- Dołączam do was, szefie - odparł Tony Ackford.

- Zasługuję na trochę odpoczynku od mojej starej.

- Howard uśmiechnął się.

Potęźnie zbudowany Ackford - były żołnierz piechoty morskiej - wyglądał jak mały olbrzym.

Służył przez piętnaście lat w SBS, specjalnych formacjach desantowych, stanowiących odpowiednik SAS w marynarce i uparcie odmawiał przyjęcia awansu.

Jego filigranowa żona, z pochodzenia Irlandka, słynęła z porywczego charakteru.

Ackford, choć był niezwykle silny, umiał walczyć wręcz i posługiwać się bronią, nie potrafił sobie z nią poradzić.

Stracił prawie na dobre opinię twardego faceta, gdy jego żona wpadła kiedyś późnym wieczorem do pubu w Poole, gdzie sierżant oblewał właśnie z oddziałem komandosów z SBS zakończenie kursu.

Pani Ackford - mająca zaledwie półtora metra wzrostu - obrzuciła swego wyższego o czterdzieści centymetrów męża stkiem wyzwisk i uderzeniem torebką o mało nie powaliła go na ziemię.

- Świetnie, Tony, ale pomyślałeś, co cię czeka po powrocie?

- zapytał Howard.

- Przywiozę jej bukiet kwiatów, szefie.

Mają tam jakieś kwiaty?

- Wątpię.

- Howard zwrócił się do ostatnich dwóch mężczyzn.

- Andy, Chris - co z wami?

Andy Denard i Chris Palmer byli jedynymi ludźmi w grupie, którzy nie pracowali w Agencji Ochrony XF.

Dzwoniąc do Denarda Howard musiał wyrażać się jeszcze bardziej oględnie niż w rozmowach z pozostałymi, ponieważ Andy był obywatelem Zimbabwe.

Zastał go wreszcie w jego domu w Borrowdale, na północnych przedmieściach Harare.

Denard sam zaproponował, że weźmie ze sobą Palmera.

Howard i tak by się pewnie zgodził, ufając mu bez zastrzeżeń, nie przeoczył jednak rzuconej przez Denarda mimochodem uwagi, że jego kolega-mechanik ma nie tylko odpowiednie kwalifikacje, ale jest też "dobrym skautem".

Zorientował się od razu, co to oznacza.

Podczas wojny o niepodległość Zimbabwe Palmer służył w budzących postrach jednostkach Selous Scouts.

„Odpowiednie kwalifikacje” mogły również okazać się niezbędne: Palmer był mechanikiem samolotowym.

Poza Howardem tylko Bourne i Usher spotkali wcześniej Denarda, a Palmera nikt nie znał, wyczuwało się jednak, że dwaj byli komandos z rodezyjskich sił specjalnych zyskali akceptację reszty grupy.

Ich ironiczne poczucie humoru oraz bezpretensjonalny, skromny sposób bycia zjednywały im sympatię.

Denard był niski i muskularny, natomiast Palmer przypominał napastnika drużyny rugby.

Na ich ogorzałych twarzach wycisnęły piętno lata, które spędzili pod słońcem Afryki.

- Ed, co ma robić pilot?

- zapytał Denard.

- Będę mógł sobie polatać na F-16 albo czymś równie dobrym?

Mam po dziurki w nosie wożenia tych cholernych turystów dla United Airlines.

- Przykro mi, Andy, ale nie będzie aż takich atrakcji.

Prawdę mówiąc, przy odrobinie szczęścia w ogóle nie weźmiesz udziału w walce.

- Cholera.

Mogłem się tego spodziewać.

Trudno, tak czy inaczej dołączę do was.

W końcu jestem teraz tylko pieprzonym taksówkarzem.

- Bo do niczego więcej się nie nadajesz, łazęgo - mruknął Palmer.

- Nie martwcie się, chłopcy.

Przypilnuję tego nudziarza.

Howard z satysfakcją rozejrzał się po pokoju.

Zgodnie z jego oczekiwaniami, nikt nie odmówił udziału w akcji.

Wiedział, że pieniądze nie odgrywały tu większej roli.

Zapewne tylko on jeden oczekiwał przede wszystkim finansowych korzyści.

Pragnął wynieść się wreszcie ze swojego mieszkania i dysponować jeszcze jakąś gotówką po wypłaceniu Claire rujnujących go alimentów.

Pomyślał, że tym ludziom nie zależy właściwie na forsie.

Ale też żaden z nich nie miał takiej byłej żony jak on.

Mogli sobie pewnie pozwolić na luksus traktowania całej sprawy jako przygody.

Jemu chodziło wyłącznie o zysk.

Cóż, może i słusznie.

Głupio byłoby podejmować się takiej roboty za darmo.

- No dobra, chłopaki - powiedział.

- Teraz posłuchajcie.

Szybko, w kilku krótkich zdaniach, wyjaśnił im, o co chodzi.

Parę osób gwizdnęło z podziwu i Howard zobaczył wokół siebie pełne aprobaty spojrzenia.

Mel Harris, którego oczy zapłonęły w radosnym podnieceniu, uderzył pięścią w otwartą dłoń.

Tylko Tony Ackford, żując powoli gumę, zachował kamienną twarz.

- Nie jest to typowo wojskowa operacja - kontynuował Howard.

- Nie możemy liczyć na żadne wsparcie.

Trzeba zmylić przeciwnika, bo nie będzie czasu, żeby go podejść.

Musimy podstępem utorować sobie drogę do miejsca akcji, a potem w ten sam sposób się ulotnić.

Złamiemy wszelkie reguły sztuki wojskowej.

To będzie jak brutalny napad na bank, a nie dyskretne okradanie sejfów.

Myślę jednak, że może nam się udać.

Najpierw załatwmy podstawowe sprawy.

- Howard wyjął siedem grubych kopert i rzucił po jednej każdemu z mężczyzn.

- Dostajecie po dwadzieścia kawałków.

Macie wydać najwyżej połowę tej sumy na zakup samochodu.

Żadnych zbytków.

Niech to będzie jakiś nie rzucający się w oczy, solidny wóz.

Najłatwiej kupić używany.

Nie może mieć więcej niż dwa lata.

Zapłaćcie gotówką i wypełnijcie sami karty rejestracyjne - wpisując fałszywe nazwiska.

Powiecie sprzedawcy, że kupujecie wóz dla dziewczyny, czy coś w tym rodzaju.

Nikt nie powinien was z tymi samochodami kojarzyć.

Mogą zostać użyte tylko do wykonania zadania - nie wolno jeździć nimi do pracy, ani wykorzystywać ich do prywatnych celów.

Nie ubezpieczajcie ich oddzielnie.

Niech ubezpieczenie, które macie, obejmie też inne prowadzone przez was pojazdy.

W ten sposób postępujecie zgodnie z prawem, ale po zakończeniu akcji nie będzie żadnych dowodów, że mieliście z tymi wozami coś wspólnego.

Kiedy z nich nie korzystacie, zaparkujcie je z daleka od domu.

Potem ustalimy, w jaki sposób się ich pozbyć.

Tylko Johnny będzie potrzebował bardziej luksusowego wozu.

Ma na to całych dwadzieścia tysięcy.

Reszta forsy jest na nieprzewidziane wydatki.

Nie szastajcie nią.

Chcę na wszystko mieć rachunki.

Chris, postaraj się trzymać tego małego krzykacza z dala od nocnych klubów i kasyn, dobrze?

Palmer uśmiechnął się, klepiąc Denarda po głowie.

- Nie ma obawy, na noc będę go zamykał.

Denard zaklął pod nosem.

- Mam tu jeszcze inne koperty - oznajmił Howard, rozdając je po kolei.

Na każdej było nazwisko.

- Zobaczcie, co jest w środku.

Koperty zawierały ogólne instrukcje, listy zadań i dodatkowe sumy pieniędzy, których ilość zależała od przewidywanych wydatków.

- Jak widzisz, Mel, ciebie i mnie czeka w przyszłym tygodniu niewielkie zadanie.

Potem będziesz musiał polecieć z Andym do Stanów.

Znasz dobrze Teksas, więc proponuję, żebyście tam zaczęli.

Macie znaleźć pilota, który byłby na tyle podobny do Andy'ego, żeby mógł nam się przydać.

Nie obchodzi mnie, czy jest oszustem, przemytnikiem, czy kimś w tym rodzaju, byle tylko potrafił latać i miał ważną licencję na prowadzenie dwusilnikowej maszyny.

Andy może sprawdzić, czy jest dobrym pilotem, a ty masz ocenić, czy będzie skłonny słuchać naszych poleceń.

Nie potrzebujemy żadnego pijaczyny ani napaleńca.

Dasz temu kowbojowi dziesięć tysięcy dolarów zaliczki i obiecasz dalszych dziewięćdziesiąt tysięcy po wykonaniu roboty.

Powinien wiedzieć jak najmniej.

Nie może znać waszych nazwisk.

Będzie nam potrzebny najwcześniej pod koniec marca.

Jasne?

Mel Harris skinął głową.

- W porządku - powiedział Howard, po czym zwrócił się do Zieglera:

- Mike, ty też polecisz do Stanów, ale w innej sprawie.

Musimy zdobyć trochę wysokiej klasy sprzętu.

W Ameryce łatwiej te rzeczy dostać, a ty wiesz, gdzie ich szukać.

Johnny powie ci później, dokąd masz je wysłać.

A ty, Chris, musisz jak najszybciej zapaść brodę.

Krępy mechanik z Zimbabwe uniósł z lekkim zdziwieniem jasne brwi, po chwili jednak skinął głową.

- Przez jakiś czas będziesz pracował sam - mówił dalej Howard - ale nie masz zbyt trudnego zadania.

Johnny załatwi kilka spraw, a potem ci pomoże.

Trzeba wynająć albo kupić samolot.

Musi mieć co najmniej osiem miejsc, silnik o dużej mocy i zapasowe części.

Najlepszy byłby jakiś Islander albo Twin Otter, nadający się do lądowania w trudnych warunkach.

Masz na kartce szczegółowe informacje, w co powinien być wyposażony.

Brakujące elementy musicie zamontować.

Johnny zajmie się finansami, bo to najkosztowniejszy zakup i nie możemy go rozliczać w gotówce.

Pozostała mi jeszcze do załatwienia bardzo ważna sprawa.

Problem polega na tym, że mamy na razie niekompletny zespół.

Brakuje nam jednego człowieka, specjalisty w dziedzinie, w której

żaden z nas nie jest naprawdę dobry.

Jeśli nawet paru ludzi w tej grupie posiada odpowiednie umiejętności, nie sprostałoby czekającemu ich zadaniu.

Wiem o kimś, kto byłby dobry, ale dotychczas z nim nie rozmawiałem.

- Zaciągając się dymem z papierosa Howard widział, że zebrani w pokoju ludzie próbują odgadnąć, jakiego specjalisty zabrakło w ich gronie.

W końcu oznajmił: - Potrzebujemy doskonałego snajpera.

Najwyższej klasy.

Sześciu mężczyzn pokiwało głowami ze zrozumieniem.

Sióamy, Tony Ackford, studiował powoli otrzymaną listę zakupów i coraz wyraźniej marszczył brwi.

W końcu nie wytrzymał i wygarnął Howardowi, nie przebierając w słowach: - Szefie, po cholere mamy z Bobem kupować ten cały szmelc?

Rozumiem jeszcze, że może nam się przydać magnetofon i taśmy do nauki języka - w końcu warto wiedzieć, jak się mówi po arabsku "stój spokojnie, zasrańcu, bo odstrzelę ci ten zapryszczony łeb".

Sprzęt do wspinaczki, te wszystkie liny i bloki, też mogą być ewentualnie potrzebne, gdybyśmy chcieli powiesić sukinsyna, zamiast do niego strzelać.

Ale po cholere nam na środku tej pieprzonej pustyni pięciometrowy gumowy ponton, wodoszczelne torby, nieprzemakalne kombinezony, wiosła i silnik do łodzi?

A te flagi i nalepki?

I to tutaj - bryłka ołowiu, torba gipsu modelarskiego...

Sprzęt do spawania?

Podnośnik hydrauliczny?

Dwa zestawy urządzeń do klimatyzacji?

I jeszcze to - dziesięć ton betonowych bloków?

Cztery tony MARGARYNY W PUSZKACH?

Przenośna toaleta i sprzęt do biwakowania?

A co to znaczy, na Boga: dwunastometrowy kontener-chłodnia i naczepa?

Co my organizujemy, do cholery?

Wyjazd na biwak, żeby zbudować na plaży pod Bagdadem betonowy bunkier, wysmażyć w margarynie wielbłąda, a potem go zamrozić i przyholować za pontonem do kraju?

Wszyscy ryczeli ze śmiechu i w końcu Ackford również zaczął dobrze się bawić.

Howard nie był wcale zaskoczony jego gwałtowną reakcją.

Przedmioty figurujące na liście mogły faktycznie wprawiać w zdumienie.

- Zapomniałeś, Ack, o tysiącu pięciuset kilogramach mrożonego groszku - dodał.

- Zjemy usmażonego wielbłąda z groszkiem.

Później przyda się nam przenośna toaleta.

Howard zaczekał, aż umilknie śmiech i dopiero wtedy zaczął wszystko wyjaśniać.

14

W piątek rano telefon w biurze Dartingtona odebrała pani Webster, jego osobista sekretarka.

Rozmówca o przesadnie unizonym i przymilnym głosie pytał, kiedy "Pete" mógłby go przyjąć.

Lojalna pani Webster przybrała ton wyraźnej dezaprobaty, próbując spławić nieznajomego, ten był jednak uparty.

- Chodzi o ważną sprawę, złociutka - oświadczył.

Pani Webster skrzywiła się.

Nie znosiła, gdy ktoś tak do niej mówił.

- Muszę się z nim zobaczyć w ciągu paru dni - kontynuował rozmówca.

- Mógłbym ewentualnie wpaść do niego do domu, jeśli tak będzie lepiej.

Niestety, w najbliższy weekend nie dam rady.

Czy pasowałby mu poniedziałek albo wtorek?

- Sir Peter ma bardzo dużo zajęć, panie...

- Pani Webster czekała, aż nieznajomy się przedstawi, ale w słuchawce zaległa cisza, mówiła więc dalej: - Obawiam się, że nie mogę pana umówić, dopóki nie będę wiedziała, o jaką sprawę chodzi.

Zresztą w poniedziałek ani wtorek pan Dartington nie znajdzie już wolnego czasu.

- Więc może we wtorek wieczorem?

Dziętnastego?

Mógłbym podjechać do jego domu na wsi.

Ten termin bardzo mi odpowiada.

- Byłoby to bezcelowe, panie...

- Znów próbowała zmusić rozmówcę, by się przedstawił, tym razem z powodzeniem.

- Harrington, złociutka, Brian Harrington.

Możesz mi mówić po imieniu.

- Cóż, panie Harrington, obawiam się, że odwiedzanie sir Petera w domu zupełnie mijałoby się z celem.

Przyjmuje interesantów tylko w biurze.

Zresztą...

- Zamilkła, przygryzając wargę.

- Co, nie będzie go we wtorek w domu?

- zapytał przymilnie nieznajomy.

- Panie Harrington - powiedziała energicznie pani Webster, zmieniając temat.

Była zła, że rozmówca zdołał zbić ją z tropu.

- Proponuję, żeby napisał pan do sir Petera i przedstawił mu swoją sprawę.

Z pewnością szybko otrzyma pan odpowiedź.

Panie Harrington?

Połączenie zostało przerwane.

Dorothy Webster odłożyła słuchawkę wyraźnie zdegustowana.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym wstała z krzesła, zapukała delikatnie do drzwi gabinetu szefa i weszła do środka.

Dartington spojrzał na nią pytająco.

- Sir Peter, odebrałam przed chwilą dość dziwny telefon.

Człowiek, który przedstawił się jako Brian Harrington, nalegał na spotkanie z panem, podobno w ważnej sprawie.

- Harrington?

Nie znam nikogo o tym nazwisku.

Czego chciał?

- Nie chciał powiedzieć, sir.

Wspomniał, że może odwiedzi pana w domu we wtorek wieczorem.

Próbowałam go od tego odwieść.

- Cóż, jeśli się pojawi, odejdzie z kwitkiem.

Dziękuję, Dorothy, że mnie ostrzegłaś.

- Zdaje się, sir, że we wtorek wieczorem będzie pan z żoną w Londynie.

Czy mam zawiadomić państwa Jephcott, że ktoś może przyjść z wizytą?

- Tak, to dobra myśl.

Gdyby ten facet przyszedł, niech Jephcott go spławi.

I nie przejmuj się, Dorothy.

Odbieram w domu sporo takich idiotycznych telefonów.

Często żałuję, że cię tam nie ma, żeby mnie od nich uwalniać.

Pani Webster uśmiechnęła się i wróciła do swego biura.

Dartington patrzył, jak zamyka za sobą drzwi.

Siedział w fotelu, bębniąc ołówkiem o zęby.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, kto dzwonił.

Howard był subtelny niczym nosorożec.

Biedna Dorothy.

Na pewno jednak zapamięta ten telefon i w stosownym momencie właściwie go sobie skojarzy.

15 Howard ślęczał nad mapami Szkocji, usiłując coś sobie

przypomnieć.

Kupił pełny zestaw map sztabowych w skali 1:50.000 i teraz metodycznie je przeglądał.

Dysponował nazwą miejscowości, nie figurującą w indeksie atlasu samochodowego, ale znając również nazwisko człowieka, do którego chciał dotrzeć, wiedział mniej więcej, gdzie może on mieszkać.

Odnalazł poszukiwaną miejscowość na trzeciej z kolei mapie, na arkuszu oznaczonym numerem 41.

Po pięćdziesięciu minutach zmudnej pracy dostrzegł nagle nazwę, której szukał.

Pisało się ją przez C, a nie przez K, jak powiedział mu Henry Stoner.

To dlatego nie znalazł tej miejscowości w indeksie.

Powinien był się domyślić.

Obejrzał szczegółowo mapę.

Dzika okolica.

Surowe, górzyste pustkowie.

Przy nazwie osady widniały litery PH.

Howard sięgnął po przewodnik dla zmotoryzowanych.

Tak, mieli tam gospodę z pokojami do wynajęcia.

Zapewne bardzo skromnymi, ale nie szkodzi.

Odczuwał satysfakcję, że zdołał zlokalizować to miejsce - bez konieczności zadawania Stonerowi zbyt wielu pytań.

Nic jednak nie osiągnie, jeśli nie dowie się czegoś więcej - jeśli nie będzie miał mocnych argumentów, żeby przekonać tego człowieka.

MacDonald.

Gdzie widział to nazwisko?

Nie było - w swych rozlicznych wersjach - szczególnie rzadkie, o czym przypominały mu setki tandetnych barów szybkiej obsługi, które spotykał już praktycznie na całym świecie.

A już na północy Szkocji występowało wyjątkowo często.

Niemal co druga osoba nazywała się tam MacDonald.

Howard odnosił jednak wrażenie, że natknął się gdzieś na to nazwisko w związku z pewną sprawą i że mogło chodzić o człowieka, którego szukał.

Kiedy je widział?

Z pewnością niedawno.

Dlaczego utkwilo mu w pamięci?

Nie potrafił sobie przypomnieć.

Musiał przemyśleć wszystko od początku.

Zebrawszy notatki wyruszył ponownie do Biblioteki Brytyjskich Czasopism.

Dojechał na miejsce północną linią metra i o wpół do dwunastej pogрузzył się już w lekturze zamówionych gazet.

O czwartej trzydzieści pięć znalazł informację, o którą mu chodziło.

Zdażył jeszcze zamówić na następny dzień kserokopię strony, zanim kwadrans przed piątą zabrzmiał ostrzegawczy dzwonek, zapowiadający zamknięcie czytelní.

Następnego ranka, w sobotę, był na miejscu punktualnie o dziesiątej, gdy otwierano bibliotekę.

Złożył zamówienie na konkretne numery dziewięciu następnych czasopism.

Interesowały go cztery szkockie wydania brytyjskich dzienników,

dwa brytyjskie tygodniki oraz dwa wydawane w Szkocji dzienniki i jeden tygodnik.

W trzech spośród nich były wzmianki na temat tej samej sprawy, ale najobszerniejszy artykuł znalazł w pochodzącej z Lochaber lokalnej edycji redagowanego w Aberdeen dziennika "Press and Journal".

Zastanawiał się przez moment, czy nie poprosić o inne lokalne gazety, ale uznał, że nie warto.

Zrobił trochę notatek i na wszelki wypadek zamówił kserokopię artykułu z "Press and Journal", prosząc, by wysłano mu ją do domu pocztą.

Wyszedł z biblioteki tuż przed jedenastą.

Dopisało mu szczęście.

Znalazł to, czego szukał.

Był przekonany, że zdoła teraz namówić MacDonalda do współpracy.

16 Mel Harris wjechał tyłem w bramę na wiejskiej drodze i wyłączył światła kupionego niedawno Golfa GTI.

Opuścili z Howardem szyby w przednich drzwiach i siedzieli przez dziesięć minut w milczeniu, nasłuchując i przyzwyczajając oczy do ciemności.

W końcu Howard dał znak, aby wysiąść i wskazał na duży dom po drugiej stronie pola.

Była trzecia nad ranem.

O tej porze paliło się tam tylko światło na ganku.

Obaj mężczyźni, założywszy kombinezony i rękawiczki, wyciągnęli z bagażnika samochodu pękata czarna torbę i wąską metalową rurkę.

- Szefie, czuję się w tych młodzieżowych adidasach jak idiota - powiedział szeptem Harris.

- Nie przejmuj się, Mel - mruknął Howard.

- Pomyśl, z jakim podziwem wszyscy będą patrzyli na ciebie w pudle, kiedy wsadzą nas za ten skok.

Chodźmy.

Przeszli szybko przez pole i wspięli się po murze do ogrodu za domem, od strony kuchni.

Dotarli bezszelestnie do budynku i obchodząc grządki z kwiatami trafili pod okna znajdującego się od frontu gabinetu.

Żwirowany podjazd prowadził do stróżówki.

Jephcott z pewnością sypiał właśnie tam, żeby być blisko bramy, ale

jego żona nocowała chyba w pokoju na górze.

Howard sprawdził okno, dając kciukiem znak, że jest otwarte.

Harris, nieświadomy udziału Dartingtona w spisku, wzniósł oczy ku niebu z wyrazem dezaprobaty dla bez troski właścicieli domu, którzy nie pofatygowali się nawet zamknąć jak należy okna.

No cóż, "włamywacze" zaoszczędzą trochę czasu.

Kiedy Howard przesuwiał bezgłośnie w górę okno, Harris wyjął z rurki teleskopową wędkę.

Zamocował na jej końcu niewielką drucianą ramkę, której prostopadle do wędziska boki obłożył kawałkami kitu.

Potem ściągnął ochronny papier z dwustronnej taśmy klejącej, która była już przyklejona do kwadratowego kartonika o wymiarach piętnaście na piętnaście centymetrów.

Przyłożył go odwrotną stroną do obłożonej kitem ramki na końcu wędki i mocno docisnął.

Uważając, żeby nie wsunąć ręki do środka, Howard wskazał Harrisowi bez słowa umiejscowienie działającego na podczerwień czujnika instalacji alarmowej.

Harris wetknął wędkę z kartonikiem przez okno.

Czujnik był w rogu pokoju, na tej samej ścianie, co okno.

Miał zasięg dziewięćdziesięciu stopni, obejmował więc całe pomieszczenie.

W jego obrębie wyczułby zmianę usytuowania dowolnego źródła ciepła, na przykład ludzkiego ciała.

Nie potrafił jednak wykryć, że zostało otwarte okno: ponieważ znajdowało się na tej samej ścianie, promienie podczerwone omijały je z

boku.

Gdyby czujnik miał oczy, zobaczyłby zmierzający prosto ku niemu kwadratowy kartonik.

Ale podczerwień nie rejestrowała jego obecności, pozostał więc niezauważony.

Taśma klejąca zetknęła się z plastikową powierzchnią czujnika i mocno do niego przylgnęła.

Harris pociągnął delikatnie wędkę, odrywając ją bez trudu od przymocowanego luźno kitem kartonika, który pozostał przytwierdzony do czujnika, zakrywając niewielką soczewkę i pozbawiając urządzenie zdolności reagowania.

Kiedy Harris wyciągnął wędkę, Howard spojrzął na zegarek.

Obaj mężczyźni czekali jeszcze przez jakiś czas pod oknem.

Po sześciu minutach, na dany przez Howarda znak, weszli bezszelestnie do pokoju.

Nasłuchiwali przez chwilę, ale w domu panowała cisza.

Dwa przekarmione psy chrapały na pewno w kuchni na końcu korytarza.

Pani Jephcott również spała, w gościnnym pokoju na drugim piętrze.

Rozpiąwszy zamek w sportowej torbie Harris wyjął z niej cztery grube, ciemne koce i pudełko dużych pinezek.

Pracując w milczeniu zawiesili po jednym kocu nad każdym z okien i nad drzwiami do holu.

Kiedy zaciągnęli dodatkowo ciężkie zasłony, pokój pogrążył się w zupełnej ciemności.

Howard zapalił kieszonkową latarkę i podszedł do biurka.

Przejrzawszy jego zawartość wyjął z torby niewielki łom i zaczął spokojnie włamywać się do jedynych dwóch szuflad, które były zamknięte.

Harris sprawdził za pomocą własnej latarki, czy z umocowanego przy czujniku kartonika nie odpadł żaden kawałek kitu, a potem włączył stojącą z boku biurka fotokopiarkę.

Urządzenie zaczęło cicho pracować.

Przełądnawszy trzy wyciągnięte z szuflad pliki dokumentów, Howard wybrał w sumie trzydzieści osiem interesujących go stron.

Położył pierwszą z nich na gładkiej, szklanej płycie kopiarki i zamknął pokrywę.

Harris zasłonił czwartym kocem całe urządzenie i rękę Howarda, spoczywającą na zielonym przycisku z napisem KOPIOWANIE.

Gdy wszystko było już gotowe, Howard wcisnął guzik.

Fotokopiarka funkcjonowała niemal bezgłośnie i ani jeden promień światła nie wydostawał się na zewnątrz.

Harris zdjął koc, po czym powtórzyli całą procedurę, kopiując kolejno trzydzieści osiem stron akt.

W końcu, na dany przez Howarda znak, Harris wyłączył urządzenie.

Kopie dokumentów, razem z wyjętymi z biurka arkuszami firmowego papieru i kopertami spółki Darcon, trafiły do skoroszytu, który z kolei powędrował na dno czarnej sportowej torby.

Howard przeszukał sprawnie pozostałe szuflady, wyjmując z nich kieszonkowy dyktafon, aparat fotograficzny i trochę gotówki.

Wszystkie te rzeczy schował do czarnej torby.

Harris wpakował tam również fax i magnetowid Dartingtona.

Dwa gregoriańskie świeczniki ze srebra i para srebrnych popielniczek - jedyne wartościowe przedmioty w pokoju - pozostały przy

parapecie okna.

Potem obaj mężczyźni przez trzy minuty starannie przetrząsali cały pokój, zrzucając książki z półek, otwierając szuflady i szafki - jednym słowem starając się sprawić wrażenie, że ktoś szukał tam w pośpiechu ukrytych kosztowności.

Kiedy Howard uznał, że wykonali zadanie, rozrzucił po podłodze wszystkie akta.

Posprzątany przedtem pokój wyglądał teraz jak prawdziwy śmietnik.

Wyłączony latarki zdjęli z drzwi i okien koce, pakując je razem z pinezkami do przeładowanej już torby.

Kiedy została zapięta, pracujący w rękawiczkach Howard opuścił ją przez okno na ziemię, wynosząc też z pokoju srebrne świeczniki i popielniczki.

Harris włożył wędkę do metalowej rurki i podał ją stojącemu na zewnątrz Howardowi.

Potem podszedł do czujnika instalacji alarmowej i zdjął przyczepiony do niego kartonik, upewniając się, czy taśma klejąca jest na swoim miejscu.

Złożywszy kartonik wsunął go do kieszeni.

Czujnik natychmiast zarejestrował obecność intruza.

Umieszczone w holu urządzenie przesłało sygnał do automatu w szafce, który powiadomił centrum kontroli firmy instalującej systemy alarmowe.

Zanim to nastąpiło, Harris wspiął się na parapet i zeskoczył lekko na ziemię.

Wyciągnąwszy rękę zamknął okno i końcem metalowej rurki wybił

szybę w okolicach zamka.

Potem podsunął okno z powrotem do góry i zostawił je otwarte.

Dźwigając wspólnie torbę, która była teraz ciężka od zdobytych w gabinecie łupów, Howard i Harris podążyli szybko z powrotem w kierunku ogrodu za kuchnią i odgradzającego go od pola muru.

Zanim przeskoczyli na drugą stronę, Howard rzucił w błoto świeczniki i popielniczki.

Pani Jephcott miała lekki sen.

Obudził ją cichy brzęk tłuczonego szkła.

Podszedłszy do okna niczego nie zauważyła, zatelefonowała jednak do stróżówki.

Jej mąż odezwał się po czwartym sygnale.

Usłyszawszy, co żona ma mu do powiedzenia, George Jephcott polecił jej stanowczo i zdecydowanie: - Nie ruszaj się z pokoju, Mary.

Nie schodź na dół.

Alarm włączy się za pięć minut.

Nie wolno ich spłoszyć.

Policja na pewno jest już w drodze.

Złapiemy tych ludzi na gorącym uczynku.

Zaczął ubierać się najszybciej jak potrafił.

Dwie minuty później wyszedł ze stróżówki, niosąc strzelbę.

Otworzył na oścież ciężką żelazną bramę, aby była gotowa na przyjazd policji.

Potem podążył pospiesznie w kierunku domu, trzymając się trawiastego pobocza przy długim zwirowanym podejździe.

W chwili, gdy pani Jephcott dzwoniła do męża, policja - zawiadomiona przez firmę instalującą alarmy - skierowała do akcji wóz patrolowy, który znajdował się przypadkiem zaledwie cztery kilometry od miejsca włamania.

Radiowóz, podjeżdżając do domu od tyłu, bez włączonej syreny ani migających niebieskich świateł, minął bramę, przy której stał nadal ukryty szary Golf Harrisa.

Niecałe trzysta metrów dalej policjanci skręcili na skrzyżowaniu w prawo, na drogę prowadzącą do stróżówki, a potem znów w prawo i przejechawszy przez bramę znaleźli się na zwirowanym podjeździe.

Idący przez pole Harris i Howard byli w tym momencie niecałe sto metrów od Golfa.

Zobaczywszy radiowóz spojrzeli na siebie.

Odkąd trzy kwadranse wcześniej wysiedli z samochodu, żaden z nich nie odezwał się ani słowem.

Dokładnie pięć minut po tym, jak Harris zdjął kartonik z czujnika instalacji alarmowej, włączył się głośny sygnał na zewnątrz domu.

George Jephcott, zacząjony ze strzelbą w krzakach w pobliżu stłuczonego okna, stwierdził ze zdziwieniem, że z gabinetu nikt nie wyskakuje.

Dwieście metrów dalej, po drugiej stronie znajdującego się za domem pola, wyjechał niepostrzeżenie z bramy na pastwisku Golf GTI.

Wóz patrolowy zjawił się koło domu trzydzieści sekund później.

Cały materiał dowodowy - poczynając od odcisków sportowych butów na grządkach, a kończąc na rodzaju skradzionych przedmiotów -

skłonił policję do wyciągnięcia wniosku, że była to robota "smarkaczy".

Jephcott potwierdził tę opinię, znajdując rano przedmioty ze srebra, porzucone po amatorsku pod murem w ogrodzie.

Harris jechał z powrotem w kierunku Londynu.

Zatrzymał się tylko na chwilę, aby Howard mógł wrzucić do śmieci dwie pary prawie nowych adidasów, dwa ciemnoniebieskie kombinezony, zupełnie dobry aparat fotograficzny, dyktafon i magnetowid.

17 Młody pośrednik agencji handlu nieruchomościami nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

To było wręcz nieprawdopodobne!

Siedział w biurze z założonymi rękami, widząc przyszłość w czarnych kolorach, gdy nagle wszedł wprost z ulicy pucołowaty jegomość i oznajmił, że chce wynająć najbardziej niechodliwe budynki, jakie firma miała do zaoferowania.

Niewiarygodna historia!

Oczywiście, hale przemysłowe przy Loundis Road były jak najbardziej w porządku.

Inwestor trafił po prostu na zły moment.

Zbudowano je w 1988 roku - dziesięć hal obok siebie.

Powinny z łatwością znaleźć nabywców - przynajmniej teoretycznie.

Stały przy wjeździe numer 16 na autostradę M4 i w sumie były to dobre, nadające się do wszechstronnego wykorzystania budynki.

Problem stanowiła recesja.

Zanim nadeszły ciężkie czasy, wynajęto tylko cztery hale.

Potem dzierżawa przestała kogokolwiek interesować.

Inwestor nie liczył się po prostu z realiami.

Nie chciał obniżyć czynszu, choć mu to doradzano.

Sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby nie był zadłużony w banku.

Przekonał jego dyrektora, że skoro najemcy godzą się płacić wysokie czynsze, świadczy to o dużej wartości kapitałowej budynków.

Uniknął w ten sposób zajęcia majątku z tytułu zadłużenia.

Początkowo wszystko dobrze się układało.

Dzięki dochodom z wynajmu czterech budynków inwestor był w stanie spłacać odsetki i wynegocjować przesunięcie terminu zwrotu pożyczonej sumy.

Kłopoty zaczęły się wtedy, gdy pierwszy dzierżawca postanowił zrezygnować z umowy.

Wtedy właśnie inwestor postąpił naprawdę głupio.

Najemcy brakowało dziewięciu miesięcy do upływu trzyletniego terminu rozwiązania kontraktu, poprosił jednak o zwolnienie go z zobowiązań.

Inwestor wpadł w panikę, że nie zdoła spłacić odsetków w banku i odmówił najemcy, zmuszając go do dotrzymania umowy i płacenia czynszu, wskutek czego tamten zbankrutował.

Pośrednik z agencji błagał inwestora, by zgodził się na niższy czynsz lub jakąś formę rekompensaty, ale bez skutku. Rezultat był łatwy do przewidzenia.

Najgorzej sytuowany najemca pozostał bez grosza i nie zapłacił inwestorowi czteromiesięcznego czynszu.

Pozostali trzej wyciągnęli z całej sprawy stosowne wnioski.

Kiedy wygasł termin umowy, skorzystali z przysługującego im prawa i wynieśli się.

Teraz dziesięć hal przy Loundis Road świeciło pustkami.

Miały już, oczywiście, nowego właściciela.

Pozbawiony wyobraźni inwestor i jego równie głupi bank zniknęli z horyzontu.

Nowy właściciel zakupił budynki za symboliczną cenę od syndyka masy upadłościowej.

Pozostały w rękach tej samej agencji handlu nieruchomościami, która dobrze je znała.

Nowy właściciel okazał się o wiele rozsądniejszy, ale hale zdążyły już zyskać złą sławę.

Każdy potencjalny dzierżawca musiał się, rzecz jasna, zastanawiać, dlaczego są puste.

Nikt nie lubi ryzykować, prawda?

Poza tym kto w obecnych czasach, w okresie recesji, wynajmował budynki przemysłowe?

Nikt.

Zupełnie nikogo nie interesowały.

Stały bezużytecznie.

Aż do dzisiaj.

Dwa dni temu wszedł do biura facet o pulchnej twarzy, powiedział, że podobają mu się te hale i zapytał, czy może wynająć - posłuchajcie tylko - nie jedną lub dwie, ale TRZY z nich!

Tak po prostu.

To się nazywa interes!

Nie targował się nawet o wysokość czynszu!

Zgoda, sześćdziesiąt funtów za metr kwadratowy brzmiało rozsądniej niż stówa, której żądał poprzedni inwestor, ale biorąc pod uwagę niską cenę, jaką nowy właściciel zapłacił za cały ciąg hal, bez trudu mógł spłacać teraz swój dług, skoro aż trzy z nich zostały wynajęte.

Może i pozostałe zaczną się cieszyć większym powodzeniem...

Z pulchnym panem Bryce'em przyjemnie było robić interesy.

Przeczytał pobieżnie umowę najmu i zgodził się natychmiast na wszystkie warunki.

Miał gotowe zaświadczenia z banku, które znalazły pełne potwierdzenie.

Pojechali razem jego samochodem obejrzeć budynki.

Dobiwszy targu uścisnęli sobie dłonie i wrócili do biura.

Pan Bryce miał niezły wóz.

Bardzo dobry.

BMW 325i, szybkie jak rakietka.

Obite skórą sportowe fotele, odtwarzacz płyt kompaktowych...

Było jasne, że ten człowiek nie ma problemów z gotówką.

Najmniejszych.

Transakcja została zawarta w rekordowym tempie dwóch dni, a bank potwierdził przekazanie pieniędzy.

Umowę podpisano na pół roku z góry, zamiast na kwartał, jak to było w zwyczaju.

O, tak, pomyślał pośrednik z agencji, machając panu Bryce'owi ręką na pożegnanie.

Będzie dzisiaj w biurze co oblewać.

BMW ruszyło spod biura agencji handlu nieruchomościami, wyjeżdżając ze Swindon i skręcając z rozwidlenia numer szesnaście na autostradę M4 w kierunku Londynu.

Johnny Bourne otworzył usta i wydobywszy spod policzków dwie różowe wkładki z gumy, wetknął je do plastikowej torby w schowku na rękawiczki, obok buteleczki ze "sztuczną skórą".

Dzięki wkładkom wyglądał tak, jakby dopiero co wyszedł od dentysty po bolesnym zabiegu, wypychały mu po prostu policzki, ale ktoś, kto nie znał jego normalnego wyglądu, odnosił wrażenie, że ma bardziej okrągłą twarz.

Ciemne szkła kontaktowe nie powodowały takiego swędzenia, jak przypuszczał.

Zdażył się już do nich przyzwyczać.

Musiał uważać, żeby nie zapomnieć ich zdjąć, a także uczesać włosy tak jak zwykle, bez przedziałka.

Potał dłoń o tapicerkę wozu.

Z palców zaczęła mu schodzić warstwa sztucznej skóry.

Trzy hale, które wydzierżawił, idealnie odpowiadały jego potrzebom.

Znajdowały się na końcu ślepej uliczki, w sąsiedztwie siedmiu pustych budynków.

Były odpowiedniej wielkości, leżały blisko autostrady M4, ale w mało uczęszczanym miejscu.

Bourne miał za sobą pracowity tydzień.

Najpierw poleciał do Liechtensteinu, aby utworzyć tam spółkę holdingową i przelać z anonimowego rachunku milion funtów na jej konto

w innym banku.

Potem wrócił do Anglii i zarejestrował trzy kolejne firmy z siedzibą w Zjednoczonym Królestwie.

Jedna miała zajmować się hurtową sprzedażą żywności, druga przewozami morskimi i transportem lądowym, a trzecia handlem.

Trzy agencje doradców prawnofinansowych załatwiały w trzech różnych miastach formalności i sprawy podatkowe, trzy drukarnie dostarczyły papier z firmowymi nagłówkami, druki faktur i resztę dokumentacji.

Potem nastąpił dalszy transfer funduszy, tym razem z rachunku spółki holdingowej w Liechtensteinie na nowo otwarte konta w trzech różnych brytyjskich bankach.

Wkrótce miało dojść do serii transakcji między założonymi właśnie firmami, aby przekonać banki o ich pomyślnej działalności.

Dyrektorzy banków nie będą wiedzieli, z jakimi dwoma partnerami prowadzi interesy każda ze spółek i pozostaną nieświadomi, że wszystkie trzy przedsiębiorstwa de facto ze sobą sąsiadują.

Z konta spółki holdingowej w Liechtensteinie będzie stopniowo ubywało pieniędzy.

Rzetelna kontrola wykaże, oczywiście, że nie przeprowadzano tam żadnych transakcji.

Będzie to jednak bez znaczenia.

Panowie Bryce i Hatcher oraz inni dyrektorzy znikną, zanim zacznie się jakiegokolwiek dochodzenie.

Tymczasem Bourne musiał pamiętać o swojej fryzurze, szklach kontaktowych, sztucznej skórze i tych cholernych wkładkach.

Gdyby Juliet go teraz zobaczyła...

Wolał nie myśleć o konsekwencjach.

Uśmiechnął się, przypominając sobie o dziewczynie i spostrzegł, że mimowolnie naciska mocniej pedał gazu.

Spokojnie, Johnny, powiedział do siebie w myślach, zwalnając.

Nie pędź tak.

Wiem, że chcesz jak najprędzej się z nią zobaczyć, ale głupio byłoby trafić do pudła za zbyt szybką jazdę...

18 W piątek dwudziestego dziewiątego listopada Howard dotarł do Edynburga samolotem, odlatującym w południe z Heathrow.

Odebrawszy bagaż poszedł do stanowiska firmy Avis, żeby dopełnić formalności, związanych z wypożyczeniem Forda Escorta, którego zamówił przez telefon.

Odjechał nim z lotniska i skierował się na północ autostradą M90, omijając nową obwodnicą Perth i skręcając na główną drogę A9 do Inverness.

Godzinę później zjechał w Dalwhinnie z A9 na A86, w kierunku Spean Bridge i Fort William.

Było zimno.

Samochód drżał momentami od silnych podmuchów północnego wiatru.

Za kwadrans czwarta zaczynało się już robić ciemno.

Zanim dotrze na miejsce, zapadnie zmrok.

Na drodze nie było prawie ruchu.

Krajobraz sprawiał posępne wrażenie.

Na odległych szczytach za Loch Laggan leżał śnieg.

Po chwili Howard stracił go z oczu, a gdy dojechał do Spean Bridge, niebo było już niemal zupełnie czarne.

Piętnaście kilometrów na południowy zachód znajdował się, niewidoczny w mroku i mgle, okrągły szczyt Ben Nevis.

Siedem i pół kilometra za Spean Bridge skręcił w boczną drogę do niewielkiego miasteczka Carvaig.

Trzy kilometry dalej był już tylko pojedynczy pas ruchu, z mijankami dla pojazdów, o których informowały białe znaki w kształcie

rombów.

Howard jechał powoli i ostrożnie.

W świetle reflektorów błyszcząły oczy owiec o czarnych pyskach.

Zwierzęta leżały grupkami w trawie na poboczu, nie zwracając uwagi na nadjeżdżający samochód i kilka razy Howard musiał się zatrzymać i trąbić, żeby zeszyły mu z drogi.

Wreszcie, tuż po piątej, zobaczył przed sobą w oddali rozproszone światełka, a dziesięć minut później dojechał do Carvaig.

Bez trudu odnalazł gospodę.

Wyróżniała się wśród około dwudziestu domów miasteczka.

Zaparkował samochód, wziął torby i zadzwonił do drzwi.

Otworzyła mu osiemnastoletnia dziewczyna o kasztanowych włosach, ubrana w dżinsy i gruby pulower.

Miała ładną twarz i mówiła z typowym dla mieszkańców zachodniego wybrzeża miękkim, śpiewnym akcentem.

- Dobry wieczór - odezwała się.

- Czym mogę służyć?

- Nazywam się Hatcher.

Edwin Hatcher.

Zarezerwowałem telefonicznie pokój na dwie noce.

Mam nadzieję, że to jeszcze aktualne?

- Ależ tak!

Oczywiście, panie Hatcher.

Przepraszam.

Proszę wejść!

Powinnam była wiedzieć, że to pan!

- oznajmiła z uśmiechem i pomogła mu wnieść bagaże.

Zakrzętnęła się koło Howarda, nie przestając mówić i serdecznie zapraszając go do środka.

Wprowadziwszy gościa do niewielkiego salonu poszła zrobić herbatę.

W tym momencie w drzwiach stanęła druga kobieta.

Uśmiechnęła się i wycierając ręce w fartuch podeszła się przywitać.

Była niska i szczupła.

Howard ocenił, że ma najwyżej czterdzieści lat.

- Witamy w Carvaig, panie Hatcher!

- powiedziała.

- Jestem Morąg Cameron, matka Sheili.

To z nią rozmawiał przez telefon, dzwoniąc w sprawie rezerwacji pokoju.

Miała miły, delikatny głos.

Była nieco zaskoczona, że ktoś chce spędzać w listopadzie weekend na takim odludziu.

Patrząc na nią Howard pomyślał, że jest bardzo atrakcyjna.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, zauważywszy jego pełne podziwu spojrzenie.

Były z córką uderzająco do siebie podobne.

Uścisnęła mu dłoń nadspodziewanie mocno.

Howard domyślił się, że musi zarabiać na życie ciężką pracą.

Jego pobyt w gospodzie podreperuje z pewnością rodzinny budżet.

Morąg Cameron zaprowadziła Howarda do pokoju na piętrze, który był nieduży, ale wygodny i wcale nie zmuszał do mieszkania w spartańskich warunkach.

Proste umeblowanie, pomalowane na kolorowo ściany, nieskazitelna czystość.

Howard pomyślał w pewnej chwili, że takie miejsce nadawałoby się znakomicie na letni wypoczynek.

Minęło wiele lat, odkąd był po raz ostatni w Szkocji.

Kiedy otworzył okno i dotarł do niego niepowtarzalny zapach ostrego powietrza, w którym wyczuwało się woń odległego morza, zaczęły odzywać dawne wspomnienia.

Odetchnął z przyjemnością i zabrał się do rozpakowywania rzeczy.

Pół godziny później, po gorącej kąpieli w cudownie miękkiej górskiej wodzie, zszedł do baru.

Pomyślał, że lepiej nie odwlekać tego, co ma do załatwienia.

Bar był jeszcze pusty.

Zacznie się zapełniać dopiero później.

Usiadł z książką w fotelu, jak odpoczywający po podróży turysta.

Córka Morąg podeszła do niego i zapytała, czy chciałby się czegoś napić.

Była wyraźnie zadowolona, gdy wybrał kosztowną whisky.

Przeprosił, że dodaje do niej odrobinę wody.

Będąc na południu nigdy by tego nie zrobił.

Woda pachniała tam tak silnie chlorem, że zabiłaby kompletnie przyjemny zapach trunku.

Dziewczyna uśmiechnęła się, słuchając tych wyjaśnień.

Howard był na razie jedynym klientem w barze i mogli sobie przyjaźnie pogawędzić.

Wiedział, że ciekawość w końcu weźmie w niej górę i w stosownym momencie miał gotową odpowiedź na uprzejme pytanie Sheili, dlaczego wybrał się do Carvaig w końcu listopada.

Powiedział jej, że przed laty przyjechał w te okolice z ojcem.

Miał wtedy dwanaście lat.

Ojca zaproszono na trzydniowe polowanie do posiadłości Glen Carvaig i postanowił po raz pierwszy zabrać ze sobą syna.

Chłopak wcale nie miał ochoty łązić po górach, ale cała wyprawa zrobiła na nim niezapomniane wrażenie.

Zawsze chciał odwiedzić ponownie to miejsce i dopiero teraz

nadarzyła się okazja.

- Można powiedzieć, że wracam do nostalgicznych wspomnień - stwierdził.

Było w jego opowiadaniu trochę prawdy, choć oczywiście nawet to, co faktycznie przeżył, wydarzyło się gdzie indziej.

Zapamiętał z mapy wystarczająco dużo szczegółów, żeby w razie potrzeby wymienić parę nazw szczytów Glen Carvaig, wiedział jednak, że gdyby dziewczyna pytała o nazwiska, może dojść do niezręcznej sytuacji.

- Cóż, bardzo lubimy, gdy odwiedzają nas ponownie starzy goście, panie Hatcher.

Och, przepraszam, nie chciałam przez to powiedzieć, że...

- Proszę się nie przejmować - odpowiedział z uśmiechem Howard.

- Ma pani całkowitą rację.

To wszystko zdarzyło się bardzo dawno temu.

Na długo przed pani urodzeniem.

Właściwie nawet pani matka była wtedy jeszcze dzieckiem.

Mam czterdzieści pięć lat, więc ona musi mieć o wiele mniej.

A z pewnością wygląda dużo młodziej niż ja.

Sheila Cameron chciała go jeszcze przeproszać, ale widząc, że naprawdę nie czuje się urażony, dała spokój.

Howard zmienił temat.

- Pomyślałem, że wybiorę się w dolinę.

Może jutro rano.

Zabrałbym ze sobą jakieś kanapki.

Czy taka wycieczka wymaga czyjegoś pozwolenia?

- Och, nie przypuszczam, panie Hatcher.

Jest już po sezonie polowań na jelenie, a odstrzał łań jeszcze się nie zaczął.

Jeżeli nie zejdzie pan ze szlaku, nic panu nie grozi.

Przygotuję panu kanapki.

Proszę mi tylko powiedzieć, z czym.

Mamy dobrą wołowinę, szynkę i ser.

- Może być wołowina.

Jest pani bardzo miła.

Jak dostanę się na miejsce?

Czy dojadę samochodem do myśliwskiego domku?

O ile pamiętam, jest przy drodze o kilka kilometrów stąd, prawda?

Nie mógł się mylić.

Miał wyraźnie przed oczami ten fragment mapy.

- Tak, da się tam dojechać samochodem.

Na pewno nie będzie nikomu przeszkadzało, jeśli zostawi go pan w ciągu dnia koło zabudowań.

Stamtąd prowadzi w dolinę bardzo wyboisty szlak i samochód na nic się nie przyda.

To ładny spacer - około piętnastu kilometrów wzdłuż rzeki, od myśliwskiego domku do skraju doliny.

Brama będzie z pewnością zamknięta, ale jest tam specjalna drabina oparta o ogrodzenie.

- Wspaniale.

Ale czy nie powinienem kogoś zawiadomić, zanim wyruszę sam na szlak?

Na przykład łowczego?

- Może spotka pan w myśliwskim domku Duncana, chyba że on też pójdzie w dolinę.

Duncan Macrae.

Jest właśnie łowczym.

Howard był przez chwilę zbity z tropu.

Duncan Macrae?

Nie o niego chodziło.

Czyżby trafił w niewłaściwe miejsce?

Zastanawiał się gorączkowo.

- W Glen Carvaig jest sporo lasów jak na jednego łowczego, prawda?

Sądziłem, że potrzeba tu dwóch ludzi.

- Tak, zgadza się.

Ale głównym łowczym jest Duncan.

Danny pracuje tylko dorywczo, w czasie sezonu polowań na jelenie. i oczywiście pomaga też przy odstrzeliwaniu łań.

- Danny?

- Danny MacDonald.

To...

to mój przyjaciel.

- Dziewczyna spuściła oczy i zaczęła wycierać szmatką nie istniejącą plamę na kontuarze.

Po chwili spojrzała znów na Howarda z pewnym zakłopotaniem i odwróciła wzrok.

Chciałabyś, żeby był kimś więcej niż przyjacielem, prawda? pomyślał Howard.

O Boże!

Jeszcze tego brakowało, jakby nie wystarczył romans Bourne'a z policjantką.

Spojrząwszy na lewą dłoń dziewczyny stwierdził z ulgą, że nie nosi pierścionka.

Na razie.

- Czy ten Danny to miły chłopak?

Zaczęła wychwalać go pod niebiosa.

Choćby chciała, nie potrafiłaby ukryć swoich uczuć.

Była w nim najwyraźniej zakochana.

Ich rodziny znały się i przyjaźniły od lat.

Kiedy Sheila miała zaledwie dziewięć lat, wydarzyła się tragedia.

Gdy pewnej deszczowej nocy, po spędzeniu wspólnego wieczoru w Fort William, ich rodzice wracali samochodem do domu, na jednopasmowej drodze wyskoczyła nagle zza zakrętu jadąca z naprzeciwka ciężarówka.

Samochód prowadziła matka Danny'ego.

Skręciła nagle, aby uniknąć kolizji.

Wóz zjechał z drogi, stoczył się po stromym zboczu, uderzył w skały kilkanaście metrów niżej i zaczął płonąć.

Siedząca z przodu matka Sheili ocalała, wypadłszy z samochodu, natomiast jej ojciec i rodzice Danny'ego zginęli.

Morąg Cameron - ze złamaną ręką i nogą - doczołgała się do drogi i dwie godziny później znalazł ją, skrajnie wyczerpaną z powodu zimna i szoku, przejeżdżający kierowca.

Sprawcy wypadku nigdy nie wykryto.

Kiedy Danny stracił rodziców, miał osiemnaście lat, a jego brat Fergus szesnaście.

Danny studiował w Edynburgu, a Fergus miał właśnie rozpocząć tam studia.

Podczas wakacji obaj pomagali ojcu, który był łowczym w Glen Carvaig.

Następca Johna MacDonalda na tym stanowisku wykazał się całkowitym brakiem odpowiedzialności.

Na szczęście został zwolniony już po dwóch latach, gdy rządca

majątku zastał go w łóżku o wpół do dwunastej w południe, pijanego jak bela.

Ale Danny zdążył już wcześniej zdrzeć z tym człowiekiem.

Szybko się na nim poznał, a ich złe stosunki wystarczyły, żeby stracił szansę na jedyną pracę, na której mu naprawdę zależało - posadę swego ojca.

Zanim ustalono, że to nie z winy Danny'ego dochodziło do konfliktów, wakujące stanowisko objął Duncan Macrae.

Duncan był dobrym łowczym i okazał się na tyle rozsądny, że polecił Danny'ego, chłopaka z gór, na swego następcę.

Od tej pory Danny mu pomagał.

Fergus, młodszy brat Danny'ego, ukończył studia z dyplomem inżyniera i dostał pracę w Aberdeen, w firmie zajmującej się wydobywaniem ropy na Morzu Północnym.

Potem wyjechał za granicę i ożenił się.

Rzadko bywał w domu.

Wkrótce zdarzyła się kolejna tragedia i Fergus już nigdy nie wrócił...

Howard nie pytał Sheili o szczegóły.

Widział, że jest przygnębiona i szybko powrócił do rozmowy na temat Dannyego.

Ze słów dziewczyny wyłaniał mu się powoli obraz młodego Szkota.

Chłopak był stanowczy, samodzielny, nieustępliwy, sprawny i silny - to wszystko przemawiało na jego korzyść.

Szczerłość też mogła okazać się zaletą.

Gorzej z jego nieokiełznanym temperamentem.

- Więc co Danny robi poza sezonem?

- zapytał Howard.

- Pracuje w sklepie sportowym swego wuja w Fort William.

Właściwie go prowadzi.

Wuj i ciotka...

no cóż, prawie nic już ich teraz nie obchodzi.

Danny zajmuje się wszystkim.

Howard odgadł, dlaczego wuj i ciotka przestali interesować się sklepem i nie pytał o nic więcej.

Alkohol był przekleństwem wielu mieszkańców gór.

Te długie zimowe wieczory, gdy tylko butelka pozwalała zapomnieć o samotności...

- Czy Danny mieszka z tymi ludźmi?

- zapytał.

- Nie.

Ma własny domek, który zostawiła mu babka.

- Tu, w miasteczku?

Spróbuję trochę ją podpytać, pomyślał Howard.

Ciekawe, co z tego wyniknie.

Spojrząwszy na niego dziwnie, Sheila powiedziała jakby od niechcienia: - Nie, mieszka przy drodze do Spean Bridge.

- Zaraz potem wyprostowała się, dodając energicznym tonem: -
Teraz, panie Hatcher, przygotuję panu kolację, zanim zrobi się tu tłoczno.

Na co ma pan ochotę?

Mogę polecić bardzo dobre pstrągi.

Świeże ryby okazały się wyśmienite.

Howard zamówił do nich butelkę białego wina.

Przyniosła mu je matka Sheili pytając, czy wszystko jest w porządku.

- Jak najbardziej, pani Cameron - odparł.

-To wspaniałe miejsce na wypoczynek.

Niczego mi tu nie brakuje.

- Uśmiechnęła się z zadowoleniem, zamierzając wrócić do kuchni,
ale Howard grzecznie ją zatrzymał.

- Pani Cameron, czy zechciałaby pani dotrzymać mi przez chwilę
towarzystwa?

Ma pani za sobą pracowity dzień, a ja długą podróż.

Może oboje trochę się odprężymy?

Morąg Cameron była wyraźnie zaskoczona.

Spojrząwszy w jego ciemne, obojętne oczy, stwierdziła nagle, że jest
w nich coś pociągającego.

- Bardzo pan miły, panie Hatcher - odparła.

- Właściwie czemu nie.

Odpochnę chwilę, zanim w barze zrobi się tłok.

Dziękuję.

- Zdjęła fartuch i usiadła.

Howard nalał jej do szklanki wina.

Przyjrzała się jego twarzy.

Jest przystojny, pomyślała, i skryty.

Na pewno sporo w życiu przeszedł...

Ma interesującą twarz.

Z tych jego ciemnych oczu niewiele można wyczytać.

Położyła łokcie na stole i oparłszy podbródek na smukłych rękach posłała mu chłodne, ale pełne ciekawości spojrzenie.

- Więc proszę mi wyjawić, panie Hatcher, co pana tu sprowadza?

Howard, mówiąc półgłosem, powtórzył historię, którą poznała już jej córka, a potem opowiadał Morąg Cameron o wielu innych sprawach, wspominał o swoich zainteresowaniach i pytał, czym ona się interesuje.

Rozmawiali tak przez pół godziny.

W pewnej chwili Morąg spojrzała na zegarek i zerwała się na równe nogi.

- Och, przepraszam, panie Hatcher.

Muszę wrócić do swoich obowiązków.

Nie zauważyłam, że zrobiło się tak późno.

- Howard wstał, gdy wyciągnęła do niego rękę, mówiąc z uśmiechem: - Dziękuję za drinka.

Przyjemnie mi się z panem gawędziło.

- Mnie z panią także, pani Cameron.

Bardzo miło spędziłem czas.

- Dobranoc, panie Hatcher.

Mam nadzieję, że będzie się panu wygodnie spało.

- Dobranoc, pani Cameron - odpowiedział, ujmując jej dłoń.

- A może pozwoli pani mówić sobie po imieniu?

Uśmiech nie zniknął całkowicie z jej twarzy, odwróciła się jednak i

odeszła bez słowa.

Howard usiadł ponownie i skończył pić wino.

Dziesięć minut później był już w swoim pokoju, próbując skoncentrować się na lekturze książki.

W ciągu następnej godziny zaczęły docierać do niego przez otwarte okno odgłosy z baru na dole.

Okoliczni mieszkańcy schodzili się powoli do gospody, aby uczcić koniec kolejnego pracowitego tygodnia.

O dziewiątej Howard miał wrażenie, że bar jest już pełny.

Zgiełk stopniowo narastał, a potem, gdy zbliżała się godzina zamknięcia lokalu, zaczął słabnąć.

Howard słyszał głosy i kroki odchodzących drogą ludzi, a nieco później trzask ryglowanego zamka we frontowych drzwiach.

Wreszcie pół godziny przed północą zapadła cisza.

Howard wstał z łóżka, otworzył drzwi sypialni i dotarł bezszelestnie po miękkiej wykładzinie do znajdującego się obok schodów na końcu korytarza awaryjnego wyjścia z tabliczką WSTĘP WZBRONIONY.

Prowadziło ono do trzech następnych pomieszczeń.

Spod drzwi jednego z nich sączyła się smuga światła.

Po chwili światło zgasło.

Gdy Howard cicho zapukał, znów się zapaliło, a w otwartych drzwiach stanęła Morąg Cameron.

Była w nocnej koszuli.

Uniosła brwi, wyraźnie zaskoczona.

Przez chwilę przyglądała mu się bez słowa.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, Howard objął ją, przyciągnął do siebie i zaczął całować.

Jego bliskość zrobiła na niej oszałamiające wrażenie.

Obejmował ją z taką siłą i namiętnością, że na moment straciła głowę, ulegając naglej, nieodpartej żądzy.

Potem odepchnęła go gwałtownie od siebie i cofnęła się o krok.

Jej oczy płonęły gniewem.

Wymierzony Howardowi policzek zabrzmiał jak trzask bicia.

Przyglądała mu się zdumiona, zobaczywszy że nawet nie drgnął.

Od silnego uderzenia zapiekła ją ręka, a on jakby niczego nie poczuł.

Gdy chciała spoliczkować go jeszcze raz, chwycił ją mocno za przegub.

Próbując uwolnić dłoń stwierdziła ze zdziwieniem, że nie może nią nawet poruszyć.

Howard podniósł do ust wskazujący palec, dając znak, żeby była cicho, po czym dotknął delikatnie jej ust.

Pogłaskał ją powoli, pieszczotliwie po policzku, a potem po szyi...

Morąg zadrżała i przymknęła oczy.

Howard rozluźnił żelazny uścisk.

Obejmował teraz dłońmi jej twarz i czuła, że znów ją do siebie przyciska.

Zarzuciła mu ręce na szyję i przylgnęła do niego, przestając stawiać opór, ulegając jego sile...

O Boże, nikt jeszcze jej tak nie całował...

Opadli powoli na miękką wykładzinę.

Niemal bezgłośnie zatrzasnęły się za nimi drzwi.

Gdy Ed Howard przywarł do Morąg Cameron całym ciałem, zaczęło ogarniać ją podniecenie, jakiego dawno nie doświadczyła.

Jęknęła cicho, mocno go obejmując i wpijając palce w jego plecy.

Gdy po chwili znowu jęknęła, tym razem głośniejszym głosem, Howard zasłonił jej usta ręką.

Czuła dotyk jego warg na uchu, a potem na szyi.

Doznawała niewysłowionej rozkoszy, cudownego, nieznanego od lat uniesienia.

Prężyła się, wydając stłumione okrzyki, drżąc i wyginając plecy, aby wchłonąć go w siebie.

Wreszcie opadła łagodnie, mokra od potu, zrelaksowana jak nigdy dotąd.

On jednak wcale nie znieruchomiał.

Znów ogarniało ją powoli podniecenie.

Było to zdumiewające.

Splatali się w namiętym uścisku.

Teraz ona leżała na górze.

Poczuła kolejną falę ekstatycznego uniesienia.

Było jeszcze silniejsze niż przedtem, upajające do granic wytrzymałości.

Czuła się tak, jakby za chwilę miała umrzeć.

Potem znowu wszystko odpłynęło...

Boże, jakie to było cudowne, wspaniałe...

ale on jeszcze nie skończył...

chyba nigdy nie przestanie...

nie wiem, czy wytrzymam dłużej...

Otworzywszy oczy zobaczyła, że Ed baczenie się jej przygląda.

Westchnęła z rozkoszy.

Znowu przylgnął ustami do jej warg.

Tym razem był to czuły, delikatny pocałunek.

Objął ją pieśczołliwie, a potem szepnął jej coś do ucha.

Oczy Morąg zajaśniały radością.

Pocałowała go jeszcze raz, namiętnie.

Przeniósł ją na łóżko, zdejmując najpierw narzutę.

Morąg wyciągnęła do niego rękę.

Położył się obok niej.

Po chwili, czule objęci, zaczęli rozmawiać, starając się mówić szeptem, żeby nie zbudzić śpiącej w sąsiednim pokoju Sheili.

Morąg pogrążała się powoli we śnie, skulona w ramionach Eda.

Usłyszała jeszcze, jak mruczy jej cicho do ucha, że nikt nie ma

piękniejszej twarzy niż ona...

O piątej rano Ed Howard wyszedł ostrożnie z łóżka.

Wiatr ustał, więc na dworze było cicho i spokojnie.

Pocałował Morąg w czoło.

Poruszyła się i uśmiechnęła przez sen.

Stał chwilę przy łóżku, przyglądając się w bladej poświacie księżycy jej twarzy.

Nie była już zatroskana.

Morąg miała naprawdę piękną twarz, jak młoda dziewczyna.

Tak, bardzo piękną...

Opuściwszy sypialnię Morąg Cameron równie cicho, jak do niej wszedł, Howard wrócił korytarzem do swego pokoju, czując w głowie dziwny zamęt.

19 Dwudziestego dziewiątego listopada minął dokładnie tydzień, odkąd Harris i Denard przybyli do Teksasu.

Przejechali wypożyczonym Chryslerem prawie półtora tysiąca kilometrów, włączając się na pozór bez celu po południowych rejonach stanu.

Po dotarciu na miejsce wynajęli pokój w motelu na przedmieściach San Antonio i Harris rozłożył na stole dokładną lotniczą mapę południa Teksasu i pogranicza Meksyku.

Denard aż jęknął, widząc zaznaczone na niej lotniska.

- Jezu!

Ileż ich tu jest!

Czy wszyscy Teksasńczycy mają własne samoloty?

- Ma je wielu ludzi, Andy - odparł Harris.

- Są tu duże odległości i rozległe przestrzenie.

Teksas jest kilka razy większy od całego Zjednoczonego Królestwa.

Wiele osób używa samolotu zamiast samochodu, więc mają tu sporo lotnisk.

Myślę, że należałoby spróbować najpierw tutaj, na południu.

Na początek skoncentrujmy się na obszarze w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od San Antonio, blisko granicy meksykańskiej.

Obejrzyj mapę i wybierz parę miejsc, które warto by odwiedzić.

Godzinę później Denard był gotowy.

Pozakreślawszy na mapie flamastrami różnokolorowe znaki przywołał Harrisa do siebie.

- A więc tak.

To duże, czerwone kółko oznacza obszar w promieniu dokładnie stu pięćdziesięciu kilometrów od międzynarodowego lotniska w San Antonio.

Jest w tym rejonie jeszcze jedno takie lotnisko, w Austin.

Oba możemy sobie darować.

Oprócz tego jest piętnaście dużych lotnisk, które mają więcej niż jeden pas startowy i nadają się do obsługiwanie ciężkich maszyn.

Pięć z nich to bazy amerykańskich sił powietrznych, więc można je pominąć, a pozostałe są zbyt duże z punktu widzenia naszych potrzeb i chyba też nie warto się nimi zajmować.

Facet, którego szukamy, musi korzystać z jakiegoś mniejszego lotniska.

Przejdźmy do tych, które zaznaczyłem na żółto.

Zgodnie z oficjalną klasyfikacją są to także duże lotniska, ale zalicza się do nich automatycznie każdy obiekt z betonowym pasem startowym o

długości powyżej dziewięciuset metrów.

Kategoria ta obejmuje więc ruchliwe lotniska pasażerskie w małych miastach i prywatne lądowiska, obsługujące ranczo albo pole naftowe.

Na wszystkich mogą w zasadzie lądować bez problemu odrzutowce.

Nie tylko Leary, ale także większe maszyny - zależy to tylko od wyposażenia lotniska.

Trudno, żeby Boeing 727 lądował w miejscu, gdzie jedynym urządzeniem nawigacyjnym jest rękaw powietrzny, a do gaszenia pożaru służy wiadro z wodą.

Niektóre z tych lotnisk mogą obsługiwać średniej wielkości samoloty pasażerskie, inne są tylko prywatnymi lądowiskami.

W promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od San Antonio mamy sześćdziesiąt jeden takich miejsc.

I wreszcie najbardziej chyba interesująca nas kategoria: nieduże lądowiska.

Są bardzo różne, ale nie nadają się dla dużych maszyn.

Samoloty muszą tam lądować na ziemi albo na betonowym pasie o długości poniżej dziewięciuset metrów.

Wiele z tych miejsc jest w prywatnych rękach, ale część należy do klubów lotniczych, drobnych przewoźników, firm zajmujących się spryskiwaniem upraw, i tak dalej.

Na mapie zaznaczono, że niektóre lądowiska nie są już używane, ale nie musi to być zgodne z prawdą.

Mamy w czym wybierać.

Jest ich sto czterdzieści siedem, co daje w sumie dwieście dwadzieścia pięć lotnisk w promieniu zaledwie stu pięćdziesięciu

kilometrów.

- Nie starczy nam czasu, żeby je wszystkie obejrzeć - stwierdził Harris, marszcząc brwi.

- Nie możemy ograniczyć się tylko do niektórych?

- Owszem - odparł Denard.

- Proponuję zrezygnować z pewnych rejonów.

Spójrz na mapę.

Miejsca zaznaczone na niebiesko to tereny wojskowe, głównie w pobliżu baz amerykańskich sił powietrznych, takich jak Randolph w San Antonio czy Randolph Q bardziej na wschód.

Baza Laughlin leży dużo dalej na zachód, już poza naszym czerwonym kółkiem, ale obejmuje zasięgiem działania interesujący nas obszar.

Nie oznacza to zakazu lotów, są one jednak pod kontrolą i podlegają pewnym rygorom, mniej lub bardziej surowym, w zależności od tego, czy zagrażają interesom wojska.

Myślę, że zrezygnujemy z szukania czegokolwiek w tej strefie.

Pozwala to nam wykluczyć duże obszary na wschodzie, południu i zachodzie.

Zacniemy tutaj, na północy.

- Dobrze.

Od jutra bierzemy się do roboty - stwierdził Harris, ziewając.

- Zdajesz sobie sprawę, że w Anglii jest teraz czwarta rano?

Idę się zdrzemnąć.

W ciągu następnych sześciu dni odwiedzili kilkadziesiąt lotnisk.

Niektóre były zaskakująco duże i nowoczesne, inne okazały się niemal opuszczone.

Harris zaliczył sześć lekcji pilotażu z sześcioma różnymi instruktorami, a Denard trzy razy wynajmował lekkie maszyny na półgodzinne loty.

Przelecieli się też dwukrotnie z grupami turystów.

Rozmawiając jednak później z właścicielami lub pilotami maszyn musieli ich wszystkich wykluczyć.

Trzej napotkani piloci poszukiwali pracy, ale pozostali mieli najwyraźniej satysfakcjonujące ich, stałe zajęcie.

Zresztą nawet ci trzej, z którymi mogli wiązać jakieś nadzieje, nie spełniali wymagań.

Dwóch miało ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a trzeci był człowiekiem około sześćdziesiątki.

- To prawda, co mówią o Teksasie - narzekał Denard, gdy odjeżdżali, znów niczego nie załatwiwszy.

- Nie widziałem tu jeszcze żadnego faceta mojego wzrostu.
- Mamy mnóstwo czasu - uspokoił go Harris.
- Musi być w tej okolicy ktoś niższy, kto zechce zarobić bez wysiłku sto tysięcy dolarów.

Oczywiście, gdybyś nie był takim kurduplem, mielibyśmy większy wybór.

W piątek dwudziestego dziewiątego dotarli po południu na lotnisko w Los Morelos, czterdzieści pięć kilometrów na północny zachód od Austin.

Duże tablice przy wjeździe informowały o ofertach różnych przewoźników: wynajem samolotów, lekcje pilotażu, turystyczne przeloty nad rzekami Liano i Colorado, usługi transportowe, taksówki powietrzne.

Lista obejmowała wiele pozycji.

- Wygląda obiecująco - mruknął Harris.
- Mówiłeś to już ze dwadzieścia razy - zauważył Denard.

Harris podjechał do ośrodka kontroli lotów i zaparkował samochód.

Obaj mężczyźni wysiedli i weszli do środka.

Było tam jedynie dwóch ludzi: dyspozytor za kontuarem i rozciągnięty w fotelu mężczyzna, który pił kawę ze styropianowego kubka.

Harris podszedł do kontuaru i powiedział: - Zauważyliśmy, że reklamujecie loty nad rzeką Colorado.

Czy chodzi o Wielki Kanion?

Dyspozytor był grzeczny i usłużny.

- Nie, proszę pana - odparł.
- To inna rzeka.

Wielki Kanion jest w Arizonie.

Ale tutaj też mamy piękne okolice.

Godne polecenia.

- W porządku - zgodził się Harris.

- Trzeba robić rezerwację, czy możemy polecieć od razu?

- Te usługi świadczy Dań Woods albo jego wspólnik, Gene Barcus.

Mają firmę "Przeloty nad rzeką".

Obaj są teraz zajęci.

Wrócą za dwadzieścia minut.

Dań leci za godzinę z dwiema kolejnymi osobami, więc będzie dla panów miejsce.

Harris zerknął na zegarek i wzruszył ramionami.

Stracą dodatkowo czas.

Denard spojrzał na niego, jakby chciał powiedzieć: "dlaczego nie?" i Harris odwrócił się do dyspozytora.

Czekając mogli obserwować wchodzących ludzi.

Łatwo będzie rozpoznać wśród nich pilotów.

Harris miał właśnie odezwać się do człowieka za kontuarem, gdy usłyszał za sobą głos wypowiadający słowa z charakterystycznym teksańskim akcentem.

- Możecie pogadać z Rayem Sullivanem.

- Harris i Denard odwrócili się.

Siedzący w fotelu mężczyzna odstawił styropianowy kubek i powoli wstał.

- Ma biuro na skraju lotniska.

Zaprowadzę panów.

To niedaleko.

I tak zresztą się tam wybierałem.

Harris i Denard spojrzeli na siebie, po czym Harris powiedział "w porządku" i obaj wyszli za nieznajomym z budynku.

Dyspozytor był z tego wyraźnie niezadowolony.

- Czym zajmuje się ten Sullivan?

- zapytał Denard, gdy szli po płycie lotniska.

Kilkaset metrów dalej znajdował się stary metalowy barak, przed którym stała dwusilnikowa Cessna.

Na ścianie baraku widniał duży biało-czerwony napis: RAY SULLIVAN - USŁUGI LOTNICZE.

- Ten facet zrobi wszystko, o co pan poprosi - odparł nieznajomy w odpowiedzi na pytanie Denarda.

- Pracuje na własny rachunek i lubi swoją robotę.

Jest dobrym pilotem.

I sam konserwuje maszynę.

To stary samolot, ale nieźle się spisuje.

Harris i Denard znów na siebie spojrzeli, podążając za nieznajomym.

Kiedy dotarli na miejsce, ich przewodnik wszedł bez pukania do baraku bocznymi drzwiami.

W środku nie było nikogo.

W jednym rogu stało niewielkie biurko z telefonem i stertą papierów.

Reszta pomieszczenia zavalona była różnym sprzętem.

Panował totalny bałagan.

Nieznajomy odwrócił się, wyciągając do nich rękę.

- Witam panów!

Miło, że wpadliście.

Ray Sullivan, do usług.

- Uśmiechnął się szeroko, dodając: - Przepraszam za tę sztuczkę, ale naprawdę potrzebuję roboty.

Harris popatrzył znów na Denarda, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Gdy półtorej godziny później wysiedli z Cessny, Sullivan zabezpieczał jeszcze samolot przed nocą, a Harris i Denard odbyli krótką rozmowę.

- I co sądzisz?

- zapytał Harris.

- Jak oceniasz jego umiejętności?

- Jest w porządku - odparł Denard.

- Pytałem go o papiery.

Ma ważną licencję, pełne kwalifikacje zawodowego pilota i spore doświadczenie.

115 - Giyba się nada - stwierdził Harris z błyskiem w oczach.

- Jest zrównoważony i opanowany, a poza tym nie ukrywał, że przydałoby mu się trochę forsy.

Pogadajmy z nim.

- Mel, ten facet przewyższa mnie o parę centymetrów.

Fakt, że widzę pewne podobieństwo, ale ja jestem blondynem, a on ma ciemne włosy i do tego wąsy.

- Coś ci powiem, kolego - oznajmił Harris.

- Zabierzmy go na piwo i trochę pogadamy.

Upewnimy się, czy ma w porządku wszystkie papiery, a jak będzie OK, zaproponujemy mu robotę.

Jeżeli się zgodzi, pójdziemy jutro na zakupy.

Dostaniesz piękne kowbojskie buty na wysokich obcasach, wielki kapelusz i farbę do włosów.

Możesz już zacząć zapuszczać wąsy.

Zgoda?

Tego wieczoru Ray Sullivan, wzbogaciwszy się nagle o dziesięć tysięcy dolarów w gotówce, machał na pożegnanie mężczyznom siedzącym w Chryslerze, który odjeżdżał sprzed baru na peryferiach miasteczka Granite Shoals.

Jego dwaj nowi przyjaciele, panowie Hoskins i Dackman, powiedzieli mu właśnie, co czeka go w najbliższej przyszłości.

Miał zostać na razie w Los Morelos, nie szastając pieniędzmi, by nie zwracać na siebie uwagi.

Po świętach Bożego Narodzenia znacznie zwijać interes i sprzeda cały swój majątek, to znaczy Cessnę.

W połowie marca przeprowadzi się na jakiś czas do mieszkania w okolicach Houston lub Pasadeny.

Zadzwoń stamtąd do pana Dackmana i dowiedz się, kiedy ma lecieć do Londynu.

Nastąpi to pod koniec marca albo na początku kwietnia.

Miesiąc później będzie mógł już wieść dostatnie życie w dowolnym miejscu świata.

Może gdzieś na Dalekim Wschodzie...

20 Ubrawszy się odpowiednio na wycieczkę w góry Howard zjadł bez pośpiechu śniadanie.

Nie spotkał nigdzie Morąg.

Wziął kanapki, które zrobiła dla niego Sheila Cameron i udał się samochodem do domku myśliwskiego w Glen Carvaig.

Dotarł tam bez trudu, skręcając w odpowiednim miejscu na asfaltowy podjazd.

W pobliżu domu nie było nikogo.

Zaparkował wóz, włożył wysokie buty i wyruszył w kierunku doliny, zabierając mapę i lornetkę.

Szlak piął się niezbyt stromo wzdłuż koryta rzeki Carvaig.

Półtora kilometra dalej stare lasy sosnowe ustąpiły miejsca rosnącym rzadziej brzozom.

Potem drzewa zupełnie zniknęły, tylko na zboczach pojawiały się czasem samotna jarzębina, a na brzegu rzeki pojedyncze sosny i dęby.

Po ostatnich deszczach rzeka wezbrała i spływające z gór po obu jej

stronach potoki wyróżniały się białą barwą na tle monotonnej zieleni i brązu traw, mchu i wrzосу oraz szarości i czerni sterczących z ziemi granitowych skał.

Był to niezmienny od wieków krajobraz.

Wspaniałe wzniesienia z zaokrąglonymi wierzchołkami, wznoszące się na wysokość ponad siedmiuset metrów, należały do najstarszych na świecie.

Na zboczach pasły się pojedyncze stada jeleni i Howard przystawał kilkakrotnie, aby przyrzeć się im przez lornetkę.

O tej porze roku zwierzęta nie odważały się już zapuszczać zbyt wysoko.

Z nadejściem chłodów, gdy zniknęły z dolin dokuczające im w lecie muchy i komary, zaczęły schodzić stopniowo na zimowe pastwiska na niższych zboczach i nad rzeką.

Widział, że jelenie przypatrują mu się z zainteresowaniem.

Ich bystre oczy dostrzegły go z odległości ponad półtora kilometra, na długo przedtem, nim on je zobaczył.

Nie były szczególnie zaniepokojone jego obecnością, chociaż jedno ze stad oddaliło się, gdy podszedł na odległość kilkuset metrów.

Wspiąwszy się z łatwością i bez pośpiechu na wzgórze, zwierzęta zniknęły mu wkrótce z oczu.

W ciągu niecałych dwóch godzin Howard dotarł szybkim krokiem do opuszczonej stajni na skraju doliny, gdzie kończył się szlak.

Był tam ogrodzony wybieg, na którym w sezonie polowań zamykano kucyki.

Zbudowaną z kamienia stajnię krył zardzewiały dach z karbowanej blachy, przez który - dla ochrony przed silnym wiatrem - przerzucono grube druty, obciążając je z obu stron dużymi kamieniami.

Deszcz lał już na dobre i zaczynała opadać mgła.

Howard wszedł do stajni, aby zjeść kanapki z wołowiną.

Wyjrząwszy przez otwarte drzwi pomyślał, że dla wielu ludzi taka ulewa na pustkowiu stanowiłaby ponury widok.

On jednak, czując przyjemne odprężenie po spacerze, był nim zachwycony.

Morąg usłyszała jak przez sen natarczywe pukanie do drzwi sypialni.

Jeszcze nie do końca obudzona, przeciągnęła się leniwie.

Pukanie nie ustawało.

- Mamo?

Czy wszystko w porządku?

Jest wpół do jedenastej.

Mamo?

Morąg natychmiast oprzytomniała.

Spojrzała na zegarek przy łóżku i próbowała się podnieść, ale przyszło jej to z trudem.

Boże, jak mi dobrze, pomyślała, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Tak, kochanie, wszystko w porządku - odpowiedziała sennym głosem.

- Po prostu mocno spałam.

Byłam zmęczona.

Zejdę za pół godziny.

- Dobrze - odparła Sheila, trochę bez przekonania.

To nie było w stylu jej matki.

Na ogół wstawała o świcie.

Nie miała zwyczaju się wylegiwać.

No cóż, na pewno jej to nie zaszkodzi, pomyślała dziewczyna i zeszła na dół.

Usłyszawszy kroki córki na schodach Morąg zaśmiała się cicho.

Gdyby Sheila wiedziała...

Przeciągnęła się jeszcze raz.

Boże, czuję się doskonale.

Co za wspaniały mężczyzna...

Po kilku minutach zmusiła się, żeby wstać z łóżka.

Początkowo miała nogi jak z waty.

Potem wróciły jej siły.

Poszła półprzytomna do łazienki i zaczęła napełniać wannę gorącą wodą.

Spojrząwszy w lustro stwierdziła ze zdziwieniem, że uśmiecha się.

Boże, wszystko po mnie widać!

pomyślała, po raz pierwszy od lat przyglądając się sobie.

Właściwie nieźle wyglądam...

Całkiem nieźle.

Zwłaszcza dziś rano...

Weszła do wanny i zanurzywszy się z przyjemnością w gorącej wodzie leżała bez ruchu, zadowolona z życia i w pełni odprężona.

Miała wrażenie, że jej ciało promienieje.

Dwadzieścia minut później była już ubrana.

Założywszy pulower z kołnierzykiem polo, który zasłaniał ślady namiętnych pocałunków Howarda, zeszła do kuchni.

Sheila spojrzała na nią dziwnie.

- Nigdy się tak nie wylegiwałaś, mamó.

Ale chyba dobrze ci to zrobiło.

Wyglądasz na wypoczętą.

Morąg odwróciła się do niej tyłem, aby ukryć uśmiech i zaczęła wkładać do lodówki poranne zakupy.

- Chyba było mi to potrzebne, Sheilo.

- O Boże, jak bardzo, pomyślała, z trudem powstrzymując wesołość.

- Gdyby mała wiedziała...

Ale nie, nie można na to pozwolić.

- Chodźmy już, w barze czekają goście.

Trzeba się nimi zająć.

A propos gości - dodała jakby mimochodem - gdzie jest pan Hatcher?

- Poszedł na spacer w dolinę, tak jak zamierzał.

Powiedział, że wróci wieczorem.

- W porządku - odparła cicho Morąg, pogrążona w myślach.

Sheila popatrzyła na nią z zaciekawieniem.

Jej matka, zazwyczaj taka energiczna i rzeczowa, była dziwnie rozkojarzona.

Dziewczyna postanowiła zdobyć się na odwagę.

W końcu co miała do stracenia?

- Mamo?

- zapytała nieśmiało.

- Czy mogłabym jutro wyjść?

- Trzymała prawą rękę za plecami, mocno zaciskając palce.

Zgódź się, mamo, błagała ją w myślach.

Proszę!

- Dobrze, kochanie - odparła bez wahania jej matka.

- Dlaczego nie.

W porządku - powtórzyła, wychodząc z kuchni.

- Nie widzę problemu.

Sheila patrzyła za nią zdumiona.

Złatwiła sprawę nadspodziewanie łatwo.

Matka wyraziła zgodę - tak po prostu.

Nie zapytała nawet, dokąd się wybiera, a zwykle trzymała ją tak krótko.

Dziewczyna uniosła ze zdziwieniem brwi i poszła za matką do baru.

Kilka minut później, serwując drinki, Morąg uśmiechnęła się do córki i zapytała, jakby kontynuując rozmowę: - Z kim chcesz się jutro spotkać, moja droga?

- Dzwoniłam dziś rano w pewnej sprawie do Danny'ego.

Zapytał, czy nie poszłabym z nim na spacer.

Mam nadzieję, że mi pozwolisz.

To tylko spacer.

Błagam, mamó, nie zmieniaj teraz zdania...

Od tak dawna miałam nadzieję, że któregoś dnia zechce gdzieś ze mną pójść...

- Danny MacDonald?

- powiedziała Morąg uśmiechając się.

- To miły chłopak.

Tak, bardzo miły.

Dobrze, kochanie.

- Och, dziękuję, mamó!

- zawołała Sheila, obejmując matkę za szyję i ściskając ją.

- Dziękuję!

Howard zamknął drzwi stajni i ruszył w powrotną drogę do samochodu.

Padający bez przerwy deszcz przemoczył go wkrótce do suchej nitki.

Zwykle nie lubił moknąć, ale tym razem mu to nie przeszkadzało.

Schodząc ścieżką wzdłuż doliny myślami wędrował gdzieś daleko.

Dotarwszy na dół zobaczył myśliwski domek.

Trzydziestokilometrowy spacer zajął Howardowi cztery godziny, łącznie z przerwą na zjedzenie kanapek.

Pobyty na świeżym powietrzu sprawił mu ogromną przyjemność.

Doskonale rozumiał, dlaczego ta dzika, bezludna dolina stanowi tak magnetyczną pokusę dla ludzi pokroju MacDonalda.

Dotarwszy do myśliwskiego domku wyjął z samochodu torbę z suchymi rzeczami i przebrał się w przybudówce, służącej do rąbania drewna na opał.

Ze stodoły za domem wyszedł niski, krępy mężczyzna.

Miał pod pięćdziesiątkę.

Jego szeroka twarz sprawiała przyjazne wrażenie.

Był to Duncan Macrae, główny łowczy.

Howard przedstawił się jako Edwin Hatcher.

Wy tłumaczył swoją obecność, mówiąc, z jaką przyjemnością przeszedł się po górach i wyrażając nadzieję, że w niczym nie przeszkadza.

Macrae był miły i uprzejmy.

Gdy zaprosił Howarda do domu na herbatę, ten chętnie się zgodził i obaj mężczyźni rozmawiali przez pół godziny o Szkocji i polowaniach.

W końcu Howard przeprosił swego gospodarza i wyszedł, dziękując mu wylewnie za gościnę.

Wsiadłszy do Forda Escorta ruszył z powrotem w kierunku Carvaig.

Przejeżdżając przez wioskę minął gospodę i wkrótce dotarł do głównej drogi, która prowadziła ze Spean Bridge do Fort William.

Był na miejscu tuż przed drugą i zostawiwszy samochód na parkingu koło stacji poszedł przejść się po mieście.

Przeglądając w gospodzie książkę telefoniczną dowiedział się, że w Fort Williams są cztery sklepy sportowe.

Rano wynotował sobie ich adresy.

Jeden ze sklepów od razu wykluczył, gdyż znajdował się naprzeciwko stacji, a nie przy samej High Street.

Odnalazł tę ulicę, przeszedłszy przez jezdnię i minąwszy hotel "Alexandra".

Na wystawie pierwszego sklepu z listy widniało sportowe obuwie, dresy, deskorolki i sprzęt do windsurfingu.

W środku młody chłopak i dziewczyna obsługiwali parę nastolatków.

Sprzedawca był szczupły, miał najwyżej dwadzieścia lat, a przycięte krótko z tyłu i z boków włosy opadały mu na czoło i oczy.

Howard udał się pod następny adres.

Drugi sklep przy High Street mieścił się o dwieście metrów dalej.

Na wystawie leżało mnóstwo sprzętu turystycznego: buty, nieprzemakalna odzież, ekwipunek dla alpinistów, przybory wędkarskie, latarki, scyzoryki, plecaki i namioty - istny raj dla miłośników biwakowania.

Howard przeszedł do trzeciego, niewielkiego sklepu, gdzie

sprzedawano głównie sprzęt dla wędkarzy.

Zdecydowanie nieciekawą wystawę odgradzało od wnętrza lokalu przepierzenie, a na szybie w drzwiach wisiała żaluzja, przez którą nie było niczego widać, Howard otworzył więc drzwi i wszedł do środka.

Dość ponury i mało rozmowny sprzedawca w wieku około sześćdziesięciu lat pokazał mu muszki do łowienia pstrągów, o które go poprosił.

Howard kupił dwie z nich i wyszedł.

Wsiadłszy do samochodu pojechał z powrotem do drugiego sklepu i zaparkował pięćdziesiąt metrów przed nim.

Wóz był ustawiony przodem na wschód, w kierunku Spean Bridge.

Howard czekał, siedząc za kierownicą.

Około wpół do piątej zatrzymało się przed sklepem duże Volvo kombi.

Kierowca wysiadł i wszedł do środka.

Pięć minut później pojawił się ponownie.

Za nim szedł wysportowany, mniej więcej trzydziestoletni mężczyzna, niosąc dwa pudła amunicji śrutowej kalibru 12.

W każdym było po dwieście pięćdziesiąt naboii.

Chłopak załadował pudła do samochodu klienta i pomachawszy mu ręką na pożegnanie wrócił do sklepu.

O piątej wyszedł, zamykając drzwi na kłódkę, skręcił kilka metrów dalej w boczną uliczkę, wsiadł do zaparkowanej tam niebieskiej Toyoty pickup i odjechał.

Howard ruszył za nim w kierunku Spean Bridge, trzymając się dość blisko.

Sześć kilometrów za Fort William kierowca Toyoty włączył prawy kierunkowskaz i skręcił w ledwie widoczną bramę.

Howard zwolnił, pozwalając mu zjechać z drogi.

Reflektory Toyoty oświetlały przez moment tabliczkę z nazwą domu.

Howard przejechał jeszcze kilkaset metrów, po czym zawrócił do Fort William, zatrzymał się na stacji benzynowej na peryferiach miasta i wszedł do budki telefonicznej.

W spisie abonentów północnej Szkocji figurowały pod nagłówkiem "MacDonald, D." sto osiemdziesiąt trzy osoby.

Piętnastu z tych ludzi mieszkało w Fort Williams.

Howard odszukał szybko adres Glenside Cottage.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił odpowiedni numer.

Howard wyszedł z budki telefonicznej, wsiadł do Escorta i ruszył z Fort William w kierunku Spean Bridge.

Dziesięć minut później wjechał w bramę domu MacDonalda, wysiadł z wozu i dotarł krótką zwirowaną ścieżką do frontowych drzwi.

Blondyn, który mu otworzył, wydawał się wysportowany-jak przystało na zawodowego tropiciela zwierzyny - choć gruby pulower i sztruksy ukrywały jego atletyczną budowę.

Przez moment mierzyli się wzrokiem.

Howarda uderzyła bladość jego szaroniebieskich oczu - były niemal przezroczyste.

- Pan MacDonald?

Jestem Peter Hanbury.

Przed chwilą rozmawialiśmy przez telefon.

Dziękuję, że zgodził się pan mnie przyjąć.

- Danny MacDonald.

Bardzo mi miło.

Proszę wejść, panie Hanbury.

- Podali sobie ręce i MacDonald wprowadził Howarda do niewielkiego salonu.

- Proszę usiąść.

Napije się pan herbaty?

- Chętnie.

- Gdy MacDonald wyszedł do kuchni, Howard rozejrzył się po pokoju.

Salon był skromnie umeblowany.

Pod oknem przy ścianie stał duży stół warsztatowy, na którym walały się narzędzia, puszki, butelki i rozmaity sprzęt.

Howard pomyślał, że nie widać tam obecności kobiety.

Przynajmniej na razie.

Poza warsztatem w salonie były dwa krzesła, zwykły stół, telewizor i stary radioodbiornik.

Na kominku płonął ogień, najwyraźniej niedawno rozpalony, gdyż w pokoju panował chłód.

Na ścianach wisiały powiększone zdjęcia górskich pejzaży.

Howard rozpoznał wzgórze Glen Carvaig.

Jedyny osobisty akcent stanowiły dwie oprawione w ramki czarnobiałe fotografie na kominku.

Jedna przedstawiała mężczyznę i kobietę w wieku około trzydziestu lat z dwoma chłopcami, sześć - i ośmioletnim.

Na drugiej byli ci sami chłopcy jako nastolatki.

Uśmiechali się radośnie do obiektywu, stojąc gdzieś na zboczu wysoko nad doliną.

MacDonald wrócił do salonu z dwoma kubkami herbaty.

- Proszę, panie Hanbury.

Niech pan usiądzie.

Howard odebrał od niego kubek i zajął miejsce na krześle.

- Otóż, panie MacDonald - zaczął - jak już wspomniałem przez

telefon, współpracuję z pewnym amerykańskim czasopismem, które jest chętnie czytane przez myśliwych i miłośników broni w Stanach.

Dostarczam głównie opowiadań i anegdot na temat polowań, tropienia zwierzyny, i tak dalej.

Amerykanie to kochają.

Dowiedziałem się przypadkiem o pańskim fenomenalnym strzale i pomyślałem, że mogłaby z tego być ciekawa historia.

Proponuję panu za nią pięćdziesiąt funtów.

Dopóki Howard mówił, MacDonald cierpliwie go słuchał, a potem skinął głową i rzekł: - Nie widzę problemu.

Co konkretnie chce pan wiedzieć?

- Pułkownik opowiadał mi już o polowaniu.

- Howard kłamał; nie znał pułkownika - rozmawiał tylko ze Stonerem.

- Może więc skoncentrujemy się na samym strzale.

Muszę przyznać, że ta historia brzmiała dość niewiarygodnie - chociaż nie odniosłem wrażenia, żeby pułkownik przesadzał.

Naprawdę mu pan zaimponował.

- Pułkownik jest dżentelmenem - stwierdził McDonald - i znakomitym strzelcem.

Po prostu miał pecha.

Jeleń poruszył się akurat w chwili, gdy padł strzał.

Kula minęła płuca i utkwiała mu w brzuchu.

Rzucił się do ucieczki razem z łaniami i zobaczyliśmy go znowu dopiero wtedy, gdy był jakieś czterysta pięćdziesiąt metrów od nas.

- Ale dlaczego strzelał pan z takiej odległości, jeśli jeleń jeszcze biegł?

- zapytał Howard, pochylając się do przodu i obserwując bacznie MacDonalda.

- Słuszne pytanie, panie Hanbury - odparł MacDonald.

- Byłem właściwie pewien, że trafię.

Nie musiałem koniecznie strzelać, bo jeleń i tak wkrótce by osłabł i padł.

Ale dotarlibyśmy do niego dopiero po godzinie, albo i później, a nie lubię, kiedy zwierzę niepotrzebnie cierpi.

Strzał był o wiele łatwiejszy niż mogłoby się wydawać.

Sprzyjały mi okoliczności.

Po pierwsze, wiał tylko lekki wiatr, i to dokładnie w naszym kierunku.

Na przykład, strzelając z tego dystansu przy bocznym wietrze o prędkości dziewięciu kilometrów musiałbym uwzględnić odchylenie lotu pocisku rzędu trzydziestu centymetrów.

- MacDonald przerwał, by sprawdzić reakcję Howarda.

Widząc, że ten kiwa głową ze zrozumieniem, ciągnął dalej: - Po drugie, nietrudno jest ocenić, z jaką prędkością porusza się zwierzę.

Jeleń biegł jedenaście lub dwanaście kilometrów na godzinę, a więc - biorąc pod uwagę nachylenie zbocza - wspinał się w górę niewiele ponad metr na sekundę.

Przy odległości czterystu pięćdziesięciu metrów czas lotu pocisku wynosił trochę poniżej trzech czwartych sekundy, należało więc celować mniej więcej metr powyżej punktu, w który chciałem trafić.

Howard nadal kiwał głową, więc MacDonald kontynuował swój wywód.

- Pozostaje jeszcze sprawa odległości.

Mając pewne doświadczenie można oszacować ją dość dokładnie, ale przy strzelaniu z dystansu prawie pół kilometra błąd w ocenie rzędu pięćdziesięciu metrów może oznaczać, że pocisk przeleci trzydzieści lub więcej centymetrów w górę lub w dół od celu.

W normalnych warunkach, gdy nie zna się dokładnej odległości, trudno liczyć nawet na trafienie zwierzęcia, nie mówiąc już o zabiciu go jednym strzałem.

- A więc?

- zapytał Howard.

- Dlaczego był pan taki pewny sukcesu?

- To proste - odparł MacDonald.

- Widzi pan, jeleni wspiął się niemal pionowo pod górę, dokładnie na wprost nas, pokazując cały grzbiet.

Strzał, który trafiłby go w obrębie mniej więcej jednej trzeciej długości kręgosłupa, czyli w dowolne miejsce między karkiem a ósmym kręgiem piersiowym, musiał okazać się śmiertelny.

Rozumie pan, do czego zmierzam?

Niewielki błąd w ocenie odległości nie miałby istotnego znaczenia.

Cel był wąski, ale wysoki na pół metra.

Przy zastosowaniu karabinu przestrzelanego na niecałych dwieście metrów pocisk kalibru.275 trafiłby z odległości czterystu pięćdziesięciu metrów sto dwadzieścia pięć centymetrów poniżej punktu celowania.

Powiedzmy, że sto dwadzieścia.

Dodajmy do tego metr wyprzedzenia, gdyż w trakcie lotu pocisku zwierzę ciągle biegło naprzód.

Należało zatem celować nieco więcej niż dwa metry powyżej środka górnej części kręgosłupa.

Mierzyłem półtora metra ponad łbem jelenia.

Moje wyliczenia okazały się prawidłowe.

Kula trafiła go w kark, tuż nad łopatką.

Fakt, strzał był niezły, ale wcale nie ryzykowny.

Przynajmniej teoretycznie - dodał.

- Praktyka wygląda zupełnie inaczej.

Howard wydawał się zbity z tropu.

- Co pan ma na myśli?

- Dobrze jest znać teorię - odparł MacDonald - ale w górach nie można siedzieć na zboczu i wyliczać wszystkiego z kalkulatorem w ręku.

Warto, oczywiście, pamiętać pewne fakty i liczby, żeby wiedzieć, na co zwracać uwagę.

Ale jeśli zapyta pan dobrego strzelca, który musi podjąć natychmiastową decyzję, jaką bierze poprawkę na wiatr, ruch zwierzęcia czy odległość, powie panu, że to niemal wyłącznie kwestia instynktu.

Albo się go ma, albo nie.

Gdyby pułkownik spytał mnie wtedy, jak daleko celowałem przed jelenia, nie potrafiłbym mu powiedzieć.

Wyliczyłem to sobie dopiero później.

- A jednak był pan pewien trafienia?

MacDonald przytaknął.

- Owszem, byłem.

- Milczał przez chwilę, przyglądając się Howardowi.

- To w każdym razie wszystko na temat samego strzału, chyba że ma pan jeszcze jakieś wątpliwości.

Howard był zachwycony.

Tropiciel wykazał się niepodważalną wiedzą i fachowością.

- Nie, panie MacDonald.

Wyjaśnił mi pan wszystko bardzo dokładnie.

Nie miałem problemów ze zrozumieniem.

- Tak przypuszczałem, panie Hanbury.

- MacDonald zmrużył oczy i teraz on również pochylił się naprzód, bacznie obserwując twarz Howarda.

- Więc proszę mi powiedzieć, co pana tu naprawdę sprowadza.

Nie jest pan żadnym dziennikarzem.

Nie podał mi pan tytułu swojego amerykańskiego czasopisma, nie robił pan wcale notatek i nie interesowało pana nic poza techniką strzału.

Każdy dziennikarz panu powie, że dobry artykuł to coś więcej niż opis technicznych szczegółów.

Jechał pan za mną wieczorem, a potem wrócił pan do budki telefonicznej, żeby do mnie zadzwonić i umówić się na spotkanie.

Ktoś odpowiadający pańskiemu rysopisowi zamieszkał w gospodzie w Carvaig i pytał o mnie i o tę okolicę.

Myślę, panie Hanbury - a może panie Hatcher, czy jak się tam pan naprawdę nazywa - że należą mi się jakieś wyjaśnienia.

Dopóki MacDonald mówił, Howard starał się za wszelką cenę zachować powagę.

Nie wytrzymał jednak długo.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

22 Podawszy MacDonalldowi swoje prawdziwe nazwisko Howard oznajmił, że ma dla niego interesującą ofertę i przeprosił za wprowadzenie go w błąd.

MacDonald skinął głową.

Howard powiedział, że zanim wyjaśni mu dokładnie, o co chodzi, chciałby ustalić, czy zadanie jest w ogóle wykonalne.

MacDonald był zaintrygowany i zaskoczony, ale nie odnosił się już do swego gościa tak nieufnie, jak na początku.

- Postawmy sprawę jasno, panie Howard.

Chce pan wiedzieć, czy istnieje teoretyczna możliwość trafienia w cel o średnicy piętnastu centymetrów z odległości około tysiąca stu metrów, tak?

- Zgadza się.

- Rozumiem.

No cóż, w teorii jest to możliwe.

Korzystając z wysokiej klasy wyborowego karabinu dalekiego zasięgu, przy zastosowaniu bardzo dobrej amunicji i przestrelaniu broni na tę odległość, można teoretycznie uzyskać rozrzut w granicach pół minuty kątowej, czyli jednego centymetra na dystansie dziewięćdziesięciu metrów.

Z odległości tysiąca stu metrów ewentualny błąd będzie prawie dwanaście razy większy, a więc seria strzałów trafiłaby w obręb koła o średnicy poniżej piętnastu centymetrów.

Ale w praktyce nie jest to takie proste.

Musielibyśmy przede wszystkim zakładać, że snajper bezbłędnie wystrzeli.

Nie drgnie mu ręka, idealnie wyceluje i zachowa zimną krew.

A trzeba brać pod uwagę jeszcze wiele innych czynników.

- Na przykład?

- Załóżmy na początek, że używa pan pocisku dużego kalibru, który ma bardzo opływowy kształt i osiąga znaczną szybkość, czyli o wiele większego i szybszego niż stosowane przez NATO standardowe pociski kalibru 7,62 mm.

Nie miałby pan zresztą innego wyboru.

Standardowy pocisk kalibru 7,62 mm wytraca szybkość po przebyciu około ośmiuset metrów - potem leci z prędkością okołodźwiękową.

Słyszał pan na pewno o problemach, jakie mieli pierwsi piloci przekraczający barierę dźwięku.

Ich samoloty traciły w tym momencie sterowność.

To samo dzieje się z pociskiem.

Jego lot przestaje być stabilny i nie można mieć nadziei na dokładne trafienie.

Gdy cel znajduje się w bardzo dużej odległości, trzeba wystrzelić pocisk z potężną siłą, aby po przebyciu tysiąca stu metrów leciał nadal z prędkością naddźwiękową.

Ale należy uwzględniać także inne czynniki.

Stosunkowo niewielką rolę odgrywa wilgotność powietrza, temperatura i ciśnienie.

Zmiany wilgotności możemy w zasadzie pominąć.

Nawet gdy są one znaczne, pocisk wystrzelony z dystansu tysiąca stu metrów trafi w cel z dokładnością do dwóch centymetrów.

Tak niewielkiej różnicy można nie brać pod uwagę.

O wiele istotniejsza jest temperatura powietrza.

Przy odległości tysiąca stu metrów różnica jednego stopnia Celsjusza zwiększa rozrzut o jakieś dwa centymetry.

Tak więc, na przykład, gdy od świtu do południa temperatura wzrośnie o dziesięć lub więcej stopni, różnica ta wyniesie dwadzieścia centymetrów.

Margines błędu jest zatem większy niż średnica celu.

- Jest aż tak duży?

Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Niestety.

I mówię tu o bardzo szybkim pocisku.

W przypadku pocisku kalibru 7,62 mm, który leci o wiele wolniej i jest mniejszy, różnica będzie jeszcze istotniejsza.

- Cholera, wiedziałem, że temperatura ma znaczenie, ale żeby aż takie...

- Howard potarł z namysłem podbródek.

Zaczynał żałować, że nie skorzystał z zaproszenia Stonera na strzelnicę do Bisley, żeby zobaczyć w akcji snajperów.

- Niestety - kontynuował MacDonald - to dopiero początek.

Zajmijmy się teraz ciśnieniem atmosferycznym.

Wpływa na nie pogoda i wysokość terenu.

Te dwa czynniki ściśle się ze sobą wiążą.

Rozumie pan chyba, co mam na myśli.

Im wyżej, tym niższe ciśnienie.

Na tej zasadzie działa większość wysokościomierzy.

Z określeniem wysokości sprawa jest prosta - odczytuje się ją z mapy, a potem znajduje odpowiednie parametry w tabelach.

Najogólniej mówiąc, przy jej zmianie o trzydzieści metrów, czyli przy dwóch milibarach różnicy w ciśnieniu atmosferycznym, strzał z odległości tysiąca stu metrów trafi około dwa centymetry od celu.

Wahania ciśnienia wynikające ze zmian pogody wynoszą często trzydzieści milibarów lub więcej, a trzeba dobrej mapy, żeby odczytać z niej wysokość terenu z dokładnością do trzydziestu metrów.

Im wyżej, a zatem im niższe ciśnienie, tym rzadsze powietrze.

Stawia ono mniejszy opór i prędkość lotu pocisku nie maleje tak szybko.

Grawitacja ma zatem niniejszy wpływ na pocisk, ponieważ szybciej dosięgnie on celu.

Trafi więc wyżej niż gdyby leciał na mniejszej wysokości i przy większym ciśnieniu.

Czy to jasne?

- Myślę, że tak - odparł Howard.

MacDonald imponował mu.

Najwyraźniej znał się na rzeczy, a potrzebne fakty i liczby miał w jednym palcu.

- W porządku - ciągnął Szkot.

- Teoretycznie więc, jeśli karabin został przestrelony przy chłodnej pogodzie, powiedzmy w temperaturze dziesięciu stopni Celsjusza, na określoną odległość strzału w południowej Anglii, dziewięćdziesiąt metrów nad poziomem morza, nie należy oczekiwać, że broń ta będzie równie celna w ciepły dzień w górach Szkocji.

Na wysokości czterystu pięćdziesięciu metrów, przy temperaturze dwudziestu stopni Celsjusza, pocisk wystrzelony z dystansu tysiąca stu metrów przeleciałby sześćdziesiąt do dziewięćdziesięciu centymetrów ponad celem o średnicy piętnastu centymetrów, całkowicie chybiając.

Oczywiście w przypadku mniejszych odległości nie występują aż takie różnice, a poniżej trzystu metrów można się nimi w ogóle nie przejmować.

Proszę jednak pamiętać, że mówimy cały czas o specjalnie dobranym pocisku odpowiedniego kalibru, wystrzelonym z wyjątkowo dużą szybkością.

Przy korzystaniu z amunicji NATO kalibru 7,62 mm margines błędu byłby o wiele większy.

Chyba zaczyna pan już rozumieć, jak łatwo jest nie trafić do celu o średnicy kilkunastu centymetrów, prawda?

- Owszem.

- Howard odczuwał już pewne zaniepokojenie.

Sprawa była o wiele bardziej skomplikowana niż przypuszczał.

- To jeszcze nie wszystko - oznajmił MacDonald.

- Słyszał pan o tak zwanym efekcie Magnusa?

- Nie.

Czy ma to coś wspólnego z ruchem obrotowym Ziemi?

MacDonald uśmiechnął się.

- Nie.

Na szczęście przy korzystaniu z ręcznej broni tym nie musimy się przejmować.

Chodzi o wirowanie pocisku.

Bruzdy w lufie karabinu wprawiają go w spiralny ruch, który zapewnia stabilność lotu.

Ruch ten jest zwykle prawoskrętny, czyli zgodny z kierunkiem wskazówek zegara.

Pocisk ma wtedy tendencję do zbaczania w prawo.

Na szczęście znając odległość można dokładnie przewidzieć zmianę jego kursu.

Przy rozpatrywanej odległości tor lotu pocisku, o którym mówimy, odchyli się wskutek efektu Magnusa o około dwie minuty kątowe, czyli sześćdziesiąt centymetrów - całkiem sporo.

Należy wprowadzić korektę, przestawiając odpowiednio celownik w lewo.

- Nie miałem o tym pojęcia - przyznał Howard, marszcząc brwi.

- A gdyby trzeba strzelać z góry?

- Nie jest to aż takie trudne, jak by się mogło wydawać - odparł MacDonald.

- O jaką wysokość chodzi?

- Powiedzmy, że stanowisko strzeleckie jest sześćdziesiąt metrów nad celem - powiedział Howard.

- To sporo, prawda?

- Na pozór tak.

Ale nie przy odległości, o której mówimy.

Łatwo to wyliczyć.

Pomyślmy...

- MacDonald zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- No tak.

Strzał zostanie oddany pod kątem dwóch - trzech stopni.

Z odległości tysiąca stu metrów pocisk trafi kilkanaście centymetrów powyżej celu.

Musiałbym zrobić dokładniejszą kalkulację, ale nie będzie to duża różnica.

- Pocieszająca wiadomość - mruknął Howard.

- Proszę na razie nic nie mówić, bo najgorsze ciągle przed nami - stwierdził MacDonald.

- Są jeszcze dwa parametry, o wiele istotniejsze.

Wpływają bardzo na celność strzału i mają ogromne znaczenie.

Wspomniałem już o nich, opowiadając panu o polowaniu na jelenia.

Mam na myśli odległość i prędkość wiatru.

Jeśli choć trochę pomylił się pan w ocenie, wszystko na nic.

Dam panu przykład.

Cały czas mówimy, oczywiście, o naszym super-szybkim pocisku.

Odległość nie stanowi zwykle problemu, gdy korzysta się ze strzelnicy, wiedząc z dokładnością do jednego metra, jak daleko jest tarcza.

Problem pojawia się wtedy, gdy nie mamy na ten temat ścisłych informacji.

Podkreślam: ścisłych.

Założmy, że pomylił się pan w ocenie rozważanej przez nas odległości o sto metrów.

Na otwartej przestrzeni byłby to i tak niezły wynik.

Powiedzmy, że oszacował pan odległość na tysiąc dwieście metrów.

Przypuśćmy też, że ocenia pan prędkość wiejącego z prawej strony wiatru na osiemnaście kilometrów, ale gdzieś między panem a celem jest

ona zupełnie inna.

Przy tym dystansie to nie tylko możliwe, ale bardzo prawdopodobne, zwłaszcza na nierównym terenie.

Na płaskim zresztą także.

Obserwuje się to na morzu.

W bezwietrzny na pozór dzień widać miejscami zmarszczki na powierzchni wody.

Ale powiedzmy, że pomylił się pan w ocenie prędkości wiatru średnio o dziewięć kilometrów - co przy takiej odległości wcale nie jest dużym błędem.

Czy zdaje pan sobie sprawę, o ile chybiony byłby strzał do celu o średnicy kilkunastu centymetrów?

- Proszę mi powiedzieć - rzekł Howard z posępną miną.

- Pocisk przeleciałby o jakieś dwa metry za wysoko i ponad metr w bok.

O tyle by pan spudłował.

Czy wyrażam się jasno?

- O Boże - jęknął Howard.

- Nie miałem pojęcia, że sprawa wygląda aż tak źle.

- Oczywiście, da się temu zaradzić - pocieszył go MacDonald.

- Zawodnicy strzelający do tarczy mają o wiele łatwiejsze zadanie.

Jak już wspomniałem, znają z dokładnością do jednego metra odległość do celu.

Poza tym wzdłuż strzelnicy ustawione są zwykle flagi, aby było wiadomo, w jakim kierunku wieje wiatr.

No i, rzecz jasna, wolno im strzelać na próbę, żeby sprawdzić

ustawienie celownika.

Zwykle robią to dwa lub trzy razy bezpośrednio przed rozpoczęciem zawodów.

- Określę dokładniej warunki - powiedział Howard.

- Powiedzmy, że znamy wysokość terenu z dokładnością do trzydziestu metrów, możemy odczytać ciśnienie atmosferyczne, temperaturę oraz wilgotność i uwzględnić te...

- Chwileczkę - przerwał mu MacDonald.

- Ustalenie niezbędnych parametrów na podstawie tablic i wzorów matematycznych wymaga czasu.

Potrzeba na to około dwudziestu minut.

- Musiałoby wystarczyć pięć - stwierdził Howard.

- Nie ma szans.

Chyba że opracuje się wcześniej wszelkie możliwe warianty.

Zająłoby to wiele dni.

Ale pominął pan na razie kwestię odległości i prędkości wiatru.

- Moglibyśmy ustawić jedną lub dwie małe flagi.

Nie więcej.

Na temat odległości nic nie potrafię powiedzieć.

Założmy, że określimy ją z dokładnością do czterdziestu kilku metrów.

Co to daje?

- Taki wynik byłby bardzo precyzyjny.

Sam nie wiem...

- MacDonald zastanawiał się głęboko.

- W ciepły dzień moglibyśmy ewentualnie wykorzystać do ustalenia kierunku wiatru zjawisko mirażu...

- Co pan ma na myśli?

- zapytał Howard.

- Musiał pan o tym słyszeć - odparł MacDonald.

- Promieniujące z ziemi ciepło nagrzewa powietrze i powoduje jego drganie, co przy strzale z dużej odległości zniekształca obraz celu.

Pływa on jakby, poruszając się w górę i w dół, a jego dolna część czasem wręcz zanika.

Podczas upału może to praktycznie uniemożliwić celny strzał, ale jeśli odkształcenie jest niewielkie, obserwacja ruchu gorącego powietrza pomaga bardzo w ocenie prędkości wiatru.

- Ach tak...

- Howard zastanawiał się przez chwilę.

- Czy upał nie przeszkodzi przypadkiem snajperowi w wykonaniu

zadania?

- Nie powinno mieć to większego wpływu, założmy w każdym razie
- powiedział MacDonald - że da się oszacować dokładnie odległość i prędkość wiatru.

Co z próbnymi strzałami?

- Jak to?

- Ile próbnych strzałów może oddać snajper, zanim będzie musiał trafić w cel o średnicy piętnastu centymetrów?

- Ani jednego.

- Ma trafić od razu?

- Właśnie.

- Panie Howard - powiedział MacDonald, kręcąc głową i uśmiechając się, jakby ich rozmowa przestała mieć sens.

- Powiem panu wprost, że w tych okolicznościach - przy najłżejszym choćby wietrze i znanej tylko w przybliżeniu odległości - nawet najlepszy snajper na świecie nie miałby szansy oddać celnego strzału za pierwszym razem.

Byłoby bardzo dobrze, gdyby trafił w cel o średnicy dwóch metrów - nie wspominając o kilkunastu centymetrach.

Wcale nie przesadzam.

Mówię szczerze, że to niewykonalne.

Gdyby towarzyszył mu naprawdę doświadczony celowniczy z odpowiednim sprzętem, mógłby trafić za drugim, trzecim albo czwartym strzałem, po zastosowaniu niezbędnych korekt.

Ale za pierwszym razem?

Nie ma mowy.

- Nie da się w jakiś sposób określić dokładnie odległości?

- Można by to zrobić za pomocą precyzyjnego dalmierza.

Wygląda pan na wojskowego.

Czy wojsko dysponuje takim sprzętem?

Mają dalmierze laserowe?

Zdaje się, że coś o nich słyszałem.

- Pierwsze konstruowano dla czołgów - wyjaśnił Howard.

- Są bardzo ciężkie.

Nie przypuszczam zresztą, żeby cywil mógł zdobyć takie urządzenie.

Teraz produkuje się już mniejsze, ale otrzymują je tylko specjalistyczne jednostki.

- Howard zastanawiał się przez chwilę.

Dzięki swoim kontaktom w SBS mógłby dostać taki dalmierz, ale wolał nie próbować.

Dartington miał rację nalegając, by nie kontaktować się z siłami bezpieczeństwa.

- Nie sądzę, żebym czymś takim dysponował - powiedział.

-Trzeba chyba zrezygnować z tego pomysłu.

Nie ma innego sposobu?

- Cóż, jeśli w pobliżu celu jest obiekt o znanych nam rozmiarach, można dość dokładnie określić odległość, mierząc odpowiedni kąt za pomocą lornetki z siatką nitek.

Na ogół wykorzystuje się do tego sylwetkę człowieka przeciętnego wzrostu.

Ale błąd w ocenie rzędu dwóch centymetrów oznacza przy rozpatrywanym przez nas dystansie niedokładność blisko dwudziestu

metrów.

Dla bardziej precyzyjnego pomiaru trzeba by dysponować o wiele większym obiektem.

Moim zdaniem należy się liczyć z błędem rzędu co najmniej pięćdziesięciu metrów.

Przy tej odległości pocisk będzie obniżał lot o jakieś dwa centymetry na każdym dodatkowym metrze.

Pomyłka o pięć metrów - nie mówiąc już o pięćdziesięciu - wystarczy, aby chybić.

- Czy jest inny sposób na...

- Chwileczkę - przerwał mu MacDonald.

- Przyszło mi coś do głowy.

Można by użyć dalmierza optycznego.

Jest duży, ale dość dokładny - przy tej odległości błąd pomiaru może wynieść najwyżej dwa - trzy metry.

Przyrząd działa na zasadzie rozszczepienia obrazu.

Namierza się jakiś pionowy obiekt i obraca pokrętle tak, aby ustawić jego dolną i górną połowę w jednej linii.

Potem odczytuje się na skali odległość.

Dobra myśl.

Powinienem był wcześniej na to wpaść.

- Łatwo jest zdobyć taki przyrząd?

- Ma go mój wuj.

To stary marynarski instrument, który jego ojciec przywiózł z wojny.

Bawiłem się nim w dzieciństwie.

Jest duży, ciężki, nieporęczny i bardzo zabytkowy, ale działa.

Przynajmniej tak było dotychczas.

Chyba wuj jeszcze się go nie pozbył.

- Dobrze - odparł z ulgą Howard.

- A co z wiatrem, gdybyśmy nie mogli używać flag?

- Musimy koniecznie określić jakoś jego prędkość.

Najlepszy byłby zwykły anemometr.

A najlepiej kilka.

Wie pan, to te przyrządy z trzema czaszami, które obracają się na wietrze.

Trzeba by je umieścić w kilku różnych punktach wzdłuż trasy lotu pocisku, a przy każdym postawić człowieka, który odczytywałby pomiary i przekazywał je przez radio.

Można dostać takie małe, podręczne wiatromierze.

Byłyby o wiele lepsze niż flagi.

- Świetnie!

- wykrzyknął Howard.

- Mam znajomego elektronika.

Jestem pewien, że potrafi przerobić dwa lub trzy anemometry w taki sposób, by podawały drogą radiową prędkość wiatru.

Nie możemy stawiać przy nich ludzi.

Muszą być zdalnie sterowane.

- Dlaczego nie może ich ktoś obsługiwać?

- Panie MacDonald, zanim odpowiem na to pytanie, chcę wiedzieć tylko jedno.

Czy mając do dyspozycji dalmierz, anemometr, gotowe tablice temperatur, i tak dalej, trafiłby pan w cel za pierwszym strzałem?

MacDonald myślał przez chwilę, po czym rzuciwszy Howardowi pełne ciekawości spojrzenie odparł ostrożnie: - Tak, panie Howard.

Myślę, że miałbym szansę.

Oczywiście, nie mogę niczego gwarantować.

Nikt nie dałby panu gwarancji.

Ale przy dobrej pogodzie byłoby to wykonalne.

Przy silnym, porywistym wietrze albo w deszczu, który przesłaniałby cel, mogłoby być bardzo trudno.

- MacDonald spojrział teraz wprost na Howarda i pochylił się do przodu.

- Przypuszczam, że nie pyta pan o to wszystko bez powodu.

Może idzie o jakiś zakład i dlatego zadał pan sobie tyle trudu, żeby mnie odszukać i wybadać.

Przypuszczam, że ma to coś wspólnego z facetem z Bisley, który ciągle do mnie pisze i próbuje mnie namówić, żebym zasilił jego drużynę

strzelecką.

Mam rację?

Twarz Howarda pozostała niewzruszona.

- No cóż - kontynuował MacDonald.

- Nie mam nic przeciwko zakładom, jeśli tylko pan za wszystko płaci.

Właściwie taka próba sił mogłaby być ciekawa.

Musiałbym, oczywiście, ustalić typ karabinu i amunicji.

Tylko jedna firma na świecie produkuje specjalistyczną broń, nadającą się do tego rodzaju zadań.

Ale - dodał stanowczym tonem - jeżeli myśli pan o ściągnięciu mnie na stałe do tej drużyny strzeleckiej, radzę dać sobie spokój.

Nie interesuje mnie o to.

Wysłuchałem pana cierpliwie, panie Howard.

Teraz proszę o rewanż.

O co tu chodzi i cóż to za tajemniczy cel o średnicy piętnastu centymetrów, w który miałbym trafić?

Howard odpowiedział cicho, patrząc MacDonalldowi w oczy: - Trochę się pan myli, panie MacDonald.

Nie chodzi o zakład.

To poważna sprawa.

Śmiertelnie poważna.

Celem jest człowiek.

- Co?!

- MacDonald zerwał się na równe nogi, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

Po chwili poczerwieniał z gniewu i zaczął wygrażać Howardowi palcem.

Z trudem panował nad swoim głosem.

- Myślisz, szaleńcu, że nie zgłoszę policji, co mi proponujesz?

Howard mówił nadal cichym, opanowanym głosem.

- Celem jest Saddam Hussajn.

MacDonald nagle pobladł i natychmiast usiadł, otwierając usta ze zdumienia.

Howard obserwował z uwagą, jak targają nim sprzeczne uczucia.

Z twarzy tego człowieka można było wszystko wyczytać.

W ciągu kilku sekund Howard dowiedział się o nim więcej niż podczas godzinnej rozmowy.

Szaroniebieskie oczy MacDonalda nabierały stopniowo intensywnie błękitnej barwy.

Howard nie pamiętał, by ktoś przyglądał mu się kiedykolwiek z taką uwagą.

Kiedy MacDonald odzyskał w końcu głos, odezwał się ledwo dosłyszalnym szeptem: - Proszę powiedzieć, że pan nie żartuje.

Proszę!

- Mówię najzupełniej poważnie, panie MacDonald.

To nie żarty.

Dobrze pan o tym wie.

i znam trzy powody, dla których nie pójdzie pan na policję.

- Howard celowo zerknął w bok.

MacDonald dostrzegł jego spojrzenie i zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

Na rękach i czole wystąpiły mu żyły, gdy syknął przez zaciśnięte zęby: - Ty draniu!

Ty skończona kanalio!

Wiedziałaś, że się zgodzę, prawda?

Tak, zrobię to.

Zrobię!

Morąg leżała w łóżku, czując mocne bicie serca.

Czy przyjdzie znowu do jej pokoju?

Czy skończy się na jednej cudownie szalonej nocy?

Czy jego wyznania były szczerze?

Wiedziała, że tak.

Na pewno.

Na pewno...

Drzwi otworzyły się niemal bezgłośnie.

Nagle był znów przy niej i pochylał głowę, aby ją pocałować.

Podniosła się, wyciągając ku niemu ręce...

O Boże, pomyślała.

Sam dotyk jego ciała, siła jego ramion...

Zaraz potem poczuła, że znów traci panowanie nad sobą.

Chwyliła jego dłoń, kładąc ją sobie na ustach i popłynęła na fali rozkoszy...

Howard wyszedł od niej dopiero o wpół do siódmej.

Wróciwszy do swojego pokoju spał do dziewiątej, a potem wstał i spakował się, gotowy do drogi.

Sheila podała mu na dole śniadanie.

Widział, że dziewczynę coś trapi.

Ciągle spoglądała na zegarek.

Przyszło mu do głowy, że mogła ich usłyszeć, odrzucił jednak tę myśl.

- Czy coś się stało, Sheilo?

- zapytał ostrożnie.

Dziewczyna była wyraźnie zakłopotana.

- Och nie, panie Hatcher - odparła pośpiesznie.

- Wszystko w porządku.

Zastanawia mnie tylko, gdzie się podziewa mama.

Zwykle wstaje wcześniej, a ja muszę dzisiaj wyjść...

- Zamilkła zmieszana.

- Nie musisz zostawać z mojego powodu - powiedział.

- Jeśli chcesz wyjść, chętnie tu chwilę posiedzę, poczytam sobie gazetę i zaczekam, żeby pożegnać się z twoją matką.

Sheila spojrzała na Howarda.

Przestała już odnosić się do niego podejrzliwie.

Był uprzejmy, taktowny i wcale nie sprawiał kłopotów.

Czuła się trochę winna, że doniosła o jego wizycie Danny'emu, ale

miała przynajmniej pretekst, żeby zadzwonić do tego chłopaka i w rezultacie mogła się z nim teraz spotkać...

- Gdyby nie miał pan nic przeciwko temu...

- powiedziała, uśmiechając się.

Howard odwzajemnił jej uśmiech.

- Idź już.

I bardzo dziękuję za troskliwą opiekę.

- Wstał, aby podać jej rękę.

- Pobyt w waszym domu sprawił mi wielką przyjemność.

Większą niż sądzisz.

Mam nadzieję, że któregoś dnia tu wrócę.

Zaczerwieniła się i powiedziawszy mu "do widzenia" pospiesznie wyszła.

Patrzył przez okno, jak odjeżdża swoją Fiesta, a potem odwrócił się i poszedł na górę.

Zapukał do drzwi sypialni Morąg.

Kiedy je otworzył, przeciągnęła się i uśmiechnęła radośnie na jego widok, po chwili jednak usiadła przerażona na łóżku.

- Ed!

Oszalałeś?

Sheila nas zobaczy!

Uspokoił ją gestem ręki i podszedł, aby usiąść na skraju łóżka.

- Nie ma obawy - rzekł.

- Sheila pojechała gdzieś na cały dzień.

Jesteśmy w gospodzie sami - tylko we dwoje.

- Pocałował ją.

- Przyszedłem się pożegnać.

Muszę już wracać.

Objęła dłońmi twarz Howarda, spoglądając mu głęboko w oczy.

- Nie myślisz chyba, że spoufalam się w ten sposób ze wszystkimi gośćmi - powiedziała.

- Gdyby tak było, miałabyś kłopoty - odparł, szeroko się uśmiechając.

- Czy mogę znów kiedyś cię odwiedzić?

- Jeśli tego nie zrobisz, ty będziesz miał kłopoty - odparła czule.

- Do widzenia, mój nieznajomy.

- Do widzenia, Morąg - powiedział cicho.

Objęli się mocno, a potem Howard wyszedł.

Howard wracał do Edynburga pogrążony w myślach.

Oddał wypożyczony samochód i wsiadł w samolot do Londynu.

Była niedziela pierwszego grudnia.

Siedząc w samolocie zdał sobie sprawę, że nie zapomni szybko wydarzeń minionego weekendu.

Udało mu się zwerbować Danny'ego MacDonalda, został więc zakończony ostatni etap przygotowań.

Poza tym spotkał Morąg...

Fakt, że niepotrzebnie ryzykował i łatwo mógł narazić na niepowodzenie całą akcję.

Musiał przyznać, że nie było to godne profesjonalisty.

Ale ona miała w sobie coś takiego...

jakiś nieodparty urok...

W poniedziałek rano pojechał do Swindon.

Bob Usher sprawdzał towary, które dostarczono do hali numer osiem.

Bourne siedział przy biurku w kantorze, zajęty papierkową robotą.

Hala, w której układano równymi rzędami sterty skrzyń i palet, zaczęła przypominać magazyn.

W rogu stał wynajęty podnośnik widłowy z podłączonym do sieci akumulatorem.

Howard wszedł do biura.

- Cześć, Johnny.

Jak leci?

- Nieźle.

Jesteśmy do przodu z harmonogramem.

Mel i Andy wrócili wczoraj rano z Teksasu.

Zdaje się, że znaleźli odpowiedniego pilota.

- Bourne opowiedział Howardowi o Sullivanie.

- Chyba dobrze trafili.

Czy Mikę się odezwał?

- Nie.

Jest w Stanach już od tygodnia.

Mogą być trudności z dostaniem tych noktowizorów.

Nie wiem, jak z innymi rzeczami.

Pewnie zadzwoni, gdyby sobie nie radził.

Jak poszło w Szkocji?

Masz zadowoloną minę.

- Bez problemów - odparł Howard.

- Danny MacDonald jest dobry - naprawdę zna swoje rzemiosło.

Okazał się lepszy niż przypuszczałem.

- Howard zrelacjonował szczegółowo ich spotkanie, z upodobaniem wspominając o tym, jak MacDonald zapytał go o prawdziwe nazwisko.

- Jest naprawdę czujny.

Co prawda wypytywałem o niego dziewczynę w gospodzie, mając pewność, że mu o tym doniesie, a potem jechałem tuż za nim, gdy wracał ze sklepu do domu, ale uwzględniając fakt, że nie ma powodu, żeby szczególnie na siebie uważać, nieźle sobie to wszystko skojarzył.

Bourne pokiwał głową z uznaniem.

- Chętnie poznam tego faceta.

Nawiasem mówiąc, kiedy Andy i Mel zadzwonili, kazałem im dołączyć do Chrisa.

Nie ma jeszcze samolotu.

Howard skinął głową.

Chris Palmer ostrzegął go, że znalezienie odpowiedniej maszyny może trochę potrwać, był jednak przekonany, że w końcu to załatwi.

- Nie mogłeś sam mu pomóc?

- zapytał Howard.

Bourne pokręcił głową z ubolewaniem.

- Niestety.

Jestem tu kompletnie uziemiony.

Prowadzenie trzech firm na raz nie jest takie proste, jak sądziłem.

- Przyjmij moje kondolencje, molu książkowy - powiedział z uśmiechem Howard.

- Zajmuj się tym dalej.

No dobrze.

Idę pogadać z innymi.

Gdzie jest Tony?

Mam dla niego robotę.

- Jest obok, w hali numer dziewięć.

Ustawił tam już wszystkie maszyny.

W dziewiątej hali mamy warsztat, a ta służy tylko jako magazyn.

Tony pracuje nad tymi tłumikami do AK.

Postanowił nie tracić czasu.

- A co z dziesiątą halą?

- Na razie nic.

Wstawimy tam kontener, który mają przywieźć pod koniec tygodnia.

Trzeba będzie pracować przy nim in situ, na przyczepie.

W hali jest dźwig, ale tylko dziesięcotonowy.

- W porządku.

Wracaj do zarządzania swoimi firmami, kolego!

- Howard pozostawił Bourne'a w biurze i poszedł porozmawiać z

Usherem.

- Wszystko gra, szefie?

- zapytał beztrąsko Usher na widok zbliżającego się Howarda.

- Bob, mam dla ciebie dodatkowe zajęcie.

Mógłbyś zmontować coś takiego?

- Howard pokazał mu notatki dotyczące anemometrów.

- Pomyśl i daj mi znać, czy dałoby się to zrobić.

Idę pogadać z Tonym o karabinie, którego będziemy potrzebować.

Zostawiwszy Ushera z notatkami ruszył do hali obok, gdzie Ackford,

w ochronnych okularach na twarzy, pochylał się nad warsztatem.

Między uchwytami tokarki obracał się dwunastocentymetrowy stalowy cylinder.

Nóż ścinał jeden z jego końców, tworząc stożek.

Zobaczywszy cień Howarda Ackford podniósł wzrok i wyłączył maszynę.

- Cześć, szefie.

Udała się wyprawa na północ?

- Tak, dziękuję.

Tony.

Nasz strzelec zgodził się na współpracę.

Dostałem wykaz potrzebnego sprzętu.

Jak sobie radzisz?

- Dobrze.

Zrobiłem już na próbę jeden tłumik.

A za ten właśnie się zabrałem.

Chcesz zobaczyć, jak będzie wyglądał?

- Ackford pokazał Howardowi gotowy produkt.

-Jak mówiłem, sprawa jest prosta.

Odkręca się go z tej strony.

Wewnątrz są tłumiące dźwięk przegrody.

Na drugim końcu robi się taki sam gwint, jak w standardowym kompensatorze karabinka AK.

Potem trzeba tylko zdjąć kompensator i przykręcić zamiast niego ten tłumik.

Mam tutaj przewiercony AK, żeby pokazać ci, jak to funkcjonuje.

Kupiłem go w jednym ze sklepów, gdzie sprzedają repliki broni.

- Ackford wyjął karabinek szturmowy AK.

W lufie była stalowa zatyczka, a zamek został przewiercony na wylot i zaspawany, aby uniemożliwić oddanie strzału.

Taką broń można sprzedawać bez atestu, choć jej wygląd zewnętrzny pozostaje bez zmian.

- Ackford nacisnął niewielki metalowy zaczepek na końcu lufy, zdjął centymetrowej długości pierścień i odsłoniwszy gwint przykręcił do niego gotowy tłumik.

Howard obejrzał go dokładnie.

- Wygląda nieźle, Tony.

Czy wszystkie AK mają na końcu lufy taki sam gwint?

- Tak.

AK, AKM, AKMS, Nawet wersje produkowane przez Chińczyków.

AK 74 oczywiście nie - ma własny, specjalny hamulec wylotowy.

- AK jest najczęściej produkowanym i najchętniej kopiowanym karabinem samoczynnym na świecie.

Oryginalna konstrukcja Automatu Kałasznikowa, nazwanego tak na cześć obywatela radzieckiego, który zaprojektował go w końcu lat czterdziestych, pozostała od tamtego czasu prawie bez zmian.

Aby broń była lżejsza, późniejsze modele produkowano z wytłoczek stalowych, a nie stali frezowanej, zaś zwykła nakrętka została zastąpiona wyciętym kompensatorem, co wyeliminowało odchył lufy w prawo przy strzelaniu automatycznym.

Rozwiązanie to było proste, ale skuteczne.

Wersja AKMS miała składaną podstawę.

Wyposażano w tę broń radzieckie jednostki desantowe i załogi

czołgów.

Większość krajów Układu Warszawskiego, i wiele innych, wyprodukowało własne wersje tego samego karabinu.

AK 74 stanowi nowszą jego odmianę.

Strzela mniejszymi nabojami, kalibru 5,45 mm, zamiast stosowanych przedtem w AK naboji 7,62 mm.

AK 74 nie pojawiał się masowo poza obszarem wpływów dawnego ZSRR.

W większości przypadków standardową bronią jest nadal AK lub AKM.

- Kiedy skończysz wszystkich osiem tłumików? - zapytał Howard.

- Za kilka godzin, szefie.

Przy tym sprzęcie to prosta robota.

-Ackford wskazał na narzędzia, którymi dysponował: wytłaczarki, frezarki, prasy, wiertarki oraz urządzenia do gwintowania i kalibrowania.

- Potem zrobię w nich zmodyfikowane otwory do odprowadzania gazów - to może potrwać trochę dłużej.

Jutro wieczorem powinienem być gotowy.

- Dobrze.

Trzeba tylko pamiętać, że na krótkim dystansie pociski lecą z prędkością ponaddźwiękową, więc sam wystrzał będzie głośny.

Ruch zamka też spowoduje sporo hałasu.

Tłumiki wyciszą chociaż huk wylatującego z lufy pocisku.

Mam tu w każdym razie szczegółowy opis potrzebnego nam karabinu.

Czy coś ci to mówi?

- Howard podał Ackfordowi kawałek papieru, któremu ten uważnie się przyjrzał.

- Accuracy International, tak?

Trudno o lepszy wybór.

Co zamawiamy - L96?

- Spółka Accuracy International skonstruowała wyborowy karabin L96, który zastąpił stosowany w brytyjskiej armii przestarzały model L42.

- Niezupełnie - odparł Howard.

- Istnieje już nowa, ulepszona wersja L96.

Nazywa się AW.

Ale chcemy dostać jej specjalną odmianę.

- Zamówienie na tę broń złożyła już szwedzka armia.

Zarówno L96, jak i AW produkowano na standardowe naboje 7,62 mm NATO (.308 Winchester).

Kaliber ten był odpowiedni dla snajpera strzelającego z odległości do siedmiuset metrów, ale przy większym dystansie zaczynały się problemy z torem lotu pocisku, a jego siła uderzenia wyraźnie malała.

Dlatego firma Accuracy International opracowała wersje Super Magnum większego kalibru.

Jedną z nich był .338 Lapua Magnum, wyjątkowo skuteczny nabój, którego pociski miały z odległości dziewięciuset metrów prawie sześciokrotnie większą siłę rażenia niż kaliber 7,62 mm.

Niektóre jednostki specjalne zamówiły już .338 Super Magnum do zadań wymagających strzelania z bardzo daleka.

- Słyszałem o nabojach 338 Winchester Magnum, ale nie o Lapua Magnum - przyznał Ackford.

- Ja slyszalem wczesniej o jego istnieniu, ale do przedwczoraj nic o nim nie wiedzialem - stwierdzil Howard.

- Jest znacznie skuteczniejszy.

Opiera sie na przerobionej lusce.416 Rigby.

To cholernie silny naboj, dajacy pociskowi o masie 16,2 g prędkosc wylotowa 900 m/s.

- No, no...

Jeżeli snajper wystrzeli więcej niż dwa razy, rozboli go ramię.

Kiedy pocisk zaczyna leciec ponizej prędkosci dzwięku?

- Dopiero po przebyciu około tysiąca dwustu, tysiąca trzystu metrów
- co najmniej trzysta pięćdziesiąt metrów dalej niż w przypadku kalibru 7,62 mm.

- Pocisk wylatujący z lufy pokonuje w ciągu sekundy odległość dziewięciuset metrów, jest więc prawie trzy razy szybszy od dźwięku, ale ze względu na opór powietrza błyskawicznie traci energię i na dłuższym odcinku jego prędkość spada w końcu poniżej jednego Macha, czyli trzystu trzydziestu sześciu metrów na sekundę.

Ciężki i szybki pocisk o dobrej charakterystyce aerodynamicznej zwalnia po przebyciu dłuższego dystansu niż zwykły.

- Czy dla uniknięcia hałasu nie byłoby lepiej skorzystać z takiego, który osiąga wcześniej prędkość poddźwiękową?

- zapytał Ackford.

- Pytałem o to Danny'ego.

Stanowczo zaprzeczył.

Po pierwsze, przy przechodzeniu z prędkości naddźwiękowej na poddźwiękową lot pocisku przestaje być stabilny, traci więc na tym celność strzału.

Poza tym hałas, jaki spowoduje pocisk o prędkości ponaddźwiękowej, wprowadzi zamieszanie i nikt nie będzie wiedział, skąd padł strzał.

Pocisk o prędkości poddźwiękowej wydaje charakterystyczny świst i ma gorszą trajektorię.

W obu przypadkach łatwo stwierdzić, że użyto broni strzeleckiej, ale w pierwszym hałas wszystkich zdezorientuje, podczas gdy w drugim ktoś

mógłby się wykazać dostateczną przytomnością umysłu, by zauważyć, z którego kierunku strzelano.

Rozmawialiśmy o wyciszeniu broni, ale to niemożliwe.

Karabin ma w każdym razie dobry hamulec wylotowy, który wygłuszy częściowo huk wystrzału.

Będziemy na tyle daleko, że jego odgłos będzie słyszalny dopiero po dłuższym czasie.

Przy tej odległości wylatujący z lufy pocisk nie narobi zbyt dużego hałasu.

- W porządku - odparł Ackford.

- Chcesz, żebym złożył zamówienie na ten karabin?

Spodziewam się trudności.

Wiem, że firma Accuracy International wyjątkowo dba o bezpieczeństwo.

Nie sprzedają broni byle komu.

Będę musiał skorzystać z licencji firmy i prawdopodobnie udawać, że chodzi o zlecenie od rządu jakiegoś zaprzyjaźnionego z nami kraju.

- Agencja Ochrony XF zajmowała się między innymi legalnym handlem bronią.

Klienci zamawiali czasem specjalistyczny sprzęt na własne potrzeby i zezwolenie na jego sprzedaż łącznie z licencją eksportową z Wydziału Handlu i Przemysłu pozwalało firmie Howarda na oficjalne realizowanie tych zleceń.

- Dobrze.

Powiedz, że dostałeś zamówienie z Kolumbii.

Ziggy może załatwić to po powrocie.

Pracuje tam dla miejscowych władz, z błogosławieństwem brytyjskiego rządu.

No wiesz, chodzi o narkotyki.

Nowy rząd Kolumbii próbuje rozprawić się z kartelem.

Właściwie Johnny też ma tam kontakty - niech on się tym zajmie I pamiętaj, że są nam potrzebne dwa karabiny, nie jeden.

Będą jakieś problemy z pozostałym sprzętem, o który prosi MacDonald?

Ackford przejrzał listę, odczytując kolejne pozycje.

- Sto naboii z pociskiem o masie 16,2 g, pełnopłaszczowym ze stożkiem spływu - w porządku.

Pięćdziesiąt pocisków przeciwpancernozapalających, przenośny chronometr balistyczny podstawy do celownika, celownik optyczny Bausch i Lomb 10x40 Tactical.

Tak, nie będzie z tym problemu.

Firma Accuracy International wszystko nam załatwi, jeżeli ich o to poprosimy.

Nie będę musiał już niczego robić.

Co to za celownik?

Nie znam go.

- Bardzo dobry, z precyzyjną regulacją.

Przestawia się kąt z dokładnością do jednej czwartej minuty, zamiast - jak zazwyczaj - o połówkę lub pełną minutę.

Przy odległości dziewięciuset metrów oznacza to przesunięcie o około sześć centymetrów, a nie dwanaście lub dwadzieścia cztery.

Jest o wiele dokładniejszy.

- Ale celowniki muszą mieć regulację w dużych przedziałach, bo przy tak znacznych odległościach występują istotne zmiany trajektorii.

- Ten jest inny.

Ma regulację w zakresie jednego stopnia i dziesięciu minut - to aż nadto.

Znamy zresztą w przybliżeniu odległość do celu.

Danny może oddać wcześniej kilka próbnych strzałów.

Nie zapomnij też o dwóch lunetach.

Powiększenie trzydzieści do sześćdziesięciu razy i zmienna ogniskowa.

Potrzebne też będą niewielkie dwójnogi.

- W porządku, szefie.

Zajmę się tym.

Howard poklepał go po plecach i wrócił do sąsiedniej hali, zadowolony z postępu przygotowań.

Podszedł do niego Usher.

- Z tymi anemometrami nie powinno być problemu, szefie.

Niektóre nowoczesne wiatromierze dają odczyt cyfrowy.

Nietrudno będzie przekształcić go w sygnał radiowy.

Chciałbym, żeby Chris trochę mi pomógł, kiedy będzie wolny.

Może mieć parę pomysłów.

Zna się na elektronice.

- Świetnie - powiedział Howard.

- Ale pamiętaj, że muszą być jak najmniejsze i nie rzucać się w oczy.

Baterie powinny wystarczyć w razie potrzeby na czterdzieści osiem godzin.

Weź farbę modelarską i pomaluj te anemometry na brunatno-piaskowy kolor, i wybierz częstotliwość, na której nie będzie zakłóceń.

Nieco powyżej normalnego komercyjnego pasma UKF, ale poniżej międzynarodowego zakresu fal - powiedzmy około stu dziesięciu kiloherców.

Będziesz musiał dokładnie to sprawdzić.

Nie chcemy, żeby pilot przelatującego w pobliżu samolotu albo ktokolwiek inny zastanawiał się, co to za dziwny sygnał.

- W porządku, zajmę się tym.

Hej, Ed?

- Co, Bob?

- Nie zapomniałeś, jak było w Turcji, prawda?

- zapytał Usher, szczerząc zęby.

Howard uśmiechnął się na ponure wspomnienie celi tureckiego więzienia, którą dzielili przez sześć miesięcy.

Usher - były komandos o muskularnej budowie ciała - był wspaniałym towarzyszem niedoli.

Pomimo ciężkiego więziennego regulaminu i podłego żarcia nigdy nie powiedzieli sobie złego słowa.

Inni więźniowie, doprowadzeni do rozpacz, walczyli jak szczury, zamiast trzymać się razem i wzajemnie sobie pomagać.

Howard naprawdę lubił Ushera.

Tego rodzaju doświadczenie sprawiało, że ludzie na całe życie zostawali przyjaciółmi albo wrogami.

Ich łączył dozgonny szacunek.

- Nie martw się, Bob - odparł Howard z szatańskim uśmiechem na ustach.

- Cokolwiek się zdarzy, jedno mogę zagwarantować: nie spadnie ci już z głowy ani jeden włos.

Usher roześmiał się, trącając go żartobliwie w ramię.

- Naprawdę mi ulżyło - powiedział.

- Chociaż biorąc pod uwagę okoliczności, wyraziłeś się niezbyt zręcznie.

Może tego nie zauważyłeś - dodał z ironią - ale ostatni włos na mojej głowie zrezygnował z beznadziejnej walki o przetrwanie kilka lat temu.

24 W czwartek Palmer zadzwonił do Bourne'a z Dublina, żeby zawiadomić go, że znalazł odpowiedni samolot.

Powściągliwy na ogół Rodezyjczyk wydawał się zachwycony swoim odkryciem.

Samolot, dwusilnikowy Pilatus Britten-Norman Islander BN2B-20, był w doskonałym stanie i przeszedł niedawno generalny remont.

Dodatkowe zbiorniki nie należały do standardowego wyposażenia, ale już je przymocowano na końcówkach skrzydeł, maszyna mogła więc teraz zabrać 814 litrów paliwa i - po zatankowaniu do pełna - ładunek 966 funtów, czyli 438 kilogramów.

Przy zalecanej ekonomicznej prędkości 230 kilometrów na godzinę, przy locie VFR, dawało to maksymalny zasięg lotu 1075 mil morskich, czyli 1935 kilometrów.

Islander miał niemal wszystko, czego potrzebowali, łącznie z automatycznym pilotem.

Należało tylko zdemontować siedzenia z tyłu i zainstalować system nawigacji satelitarnej.

Tylne drzwi, umieszczone z obu stron kadłuba, były wystarczająco szerokie, by pomieścić zabierany do samolotu ładunek, a nisko-ciśnieniowe opony nadawały się do użytku w trudnych warunkach i na miękkim podłożu.

Konstrukcja Islandera umożliwiała krótki start i lądowanie.

BN2B-20 wymagał pasa startowego o długości zaledwie dwustu piętnastu metrów.

- To idealna maszyna dla naszych potrzeb, Johnny - stwierdził Palmer, kończąc opisywanie Islandera.

- Myślę, że powinniśmy się pośpieszyć i szybko ją kupić.

Bourne pogratulował Palmerowi odkrycia.

- Doskonała robota, Chris - powiedział.

- Ed będzie zachwycony.

Spotkam się z tobą dziś wieczorem i sfinalizujemy transakcję.

Jeszcze tego samego dnia Bourne poleciał do Dublina.

Następnego ranka, przebrany za Bryce'a, poszedł z Palmerem na spotkanie z właścicielami Islandera, żeby załatwić formalności związane z transferem gotówki i przerejestrowaniem samolotu. VFR - visual flight rules przy widzialności ziemi)

25 Wielka ciężarówka z naczepą skręciła w Loundis Road i podjechała powoli do końca ulicy.

Syknęły głośno hydrauliczne hamulce.

Kierowca wysiadł z kabiny i zadzwonił do bocznych drzwi hali numer 10.

Wyszedł do niego ubrany w dżinsy mężczyzna o pulchnej twarzy, który przedstawił się jako Bryce.

Rozmawiali przez chwilę, po czym pan Bryce zaczął otwierać wielkie, podnoszone drzwi, a kierowca wrócił do kabiny wozu.

Dziesięć minut później ciężarówka wjechała tyłem do pustej hali, a pan Bryce skończył załatwiać papierkowe formalności, podpisując odbiór naczepy i ładunku: pustego kontenera-chłodni o długości 12 metrów.

Kierowca odłączył od ciągnika Scania przewody instalacji hydraulicznej, elektrycznej i dopływu powietrza, a potem podniósł koła, na których opierał się przód naczepy.

Odebrawszy od Bryce'a podpisane dokumenty wsiadł z powrotem do kabiny i odjechał.

Bryce zamknął drzwi hali, aby naczepa nie była widoczna z zewnątrz.

Wyjawszy spod policzków plastikowe podkładki stał się znów Johnnym Bourne'm.

Po chwili wyszedł przez niewielkie boczne drzwi, żeby przyprowadzić kolegów.

Usher, Harris i Howard obchodzili powoli i w milczeniu spoczywający na platformie naczepy duży, żółty kontener.

Stojąc wewnątrz hali wydawał się ogromny.

Miał dwanaście metrów długości, a dwa i pół szerokości i wysokości.

Ackford podszedł do niego od tyłu, wspiał się na schodki i otworzył ciężkie drzwi ładowni.

Odchyliwszy je zaklął pod nosem.

- Szlag by trafił.

Włączyli tę cholerną instalację.

Zimno tu jak diabli.

Nie będę mógł zacząć roboty, dopóki się nie nagrzej.

Zostawię te drzwi otwarte.

- Myśleli pewnie, Tony, że będziemy od razu ładować towar - stwierdził Howard.

- Właściciele takich kontenerów nie pozwalają zwykle, żeby stały długo puste.

- Ten z pewnością przez jakiś czas sobie tu postoi.

W końcu należy teraz do nas, prawda?

Kiedy nad nim trochę popracuję, będzie wiózł dość niezwykły ładunek.

- Mamy mnóstwo czasu - powiedział Howard.

- Dla zachowania pozorów większość z nas może nawet wrócić do normalnej pracy w agencji.

Przez następne trzy miesiące nie będzie tu nic do roboty.

Wkrótce Boże Narodzenie i wszyscy mogą wziąć urlopy.

Jeżeli potrzebowałbyś czegoś w ciągu najbliższych dwóch tygodni, poproś o pomoc Chrisa i Andy'ego, kiedy skończą pracę przy samolocie.

Albo Mike'a, gdy wróci ze Stanów.

I daj mi znać, gdyby pojawiły się jakiegokolwiek trudności.

Masz tu wszystko?

- Tak, szefie.

Nie powinno być żadnych problemów.

- Ackford zszedł po schodkach, żeby obejrzeć wystający z drugiej strony kontenera agregat chłodniczy.

Zobaczywszy go, zmarszczył brwi.

- Jest tam mniej miejsca niż się spodziewałem - stwierdził, wyciągając taśmę mierniczą.

- Agregat zajmuje prawie cały tył.

Z obu stron jest tylko po pół metra wolnej przestrzeni.

Otwór, który wytnę, będzie miał najwyżej czterdzieści pięć centymetrów szerokości.

Czy to wystarczy?

Jaki jest największy przedmiot, który ma wejść do środka?

Howard zastanawiał się przez chwilę.

- Chyba lodówka.

Wszystko inne powinno się zmieścić.

Lepiej dokładnie zmierz ten otwór, kiedy już wszystko zdemontujesz i wytniesz go.

Jeżeli lodówka okaże się za duża, musimy załatwić mniejszą.

Byłoby za dużo hałasu, gdyby trzeba rozbierać ją na kawałki, chociaż w razie potrzeby da się to zrobić.

Niewykluczone, oczywiście, że będziemy mogli skorzystać z tylnych drzwi, ale nie ma żadnej gwarancji.

- Jutro wezmę się do roboty - obiecał Ackford.

- Do tego czasu powinno tu być wystarczająco ciepło.

Włączę na noc ogrzewanie hali.

A propos, szefie - dodał.

- Mógłbym pracować w Święta i w Nowy Rok, gdybym do tego czasu nie skończył.

Moja żona wyjeżdża jak zwykle do rodziny w Dublinie, a ja myślę o tym z obrzydzeniem.

Nie znoszę siedzieć na tyłku i patrzeć, jak wszyscy chłają i obżerają się.

Poza tym będę miał tu wtedy święty spokój.

Mogę dostać jakiś papierek, żebym pokazał żonie, że muszę pracować?

- W porządku, Tony.

- Howard uśmiechnął się.

- Coś ci załatwię.

Ale skończ hałaśliwą robotę przed Bożym Narodzeniem, dobrze?

Nie chcę, żeby ktoś zwrócił uwagę na to, co się tu dzieje.

Następnego ranka, dziesiątego grudnia, Ackford zabrał się do pracy przy kontenerze.

Odkręciwszy osiem dużych śrub, mocujących agregat chłodniczy, zdjął go i zawiesił na haku dziesięcotonowego dźwigu.

W ciągu następnych dwóch tygodni zajmował się dwoma metalowymi płytami wewnątrz kontenera, którymi wyłożona była tylna ściana.

Każda z tych płyt mierzyła niecały metr szerokości i dwa metry wysokości.

Oddzielały je od siebie przewody wentylacyjne, którymi dostawało się do środka zimne powietrze.

Przyjrząwszy się im dokładnie Ackford stwierdził, że płyty mają identyczne wymiary.

Niczym się nie różniły.

Postanowił zacząć od tej po prawej stronie i ostrożnie ją zdjąć.

Pozostawiwszy na miejscu przewód wentylacyjny ściągnął materiał izolujący płytę od stalowego poszycia.

Po zewnętrznej stronie zaznaczył linię w miejscu, gdzie jeden z boków agregatu został przyśrubowany do tylnej ściany kontenera.

Wywiercił na tej linii dwa niewielkie otwory, a potem wszedł ponownie do środka.

Połączywszy kreską obie dziury wywiercił od wewnątrz następne, aby zaznaczyć cztery rogi okienka, które miał wyciąć.

Potem wyszedł znów na zewnątrz i wykreślił linie między otworami.

Kiedy skończył, przyniósł elektryczną piłę, umocował w zacisku cienki diamentowy brzeszczot i bardzo ostrożnie zaczął przecinać stalowe poszycie kontenera wzdłuż wyrysowanych linii.

Minęły święta, a Ackford pracował dalej.

Sprawiało mu to przyjemność.

Lubił spokój i samotność.

Ponieważ nikt mu nie przeszkadzał, praca postępowała szybciej niż oczekiwał.

We wtorek trzydziestego pierwszego grudnia kontener był gotowy.

Ackford poszedł do hali numer 8 przyprowadzić Bourne'a, który wpadł tam na chwilę, żeby odebrać pocztę.

Bourne przez dziesięć minut oglądał uważnie kontener w środku i na zewnątrz, lecz w końcu rozłożył bezradnie ręce.

- No dobrze, Tony.

Poddaję się.

Wiem, że zdejmowałeś agregat i wycinałeś dziurę.

Ale teraz niczego tu, do cholery, nie widzę.

Jak to działa?

Ackford wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zobaczmy jeszcze raz, szefie.

Obaj mężczyźni weszli ponownie do środka przez tylne drzwi i Ackford poprowadził Bourne'a w głąb kontenera.

Jego głos rozbrzmiewał echem w pustej przestrzeni.

- OK.

Agregat jest po drugiej stronie tej ściany.

Za kratkami widać przewody wentylacyjne.

Wszystko wygląda normalnie.

Agregat wciąga powietrze - świeże lub krążące w zamkniętym obiegu, ochładza je i pompuje do środka przez te kanały.

Niektóre ładunki, jak na przykład cebulki kwiatów, potrzebują świeżego powietrza, inne nie.

Widzisz tę płytę?

- Wskazawszy na metalową płytę po prawej stronie, która podobnie jak ta po lewej, została przymocowana śrubami, Ackford wyjął śrubokręt.

-Wszystkie śruby to atrapy, z wyjątkiem trzech...

- Wybrał te właściwe, przekręcił każdą o dziewięćdziesiąt stopni, a potem wyciągnął.

Cała płyta obróciła się na zawiasach i przylgnęła do bocznej ściany kontenera.

Teraz - mówił dalej Ackford - widać drzwi, które wyciąłem w stalowym poszyciu.

Są osadzone na zawiasach koło przewodów wentylacyjnych, a te cztery zaciski w rogu nie pozwalają im się otwierać.

- Wskazał na umocowane obok przewodów ciężkie zawiasy i duże stalowe klamry w pobliżu narożnika kontenera.

- Po zwolnieniu tych zacisków drzwi otwierają się na zewnątrz, tworząc wejście o szerokości czterdziestu pięciu centymetrów i wysokości ponad dwóch metrów.

Nie będę ci tego teraz demonstrował, bo dopiero co skończyłem szpachlowanie i malowanie zewnętrznej ściany.

Bourne słuchał wyjaśnień Ackforda kiwając głową.

- Szczelina wokół drzwi jest wypełniona szpachlówką, więc ciężko będzie je teraz otworzyć.

Przyspawałem do nich dwie stalowe płytki, o które wesprze się podnośniki samochodowe i wtedy drzwi puszcza bez problemu.

Próbowałem już tego przy stwardniałej szpachlówce.

Wszystko działa jak należy.

Tak więc wygląda to wejście.

- Ackford obrócił na miejsce płytę, która mocno zaskoczyła i zakręcił trzy śruby.

- A teraz wyjdźmy znowu na zewnątrz - dodał.

Poszli obejrzeć sam agregat.

Gdy Ackford podłączył go kablem do sieci, wentylator zaczął głośno pracować.

- Widzisz, co się tu zmieniło?

- Przekrzykując hałas wentylatora, Ackford wskazał na obudowę silnika agregatu.

- Nie.

Wszystko wygląda tak jak przedtem.

Hej, wyłącz to, bo nie mogę myśleć.

Ackford wyciągnął wtyczkę z kontaktu.

- Tylko pozornie nie ma tu żadnych zmian.

Wyjaśnię ci, o co chodzi.

Po pierwsze, nie jest to typowy kontener-chłodnia, jaki stosuje się w transporcie morskim.

Ten można przewozić również ciężarówką.

Wybraliśmy go, ponieważ w typowym kontenerze cały tył zajmuje agregat - innymi słowy nie można by tam wyciąć drzwi.

W tym przypadku urządzenie chłodnicze ma tak zwane "dziobowe zawieszenie"-wystaje na zewnątrz i nie zajmuje miejsca w środku, rozumiesz?

Ale tego rodzaju kontener działa na identycznych zasadach, można więc również przewozić go statkiem.

Ma dwa źródła zasilania - działający samodzielnie silnik Diesla i silnik elektryczny, który na statku podłącza się do gniazdka o napięciu czterystu sześćdziesięciu woltów.

Widzisz w tej instalacji coś niezwykłego?

Bourne przyjrzał się uważnie i pokręcił głową.

- Wszystko wygląda zupełnie normalnie.

Ale nie jestem w tej dziedzinie ekspertem.

- Właściwie niewiele się zmieniło - powiedział Ackford.

- Jak słyszałeś, wentylator nadal działa, ale wprowadziłem parę drobnych zmian.

Przede wszystkim wdmuchuje teraz świeże powietrze, a nie krążące w obiegu zamkniętym.

- Ściągnął kratkę, odsłaniając wewnętrzną instalację.

- Widzisz coś teraz?

Bourne nadal niczego nie dostrzegął.

- Nie ma tu nic nadzwyczajnego.

Silnik agregatu, kondensatory, rury - to co zwykłe.

- Jak myślisz, do czego służą te dwa drobiazgi?

- Ackford wskazał na ukryte w obudowie agregatu niewielkie urządzenia, podłączone do oddzielnych przewodów, rurek i kabli.

- No oczywiście.

Teraz już widzę.

Nie wiedziałem, czego mam szukać.

Więc tu je umieściłeś!

- Początkowo chciałem ukryć je gdzieś wewnątrz, ale potem pomyślałem sobie, że to dobre miejsce.

Dlaczego by nie?

O ile ktoś ich specjalnie nie szuka, wcale nie rzucają się w oczy.

Jest jeszcze dodatkowa korzyść - będzie z nich kapąła woda, jak w działającej normalnie chłodziarce.

- Jasne.

A co z termometrem?

- Jest tutaj, na zewnątrz.

Nawet nieźle mi to wyszło.

-Ackford założył z powrotem na agregat kratkę i pokrywę, mocując je śrubami.

Mogli się teraz przyjrzeć tarczy termostatu i termometrowi, wskazującemu temperaturę wewnątrz kontenera.

- Wystarczyło rozebrać termostat na części i złożyć go odwrotnie.

Kiedy jest nastawiony na minus dwadzieścia stopni Celsjusza, utrzymuje plus dwadzieścia - normalną temperaturę pokojową zamiast temperatury mrożenia.

Ustawiłem też na odwrót odczyt termometru - będzie wskazywał, że wewnątrz kontenera jest zimno, chociaż to nieprawda.

Widzisz, pokazuje w tej chwili minus dwadzieścia dwa stopnie.

- Ack, to genialne.

Świetna robota.

Na oko trudno się zorientować.

- Bourne oglądał uważnie zewnętrzną ścianę kontenera pod agregatem.

- W ogóle nie widzę, gdzie są te drzwi.

- Przejechał palcem po metalu, żeby wyczuć na nim jakąś wypukłość.

- Aj, uwaga, szefie, farba jest jeszcze świeża.

-Ackford uśmiechnął się widząc, że Bourne wysmarował sobie rękę.

- Widzisz, co zrobiłeś?

Rozmazałeś farbę.

Będę musiał teraz poprawiać.

- Przepraszam, Tony.

- Bourne wytarł dłoń o dżinsy.

- Chyba nie zmarnowałem ci całej roboty, co?

- Nie.

Szpachlówka już stwardniała, a to najważniejsze.

W ciągu paru minut zamaluję to z powrotem.

- Ed będzie zachwycony.

Doskonale się spisałeś.

- Przyjedzie to zobaczyć w przyszłym tygodniu.

Potem możemy się zabrać za wyposażanie i załadunek kontenera.

To nie potrwa długo.

Tydzień, może dwa.

- I na tym koniec?

Nie pozostanie już nic do zrobienia?

- Trzeba będzie tylko przygotować karabin, kiedy go dostaniemy.

Musimy ściągnąć tego Szkota, żebyśmy mogli z nim porozmawiać o szczegółach.

Poza tym czas go poznać.

- Tak - powiedział Bourne.

- Przyznaję, że mnie on też intryguje.

No cóż, Tony.

Proponuję, żebyś wziął sobie teraz parę dni urlopu.

Zasłużyłeś na to, a zresztą i tak wszystko już gotowe.

Do zobaczenia w poniedziałek.

Ackford skinął głową.

- Tak, powinienem chyba wpaść w Nowy Rok do rodziców.

Zobaczę, co u nich słychać.

Moja żona nie wróciła jeszcze z Irlandii.

Po wyjściu Bourne'a Ackford skończył malować kontener, zamknął halę i wsiadłszy do wozu ruszył autostradą M4 na zachód.

Skręciwszy na parking przy dużej stacji benzynowej w okolicach Leigh Delamere przesiadł się z kupionego za gotówkę Vauxhalla Astra do swojej Hondy Civic, wjechał z powrotem na autostradę i po dwudziestu minutach skierował się na południe drogą M5.

O siedemnastej dotarł do domu rodziców w Taunton.

Siedem godzin później poszczególni członkowie grupy - z wyjątkiem Mike'a Zieglera, który był nadal w Stanach - świętowali w różnych rejonach kraju nadejście Nowego Roku.

Każdy robił to na swój sposób.

Tony Ackford zabrał rodziców do pubu na drinka.

Mel Harris i jego żona pojechali na przyjęcie do przyjaciół w Worcester.

Bob Usher spędzał Sylwestra bardziej na północy, w Manchesterze.

Był w łóżku z dziewczyną, prawie dwa razy młodszą od siebie piękną blondynką.

Johnny Bourne otwierał butelkę szampana w swoim mieszkaniu w Londynie i wznosił toast za szczęśliwą przyszłość w towarzystwie awansowanej właśnie pani inspektor Juliet Shelley.

Andy Denard zaciągnął Chrisa Palmera na Trafalgar Square, gdzie wyjątkowo nie było zbyt wielu pijackich burd i poważniejszych awantur, za to Palmer musiał powstrzymać rozochoconego pilota, który koniecznie chciał się rozebrać i wskoczyć do jednej z fontann.

Ed Howard spędzał Sylwestra samotnie w swym mieszkaniu w Wandsworth.

Trzymając w ręce szklanekę whisky siedział pogrążony w myślach, a jego ciemne oczy wpatrzone były w przestrzeń.

Usłyszawszy w radiu dwunaste uderzenie zegara zastanawiał się przez moment, jaki będzie ten rok 1992.

Na ustach zadrgał mu lekki uśmiech.

Podniósł do góry szklanekę.

Za twoje pięćdziesiąte piąte urodziny, Saddam, pomyślał.

Będziemy obchodzić je razem z tobą, ty bydlaku.

Wpadniemy, żeby popsuć ci przyjęcie.

26 W poniedziałek szóstego stycznia 1992 roku Bourne wyjął rano pocztę ze skrzynek we wszystkich trzech halach i poszedł do kantoru w hali numer osiem.

Usiadłszy przy biurku zaczął przeglądać korespondencję.

Było wśród niej wiele przedświątecznych zaległości.

Przyszło kilka listów, które regularnie wysyłał do siebie z Londynu, aby listonosz odnosił wrażenie, że trzy spółki prowadzą aktywną działalność.

Poza tym otrzymał grudniowe wyciągi z banku, trzy rachunki telefoniczne i kwartalne rachunki za energię elektryczną, zużywaną w każdej z trzech hal.

Ostatni list na kupce przyciągnął jego uwagę.

Na kopercie widniała pieczętka z Portsmouth.

Otworzył ją.

Firma Accuracy International informowała "pana Arndale'a", że może już odebrać dwa zamówione karabiny.

Bourne wezwał do siebie Ackforda.

- Tony, tę sprawę, niestety, jeden z nas musi załatwić legalnie.

Sam się nią zajmę.

Nie dostaniemy tych karabinów bez firmowego zezwolenia.

Rozmawiałeś już przedtem z kimś z Accuracy.

Czy mógłbyś zadzwonić do tej osoby i powiadomić ją o mojej wizycie?

Gdy Ackford zatelefonował, gdzie trzeba, Bourne pojechał swoim BMW do Londynu.

Na strzeżonym parkingu lotniska Heathrow zdjął szkła kontaktowe, wyciągnął podkładki spod policzków i przesiadł się do swojego Alfa Romeo, zostawiając BMW na wolnym stanowisku obok.

Parkowanie w tym miejscu było wyjątkowe kosztowne, a jeden z jego dwóch wozów stał tam przez cały czas.

Za to obecność tysięcy innych pojazdów gwarantowała anonimowość.

Bourne wjechał z powrotem na autostradę M4, skręcił na krótko w M25, a potem w M3 w kierunku Southampton i M27 do Portsmouth.

Przed czwartą po południu przesiadł się na Heathrow z powrotem do swojego BMW i wrócił do Swindon z dwoma długimi, wąskimi walizczkami i mniejszym, ciężkim pudłem.

Rozpakował je razem z Ackfordem w hali numer osiem.

Na widok dwóch dużych karabinów Ackford szeroko otworzył oczy.

- No, no...

To się nazywa fachowa robota.

- Wziął do ręki jeden egzemplarz broni i odciągnął zamek.

- Zobacz tylko.

Nie ma wątpliwości, do czego to służy.

- Niezła sztuka - przyznał Bourne.

- Ale nie przywiązuj się za bardzo do tych karabinów.

Pamiętaj, co musisz z jednym z nich zrobić.

- To wandalizm, szefie.

Nie wiem, czy potrafię się przemóc.

- Najlepiej zacznij od razu.

Przewierć zamek i zaspawaj iglicę, a jutro zaczipujesz lufę.

Potem możesz przygotować drugi karabin dla naszego snajpera.

- Ale który, szefie?

- biadolił Ackford.

- Jeden i drugi to prawdziwe dzieła sztuki.

- Jakie mają numery seryjne?

- Bourne sprawdził szybko liczby wygrawerowane na lufach obu

karabinów.

- W porządku.

To ci ułatwi zadanie.

Mają kolejne numery, zakończone na osiem i dziewięć.

A więc wszystko jasne.

Masz tu "dziewiątkę".

Zacznij ją psuć, oczywiście tylko od środka.

Zrób to delikatnie - chodzi o uzyskanie zaświadczenia.

Z zewnątrz musi wyglądać normalnie.

Ackford wyszedł ze smętną miną, niosąc w ręku broń.

Kilka minut później, gdy Bourne zamykał drugi karabin i ciężkie pudło amunicji do sejfu w hali numer osiem, rozległ się świst szybkoobrotowej wiertarki o dużej mocy.

Ackford zamieniał nowiutki, nowoczesny karabin wyborowy w groźnie wyglądający, ale bezwartościowy kawałek złomu.

W środę rano wszystko było gotowe.

Ackford wręczył bezużyteczną już broń Bourne'owi, który pojechał swoim BMW do Urzędu Kontroli w Birmingham.

Wróciwszy po południu oddał karabin Ackfordowi.

- W porządku, Tony, wszystko załatwione.

Dostałem świadectwo unieszkodliwienia.

Teraz przerób tę dziewiątkę na ósemkę, a ja przygotuję odpowiednią dokumentację.

Bourne usiadł w biurze i zaczął wypełniać w trzech egzemplarzach druki wniosku o licencję eksportową, który należało złożyć w Wydziale Handlu i Przemysłu.

Wpisał dane karabinu i nazwę firmy, zajmującej się zakupem broni dla rządu Kolumbii, z którą Agencja Ochrony XF przeprowadzała regularnie oficjalne transakcje.

Wracając wieczorem do Londynu Bourne wysłał druki pocztą wraz z niezbędnymi dokumentami.

Na rozpatrzenie wniosku czekało się cztery tygodnie.

Firma otrzyma zezwolenie na wywóz za granicę karabinu produkcji Accuracy International o numerze seryjnym zakończonym na cyfrę osiem.

Zniszczony egzemplarz, w którego numeracji Ackford przerobił starannie końcówką dziewiątkę na ósemkę, poleci do Kolumbii.

Celnicy na Heathrow obejrzą pobieżnie karabin, sprawdzając z dokumentacją podstawowe dane: numer seryjny, producenta i kaliber.

Nie będą dociekać, czy broń jest sprawna.

Niby po co?

Kto zawracałby sobie głowę wypełnianiem wniosku o wywóz karabinu, który nie działał, nie wymagał więc licencji eksportowej.

Klient w Kolumbii będzie zaskoczony przesyłką i zauważy natychmiast, że broń jest niesprawna.

Bourne zadzwoni do niego, powiadamiając o pomyłce i polecając mu, by wyrzucił to żelastwo na śmietnik.

Władze brytyjskie otrzymają informację, że karabin o numerze z końcówką osiem - ten sprawny - został wyeksportowany, usuną go więc z rejestru.

Natomiast egzemplarz z cyfrą dziewięć oficjalnie przestał istnieć jako broń, czego dowodziło świadectwo unieszkodliwienia.

Oszustwo nigdy nie powinno wyjść na jaw.

MacDonald przyjechał do Londynu we wtorek, czternastego stycznia nocnym slipingiem z Fort Wiliam.

Howard odebrał go na stacji King's Cross i zabrał do Swindon, gdzie czekała już cała grupa z wyjątkiem Zieglera.

Wszyscy byli ciekawi tego spotkania.

Howard przedstawił ich po kolei, wyjaśniając, w czym się specjalizują.

Ostatni był Ackford.

- Tony jest naszym zbrojmistrem.

Potrafi dostosować broń do indywidualnych wymagań.

Ackford i MacDonald przeszli do hali numer dziewięć, dyskutując z ożywieniem o broni w ogóle, a w szczególności o wielkim karabinie Super Magnum.

Howard zaczekał aż wyjdą, po czym zwrócił się do pozostałych.

- No cóż, Tony znalazł z nim chyba wspólny język.

A co wy sądzicie?

- Wygląda na to, że facet jest w porządku - stwierdził Harris.

- Opanowany, czujny, a skoro twierdzisz, że potrafi dobrze strzelać...

- Mnie się podoba - przerwał mu Denard.

- Patrzy człowiekowi prosto w oczy.

Jest bezpośredni i nie zadziera nosa.

Myślę, że będzie dobry.

- Czy on nigdy nie brał udziału w żadnej akcji, szefie?

- dopytywał się Usher.

- Co z jego wytrzymałością psychiczną?

I sprawnością?

- Och, myślę że jest dostatecznie sprawny - uspokoił go Howard.

- Inaczej nie utrzymałby się długo na swojej posadzie.

O ile zdołałem zaobserwować, ma mocne nerwy.

To twardy facet.

Uważam, że sobie poradzi, chociaż nie miał jeszcze do czynienia z prawdziwą akcją.

- Howard zamilkł, przypominając sobie własne doświadczenia z początku czynnej służby.

Pamiętał swoje obawy, jak postąpi w skrajnej sytuacji, spoglądając śmierci w oczy lub stając w obliczu wroga, którego należało zabić.

Problem polegał na tym, że reakcji ludzi nie dawało się właściwie przewidzieć.

Czasem najgorszy mięczak potrafił przetrzymać ciężką próbę, zachowując spokój i opanowanie, podczas gdy inni, z pozoru niezawodni i wartościowi żołnierze, zupełnie się załamywali.

Nigdy nie było wiadomo, jak dana osoba zareaguje, z czasem człowiek zaczynał jednak instynktownie wyczuwać, czego się po kimś spodziewać - czasem dużo wcześniej, niż wiedział to sam zainteresowany.

Howard spojrział ponownie na Ushera i pokiwał głową.

- Tak, Bob, myślę, że on nie zawiedzie.

Mam dla was jeszcze jedną wiadomość.

Mikę jest już w drodze.

Kiedy rozmawiałem z nim przez telefon, był bardzo z siebie zadowolony.

Chyba dostał wszystko, czego potrzebujemy.

- Nawet gogle noktowizyjne?

- zdziwił się Bourne.

- Ale spryciarz!

Musiał mieć niezłe dojścia, żeby to załatwić.

- Mam nadzieję, że nie korzystał z nich za bardzo - odparł Howard.

- Wie, że nie powinien zwracać na siebie uwagi.

Powiedział mi też, że nie będzie problemu z nowym odbiornikiem systemu nawigacji satelitarnej, więc zakładam, że i to mamy z głowy.

Poczekamy, zobaczymy.

Kiedy tu dotrze, wyślę go z Dannym do Szkocji.

Trzeba będzie ustawić celownik w karabinie i przestrzelać go.

Danny zna pewne miejsce w Glen Carvaig, wysoko w górach, gdzie nikt nie powinien im przeszkadzać.

Mike będzie miał okazję go poobserwować i sprawdzić, czy jest tak dobry, jak nam się wydaje.

Wszyscy pokiwali z aprobatą głowami, a potem powrócili do pracy przy kontenerze.

Ziegler wrócił następnego dnia, piętnastego stycznia i wprost z lotniska pojechał do Swindon.

- Mam wszystko, Ed - oznajmił.

- Powiedz Johnny'emu, że w przyszłym tygodniu powinna dotrzeć samolotem przesyłka.

Osiem hełmów lotniczych ze śmigłowca Apache AH-64 i cztery kieszonkowe kalkulatory.

Czysta sprawa.

- Czy gogle noktowizyjne są przymocowane do hełmów?

Wspaniale, Mike.

Jak to zrobiłeś?

V Lepiej nie pytaj, stary.

Lepiej nie pytaj.

Powiedzmy, że mój dawny znajomy musiał dokonać bardzo trudnego wyboru i zdecydować o swojej przyszłości.

- Ziegler uśmiechnął się szeroko.

Howard wzruszył ramionami.

- W porządku, nie chcę o niczym wiedzieć.

Co to za kalkulatory?

- Najnowsze odbiorniki nawigacji satelitarnej Navstar GPS.

Są niewiarygodnie małe.

Oczekiwałem czegoś wielkości pudełka od butów, a to całkowicie podręczny sprzęt.

Pracują tylko w kodzie CL ale dzięki temu mają tak dogodne rozmiary.

Można z ich pomocą ustalić swoją pozycję w dowolnym miejscu na świecie z dokładnością do stu metrów.

Kod P działa z dokładnością do dziesięciu metrów, ale jest zarezerwowany wyłącznie dla wojska.

Poza tym do jego odbioru potrzeba czterech satelitów usytuowanych nad horyzontem, a w kodzie Q.

tylko dwóch.

Krótko mówiąc, dostajemy cztery takie odbiorniki.

- Więc jednak trochę popracowałeś.

A ja wyobrażałem sobie, że wylegujesz się gdzieś w słońcu.

No dobrze, zasłużyłeś na nagrodę.

Pojedziesz na parodniową wycieczkę do Szkocji.

Mam dla ciebie odpowiedniego przewodnika.

Zaraz ci go przedstawię.

Gdy w niedzielę dziewiętnastego stycznia Ziegler i MacDonald wyruszyli Fordem Sierra w drogę do Szkocji, na dworze było jeszcze ciemno.

Dotarli do celu po dziesięciu godzinach jazdy.

Nie spieszyli się, pilnie bacząc, by nie zwracać uwagi policji.

W czasie podróży prawie się do siebie nie odzywali.

Początkowo Ziegler próbował zagaić rozmowę, ale otrzymywał jedynie zdawkowe odpowiedzi.

Zrozumiał, że MacDonald jest zamkniętym w sobie samotnikiem, do którego niełatwo się zbliżyć.

O piątej po południu dojechali do domu MacDonalda w pobliżu Fort William.

MacDonald zadzwonił do Duncana Macrae, a potem zaczął przygotowywać posiłek.

- Duncan nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy poszli jutro nad jezioro - przekazał Zieglerowi.

- Jeśli chcemy, możemy wziąć jeden z terenowych Argocatów.

- Dlaczego nie pójdziemy piechotą, Mac?

- zapytał swobodnie Ziegler.

- Chętnie bym się trochę poruszał.

MacDonald zmierzył go wzrokiem.

- Jak chcesz - powiedział.

- Ale do doliny jest kawałek drogi pod górę, a będziemy dźwigać spory ciężar.

- Mnie to nie przeszkadza - odparł Ziegler.

Przez moment miał wrażenie, że MacDonald przygląda mu się z wahaniem.

Nagle zrozumiał, o co chodzi.

A niech mnie diabli, pomyślał.

On się zastanawia, czy wystarczy mi sił na mały spacer!

- Tak, przyda mi się trochę fizycznego wysiłku - dodał z uśmiechem.

MacDonald skinął głową, nic nie mówiąc.

Lody nie zostały jeszcze przełamane.

Tropiciel nadal był nieufny.

Następnego dnia wyruszyli z domu o szóstej rano.

W bagażniku samochodu leżał wypchany plecak i stelaż w kształcie litery H, do którego przymocowany był sprzęt o większych rozmiarach.

Obie sztuki bagażu ważyły po około trzydzieści kilogramów.

W plecaku spoczywał najcięższy przedmiot: duży ołowiowy akumulator.

Sporo ważył również najbardziej nieporęczny i delikatny przyrząd: prawie metrowej długości stalowoszary metalowy cylinder z gumowymi okularami, ciężkim statywem i różnymi akcesoriami, przywiązany do stelaża wraz z futerałem karabinu.

- To stary dalmierz - wyjaśnił MacDonald.

- Własność mojego wuja.
- Wygląda, jakby był z muzeum - mruknął Ziegler.
- Jesteś pewien, że działa?

O wpół do siódmej rano, na długo przed świtem, zostawili Sierę koło leśniczówki.

Styczniowe powietrze było nieruchome, zimne i rześkie.

Wzięli na ramiona ciężki bagaż i ruszyli drogą pod górę w kierunku doliny.

MacDonald szedł przodem.

Narzucił szybkie tempo marszu.

Gdy przeszedłszy półtora kilometra nie usłyszał za sobą żadnych protestów, przyspieszył kroku.

Ziegler podążał za nim bez wysiłku.

Stwierdzając, że Amerykanin wcale ciężko nie oddycha, MacDonald zaczął iść jeszcze szybciej.

Dotarli na skraj doliny w godzinę i czterdzieści pięć minut, po piętnastu kilometrach równomiernej, łagodnej wspinaczki.

Pokonali wysokość stu osiemdziesięciu metrów i na drodze pojawiła się już cienka warstwa śniegu.

Nie przystając ani na chwilę podążali uparcie naprzód, ciągle w ciemnościach.

- Teraz będzie bardziej stromo - ostrzegł MacDonald.
- Zostało jeszcze około ośmiu kilometrów.

Teren jest miejscami nierówny.

Uważaj na kostki.

- W porządku, Mac - odparł Ziegler.

Zszedłszy z drogi posuwali się o wiele wolniej.

Pokrywa śniegu była coraz grubsza.

Brnęli w nim chwilami po kolana, wspinając się z trudem po stromym zboczu z ciężkimi bagażami na plecach.

Kiedy dotarli do szczytu, trzysta sześćdziesiąt metrów powyżej stajni dla kucyków, w której trzy tygodnie wcześniej Howard jadł kanapki z wołowiną, odczuwali już zmęczenie.

Reszta trasy prowadziła po bardzo nierównym terenie.

MacDonald zręcznie wybierał drogę, unikając bezbłędnie ukrytych pod śniegiem niebezpiecznych dołów.

Zanim doszli wreszcie do położonego wysoko w górach celu podróży, była prawie dziesiąta.

Przebyli ponad dwudziestokilometrową trasę w trzy i pół godziny.

Trzeba niezłej kondycji, by pokonać ten dystans w tak krótkim czasie przy dziennym świetle i bez żadnego obciążenia, a oni zrobili to po ciemku, dźwigając po trzydzieści kilogramów.

Dopiero z nadejściem świtu Ziegler zobaczył, dokąd dotarli.

Przed nimi rozciągało się długie na półtora kilometra słodkowodne jezioro.

W większości wolne od lodu i otoczone zaśnieżonymi szczytami, wyglądało w cichym, białym krajobrazie niczym gładka, atramentowa tafla.

Ziegler upajał się tym widokiem.

- Dlaczego nigdy tu jeszcze nie byłem?

- zapytał ze zdziwieniem.

- To miejsce jest przepiękne, Mac.

Fantastyczne.

MacDonald spojrział na niego i uśmiechnął się po raz pierwszy.

- Tak, ja też bardzo lubię tu przychodzić.

Wypakowali część sprzętu, między innymi akumulator, karabin, chronometr balistyczny i dalmierz, który MacDonald ustawił na statywie na trawiastym pagórku nad jeziorem.

Ziegler ruszył wzdłuż brzegu, niosąc drewnianą tarczę i przenośny radiotelefon.

Przeszedłszy sto kroków odwrócił się i ustawił pionowo tarczę.

MacDonald popatrzył w okular dalmierza i kazał Zieglerowi cofnąć się o cztery kroki.

Spojrząwszy ponownie stwierdził, że teraz odległość jest dobra.

Ziegler wbił mocno w ziemię zaostrzony kołek.

Tarcza miała czterdzieści pięć centymetrów szerokości i półtora metra wysokości.

Pomalowana była na jaskrawożółty kolor.

Piętnaście centymetrów powyżej jej dolnej krawędzi zaznaczono punkt celowania: niewielki czarny kwadrat o boku jednego centymetra.

Przed wyjazdem ze Swindon Ziegler pytał, dlaczego tarcza jest żółta, a nie biała.

Teraz, gdy zobaczył pokrytą śniegiem ziemię, odpowiedź była oczywista.

Wrócił na miejsce, z którego MacDonald miał strzelać.

Szkot położył broń na trawiastym pagórku, opierając ją na dwójnogu.

Lufa i zamek owinięte były zasilanym z akumulatora elektrycznym kocem.

Tuż przed pagórkiem ustawił chronometr.

Gdy pocisk przeleci przez pętle czujników, można będzie określić jego prędkość.

- Idealne warunki do przestreliwania broni - nie ma wcale wiatru - zauważył, napełniając worek drobnym żwirem znad brzegu jeziora.

- Nie będą nam potrzebne anemometry.

- Sprawdziwszy wskazania barometru i termometru zajrzał do notesu, którego kolejne strony zapisane były liczbami.

- To tablice balistyczne, uwzględniające wysokość, na której się znajdujemy i panujące tu warunki.

Nastawię teraz pokrętko podniesienia na tysiąc sto metrów.

Z odległości dziewięćdziesięciu metrów pocisk powinien trafić dokładnie osiemdziesiąt dziewięć centymetrów powyżej punktu celowania.

- Sięgnąwszy po termometr sprawdził temperaturę wewnątrz lufy karabinu, a potem odwinął koc i położył się przy karabinie, używając worka ze żwirem jako podpórki.

Obaj mężczyźni założyli ochronne słuchawki.

Odgłos wystrzału rozbrzmiał echem między górami nad jeziorem.

MacDonald rozładował broń, a Ziegler sprawdził odczyt na chronometrze.

- Osiemset osiemdziesiąt cztery metry na sekundę - oznajmił.

- Bardzo dobrze.

- Szkot nie ukrywał zadowolenia.

- Strzelę jeszcze raz.

Według drugiego odczytu prędkość wylotowa pocisku wynosiła osiemset osiemdziesiąt osiem metrów na sekundę.

MacDonald był zachwycony.

- Bardzo zbliżone wielkości.

I zgodne z podaną przez producenta liczbą osiemset osiemdziesiąt sześć.

- Odłożył karabin, zawijając go ponownie w koc, aby lufa nie uległa ochłodzeniu na mroźnym styczniowym powietrzu.

Obaj mężczyźni podeszli do tarczy.

Ziegler uniósł wysoko brwi, zobaczywszy dwie usytuowane tuż obok siebie dziury po kulach.

- Znakomite trafienia, Mac - zawołał.

- Skupienie w obrębie półtora centymetra!

Zdumiewający wynik jak na tak silne naboje.

MacDonald zmierzył taśmą odległość otworów od celu.

Były o osiemdziesiąt sześć centymetrów za wysoko i tylko o centymetr za bardzo w lewo.

Szkot nie krył zadowolenia.

- No tak, w Accuracy International znają się na rzeczy.

Ten karabin jest znakomicie wyregulowany.

Jak tak dalej pójdzie, przestrzeliwanie go nie zajmie nam wiele czasu.

Obaj mężczyźni wrócili na stanowisko strzeleckie.

MacDonald zdjął dwie wodoszczelne nasadki z pokręteł służących do zerowania celownika optycznego, przestawiając go o cztery oczka do góry i dwa w prawo.

Potem założył nasadki z powrotem na pokrętła.

- Na wszelki wypadek strzelę jeszcze dwa razy - oznajmił.

- Jeśli wszystko będzie w porządku, przejdziemy od razu do tysiąca stu metrów.

Następne dwa strzały trafiły w tarczę tak blisko siebie, że Ziegler z trudem mógł rozróżnić przez lunetę dwie przestrzeliny.

Odczyty prędkości wylotowej pocisku na chronometrze były nawet bardziej zgodne niż poprzednio.

Kiedy podeszli obejrzeć tarczę, MacDonald był nadzwyczaj zadowolony.

- Nie zdarzyło mi się jeszcze wyzerować karabinu od razu z taką dokładnością.

To zadziwiające.

Zobacz - trafienie jest idealnie na linii osiemdziesięciu dziewięciu centymetrów.

Teraz wystarczy tylko przestawić celownik osiem oczek w prawo, żeby uwzględnić efekt Magnusa przy strzale z odległości tysiąca stu metrów.

- No cóż - zauważył Ziegler - to nie tylko kwestia broni.

Według mnie po prostu świetnie strzelasz, Mac.

Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Wrócili znów na stanowisko strzeleckie.

Zabrawszy stamtąd elementy drugiej tarczy oraz radiotelefon Ziegler pobiegł lekkim truchtem wzdłuż brzegu jeziora, pozostawiając MacDonalda na miejscu.

Po dziesięciu minutach dotarł do niedużego cypla, który - jak wynikało z mapy - był oddalony o około tysiąc sto metrów od ich stanowiska.

Złożywszy tarczę: kwadratową, obciągniętą żółtym brezentem drewnianą ramę o boku stu dwudziestu centymetrów, z wymalowanym na środku czarnym kręgiem o średnicy piętnastu centymetrów - Ziegler wywołał przez radiotelefon MacDonalda, aby ten sprawdził odległość za pomocą dalmierza.

Minutę później usłyszał jego odpowiedź.

- Wychodzi mi tysiąc sto dziesięć metrów.

Podejdź o kilkanaście kroków, to znowu sprawdzę.

W ciągu kilku minut słupki tarczy zostały wbite w ziemię, dokładnie tysiąc sto metrów od stanowiska strzeleckiego.

Ziegler schował się za głaz dziesięć metrów dalej i dał znać, że jest gotowy.

W ręce trzymał elektroniczny stoper.

Po trzydziestu sekundach usłyszał świst przelatującej kuli i wcisnął natychmiast stoper.

Póltorej sekundy później dotarł do niego odległy huk wystrzału.

Zatrzymał stoper i wziął do ręki radiotelefon.

- Mac?

To było 1,46 sekundy.

Zgadza się?

- Na tej wysokości, tak.

Pocisk pokonuje odległość tysiąca stu metrów w 1,75 sekundy, a dźwięk w 3,21.

To oznacza, że huk wystrzału dociera z opóźnieniem prawie półtorej sekundy.

Gdzie trafiłem?

Ziegler podszedł do tarczy.

Początkowo nie dostrzegł przestrzeliny.

Potem zauważył otwór i gwizdnął z podziwu.

- Chryste, Mac!

Trafiłeś w czarne kółko.

Za pierwszym razem!

W dół i na lewo od środka, na samej krawędzi kręgu.

- Dobrze.

Strzełę jeszcze trzy razy, żeby sprawdzić rozrzut MacDonald robił przerwy między kolejnymi strzałami.

Przedtem używał elektrycznego koca, żeby lufa nie była za zimna, a teraz pilnował, by się zanadto nie rozgrzała.

Spoglądając na termometr sprawdzał za każdym razem, czy temperatura stali powróciła już do sześćdziesięciu stopni Fahrenheita, czyli 15 stopni Celsjusza.

Kiedy umilkło echo ostatniego wystrzału, Ziegler podszedł znów do tarczy.

Cztery przestrzeliny znajdowały się w promieniu dwunastu centymetrów od siebie i skupione były tuż poniżej czarnego kółka,

dwanaście centymetrów od jego środka i siedem centymetrów na lewo.

- Do diabła, Mac - powiedział Ziegler przez radiotelefon. Znam wielu facetów, którzy chcieliby uzyskać taki wynik z odległości dwustu metrów, a nie ponad tysiąca.

Masz oko, stary.

- Dzięki - odparł MacDonald.

-Jeszcze trochę go podreguluję i wystrzelę trzy razy.

Przy odrobinie szczęścia to wystarczy.

Możesz zakleić dziury w tarczy.

- Odłożył radiotelefon i zdjawszy ponownie nasadki z pokręteł celownika przestawił go o dwa oczka do góry i jedno w prawo.

Potem założył z powrotem nasadki.

Ziegler zasłonił cztery otwory po pociskach samoprzylepnymi papierkami i ukrył się za skałą.

Gdy MacDonald strzelił jeszcze trzy razy, Amerykanin podszedł do tarczy i z wrażenia opadła mu szczęka.

- Mac, nie wierzę własnym oczom - odezwał się do radiotelefonu.

- Masz wszystkie trafienia w promieniu siedmiu centymetrów, w samym środku czarnego kółka.

Przy tej odległości to niesamowity wynik.

Chyba więc skończyliśmy, co?

- Tak, wystarczy.

Naprawdę świetnie poszło!

- W głosie MacDonalda brzmiała wyraźna satysfakcja.

- To cholernie dobry karabin, a w dodatku ma znakomitą amunicję.

Chyba nam się uda!

Zanim Ziegler dotarł z powrotem na stanowisko strzeleckie, MacDonald skończył pakować plecak i karabin spoczywał znów bezpiecznie w przytroczonym do stelaża wyścielanym futerale.

Amerykanin chwycił MacDonalda za rękę i uściskał ją z entuzjazmem, szeroko się uśmiechając.

- Mac, jak na Skoczą niesamowity z ciebie facet.

To było po prostu...

cholera, brak mi słów.

- Ty też jesteś w porządku, Jankesie - odparł z uśmiechem MacDonald.

- Ale nie mów Skocz, tylko Szkot.

Pomyliło ci się z whisky.

- Wyciągnął z kieszeni tweedowej marynarki płaską cynową manierkę.

- A może o to ci właśnie chodziło?

Łykniesz sobie?

Ziegler skorzystał z propozycji.

W orzeźwiająco chłodnym i czystym górskim powietrzu trunek smakował wybornie.

Cmoknąwszy z podziwem oddał manierkę MacDonaldowi.

Zarzucili na plecy bagaż.

Zanim ruszyli, MacDonald powiedział do Zieglera: - Mike, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym nie schodzić w dół na wyścigi.

Nie chcę ryzykować, że z powodu wstrząsów rozreguluje się celownik.

Jest bardzo mocno osadzony, ale nawet niewielki ruch może mu zaszkodzić.

Pokazałeś mi już, że jesteś w dobrej formie.

Chciałbym, żebyśmy zapolowali kiedyś razem na jelenia.

Zobaczyłbym wtedy, jak strzelasz.

Chyba trochę się na tym znasz.

Ziegler wybuchnął śmiechem.

- Prawdę mówiąc uważałem się za całkiem dobrego strzelca - do dzisiaj.

Nie jestem nawet w twojej lidze, Skocz.

Będę zaszczycony, jeśli zabierzesz mnie któregoś dnia na polowanie.

Oczywiście, że nie musimy się spieszyć.

Podchodząc w górę o mało nie wyzionąłem ducha.

Lody zostały przełamane.

Szkot i Amerykanin rozmawiali swobodnie przez całą drogę, zadowoleni z udanego dnia, oczarowani wspaniałą scenerią surowej zimy i widokiem pojawiających się czasem na horyzoncie jeleni.

Opowiadali sobie różne historie i anegdoty.

Obaj byli urodzonymi gawędziarzami.

MacDonald popłakał się ze śmiechu, słuchając zdecydowanie dosadnej relacji Zieglera z Wietnamu, w której mowa była o latrynie z głębokim dołem, dzikich świniami, granacie dymnym i grupie wyższych oficerów.

Wrócili do leśniczówki dobrze przed piątą.

Chociaż przeszli z ciężkim ekwipunkiem na plecach ponad czterdzieści kilometrów, nie odczuwali szczególnego zmęczenia.

Ich przyjaźń została przypieczętowana.

Następnego ranka Ziegler zapakował do Sierry karabin i resztę sprzętu, by wyruszyć z powrotem na południe.

MacDonald machał mu na pożegnanie ręką, stojąc w drzwiach myśliwskiego domku.

- Uważaj na siebie, Mike.

Szczęśliwej drogi.

- Dzięki.

Do zobaczenia za miesiąc.

Wspaniale, że cię poznałem, Skoczku.

- Ja też się cieszę, Jankesie - odparł MacDonald z szerokim uśmiechem.

27 - Poczęstuj się, Johnny - powiedział Howard, wskazując na barek w rogu pokoju.

- Dzięki.

- Bourne nalał sobie porcję whisky i usiadł.

- A więc za nasz wielki plan - powiedział, wznosząc szklanę.

- Na razie wszystko idzie dobrze.

- Tak.

I niewiele pozostało do zrobienia.

Kiedy zjawi się nasz amerykański pilot?

- Mel dzwonił do niego wczoraj.

Będzie tu za niecałe trzy tygodnie, dwudziestego ósmego marca.

Najwyraźniej nie może się już doczekać.

- Pewnie chodzi mu po głowie tych dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Zabawne, że być może nawet go nie zobaczę.

A co z wizami?

- Złożyliśmy wnioski.

Sullivan występuje oficjalnie jako przedstawiciel Darcona, a wszyscy pozostali mają pierwszorzędne papiery z Pan-Arabian Petroleum.

- Firma ta była kolejnym klientem Agencji Ochrony XF.

Bourne wykorzystał swoje doświadczenia w londyńskim biurze PAP, aby zdobyć szczegółowe informacje na temat wymagań, jakie musieli spełniać pracownicy składający wnioski wizowe na wyjazd do Arabii Saudyjskiej i przygotował dla członków grupy odpowiednie zaświadczenia o zatrudnieniu w Pan-Arabian Petroleum.

- Myślisz, że wszyscy dostaną wizy?

- Byliśmy bardzo skrupulatni.

Z konieczności.

O wizę do Arabii Saudyjskiej jest wyjątkowo trudno.

Nie wpuszczają tam turystów, tylko godnych zaufania biznesmenów i pielgrzymów udających się do Mekki.

Nikogo więcej.

Żeby dostać się do tego kraju, trzeba mieć bardzo ważny powód i nienagane dokumenty, w tym szczegółowy raport o stanie zdrowia, łącznie z wynikiem testu na AIDS.

Ale PAP i Darcon to szanowane firmy i ich pracownikom dawano dotąd wizy bez problemów.

- To dobrze.

Skoro mowa o Darconie, co z pozostałą dokumentacją - tą dla przedstawiciela firmy tam, na miejscu.

Wszystko załatwione?

- Oczywiście.

Tony Hughes niczego nie podejrzewa.

Fax, który mu wysłałem, brzmi tak, jakby zredagował go Dartington

- skopiowaliśmy jego styl na podstawie dokumentów, które wykradłeś.

Zrobiliśmy mały konkurs, kto potrafi najlepiej podrobić podpis Dartingtona.

Wygrał Bob.

Hughes wie, że Dartington zezwolił grupie inspektorów na zapoznanie się z nowym, tajnym obiektem.

Ma udzielić im wszelkiej pomocy.

Myślałem, że będzie zły, ale bynajmniej.

Okazał pełną gotowość do współpracy.

Po wysłaniu faxu zadzwoniłem do niego i powiedziałem, czego potrzebujemy.

Pozwoli nam skorzystać z baraków na starym placu budowy i załatwi samochody oraz inne rzeczy, o które prosiłem.

Z jego punktu widzenia wszystko jest w najlepszym porządku.

- Spotkałeś się z nim kiedyś?

Rozpozna cię?

- Nie.

Rozmawialiśmy tylko przez telefon.

Będzie się kontaktował wyłącznie ze mną i z Chrisem.

Pokażemy mu nasze podrobione paszporty.

Z pewnością uwierzy, że jesteśmy osobami, za które się podajemy.

Dlaczego nie?

Nie będzie miał żadnych powodów do podejrzeń, że dostaliśmy się do kraju pod fałszywymi nazwiskami, jako przedstawiciele zupełnie innej firmy.

- W porządku.

A jak idą przygotowania w Mombasie?

- Wszystko załatwione.

Tamtejszy agent wie, czego potrzebujemy.

Zgromadzi i przygotuje cały sprzęt.

Nie ma pojęcia o naszych planach.

Mel skontaktuje się z nim z Dzuddzie, żeby sprawdzić, czy radzi sobie bez problemów.

Zresztą gdyby nawet czegoś nie załatwił, będziemy mieli dość czasu, żeby to naprawić.

W najgorszym razie możemy zawsze udawać, że zgubiliśmy paszporty.

W Sudanie ta sztuczka powinna się udać.

- Wolałbym robić to tylko w ostateczności.

Posłuchaj, Johnny.

- Howard splótł palce tak, że strzeliło mu w stawach.

- Pora, żebyśmy podjęli ostateczną decyzję w sprawie twojego udziału w akcji.

Bourne uniósł wysoko brwi, okazując zdziwienie.

- Ejże, Ed, sądziłem, że to już uzgodnione.

Jestem gotowy.

Nie możecie mnie teraz zostawić.

- Wiem, Johnny.

Wiem.

Uwierz mi, że wcale nie byłoby mi to na rękę.

Ale wolałbym cię nie zabierać, o ile nie jesteś stuprocentowo pewien, że podejmujesz słuszną decyzję.

Masz przecież zobowiązania wobec swojej narzeczonej.

- Jestem zdecydowany, Ed.

Na sto procent.

Poza tym potrzebujesz mnie.

- No właśnie, Johnny.

Nie chcę, żebyś myślał, że nikt cię nie może zastąpić.

Jesteś do tej roboty najlepszy, ale znalazłbym kogoś na twoje miejsce.

Bourne gniewnie zmrużył oczy i pochylił się do przodu.

- Proponowałeś to już komuś, prawda?

Komu?

No, powiedz!

- Tak, rozmawiałem z pewnym człowiekiem.

W razie potrzeby jest gotów cię zastąpić.

To ktoś, kogo poznałem przed laty, jeszcze przed rozpoczęciem służby w SBS.

- Kto to jest, Ed?

- Nieważne, Johnny.

Stwierdzam tylko, że w ostateczności on by się nadał.

Mówi nieźle po arabsku - nie tak dobrze jak ty, ale wystarczająco - i ma jeszcze jedną zaletę: dobrze strzela.

Lepiej niż ty, ja, czy nawet Mikę.

Gdyby coś przydarzyło się po drodze naszemu Szkotowi, mógłby wykonać zadanie.

Ale wolałbym ciebie.

Chcę po prostu powiedzieć, że nie musisz decydować się tylko dlatego, żeby nas nie zawieść.

- Głupie gadanie, Ed!

Nie waż się mnie teraz zostawiać!

Co to za facet?

Chcesz mi wmówić, że nie ma nikogo bliskiego, nawet dziewczyny?

- Prawdę mówiąc jest żonaty.

Tak jak Mel i Tony.

- No wiesz, Ed!

Robisz mi wykład na temat moich obowiązków, a byłbyś gotów zaangażować zamiast mnie żonatego faceta?

Może jeszcze powiesz, że ma dzieci?

- No cóż...

- Howard uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze, poddaję się.

I to z radością.

Rozumiesz chyba, dlaczego musiałem z tobą pogadać.

Chciałem mieć pewność, czy przyłączasz się do nas z pełnym przekonaniem.

- Jak mogłeś w to wątpić?

- Bourne wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Natychmiast przeszła mu złość.

Howard tolerował jego nagłe zmiany nastroju.

Johnny Bourne był przynajmniej szczery.

Miał porywczy temperament i nie krył swoich uczuć.

Mówił wprost, co go boli.

Cóż, pomyślał Howard.

Kiedyś uspokoi się i nauczy się bardziej nad sobą panować.

Być może...

28 Zaczął padać zimny, marcowy deszcz i rozpętała się niezwykle gwałtowna burza.

Intensywna ulewa zaskoczyła w górach dwoje ludzi.

Biegli teraz roześmiani po ścieżce, która zaczynała przypominać rwący potok.

Nagle dziewczyna poślizgnęła się i upadła.

Usłyszawszy jej krzyk, mężczyzna przystanął i zawrócił.

Dziewczyna siedziała na skale obok ścieżki, trzymając się za lewe kolano.

Mokre dzinsy były rozdarte, a z rany ciekła rozmywana przez deszcz strużka krwi.

Dziewczyna zacisnęła zęby i próbowała wstać, skrzywiła się jednak z bólu i znów cicho krzyknęła.

Mężczyzna wziął ją na ręce, by nie upadła po raz drugi.

Wydała mu się drobna i lekka.

- Poniosę cię - powiedział.

- Wejdźmy do stajni, zanim oboje utoniemy.

- Och, dziękuję, Danny - krzyknęła Sheila Cameron, przygryzając wargę.

Czuła w kolanie silny ból.

- Tak mi głupio...

Został nam do przejścia tylko kawałek...

Danny MacDonald spojrział na dziewczynę, niosąc ją na rękach po rozmokniętej ścieżce.

Mokre włosy kleiły jej się do twarzy i szyi.

Nigdy nie wyglądała równie młodo i bezbrannie.

Dotarłszy do stajni otworzył zamknięte na skobel drzwi, wniósł Sheilę do środka i posadził na stercie suchej słomy, a potem strząsnął z twarzy strugi deszczu.

- Cholera!

- powiedział.

- Ale się rozpadało!

Pokaż mi to rozbite kolano.

- Mama mnie zabije - jęknęła Sheila, kiedy wyjął z kieszeni nóż i ostrożnie rozciął dzinsy, aby obejrzeć ranę.

Dziewczyna szczękała zębami z zimna i zaczynała cała się trząść.

Spojrząwszy na twarz Sheili Danny pomyślał, że musi jej być naprawdę zimno.

- Przykryj się - powiedział, zdejmując tweedową kurtkę.

- Jest mokra, ale pewnie jeszcze ciepła.

- A ty, Danny?

- zapytała, gdy osłonił jej ramiona.

- Masz teraz tylko koszulę i to zupełnie przemoczoną.

- Nic mi nie będzie - odparł, wyglądając na zewnątrz.

Z nieba lały się strugi deszczu.

Danny zamknął drzwi i podsunął pod nie duży kamień, żeby się nie otwierały.

- Lepiej tu trochę posiedźmy, dopóki nie przestanie padać.

-Do myśliwskiego domku było jeszcze sześć kilometrów.

Danny spojrział znów na dziewczynę.

Nie mogła opanować drżenia.

- Rozpalę ogień - powiedział, marszcząc brwi.

- To cię trochę rozgrzeje.

Niewielka stajnia mieściła się w opuszczonej chacie, kiedyś zamieszkaney, ale od wielu lat służącej tylko jako magazyn i schronienie dla kucyków w połowie drogi do doliny.

W głębi pod ścianą było stare palenisko.

Danny wyciągnął z jednej z bel dużą garść słomy, a potem zaczął łamać na kawałki spróchniałe resztki porzuconych mebli.

Słoma łatwo się zapaliła.

Wkrótce stare suche drewno zaczęło trzaskać w ogniu.

- To powinno nam dobrze zrobić - rzekł, uśmiechając się do dziewczyny.

- Chyba że w kominie uwiła sobie gniazdo jakaś kawka.

- Przez kilka chwil wewnątrz stajni wypełniał gęsty dym, ale płomienie zaczęły wypychać go ku górze.

- Aha, teraz będzie dobrze.

Chodź, przeniosę cię bliżej ognia - powiedział, biorąc znów Sheilę na rękę.

Pchnął nogą w poblizze paleniska dwie bele słomy i posadził dziewczynę na jednej z nich.

Nadal drżała z zimna, przyciskając do ciała schowane pod kurtką ręce.

- Przykro mi, Sheilo - powiedział cicho, schylając się, by obejrzeć ponownie jej zranione kolano.

- Cholernie głupio zrobiłem pozwalając, żeby złapał nas ten deszcz.

Powinienem przewidzieć, że będzie burza.

Jesteś przemoknięta i zmarznięta.

Dobrze się czujesz?

Popatrzyła na niego, zdobywając się na uśmiech.

- To tak samo moja wina, Danny - powiedziała, dzwoniąc zębami.

- Dziękuję, że mnie tu przyniosłeś.

Dorzucił dREW do paleniska.

Ogień płonął coraz intensywniej, ale w stajni było ciągle zimno i Sheila nie przestawała się trząść.

Usiadł obok niej na beli słomy i objął ją czule ramieniem.

Ogrzane mokre ubrania zaczynały parować.

Poculi stęchły zapach stajni i wilgotnego tweedu.

Dziewczyna przytuliła się do Danny'ego.

Przywykł już do otaczania jej opieką.

Położyła mu głowę na ramieniu, ale zaraz ją podniosła.

- Danny, masz potwornie mokrą koszulę.

Zdejmij ją i wysusz.

Spojrzał na dziewczynę, a potem wstał, zdjął koszulę, wykręcił ją i powiesił na niskiej drewnianej krokwi w pobliżu paleniska.

Sheila cały czas uważnie mu się przyglądała.

- Posłuchaj - powiedział w końcu.

- Powinnaś zrobić to samo.

Siedzenie w przemoczonym ubraniu nie wyjdzie ci na dobre.

Nie bój się - nie będę patrzył.

Odwrócę głowę.

Ściągnij wszystko i powieś na belce, a potem owiń się z powrotem moją kurtką.

W ten sposób szybciej się rozgrzejesz.

Pomogę ci zdjąć buty.

- Rozwiązał jej sznurowadła i zdjął buty, a potem skarpetki.

Przypomniał sobie podobną sytuację sprzed wielu lat, gdy Sheila jako sześciolatka dziewczynka wpadła do potoku.

Miał wówczas piętnaście lat i wyciągał ją z wody.

Teraz, tak jak wtedy, wykręcił jej wełniane skarpety i powiesił, żeby wyschły.

Dziewczyna miała lodowate stopy.

Natarł je, aby przyspieszyć krążenie krwi, a potem wstał i odwrócił się.

- Nie będę patrzył - obiecał jeszcze raz.

Sheila zaczęła rozbierać się przy ogniu.

Danny słyszał, jak ściąga z odrazą przemoczoną koszulę i rzuca ją na belę słomy.

Potem krzyknęła cicho z bólu, gdy zdejmowała przez zranione kolano mokre dzinsy.

Ciągle dygocąc z zimna owinęła się jego tweedową kurtką i usiadła z powrotem na beli słomy.

- Au!

Ta słoma kłuje!

- zachichotała.

- W porządku, Danny.

Możesz się już odwrócić.

Danny pomyślał, że Sheila ma już o wiele radośniejszy głos.

Odwróciwszy się zobaczył jej drobną figurę otuloną w grubą tweedową kurtkę i wyciągnięte w kierunku ognia nagie stopy.

Kurtka sięgała jej niemal do kolan.

Ogień płonął teraz intensywnie, ale w palenisku znajdowała się już prawie połowa starego stołu.

Danny spojrzał w górę na gołe krokwie, na których leżały w poprzek drewniane deski.

Ściągnął kilka z nich, połamał je silnymi kopnięciami i ułożył obok paleniska.

Wykręciwszy wodę z koszuli i dżinsów Sheili powiesił je na krokwiach.

W stajni zaczynało robić się ciepło.

Sheila mniej już dygotała.

- Kiedy ta kurtka była ostatnio prana, Danny?

- zapytała.

-Czuć ją ścierwem!

Danny uśmiechnął się, patrząc na nią z góry.

- A czego się spodziewałaś, dziewczyno?

Nie stać mnie na oddawanie jej do pralni po każdym wyjściu w góry, prawda?

Śmierdzi potem, łajnem owiec i jeleni, krwią, torfem...

- Och!

- powiedziała Sheila, krzywiąc się.

- Jesteś odrażający!

- Po chwili dodała z uśmiechem: - Chodź tutaj i ogrzej mnie!

Usiadł obok Sheili, pochylając się znowu, by obejrzyć jej zranione kolano.

- Nie wygląda tak źle - stwierdził.

- Możesz wyprostować nogę?

Spróbowała to zrobić i, krzywiąc się z bólu, skinęła głową.

- Nic mi nie będzie - powiedziała.

- To tylko siniak i rozcięcie.

Jak się rozgrzeję, przestanie boleć.

- Spojrzała mu w oczy.

-Dziękuję za opiekę, Danny - powiedziała cicho.

Uśmiechnąwszy się niepewnie wstał, aby dołożyć drewna do ognia, a potem znowu usiadł, wpatrzony w płomienie.

- Zawsze się tobą opiekowałem, Sheilo - powiedział.

- Przynajmniej tak myślę.

- Możesz jeszcze mnie objąć, Danny?

Ciągle mi zimno.

Spełnił jej prośbę, nadal patrząc w ogień.

Sheila położyła głowę na jego nagim ramieniu.

Danny milczał.

Poczuł się nagle skrępowany i zażenowany.

Nie była już dzieckiem.

- Masz dużo dziewczyn, Danny?

- zapytała nagle.

- Och, przestań, Sheilo - odparł zaskoczony.

- Po co zadajesz takie pytania?

- Moglibyśmy o czymś porozmawiać.

W dzieciństwie zawsze to robiliśmy.

W każdym razie kiedy ja byłam dzieckiem.

A więc?

- No cóż, ja...

- Znowu zamilkł, wzruszając ramionami.

- Czy myślisz o którejś z nich poważnie?

, - Sheilo!

- zaprotestował.

- Jesteś bardzo dociekliwa - Och, nie broń się tak, Danny!

Znamy się od dziecka.

W każdym razie ty mnie znasz - mruknęła.

- No więc?

- Skoro musisz wiedzieć, odpowiedź brzmi: tak.

Miałem parę dziewczyn.

Ale w tej chwili z żadną nie łączy mnie nic poważnego.

Sheila przysunęła się do niego.

- W moim życiu był zawsze tylko jeden mężczyzna - powiedziała tak cicho, że trzaskający ogień zagłuszył niemal jej słowa.

- Ale on chyba nawet tego nie zauważa.

Głowa Sheili zsunęła się z ramienia Danny'ego i spoczywała teraz na jego nagim torsie.

Danny zrozumiał nagle sens słów dziewczyny i poczuł się tak, jakby ktoś rozpałił mu w głowie pochodnię.

Odruchowo objął ją mocniej ramieniem, uświadomiwszy sobie, jaki był ślepy.

Nie zauważył, że Sheila wyczuła jego reakcję.

Podniosła głowę i spojrzała mu badawczo w oczy.

Danny zeszywniał, próbując gorączkowo zebrać myśli.

Była dla niego zawsze tylko małą Sheilą, drobną i delikatną, dzieckiem, które zawsze tak bardzo lubił...

Nic mu jeszcze właściwie nie powiedziała, ale wyczuwał instynktownie, że...

Jakiż był ślepy!...

Teraz wszystko pojmował.

Odwrócił powoli głowę i spojrzawszy dziewczynie w oczy wyczytał z nich potwierdzenie swoich domysłów.

Bez słowa objął dłońmi jej twarz.

Kiedy była dzieckiem, całował ją jak ukochaną siostrę, ale teraz zamiast znajomej buzi zobaczył przed sobą twarz młodej kobiety.

Boże, ona przestała już być małą dziewczynką...

Sheila zamknęła oczy i uniosła ku górze usta, a napotkawszy wargi Danny'ego objęła go za szyję.

Gdy opadła jej z ramion kurtka i Danny poczuł, że przywiera do niego mocno nagim ciałem, przeszedł go dreszcz.

Uwolniwszy prawą rękę sięgnął ostrożnie do tylnej kieszeni spodni po nóż i otworzył go za plecami dziewczyny.

Długie ostrze wysunęło się z cichym trzaskiem i zaśniło czerwono w blasku płomieni.

Danny zamachnął się dwa razy.

Stalowe ostrze weszło głęboko w słomę, rozcinając dwa kawałki czerwonego sznurka, którym ją związano.

Uwolniona z więzów bela ugięła się pod ciężarem siedzącej pary.

Odrzuciwszy na bok nóż, który upadł z łoskotem koło drzwi, Danny wstał i podniósł Sheilę.

Pocałował ją jeszcze raz, a potem ukucnął, aby rozłożyć słomę na kamiennej podłodze.

Ściągnął buty i resztę mokrej odzieży, rzucając wszystko na bok.

Podniósłszy wzrok zobaczył na tle płomieni filigranową sylwetkę Sheili.

Zdjęła majtki i stanęła nad nim całkiem naga.

Nigdy nie widział istoty równie pięknej, wspaniałej i godnej pożądania.

Nie była już małą dziewczynką, przyjaciółką z dzieciństwa.

To należało do przeszłości...

Sheila położyła się ostrożnie na szorstkiej słomie obok Danny'ego.

Leżeli rozciągnięci na ziemi, spragnieni siebie, zapominając o całym świecie.

Na dworze padał wciąż ulewny deszcz, bębniąc głośno o blaszany

dach stajni.

Wewnątrz parowały porozwieszane na krokwiach mokre rzeczy.

W palenisku huczał wesoło ogień, rzucając na młodych kochanków migotliwe, czerwone blaski.

Danny przytulał mocno leżącą na nim zapłakaną dziewczynę, gładząc jej włosy i plecy.

- Przepraszam, Sheilo.

Tak mi przykro...

- Co ty mówisz, Danny?

- spytała cicho.

- Za co mnie przepraszasz, kochany?

- To wszystko moja wina...

Nie powinienem był...

- Danny - powiedziała miękko - ja tego chciałam.

Teraz czuję się naprawdę kobietą.

Wiem już, jak inne dziewczyny...

- Przecież to cię bolało...

- Trochę, na początku.

Ale potem...

- A jednak krzyczałaś...

Sheila uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, uśmiechając się przez łyzy.

- Tak, chyba tak - powiedziała powoli, całując go.

- Ale, mój kochany Danny, to był krzyk radości, nie bólu!

- Więc dlaczego płaczesz?

- dopytywał się, jakby wciąż jej nie wierząc.

- Właściwie nie płaczę - próbowała go przekonać.

- A jeśli nawet, to...

- zająknęła się, mówiąc przez łzy - to ze szczęścia!

- Przytuliła go mocno do siebie.

- Nigdy w życiu nie czułam się taka szczęśliwa!

Widział po jej twarzy, że mówi prawdę.

Przytulił ją, pieszcząc delikatnie i całując.

Pomyślał, że jest taka drobna, pełna kobiecego wdzięku, a równocześnie tak bardzo dojrzała.

Poczuł przyływ ogromnej czułości, której nie wzbudzały w nim nigdy inne dziewczyny.

- Posłuchaj, moja mała Sheilo - rzekł, pochmurniejac nagle.

- Muszę ci coś powiedzieć.

Za kilka dni wyjeżdżam.

Podniosła raptownie głowę, przyglądając mu się z niepokojem.

- Chyba tylko na miesiąc - dodał pospiesznie i natychmiast zobaczył ulgę na jej twarzy.

- Dokąd jedziesz?

- zapytała.

- Za granicę - wyjaśnił.

- Dostałem dobrze płatne zlecenie.

- Co będziesz robił, Danny?

- Nie wolno mi o tym mówić.

Musisz mi zaufać.

Znów opuściła głowę i przez jakiś czas trzymała ją spokojnie na jego piersi.

- Danny?

- mruknęła po chwili.

- Czy masz dużo dziewczyn?

- Tylko jedną - odparł z uśmiechem, mocno ją przytulając.

- W moim życiu jest tylko jedna kobieta.

Dopiero teraz to sobie uświadomiłem.

29 Od poniedziałku dwudziestego trzeciego marca na Lundis Road panował bardziej ożywiony ruch niż zazwyczaj.

Rankiem tego dnia dostarczono do hali numer osiem sześć dużych pojemników na śmieci.

Ustawiono je rzędem wewnątrz budynku, opróżnionego już niemal całkowicie ze zgromadzonych tam wcześniej towarów.

Kiedy odjechały dostawcze ciężarówki, Usher - korzystając z wypożyczonego wózka z podnośnikiem widłowym - zaczął napełniać pojemniki złomem i innymi odpadkami.

Złom pochodził z hali numer dziewięć.

Ackford uwijał się tam z palnikiem acetylenowo-tlenowym, tnąc swoje obrabiarki na trudne do zidentyfikowania kawałki metalu.

Pomagający mu ludzie rozbijali systematycznie pozostały sprzęt i niszczyli nie wykorzystane surowce.

Wszystko trafiało do pojemników na śmieci.

W ciągu dwudziestu czterech godzin ósma i dziewiąta hala

całkowicie opustoszały.

W hali numer dziesięć stał nadal na przyczepie wielki kontener-chłodnia, a obok mniejszy, sześciometrowy, z włączonym agregatem.

W rogu leżała niewielka sterta sprzętu, który miał zostać załadowany do samolotu.

We wtorek dwudziestego czwartego w południe zabrano pojemniki, a ich zawartość dołączyła do tysięcy ton anonimowych odpadków i śmieci na miejskim wysypisku.

Następnego ranka, w środę, Howard, Palmer i Usher wsadzili do samochodów sprzęt, który miał być przetransportowany samolotem i konwój pojazdów wyruszył na lotnisko w Southampton.

Tam Palmer i Denard przyglądali się, jak ładowano do Islandera niewinnie wyglądające paczki.

Potem wrócili do Swindon.

Howard wręczył Denardowi kluczyki od Rovera 820, gdyż pilot zostawił rano swoją Toyotę Corollę w Londynie i pojechał z Palmerem.

Rover bardzo się Howardowi przydał, teraz jednak nie był mu już potrzebny.

Bourne podwiózł go tego wieczoru do domu swoim BMW i Alfą Romeo, jak zwykle zamieniając wozy na parkingu lotniska Heathrow.

MacDonald przyjechał późnym wieczorem pociągiem z Fort Wiliam i zanocewał u Howarda.

W czwartek dwudziestego szóstego rano Bourne odwiózł Howarda i MacDonalda z powrotem do Swindon, gdzie musieli zaczekać w hali numer dziesięć na przybycie Harrisa.

Przyjechał o dziesiątej dużym ciągnikiem Volvo HGV.

Załadowali ostrożnie do kontenera-chłodni ostatnią partię towaru.

Na koniec pozostały palety z żywnością, które trzymano zamrożone w mniejszym kontenerze.

Przetransportowali je na wózku z podnośnikiem widłowym.

Drzwi dużego kontenera zostały zaryglowane i zamknięte.

Harris podjechał ostrożnie ciągnikiem do naczepy i podłączył przewody instalacji elektrycznej, hydraulicznej oraz doprowadzania powietrza.

Wentylator agregatu zaczął głośno pracować.

Harris odebrał od Bourne'a dokumenty i ruszył w drogę.

Bourne wyłączył chłodzenie w mniejszym kontenerze, który został opróżniony i nie był już potrzebny, mógł więc wrócić tam, skąd go wypożyczono.

Załatwiwszy telefonicznie z biura tę sprawę Bourne zadzwonił jeszcze do firmy zajmującej się sprzątaniami pomieszczeń i do spółki Lansing Linde, aby jej pracownicy odebrali następnego dnia rano wózek z podnośnikiem widłowym.

W czasie, gdy Harris wioził kontener autostradą M4 na wschód, miała miejsce seria mało na pozór znaczących zdarzeń, które jednak dla policjanta z wydziału prewencji stanowiłyby dowód godnej ubolewania niefrasobliwości niektórych kierowców.

W Bristolu, na ulicy jednego z osiedli w pobliżu stacji kolejowej Tempie Meads, zaparkowany został wczesnym popołudniem Vauxhall Astra.

Jego kierowca - wysoki, chudy mężczyzna - wysiadł z wozu i oddalił się, pozostawiając nie zamknięte drzwiczki, opuszczoną na dziesięć centymetrów szybę i kluczyki w stacyjce.

Człowiekiem tym był Ackford.

Dotarwszy do stacji kolejowej sprawdził rozkład jazdy pociągów do Londynu i usiadł, aby poczekać na najbliższe połączenie.

W Oxfordzie niski blondyn - którym był Denard - z nie mniejszą bez troską pozostawił na parkingu w pobliżu północnej obwodnicy Rovera 820.

Podjechawszy autobusem do centrum miasta poszedł pieszo na dworzec kolejowy i - podobnie jak Ackford - wsiadł w pierwszy pociąg do

stacji Paddington.

W tym samym czasie Palmer i Usher porzucili swoje wozy - Peugeota 205 i Forda Escorta XR3 - w jednej z podejrzanych dzielnic w południowo-wschodniej części Londynu.

Ziegler zostawił Forda Sierre kilka kilometrów bardziej na północ, po drugiej stronie rzeki, obok pubu w Leytonstone.

Denard, pozbywszy się samochodu Howarda, wrócił do Londynu i pojechał Toyota w kierunku Wembley.

Pozostawił wóz na bocznej drodze między stadionem a stacją metra, dojechał linią Bakerloo do Charing Cross i stamtąd wrócił taksówką do hotelu.

Porzucone samochody w ciągu paru godzin padły łupem złodziei - z wyjątkiem Peugeota 205, który dziwnym trafem stał w tym samym miejscu prawie przez dwa dni.

Spalonego Forda Escorta znaleziono później sto kilkadziesiąt kilometrów dalej, w pobliżu Stoke-on-Trent.

Najwyraźniej przejechały się nim dla zabawy jakieś szczeniaki.

Rovera spotkał podobny los we wschodniej dzielnicy Oxfordu.

Pozostałe wozy po prostu zniknęły i zostały później odsprzedane nie podejrzewającym niczego nabywcom.

Nie dowiedzieli się nigdy, że zakupione przez nich samochody pochodziły z innego źródła niż wynikało z dokumentów.

Tydzień później Golf GTI Harrisa i BMW Bourne'a w podobny sposób znalazły nowych właścicieli.

Nie było zgłoszeń kradzieży.

Londyńska policja dziwiła się, że nikt nie doniósł o stracie Forda

Escorta ani Rovera - mieli meldunki tylko o tych dwóch wozach, które spłonęły.

Dochodzenie pozwoliło jedynie ustalić, że w obu przypadkach ostatni zarejestrowany właściciel sprzedał samochód komuś, kto nie pofatygował się zgłosić tego faktu do urzędu ewidencji pojazdów w Swansea.

Podejrzewano, że oba wozy mogły być wykorzystywane przy popełnianiu przestępstw.

Przez jakiś czas policja uważała, że poprzedni użytkownik Forda Escorta, właściciel baru z Southend, niezbyt wiarygodnie przekonywał o swej niewinności, jednak z braku dowodów śledztwo wkrótce umorzono.

Statystyki wykazywały alarmujący wzrost liczby kradzieży samochodów.

Ford Escort i Rover trafiły obok tysięcy innych pojazdów na listę spraw, których nigdy nie wyjaśniono.

Harris dotarł do Przystani Świętej Trójcy w porcie Felixstowe o trzeciej po południu.

Zgłosivszy się do spedytora wypełnił druki, skontrolował po raz ostatni napędzany wysokoprężnym silnikiem generator, aby mieć pewność, że agregat będzie działał niezależnie od zewnętrznego zasilania, a potem patrzył, jak dźwig podnosi kontener i opuszcza go na jedno z czternastu tysięcy stanowisk na ogromnym placu.

W powrotnej drodze zatrzymał się na postoju, odłączył pustą naczepę i zostawił ją, zdejmując przedtem tablicę rejestracyjną.

Dotarwszy do Londynu zwrócił ciągnik właścicielom.

Naczepa będzie stała przy drodze przez kilka tygodni, dopóki policja nie zorientuje się, że została porzucona.

Pytanie, do kogo należała, pozostanie bez odpowiedzi.

Spedytor w Felixstowe przedłożył brytyjskim celnikom rutynowe formularze C 88.

Urzędnik przejrzał pobieżnie listę towarów, obliczając w pamięci, czy podana waga i objętość przewożonych w kontenerze mrożonek odpowiada jego ciężarowi brutto, wynoszącemu dwadzieścia sześć ton.

Wszystko się zgadzało.

Na samej tylko Przystani Świętej Trójcy przeładowywano rocznie milion kontenerów.

Była to tak ogromna liczba, że z czysto praktycznych względów większości z nich - zwłaszcza tych, które opuszczały kraj - nie kontrolowano.

Widząc, że w kontenerze nie ma mrożonego mięsa ani innych produktów, wymagających rutynowej inspekcji, celnik przybił na formularzu pieczętkę, potwierdzając dokonanie odprawy.

Dalej załadunkiem kierowały już portowe komputery.

Jedna z czterdziestu poruszających się na gumowych kołach potężnych suwnic przeniosła kontener na półtorakilometrowe nabrzeże, przy którym stał pływający pod cypryjską banderą motorowiec "Manatee".

Obok cumowało pięć innych kontenerowców, udających się w różnych kierunkach.

o drugiej po południu wyłączono wysokoprężny silnik generatora i

jeden z trzynastu stojących na nabrzeżu gigantycznych dźwigów typu Panamax przeniósł powoli kontener nad statek i opuścił go precyzyjnie na pokład tuż za mostkiem, gdzie znajdowały się gniazdka systemu zasilania.

Załoga przymocowała do pokładu cztery zaczepty i podłączyła do sieci kabel.

Wentylator zaczął znowu pracować, tym razem zasilany prądem.

W ciągu dwóch godzin załadowano na pokład większość pozostałych kontenerów, które motorowiec "Manatee" miał zabrać w swój pięćdziesiąty szósty rejs do wschodniej Afryki.

Było ich osiemset, ustawionych na statku w dwudziestu rzędach, po osiem w poziomie i pięć w pionie.

Motorowiec "Manatee" miał wypłynąć rankiem następnego dnia, czyli w piątek dwudziestego siódmego marca.

Gdyby celnik zdecydował się sprawdzić ciężar kontenera albo jego zawartość, na pierwszy rzut oka nie zauważyłby niczego podejrzanego.

Stwierdziłby, że waga zgadza się z podaną w dokumentacji, a otworzywszy tylne drzwi zobaczyłby cztery palety mrożonek w dwóch rzędach.

Podziwiałby może ich precyzyjne rozmieszczenie, choć mógłby dojść do wniosku, że nie zapewnia ono optymalnej cyrkulacji zimnego powietrza.

Palety zajmowały całe wnętrze szerokiego na dwa metry dwadzieścia centymetrów kontenera, sięgając do samego sufitu.

Z boku i u góry pozostawały najwyżej dwa centymetry wolnej przestrzeni.

Na pozór były to standardowe, drewniane palety, ale w istocie

przycięto je dokładnie do odpowiednich rozmiarów, aby wypełniały szczelnie kontener i uniemożliwiały sprawdzenie, co jest w jego wnętrzu.

Celnik specjalnie by się zresztą nad tym nie zastanawiał, uznając, że głębiej musi być to samo.

Gdyby sprawdził odczyt na termometrze, mógłby zauważyć, że paczki z warzywami nie były tak zimne, jak powinny.

Ale chociaż ich temperatura faktycznie wzrosła z minus dwudziestu do minus trzynastu stopni Celsjusza, na oko nie dostrzegało się żadnej różnicy.

Celnik przypisałby zresztą zapewne ten wzrost temperatury szczelnemu ułożeniu mrozonek, które powodowało słabą cyrkulację zimnego powietrza.

Za czterema paletami warzyw znalazłby następne, tym razem z puszkowaną margaryną.

Zazwyczaj nie było potrzeby jej mrozić, ale przewożąc mieszany ładunek czasami to jednak robiono, co nie budziło szczególnego zdziwienia.

Tak naprawdę margaryna pozwalała utrzymać niską temperaturę warzyw.

Działała jako skuteczny izolator, oddzielając je od tego wszystkiego, co umieszczono bliżej zamkniętego końca kontenera.

Za margaryną, prawie dwa i pół metra od drzwi, znajdowały się pomalowane na czarno grube płyty izolacyjne, których nie było widać zza ułożonych ciasno palet.

Przegradzały one w poprzek kontener, uszczelniając go od góry do dołu i sprawiając, że zamrożony ładunek nie oziębiał wolnej przestrzeni w tyle.

Znajdujące się tam pomieszczenie o powierzchni dziewięciu metrów kwadratowych wyłożono trzydziestocentymetrową warstwą betonowych kostek, które służyły jedynie za balast.

Betonową podłogę, łącznie ze ścianami i sufitem, pokrywała gruba, podgumowana wykładzina, zapewniająca dźwiękoszczelność pomieszczenia.

Było tam niewiele wolnego miejsca.

Pod jedną ze ścian stały sterty sprzętu i zapasów, zapakowanych głównie w wodoodporne gumowe torby, którymi celnik z pewnością by się zainteresował.

Przemycano w nich wszystkie akcesoria niezbędne do przeprowadzenia akcji: karabin, amunicję, tłumiki do AK, sprzęt łączności satelitarnej, gogle noktowizyjne i inne niezwykle przedmioty.

Pod drugą ścianą stały: domowa lodówka, gaśnica, odkurzacz i szczotka, kuchenka gazowa, czajnik i garnki umieszczone na szafce z szufladami, kanistry na wodę i paliwo, niewielka drewniana kabina z chemiczną toaletą, stół i dwa składane turystyczne krzeselka.

W głębi, koło przewodów wentylacyjnych, celnik zobaczyłby coś, co przyprawiłoby go o zawał.

Na podłodze leżały rozłożone dwa materace.

Kiedy kontener uderzył lekko o pokład statku i wentylator zaczął znowu działać, Ed Howard rozpiął zamek śpiwora i wstał.

Pomimo izolacji, mrożonki w krótkim czasie wyraźnie ochłodziły wnętrze pomieszczenia.

Teraz, gdy wentylator podłączono do prądu, napływające z zewnątrz świeże powietrze powinno szybko je nagrzać.

Ackford umieścił w obudowie agregatu dwa niewielkie klimatyzatory z termostatem.

To ich właśnie Bourne nie potrafił początkowo zlokalizować.

Zapewniały przepływ powietrza o stałej temperaturze dwudziestu stopni Celsjusza.

- Niestety, musimy wytrzymać w takich warunkach jeszcze dwadzieścia cztery godziny - mruknął Howard.

- Potem będziemy już na pełnym morzu.

Jutro w nocy możemy zacząć wyrzucać za burtę mrożonki i balast, to zrobi się tu trochę luźniej.

- Spojrzał na swego towarzysza.

- Danny?

- Coś podobnego, pomyślał, nie kryjąc podziwu.

Ależ on ma nerwy.

Danny MacDonald spał twardo w śpiworze na drugim materacu.

CZEŚĆ DRUGA - CIEŃ

30

Motorowiec "Manatee" płynął nocą po falach Zatoki Biskajskiej, kierując się na południe.

Cichy brzęk, podobny do odgłosu trzaskającego nitu, zginął wśród metalicznego skrzypienia statku i szumu wentylatorów.

Na pomalowanym cienką warstwą farby zewnętrznym poszyciu dwunastometrowego kontenera - chłodni pojawiło się niemal niewidoczne w ciemnościach pęknięcie i wycięty przez Ackforda narożny właz otworzył się na szerokość dwóch centymetrów.

Howard odstawił podnośnik samochodowy i pchnąwszy ostrożnie płytę jeszcze o kilka centymetrów przyłożył oko do szczeliny.

Miał nadzieję, że tuż obok nikt nie stoi.

Było to mało prawdopodobne.

Zresztą ledwo dostrzegalny ruch nie zwróciłby niczyjej uwagi, chyba że w momencie otwierania włazu któryś z członków załogi przyglądał się akurat kontenerowi.

Po prawej stronie, w miejscu widocznym przez wąską szparę, nie było nikogo.

Nadbudówka znajdowała się w odległości około dwóch metrów.

Stojące po obu stronach pozostałe kontenery tworzyły zwartą ścianę, wzdłuż której przechodziło się w poprzek statku.

Howard wolał nie wystawiać głowy przez właz, żeby spojrzeć w lewo, tylko wyjął z kieszeni lusterko i posługując się nim sprawdził, czy przejście jest wolne.

- Znakomicie - powiedział półgłosem do MacDonalda, wyraźnie zadowolony.

- Mamy dość miejsca, żeby otworzyć włącz, a co więcej jesteśmy na samym dole, bezpośrednio na pokładzie, a nie na innych kontenerach.

Nie trzeba będzie spuszczać niczego na linie.

Wszystko da się wynieść.

Sprawdzę, co z drzwiami po drugiej stronie.

Byłoby idealnie, gdybyśmy mieli do nich dostęp, ale za bardzo na to nie liczę.

Wrócę za pięć minut.

Wyszedłszy na zewnątrz zamknął za sobą włącz i rozejrzał się wokół.

Ułożone piętrowo kontenery tworzyły zwartą stalową ścianę o wysokości dwunastu metrów.

Ich był drugi od końca.

Siedem z ośmiu kontenerów stojących na samym dole miało podłączone do sieci agregaty chłodnicze.

Z obu stron przejścia między kontenerami a nadbudówką statku widniały schodki, prowadzące na położony trzy metry niżej główny pokład.

Howard zszedł po nich i podążył w kierunku rufy, odmierzając krokami dwanaście metrów.

Nigdzie żywej duszy.

Wychyliwszy się za burtę spojrzał ku górze i zobaczył, że ich kontener stoi w szeregu odległym o prawie dwa metry od następnego.

Wystarczająco daleko, by mogli otworzyć główne drzwi.

- W porządku, Danny - oznajmił, wchodząc z powrotem przez właz.

- Ułatwiają nam życie.

Będziemy mieli dostęp do drzwi.

W dodatku nikt nie powinien nam przeszkadzać.

Do tej części pokładu nie ma bezpośredniego dojścia.

Pewnie nie jest nikomu potrzebne.

Mamy sporo do zrobienia, zanim się rozwidni.

Trzeba wyrzucić za burtę cały balast, żeby móc zaszpachlować i zamalować na nowo właz.

Potem będą nam potrzebne już tylko główne drzwi.

Chodźmy.

Wyszli przez właz, zamykając go za sobą.

Zatrzasnęły się wewnętrzne zapadki.

O istnieniu włazu świadczyły teraz jedynie lekkie pęknięcia farby

wokół jego krawędzi.

Howard wytarł je do czysta szmatką, a potem zaczął wypełniać szczeliny szybko schnącym kitem.

MacDonald otworzył tymczasem niewielką puszkę z farbą.

Kiedy szpary zostały zakitowane, Howard starannie je zamalował.

Właz znowu przestał być widoczny.

Zszedłszy po schodkach na główny pokład obaj mężczyźni podążyli cicho w kierunku rufy.

Howard wdrapał się na ciężki stalowy dźwigar, chcąc dotrzeć do kontenera od strony drzwi.

Wspinał się bez wysiłku, znikając Danny'emu z oczu.

Aby MacDonald mógł do niego dołączyć, spuścił mu na dół przymocowaną do zaczepu jednego z kontenerów cienką linę, którą później wciągnęli do góry i odwiązali.

Przejście między rzędami kontenerów, jak zauważył wcześniej Howard, miało niecałe dwa metry szerokości.

Wokół pokładu nie było żadnej ochronnej barierki.

Od lewej do prawej burty rozciągał się gładki stalowy pomost, którego krawędź zwisała po obu stronach statku bezpośrednio nad powierzchnią morza.

Howard przeciął szczypcami drut z pieczęcią odprawy celnej i wsadził go do kieszeni.

Potem otworzył stalowe drzwi tak szeroko, że przylegały z obu stron do sąsiednich kontenerów.

Mrożone warzywa roztopiły się częściowo w ciągu czterdziestu godzin od chwili ich załadowania, ale utrzymywały nadal bardzo niską

temperaturę.

Tnąc grube plastikowe taśmy i wyciągając mrożonki z palet obaj mężczyźni byli zadowoleni, że mają grube, ocieplane rękawice.

Wyrzucane za burtę dziesięciokilowe paczki mrożonek spadały do morza z wysokości piętnastu metrów, ich plusk ginał jednak w szumie fal za rufą statku.

Pracując powoli, w milczeniu, Howard i MacDonald pozbyli się w ciągu siedmiu godzin całego balastu warzyw i margaryny.

O piątej rano, gdy wyrzucili za burtę ostatnią paczkę mrożonek i palety, ich oczom ukazały się czarne płyty izolacyjne.

Rozmontowali je i również wrzucili do morza.

Teraz mieli dostęp do tylnej części kontenera.

Właz nie był im już potrzebny.

- W porządku, Danny.

Na dziś wystarczy.

Jutro zaczniemy wyrzucać betonowe kostki.

A teraz chodźmy napić się herbaty.

- Zamknąwszy za sobą ciężkie drzwi Howard i MacDonald weszli z powrotem do środka.

W ciągu dwóch kolejnych nocy pozbyli się betonowych kostek, zwinęli gumowe wykładziny i przenieśli pozostałe rzeczy w jedno miejsce.

W końcu został im tylko sprzęt do biwakowania i wodoszczelne torby z przemycanym ekwipunkiem.

Gdy zyskali trochę przestrzeni nad głowami, wewnątrz kontenera przestało przyprawiać ich o klaustrofobię.

Zdaniem Howarda pozbyli się tego nieznośnego uczucia głównie

dlatego, że mieli teraz nie jedną, lecz dwie drogi ucieczki.

W ciągu trzech dni nie zobaczyli ani jednego członka załogi.

Ktoś powinien sprawdzać dwa razy dziennie, czy agregaty działają bez zarzutu, nie widzieli jednak ani nie słyszeli, by to robiono.

Skończyli dużo wcześniej niż przewidywał Howard.

Gdyby nie mieli dostępu do głównych drzwi i musieli wynosić wszystko przez właz, operacja potrwałaby o kilka nocy dłużej.

W ciągu czterech dni rejsu Howard i MacDonald przestawili się na nocny tryb życia.

Howard spędził czwartą i piątą noc poza kontenerem, ukryty na głównym pokładzie.

Obserwował ruchy członków załogi i ich zwyczaje.

Stwierdził z zadowoleniem, że nocą na płynącym statku prawie nic się nie działo.

Pokład patrolowano stosunkowo rzadko i w stałych - a więc łatwych do przewidzenia - godzinach.

Ponieważ przez najbliższych dziesięć dni nie musieli wykonywać żadnej fizycznej pracy, Howard wyciągnął taśmy do nauki arabskiego i zaczął studiować język, który bardzo słabo znał.

Dzięki wrodzonym uzdolnieniom robił szybkie postępy, nie miał jednak złudzeń, że wystarczy mu umiejętności na więcej niż kilka sekund rozmowy - i to tylko wtedy, gdy poprzestanie na podstawowych zwrotach.

Skoncentrował się na ćwiczeniu wymowy.

Właśnie zły akcent mógł najłatwiej go zdradzić, gdyby musiał powiedzieć coś po arabsku.

Miał nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby.

Słuchając lekcji arabskiego Howard zastanawiał się, czy słusznie postąpił, zabierając ze sobą MacDonalda, a nie kogoś innego.

Najlepszy byłby niewątpliwie Tony Ackford, który służył kiedyś w SBS, ale Tony miał do wykonania robotę.

Bob Usher też by się nadał, lecz odkąd trafił do więzienia w Ankarze, cierpiał - co zrozumiałe - na klaustrofobię.

Poza tym miał pomagać Ton'emu.

Mel Harris musiał zajmować się Sullivanem, a Andy i Chris, odpowiadali za samolot.

I tak zresztą mało wiedzieli o morzu.

Johnny Bourne miał na głowie sprawy administracyjne, a Mikę Ziegler...

Nie, dobrze zrobił, że wziął MacDonalda.

Chłopak go nie zawiódł.

Najwyraźniej wcale mu nie przeszkadzało, że siedzieli zamknięci w tej cholernej stalowej skrzyni.

- Jak radzisz sobie z tablicami, Danny?

- zapytał Howard po tygodniu rejsu.

Podczas gdy on obserwował poczynania załogi, MacDonald zajmował się wyliczaniem parametrów lotu pocisku i określaniem trajektorii, korzystając z kieszonkowego kalkulatora i robiąc liczne notatki.

- Prawie skończyłem - odparł, spojrzawszy na Howarda.

-Brałem pod uwagę wszelkie ewentualności, łącznie z ekstremalnymi zmianami pogody.

Uwzględniłem nawet skrajnie trudne warunki.

Teraz sprawdzam jeszcze raz te warianty, które są bardziej prawdopodobne.

- Mam dla ciebie mały prezent od Boba - oznajmił Howard.

- Nie wiem, czy ci się przyda, ale chciałbym, żebyś go wypróbował.

Porównamy potem wyniki z twoimi tabelami i notatkami,

MacDonald patrzył zdziwiony, jak Howard wyciąga z torby płaskie, prostokątne pudełko o wymiarach trzydzieści na dwadzieścia pięć centymetrów.

Było stalowoszarego koloru, miało niecałe pięć centymetrów wysokości i ważyło niewiele ponad trzy kilogramy.

Gdy Howard wcisnął dwie zapadki, wieko odskoczyło do góry, ukazując niewielki ekran.

Po włączeniu przycisku po prawej stronie urządzenie zaczęło cicho szumieć, a na ekranie pojawił się obraz.

Zielone światełko u dołu wskazywało, że bateria jest całkowicie naładowana.

Howard wyjaśnił MacDonalldowi zasady działania aparatu.

- To komputer typu laptop o nazwie Grid 386NX.

Bob twierdzi, że jest wyjątkowo dobry.

Kupiło ich sporo Ministerstwo Obrony.

To bardzo mocny sprzęt, mimo niedużych rozmiarów.

Gdybyś potrzebował pomocy, znam się trochę na obsłudze komputerów.

Bob przygotował dla ciebie instrukcje.

Mówi, że amerykański program, który załatwił Mike, jest bardzo łatwy do opanowania.

Widział, jak męczysz się z tymi tablicami i stwierdził, że musi być jakieś lepsze rozwiązanie.

Zobacz, co o tym myślisz.

- Komputer?

Chyba żartujesz!

- MacDonald spojrział na Howarda z niedowierzaniem.
- Prima aprilis był wczoraj.
- Mówię poważnie, Danny.

Nie wiem tylko, na ile ci się przyda.

Tabele balistyczne mogą być za mało dokładne.

Zresztą sprawdź sam.

Zdziwienie MacDonalda przerodziło się w zachwyt, gdy skorzystawszy z przekazanych mu przez Ushera prostych instrukcji uruchomił komputerowy program.

Zaczynając od standardowego polecenia C:, wystukał na klawiaturze EXTBAL6.EXE i wcisnął klawisz RETURN.

Po krótkiej przerwie na ekranie pojawiła się nazwa programu: TABLICE BALISTYCZNE BRONI RĘCZNEJ. Zaraz potem napis zniknął i zastąpiły go rzędy i kolumny liczb, dające pełną charakterystykę balistyczną konkretnego typu pocisku w określonych warunkach meteorologicznych.

MacDonald zauważył, że dane te dotyczyły amunicji snajperskiej .338 Lapua Magnum i obejmowały serię standardowych parametrów: temperaturę, wysokość nad poziomem morza, wilgotność powietrza, odległość od celu, ciśnienie atmosferyczne i uchylenie poziome.

Studiował je z wielkim zainteresowaniem, otworzywszy notes na stronie, gdzie zapisał wyniki własnych obliczeń.

Stosując się nadal do instrukcji Ushera, wystukał na klawiaturze słowo SUMA.

Kiedy to zrobił, na ekranie pojawił się natychmiast napis: PROSZĘ CZEKAĆ. Dwie sekundy później zobaczył kilka długich kolumn liczb.

W pierwszej podane były odległości od zera do tysiąca trzystu pięćdziesięciu metrów, w odstępach co dziewięćdziesiąt metrów, a w drugiej i trzeciej dane dotyczące prędkości pocisku w metrach na sekundę oraz jego energii, odpowiadającej poszczególnym odległościom.

Czwarta kolumna informowała o tym, o ile centymetrów obniży się lot pocisku w stosunku do linii rzutu, a piąta - w jakim czasie pokona on dany dystans.

Szósta i siódma kolumna określały w minutach kątowych i centymetrach wartość przewyższenia toru pocisku nad linią celowania przy celowniku wyzerowanym na konkretną odległość, a ósma i dziewiąta - odchylenie lotu pocisku, spowodowane bocznym wiatrem o prędkości dwóch metrów na sekundę.

- Cholera, coś podobnego!

- mruknął, porównując szybko ze swymi notatkami wyliczone przez komputer w ciągu dwóch sekund wartości pionowego i poziomego odchylenia lotu pocisku.

Wszystko niemal idealnie się zgadzało.

Największa różnica wynosiła poniżej dwóch centymetrów przy dystansie tysiąca stu metrów.

MacDonald był skłonny przypuszczać, że to raczej on popełnił błąd, a nie komputer.

Uświadomiwszy sobie, że może odczytać dowolne wartości zmian temperatury czy ciśnienia atmosferycznego, szybko je przejrzał, porównując każdorazowo wyniki z danymi, które wyliczał przez wiele godzin na kalkulatorze.

W ciągu zaledwie trzydziestu minut sprawdził parametry wszystkich rozpatrywanych wariantów.

Od czasu do czasu podnosił wzrok, spoglądając na Howarda z coraz większym wyrzutem.

Zauważywszy w końcu jego spojrzenie Howard rozłożył ręce w przepaszającym geście.

- Wiem, co myślisz, Danny - powiedział.

- Zastanawiasz się, dlaczego nie dostałeś tego komputera wcześniej.

Zaoszczędziłbyś wiele godzin żmudnej pracy.

Prawdę mówiąc, wszyscy oprócz mnie i Mike'a chcieli ci go dać od razu.

Uznaliśmy jednak, że będzie najlepiej, jeżeli najpierw zrobisz własne wyliczenia, żebyś mógł je porównać z tym, co podaje komputer.

Inaczej nie miałbyś pewnie do niego zaufania.

Podejrzewam zresztą, że opracowując tabele poznałeś dużo lepiej balistykę pocisków, niż gdybyś używał komputera.

Przepraszam, stary, ale mam nadzieję, że przyznasz mi rację.

MacDonald wydał usta, zastanawiając się nad słowami Howarda.

Wreszcie wzruszył ramionami.

- Słusznie.

Pewnie nie uwierzyłbym w dane z komputera.

Zdumiewająca sprawa.

Jest niesamowicie szybki.

Ale na wszelki wypadek notatnik też wezmę ze sobą.

Jeśli w komputerze coś nawali albo wyczerpie się bateria, będę miał przynajmniej moje obliczenia.

I pewność, że są dokładne.

- To właśnie chciałem usłyszeć - stwierdził Howard.

-Wyjdźmy stąd.

Na zewnątrz już się pewnie ściemniło.

Chcę ci pokazać jeszcze jedną zabawkę.

Ustalimy z dokładnością do stu metrów nasze położenie.

Za pomocą tego przyrządu - dodał, biorąc do ręki niewielki przedmiot o długości około dwudziestu centymetrów.

MacDonald przyjrzał mu się.

Przyrząd wyglądał jak duży kieszonkowy kalkulator albo pilot od telewizora.

- To urządzenie do nawigacji satelitarnej - wyjaśnił Howard.

31 Rankiem siódmego kwietnia Harris i Denard zegnali na lotnisku w Southampton Sullivana.

Harris był z niego bardzo zadowolony.

Podczas pobytu w Londynie amerykański pilot zachowywał się jak należy.

Nie pił, nie chodził na bankiety i najwyraźniej chciał dobrze wykonać swoje zadanie.

Przejrzawszy otrzymany od Harrisa plan lotu zaproponował nawet parę zmian.

Denard, który opracował ten plan, przyznał potem, że uwagi Amerykanina były rozsądne.

Sullivan nie wiedział, że Denard jest pilotem.

Do tej pory nie poznał też innych członków grupy.

- Myślę, że nasz chłopak dobrze się spisze - mówił Harris, gdy obserwowali startującego Islandera, który leciał w kierunku morza, rozpoczynając pierwszy etap swojej podróży do Arabii Saudyjskiej.

- Nianczenie kowboja na Bliskim Wschodzie mogłoby się okazać cholernie uciążliwe, ale on nie sprawi nam chyba kłopotów.

Nie pija prawie alkoholu - czasem tylko piwo.

Nie tak jak ty, Andy, sakramencki rozrabiako.

- Odwał się - odparował Denard.

- Kiedy latam, nigdy nie piję.

Wracajmy do Londynu.

Postawię ci piwo.

Potem przez jakiś czas będziemy musieli się bez niego obejść - dodał z żalem.

- W Arabii Saudyjskiej obowiązuje pieprzona prohibicja.

Tego wieczoru czterej członkowie grupy - Bourne, Denard, Palmer i Harris - odlecieli z Londynu na Bliski Wschód.

Rejs British Airways do Dżuddy miał numer BA 133.

Następnego dnia rano Ziegler, Ackford i Usher wsiedli w samolot do Rijadu - numer rejsu BA 125.

Cała siódemka podróżowała z prawdziwymi paszportami, używając własnych nazwisk.

Arabia Saudyjska ściśle kontroluje napływ cudzoziemców.

Nie wpuszcza się tam turystów.

Pozwolenie na wjazd otrzymują tylko dwie kategorie podróżnych.

Muzułmanom udającym się do Mekki i Medyny wolno odwiedzać jedynie te święte miasta oraz Dżuddę.

Większość pielgrzymów otrzymuje wizę wjazdową tylko na okres, w którym odbywają hadż.

Drugą kategorię podróżnych stanowią biznesmeni, pracownicy zagranicznych firm oraz ich rodziny.

Swoboda, z jaką mogą poruszać się po terytorium Królestwa, zależy od charakteru ich pracy.

Do świętych miast wstęp mają jednak wyłącznie muzułmanie.

Wniosek wizowy musi być poparty wiarygodnym zaświadczeniem o zatrudnieniu w firmie działającej na terenie Arabii Saudyjskiej, a wydający

zezwoleń urzęd zawsze dokładnie sprawdza cel wyjazdu.

Czasem władze saudyjskie, na przykład ambasada w Londynie, dwukrotnie taki wniosek weryfikują.

Gdy jest on jednak właściwie sporządzony i ma poparcie poważanej firmy, otrzymanie wizy nie stanowi zwykle problemu.

Ludzie Howarda podali się za pracowników spółki Pan-Arabian Petroleum, która oprócz siedmiuset pięćdziesięciu obywateli Arabii Saudyjskiej zatrudniała czterdziestu pięciu Brytyjczyków, dwunastu Amerykanów i osiemdziesięciu Pakistańczyków.

PAP była bardzo szanowaną firmą.

Ponieważ należała w całości do rodziny królewskiej, rządowi biurokraci rzadko interesowali się jej działalnością.

Bourne, jako konsultant PAP do spraw bezpieczeństwa, z łatwością sfabrykował odpowiednie kontrakty dla członków grupy.

Mając dostęp do bazy danych komputera w londyńskim biurze spółki, wprowadził na listę personelu nazwiska i dane swoich ludzi wraz z adnotacją, że po wszelkie informacje na ich temat należy zwracać się bezpośrednio do niego.

Przez następnych kilka tygodni sprawdzał dokładnie, czy władze saudyjskie nie proszą o jakieś wyjaśnienia.

Ponieważ ambasada nie zgłaszała żadnych pytań, a wizy - zgodnie z jego oczekiwaniami - przyznano bez problemów, wymazał personalia wszystkich członków grupy z bazy danych.

Ich akta zniknęły bez śladu.

Bourne pomyślał, że po powrocie musi zadbać o lepsze zabezpieczenie danych działu kadr.

Obecnie nikt się nawet nie zorientował, że na listę dopisano dodatkowych ”pracowników”.

Osoba podejmująca pracę w Arabii Saudyjskiej otrzymuje początkowo wizę podróżną, która jest ważna przez miesiąc.

Jeśli chce się zostać dłużej, należy uzyskać w ciągu tego czasu wizę pracowniczą, uprawniającą do wielokrotnego przekraczania granicy.

Trzeba wypełnić kolejny wniosek i dołączyć jeszcze jeden list od firmy.

Dostaje się wtedy iqaama, czyli zezwolenie na pracę.

Iqaama to nieduża sześciostronicowa książeczka w brązowej oprawie, którą trzeba mieć zawsze przy sobie.

Paszport - z pieczętą potwierdzającą uzyskanie iqaama - oddaje się zwykle pracodawcy.

W Arabii Saudyjskiej bez iqaama cudzoziemiec jest nikim.

Aby opuścić kraj, musi ubiegać się o wizę wyjazdową.

Dostaje ją w ciągu czterech do sześciu dni.

Pod wieloma względami łatwiejsze życie ma więc biznesmen, który przebywa w Arabii Saudyjskiej krócej niż miesiąc.

Zachowuje paszport i nosi przy sobie list od pracodawcy, określający jego status i miejsce pracy, a zatem i możliwości poruszania się po terytorium kraju.

Przybywszy o świcie ósmego kwietnia do Dzuddy Harris i Denard pojechali taksówką prosto do hotelu "Sheraton" przy Corniche Highway, gdzie zajęli zarezerwowane wcześniej sąsiednie pokoje.

Oddali w recepcji paszporty, które podstemplowano im przy odprawie na lotnisku.

Nikt nie zwrócił uwagi na wąsy Denarda, ani na fakt, że ma on w rzeczywistości ciemniejsze włosy niż na zdjęciu.

Nie zadawano też kłopotliwych pytań na temat ich zawodów.

Harris - według informacji w paszporcie - był "członkiem zarządu", pracującym rzekomo dla PAP, zaś Denard, obywatel Zimbabwe,

występował oficjalnie jako "dyrektor spółki".

Tytuł ten pozostał mu z czasów, gdy prowadził własne przedsiębiorstwo czarterowe.

Potem krajowe Zrzeszenie Przewoźników Lotniczych zmusiło go, by zrezygnował z prywatnej działalności i pracował dla nich.

Denard poszedł prosto do swojego pokoju i siedział tam przez trzy dni, nikomu się nie pokazując.

Zamawiane dla niego w restauracji posiłki odbierał Harris.

Gdy jedenastego kwietnia Denard opuścił pokój, podsumował swój pobyt w odosobnieniu słowami: "można zesrać się z nudów".

Bourne (jeszcze jeden "dyrektor spółki") oraz "inżynier" Palmer zamieszkali w hotelu "Marriott".

Zaraz po śniadaniu Bourne zadzwonił do Tony'ego Hughes'a, dyrektora firmy Darcon w Arabii Saudyjskiej.

Hughes, który oczekiwał tego telefonu, wysłał zaraz po "pana Bryce'a" i "pana Pottera" samochód do hotelu.

Kiedy przyjechali do jego biura, obejrzał sporządzony przez Bourne'a firmowy dokument, z którego wynikało, że pan Bryce pracuje dla spółki Darcon jako geolog, a pan Potter jest geodetą.

Faxy od Dartingtona dowodziły, że ludzie ci mają do spełnienia ważną, tajną misję.

Hughes nie pytał już o nic więcej.

Tony Hughes był niskim, energicznym człowiekiem.

Bourne szybko pojął, dlaczego Dartington tak bardzo mu ufa.

Nie wydawał się wcale urażony tym, że szef najwyraźniej organizuje mu za plecami, na jego terenie, jakieś nowe przedsięwzięcie.

Ze słów Hughes'a wynikało, że przyjaźni się z Dartingtonem od wielu lat i darzy go ogromnym szacunkiem.

Bourne pomyślał, że dobrze się stało, iż w faxach wysyłanych rzekomo przez Dartingtona było zastrzeżenie, żeby Hughes w żadnym wypadku nie wspominał przez telefon o tajnym projekcie, o ile nie rozmawiał bezpośrednio z "panem Bryce'm".

- Wszystko przygotowane, Jim - oznajmił Hughes, zwracając się do Bourne'a.

- Masz do dyspozycji naszą starą bazę budowlaną w Badanah.

Jak ci już wspominałem, stoi pusta od czterech miesięcy, odkąd skończyliśmy kłaść nową nawierzchnię na autostradzie wzdłuż rurociągu transarabskiego.

Posłałem tam cztery pojazdy, o które prosiłeś.

Dwóch naszych mechaników sprawdza właśnie, czy są sprawne.

Poza tym jest na miejscu trzech strażników, dwóch robotników, magazynier i kucharz.

Z wyjątkiem pakistańskiego kucharza wszyscy są tubylcami.

Potrzebujesz jeszcze kogoś?

- Nie, dziękuję - odparł Bourne, postanawiając w duchu, że zaraz po przyjeździe da Saudyjczykom trzy tygodnie płatnego urlopu, żeby się ich pozbyć.

Pakistańczyka zatrzyma, ale przypilnuje, żeby nie wychodził z kuchni.

Kucharz będzie zapewne zadowolony ze zwolnienia reszty personelu.

Saudyjczycy traktowali kolorowych imigrantów jako obywateli

drugiej kategorii.

- Poradzimy sobie sami, Tony - dodał Bourne.

- Gdy tylko dołączą do nas koledzy, większość czasu będziemy poza bazą.

Prosiłem, żeby przylecieli od razu na miejsce.

Dziękuję za pomoc.

Hughes zaprosił obu mężczyzn do siebie na kolację i wydawał się zawiedziony, gdy Bourne grzecznie odmówił, wyjaśniając, że przed wyruszeniem na północ muszą załatwić jeszcze sporo spraw.

Wrócił razem z Palmerem do hotelu, gdzie dołączyli do nich po przylocie z Rijadu Ziegler, Ackford i Usher.

Następnego dnia, 9 kwietnia, Bourne, Palmer, Ackford i Usher wstali wcześnie i wrócili taksówką na międzynarodowe lotnisko imienia króla Abdula Aziza w Dżuddzie, gdzie wsiedli do samolotu, odlatującego o godzinie 07.45 do Arar, daleko na północy kraju.

Rejs linii Saudia nosił numer SV 738.

Baza budowlana spółki Darcon znajdowała się piętnaście kilometrów od Arar, w pobliżu miasta Badanah, w odległości trzystu metrów od autostrady poprowadzonej wzdłuż rurociągu transarabskiego.

Dotarli na miejsce w upale o 11.30 i od razu zaczęli się tam instalować.

Zgodnie z przewidywaniami Bourne'a, wszyscy Saudyjczycy byli zachwyceni, że dostali nieoczekiwanie trzytygodniowy urlop.

Skwapliwie z tego skorzystali, natychmiast znikając.

Ziegler, który towarzyszył kolegom w drodze na lotnisko, poszedł do wypożyczalni firmy Avis i wynajął największy pojazd, jakim

dysponowali.

Była to duża, kryta półciężarówka marki Dodge Ram Charger, z podwójną kabiną i mnóstwem miejsca z tyłu.

Wyruszył na północ i odetchnął z ulgą, znalazłszy się na autostradzie i pozostawiwszy za sobą miasto, w którym wszyscy jeździli jak szaleńcy.

Nie spieszył się, zachowując dużą ostrożność.

Wkrótce po opuszczeniu miasta zatrzymał się przy policyjnym punkcie kontroli, pokazując paszport i wydane przez PAP zezwolenie na podróż.

Policjanci nie mieli specjalnej ochoty go kontrolować i byli przyjaźnie nastawieni, gdy powitał ich uprzejmie kilkoma arabskimi słowami, które zdążył opanować.

Widział jednak, że sprawdzają dokładnie dwa wozy, prowadzone przez Pakistańczyków.

Bardziej na północy ruch był coraz mniejszy.

Po godzinie Ziegler znalazł się na drodze prowadzącej wzdłuż wybrzeża i jechał nadal na północ, w kierunku Yanbu.

Dotarł tam w południe, o tej samej porze, gdy Bourne i jego koledzy zasiadali do obiadu w oddalonej o ponad siedemset kilometrów na północny wschód bazie w Badanah.

Mniej więcej w tej samej odległości od Yanbu, ale w kierunku północno-zachodnim, motorowiec "Manatee" kończył właśnie rejs przez Morze Śródziemne.

Dzięki niewielkiemu odbiornikowi systemu nawigacji satelitarnej Howard wiedział, że statek zbliża się do Port Saidu, u północnego wejścia do Kanału Sueskiego.

32 Jedenastego rano Sullivan wylądował na międzynarodowym lotnisku króla Abdula Aziza, gdzie oczekiwał go już Harris.

Tekszańczyk, legitymujący się własnym paszportem i przygotowanymi przez Bourne'a dokumentami z firmy Darcon, przeszedł bez problemów odprawę paszportową.

Saudyjczykom przypadła do gustu jego bezpośredniość.

Sprawdzający paszporty urzędnik uśmiechnął się, słysząc wypowiedzianą wesołym tonem, choć niezbyt poprawną językowo formułkę: "Bądź zdrow i salaam, stary!" Należało jeszcze wypełnić dodatkowe formularze, związane z odprawą celną Islandera, ale ponieważ przedstawiciele zagranicznych korporacji często ściągali do Arabii Saudyjskiej własne samoloty, więc i tę sprawę szybko załatwiono.

Sullivan rozumiał, że traktując ludzi z nie pozbawioną szacunku życzliwością można wiele zdziałać.

Wzbudzał sympatię i potrafił to wykorzystać.

Harris odwiózł go wynajętym samochodem do hotelu "Sheraton", pytając po drodze, jak minęła podróż.

- Bez problemów - odparł Sullivan.

- Całkiem przyjemnie się leciało.

Cholera!

- wykrzyknął nagle, gdy prowadzona z nonszalancją półciężarowa Mazda omal ich nie staranowała.

- Jak ci faceci jeżdżą!

Życie im niemiłe, czy co?

Harris zaklął siarczyście.

Nieostrożny kierowca popędził dalej, nie zwracając na nich uwagi.

- Jak widzisz, nie jest tu najbezpieczniej - mruknął Harris do Sullivana.

- Prawdę mówiąc na tutejszych drogach panuje cholerny bałagan.

- Wkrótce zmienił temat i zaczął opowiadać Sullivanowi starannie przygotowaną historyjkę.

- Posłuchaj, Ray.

Nastąpiła zmiana planu.

Szef wyjechał na jakiś czas z miasta.

Dość niespodziewanie.

Nie wiem, kiedy wróci, ale powiedział, że może to potrwać nawet trzy, cztery tygodnie.

Nie mamy na razie nic do roboty, ale powinniśmy być w pogotowiu.

Mieszkamy w "Sheratonie".

Musimy tam siedzieć, dopóki szef się z nami nie skontaktuje.

Jasne?

- Ty tu rządzisz - odparł Sullivan.

- Nie ma sprawy.

Zrobię, co każesz.

- Świetnie.

- powiedział Harris, kontynuując swoją zmyśloną historyjkę.

- Załatwiłem większość formalności meldunkowych, ale będzie mi potrzebny twój paszport i inne dokumenty.

Musimy je złożyć w recepcji.

Nie uwierzyłybyś, jaka tu jest biurokracja.

W hotelach sprawdzają dosłownie wszystkie papiery, ze względów

bezpieczeństwa.

Musisz zostawić nawet swoje prawo jazdy i licencję pilota.

Zatrzymają je do czasu, kiedy będziemy się wymeldowywać.

Mówię po arabsku, więc sam załatwię z nimi, co trzeba.

- Dobrze - powiedział Sullivan.

- Trzymam wszystko w tym starym portfelu.

Myślę, że kiedy wykonam robotę i przybędzie w nim dziewięćdziesiąt tysięcy doków - dodał z szerokim uśmiechem - powinien prezentować się nieco lepiej, co?

Na razie mogę poczekać.

I nie będę zadawał żadnych pytań.

- Dzięki - powiedział Harris.

- Mam tu klucz od twojego pokoju.

Szóste piętro.

Jest już gotowy.

Kiedy dotrzemy na miejsce, pojedziesz prosto na górę, a ja załatwię resztę formalności.

Gdybyś czegokolwiek potrzebował, dopisuj wszystko do rachunku - szef za to zapłaci.

Po kilku minutach znaleźli się w hotelu.

Sullivan pojechał od razu na szóste piętro i zajął pokój, opuszczony rano przez Denarda, który teraz czekał cierpliwie w sąsiednim pomieszczeniu.

Miał spakowaną torbę i był gotowy do drogi.

Harris dał Sullivanowi dziesięć minut na dotarcie do pokoju, po czym zadzwonił z recepcji do Denarda, żeby ten zszedł na dół.

Opuściwszy hotel Denard wszedł do wozu Harrisa, który dołączył do niego pięć minut później, wręczył mu portfel Sullivana i zawiózł na lotnisko.

Korzystając z dokumentów Sullivana Denard zgłosił lot do Al Wadż, niewielkiego miasteczka nad Morzem Czerwonym, trzysta kilometrów na północ od Yanbu.

Harris nie czekał już na start samolotu.

33 Jedenastego kwietnia w nocy Howard i MacDonald opróżnili niemal całkowicie kontener.

Howard korzystał coraz częściej z niewielkiego odbiornika systemu nawigacji satelitarnej.

Mały otwór, który Ackford wywiercił u góry kontenera, umożliwiał wysunięcie anteny i określanie pozycji statku bez wychodzenia na zewnątrz.

Howard szacował, że zgodnie z jego oczekiwaniami znajdą się u celu podróży następnej nocy.

Dwunastego kwietnia o szóstej wieczorem obaj mężczyźni wyłonili się z kontenera, ubrani w czarne gumowane kombinezony i zaczęli pośpiesznie wynosić na zewnątrz potrzebny im ekwipunek, układając wszystko na pokładzie przy drzwiach.

Resztę rzeczy wyrzucili za burtę.

Najwięcej hałasu spowodowała wpadająca do morza lodówka, w której przechowywali podczas rejsu zapasy jedzenia.

Nie wiedzieli, że marynarz patrolujący główny pokład spóźnił się o godzinę na swój wieczorny obchód i był w tym momencie trzy metry pod nimi.

Lodówka przeleciała mu tuż koło głowy.

Gdyby miała oryginalny biały kolor, mógł zobaczyć ją wystarczająco dokładnie, by dojść do wniosku, że coś jest nie w porządku.

Ackford pomalował jednak lodówkę matową, czarną farbą, marynarz odniósł więc tylko wrażenie, że coś spada na dół w ciemnościach.

Przystanął i zmarszczył brwi.

Wyjrząwszy za burtę zdążył jeszcze zobaczyć jakieś dziwne zawirowanie na ciemnej powierzchni morza, uznał jednak, że coś mu się przywidziało.

Kontynuował obchód, a dwadzieścia minut później wrócił do kabiny, zapominając o całej sprawie.

Howard usunął odkurzaczem wszelkie ślady ich pobytu w kontenerze i wyjął wtyczkę z gniazdka za aluminiową płytą w pobliżu agregatu.

Obejrząwszy po raz ostatni w świetle latarki puste pomieszczenie wyszedł na zewnątrz, zamknął podwójne, metalowe drzwi i odwrócił się do MacDonalda, który stał pochylony nad turystyczną kuchenką.

W niewielkim, przykrytym rondelku mieściło się około stu dwudziestu gramów ołowiu.

Kiedy metal się roztopił, MacDonald wylał go ostrożnie do gipsowej formy, wykonanej przez Howarda na podstawie oryginalnej pieczęci odprawy celnej.

Howard wziął do ręki drut, który został ucięty, a więc nieco krótszy, przeciągnął go przez otwory w drzwiach kontenera i włożył do formy, żeby zastygł w krzepnącym ołowiu.

MacDonald ostudził formę, polewając ją odrobiną zimnej wody.

Stwierdziwszy z zadowoleniem, że pieczęć trzyma, obaj mężczyźni pozbyli się kuchenki, odkurzacza i ostatnich zbędnych przedmiotów.

Skorzystali raz jeszcze z przenośnej toalety, po czym ją także wyrzucili za burzę, i to z wyraźną ulgą.

Pomimo pracujących wentylatorów i klimatyzacji, przez ostatnie dwa tygodnie towarzyszył im nieustannie nieprzyjemny, intensywny zapach.

Teraz nie mieli już niczego więcej do wyrzucenia.

Howard spojrział na zegarek.

Była godzina 19.56 miejscowego czasu.

Piętnaście minut później spuścili cały sprzęt na linie na główny pokład.

Zdając sobie sprawę, że to najbardziej ryzykowny moment, bo ktoś może ich zauważyć, przenosili w pośpiechu duże gumowe torby i inne przedmioty na rufę statku.

Znaleźli schronienie za znajdującą się tam hydrauliczną wciągarką, którą przykrywała poplamiona olejem ciężka, zielona plandeka.

Ukrywszy się za nią zaczęli rozpakowywać największą i najcięższą torbę kryjącą blisko pięciometrowej długości nadmuchiwany ponton typu Gemini.

MacDonald zaczął go napełniać powietrzem z butli, zaś Howard wrócił spokojnie do kontenera.

Forma zdążyła już ostygnąć, stłukł więc gips, obmył nową pieczęć wodą i obejrzał ją pobieżnie w świetle latarki.

Wyglądała całkiem nieźle.

Wyrzuciwszy kawałki gipsu za burtę wrócił do MacDonalda i pomógł mu przy pompowaniu pontonu.

Howard przymocował sześćdziesięciometrową linę do solidnego, stalowego pachołka przy lewej burcie statku, pozostawiając luźną końcówkę o długości sześciu metrów, którą przywiązał do pierścienia na dziobie z lewej strony pontonu.

Gdy MacDonald zrobił to samo z prawej strony, przerzucili ponton rufą naprzód przez reling.

Zwisał on teraz na dwóch linach około trzy i pół metra w dół, zwrócony dnem do rufy statku.

Posługując się trzecią liną, przymocowaną do centralnego słupa,

Howard zsunął się do rozkołysanego pontonu i zaczepił karabińczyk o pierścień w środkowej przegrodzie.

Stojąc na pawęży dał znak MacDonaldowi, który zaczął spuszczać na dół ładunek.

Odbierał od niego kolejne pakunki i przywiązywał je mocno nylonowymi opaskami do pokładu pontonu.

Zaczęli od najcięższego przedmiotu, czterdziestokonnego silnika, następnie załadowali kanistry z paliwem i wodą, a potem dziewięć ciężkich kauczukowych toreb z żywnością, ubraniami i resztą wyposażenia.

Na koniec MacDonald dał Howardowi znak ręką, żeby szczególnie uważał, gdy na linie zawisł snajperski karabin, opakowany w odporny na wstrząsy i wodoszczelny futerał.

Howard uśmiechnął się, ostrożnie go odbierając.

Wiedział, że nie jest to bynajmniej ich najdelikatniejszy sprzęt, rozumiał jednak troskę MacDonalda o optyczny celownik, którego nie należało narażać na niepotrzebne uderzenia.

Szkot podchodził z należytych szacunkiem do swego nowego narzędzia pracy.

Kiedy przenieśli już bezpiecznie cały ładunek, Howard wspiał się z powrotem na górę.

Poluzowali dwie przywiązane do słupów boczne liny, aż pawęż pontonu dotknęła powierzchnię morza.

Statek pozostawiał za sobą wzburzoną i spienioną wodę.

Howard obawiał się przez moment, że ponton może przekoziółkować, ale gdy popuścili resztę liny, osiadł miękko na powierzchni morza i motorowiec holował go teraz pięćdziesiąt metrów za

rufa.

Howard zapiął MacDonaldowi nadmuchiwaną kamizelkę ratunkową i przymocował pierścień karabińczyka do jednej z dwóch lin holowniczych.

Gdy MacDonald przeszedł przez burzę, Howard asekurował go za pomocą trzeciej liny i obserwował, jak Szkot spuszcza się powoli w kierunku pontonu.

Howard ostrzegał MacDonalda, żeby uważał na kołysanie morza, ale Szkot dał się zaskoczyć uderzeniu fali, która zalała go i cisnęła nim o ponton.

Gdy oprzytomniał, przerzucił rękę przez gumową burzę i plując słoną wodą wdrapał się na pokład.

Zahaczył karabińczyk o wolny zaczep pontonu, a linę asekuracyjną przywiązał do środkowego pierścienia na dziobie.

Howard mocno ją naprężył i przymocował.

Potem odciął przywiązane do słupów przy lewej i prawej burcie liny holownicze, wyrzucając do morza ich końcówki.

Ponton był teraz holowany tylko na środkowej linie.

Howard przeciął ją, tak jak pozostałe, po czym napełnił częściowo powietrzem swoją kamizelkę ratunkową i wyskoczył za burzę.

Liczył się z tym, że spadając z wysokości dwunastu metrów uderzy silnie o powierzchnię morza, ale kipiela za rufą statku zapewniła mu zaskakująco miękkie lądowanie.

Gdy tylko znalazł się w wodzie, otworzył zawór niedużej butli ze sprężonym powietrzem, aby nadmuchać do końca kamizelkę.

Przemknęło mu przez myśl, że mógł źle oszacować odległość i

wciągnie go śruba statku, wkrótce jednak wypłynął na powierzchnię.

Przez pół minuty obracał nim powstały za statkiem wir, ale stopniowo powierzchnia wody wygładziła się.

Morze było spokojne.

Zobaczywszy oddalające się światła statku Howard zaczął płynąć w przeciwnym kierunku.

Dwie minuty później dostrzegł zielone światełko na dziobie pontonu i błysnął latarką, żeby MacDonald go zauważył.

Szkot podpłynął bliżej i pomógł mu wsiąść.

Wciągnęli do pontonu trzy ociekające wodą liny, odwiązali je od pierścieni i złożyli na dziobie.

Howard rozpakował silnik i przymocował go ostrożnie do pawęży, podłączając przewód paliwowy.

- Jeżeli ten drań nie zapali, czeka nas cholernie dużo wiosłowania - powiedział do MacDonalda, zakładając linkę rozrusznika ręcznego i wyciągając do połowy ssanie.

- Pierwszy raz zdarza mi się nie zabrać na taką akcję zapasowego silnika, ale po prostu nie mieliśmy miejsca.

Brzeg jest o jakieś sto piętnaście kilometrów stąd - dodał, spoglądając na kompas i wskazując na wschód.

Czterdziestokonny silnik zaskoczył za trzecim pociągnięciem rozrusznika.

- Dzięki Bogu - mruknął Howard.

- Zabiłbym Tony'ego, gdyby ten silnik nie zapalił.

- Spojrzał znowu na kompas i w ciemne niebo.

Gwiazda polarna, której położenie wskazywał mający kształt litery

W gwiazdozbiór Kasjopei, była wyraźnie widoczna i potwierdzała kierunek północny.

Howard odniósł wrażenie, że gwiazda w pewnym momencie zamigotała, jakby przesłonił ją nagle cień.

Pomyślał, że na nieskazitelnie czystym niebie pojawiła się pewnie jakaś pojedyncza chmura.

A może był to satelita?

Howard skierował ponton na wschód i zwiększył obroty silnika.

Oceniał, że po gładkiej powierzchni morza popłyną z prędkością około piętnastu węzłów.

Przy odrobinie szczęścia dotarliby do celu w pięć godzin.

Była właśnie 22.00 miejscowego czasu.

Gdyby utrzymała się bezwietrzna pogoda, powinni znaleźć się na miejscu około trzeciej nad ranem.

Jeśli naprawdę dopisze im szczęście, mogliby nawet uniknąć całodziennego czekania.

MacDonald, wychowany na zachodnim wybrzeżu Szkocji, nieraz już pływał łodzią, o różnych porach dnia i przy różnej pogodzie.

Teraz jednak, gdy przemierzali w niewielkim, pięciometrowym pontonie Morze Czerwone, czuł się samotny i bezbronny jak nigdy w życiu.

Pomyślał o domu, o Sheili...

Była tak daleko...

Jakby w innym świecie, w innej rzeczywistości.

Rozejrzawszy się wokół dostrzegł wszechobecną pustkę.

Na horyzoncie widać było jedynie niknące powoli w mroku światła

pozycyjne płynącego na południe motorowca "Manatee".

Posuwali się szybciej niż Howard oczekiwał.

Po upływie pierwszej godziny obliczył, że ponton pokonał już ponad dwadzieścia kilometrów trasy.

O 23.00 zatrzymali się, żeby ustalić swoją pozycję za pomocą odbiornika systemu nawigacji satelitarnej, ale nie uzyskali żadnej informacji.

Aby odbiornik działał, przynajmniej dwa spośród piętnastu okrążających Ziemię satelitów systemu Navstar musiały znajdować się nad horyzontem.

Nie szkodzi, pomyślał Howard.

Przed nami jeszcze długa droga.

Nie przypuszczał, by natknęli się szybko na ląd.

W ciągu następnych dwóch godzin morze nieco się wzburzyło.

O 01.00 Howard uznał, że fale są nadal zbyt wysokie, by korzystać z odbiornika i ryzykować, że zamoknie.

Obliczył, że pomimo złej pogody przebyli kolejnych trzydzieści kilometrów, czyli w sumie prawie połowę drogi.

Wkrótce po 01.30 wiatr raptownie ucichł i Howard zwiększył do maksimum obroty silnika.

Do trzeciej płynęli z prędkością około dwudziestu węzłów.

Ocenił wtedy, że muszą być mniej więcej piętnaście kilometrów od wybrzeża Arabii Saudyjskiej.

Zatrzymał ponton, żeby sprawdzić swoje dokładne położenie za pomocą satelity.

Odczyt wskazywał 36 stopni 54 minuty długości geograficznej wschodniej i 25 stopni 31 minut szerokości północnej.

Przykładając do mapy latarkę zobaczył natychmiast, że południowy wiatr zniósł ich o kilka kilometrów bardziej na północ niż przypuszczał.

Znajdowali się tuż przy południowym krańcu wyspy Shaybara, zaledwie parę kilometrów od brzegu.

W ciągu dnia wyspa byłaby wyraźnie widoczna.

Skinął pospiesznie na MacDonalda, aby ten wyjął tłumik, służący do wyciszenia silnika.

Postanowił nie zakładać go od razu, zaczął jednak wątpić w słuszność swojej decyzji, gdy po kilku minutach Szkot dostrzegł zbliżające się od południa światło.

Howard zaczął płynąć w przeciwnym kierunku, na północ, ale światło nadal się zbliżało i było już zaledwie o trzy kilometry od nich.

Ciemności przeszywał promień reflektora.

Howard pomyślał smętnie, że to pewnie łódź patrolowa straży przybrzeżnej albo jakiś saudyjski okręt.

Nadeszła pora, żeby się ukryć.

Założyli tłumik i zaczęli płynąć bardzo wolno w kierunku brzegu.

Światło zbliżało się w dalszym ciągu, Howard nie potrafił jednak powiedzieć, czy był to przypadek, czy też wykrył ich radar.

Ta druga możliwość wydawała mu się mało prawdopodobna.

Gemini powinien być praktycznie niewidoczny na ekranie radaru.

Zobaczyli przed sobą skalisty cypel.

Howard popłynął ostrożnie w jego kierunku.

Silnik pracował niemal bezgłośnie.

MacDonald uchwycił się mocno skały, a Howard rozwinął dużą siatkę maskującą i rozłożył ją nad całym pontonem.

Zdażyli w samą porę.

Zamaskowana sylwetka pontonu znalazła się w pełnym świetle reflektora.

Howard i MacDonald wstrzymali oddech.

Snop światła powędrował dalej.

Ponton, znajdujący się pod grubą siatką w kolorze wodorostów, był cały czarny.

Trudno by go było zauważyć nawet świecąc reflektorem z odległości stu metrów.

Statek popłynął dalej, najpierw na zachód, a potem na południe, aż w końcu światło zupełnie zniknęło im z oczu.

Howard zdjął siatkę i dał znak MacDonaldowi, że mogą już odbić od skały.

Półtora kilometra dalej dotarli do wschodniego krańca wyspy Shaybara.

Howard popłynął przez wąski kanał na północ i zaczął lawirować między wysepkami niewielkiego archipelagu w pobliżu stałego lądu.

O 03.55 przybili do brzegu.

Howard nie chciał wciągać pontonu na plażę.

Teren był zbyt płaski i odkryty.

Gdyby musieli przeczekiwać w tym miejscu cały dzień, ktoś mógłby zauważyć ponton albo ich samych.

W każdej chwili mogła też wrócić łódź patrolowa.

Płynąc powoli i niemal bezgłośnie dotarli półtora kilometra dalej do zapewniającej lepsze schronienie niewielkiej zatoczki o stromych skalistych brzegach.

Howard uznał, że znaleźli idealne miejsce.

Była to jakby szczelina w skale.

O ile ktoś nie stał na samym skraju urwiska, wznoszącego się cztery i pół metra nad zatoczką, nie miał szans zobaczyć pontonu.

Obserwator patrzący od strony morza widziałby go w głębokim cieniu.

MacDonald przywiązał ponton do brzegu, a Howard wskoczył na skały i wspiąwszy się po nich usłyszał natychmiast w oddali dudniący dźwięk.

Niecałe pięć minut później ujrzał w odległości kilkuset metrów światła przejeżdżającej ciężarówki.

W porządku, pomyślał.

W pobliżu jest szosa.

Wrócił do pontonu i wspólnie z MacDonaldem zaczął go rozładowywać.

Zdjawszy kombinezony wytarli się do sucha i założyli czarne spodnie, czarne bawełniane podkoszulki, obcisłe kurtki, kominiarki i żołnierskie buty.

Potem Howard wyszedł na drogę z niewielką nylonową torbą.

Rozglądając się, czy nic nie jedzie, umieścił na poboczu, mniej więcej co czterysta metrów, trzy niewielkie flagi: na początku i na końcu żółte, a w środku pomarańczową.

Zrobiwszy to, wrócił do zatoczki.

MacDonald zdążył już wyjąć wszystko z pontonu i właśnie wypuszczał z niego powietrze.

O 04.40 Howard obserwował z niepokojem światła kolejnego nadjeżdżającego pojazdu.

Robiło się późno.

Za godzinę zacznie świtać.

Gdy pojazd minął miejsce gdzie stała pierwsza żółta flaga, zabrzmiał dźwięk klaksonu: trzy razy długo i raz krótko.

Przy środkowej, pomarańczowej fladze kierowca zatrąbił ponownie: trzy razy krótko i raz długo.

Potem zatrzymał wóz i wyłączył światła.

Był to Ziegler.

Od trzech dni biwakował w okolicy, jeżdżąc swym Dodge'm tam i z powrotem wzdłuż drogi dwa razy w ciągu nocy, po zmierzchu i przed świtem.

Howard i Denard powitali go z radością, ciesząc się tym bardziej, że przywiózł im duży termos z gorącą kawą.

Howard popilotował Dodge'a z drogi na brzeg.

Do 05.15 trzech mężczyźni załadowali do wozu cały ekwipunek i ruszyli drogą na północ.

Była 06.45, gdy dotarli do Al Wadż, gdzie czekał już na nich Denard.

O 07.30 dostał pozwolenie na start.

Ziegler podjechał Dodge'm do Islandera, aby dokonać przeładunku, a potem odstawił wóz na parking, zamknął go, włożył kluczyki do kieszeni i wrócił do samolotu.

Dokładnie o 08.00 Islander wystartował i skierował się na północny wschód, do Ar'ar.

34 - Nie udało się jeszcze załatwić broni, Ed, ale poza tym chyba wszystko gra - oznajmił Bourne, patrząc, jak Howard i MacDonald pałaszują ogromne porcje jedzenia.

Było południe.

Trzej mężczyźni siedzieli przy stole w kantynie bazy w Badanah.

-Znaleźliśmy z Bobem trochę sprzętu medycznego - kontynuował

Bourne - i ogołociliśmy z całego wyposażenia obozową karetkę.

Tony i Chris postarali się dodatkowo o parę przekonujących akcesoriów.

Myślę że nasze dwa ambulanse wyglądają jak prawdziwe.

- Opowiedz mi o nich dokładniej - poprosił Howard, mając pełne usta pikantnego curry i chapatti.

Był wygłodniały po podróży.

Uśmiechnięty pakistański kucharz przygotował jemu i MacDonaldowi obfity lunch.

- To bardzo dobre wozy - stwierdził Bourne.

- Wyglądają identycznie i są niemal zupełnie nowe.

Najstarszy ma na liczniku kilkanaście tysięcy kilometrów, a pozostałe tylko po parę tysięcy.

Niczym się właściwie nie różnią.

Rozebraliśmy jeden, żeby mieć zapasowe części.

Wszystkie mechaniczne przeróbki powinny być zakończone w ciągu dwóch dni.

Potem przemaalujemy karoserie.

- Dobrze - odparł Howard.

- Za chwilę pójdę obejrzeć te wozy.

Hmm, doskonałe jedzenie.

Mieszkanie w puszcze i odżywianie się przez dwa tygodnie konserwami nie należało do przyjemności.

- Wyczyścił talerz kawałkiem chapatti, dodając po namyśle: - Chyba zrezygnujemy z załatwiania tutaj broni.

I tak na to nie liczyliśmy, a możemy narobić sobie kłopotów.

Zorganizujemy coś w Iraku.

A propos, czy były jakieś problemy przy odprawie paszportowej?

- Żadnych - odpowiedział Bourne.

- A właściwie Andy miał drobną przygodę.

Zresztą nie przy sprawdzaniu paszportu, tylko na cle.

Znaleźli w jego podręcznym bagażu "Penthouse'a", więc przetrząsnęli mu wszystko, żeby sprawdzić, co jeszcze wiezie.

Moje rzeczy też, bo byliśmy razem.

Oczywiście niczego nie znaleźli.

Trzeba było widzieć minę Mela.

Przysiągłbym, że wiedział, co się święci.

Stał z Chrisem z boku i udawali, że nas nie znają.

Uśmieiali się, skubańcy, do rozpuku.

Dobrze, że nie przewoziliśmy alkoholu.

Howard westchnął.

Andy Denard musiał, rzecz jasna, podpaść.

Na szczęście nic się nie stało.

- A jak radzi sobie Mel ze swoim towarzyszem?

- zapytał.

- Bez problemów.

Rozmawiałem z nim dziś rano.

Z Sullivanem najwyraźniej łatwo się współpracuje - jest spokojny, opanowany, nie sprawia kłopotów.

Mel ciągle nie może się pogodzić z tym, że nie weźmie udziału w akcji.

- Nic na to nie poradzę - stwierdził Howard, wzruszając ramionami.

- Wiedział od początku, że tak będzie i zgodził się.

Musieliśmy wybierać między nim a Bobem, ale Bob nie mówi po arabsku.

Gdyby coś nawaliło, opiekun Sullivana powinien umieć się dogadać.

Mel ma do wykonania ważne zadanie - między innymi będzie nas osłaniał.

No dobrze - powiedział z zadowoleniem.

- Jestem najedzony.

Możemy się teraz rozejrzeć.

Poszli do warsztatu, gdzie stała na kanale Toyota Land Cruiser.

Pracował pod nią Tony Ackford, a Bob Usher mu pomagał.

W pobliżu znajdowały się jeszcze dwa identyczne samochody i pozbawiona kół karoseria czwartego, rozebranego na części pojazdu.

- Jak idzie, Tony?

- zapytał Howard, podchodząc przyjrzeć się robocie Ackforda.

- Dobrze.

Bez problemów.

Pokażę ci, nad czym pracuję.

Przerabiam układ wydechowy.

Umieściłem w kabinie dźwignię.

Przesuwając ją możemy wyłączyć tłumik, widzisz?

Będzie wyglądało na to, że nawaliła rura.

Jakby się rozsypała.

Możemy manipulować tym mechanizmem, kiedy tylko chcemy.

Howard zastanawiał się przez chwilę, po czym pokiwał głową.

- Niezły pomysł.

Zrobisz to w obu wozach?

- Myślałem, że wystarczy w jednym, ale jak sobie życzysz.

- Masz rację.

A co z instalacją elektryczną?

- To nie potrwa długo.

Sprawa jest prosta - trzeba tylko zamontować światła na dachu.

A propos, przywiozłeś filtry podczerwieni?

Może będę musiał przerobić reflektory.

- Są w którejś torbie - odparł Howard.

- Mike i Danny właśnie je rozpakowują.

Mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

- Pomóż nam z tym zaciskiem, dobrze?

Trzeba go dokładnie założyć.

Jeśli z tego otworu będzie leciało w niewłaściwym kierunku za dużo spalin, może się zatkać filtr powietrza.

Juliet Shelley intensywnie pracowała, żeby nie myśleć o nieobecności Johnyego.

Był to jej przedostatni dzień w biurze.

Pozostał jeszcze tylko jeden.

Sobotę i niedzielę będzie miała wolną, a osiemnastego, w poniedziałek, zgłosi się do nowej pracy w Scotland Yardzie.

Na razie jednak postanowiła zostawić po sobie uporządkowane biurko.

Pomyślała, że ciężko jej będzie odejść.

Miała dobrych kolegów.

Poprzedniego wieczoru zaprosili ją na pożegnalnego drinka.

Niektórzy wypili trochę za dużo, ale w sumie dobrze się bawili.

Dołączył do nich nawet nadkomisarz.

Chociaż nigdy nie uważała go za człowieka towarzyskiego, musiała przyznać, że był dla niej nadzwyczaj uprzejmy.

Niektórzy panowie...

no cóż, trochę przeholowali i zachowywali się bardziej swobodnie niż należało.

Juliet miała nadzieję, że nadkomisarz nie zechce ich za to karać.

Nawet Forda.

Gavin Ford naprawdę zrobił z siebie idiotę.

Juliet widziała, jak nadkomisarz rozmawia na boku z nowym detektywem-sierżantem, który po chwili wyprosił Forda.

Zasłużył na to, nieokrzesany gbur.

Uporządkowawszy biurko włożyła płaszcz i wyszła.

Jeszcze tylko jeden dzień i zacznie się nowa przygoda, nowe życie.

Nowe życie...

Siedząc w autobusie, który włókł się przez zatłoczone ulice, myślała o przyszłości z Johnnym.

Jakże za nim tęskniła!

Wyjechał zaledwie osiem dni temu, a tak bardzo odczuwała już jego brak.

Ile to jeszcze potrwa?

Dwa tygodnie, może trzy...

Nigdy więcej nie pozwoli, żeby ją zostawiał.

Nigdy!

wyjęła portfel i popatrzyła po raz setny na jego fotografię.

Na sam widok tego zdjęcia odczuwała przyspieszone bicie serca.

Absurdalna sprawa.

Autobus dojechał do przystanku, na którym wysiadała.

Zamiast wrócić do domu, poszła za róg, gdzie znajdowały się punkty usługowe.

Dzięki Bogu, pralnia była jeszcze otwarta.

Szukając kwitu uświadomiła sobie ze złością, że musiała gdzieś go zostawić.

- Przepraszam, ale chyba zgubiłam kwit - powiedziała.

- Nazywam się Shelley.

Chodzi o czarną spódnicę.

Przyniosłam ją dziś rano.

- Jaki adres, złotko?

- Juliet powiedziała, gdzie mieszka i obsługujący ją mężczyzna poszedł szukać spódnicy.

Kiedy przyniósł zapakowaną paczkę, Juliet otworzyła ją i stwierdziła z ulgą, że na materiale nie został żaden ślad.

Dzięki Bogu, pomyślała znowu.

Zamordowałabym Forda, gdyby ta plama nie zeszła.

Zalał jej całą spódnicę "krwawą Mary".

Przytknąwszy nos do materiału nie poczuła żadnego zapachu.

- Dziękuję bardzo - powiedziała.

- Ile płacę?

- Dwa funty sześćdziesiąt pięć pensów, złotko.

Chce pani odebrać też te spodnie?

To będzie jeszcze dwa funty czterdzieści pensów.

- Jakie spodnie?

Mężczyzna podał jej druciany wieszak z parą džinsów.

- Jest tu ten sam adres, złotko.

Juliet spojrzała na kwit.

Widniało na nim nazwisko "Bourne".

To były džinsy Johnn'ego.

- Tak, wezmę je.

To spodnie mojego narzeczonego - powiedziała i zapłaciwszy rachunek wyszła ze sklepu.

Wracała do domu machając swobodnie torebką.

Co za głuptas, myślała.

Dlaczego mężczyźni są zawsze tacy leniwi?

Zbyt leniwi, żeby korzystać z pralki.

Nie było sensu oddawać dzinsów do czyszczenia.

Zbyt dużo to kosztowało.

Głuptas, pomyślała znowu, uśmiechając się w duchu.

Weszła do mieszkania i zdjawszy płaszcz wyciągnęła spódnice i dzinsy z cienkich foliowych worków.

Zamierzała właśnie powiesić obie rzeczy do szafy w sypialni, gdy zauważyła, że spodnie są poplamione.

Zmarszczyła brwi.

Ależ z Johnny'ego ciele!

Nie wiedział, że w pralni trzeba zawsze mówić, z czego jest plama?

Zresztą sam mógł ją łatwo wywabić.

Wzięła dzinsy do kuchni i zaczęła szperać w szafce pod zlewem.

W pomarańczowej tubce był wywabiacz do plam z tłuszczu i oleju, w żółtej - z kleju i gumy do żucia, w białej - do plam z rdzy, a w jasnozielonej z flamastrów...

W końcu znalazła tę tubkę, której potrzebowała.

Ciemnozieloną.

Zaczęła pocierać zaplamione miejsce.

Pięć minut później podniosła spodnie do góry, przyglądając im się z zadowoleniem.

Plama zniknęła.

Howard i jego ludzie mieli mnóstwo wolnego czasu.

Musieli zsynchronizować termin przybycia do Arabii Saudyjskiej z rozkładem rejsów kontenerowca, który płynął raz w tygodniu z Felixstowe do wschodniej Afryki.

Howard wolał mieć trochę czasu w rezerwie na wypadek problemów w Suezie, albo niespodziewanych trudności w samej Arabii.

Z drugiej strony chciał przebywać tam możliwie najkrócej.

Nieoczekiwane odwiedziny Hughesa albo rutynowa kontrola ze strony miejscowej policji mogły okazać się kłopotliwe.

Nie planowali opuszczenia Badanaħ przed dwudziestym piątym kwietnia.

Siedemnastego Denard zabrał Howarda i Zieglera na rekonesans.

Wybrali piątek, muzułmańskie święto jum'a, ponieważ tego dnia powinien być najmniejszy ruch.

Denard zgłosił lot rozpoznawczy w kierunku zachodnim, nad autostradą biegnącą wzdłuż rurociągu transarabskiego.

Rzeczywiście tamtędy poleciełi.

Dziewięćdziesiąt kilometrów od Ar'ar minęli lotnisko Al Dżalamid, na którym niewiele się działo.

Natomiast na samej szosie panował duży ruch.

Była to główna autostrada, prowadząca z Jordanii przez pustynię do państw nad Zatoką Perską.

Kursowały po niej dzień i noc wielkie ciężarówki.

Jak wyjaśnił Howardowi Bourne, wszystkie miały saudyjskie rejestracje.

Zdaniem miejscowych władz, które często wydawały arbitralne przepisy i zmieniały dowolnie prawo, transportem drogowym w

Królestwie mogli zajmować się wyłącznie Saudyjczycy.

Widoczny w dole krajobraz był monotony i jednostajny.

Kilometrami ciągnęło się skaliste, usłane głazami pustkowie.

Howard zauważył, że powierzchnia pustyni ma dziwne, lekko zielonkawe zabarwienie.

Tej zimy padały ulewne deszcze, więc uśpione w piasku ziarna traw i kwiatów zaczynały teraz budzić się do krótkiego życia.

W oddali, na południu, można już było dostrzec początek wielkiego, piaszczystego oceanu pustyni Nafud.

Dwadzieścia kilka kilometrów za Al Dżalamid Denard wskazał na ciemny pas, widoczny na pustkowiu kilka kilometrów na północ od drogi.

- To lądowisko Al Mira - wyjaśnił Howardowi przez słuchawki.

Howard wyjrzał za okno po prawej stronie.

Denard krążył nad lotniskiem, które wyglądało na opuszczone.

- Masz zamiar tu teraz lądować?

- zapytał.

- Nie.

Ale sądząc z mapy wasza droga jest zaledwie parę kilometrów stąd.

W razie potrzeby to może być najlepsze miejsce do lądowania.

Lepiej byłoby na szosie, ale jest zbyt ruchliwa - ktoś mógłby nas zauważyć.

- Zapewne - zgodził się Howard.

Stwierdziwszy, że lądowisko Al Mira może im się przydać, Denard zwiększył znowu wysokość i poleciał na zachód.

Niemal natychmiast zauważył nie utwardzoną drogę, prowadzącą z szosy na północ.

- To chyba tutaj.

Jak sądzisz?

- Poleć jeszcze wyżej, Andy.

Chcę obejrzeć dokładnie teren i upewnić się, że to ta droga.

Na mapie jest ich sporo, a niektóre pewnie nawet nie są zaznaczone.

- Denard wzniósł Islandera na wysokość ponad trzech tysięcy metrów.

Howard przez kilka minut studiował mapę, porównując ją z monotonnym krajobrazem w dole.

Miał rację.

Z powietrza widać było wiele przecinających okolice szlaków, z których tylko kilka zaznaczono na mapie.

- W porządku, Andy.

Jestem pewien, że to była tamta droga.

Zejdź niżej.

Sprawdzimy to jeszcze raz i zaznaczymy ją sobie.

Jak daleko na północ mógłbyś polecieć?

- Na wysokości radarowej kilka do kilkunastu kilometrów, zanim ktoś zacząłby się nami interesować.

Przy tej odległości mógłbym się jeszcze tłumaczyć, że przypadkowo zboczyłem z kursu.

Ale wiele zależy od tego, kto nas obserwuje i na ile dokładnie pilnują tego rejonu.

Mógłbym lecieć poniżej wysokości radarowej, ale jeśli gdzieś w górze jest samolot wczesnego ostrzegania AWACS, zauważy nas i będziemy mieli kłopoty.

Poza tym kontrolerzy lotów nie lubią, gdy jakaś maszyna znika im z ekranu radaru.

A tutaj kontrolerami są wojskowi i traktują sprawy serio.

Po wydarzeniach ubiegłego roku trudno im się zresztą dziwić.

Oczywiście, mógłbym lecieć tak nisko, żeby uniknąć nawet samolotu AWACS.

Na mapie jest zaznaczone wadi, wyschnięte koryto rzeki.

Nazywa się Al Mira.

Lecąc wzdłuż niego znajdowałbym się poniżej poziomu terenu.

Ale niewiele by ci to dało.

Nie mógłbyś śledzić na mapie, gdzie jesteśmy, ani nie widziałbyś drogi.

A gdyby AWACS jednak nas namierzył, taki manewr na pewno wzbudziłby podejrzenia.

Musiałbym się potem gęsto tłumaczyć.

- Jasne.

A więc trzymajmy się na takiej wysokości, żeby nie wzbudzać podejrzeń i zбоч z kursu tylko na tyle, by nikt nie zadawał żadnych pytań.

W razie potrzeby wyjaśnimy, że to przecież lot rozpoznawczy.

W ciągu następnych dziesięciu minut Howard zobaczył to, co chciał.

Denard poleciał wzdłuż drogi na północ, dostatecznie daleko, by mogli się przekonać, że prowadzi we wskazanym na mapie kierunku, a potem zawrócił na południe, w stronę rurociągu.

Howard dał znak siedzącemu z tyłu Zieglerowi, by był gotowy.

Ziegler wyjął z torby trzy litrowe, plastikowe pojemniki i otworzył tylne drzwi ładowni.

- Dobra, Andy - powiedział Howard.

- Jesteśmy gotowi.

Leć nad drogą od zachodu.

Wybierz moment, kiedy nie będzie ruchu i wtedy zmniejsz maksymalnie wysokość.

Powiedz jeden", kiedy będziemy czterysta metrów przed skrzyżowaniem,"dwa" na skrzyżowaniu i "trzy" czterysta metrów za nim.

OK? - W porządku.

- Denard krążył przez jakiś czas, dopóki nie zobaczył, że na drodze jest względnie pusto.

Wtedy Islander ostro zanurkował.

Na wysokości trzydziestu metrów Denard wyrównał lot i zszedł na trzy metry, lecąc tuż nad szosą.

Dziesięć sekund później krzyknął jeden”.

Ziegler wyrzucił przez drzwi pierwszy plastikowy pojemnik.

Drugi i trzeci wypuścił z ręki po ośmiu i szesnastu sekundach, gdy Denard odliczył kolejno ”dwa” oraz ”trzy”.

Denard pociągnął drążek i samolot zaczął się ostro wznosić.

Howard odczuwał już mdłości z powodu tych akrobacji.

Kiedy znaleźli się ponownie na wysokości sześciuset metrów, spojrzął w dół.

W trzech miejscach, gdzie plastikowe pojemniki uderzyły o asfalt, widać było jasne plamy z białej farby.

Nawet w ciemnościach powinny rzucać się w oczy.

Środkowa plama była tuż przy skrzyżowaniu autostrady z drogą prowadzącą do Iraku.

- Dobra, Andy, wszystko gra - powiedział Howard.

- Czas wracać do domu.

Przygotowanie dwóch samochodów do malowania zajęło cały ranek.

Trzeci Land Cruiser miał piaskowo-beżowy kolor, którego postanowili nie zmieniać.

Był to zresztą tylko zapasowy wóz dla Denarda i Palmera.

Bourne, Usher, Howard i MacDonald zaklejali w pierwszym z dwóch Land Cruiserów samoprzylepną taśmą i papierem wszystkie szyby, części chromowane i nie przewidziane do malowania.

Ackford przygotował sobie tymczasem pistolet natryskowy i sprawdzał jego działanie na karoserii rozebranego wozu.

Wreszcie zakończono przygotowania.

Wszyscy poza Ackfordem wyszli, zamykając za sobą drzwi, aby do warsztatu nie dostawał się kurz ani piasek.

Założywszy ponownie gogle i maseczkę na twarz Ackford zaczął lakierować karoserię wozu.

Z powodu braku wentylacji w warsztacie zrobiło się wkrótce gorąco jak w piecu.

Ackford był mokry od potu.

Po czterdziestu minutach wyszedł na zewnątrz, szybko zamykając za sobą drzwi.

Dwa stojące w warsztacie Land Cruisery lśniły świeżą, białą farbą.

Zostawili je na dwadzieścia cztery godziny, aby wyschły, a potem otworzyli warsztat, chcąc ocenić kunszt Ackforda.

Karoserie pokrywała nieskazitelna biel.

- Piękna robota, Tony!
- stwierdził Usher z przesadnym entuzjazmem.
- Coś wspaniałego!

Ależ masz zdolności!

Minąłeś się z powołaniem, stary.

Po co właściwie pchałeś się na morze?

Służyłeś za balast, czy zlecali ci malowanie okrętów?

- Wypchaj się, zasrańcu - odparł Ackford z szerokim uśmiechem.
- Wszystko jest wykonane jak należy.

Zobacz - bezbłędna robota.

A skoro sam się napraszasz, nałożysz następną warstwę lakieru, jak tylko skończymy przeróbki.

- Myślałem, że nigdy nie spotka mnie ten zaszczyt.

Zmieszajmy lakier z resztą nafty - Wyczyściłeś już pistolet?

- Oczywiście.

Masz, poćwicz sobie.

Ackford nadzorował ostrożne odginanie kilku płyt w pojazdach, zdjął też niektóre listwy oraz jeden z tylnych zderzaków.

Kiedy skończyli, w warsztacie pozostał tylko Usher, aby nałożyć kolejną warstwę lakieru.

Gdy następnego dnia otworzyli drzwi, oba pojazdy były nie do poznania: miały teraz matowy zielony kolor.

Wszyscy zaczęli zrywać taśmę klejącą i papier, a Ackford chodził

wkoło, ciągle kogoś strofując.

- Uwaga na lakier.

Wierzchnia warstwa jest bardzo delikatna.

Odrywajcie taśmę na zewnątrz, w ten sposób.

Ostrożnie, Danny.

To nie kuter rybacki, stary.

Usunąwszy całą taśmę i papier przyjrzeni się dokładnie Land Cruiserom.

Howard, wyraźnie zadowolony, wyjął z kieszeni kartkę z odręcznymi notatkami.

- Dobra - powiedział.

- Zabierzmy się za ostatnie przeróbki.

Obchodzili Land Cruisery, zaglądając co jakiś czas w notatki.

Rozbili silnymi uderzeniami dwa tylne światła, a z trzeciego usunęli żarówkę.

Podobnie potraktowano oświetlenie z przodu.

Jedna z bocznych szyb pękła pod uderzeniem młotka i wyglądała teraz jak pajęczyna.

Otworzywszy dużą paczkę nalepek z arabskimi napisami i czerwonymi półksiężycami Bourne odrywał je od papierowych podkładek i przyklejał na maski, prawe przednie drzwi i tylne klapy samochodów.

Z błyskającym światłami na dachu Land Cruisery wyglądały teraz jak wojskowe ambulanse, które miały za sobą długą służbę i dawno nie przechodziły remontu.

- Dobra, chłopcy - powiedział Ackford, rozdając duże pędzle.

- Wystarczy.

Pora na ostatni retusz.

Bierzcie się do malowania.

Ziegler spojrział na stojącą przed nim dużą puszkę z jakimś płynem.

- Tony, co to jest, do cholery?

Wygląda koszmarnie.

- Masz rację, stary - przyznał wesoło Ackford.

- To mieszanka starego oleju silnikowego i smaru.

Pomalujcie nią karoserie.

Byle nie za grubo.

I nie wysmarować szyb.

Musimy przecież coś widzieć, nie?

Dwadzieścia minut później dwa zielone Land Cruisery pokrywała cienka warstwa brudnego oleju.

- W porządku - stwierdził Howard.

- Możemy teraz spróbować, jak się je prowadzi.

Na początek Johnny i ja.

Sześć okrążeń wokół bazy.

Najpierw ja pojedę na przedzie, a później ty.

Potem zastąpią nas Mikę i Danny, a na końcu Bob i Tony.

Tylko nie rozbijcie tych wozów.

- Już wyglądają jak po wypadku - mruknął MacDonald.

Nie utwardzona droga wokół bazy miała około półtora kilometra długości.

Dwa pojazdy wznosiły tumany pyłu i piasku, wkrótce były więc całe zakurzone.

Kiedy Usher i Ackford zatrzymali się wreszcie po ostatnim okrążeniu, Ackford przesunął umieszczoną w kabinie dźwignię, wyłączając tłumik.

Silnik ryknął tak przeraźliwie, że pakistański kucharz wybiegł z baraku, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Bourne szybko zagonił go z powrotem, zapewniając że wszystko jest w porządku.

- Cholera - mruknął z podziwem Howard.

- Te samochody wyglądają jak sprzed potopu.

Sam dałbym głowę, że nie przejadą więcej niż kilkanaście kilometrów.

A pod tą warstwą brudu są przecież zupełnie nowe.

- Dobrze, że Tony Hughes tego nie widzi - stwierdził Bourne.

- Biedak dostałby zawału.

- Obawiam się, że tak czy inaczej przeżyje szok.

Ale mam nadzieję, że jeszcze nie teraz.

Na noc zamknęli Land Cruisery z powrotem w warsztacie.

Było popołudnie w czwartek, dwudziestego trzeciego kwietnia.
Zgodnie z planem następnej nocy mieli przekroczyć granicę Iraku.
35 Opuścili Badanaħ o zmierzchu.

Howard stwierdził, że nie wiadomo dlaczego na początku akcji jest zawsze najbardziej zdenerwowany.

Mieli jedynie przejechać sto parę kilometrów autostradą wzdłuż rurociągu, a potem, gdy zobaczą plamy z farby, skrócić w boczną drogę.

Cóż prostszego?

Zawsze jednak istniało ryzyko wpadki.

Wiele rzeczy mogło pokrzyżować im plany: przypadkowy patrol policji - chociaż Johnny zapewniał, że spotyka się je wyjątkowo rzadko; meldunek od kierowcy przejeżdżającej ciężarówki, że zauważył na szosie dwa podejrzane, zabłocone ambulanse o nieczytelnych numerach rejestracyjnych; awaria wozu albo jakaś nadgorliwa ekipa drogowców, którzy zmyli z autostrady farbę...

Wystarczył pechowy zbieg okoliczności, by poszły na marne miesiące pracy i przygotowań.

Co innego, gdyby niepowodzenie spotkało ich później, w czasie akcji.

Ale wpaść teraz - to byłoby takie...
upokarzające.

Howard nigdy nie godził się z porażką.

Był człowiekiem czynu i osiągał zwykle to, czego chciał.

Byle nic się nie przydarzyło akurat teraz...

Chcąc odsunąć od siebie tę natarczywą myśl zaczął sprawdzać po raz czwarty, zupełnie bez potrzeby, wskazania odbiornika systemu nawigacji

satelitarnej.

Siedzący za kierownicą Bourne zauważył, jak bardzo Howard jest spięty, ale nie odezwał się ani słowem.

Rozumiał, jaka odpowiedzialność ciąży na jego starszym koledze.

On sam odczuwał przyjemne podniecenie, był w nastroju radosnego oczekiwania, jakiego nie znał już od dawna.

Myśl o Juliet przyprawiła go, jak zawsze, o szybsze bicie serca.

Próbował odtworzyć w pamięci jej twarz, ale obraz był nader mglisty.

Zaskoczyło go to.

Rozstał się z nią zaledwie kilkanaście dni temu, obiecując, że wróci w ciągu trzech, najwyżej czterech tygodni.

Ustalili datę ślubu na sobotę, dwudziestego trzeciego maja - już za miesiąc.

Ale kiedy się z nim żegnała, dostrzegł w jej ciemnych oczach jakiś niepokój, jakby obawę, że coś przed nią ukrywa.

Zmarszczył brwi, przypominając sobie tę chwilę.

Jak mogłaby się czegoś domyślić?

Był bardzo ostrożny.

Prowadził podwójne życie, jako Bryce i Bourne, ale między jego dwoma wcieleniami nie istniał żaden związek.

Przechodził codziennie metamorfozę, zmieniając samochody w anonimowym tłumie pojazdów na parkingu lotniska Heathrow.

Juliet nie mogła wpaść na żaden trop.

Nie wiedziała o istnieniu pana Bryce'a, o BMW, ani o dodatkowej pracy Johnny'ego.

Chyba miał jakieś przywidzenia.

Twarz dziewczyny wyrażała jedynie troskę i smutek, że przez jakiś czas nie będą się widzieli.

Tak, była po prostu zatroskana.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia spojrzął na licznik Land Cruisera.

- Ed, zrobiliśmy dziewięćdziesiąt kilometrów od Badanah -
powiedział.

- Daleko jeszcze?

- Lada chwila powinniśmy dojeżdżać do Al Dżalamid - odparł Howard.

- Skrećamy jakieś dwadzieścia kilometrów za miastem.

Danny MacDonald, ułożony na noszach z tyłu Land Cruisera, również rozmyślał o różnych sprawach, od czasu do czasu odwracając głowę, by spojrzeć w ciemność.

Stwierdził ze zdziwieniem, że przeżywa życiową przygodę.

Spodobali mu się ci ludzie.

Należeli jakby do innego świata: używali dziwnego, wojskowego żargonu, potrafili zrozumieć się bez słów, jak przystało na zawodowców - wiedział jednak, że ma z nimi wiele wspólnego.

Byli twardzi, sprawni, niezależni, opanowani - podobnie jak on.

Uzmysłowił sobie nagle, że nie zauważył u nich nigdy najmniejszych oznak rozdrażnienia.

Na pewno denerwowali się - nie mniej od niego - nie słyszał jednak żadnych narzekań ani skarg.

Czuł się dobrze w ich towarzystwie.

Stanowili zgraną ekipę.

A jednak, o dziwo, wcale nie mieli lepszych niż on predyspozycji do działania w zespole.

Byli indywidualistami.

Może właśnie dlatego tworzyli tak niezwykłą grupę.

Chociaż znakomicie dawali sobie radę w pojedynkę, postanowili połączyć siły.

Nie był to zespół, w którym wszyscy wykonywali bezwolnie

polecenia jednego przywódcy, lecz sześciu - a łącznie z Melem, Andy'm i Chrisem dziewięciu - ludzi o silnych osobowościach, z których każdy (z wyjątkiem jego samego) mógłby stanąć na czele zaplanowanej operacji.

Danny próbował ocenić kolejno swoich współtowarzyszy.

Barczysty Tony Ackford był zrównoważony, wyrozumiały, dobroduszny i przyjacielski.

Choć na oko nikt nie posądzałby go o zdolności manualne, wykazywał w tej dziedzinie niezwykle zdolności.

Był zręczny, dokładny i cierpliwy.

Bob Usher - niski, twardy facet o lśniącej łysinie - miał dużą siłę przebicia.

Zwykle mało mówny i cichy, demonstrował czasem błyskotliwe poczucie humoru.

Robił wrażenie człowieka czynnego i skorego do pomocy.

To właśnie on, chcąc zaoszczędzić Danny'emu żmudnej pracy nad tablicami balistycznymi, zadał sobie trud, by załatwić mu laptopa.

Danny słyszał, że Bob siedział z Edem Howardem w tureckim więzieniu, nie rozumiał jednak, dlaczego koledzy nazywają go czasem "gwiazdą telewizji".

Zapytawszy w końcu, co to znaczy, dowiedział się, ku swemu zaskoczeniu, że Bob był jednym z dwóch pierwszych komandosów z SAS, którzy w 1979 roku, podczas udanej akcji ratowania personelu irańskiej ambasady przy Princes Gate w Londynie, wdarli się do budynku przez okno na piętrze.

Ich przebojowy szturm pokazywano dziesiątki razy w telewizji i Danny często się zastanawiał, kim byli ci ludzie.

Teraz jednego z nich mógł uważać za przyjaciela.

Tak, właśnie z Bobem i Tonym był najbardziej skłonny się identyfikować.

Mel Harris stanowił dla niego zagadkę.

Był wiecznie czujny, ruchliwy i niespokojny, a jego lśniące oczka rzucały wciąż przenikliwe spojrzenia.

Danny podejrzewał, że Mel jest najbardziej impulsywny z całej grupy, choć dotychczas nie miał okazji się o tym przekonać.

Przypuszczalnie trzech sardyńscy porywacze mogliby potwierdzić jego domysły...

Andy Denard i Chris Palmer tworzyli w pewnym sensie odrębny zespół.

Andy najwyraźniej lubił błaznować, ale Danny wiedział z relacji Howarda, że to odważny i doświadczony pilot, który w razie potrzeby potrafi zachować przytomność umysłu.

Chris - powściągliwy i zawsze niezawodny - dorównywał Ton'emu pod względem opanowania i profesjonalnych umiejętności.

Johnny Bourne, podobnie jak Mel Harris, był tajemniczą postacią.

Danny nie potrafił go wyczuć.

Zauważył ze zdziwieniem, że Ed najwyraźniej darzy Johnny'ego większym szacunkiem niż pozostałych.

Wydawało mu się naturalne, że podczas tej operacji jego prawą ręką powinien być Mikę Ziegler.

Kiedy płynęli statkiem, Howard opowiedział Dann'emu o przebiegu służby wojskowej Bourne'a.

Podczas wojny o Falklandy, krótko przed bitwą o Mount Longdon,

pluton, którym dowodził Johnny, natknął się w nocy na pozostawione przez Argentyńczyków nie oznakowane pole minowe.

Mieli po prostu pecha.

Ich sierżantowi mina urwała nogę.

Widząc to jeden z żołnierzy rzucił się w panice do ucieczki, wpadł na drugą minę i również został bez nogi.

Jego kolegę, który przepisowo nie ruszał się z miejsca, zraniły ciężko odłamki.

Lekarz plutonu - kapral, próbujący bohatersko dotrzeć do rannych, aby udzielić im pomocy - wpadł na trzecią minę i także stracił nogę.

W ciągu dwóch minut czterech żołnierzy Bourne'a odniosło poważne obrażenia.

Johnny podźwignął ostrożnie rannego sierżanta i wyprowadził pluton poza pole minowe, rozkazując wszystkim iść po swoich śladach.

Zaledwie ukryli się za skałami, cały teren oświetliły race i ze szczytu przeciwległego wzgórza otworzyło ogień kilka karabinów maszynowych.

Johnny Bourne trzy razy wracał sam pod ciężkim ostrzałem na pole minowe, by wyprowadzić pozostałych rannych.

Kazał ewakuować ich na noszach do polowego szpitala, a potem, wygłosivszy do pozostałych żołnierzy płomienną mowę, poprowadził pluton do ataku na pozycje Argentyńczyków, z których niewielu przeżyło natarcie.

Howard słyszał o tej akcji.

Ponieważ szukał stale nowych, utalentowanych współpracowników dla Agencji Ochrony XF, postanowił porozmawiać z kilkoma żołnierzami Bourne'a, którzy wrócili z Falklandów.

Potwierdzali zgodnie jego niezwykłą odwagę, przyznając równocześnie, że przeraził ich brutalnością ataku na pozycje nieprzyjaciela.

Kiedy jednak Argentyńczycy się poddali, Bourne potraktował łagodnie dwunastu jeńców, nie pozwalając swoim rozgniewanym żołnierzom na stosowanie żadnych represji i każąc opatrzyć rannych wrogów...

Danny zastanawiał się, co sądzić o takim człowieku.

Miał skomplikowaną osobowość, ulegał zmiennym nastrojom i namiętnościom, był odważny, a jednak...

Danny pojął, co się za tym kryje.

Przyszło mu nagle na myśl, że w głębi duszy Johnny Bourne pozostał małym chłopcem, jakby nigdy w pełni nie dorósł.

Było coś ujmującego w jego entuzjazmie, zdolności do całkowitego poświęcenia się wykonywanemu zadaniu.

Czy reagował w sposób niemożliwy do przewidzenia?

Na pewno nie.

Ed nie zaproponowałby współpracy komuś, na kim nie mógłby polegać.

Danny rozumiał natomiast doskonale, dlaczego Howard wybrał Mike'a.

Był to jeden z najbardziej fascynujących ludzi, jakich znał.

Człowiek o niewyczerpanej energii, wysportowany, zrównoważony, z poczuciem humoru, znakomity żołnierz.

Gdy odbywali nocne ćwiczenia wokół bazy w Badana, Mike potrafił nagle zniknąć i pojawiać się jak duch.

To on na prośbę Eda uczył Danny'ego technik walki wręcz i z użyciem broni.

Przyglądając mu się podczas treningu Danny stwierdzał z podziwem,

że Mikę panuje do perfekcji nad swoimi ruchami.

Tak, jego umiejętności robiły wrażenie.

Imponowały i przerażały.

Był wszechstronnie wyszkolonym żołnierzem, a zarazem czarującym, sympatycznym człowiekiem.

Sam Ed Howard, rozmyślał dalej Danny, stanowił zagadkę.

Nie potrafił go rozszyfrować.

Cóż można było wyczytać w tych ciemnych, obojętnych oczach?

Co krył jego chłodny, wyrachowany umysł?

Howard był genialnym organizatorem i prawdopodobnie najlepszym - a z pewnością najbardziej doświadczonym - żołnierzem w ich gronie.

Nikt nie mówił za wiele na jego temat.

Tylko Ziegler napomknął kiedyś, że Howard służył z nim podczas ostatnich dni wojny w Wietnamie i dwukrotnie przyznano mu amerykańskie odznaczenia za odwagę.

Nie wspomniał dokładnie, za co Ed został odznaczony, ale tak czy inaczej Danny'ego zaskoczyła ta informacja.

Co, u diabła, robili w Wietnamie brytyjscy żołnierze?

Słyszał o tym po raz pierwszy i nie był pewien, czy wierzyć Zieglerowi.

Ale Mikę najwyraźniej nie żartował.

Co działo się w umyśle Howarda?

Zmieniwszy znowu pozycję Danny widział tył jego głowy.

Wątpił, czy ktokolwiek rozszyfruje tego człowieka, pozna jego myśli.

Howard był z natury samotnikiem, najbardziej skrytym z nich

wszystkich.

Danny uznał, że nie jest chyba szczęśliwy - może dlatego, że potrafił nawiązywać kontakty z ludźmi tylko na płaszczyźnie zawodowej.

Widział jego niewielkie mieszkanie w Londynie.

Było całkowicie pozbawione indywidualnego charakteru.

Nic nie mówiło o osobowości właściciela.

Może Howard nie miał w ogóle prywatnego życia...

Danny zrezygnował w końcu z domysłów.

Wiedział, że ma wokół siebie ludzi, na których będzie mógł polegać w trudnej sytuacji.

Schlebiało mu, że go wybrali i przyjęli do swego grona.

Szybko pozbył się wszelkich uprzedzeń i podejrzeń.

Przypomniawszy sobie o zadaniu, które miał wykonać, poczuł dławiący gniew.

To już niedługo.

Jeszcze tylko kilka dni...

Oczy płonęły mu w ciemności intensywnym blaskiem.

Położył się, próbując ochłonać.

Ziegler, siedzący obok kierowcy w drugim samochodzie, rozmyślał, podobnie jak Danny, o Howardzie.

Czym się zajmiesz, Ed, kiedy będzie już po wszystkim?

Jaka przyszłość czeka każdego z nas?

W naszym życiu wiele musi się zmienić.

Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz...

Wyrwał go z zadumy Ackford, odzywając się zza kierownicy: -
Muszę pojechać kiedyś do Stanów.

Zawsze chciałem się tam wybrać, ale jakoś nie wychodziło.

Może na początek do Nowego Jorku.

Moja stara by się ucieszyła.

Jest Irlandką i ciągle powtarza, że w takim miejscu spotkałaby wielu

rodaków.

Myślisz, że by mi się tam spodobało?

- Pewnie, Tony, o ile lubisz duże miasta - odparł swobodnie Ziegler.

W duchu sądził, że Ackford nienawidziłby Nowego Jorku, tak samo jak on.

Byłby szczęśliwszy, wiodąc zwyczajne życie na jakiejś farmie, może gdzieś na środkowym Zachodzie.

Najlepiej mając do naprawiania mnóstwo zepsutych maszyn.

- Tak.

Nowy Jork to piękne miasto.

O ile lubi się duże metropolie - powtórzył z naciskiem.

- Aha.

- Ackford zrozumiał, co Ziegler ma na myśli.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, przeżuwając gumę.

- No cóż - dodał.

- Może posiedzę tam parę dni, a potem pojeżdżę po kraju.

- To już lepszy pomysł.

Jak przyjedziesz, daj mi znać.

Musimy coś zorganizować.

Może popływamy kajakiem, albo wybierzemy się na ryby.

Co ty na to?

- Trzymam cię za słowo, stary.

Uważaj.

-Ackford stał się nagle czujny, gdyż jadący przed nimi samochód wyraźnie zwolnił.

Wkrótce potem zobaczyli na środku szosy wielką plamę z białej

farby.

- Chyba jesteśmy na miejscu.

Przygotowałeś gogle?

- Tak.

Przy drugiej białej plamie skręcili w boczną drogę.

Jadący na przedzie Bourne natychmiast wyłączył światła, pokonując po ciemku następnych kilkaset metrów.

Znalazszy się w bezpiecznej odległości od szosy zatrzymał samochód.

Howard poczuł przyspieszone bicie serca, przekazując Bourne'owi lotniczy hełm, który miał przymocowane z przodu optyczne urządzenie wzmacniające najmniejszy nawet ślad światła.

Bourne założył hełm, zawiązał pasek pod brodą i nastawił gogle.

Howard, Ackford i Ziegler zrobili to samo.

Widzieli wyraźnie w ciemnościach całą okolicę.

Gogle noktowizyjne wychwytywały najmniejsze kwanty światła, zwielokrotniając jego moc pięćdziesiąt tysięcy razy.

Noc przemieniła się w dzień.

Obraz był zdumiewająco dokładny.

- Spróbujmy jeszcze, jak działają reflektory - powiedział Bourne do Howarda, pstrykając przełącznikiem na tablicy rozdzielczej.

Ackford wyposażył oba Land Cruisery w dodatkowy zestaw lamp.

Przesłaniały je czarne filtry, zatrzymujące zwykłe światło i przepuszczające tylko niewidzialne promieniowanie podczerwone.

Patrząc przez gogle widziało się wszystko z niewiarygodną ostrością.

Już przedtem widoczność była dobra, ale teraz obraz był jasny jak w

słoneczny letni dzień.

Tyle tylko, że miał jednolity, zielony kolor.

Gołym okiem nikt nie dostrzegłby jadących w ciemności dwóch samochodów, ale podróżujący nimi ludzie dokładnie wszystko widzieli i bez trudu odnajdowali drogę.

Posuwając się z rozsądną prędkością ruszyli w kierunku północnym.

Od granicy z Irakiem dzieliło ich siedemdziesiąt kilometrów.

- Przed nami jest jakieś światło - powiedział Bourne z napięciem w głosie.

- Widzę - odparł Howard.

- Zwolnij i ostrożnie podjedź bliżej.

- Sprawdził ponownie, gdzie się znajdują.

Odbiornik systemu nawigacji satelitarnej wskazywał 39 stopni 40 minut długości geograficznej wschodniej i 32 stopnie 4 minuty szerokości północnej.

W zależności od sposobu odczytywania mapy, która pozostawiała wiele do życzenia, znajdowali się tuż przy granicy irackiej albo dokładnie na niej.

Nie mogli tego precyzyjnie określić.

Ale światło było jakieś trzy kilometry przed nimi, a więc tak czy inaczej na terytorium Iraku.

Minąwszy ostatnie skrzyżowanie przejechali powoli i ostrożnie kolejnych piętnaście kilometrów.

Droga była fatalna.

Najwyraźniej od dawna nikt z niej nie korzystał.

Wyglądała tak, jakby nie remontowano jej od czasów potopu.

Howard pomyślał że to bardzo stosowne skojarzenie.

Okresowe powodzie rzeczywiście rujnowały nawierzchnię.

Skrzyżowanie, którego o mało nie przeoczyli, zauważył jadący w drugim samochodzie Ziegler.

Zatrzymali się na jego sygnał i po kilkuminutowej naradzie Howard uznał, że Ziegler ma rację.

Droga prowadząca w lewo wiodła kilka kilometrów na północ, a potem odbijała łukiem na zachód i zawracała na południe, łącząc się z autostradą transarabską w pobliżu Turaif, przy granicy z Jordanią.

Nie tam chcieli dotrzeć.

Skręcili więc w prawo, w kierunku granicy irackiej.

Oba pojazdy, których silniki pracowały niemal bezgłośnie, zbliżały się powoli do widocznego w oddali światła.

Gdy znaleźli się mniej więcej kilometr od niego, Howard znów dał

znak Bourne'owi, żeby stanął.

Wysiedli z samochodu, aby przyjrzeć się dokładniej, co to może być.

Howard poczuł na ramieniu czyjąś rękę, a potem usłyszał szept Zieglera: - Zauważyłem jakiś ruch.

Chyba ktoś tam jest.

Widziałeś światełko po lewej?

Myślę, że to papieros.

Większe światło porusza się na wietrze.

To pewnie wisząca lampa.

Z lewej strony jest budynek, oddalony nieco od drogi.

Może tam być posterunek.

- Chyba masz rację.

Dobra, podjedźmy trochę bliżej.

Przed wyruszeniem w dalszą drogę Howard, Bourne i Ziegler jeszcze się naradzali.

Nie wiedzieli, czy mają przed sobą posterunek graniczny, a jeśli tak, to czy są tam żołnierze saudyjscy, iraccy, czy i jedni, i drudzy.

Postanowili, że gdy zorientują się w sytuacji, podejmą odpowiednie kroki.

Ziegler uzmysłowił im, jak najprawdopodobniej wygląda posterunek w takiej okolicy.

- Spójrzcie tylko na to cholerne odludzie - powiedział, stukając palcem w miejsce na mapie, gdzie droga przechodziła przez granicę.

- Wspaniała placówka, co?

Atrakcyjne nocne życie, liczne rozrywki.

Marzenie każdego żołnierza.

- Do czego zmierzasz, Mike?

- zapytał Johnny.

- Gdybyś był krewkim irackim generałem, kogo byś wysłał na takie zadupie?

Powiem ci kogo.

Jakaś łajzę.

Ofermę, która w każdym innym miejscu mogłaby wszystko spieprzyć.

Faceta, który powinien zejść ci z drogi, zniknąć z oczu i z pamięci.

Kogoś, o kim chciałbyś zapomnieć.

Czy nie tak?

Howard zaczynał rozumieć, o co mu chodzi.

- Chyba masz rację.

Na takim posterunku muszą pełnić służbę sami nieudacznicy albo ludzie, których chciano się pozbyć.

Ich morale jest niskie.

Nigdy nic się tam nie dzieje.

Mija monotennie dzień za dniem i noc po nocy.

Brak dyscypliny, gotowość bojowa bliska zeru, uzbrojenie tylko podstawowe...

Nie sądzę, żeby ci ludzie sprawiali nam kłopoty, ale nie o to chodzi.

Musimy cholernie uważać, żeby żaden z nich nikt nas nie zobaczył.

- W porządku - szepnął Howard, przypominając sobie tę rozmowę, kiedy dotarli już na miejsce.

- Jest tak, jak przypuszczaliśmy.

Będziemy mieli okazję zdobyć trochę broni.

Załatwimy to we trzech.

Podjedziemy jeszcze czterysta albo pięćset metrów bliżej.

Potem ty, Johnny, zostaniesz przy samochodach, a ja postaram się narobić trochę zamieszania.

Ty, Mike, weź Tony'go albo Boba i zobaczcie, co się da wyciągnąć z ich arsenału.

Ile czasu potrzebujesz?

Wystarczy godzina?

- Powiedzmy, że odwrócisz ich uwagę dokładnie o dwudziestej drugiej - zaproponował Ziegler.

- To ładna, okrągła liczba.

Do tego czasu powinienem być gotowy.

Spotkamy się przy drodze, pięćset metrów za posterunkiem, dobrze?

- Zgoda - odparł Howard.

- Johnny, za piętnaście dziesiąta podprowadź powoli samochód najbliżej, jak ci się uda.

Kiedy wybuchnie panika, przejedziesz obok posterunku, nie zapalając świateł.

Są jeszcze jakieś pytania?

- Ed?

- zapytał Ziegler.

- Mogę zabrać ze sobą Danny'ego?

Howard rzucił mu krótkie spojrzenie i uśmiechnął się.

- Świetny pomysł.

Poczuje się bardziej członkiem grupy.

A z racji swego zawodu na pewno potrafi przemykać się chyłkiem, prawda?

- Tak właśnie pomyślałem - odparł Ziegler.

Podszedł do wozu Howarda i szepnął przez okno: - Mac, szef powiedział, że mamy podkraść się do posterunku i trochę tam pomyszkować.

Danny'ego ogarnęło nagle absurdalne poczucie dumy, że został w ten sposób wyróżniony.

Zadanie Howarda okazało się proste.

Podchodząc do posterunku z goglami na oczach widział wyraźnie główny budynek.

Stała przed nim zaparkowana duża ciężarówka.

Na zewnątrz paliła się jasno pojedyncza lampa, a pod nią siedział skulony na drewnianej ławce samotny wartownik, owinięty grubym płaszczem, który chronił go przed nocnym chłodem.

Głowa opadła mu na pierś.

Wyglądało na to, że drzemie.

Na pewno nie był specjalnie czujny.

Howard spojrział w lewo.

Za głównym budynkiem znajdował się drugi, mniejszy, a obok trzeci - niski, podłużny barak.

Sądząc z rozmiarów zabudowań i obecności ciężarówki obsadę posterunku stanowił pluton żołnierzy, albo jeszcze mniejsza jednostka.

Okolo sto metrów na lewo Howard zobaczył to, czego szukał: otoczone niskim murem, nie zadaszone stanowisko.

Po pięciu minutach obserwacji stwierdził, że nie ma tam strażnika.

Podczołgał się ostrożnie do szczeliny w murze i zajrzał do środka.

Strzał w dziesiątkę, pomyślał.

Mam tu gotowe fajerwerki.

Wyjął z kieszeni szczypce i zabrał się do pracy.

Ziegler skradał się w ciemnościach jak duch, a Danny szedł pewnie za nim.

Szybko opanował podstawowe znaki porozumiewawcze i techniki poruszania się nocą, których Ziegler uczył go podczas treningów w bazie w Badanah.

Potrafił, jak słusznie zauważył Howard, przemykać się niepostrzeżenie, aby nikt go nie widział i nie słyszał.

Obaj mężczyźni podeszli od tyłu do głównego budynku, przed którym siedział na ławce otulony w płaszcz samotny wartownik.

Ziegler dał MacDonaldowi znak, żeby przylgnął do ziemi i przeszedł sam ostatnich kilka metrów, obchodząc budynek z boku.

Zdjawszy gogle zajrzał przez okno.

Wewnątrz pomieszczenia stało biurko i krzesło.

Umieszczony na środku pokoju naftowy grzejnik rzucał przyćmione światło.

Na krześle spał oficer w irackim mundurze z dystynkcjami porucznika.

Miał na twarzy kilkudniowy zarost, a założony ukośnie beret zasłaniał mu oczy.

Łatwizna, pomyślał Ziegler.

Zaopatrzone w drzwi drewniane przepierzenie oddzielało biuro komendanta od tylnej części budynku, w której, jak przypuszczał, mieścił się magazyn.

Wrócił ostrożnie do MacDonalda.

Do drugiego budynku nie musieli zaglądać.

Dochodzące ze środka głośnie pochrapywania dowodziły, że kwaterują w nim żołnierze.

W trzecim mieściła się kuchnia i stołówka.

Siedziało tam sześciu mężczyzn, skupionych również wokół naftowego grzejnika.

Byli to wartownicy.

- Posłuchaj, Danny - szepnął w ciemnościach Ziegler.

- Są trzy możliwości.

Żołnierze, którzy nie pełnią służby, mogą trzymać broń w swojej kwaterze, w magazynie za biurem komendanta, albo w obu tych miejscach.

Ostatnia wersja wydaje mi się najbardziej prawdopodobna.

Zapasowa broń powinna być zamknięta w głównym budynku.

Zajrzyjmy tam.

Tylne drzwi magazynu były otwarte, więc Ziegler nie musiał ich nawet wywazać.

Założył na buty wełniane skarpety, aby drewniana podłoga nie skrzypiała mu pod nogami.

Dzięki goglom widział wewnątrz magazynu tak wyraźnie, jakby oświetlała je słaba żarówka.

Na podłużnym stojaku pod ścianą zobaczył dwa tuziny karabinów AKM i AKMS.

Obok piętrzyła się na podłodze sterta pomalowanych na zielono metalowych pojemników.

Miały po trzydzieści pięć centymetrów długości i przypominały do złudzenia ogromne puszki sardynek.

Na drugim stojaku widać było długie, lejkowato zakończone rury sześciu granatników przeciwczołgowych RPG-7, a pod nimi kilka drewnianych skrzyń z pociskami.

Trzeci stojak zajmowały cztery lekkie karabiny maszynowe RPD, sześć karabinów RPK i jeden typu Goriunow, ze składanym trójnogiem.

W trzech następnych drewnianych skrzyniach były ręczne granaty odłamkowe, a w czwartej, dużo większej, miny przeciwczołgowe.

Poruszając się bardzo cicho, Ziegler podał MacDonaldowi sześć karabinów AKMS, które Danny położył rzędem na ziemi oraz sześć ciężkich, metalowych pojemników z wymalowanymi cyrylicą czarnymi napisami.

Mikę nie zainteresował się stojakiem z bronią maszynową, zabrał natomiast jedną z wyrzutni RPG-7 i skrzynię pocisków.

Stwierdził z ulgą, że nie brakowało ani jednej miny - nie było ich zatem na drodze.

W końcu pochylił się, aby podnieść skrzynkę z ręcznymi granatami.

W tym momencie zaskrzypiała głośno podłoga.

Ziegler zamarł.

Cholera!

zaklął w duchu, wściekły na siebie.

Niemal natychmiast zdał sobie jednak sprawę, że dźwięk ten nie pochodził spod jego nóg, lecz zza cienkiego przepierzenia.

Porucznik musiał poruszyć się na krześle.

Potem zaległa cisza.

Na wszelki wypadek Ziegler odczekał jeszcze dwie minuty i dopiero

wtedy wyniósł ostrożnie z magazynu skrzynkę granatów, zamykając za sobą drzwi najwolniej jak potrafił.

Wkrótce potem napełnili jeden plecak metalowymi pojemnikami, a do drugiego włożyli ręczne granaty i podłużne pociski RPG, które wystawały z niego na zewnątrz.

Posklejawszy karabiny taśmą, aby o siebie nie uderzały, Ziegler podniósł jeden z plecaków i spojrział na zegarek.

Mieli prawie dwadzieścia minut.

Pozostało im już tylko jedno zadanie: wlać do baku ciężarówki butelkę wody.

MacDonald wziął drugi plecak i wyszedł za Zieglerem w ciemność.

Dziewiętnaście i pół minuty później zdarzyło się niemal równocześnie kilka rzeczy.

Najpierw w biurze komendanta zadźwięczał niewielki budzik.

Porucznik ziewnął i przebudził się, a siedzący na zewnątrz strażnik oprzytomniał nagle i spojrział za siebie z obawą, że przyłapano go, kiedy spał na posterunku.

W tym momencie zza budynku rozległa się głucha detonacja.

Zdezorientowany strażnik skoczył na równe nogi, rozejrzał się wokół i zapukał do drzwi biura.

W tym samym momencie poczuł nagle swąd, a na niebie rozgorzała czerwona łuna.

Podniósł alarm, zderzając się w drzwiach z porucznikiem.

Komendant zaklął i pozbierawszy się, pobiegł za róg budynku.

Widok, który tam ujrzał, wprowadził go w osłupienie.

Ryknąwszy z przerażenia i złości wyrwał brutalnie ze snu śpiących

w drugim budynku żołnierzy.

Nagle obudzeni szukali po omacku butów i broni, klnąc i wpadając na siebie, a gdy zaczęli wybiegać na zewnątrz, było tam już jasno jak w dzień.

Howard miał proste zadanie.

W składzie paliwa było dwadzieścia sześć 200-litrowych beczek z benzyną i naftą oraz jedna z olejem silnikowym.

Pojedyncza, opróżniona do połowy baryłka nafty z wkręconym w zatyczkę kurkiem leżała na koźle, natomiast pozostałe beczki stały pionowo.

Do jednej z nich, podobnie jak do baryłki z olejem, przymocowana była rotacyjna ręczna pompka.

Howard poluzował szczypcami zatyczki w dwudziestu beczkach, ale ich nie wyciągał.

O 21.50 zaczął wypompowywać olej i benzynę na betonową podłogę składu.

Kiedy obie beczki z pompkami były puste, otworzył kurek baryłki z naftą.

Paliwo lało się na przesiąkniętą benzyną podłogę, wypływając przez otwór ściekowy o średnicy dziesięciu centymetrów do betonowego zbiornika na zewnątrz.

Zbiornik nappełnił się po brzegi.

Howard stał pięć metrów dalej, czekając.

Dokładnie osiem sekund przed godziną dwudziestą drugą przytknął płomień zapalniczki do nasączonej w nafcie szmaty, wrzucił ją do zbiornika i zaczął uciekać.

Ogień przedostał się przez otwór ściekowy do składu, ogarniając z charakterystycznym odgłosem zgromadzone tam paliwo.

Ten właśnie dźwięk usłyszał strażnik.

Wkrótce zaczęły się jednak rozlegać o wiele donośniejsze odgłosy.

Płomienie ogarnęły w jednej chwili cały skład.

Pierwsza eksplodowała pusta beczka, wypełniona oparami benzyny.

Mieszanka paliwa i powietrza spowodowała potężny wybuch.

Odłamki metalu przebiły trzy stojące w pobliżu pełne beczki.

Gdy ich zawartość wylała się na beton, ogień rozgorzał jeszcze intensywniej.

Po paru sekundach zaczęły eksplodować następne beczki.

Najpóźniej zapaliło się tych sześć, które były szczelnie zaszpuntowane.

Ostatnia wybuchła dopiero po pięciu minutach.

Płonące paliwo trysnęło efektownie wysoko w górę.

O 21.45, piętnaście minut przed zaplanowaną akcją, Bourne i Ackford podjechali ostrożnie na odległość dwustu metrów od budynków.

Zatrzymawszy samochody cierpliwie czekali.

Kiedy Bourne zobaczył pierwszy błysk płomieni, włączył silnik.

Jego warkot został zagłuszony przez szalejący pożar i późniejsze eksplozje.

Acford uruchomił drugi wóz.

Czekali na pojawienie się strażników, aby zobaczyć, co zrobią.

Bourne zdawał sobie sprawę, że muszą ruszyć z miejsca w odpowiednim momencie.

Po tygodniach, czy nawet miesiącach ogłupiającej beczynności i nudy zdarzyło się wreszcie coś, co przyciągnęło uwagę nieszczęsnych Irakijczyków, stacjonujących na zapomnianym przez Boga i ludzi pustkowiu.

Ogień zawsze działa hipnotyzująco.

Wyrwani ze snu żołnierze najpierw stali i wpatrywali się w płomienie, a potem, dyskutując z ożywieniem, zaczęli podchodzić bliżej, żeby się ogrzać.

Porucznik próbował bezskutecznie zapędzić swoich ludzi do gaszenia pożaru, klnąc, grożąc im i przekrzykując huk żywiołu.

Jedyną reakcją było sarkastyczne stwierdzenie barczystego, rozczochranego, ale obudzonego już na dobre kaprała, że jeśli porucznik ma ochotę posikać sobie w ten piekielny ogień bezużyteczną ręczną gaśnicą, która w ich szacownym obozie stanowiła cały sprzęt przeciwpożarowy, ma do tego całkowite prawo.

On, kapral, będzie się modlił, by porucznik trafił szczęśliwie do raju, gdzie czekają na niego gotowe na każde skinienie piękne i pulchne hurysy, jedwabne poduszki, źródłana woda i obfite zapasy smakowitych owoców - w tej właśnie kolejności.

Porucznik dał za wygraną.

Gryzł nerwowo palce na myśl o konsekwencjach, jakie czekają go ze strony przełożonych, gdy ci dowiedzą się o pożarze.

Niemal natychmiast postanowił zameldować o wszystkim dopiero po paru dniach, gdy doprowadzi posterunek do porządku.

Stał posepnie z boku i patrzył, jak resztki jego mało błyskotliwej wojskowej kariery szybują w niebo z kłębami gęstego czarnego dymu.

Gdyby porucznik albo któryś z jego żołnierzy odwrócił się dokładnie o godzinie 22.05, dostrzegłby w odległości zaledwie trzydziestu metrów jadące drogą na północ ciemne sylwetki dwóch zabrudzonych ambulansów.

Nikt jednak nie spojrział w tamtym kierunku i oba pojazdy

przemknęły nie zauważone.

Ludzie Howarda znaleźli się na terytorium Iraku.

36 Na konsoli po lewej stronie biurka zabłysło ostrzegawcze światełko.

John Kearwin podniósł wzrok i zobaczył na środku okrągłego ekranu pojawiający się za ruchomą kreską skanera świetlny punkt.

Sygnał dla systemu obrony, pomyślał bez szczególnego zainteresowania.

Nie była to w zasadzie jego działka.

Na pewno zajął się już tą sprawą NORAD i wkrótce dadzą mu znać, czy oczekują dokładniejszych informacji.

Wystukał na klawiaturze konsoli polecenie standardowej analizy obiektu i powrócił do rozpracowywania na głównym ekranie zdjęć irackiego ośrodka nuklearnego w Al Ateer.

Zadanie to pochłaniało go bez reszty.

Od czasu, gdy wojna w Zatoce Perskiej wykazała poważne braki programów, służących do oceny skuteczności bombardowań, Kearwin poświęcił setki godzin, aby je sprawdzić i poprawić.

W przypadku ośrodka w Al Ateer istniała możliwość porównania uzyskanych wyników ze sprawozdaniami znajdujących się na miejscu obserwatorów.

Mieli oni zweryfikować robioną przez niego na gorąco analizę zdjęć satelitarnych.

Kończył właśnie pracę, którą zajmował się od czterech godzin.

Lubił takie trudne zadania i kochał swoją robotę.

Traktował ją poważnie, tak samo zresztą, jak cały personel

Narodowego Biura Zwiadu.

Nie potrafił jednak nigdy - w odróżnieniu od swoich kolegów - łączyć poważnego stosunku do pracy z luźnym, żartobliwym sposobem bycia.

Wiedział, że jego współpracownicy są niezwykle zdolnymi ludźmi.

On zresztą nie był od nich gorszy.

Przychodziło mu to łatwo.

Nie widział niczego niezwykłego w swym zamiłowaniu do pracy i nie sądził, by posiadał jakieś szczególne uzdolnienia.

Zauważał jednak szacunek kolegów i był czasem zaskoczony, gdy traktowali go jak równego sobie.

Bezsprzecznie osiągał od czasu do czasu wyniki, które wzbudzały ich podziw.

Ale za każdym razem przypisywał to raczej szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Dyskretne pochwały ze strony kolegów i przyjaźń, jaką go darzyli były dla niego najcenniejszą nagrodą.

Nic nie sprawiało mu większej satysfakcji niż poczucie przynależności do zespołu.

Byłby zaskoczony i zmieszany, gdyby usłyszał, że w oczach kolegów uchodził za geniusza.

Nie potrafiłby tego pojąć.

Uważał, że niczym się od nich nie różni, żałował tylko, że nie potrafi im dorównać, kiedy opowiadają dowcipy i przekomarzają się ze sobą.

Jak na młodego człowieka zachowywał się trochę zbyt poważnie, ale ponieważ był skromny i bezpretensjonalny, wszyscy lubili go i szanowali.

Przeprowadzając z nim rozmowę kwalifikacyjną szef biura, Walter Sorensen, usłyszał, że Kearwin ma pewną fobię.

Panicznie się bał, by nie nazywano go Radarem.

Rzeczywiście przypominał bardzo aktora, który grał w tajemczowym serialu telewizyjnym MASH.

Był dość niski, miał okrągłą twarz, trochę piskliwy głos i nosił okrągłe druczane okulary.

Podzielił się z Sorensenem i szczerze swoimi obawami, a ten natychmiast zrozumiał, że dla młodego, nieśmiałego chłopaka jest to naprawdę duży problem. Kearwinowi brakowało wiary w siebie.

Przejrzał ponownie jego kartotekę i pochlebne opinie naukowców, którzy obserwowali postępy Johna.

Kearwin miał wrodzone zdolności.

Sorensen był dobrym menedżerem i potrafił kierować ludźmi.

Zanim Kearwin rozpoczął pracę w biurze, Sorensen zapoznał swoich podwładnych z jego imponującym dorobkiem, po czym dodał: - Zechciejcie wyświadczyć i mnie, i jemu drobną przysługę, dobrze?

To miły chłopak.

Nie kpijcie z niego za bardzo.

Nie znosi, kiedy ktoś mówi, że wygląda jak Radar, ten facet z telewizji.

Jeżeli któryś z was tak go nazwie, dostanie wycisk.

Naprawdę.

Nikt więc tego nie robił.

Za radą Sorensena Kearwin zmienił oprawki okularów z okrągłych na prostokątne.

Było to siedem lat temu.

Od tamtego czasu Kearwin nabrał wiary w siebie.

Odegrał znaczącą rolę w rozwijaniu metod analizy w NBZ.

Uśmieł się szczerze, usłyszawszy kiedyś, że jego szef jest podobny do morsa.

O ironio, przezwisko to przyłgnęło do Sorensena, który zresztą specjalnie nie protestował, natomiast Kearwina nikt nigdy nie nazwał Radarem.

Zainstalowanie przed czterema laty konsoli do bezpośredniego odbioru satelitarnego programu wspomaganie systemu obrony (PWSO) było jednym z pomysłów Kearwina.

O dziwo, zdołał przekonać do niego Sorensena.

- To nie nasza sprawa, John - mówił z powagą Mors.

- Nie wykonujemy natychmiastowych analiz, tylko średnio - i długoterminowe.

Od szybkiego reagowania jest NORAD.

To ich zadanie.

My mamy ciekawszą robotę: zajmujemy się później szczegółami, na które im nie starczyło czasu.

- Sorensen po raz chyba pięćdziesiąty wygłaszał swój ulubiony wykład, objaśniając cierpliwie, jaką rolę ma do spełnienia amerykańskie Narodowe Biuro Zwiadu.

Pocziwy stary Mors, pomyślał Kearwin.

Po prawie trzech latach pracy w NBZ ciągle był dla swojego szefa nowicjuszem.

Wiedział już jednak, jak z nim postępować.

- Masz całkowitą rację, Walterze - stwierdził.

- Ale niepokoi mnie, że informacje docierają do nas z takim opóźnieniem.

Pamiętasz, co dzieje się za każdym razem, kiedy nadchodzi sygnał o zagrożeniu?

Kiedy Rosjanie wystrzelają satelitę albo odpalają na próbę pocisk?

Góra żąda natychmiastowego raportu.

Zgoda, od chłopców z NORAD też tego wymagają, ale po szczególne informacje zwracają się głównie do nas.

Uważają, że powinniśmy je mieć.

Zawsze jest to samo.

Nie ja, oczywiście, dostaję wtedy w tyłek...

- Kearwin zawiesił w tym miejscu głos.

Wiedział że Walter Sorensen uważnie go słucha.

Trafił w jego czuły punkt.

Mors był bardzo cierpliwy, ale dostawał szału, gdy musiał wyjaśniać przez telefon jakiemuś kretynowi, że ich wydział nie zajmuje się bezpośrednią analizą przekazu satelitarnego - a w dodatku o niczym jeszcze nie wiedzą.

NORAD nie doszedł na razie do tego, by informować NBZ na bieżąco o otrzymanych sygnałach.

A Mors nie lubił sprawiać wrażenia, że nie jest zorientowany w sytuacji.

- Cholerne matoly - mruknął.

Zawsze określał tym mianem urzędników, którzy nie dawali mu spokoju, chociaż powinni wiedzieć, co należy do jego obowiązków.

Za każdym razem, gdy odkładał słuchawkę po kolejnej takiej rozmowie, powtarzał "cholerne matoly".

- Posłuchaj, Walterze - kontynuował Kearwin.

- Gdybyśmy mieli tu przynajmniej jedną konsolę do bezpośredniego odbioru sygnałów, powiedzmy z satelity PWSO, wiedzielibyśmy na bieżąco, co się dzieje.

To żadna strata czasu.

Satelita PWSO idealnie by się nadawał, bo przekazuje sygnały

najbardziej interesujące górę.

Mógłbym opracować program, dzięki któremu otrzymywalibyśmy najistotniejsze dane.

Odebranie każdego sygnału zajęłoby mi najwyżej kilka sekund, a wiadomo, że dziewięćdziesiąt procent informacji analizuje od razu NORAD i nie musimy zawracać sobie nimi głowy.

Tylko pozostałych pięć procent wymagałoby dodatkowego opracowania.

Nic byśmy na tym nie stracili - może nawet zyskamy godzinę albo dwie, skoro i tak trzeba by potem tę robotę wykonać.

No i wiedziałbyś zawsze, co powiedzieć szefom.

Sorensen zastanawiał się.

Brzmiało to kusząco.

Podkreślił z namysłem sumiasty wąs i w końcu się zgodził.

- Dobrze, spróbujmy - powiedział.

- Pojedynczy monitor, na twoim biurku.

Sam go zainstalujesz.

Nie chcę słyszeć o tym sprzeczcie, dopóki nie będzie potrzeby.

I masz korzystać tylko z jednego satelity, jasne?

Nie życzę sobie żadnych zabaw w przewidywanie trajektorii lotu na trójwymiarowym obrazie, czy czegoś podobnego.

Tym zajmuje się NORAD.

Powtarzam: tylko jeden satelita, i posłuchaj, synu - dodał, grożąc mu surowo palcem - żebym cię nie przyłapał, jak gapisz się cały dzień w ekran i zaniedbujesz swoje obowiązki.

- Nie ma mowy - odparł radośnie Kearwin.

- Komputer będzie nam po prostu dostarczał gotowych odpowiedzi dla "góry".

Raz, może dwa razy w miesiącu, jeśli sprawy będą wyglądały tak jak dotychczas.

Wiele się jednak zmieniło.

W lecie 1988 roku, wkrótce po zainstalowaniu na biurku Johna monitora PWSO, większość rutynowych zadań trzeba było nagle odłożyć na bok.

Kearwinowi i pięciu innym ludziom polecono przerwać badania nad blokiem komunistycznym i przydzielono ich do sekcji bliskowschodniej.

Przez miesiąc pracowali na okrągło nad raportem na temat zaawansowania irackiego programu nuklearnego.

Kearwin nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wykonywali priorytetowe zadanie w takim pośpiechu.

Wszystko inne zeszło na dalszy plan.

Otrzymali pomoc z CIA i sporo informacji z zagranicy, które okazały się bardzo przydatne.

Raport był gotowy na początku września 1988 roku.

Wynikało z niego, że program nuklearny Iraku jest bardzo zaawansowany i około roku 1994 kraj ten może dysponować bronią jądrową.

Potem napięcie nieco opadło.

Ale nie na długo.

Dwa tygodnie później polecono im uaktualnić dane w raporcie i podać więcej szczegółów.

Kearwin spodziewał się tego.

Raport był pełen zastrzeżeń, że potrzeba więcej czasu, że to tylko szacunkowe oceny, ponieważ ciągle napływają nowe dane, i tak dalej, i tak dalej.

Kearwin pomyślał, że Mors trochę za bardzo się asekurował, ale miał właściwie świętą rację.

Nie można zmienić od ręki orbit dwóch satelitów KH-11 i spodziewać się uzyskania natychmiast informacji o nowym terytorium.

Co prawda nad Irakiem odbywał już wcześniej rutynowe loty satelita Keyhole, ale niewielka ekipa, opracowująca dostarczony przez niego materiał, miała słabe możliwości gromadzenia danych.

Poza tym ludzie ci zajmowali się głównie obserwacją przebiegu wojny między Irakiem a Iranem.

Ktoś nazwał ich nawet "podglądaczami".

Sami tego nie wymyślili.

Wykonywali tylko rozkazy.

Nadeszły zatem kolejne instrukcje.

Tym razem Kearwin i jego koledzy mieli sześć miesięcy na wykonanie zadania.

Należało skorygować ponownie orbity KH-11, tak by satelity objęły zasięgiem obserwacji jak największy obszar Iraku.

Jeden przelot dziennie już nie wystarczał.

Kearwin obliczył pobieżnie, jak zwiększone zużycie paliwa wpłynie na okres eksploatacji satelity.

Okazało się, że zmniejszy go o połowę.

Przeciętnie do siedmiuset pięćdziesięciu dni.

Satelity KH-11 należały do największych z około siedmiu tysięcy różnych obiektów umieszczonych w przestrzeni kosmicznej.

Każdy z nich miał dziewiętnaście metrów długości i ważył piętnaście ton.

Seria KH-11 zrewolucjonizowała możliwości penetrowania terytorium Związku Radzieckiego.

Przez długi czas, dopóki pewien oficer, zatrudniony kiedyś w centrum operacyjnym, nie sprzedał Sowiecom egzemplarza opisu technicznego KH-11, nie wiedzieli oni nawet, co to za satelita.

Był na orbicie, ale najwyraźniej nie funkcjonował.

Nie przekazywał żadnego sygnału.

Rzeczywiście nie działał w taki sposób, jak jego poprzednicy z serii KH-9.

Miał zamaskowany system przesyłania informacji.

Emitował sygnał w przestrzeń, do geostacjonarnego satelitarnego przekaźnika, a nie bezpośrednio na ziemię.

KH-11 wydawał się elektronicznie martwy, więc Sowieci nie ukrywali przed nim swoich tajnych obiektów.

Ale zasadniczy przełom polegał na tym, że miał on możliwość natychmiastowego przekazywania informacji.

Poprzednie satelity typu Keyhole wyrzucały kapsuły z filmami, które później wywoływano i analizowano.

KH-11 przesyłał elektronicznie cyfrowy zapis danych, które były gotowe do natychmiastowej analizy.

Teraz dwa KH-11 miały spłonąć w przestrzeni kosmicznej, gromadząc informacje na temat Iraku.

Przez cztery dni korygowano orbity satelitów w taki sposób, aby ich perigeum przesunęło się na południe, na wymaganą szerokość geograficzną.

Najniższy punkt eliptycznej orbity znajdował się dwieście pięć kilometrów nad Ziemią, co umożliwiało już szczegółową obserwację terenu.

To jednak nie wystarczało.

Satelita musiał dodatkowo "odskoczyć" z orbity nad konkretnym obiektem.

Oznaczało to konieczność obniżenia perigeum do stu pięćdziesięciu

kilometrów dla uzyskania maksymalnie dokładnego obrazu.

Potem "katapultowano" satelitę z powrotem na normalną wysokość.

Technicy zwiększyli apogeum z trzystu kilometrów na trzysta pięćdziesiąt, Kearwin wątpił jednak, by przedłużyło to czas eksploatacji satelitów.

Problem stanowiło zużycie paliwa.

Ponieważ jedno okrążenie Ziemi na dobę nie wystarczało, przy każdym następnym musiano korygować orbitę, aby satelita przelatywał dokładnie nad tym samym miejscem.

Kearwinowi nasuwało to skojarzenia z kłębkiem wełny.

Każda kolejna orbita KH-11 przebiegała nieco w bok od poprzedniej.

Ziemia znajdowała się w centrum kłębka, a otwory u góry i u dołu odpowiadały biegunom: północnemu i południowemu.

Satelita wykonywał kilkanaście okrążeń Ziemi w ciągu doby, ale tylko raz, zawsze o tej samej porze, trafiał nad dany obszar.

Aby mógł częściej nad nim przelatywać, należało korygować jego orbitę, kompensując ruch obrotowy Ziemi.

Satelita poruszający się z prędkością sześciu kilometrów na sekundę wykonywał jedno okrążenie w ciągu dziewięćdziesięciu minut.

Oznaczało to szesnaście okrążeń na dobę.

Codziennie spalał szesnastokrotnie więcej paliwa niż normalnie!

Tak duże zużycie hydrazyny skracało poważnie czas jego eksploatacji.

Ale na razie dzięki dwóm krążącym w przestrzeni satelitom można było zebrać wiele cennych informacji.

A co potem, kiedy się zużyją?

Dwie następne rakiety Tytan-4C wyniosą na orbitę ich następców.

Była to kosztowna sprawa.

W tej grze czas to pieniądz, twierdził Mors i wcale nie żartował.

Postarajcie się, chłopcy, mówił, wykorzystać jak najlepiej te zabawki, póki jeszcze działają.

Kearwin i jego koledzy solidnie przyłożyli się do pracy.

Zebraли wiele nowych informacji.

Mieli teraz dane z kilku miesięcy i mogli uzyskać o wiele dokładniejsze wyniki.

W drugim raporcie uwzględniono kilka obiektów, które wcześniej nie były szczegółowo analizowane oraz mnóstwo uzupełniających materiałów od agentów CIA.

Według wstępnego sprawozdania Morsa, które musiał sporządzić w połowie prowadzonych badań, Irak mógł dysponować bombą atomową do 1993 roku.

Końcowy raport (Kearwin uznał później, że powinien był wiedzieć z góry, iż na tym wcale się nie skończy) wspominał już o roku 1992.

Nie czekali długo.

Wkrótce zlecono im przeprowadzenie dalszych analiz.

Tym razem było to zadanie najwyższej wagi.

Mieli sto dni.

Żądano definitywnych odpowiedzi, dopuszczając teoretyczne spekulacje na poziomie II stopnia.

Umieścili na orbicie trzeciego satelitę KH-11 i zatrudnili sześciu dodatkowych ludzi do wykonywania analiz.

Wkrótce miał ich wesprzeć satelita KH-12.

Potrojono możliwości gromadzenia danych.

Kearwin dostał awans i sporą podwyżkę.

Konsola PWSO stała cały czas z boku na jego biurku, regularnie przekazując sygnały.

Kearwin prawie w ogóle nie zwracał na nią uwagi.

Mors zaczął być bardziej stanowczy wobec "matołów".

Gdy na niego naskakiwali, z satysfakcją zasłaniał się instrukcjami, które przekazał mu bezpośrednio Sekretarz Obrony Dick Cheney.

Kearwin twierdził uparcie, że powinni zrewidować stosowane dotychczas kryteria i proponował, aby sytuację w kraju Trzeciego Świata, takim jak Irak, oceniać za pomocą innych parametrów niż w przypadku upadającego mocarstwa, jakim był Związek Radziecki.

Mors wyraził na to zgodę.

Przeprowadził długie rozmowy z doświadczonymi agentami CIA, którzy pamiętali początki rozwoju radzieckiego przemysłu nuklearnego.

Zasięgnięto opinii cywilnych naukowców na temat nowoczesnej technologii i w efekcie działający w terenie wywiadowcy mieli jeszcze więcej pracy.

Kilka europejskich korporacji dostało po uszach za swoje postępowanie.

Szacowni biznesmeni musieli czerwienić się ze wstydu.

Może również przedstawiciele niektórych rządów...

Kearwin przypominał sobie, że wszystko to rozgrywało się w szaleńczym tempie.

Nigdy przedtem nie miał tak fascynującej pracy.

Raport był gotowy w październiku 1989 roku.

Obserwacje Kearwina na temat nowych irackich obiektów, a zwłaszcza systemu ich zabezpieczeń, poszerzyły zakres badań i gotowy dokument zawierał wiele sformułowanych przez niego wniosków.

Według raportu w marcu 1991 roku, a może nawet w lutym, Irak

miał dysponować własną bronią jądrową.

W ciągu zaledwie kilkunastu miesięcy.

Kiedy satelita PWSO zaczął krążyć po nowej orbicie, Kearwin uświadomił sobie, jak poważnie potraktowano tę sprawę.

Na Boga, nie obserwowali już nawet wschodniej części ZSRR!

Na ekranie monitora przestała pojawiać się Kamczatka.

Satelity PWSO miały specyficzne zadania.

Przede wszystkim nie robiły zdjęć.

Wykrywały po prostu intensywne promieniowanie podczerwone emitowane przez pociski i określały miejsce ich wystąpienia.

Lecący obiekt był dalej śledzony.

Dzięki nawiązanym kontaktom z kilku satelitów uzyskiwano trójwymiarowy obraz, pozwalający określić w ciągu sześćdziesięciu sekund tor lotu pocisku i prawdopodobny punkt docelowy.

Satelity PWSO były geostacjonarne; nie zmieniały położenia względem Ziemi, śledziły więc stale ten sam obszar, przekazując jego obraz co dziesięć sekund.

Aby pozostawać w jednym miejscu, musiały znajdować się na bardzo dużej wysokości.

Satelita, z którego korzystał Kearwin, był trzynastym z serii i dotychczas zajmował pozycję nad Sinkiang, nad północno-zachodnimi Chinami.

Zawieszony trzydzieści osiem tysięcy kilometrów nad powierzchnią Ziemi, czyli ponad sto razy wyżej niż KH-11, miał w zasięgu obserwacji niemal połowę kuli ziemskiej, w tym cały obszar Związku Radzieckiego, Europę Środkową, Chiny i Daleki Wschód.

Ale po opracowaniu przez NBZ raportu na temat Iraku przesunięto go prawie cztery i pół tysiąca kilometrów na zachód, nad...

No właśnie, kto zgadnie, dokąd?

Tak jest, nad Zatokę Perską.

Znajdowało się tam już zresztą więcej satelitów, dzięki którym NORAD mógł otrzymywać swoje trójwymiarowe obrazy.

W ciągu ostatniego roku czy dwóch satelity te nadsyłały z Iraku sporo sygnałów.

Z analiz wynikało, że Irak dokonywał prób z raketami 55-1 Scud-B, AlAbbas i Al Hussein.

Nie były one wcale łatwe do wykrycia, ale system PWSO okazał się wystarczająco skuteczny.

Międzykontynentalne rakiety balistyczne, które z założenia miał lokalizować, nie schowałyby się pod cienką warstwą chmur.

Rakieta Scud-B była jednak o wiele mniejsza.

Wydzielała sto razy mniej ciepła i osiągała dużo niższy pułap.

Nie była tak łatwa do wykrycia, zwłaszcza w chmurach.

Kearwin zlokalizował ich jednak sporo.

Doświadczenia te okazały się przydatne.

We fragmencie raportu, dotyczącym systemów przenoszenia ładunków, mógł uwzględnić informacje o próbach ze Scudami, choć większość istotnych danych na ten temat pochodziła z NORAD.

Ich szefom kamień spadł z serca.

Rakiety Seud były wyjątkowo prymitywne.

Zwykły kawałek latającego żelastwa, z systemem naprowadzania z epoki kamienia łupanego, niecelny jak cholera.

Ale gdyby tak uzbroić go w głowicę jądrową...

Myśląc o całej sprawie z perspektywy czasu Kearwin doszedł do wniosku, że ci na górze musieli przejrzeć zamiary Irakijczyków.

Świadomość, że trzymali rękę na pulsie, była nader krzepiąca.

Nawet Mors wyrażał się tym razem o "matołach" z uznaniem.

Kuwejt, operacja Pustynna Tarcza, a potem Pustynna Burza...

Ależ było wtedy gorąco!

Kiedy Mors zauważył, że przy biurku Kearwina tłoczą się jego młodszy koledzy, obserwując na ekranie moment wystrzelenia Scuda, o mało nie kazał wyłączyć monitora i wyrzucić go za okno.

Możliwość bezpośredniego odbioru sygnałów satelitarnych nieodparcie wszystkich fascynowała.

Kearwina także.

Ponownie odtwarzał w pamięci tamte wydarzenia.

Wszystko następowało tak szybko.

Po starcie Scuda, w ciągu dziesięciu sekund na ekranie monitora pojawiał się pierwszy sygnał.

Potem co dziesięć sekund następne.

Ukryty głęboko pod ziemią w Che-yenne Mountain w stanie Kolorado ośrodek antyrakietowy centrali NORAD potwierdzał wystrzelenie pocisku, określając jego prawdopodobną trajektorię i cel.

O ile nie było zachmurzenia, potrzebował na to około minuty.

W przeciwnym razie musiało upłynąć więcej czasu - dopóki pocisk nie przebił się przez warstwę chmur.

Dane programu wspomaganie systemu obrony docierały do satelity TRDSS, który przesyłał je bezpośrednio do NORAD.

Informacja o przewidywanym torze lotu pocisku wracała do satelity MILSAT, a stamtąd była przekazywana do ośrodka CENTCOM w Zatoce Perskiej.

W trzy i pół minuty po wystrzeleniu rakiety powiadamiano o tym fakcie dowódców wojskowych, a po następnych dziewięćdziesięciu sekundach - zaledwie pięć minut po jej starcie - w Izraelu albo Arabii Saudyjskiej wchodziły do akcji pociski typu Patriot.

Scud leciał osiem minut albo krócej, obsługa wyrzutni miała więc najwyżej dwie lub trzy minuty na jego zniszczenie.

Pełniąc służbę w baterii Patriotów spało się w butach i z otwartymi oczami.

O ile w ogóle się spało.

Problem polegał na tym, że rakiety Patriot zaprojektowano do zwalczania solidnych celów, a nie takiego złomu jak Scudy, czy pokrewne im rakiety typu Al Abbas i Al Hussajn.

Prymitywne Scudy rozpadały się na wysokości dwudziestu, trzydziestu kilometrów na trzy lub więcej części.

Traciły ogony, stateczniki, czasem nawet korpus rakiety przełamany się na pół.

Zazwyczaj wystrzelowano do lecącego obiektu dwa pociski Patriot PAC-2.

Często więc na jednego Scuda przypadało ich cztery lub więcej: dwa na głowicę i po dwa na każdą z pozostałych części.

Pewnej nocy do siedmiu Scudów wystrzelono trzydzieści pięć rakiet PAC-2.

Każda kosztowała milion dolarów.

Eksplozje Scudów wyrządziłyby mniej szkód niż spadające na rozległym obszarze szczątki pocisków antyrakietowych.

Gdy zaczęto stosować rakiety Patriot, liczba ofiar w Izraelu wzrosła o 60%, a straty materialne uległy potrojeniu.

Korporacja Raytheon, producent Patriotów, dostrzegła ten problem już podczas prób zestrzeliwania podobnych obiektów na pustyni w Arizonie.

Nikt jednak nie mógł przewidzieć, jak bardzo niestabilne i zawodne okażą się irackie Scudy.

Firma Raytheon błyskawicznie znalazła na to sposób.

W ciągu dwudziestu czterech godzin dostarczono nad Zatokę Perską dodatkowe oprogramowanie.

Operatorzy Patriotów mogli teraz wyłączyć automatyczny system naprowadzania i korzystać ze zmodyfikowanego sterowania ręcznego, które umożliwiało skoncentrowanie się na obiekcie o najbardziej stabilnej trajektorii, czyli na głowicy.

Trzeba jednak ogromnej przytomności umysłu, żeby wybrać jeden z kilku fragmentów Scuda, który za czterdzieści sekund ma spaść człowiekowi na głowę.

Tylko raz zdarzyła się prawdziwa tragedia.

Scud zrównał z ziemią kantinę w bazie lotniczej w Dahrán, zabijając dwudziestu ośmiu Amerykanów.

Patrioty nie zdołały go zniszczyć i nie było w tym niczyjej winy.

Kantina znajdowała się poza "strefą obrony".

Każda bateria Patriotów ochraniała ściśle określony obszar.

Nie mógł on być zbyt duży, gdyż małyby wtedy szansę na skuteczne przechwytywanie pocisków.

Tak więc na Scudy lecące do innej strefy nie zwracano uwagi.

Wszystko zależało od trajektorii pocisku.

Jeśli leciał nisko, jego prędkość była mniejsza, strefa obrony mogła więc obejmować większy obszar.

Jeżeli jednak spadał niemal pionowo, z bardzo dużą prędkością, Patriot miał mniej czasu, aby go przechwycić.

Trajektoria pocisku, który zniszczył kantynę, była zupełnie nietypowa.

Nikt nie mógł przewidzieć takiej ewentualności.

Kantyna znajdowała się zaledwie piętnaście metrów od granicy najbliższej strefy obrony.

Mieli cholernego pecha.

Gdyby baterię Patriotów usytuowano kilkanaście metrów dalej...

Kearwin uznał, że w sumie firma Raytheon znakomicie się spisała.

Przypominał sobie, że pierwotnie Patrioty nie miały być wcale bronią przeciwrakietową.

PAC-1 zaprojektowano do zwalczania samolotów.

Dopiero gdy dowództwo dostrzegło możliwości tych pocisków, zażądano, by zmodyfikować ich system naprowadzania i przystosować je do zestrzeliwania rakiet balistycznych.

Model PAC-2 naprawdę znakomicie funkcjonował i wykazał swoją przydatność.

Nieważne, że pojawiło się trochę problemów.

Z politycznego punktu widzenia istotny był fakt posiadania takiej broni.

Podobno dzięki Patriotom udało się przekonać Izrael, by nie przystąpił do wojny.

Kearwin wiedział jednak, jak było naprawdę.

Na decyzję Izraela wpłynęło skonstruowanie nowej generacji rakiet typu Arrow.

Miały one zasięg stu kilometrów i pułap czterdziestu tysięcy metrów, podczas gdy Patriot mógł przelecieć zaledwie dziesięć - dwadzieścia kilometrów na maksymalnej wysokości pięciu tysięcy metrów.

Rakiety Arrow były jednak bardzo kosztowne.

Izrael nie mógł sobie pozwolić na ich produkowanie.

Rząd izraelski naciskał na Stany Zjednoczone, domagając się funduszy i pomocy technologicznej.

Amerykanie musieli być bardzo ostrożni.

Traktat o zwalczaniu rakiet balistycznych z 1972 roku zabraniał "transferu technologii".

Czym innym było jednak przekazanie funduszy na zakup broni.

Taką pomoc Stany mogły Izraelczykom zagwarantować.

To właśnie powstrzymało ich od udziału w wojnie, a nie Patrioty.

Kearwin westchnął.

Teraz wszystko wróciło właściwie do normy.

Nadal interesował ich najbardziej Bliski Wschód, ale w zasadzie obserwowali tylko, co się tam dzieje.

Analiza rozmiarów zniszczeń w zbombardowanym ośrodku nuklearnym w Al Ateer stanowiła dla Kearwina pożądaną odmianę i sprawdzian własnych możliwości.

Dzięki satelicie KH-12 dysponował szczegółowymi informacjami.

Wkrótce miało się okazać, czy potrafił je wykorzystać.

Był przekonany, że tak.

- W porządku, Peter - zawołał do jednego z młodszych kolegów.

- Chyba skończyliśmy.

Uporządkuj to wszystko i przekaz dalej, dobrze?

Chłopak skinął głową i zaczął pisać raport, który miał zatwierdzić

Mors.

Kearwin przetarł oczy, oparł się o krzesło i ziewnął.

Pracował od szóstej rano.

Mieszkańcy Waszyngtonu cieszyli się teraz jasnym, wiosennym dniem.

Przy odrobinie szczęścia za pół godziny będzie wolny, pojedzie do domu i spędzi resztę popołudnia na słońcu z Carrie i dzieckiem.

Przeciągnął się i pokręcił głową, aby rozruszać zeszywniały kark.

Nagle zwróciło jego uwagę mrugające na konsoli światełko.

Monitor pokazywał wyniki analizy przekazu satelitarnego.

Kearwin spojrział w ekran i zmarszczył brwi.

Co za cholera, pomyślał, wystukując na klawiaturze polecenie, by komputer podał mu bardziej szczegółowe informacje.

- Walterze - zawołał przez ramię.

- Mamy sygnał z zachodniego Iraku.

Wygląda mi to na Scuda.

Chcesz zobaczyć?

Sorensen wstał zza biurka i podszedł do niego.

- Jaki Scud?

- zapytał zdziwiony.

- Zwariowałaś?

Ta cholerna wojna już się przecież skończyła!

Spojrzał na ekran marszcząc czoło.

- Tak, ale zobacz, gdzie to jest - powiedział Kearwin, wystukując na klawiaturze dalsze instrukcje.

Na ekranie, pod mapą całego regionu, pojawiły się kolejne informacje.

Zrobił zbliżenie interesującego go obszaru.

- Niewiarygodne.

Na samej granicy.

- Co z charakterystyką sygnału?

- zapytał Sorensen, wpatrując się w ekran i skubiąc wąż.

- Odpowiada parametrom Scuda na fali 4,3 mikrometra - stwierdził Kearwin.

- W zakresie 2,7 ma może trochę za niskie wartości.

- Krótkofalowe czujniki podczerwieni satelity PWSO śledziły rutynowo te dwie częstotliwości fal.

Analiza względnej intensywności sygnałów w tych zakresach dostarczała wielu informacji.

Można było na ich podstawie określić typ wystrzelonego pocisku.

Każdy rodzaj paliwa raketowego miał odrębną charakterystykę.

Dane z CIA na temat materiałów napędowych pozwalały ustalić, jaki pocisk znajduje się w powietrzu.

- Gdzie on teraz jest?

- zapytał Sorensen.

Kearwin wystukał na klawiaturze odpowiednią instrukcję.

Po kilku sekundach pojawiły się uaktualnione informacje.

- Cholera, wcale nie zmienił położenia!

- stwierdził z niedowierzaniem.

- Może robili próbę silników.

Na twarzy Sorensena pojawił się szeroki uśmiech.

- Akurat - powiedział drwiącym tonem.

- Spójrz na te nowe parametry w paśmie 2,7.

Są wyższe niż przedtem, prawda?

Co ci to mówi?

Próba silników, tak?

W takim miejscu?

Na samej granicy?

Wiesz co, mistrzu?

Nie przypuszczałem, że dasz się nabrać na taką starą sztuczkę.

Hej, chłopcy!

- huknął na cały głos.

Wszyscy spojrzeli na niego zdumieni, gdy przybrawszy teatralną pozę oznajmił z przesadnie wyraźnym południowym akcentem: - Johnny odkrył płonącą beczkę.

Oderwał mnie od pracy, żebym ją podziwiał.

Co wy na to?

- Poklepał Kearwina po ramieniu.

- Zajmij się czymś poważniejszym, chłopcze!

- powiedział i tłumiąc śmiech wrócił ciężkim krokiem do swego biurka.

Wszyscy zaczęli wiwatować.

Kulka zgniecionego papieru poszybowała w powietrzu i odbiła się od głowy Kearwina.

Podniósłszy ze wstydem wzrok zobaczył wesołość na twarzach kolegów.

- Dajcie spokój, chłopaki - powiedział z uśmiechem.

- Każdy może się pomylić.

- Dobra robota, John - zawołał jeden z młodszych kolegów.

- Świetnie się spisałeś - dodał drugi.

- Tak, tak, w porządku - odparł Kearwin.

- Już skończyliście?

Może wystarczy, co?

- Nie na darmo pracował jako analityk.

Wiedział, że ten drobny incydent rozładował nieco panujące w biurze napięcie.

Rzadko trafiała się taka okazja, a możliwość pożartowania - choćby nawet na jego temat - korzystnie na wszystkich wpływała.

Jeszcze raz się uśmiechnął i wrócił do pracy.

Piętnaście minut później Kearwin był nadal zły na siebie, że popełnił błąd.

Coś mu się jednak w tym wszystkim nie zgadzało.

Po jaką cholerę Irakijczycy mieliby w czasie pokoju próbować starych sztuczek z fajerwerkami?

I to na samej granicy.

Pamiętał, że podczas wojny stosowano takie metody, aby zmylić maszyny F-16Falcon, bombardujące wyrzutnie Scudów.

Kiedy Patrioty broniły atakowanego obszaru, F-16 przystępowały do akcji wspólnie z samolotami F-111 Wild Weasel, wyposażonymi w urządzenia antyradarowe ALQ-131.

Za nimi podążały latające cysterny.

Kearwin pomyślał, że za dużo było rozmów w eterze.

Irakijczycy mieli lepszy nasłuch radiowy niż sądzili alianci i dzięki temu, mimo braku osłony radarowej, samoloty F-16 nie potrafiły ich zaskoczyć.

Złamali nawet szyfr radiowy i wiedzieli na długo przed nalotami, które wyrzutnie Scudów należy ukryć.

Zwykle chowano je pod jakimś mostem czy wiaduktem.

Na miejscu pozostawała makieta, otoczona pojemnikami z płonąca ropą, aby zmylić czujniki termiczne atakujących F-16.

Podczas wielu "udanych nalotów" niszczone tylko makiety.

Numer z beczkami, pomyślał Kearwin.

Teraz sam dał się na niego nabrać.

Ale czy faktycznie?

Po co ktoś by to robił?

I dlaczego akurat na granicy z Arabią Saudyjską?

To nie miało sensu.

Zirytowany, postanowił zbadać dokładniej całą sprawę.

Wystukał na głównej klawiaturze polecenie, by komputer poinformował go o trasie ostatniego przelotu satelity KH-11 lub KH-12 nad tym obszarem.

Na dużym ekranie pod mapą regionu pojawił się diagram orbit satelitów Key-hole.

Doskonale, pomyślał Kearwin.

KH-12 przelatywał nad tym rejonem zaledwie pięć minut temu.

Satelity przekaźnikowe musiały już przesłać informacje do stacji

naziemnej i komputer przetwarzał teraz cyfrowy sygnał, który trafiał następnie do archiwum.

W ciągu paru minut odnajdzie tam potrzebne mu współrzędne.

To mi wystarczy, pomyślał Kearwin.

Zobaczy szybko, co to był za obiekt, a potem wróci do domu, do Carrie i syna.

Usiadł wyprostowany na krześle, ale po chwili znów pochylił się do przodu.

Czekając mógł sprawdzić dla porównania poprzednie przekazy satelitarne.

Wystukał na klawiaturze kolejne polecenie.

KH-11 przelatywał nad interesującym go rejonem przed dwudziestoma minutami.

To mu się mogło przydać.

Poprosił o bliższe informacje.

Od wcześniejszego przelotu minęły trzy kwadranse, ale jego orbita była przesunięta za daleko na wschód i potrzebne Kearwinowi współrzędne znajdowały się na granicy optymalnego zakresu obserwacji.

Nie miałby dobrego materiału do porównań.

Przekaz z korzystniejszej orbity nastąpił prawie dwie godziny wcześniej.

Kearwin poprosił o informacje do uzupełnienia analizy.

Gdzieś w podziemiach potężny komputer przeszukiwał bazy danych i sortował współrzędne.

Po upływie jednej minuty i trzydziestu pięciu sekund na ekranie monitora pojawił się obraz zarejestrowany podczas późniejszego z dwóch

przelotów.

W porządku, pomyślał Kearwin.

Nie ma zachmurzenia.

Idealne zdjęcie.

Przez minutę regulował cyfrowy zapis, aby uzyskać maksymalny kontrast sfotografowanego techniką podczerwieni obrazu.

W końcu osiągnął pożądany efekt.

Zdjęcie przedstawiało jakieś odludne miejsce na środku pustyni.

Jedynym godnym uwagi obiektem była niewielka grupa zabudowań, widoczna w centrum ekranu, obok biegnącej z góry na dół polnej drogi.

W pobliżu zabudowań znajdował się chyba niewielki magazyn.

Przy głównym budynku stała ciężarówka.

Wyglądało to na niewielką placówkę wojskową.

Zapewne posterunek graniczny.

W dodatku cholernie zaniedbany.

Nic dziwnego.

Leżał na kompletnym pustkowiu.

Miał czysto symboliczne znaczenie.

Na bocznej konsoli zapaliło się światełko, informując Kearwina, że może obejrzeć zdjęcia przekazane przez satelitę przed dwiema godzinami.

Wyświetlił je na ekranie.

Na oko oba obrazy niczym się nie różniły.

Nałożył je na siebie, aby wychwycić różnice.

Zdawał sobie sprawę, jak zaawansowanej techniki komputerowej wymaga to proste na pozór zadanie.

Obraz wykonany z zastosowaniem podczerwieni miał rozdzielczość

rzędu piętnastu centymetrów, co oznaczało, że nie był na nim widoczny żaden przedmiot mniejszy od dziecinnej piłki.

Powszechne przekonanie, że satelita potrafi odczytać z wysokości stu pięćdziesięciu kilometrów numer rejestracyjny samochodu, było wierutną bzdurą.

Wyłapywanie takich szczegółów nie miało praktycznego znaczenia; rozdzielczość rzędu piętnastu centymetrów w zupełności wystarczała, żeby zidentyfikować obiekty wielkości samochodów, zwłaszcza wobec dostępności komputerowych technik powiększania obrazu.

Na każdą dziesiątą część metra kwadratowego fotografowanej powierzchni przypadają cztery piksele, czyli punkty o jednym z szesnastu odcieni szarości.

Na obszarze stu metrów kwadratowych było ich ponad trzysta tysięcy.

Powierzchnię dwóch kilometrów kwadratowych, którą obserwował właśnie Kearwin, pokrywało ponad sto milionów takich punkcików.

Każdy z nich należało porównać z odpowiadającym mu pikselem na wcześniejszym zdjęciu.

Było to niełatwe zadanie.

Wymagało dodatkowo uwzględnienia zmian temperatury między kolejnymi przelotami satelity.

Niektóre obiekty ochładzały się lub nagrzewały szybciej niż inne.

Odpowiednia analiza odcieni szarości na obrazie musiała skompensować te zmiany.

Nie był to zresztą najpoważniejszy problem.

Komputer musiał też brać pod uwagę różnice w ustawieniu kamery przy każdym przelocie - zdjęcia były robione z ukosa, a nie w pionie i pod różnym kątem, w zależności od toru lotu satelity.

Należało również uwzględnić zmiany obrazu, wynikające z topografii terenu.

Kearwin patrzył, jak komputer nakłada na siebie i zestawia oba zdjęcia.

Odpowiednio ściskając i rozciągając obraz dokładnie je dopasował, a potem zaczął porównywać.

Poszczególne kropki były powoli eliminowane.

Obraz stopniowo zanikał.

W końcu pozostały tylko dwie niewielkie plamki u góry ekranu i dwie w środku.

Kearwin polecił, by komputer sprawdził jeszcze raz, czy oba zdjęcia różnią się w istotny sposób.

Uzyskał odpowiedź, że rozbieżności są o sześćdziesiąt procent za duże, aby je pominąć.

Był to więc znaczący sygnał.

Kearwin wyświetlił ponownie na ekranie cały obraz, powiększając widoczne u góry plamki.

Poprawiwszy nieco kontrast zobaczył je wyraźnie.

Dwa pojazdy.

Były w tym miejscu tylko na pierwszym zdjęciu.

Wiedział już, co oznaczają plamki w centrum ekranu.

Znowu dwa pojazdy, tym razem tylko na drugim zdjęciu.

Z pewnością te same.

Kearwin zastanawiał się, dlaczego w ciągu półtorej godziny przejechały zaledwie czterysta metrów.

Znajdowały się teraz dwieście metrów od posterunku granicznego.

Znowu zabłyśło światło na konsoli.

Komputer przygotował już zdjęcie z ostatniego przelotu KH-12, na którym powinno być widoczne źródło ciepła, zarejestrowane przez satelitę PWSO.

Kearwin polecił zrobić odbitki dwóch wcześniejszych ujęć i powiększenia samochodów.

Zażądał również cyfrowego odczytu uzyskanych przy zastosowaniu podczerwieni termicznych charakterystyk obu pojazdów.

Potem wyświetlił najnowsze zdjęcie, zatrzymując w rezerwie dwa poprzednie.

Na monitorze pojawił się kolejny obraz.

Zobaczył jak na dłoni swoją "płonącą beczkę".

Wyglądało to na niezły pożar.

Najwyraźniej w składzie paliwa musiał nastąpić wybuch.

Jakiś dupek palił pewnie na warcie papierosa.

Banalna historia, pomyślał zdegustowany.

Zmniejszył kontrast, dopóki obraz prawie całkowicie nie ściemniał.

Teraz widoczne już było tylko samo miejsce pożaru.

Stopniowo znikaly mu z oczu nawet nagrzane obiekty, znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie ognia i na ekranie pozostało jedynie główne źródło ciepła.

Redukując kontrast do zera Kearwin miał wrażenie, że pożar wygasa.

Po chwili zaczął znowu rozjaśniać obraz.

Zwiększał sukcesywnie kontrast, każdorazowo o dwadzieścia procent, zlecając komputerowi wykonywanie odbitek i analizy termicznej.

Uzyskiwał w ten sposób informacje na temat obszaru w promieniu około stu metrów od ogniska pożaru.

O ile zdążył się zorientować, budynki posterunku nie były zagrożone.

Wystukał na klawiaturze polecenie zakończenia operacji i zaczął porządkować biurko, szykując się do wyjścia.

Dziesięć minut później, po krótkiej rozmowie z Sorensenem i

parafowaniu raportu na temat Al Ateer, był gotowy.

Zebrał odbitki i podszedł do biurka.

Obejrzy je następnego dnia, jeśli będzie miał czas.

Włożył wszystko do szuflady z bieżącymi materiałami przy swoim stanowisku.

W tym momencie zauważył, że monitor nadal jest włączony.

Zorientował się, że zamiast zakończenia operacji zlecił komputerowi porównanie zdjęć.

Musiał być już bardzo zmęczony.

Analiza zdjęć ośrodka w Al Ateer wymagała dużej koncentracji.

Nie powinien był zawracać sobie głowy tym cholernym pożarem.

Na ekranie pojawiło się zestawienie wszystkich trzech fotografii.

Zobaczył pożar - wielkie skupisko białych punktów, których nie było na dwóch pierwszych zdjęciach - oraz dwa poruszające się pojazdy, w postaci małych plamek u góry i na środku ekranu.

Co ciekawe, dostrzegł je również na trzeciej fotografii, tym razem niżej.

Oddalały się od płonącego posterunku.

Dlaczego?

Szybko sprawdził, o której satelita po raz pierwszy zauważył ogień.

Można to było stwierdzić z dokładnością do dziesięciu sekund.

Na ekranie została wyświetlona godzina: dokładnie 15.00 czasu wschodnioamerykańskiego.

W Iraku była wtedy dwudziesta druga.

Co do sekundy.

Nie wyglądało to na przypadek.

Czyżby sabotaż?

Marszcząc brwi, porównał godziny przelotów trzech satelitów KH.

Pierwszy, KH-11, zrobił zdjęcie o 20.13 czasu irackiego.

Drugi, również KH-11, o 21.48, a trzeci, KH-12, o 22.12, już w trakcie pożaru.

Kearwin zaczął porządkować zdobyte informacje.

O 20.13 dwa pojazdy znajdowały się niecałe sześćset metrów od granicy.

Przed 21.48 zbliżyły się do niej na odległość dwustu metrów.

O 22.12, po wybuchu pożaru, były pięćset metrów za posterunkiem.

Przestudiował informacje na temat obu pojazdów.

Były tego samego typu: niewielkie, o pudełkowatym kształcie.

Nie ciężarówki, tylko samochody.

Prawdopodobnie z napędem na cztery koła, wnosząc z fatalnego stanu drogi.

Zauważył jednak coś dziwnego.

Analiza spektralna wykazywała, że samochody miały włączone reflektory - można to było stwierdzić na podstawie rzucanych przez nie cieni, które wyglądały jednak jakoś dziwnie.

Przyjrzał się ponownie wynikom analizy.

Cienie były widoczne w paśmie podczerwonym, ale nie na krótszych falach, przy świetle widzialnym.

Pojazdy wyposażono w reflektory na podczerwień!

Coraz bardziej marszcząc brwi, Kearwin przyjrzał się dokładnie mapie całego obszaru.

Polna droga była na niej ledwo widoczna.

Tak jak przypuszczał, prowadziła przez kompletne pustkowia.

Powoli podniósł się z miejsca i podszedł do biurka Sorensena.

- Walterze, natrafiłem na coś dziwnego - oznajmił.

- Może chłopcy z Wydziału Operacyjnego w Langley potrafią nam to wyjaśnić.

Mógłbyś rzucić okiem?

Mors przeglądał właśnie raport Kearwina na temat skutków bombardowania ośrodka w Al Ateer.

- Chwileczkę, synu, daj mi skończyć - powiedział, przewracając ostatnią kartkę.

Doszedłszy do zawartych w podsumowaniu wniosków pokiwał głową, podpisał dokument i zawołał do jednego z chłopaków: - Peter, raport jest w porządku.

Każ go szybko przesłać do Sekcji Kontroli dla porównania z ich danymi.

Dobrze się spisałeś - powiedział do Kearwina.

- Bardzo szczegółowa analiza.

Ciekawe, jak wypadnie w zestawieniu z relacjami naocznych świadków.

Mówiłeś coś o CIA.

Co oni nabroili?

Podeszli razem do stanowiska Kearwina, który zaczął wyjaśniać: - Chodzi o ten pożar.

Coś mi nie grało, więc postanowiłem dokładniej zbadać sprawę.

Mors uśmiechnął się szeroko.

- Wiesz, John, co mi się w tobie podoba?

Walczysz do upadłego.

Nie lubisz przegrywać.

Nigdy się nie poddajesz, prawda?

Kearwin musiał przyznać mu rację.

Był w zasadzie spokojny i skromny, ale potrafił zaskoczyć swoim uporem i nieustępliwością ludzi, nie mających z nim częstszych kontaktów.

Nie rezygnował, dopóki nie znalazł odpowiedzi na nurtujące go

pytania.

Potrafił całymi dniami, a nawet miesiącami, pamiętać o nie wyjaśnionych sprawach, czekając na informacje, które rzucały nowe światło na nie rozwiązana jeszcze zagadkę.

Walter Sorensen wiedział o tym.

Dzięki swemu uporowi John wielokrotnie osiągał w pracy znaczące wyniki.

- Po prostu nie dawało mi to spokoju, Walterze.

Nic więcej - stwierdził.

- Zobacz - mówił dalej, wyświetlając na ekranie ostatnie z trzech zdjęć i mapę.

- To jest ten pożar, widzisz?

Zdjęcie zrobił KH-12 niecały kwadrans po ostrzegawczym sygnale od satelity PWSO.

Dokładnie o dziesiątej wieczorem miejscowego czasu zapalił się skład paliwa w pobliżu irackiego posterunku granicznego.

Dwadzieścia, może trzydzieści beczek benzyny, trochę nafty.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie ta godzina.

Punktualnie dwudziesta druga.

Nie wygląda mi to na przypadek.

Tu są zdjęcia z dwóch wcześniejszych przelotów KH-11.

- Kearwin wyświetlił je na monitorze, zlecając komputerowi wykonanie analizy porównawczej.

- Godzina 08.13 i 09.48.

Nie zwracaj uwagi na pożar, tylko te trzy pary plamek.

- Dwa pojazdy?

- zapytał Sorensen, obserwując wyłaniający się stopniowo obraz.
- Właśnie - przytaknął Kearwin.
- Dwa terenowe wozy, najprawdopodobniej z napędem na cztery koła.

Ale zwróć uwagę na czynnik czasu.

Sto minut przed pożarem są tutaj, około pięciuset metrów od posterunku.

- Kearwin wskazał plamki widoczne u góry ekranu.
- Dwanaście minut przed dziesiątą zbliżają się do niego na odległość dwustu metrów.

Potem, trzynaście minut po wybuchu pożaru, przekraczają granicę i są w tym miejscu.

A teraz spójrz tutaj.

- Kearwin rozłożył plansze z analizą spektralną cieni rzucanych przez światła samochodów.

- Nie mam całkowitej pewności, ale założyłbym się o dziesięć dolarów, że używają reflektorów na podczerwień, a nie zwykłych świateł.

Co by to oznaczało?

- Jeżeli się nie mylisz, na pewno coś ukrywają - stwierdził - Sorensen.

- Jeżeli...

- dodał z naciskiem, spoglądając na analizę spektralną.

W duchu przyznawał Kearwinowi rację.

Promieniowanie podczerwone.

Nie było co do tego wątpliwości.

- A ty jak uważasz?

- Dwa pojazdy zbliżają się nocą do granicy - zaczął Kearwin.

- Wysiada z nich kilku facetów.

Podkradają się do posterunku.

Samochody spokojnie czekają.

Kwadrans przed umówioną godziną zaczynają ostrożnie podejżdżać.

Dla odwrócenia uwagi Irakijczyków dokładnie o dziesiątej zostaje podpalony skład paliwa.

Korzystając z zamieszania nie oświetlone pojazdy przekraczają granicę i czekają po drugiej stronie, aby zabrać dywersantów.

Iraccy strażnicy prawdopodobnie w ogóle ich nie spostrzegli.

Nie widać żadnych oznak pościgu.

Ta ciężarówka nadal stoi w miejscu.

- Tak, to by się zgadzało - przyznał Sorensen.

- Tyle że łuna pożaru oświetlała drogę.

Ktoś mógł ich zauważyć.

- Mało prawdopodobne.

Strażnicy próbowali na pewno gasić ogień i byli bardzo zajęci.

Zresztą ciężarówka mogła zostać unieruchomiona.

Posłuchaj, Walterze.

Chciałbym dostać z Langley informację, czy mieli z tą sprawą coś wspólnego.

Moim zdaniem nic o niej nie wiedzą - na pewno by nas ostrzegli.

Albo kazaliby nam przynajmniej przymknąć oko na tamten rejon.

Nie wygląda mi to na ich robotę.

Chciałbym dostać zezwolenie na korzystanie z bazy danych E-8A.

Wiadomo, że rejon północy jest bez przerwy pod obserwacją.

Przydałyby się też zdjęcia z TR-1.

Chcę zobaczyć, co tam mają.

Może znajdę coś ciekawego.

- Zaraz, spokojnie - zaprotestował Mors.

- Za bardzo cię ponosi.

Zgoda, faceci przeskoczyli sobie przez granicę.

Nie mam tego biedakom za złe.

Nie zrobiłbyś tak samo na ich miejscu?

Wkrótce zostaną złapani.

Pewnie są niegroźni.

Pójdą prosto na policję i poproszą Saudyjczyków o azyl.

Bóg z nimi.

- Przepraszam Walterze, ale zapomniałem ci coś wyjaśnić -
powiedział Kearwin.

- Te zdjęcia są odwrócone.

U góry jest południe, a nie północ.

Mors rzucił mu zdumione spojrzenie.

- To znaczy, że...?

- Właśnie.

Ci faceci, kimkolwiek są, chcieli się dostać do Iraku, a nie uciekać
stamtąd.

Kto, u diabła, tak robi?

Należałoby się tego dowiedzieć.

Pozwól mi skontaktować się z Langley.

Walter Sorensen zmarszczył z powagą brwi.

- Tak - powiedział, skubiąc wąs.

- Kto porywałby się na takie szaleństwo?

- Przez kilka sekund oglądał z głębokim namysłem zdjęcie, po czym wycelował w ekran wskazujący palec i oznajmił: - Musimy się tego dowiedzieć!

37 Howard postanowił zatrzymać się dopiero wtedy, gdy odjadą możliwie daleko od granicy.

Na szczęście nie mieli trudności z odnajdywaniem drogi.

Rozwidlała się w wielu miejscach, było jednak oczywiste, że po żadnym z pozostałych traktów nie przejeżdżał ostatnio pojazd wielkości ciężarówki, którą widzieli obok posterunku.

Ustalając od czasu do czasu swoje położenie za pomocą odbiornika systemu nawigacji satelitarnej stwierdzili, że posuwają się we właściwym kierunku.

Droga zaczynała skręcać na północny wschód.

Miejscami nawierzchnia była mocno zniszczona, pełna głębokich dziur i kolein, Howard stwierdził jednak, że jedzie się po niej właściwie lepiej niż przewidywał.

MacDonald nie podzielał tego zdania.

Siedząc w tyle Land Cruisera podskakiwał przy każdym wstrząsie jak piłka.

Mruczał i klął pod nosem, próbując bez powodzenia ukryć skradzioną broń w takim miejscu, by o nic nie uderzała.

Po dwudziestu minutach zrezygnował i uznał, że będzie o wiele bezpieczniej, jeśli granaty oraz pociski RPG pozostaną w skrzyniach, zamiast walać się po podłodze samochodu.

Doszedłszy do tego wniosku zaczął zakładać zrobione przez Ackforda tłumiki.

Przykręcił je do trzech karabinów AKMS, zapierając się nogami o dach wozu, nie próbował jednak nawet mocować zacisków z otworami do odprowadzania gazów, bo zadanie to wymagało większej precyzji.

Było zresztą zbyt ciemno.

Zastanawiał się, jak radzi sobie Usher, który miał do wykonania

analogiczne zadanie w drugim Land Cruiserze.

Siedzący za kierownicą Bourne pierwszy zobaczył słup sieci elektrycznej.

Zatrzymał samochód jakieś czterysta metrów przed nim.

- Linia wysokiego napięcia - oznajmił.

- Poczekaj.

Sprawdzę, gdzie jesteśmy - powiedział Howard.

Odczyt odbiornika GPS potwierdził ich przypuszczenia.

Przejechali prawie trzydzieści kilometrów.

- Możemy natknąć się na jakieś pojazdy - dodał Howard.

- Z mapy wynika, że jest tu skrzyżowanie z główną drogą, która biegnie wzdłuż linii wysokiego napięcia.

- Bourne wyłączył silnik i wysiadł z wozu razem z Howardem.

Po chwili dołączył do nich Ziegler, który jechał drugim Land Cruiserem.

- Myślicie, że podnieśli alarm?

- zapytał.

- Nie zauważyłem żadnego pościgu - odparł z namysłem Howard.

- Zniszczyłem antenę ich nadajnika, dzięki czemu zyskamy na czasie, gdyby próbowali przekazać jakąś wiadomość, a ty załatwiłeś tę ciężarówkę, więc nie mogliby nas ścigać, nawet gdyby chcieli.

Ale nie to mnie martwi.

- Wiem - stwierdził Ziegler.

- Rozglądałem się.

W powietrzu nie widać żadnego ruchu.

- Zdawali sobie sprawę, że w tym rejonie największe zagrożenie

stanowiły dla nich śmigłowce patrolowe.

Mi-24 Hind był niebezpieczną maszyną, o czym przekonali się na własnej skórze afgańscy mudżahedini w swej długiej walce z radzieckim okupantem.

Ten silnie uzbrojony i opancerzony śmigłowiec, prawie niemożliwy do zestrzelenia, został wyposażony w nowoczesny radar i optyczne urządzenia do wykrywania celów.

Wiedzieli, że Saddam dysponuje takimi maszynami.

Z niezrozumiałych powodów po wojnie w Zatoce pozwolono mu nadal z nich korzystać.

Używał tych śmigłowców głównie do tłumienia wszelkich przejawów buntu w górach Kurdystanu i wśród bagien południowej Mezopotamii.

Howard miał gorącą nadzieję, że nie stacjonują one w zachodnim Iraku.

Przypadkowa obecność śmigłowca Hind w tym bezludnym rejonie kraju musiałaby doprowadzić do wykrycia ich grupy.

Dwa pojazdy, jadące samotnie przez pustkowie w środku nocy, musiały wzbudzić zainteresowanie, i to byłby koniec.

Dotarłszy do głównej drogi na północy mieliby większe szansę, że nikt nie zwróci na nich uwagi.

- Nic się nie dzieje - stwierdził Howard.

- Ruszajmy.

Chciałbym, o ile będzie to możliwe, minąć przed północą Ar-Rutba.

Osiemnaście kilometrów dalej Howard znów się zatrzymał.

Dotarli właśnie do głównego skrzyżowania, gdzie mieli skręcić na

północ do Ar-Rutba.

Zjechali z drogi do płytkiego wadi, aby MacDonald i Usher mogli ukryć broń.

Granatnik RPG-7 umieścili pod materacem na noszach w pierwszym pojeździe.

Rozciąwszy materac nożem MacDonald wsunął do niego pociski.

Schowki na rękawiczki były pełne granatów, a pod każdym fotelem leżał AKMS ze złożoną kolbą i przykręconym tłumikiem.

- Kto mi pożyczycy otwieracz do konserw?

- zapytał Ackford.

- Mam ochotę na te wielkie rosyjskie sardynki.

Przez dziesięć minut otwierali piłką do metalu ciężkie żelazne pojemniki, zawierające po siedemset sztuk amunicji do AK, 7,62 x 39 mm.

Każdy z mężczyzn wziął sześć magazynków z trzydziestoma nabojami, a pozostałe schowali pod nosze.

Wyrzuciwszy puste skrzynie i pudełka do wadi sprawdzili jeszcze raz, czy szosą nic nie jedzie i wyruszyli w drogę.

Od skrzyżowania szosa prowadząca na północ do Ar-Rutba była odrobinę lepsza.

Po dalszych pięćdziesięciu kilometrach poprawiła się bardzo wyraźnie.

Dotarli dość szybko do głównego rozjazdu w kierunku lotniska na południu Ar-Rutba.

Lotnisko znajdowało się piętnaście kilometrów na wschód, a droga łącząca je z miastem miała miejscami szutrowaną nawierzchnię.

Howard odetchnął z ulgą.

Zdjęli gogle noktowizyjne i włączyli reflektory.

Nadeszła pora, by ich wozy wyglądały jak prawdziwe ambulanse.

Dopiero dwanaście kilometrów przed Ar-Rutba dostrzegli pierwsze ślady obecności ludzi.

Drogą jechały w ich kierunku cztery pojazdy.

Nie mogli uniknąć spotkania.

- To chyba żołnierze - mruknął Howard.

- Co robimy?

- zapytał Bourne.

- Błyśnij światłami, zatrąb parę razy, pomachaj im i rzuć jakiś patriotyczny okrzyk po arabsku.

Bourne zastosował się do jego wskazówek.

Pasażerowie czterech pędzących w przeciwnym kierunku pojazdów prawie nie zwrócili na nich uwagi.

Kiedy przejeżdżali obok, MacDonald dostrzegł przez moment zubożniałe, posępne twarze, szczelnie osłonięte kapturami przed zimnem.

- Cholera, to Land Rovery - mruknął Howard.

- Może wiozą strażników na lotnisko.

W każdym razie dobrze wiedzieć, że chyba nikt nas nie poszukuje.

W oddali ukazały się nagle światła Ar-Rutba.

Miasto wyglądało na opustoszałe.

Odcięto dopływ energii i Howard domyślił się, że jedyny jasno oświetlony obszar, widoczny na wschodzie około półtora kilometra od drogi, to obiekt wojskowy z własnym zasilaniem.

Kiedy przejeżdżali przez wyludnione miasto, usłyszał za sobą ogłuszający ryk silnika.

Ackford sprawdzał działanie dźwigni wyłączającej tłumik.

Howard uśmiechnął się w duchu.

Słyszając ten hałas nikt by nie odgadł, że oto grupa zamachowców próbuje przejechać niepostrzeżenie przez terytorium Iraku.

Pierwszą główną arterią, do której dotarli, była droga numer 10, stara

autostrada z Bagdadu do Jordanii.

Wjechali na nią skręcając w lewo, a półtora kilometra za miastem odbili w prawo na szosę do Kirkuk, prowadzącą obok baz lotniczych o tajemniczych nazwach H2 i H1.

Po przebyciu trzech kilometrów, gdy wydawało im się już, że wszystko idzie gładko, natrafili na pierwszą przeszkodę.

Drogę przegradzały szczątki zwalonego mostu.

Najwyraźniej nikt nie próbował ich nawet usuwać.

Wielkie bloki betonu leżały tam, gdzie upadły, a biegnąca górą autostrada prowadziła w przepaść.

Przejazd blokował spalony wrak wielkiej ciężarówki, której kierowca zapewne nie zauważył, że nie ma przed sobą mostu.

- Cholera - zaklął Howard.
- Widzisz jakiś objazd, Johnny?
- Musi gdzieś tu być.

To główny szlak przerzutu towarów z Jordanii do objętego sankcjami Iraku.

- Gdy to mówił, zobaczyli na autostradzie u góry światła zbliżającego się od zachodu pojazdu.

Światła zniknęły, gdy pojazd skręcił i zaczął zjeżdżać po skarpie.

Widzieli, jak mija rumowisko za spaloną ciężarówką, a potem pnie się z powrotem na autostradę i rusza dalej na wschód, w kierunku Bagdadu.

- W porządku - powiedział Howard.
- Zawróćmy i spróbujmy ominąć ten bałagan.

Pięć minut później wjechali na skarpe, przecięli autostradę i

znalazłszy się po jej drugiej stronie kontynuowali jazdę do Kirkuk.

- Myślisz, że ten most zniszczyła bomba?

- zapytał MacDonald.

- Raczej kilka bomb - odparł Bourne.

- Podczas wojny w Zatoce nazywano tę autostradę Aleją Scudów.

Jeździły po niej wyrzutnie, wystrzeliwując pociski w pobliżu mostów i wiaduktów, takich jak ten.

Potem pozostawiano w widocznym miejscu makiety wyrzutni, a prawdziwe ukrywano pod mostami, żeby nie zniszczyły ich bombowce.

Alianci dość długo nie mogli się w tym połapać.

Mam nadzieję, że kiedy ten most runął, był pod nim jakiś Scud.

Howard przyglądał się uważnie mapie.

- Baza lotnicza H2 jest jakieś czterdzieści kilometrów stąd.

Na rozwidleniu dróg jedź się do niej w lewo.

Odbijemy więc w prawo, minimy stację benzynową i zostawimy bazę z boku.

Skrecając za stacją znowu w prawo wrócimy na główną drogę.

- Dlaczego ta baza nazywa się H2?

- zapytał MacDonald.

- Nie wiem - odparł Howard.

- Tak jest napisane na mapie.

Zbliżając się do bazy napotkali kolejne pojazdy.

Bourne, tak jak poprzednio, nacisnął na klakson i pomachał ręką.

Nie zwracano na nich uwagi.

Najwyraźniej obecność dwóch ambulansów na drodze nikogo nie dziwiła.

Howard domyślał się, że niewielu Irakijczyków, nie wyłączając wojskowych, wiedziało naprawdę, co robią inni i gdzie powinni być, nawet o tak późnej porze.

Z pewnością żadna z napotkanych dotąd osób nie zainteresowała się, kim są.

W Iraku mogła obowiązywać godzina policyjna, Howard miał jednak

nadzieję, że ambulansom na syrenie nikt nie odmówi prawa przejazdu.

Obraz zniszczeń, który widzieli wokół siebie, robił posępne wrażenie.

Na horyzoncie zamigotały światła bazy H2.

- OK, Johnny - powiedział Howard.

- Kiedy skręcimy w prawo w kierunku stacji benzynowej, włącz znowu światła na dachu.

Nie wiadomo, co zastaniemy na tej stacji.

Może być strzeżona.

Środki ostrożności okazały się zbędne.

Stacja przypominała opuszczone rumowisko.

Droga była zryta bombami.

Bourne w ostatniej chwili zauważył przed sobą lej.

Był na tyle głęboki, że mogli stracić koło i zniszczyć przednie zawieszenie wozu.

- Niewiele brakowało - mruknął, natychmiast zwalniając.

-Zdaje się, że alianci odwalili tu kawał solidnej roboty.

- Wszystko naokoło jest rozpieprzone - zauważył MacDonald.

- Chyba nic już w tym kraju nie funkcjonuje.

- Nie mów hop - stwierdził Howard.

- Wracamy teraz na szosę.

Będziemy znowu przejeżdżać dość blisko bazy.

Należy mieć nadzieję, że nie ma tam zbyt dużego ruchu.

Okrążyli bazę, trzymając się od niej jak najdalej.

Znowu zobaczyli przed sobą światła.

- Pas startowy jest oświetlony - zauważył Bourne.

- Loty wojskowych maszyn są oficjalnie zakazane.

Jak myślisz...

Usłyszeli nagle ogłuszający ryk i tuż nad nimi zamigotały światła podchodzącego do lądowania potężnego transportowca.

Wszyscy trzej instynktownie pochylili głowy, a potem zakleli, że dali się tak zaskoczyć.

- Cholera!

- krzyknął Bourne.

- Co to było?

- Duży transportowiec - odparł Howard.

- Nie zauważyłem jaki.

Większy niż C-130.

Może Antonow?

Nie wiem.

- Wpatrywał się w światła lądującego samolotu.

- Nie czekajmy w każdym razie, żeby to sprawdzić.

Zaraz skręcamy w prawo.

- Przypomnij mi, kiedy wrócimy do domu, żebym złożył skargę w ONZ - powiedział Bourne.

- Powinni dopilnować, żeby Saddam przestrzegał ich rezolucji.

OK, jest skrzyżowanie.

Skręcili na rozwidleniu w prawo i wrócili na szosę.

- Do H 1 zostało niecałych pięćdziesiąt kilometrów - oznajmił Howard.

-Jeśli wszystko dobrze pójdzie, powinniśmy tam dotrzeć w ciągu godziny.

Około 1.45.

Dalsza część drogi była prosta.

O ile mogli się zorientować, jechali przez bezludną okolicę, pokrytą kamieniami i żwirem pustynię z nielicznymi kępami niskich zarośli.

Mijając po drodze jedynie pojedyncze pojazdy szybko posuwali się naprzód.

Piętnaście kilometrów przed bazą Howard zarządził postój.

Zjechali z drogi i wygasili światła.

- Można by uzupełnić paliwo - stwierdził, po czym założył ponownie gogle noktowizyjne, by zlustrować horyzont.

Niczego nie zauważył.

W każdym baku zmieściły się prawie trzy kanistry paliwa.

Wyrzucili puste zbiorniki, zadowoleni z uzyskanej w ten sposób dodatkowej przestrzeni z tyłu wozu.

Howard obejrzał jeszcze raz horyzont, po czym wyjechali z powrotem na drogę.

Wkrótce zobaczyli przed sobą światła bazy H1.

- Przy odrobinie szczęścia powinniśmy spokojnie tamtędy przejechać
- powiedział Howard.

- Droga jest dość prosta i...

Nagle o jakieś pół kilometra przed nimi pojawiło się na szosie migające światelko, a zaraz potem kilka następnych.

- Włącz syrenę, Johnny!

- krzyknął Howard.

- I światła też!

Będę z Dannyem z tyłu.

- Przeskoczył przez fotel i założył pośpiesznie biały fartuch.

Danny leżał już na noszach, przykrywając się kocem.

- OK, Danny, czas na kapsułkę.

Przegryź ją, kiedy ci powiem.

Zamknij oczy i głośno jęcz.

W drugim samochodzie Ziegler instruował w podobny sposób leżącego na noszach Ushera.

Syreny obu ambulansów wyły przeraźliwie w ciemnościach.

Ackford zwiększył jeszcze zamieszanie, wyłączając tłumik.

Oba pojazdy zatrzymały się z piskiem opon przed ustawioną na drodze blokadą.

Bourne wyskoczył z wozu, energicznie gestykulując i paplając coś po arabsku do nadbiegających żołnierzy.

Przyczepił się do oficera i nie dając mu dojść do słowa, zaciągnął go w kierunku ambulansu.

- Teraz, Danny - szepnął Howard do ucha MacDonaldowi w

momencie, gdy otworzyły się tylne drzwi karetki.

Danny przygryzł mocno kapsułkę i zaczął przekonująco jęczeć.

Kapsułka jakby eksplodowała mu w ustach.

Poczuł, że zbryzguje mu piersi jaskrawoczerwona ciecz.

Próbował zamknąć usta, ale ciecz nadal z nich wypływała.

Jęknął jeszcze raz.

Kiedy oficer podszedł z Bourne'm do ambulansu, Howard mruzczał coś do siebie pod nosem.

Gdy otwarto drzwi, odwrócił się i wyrecytował jeden z dwóch tekstów, których wyuczył go Bourne.

Zabrzmiało to tak, jakby mówił płynnie po arabsku.

- Zamknij drzwi, idioto!

- wrzasnął z wściekłością.

- Nie widzisz, że ten człowiek jest ciężko ranny?

Jeżeli twoi ludzie nie zejną nam z drogi, będziesz odpowiadał za jego śmierć!

Widok krwi buchającej z ust pacjenta i gwałtowna reakcja "lekarza" zbiły oficera z tropu.

Cofnął się, zatraskując drzwi.

Ale Bourne nie popuścił.

Mówiąc bez przerwy zaprowadził go do drugiego ambulansu, z którego dochodziły jakieś krzyki.

Otworzywszy drzwi przyciągnął oficera bliżej, aby ten zajrzał do środka.

Ziegler, w białym fartuchu i z zawieszonym na szyi stetoskopem, próbował z ogniem w oczach przytrzymać na noszach wrywającego się i

krzyczącego Ushera.

Spod koca wystawała ociekająca krwią lewa noga pacjenta.

W połowie goleni sterczała przerażająco z poszarpanej rany biała kość.

Z okaleczonej kończyny zwisał luzem duży kawał mięsa.

Oficer miał już tego dość.

Nie mógł zebrać myśli z powodu przeraźliwego wycia syren i hałasu dobywającego się z uszkodzonej rury wydechowej drugiego ambulansu, którego kierowca o wyglądzie szaleńca naciskał z upodobaniem pedał gazu.

Uwolniwszy się od człowieka, krzyczącego mu bez przerwy do ucha, oficer zaczął biec.

Dawał energiczne znaki swoim ludziom, rozkazując im głośno, by odblokowali drogę i przepuścili ambulanse.

Bourne wrócił do samochodu i stanąwszy w pełnym świetle reflektorów krzyczał jak opętany, poganiając żołnierzy.

- Żebyś tylko nie przedobrzył, Johnny - mruknął Howard, obserwując poczynania Bourne'a.

Usunięto pośpiesznie blokującą drogę samochody.

Bourne wskoczył z powrotem za kierownicę i wóz z piskiem opon ruszył z miejsca.

Drugi ambulans podążył za nim.

Hałas z rury wydechowej był ogłuszający.

Gdy mijali żołnierzy, Bourne nadal wrzeszczał i biadolił, wystawiając głowę przez okno.

Kontynuował to przedstawienie, dopóki nie zniknęli za zakrętem,

odjechawszy około trzystu metrów od blokady.

Trzy kilometry dalej wyłączył syrenę i błyskające światła.

Ackford zrobił to samo w drugim ambulansie, włączając równocześnie tłumik.

- Dzięki Bogu - powiedział z ulgą Bourne.

- Ta cholerna syrena doprowadzała mnie do szału.

Nie wspomnę o hałasie z rury wydechowej...

Dobrze się czujesz, Danny?

- Owszem - odparł MacDonald.

- Przynajmniej tak mi się wydaje - dodał z przekąsem.

- Co było w tej pieprzonej kapsułce?

Wszystko jest upaprane na czerwono.

- Płyn musujący, kolego - odparł Howard.

- Dostępny w każdym sklepie z akcesoriami dla kawalarzy.

W drugim ambulansie Usher zdejmował z nogi plastikową "ranę" razem z wystającą "kością", a Ziegler wycierał szmatą "krew".

- Może następnym razem spróbujemy zrobić numer z żołądkiem,
Bob - zaproponował Ziegler.

- Chętnie wylałbym ci na brzuch słoik kozich podrobów za to, że tak się ze mną szarpałeś.

Szkoda byłoby wieść je aż z Badanah i nie zrobić z nich użytku, nie uważasz?

- Ja mam już dość - stwierdził Usher.

- Teraz kolej na Acka.

- Uprzejmie dziękuję - odparł Ackford, żując z zadowoleniem gumę.

- Wolę siedzieć sobie za kierownicą.

38 John Kearwin miał pełne ręce roboty.

Ustalił szybko z Walterem Sorensenem, że należy zacząć od sprecyzowania priorytetowych zadań.

Ściśle biorąc Narodowe Biuro Zwiadu zajmowało się kierowaniem satelitami i interpretowaniem dostarczanego przez nie materiału zdjęciowego.

Dyrektor biura podlegał bezpośrednio Sekretarzowi Obrony, Dickowi Cheneyowi, ale nie miał wolnej ręki w wyborze zadań.

Przydziałała je CIA, decydując o tym, jakie obiekty mają obserwować satelity i cały aparat wywiadowczy.

Sorensen odbył rozmowę z dyrektorem NBZ, Martinem Fagą.

Ponieważ w Iraku była właśnie noc i niewiele się tam działo, Faga dał mu siedem godzin na zdobycie jakichś informacji.

- Masz czas do 06.00 czasu irackiego, Walterze - powiedział Faga, zaintrygowany całą sprawą.

- Czyli do 23.00 czasu wschodnioamerykańskiego.

Jeśli do tej pory niczego nie odkryjecie, będziemy niestety musieli powrócić do normalnych dziennych operacji.

Choć nie zostało to głośno powiedziane, Faga miał nadzieję, że Sorensen i jego ludzie natrafią na jakiś ślad.

Gdyby odkryli coś, czego nikt inny nie zauważył, wzmocniłoby to pozycję NBZ.

CIA z pewnością nie wiedziała nic o grupie, która wtargnęła na teren Iraku.

Fakt, że NBZ pierwsze wpadło na jej trop, stanowił już duży sukces.

Budżet Biura był zagrożony.

Planowano zmniejszyć go w 1993 roku o osiemnaście procent.

Wykrycie poważnego spisku stanowiłoby mocny argument przeciwko grożącym redukcjom.

- Dziękuję, panie dyrektorze - powiedział Sorensen.

- Czy oprócz satelitów KH mogę włączyć do akcji samoloty JSTARS?

Faga zastanawiał się przez chwilę.

- Dobrze.

Zgoda.

Załogi nie będą chyba miały nic przeciwko temu.

Ale pamiętaj, ile musimy płacić tym facetom.

Dwa samoloty E-8A JSTARS sprawdziły się podczas wojny w Zatoce.

Zaczęto z nich korzystać w ostatniej chwili.

E-8A JSTARS były dla wojsk lądowych tym, czym E-3 AWACS dla lotnictwa.

Ich aparatura radarowa mogła wykryć ruch pojazdów w odległości do trzystu kilometrów.

W odróżnieniu od samolotu AWACS, który miał wielki obracający się dysk na górze, JSTARS wyposażony był w podwieszoną pod kadłubem dużą gondolę.

Znajdował się jeszcze w stadium eksperymentów, jako wypróbowywany dopiero prototyp, kiedy dostrzeżono nagle jego potencjalną przydatność i wysłano pospiesznie w rejon Zatoki dwie maszyny, których załogi stanowili cywilni naukowcy.

Dostawali oni bardzo wysokie wynagrodzenie.

Okazało się, że nie były to wyrzucone pieniądze.

Oba samoloty JSTARS pozostały w rejonie Zatoki w celu kontrolowania sytuacji i nadal obsługiwali je głównie cywile.

Kearwin otrzymał na początek instrukcje, by przydzielić załodze JSTARS rejon obserwacji, polecając zlokalizować i śledzić dwa pojazdy, które minęły posterunek graniczny.

Okazało się to stosunkowo prostym zadaniem.

Obszar, który mieli obserwować, był praktycznie opustoszały i samolot szybko odnalazł poszukiwane obiekty, sześćdziesiąt kilometrów na południe od Ar-Rutba.

Znając przybliżoną prędkość pojazdów i trasę, którą jechały, Kearwin określił orbitę przelotu KH-12.

Był to ten sam satelita, który wykonał zdjęcie pożaru posterunku

granicznego o godzinie 22.12 czasu irackiego.

Komputer włączył hydrazynowy napęd i o 23.41 KH-12 opadł w dół na wysokość stu pięćdziesięciu kilometrów, a jego kamery pracowały z maksymalną prędkością.

Zanim satelita przeleciał nad wskazanym rejonem, załoga JSTARS doniosła, że oba pojazdy zbliżają się do miasta Ar-Rutba, minąwszy po drodze cztery podobne samochody jadące na południe, czyli w przeciwnym kierunku.

Kearwin porównał oba czasy i lokalizację miejsca.

O 23.47 na jego wielkim ekranie pojawił się obraz.

Dziękował szczęśliwym gwiazdom, że noc była nadal bezchmurna.

Ponieważ satelita "odskoczył" z orbity niemal do połowy wysokości lotu, zdjęcie pojazdów było o wiele wyraźniejsze niż poprzednie.

Na lepszą jakość fotografii nie mógł już liczyć.

Nastawił ostrość i włączył program optymalizacji obrazu.

Analiza cieni wykazała, że samochody używały teraz normalnych świateł, a nie reflektorów na podczerwień.

To by się zgadzało, pomyślał.

Obecność innych pojazdów prawdopodobnie wszystko wyjaśniała.

Samochody jadące po szosie bez widocznego oświetlenia przyciągałyby tylko uwagę.

Sprawdziwszy to, co chciał, Kearwin przekazał obraz do pamięci komputera, zachowując go jako wzorzec do przyszłych porównań.

Na razie wszystko szło gładko.

Ułatwiali mu zadanie.

Bezludna okolica, żadnych innych poruszających się obiektów...

Ale co będzie, kiedy przystaną, albo napotkają inne pojazdy?

Jakie ci ludzie mieli zamiary?

A co ważniejsze: kim byli i skąd się wzięli?

Kearwin uznał, że na razie nie może zrobić nic więcej, aby nie stracić ich z oczu.

Kluczową rolę miała do odegrania załoga JSTARS.

Jeśli pojazdy im się wymkną, pozostanie tylko nadzieja, że zdoła odnaleźć je znowu na zdjęciach satelitów KH-11 lub KH-12.

Przywołał jednego z kolegów i wyjaśnił mu sytuację.

- Jeny, chcę żebyś obserwował przez cały czas rozwój sytuacji.

- Jerry Freedman był starszym asystentem II grupy.

- Mamy teraz dobre wzorcowe zdjęcie tych pojazdów.

Korzystaj z niego.

KH-11 będzie przelatywał każdorazowo na rutynowej wysokości, ale od KH-12 chcę mieć zdjęcia z "odskoku".

Walter mówi, że w razie potrzeby możemy ściągnąć drugiego KH-12.

Daj mi znać, gdyby te pojazdy wjeżdżały do jakiegoś dużego miasta albo na ruchliwą drogę.

Wtedy skorzystamy z dodatkowego satelity.

Freedman przejął śledzenie pojazdów.

Peter Stannard, młodszy asystent III grupy, zajmował się raportami JSTARS i przekazywał dane Jenyemu.

Chłopak dobrze sobie z tym radził.

Jeszcze inny młody współpracownik Kearwina pilnował wydruków, a Jim Morton, również asystent II grupy, rejestrował szczegółowo przebyta przez pojazdy drogę.

Jim był dokładny i pedantyczny.

Nadawał się idealnie do tej roboty.

Wszystko było na swoim miejscu.

Nadeszła pora, żeby poszperać trochę w materiałach z archiwum.

Pracując w pojedynkę Kearwin zaczął przeglądać dane, dostarczone przez satelity Keyhole podczas ich poprzednich przelotów.

Na tysiącach kilometrów znajdujących się w archiwum taśm zarejestrowano rutynowe przekazy obrazów satelitarnych z różnych części świata.

Możliwość porównywania starych i nowych zdjęć stanowiła jeden z najważniejszych atutów w pracy Narodowego Biura Zwiadu.

Należało tylko odszukać właściwy materiał.

Kearwin przyjrzał się mapie, nastawiając obraz tak, by widzieć północno-zachodni rejon Arabii Saudyjskiej.

Zaznaczył na ekranie współrzędne posterunku granicznego i miejsca późniejszych obserwacji pojazdów.

Na monitorze pojawiły się świetlne punkty, z podaną obok datą i godziną.

OK. Podróż z granicy do Ar-Rutba trwała niecałe dwie godziny.

Pojazdy trzymały się dość wyraźnie oznakowanej trasy.

Spojrzał na sieć dróg na południe od granicy, po stronie saudyjskiej.

Jeśli korzystali z głównych szlaków, mogli przyjechać z dwóch kierunków: z Turaif, leżącego na zachodzie, w pobliżu granicy z Jordanią, albo z Al Mira, które sprawiało wrażenie niezbyt ciekawego miejsca.

Tak czy inaczej, biorąc pod uwagę prędkość, z jaką się poruszali, musieli pokonywać jedną z tych tras co najmniej na godzinę przed 20.13, kiedy to zauważono ich w pobliżu granicy.

Co pokazywał przekaz satelitarny około godziny 19.13?

W ciągu siedmiu minut uzyskał odpowiedź na to pytanie.

Korzystając z zapisanej w pamięci wzorcowej fotografii, komputer sprawdził ogromne ilości danych z dwóch przelotów KH-11 o 19.17 oraz 19.35 i pokazał mu zdjęcie samochodów, które o 19.35 znajdowały się piętnaście kilometrów na północ od Al Mira.

Obraz nie był zbyt wyraźny, ale nie dostrzegłszy w okolicy żadnych innych pojazdów, Kearwin nie miał wątpliwości, że odkrył to, o co mu chodziło.

A więc dobrze.

Skąd przyjechali?

Na przełaj przez pustynię, czy wzdłuż rurociągu?

Odrzucił na razie pierwszą wersję i polecił komputerowi zbadać fotografie autostrady biegnącej wzdłuż rurociągu.

Jak należało się spodziewać, znów ich zobaczył.

O 19.04 jechali drogą z Ar 'ar.

Dziesięć minut później Kearwin mógł po raz pierwszy mówić o dużym szczęściu.

Na zdjęciu z KH-11 ujrzał oba pojazdy w momencie, gdy wyjeżdżały z bazy pod Badanah, w pobliżu Ar 'ar.

Poprzednia fotografia różniła się tylko jednym szczegółem.

Na drodze okrążającej bazę stał dwusilnikowy samolot.

Standardowa charakterystyka porównawcza obrazu wykazała, że jest to Britten-Norman Islander.

Kearwin sprawdził jeszcze materiał z wcześniejszego przelotu satelity, z poprzedniego dnia.

Samolotu nie było w bazie, ale stał o kilka kilometrów dalej, na

płycie lotniska w Arar.

Kearwin oparł się o poręcz krzesła i przetarł oczy.

W Iraku była godzina 00.45, a w Waszyngtonie 17.45.

Pracował już prawie dwanaście godzin.

Czuł się zmęczony.

Pomyślał o tym, co odkrył i zaświtał mu pewien pomysł.

Wstał i podszedł do biurka Sorensena.

- Posłuchaj, Walterze - powiedział.

- Czy nie moglibyśmy poprosić Langley o pomoc?

- Wyjaśnił, do czego doszedł.

- Może dowiedzą się czegoś o tym samolocie i barakach.

Wygląda mi to na bazę budowlaną.

Powinni być w stanie zidentyfikować tę maszynę i dowiedzieć się, skąd przyleciała.

Mors poskubał z namysłem wąs i pokręcił głową.

- Spróbuję to dla ciebie zrobić, John, ale wątpię, żebyśmy doszli do czegoś przed wyznaczonym przez dyrektora terminem.

Zostało nam około pięciu godzin.

Zastanów się.

Jeżeli nawet chłopcy z Langley zechcą nam pomóc, pozostaje kwestia czasu.

Na Bliskim Wschodzie jest już po północy.

Myślisz, że będą w stanie wyciągnąć z łóżka saudyjskiego kontrolera lotów, żeby wypytywać go o jakiś pieprzony samolot, o którym prawdopodobnie nigdy nie słyszał?

Nie widzę szans.

Najlepiej zrobisz przeglądając dalej materiały z archiwum.

Sprawdź to lotnisko.

Zobacz, ile przyleciało tam maszyn.

Przypuszczam, że niewiele.

Może samoloty AWACS coś zarejestrowały.

Kearwin jęknął w duchu na myśl o perspektywie grzebania w archiwach AWACS.

Zastanawiał się, jak rozwiązać ten problem.

Prawdopodobnie nie miał innego wyjścia.

Samolot był kluczem do całej sprawy.

A więc jak długo tam stał?

Mógł to łatwo sprawdzić, korzystając z bardziej dostępnych danych satelity Keyhole.

Należało przejrzeć po jednym zdjęciu z kilku dni wstecz, powiedzmy z godziny 18.00.

Nic trudnego.

Zaczął wystukiwać na klawiaturze odpowiednie instrukcje.

Pół godziny później zauważył, że przed siedemnastym kwietnia samolot stał w nieco innym miejscu.

Zapewne odbył jednodniową wycieczkę.

Czy nie należało zajrzeć do archiwów AWACS?

Nie, jeszcze nie teraz.

W końcu samolot nadal tam był.

Zaczekał parę minut, dopóki na ekranie nie pojawiły się zdjęcia z przelotów satelity Keyhole z kilku poprzednich dni.

Na fotografii z 12 kwietnia samolotu już nie było.

Na dwóch wcześniejszych także.

W porządku.

A więc musiał przylecieć trzynastego.

- John?

- Do Kearwina podszedł Jim Morton, który przerwał pracę, aby sprawdzić rozkład lotów na lotnisku w Ar'ar.

- Mają tam bardzo niewiele stałych połączeń.

Cztery loty w tygodniu do Rijadu, jeden do Dżuddy.

Sprawdziłem w bazie danych.

Nie ma prawie żadnych informacji o tym miejscu.

To pewnie tylko małe lądowisko przy autostradzie.

- Dzięki, Jim - odrzekł Kearwin.

Właściwie niewiele się dowiedział, ale miał już przynajmniej pojęcie, czego szukać w rejestrach AWACS - jeśli w ogóle mieli jakieś dane z tego dnia.

Postanowił zlecić komuś to zadanie i powrócić do obserwowania bieżących wydarzeń.

W Iraku dochodziła 01.45.

Dokąd ci faceci dojechali?

Podszedł do stanowiska Jerry'ego.

- John, ci z JSTA

RS zgubili ich w korku na drodze!

- Młody Peter Stanard był wyraźnie zdenerwowany.

- OK.

Kiedy to się stało?

- Dopiero co, przed minutą!

Samochody stanęły, szosa jest zablokowana, prawdopodobnie przez inne pojazdy.

Nie mają pewności, co się tam dzieje.

- Powiedz im, żeby obserwowali to miejsce, dopóki nie zauważą jakiegoś ruchu.

Może trafili na blokadę drogi, czy coś takiego.

Jeśli nie ruszą z miejsca, nasze zadanie będzie skończone.

Kearwin westchnął, dochodząc do wniosku, że będzie musiał sam sprawdzić dane AWACS.

Myślał o tym z niechęcią, gdyż zabierało to więcej czasu niż uzyskiwanie archiwalnych informacji z przekazów satelity Keyhole.

Bazy danych AWACS wymagały stawiania precyzyjnych pytań.

Nie wystarczyło po prostu powiedzieć: "Proszę o dane na temat wszystkich niewielkich samolotów, które 13 kwietnia przylatywały lub

odlatywały w dowolnym kierunku z lotniska Ar "ar".

Należało podać dokładny kierunek lotu i typ maszyny.

Kearwin pomyślał, że już najwyższy czas unowocześnić ten system.

Potrzebował co najmniej trzydziestu minut, żeby wprowadzić do komputera wszystkie możliwe kierunki i uzyskać potrzebne informacje.

Ale nie mógł teraz odrywać Jerr'ego ani Petera od ich zadań.

Westchnąwszy jeszcze raz zaczął stukać w klawiaturę.

Już po kwadransie otrzymał odpowiedź.

Samolot pasujący opisem do Islandera został wykryty podczas rutynowego lotu AMftCS rankiem 13 kwietnia.

Leciał po kursie 035 stopni w kierunku Ar "ar".

Oczywiście nikt nie zwrócił wówczas na tę maszynę uwagi i AW44CS zlokalizował ją dopiero wtedy, gdy była już w powietrzu.

A więc dobrze.

Znał kurs Islandera.

Wprowadził tę informację do komputera i wyświetlił na ekranie mapę z trasą przelotu maszyny.

Na jej linii znajdowały się dwa lądowiska: Sakakah, zaledwie sto parę kilometrów od Ar "ar" i Al Wadż, na wybrzeżu Morza Czerwonego.

Postanowił sprawdzić najpierw to drugie miejsce.

Zapytał komputer o prawdopodobny czas startu maszyny, podając wyliczoną przez AWACS prędkość jej lotu.

Na ekranie pojawił się odczyt: 08.05.

Satelita KH-12 przelatywał nad Al Wadż o 07.43.

To Kearwinowi wystarczyło.

Wywołał zdjęcie z pamięci komputera.

Miał tym razem potrójne szczęście.

KH-12 "odskoczył" podczas owego przelotu na niewielką wysokość stu sześćdziesięciu pięciu kilometrów, zmierzając nad wyznaczony cel, Kirkuk.

Wykonane przy bezchmurnym niebie zdjęcie było dobrej jakości.

Co więcej, tuż obok widocznego na ziemi samolotu stał jakiś pojazd.

Kearwin przestał przejmować się zmęczeniem.

Dzięki doskonałej fotografii widział pojazd zupełnie wyraźnie.

Była to duża półciężarówka, prawdopodobnie z brezentową plandeką z tyłu.

Skąd się wzięła?

Przestudiowawszy mapę uznał na wyczucie, że nadjechała z południa, drogą wzdłuż wybrzeża - John?

- Pojawienie się Jerry'ego przerwało jego rozmyślenia.

- Chyba mamy problem.

Kearwin spojrzał na niego z niepokojem.

- Co się dzieje?

JSTARS nie przejął ich za blokadą?

- Nie o to chodzi.

Mamy ich.

Jadą dalej tą samą drogą.

Tyle tylko, że zbliżają się do miasta Hadita.

Właściwie są tam obok siebie trzy miasta, ale tę nazwę najłatwiej wymówić.

Jest jeszcze jakieś Benny-coś tam i Hackla-coś innego.

Wybraliśmy Haditę.

- Wymawiał tę nazwę błędnie.

- I co?

- dopytywał się Kearwin.

- Moim zdaniem mają trzy możliwości.

Mogą skierować się na północny zachód, ale ta droga prowadzi jedynie do syryjskiej granicy, więc pewnie tego nie zrobią.

Mogą pojechać na południowy-wschód, do Bagdadu.

Zastanawiałem się tylko, po co wybieraliby taką trasę?

Gdyby chcieli dotrzeć do Bagdadu, wybraliby główną autostradę, prawda?

- A jaka jest trzecia możliwość?

- zapytał Kearwin, rozważając jego słowa.

- Mogą kierować się dalej na wschód.

To oznacza, że musieliby przejechać przez Eufrat.

- I na czym polega problem?

- Mamy zdjęcie mostu.

Chodź zobaczyć, jak wygląda.

- Zbliżamy się do Al Hałanija, Johnny.

Zostało około ośmiu kilometrów.

- Howard wyłączył odbiornik GPS i z niepokojem obserwował drogę.

- Co robimy?

- Jedziemy na światłach, ale nie włączaj syren, chyba że będą jakieś komplikacje.

Za miastem skrećisz w lewo.

Pięć kilometrów dalej znajduje się Beni Dahir.

Jest tam duży most nad rzeką, prowadzący na drogę do Bajdzi.

- W porządku.

Dotarli do Al Hałanija o 02.30.

Miasto było opustoszałe.

Howard polecił wyłączyć pulsujące światła.

Skrećili na drogę do Beni Dahir i pokonawszy odległość pięciu kilometrów znaleźli się znowu w miasteczku.

Kiedy zjechali z płaskowyżu w dolinę nad rzeką, odczuli wyraźnie wzrost temperatury, chociaż nadal było chłodno.

Miasteczko otaczały drzewa, sady i pola.

Droga prowadziła wzdłuż zachodniego brzegu Eufratu.

Powietrze było o wiele wilgotniejsze niż na pustyni.

Przez okna wpadał do samochodu ostry zapach zwierzęcego i ludzkiego potu.

Howard zmarszczył z odrazą nos, ale zauważył, że Bourne oddycha z wyraźną przyjemnością.

- Most powinien być widoczny z prawej strony - oznajmił Howard, sprawdzając odczyt odbiornika GPS.

Znajdowali się w miejscu o współrzędnych 34 stopnie 6 minut szerokości geograficznej północnej i 42 stopnie 23 minuty długości wschodniej.

- Tak, to właśnie...

O cholera!

Bourne wcisnął hamulec, zatrzymując wóz.

Obserwowali w milczeniu widok, który ukazał się ich oczom.

Olbrzymi most leżał w gruzach.

Centralne przęsło runęło i tylko jeden jego koniec wystawał z wody.

Główny filar po drugiej stronie rzeki zawalił się na bok.

Między dwoma brzegami ziała przepaść o szerokości dwustu metrów.

- Są tu jakieś inne mosty, Ed?

- zapytał Bourne.

- Były.

Ale jak wynika z mapy trzy pozostałe są na pewno zburzone.

Pewnie ten zbombardowali na końcu.

- Więc co robimy?

- Następny most jest trzydzieści kilometrów w dół rzeki, tuż obok bazy wojskowej.

Wolałbym korzystać z niego tylko w ostateczności.

Może zresztą też został zbombardowany.

- A w górze rzeki?

- Jakies osiem kilometrów stąd jest wielka zapora hydroelektrowni.

Za nią ciągnie się jezioro i na odcinku sześćdziesięciu kilometrów nie ma już żadnego mostu.

- Moglibyśmy przejechać przez tę zaporę?

- Na pewno jest silnie strzeżona.

Poza tym widzisz w tej okolicy jakieś światła?

Wszędzie ciemno.

Założę się, że elektrownia też została zniszczona.

Moim zdaniem musi tu gdzieś być prowizoryczny prom, czy coś takiego.

Jedź powoli, a ja będę się rozglądał.

Jeżeli niczego nie znajdziemy, pojedziemy w kierunku zapory.

O kilometr dalej Howard zauważył pontonowy prom.

Zatrzymali się i wyłączyli światła.

Po chwili dołączył do nich Ziegler.

Obejrzelі wspólnie prom przez lornetkę.

Wyglądał na opuszczony.

- Ktoś musi go obsługiwać - mruknął Ziegler, biorąc do ręki karabin.

- Chyba muszę tego faceta obudzić.

Dziesięć minut później Ziegler dał im znak latarką i oba Land Cruisery zjechały ostrożnie po błotnistym zboczu na pomost.

Ziegler skierował je wprost na duży, kołyszący się na wodzie ponton.

Sam klęczał na pomoście, przyciskając kolanem pierś rozbudzonego już na dobre irackiego kaprala, któremu wetknął między zęby tłumik AKMS.

Howard i jego ludzie wysiedli z samochodów.

- To kapral Abdul - powiedział Ziegler swobodnym tonem.

- Zabierze nas na wycieczkę przez Eufrat.

Prawda, Abdul?

- Ziegler wyszczerzył zęby do Irakijczyka, który nie rozumiał ani słowa.

Na jego twarzy widniał grymas strachu i nienawiści.

Strach najwyraźniej brał górę.

- No dobrze, Abdul.

Teraz zajmie się tobą mój przyjaciel Johnny.

Na pewno dojdziecie do porozumienia.

Bądź grzeczny i rób, co ci każe, słyszysz?

- Odwrócił się do Bourne'a.

- Lepiej miej go na oku.

To twardy facet.

Chciał mi koniecznie pokazać swój duży, ostry bagnet.

Na wszelki wypadek wrzuciłem go do rzeki.

Bourne chwycił brutalnie kaprała i postawił go na nogi, mówiąc cichym, ale groźnie brzmiącym głosem.

Trzymał się blisko Irakijczyka, gdy ten przeszedł na tył promu i zaczął uruchamiać dieslowski silnik.

Gdy rozległo się dudnienie motoru, Bourne dał sygnał kolegom, aby odwiązali liny.

Ponton zaczął płynąć leniwie z prądem wielkiej rzeki, kierując się po czarnej, oleistej powierzchni wody na drugi brzeg.

Howard i Usher obserwowali przystań, sprawdzając, czy ktoś nie zauważył zniknięcia pontonu.

Nic na to nie wskazywało.

Dotarwszy na drugi brzeg przybili do pomostu i szybko zjechali z promu.

Bourne powiedział do Howarda w obecności pozostałych: - Ed, zatrzymajcie się gdzieś w pobliżu.

Muszę zamienić słowo z kapralem.

Oba pojazdy wjechały z pomostu na skarpe.

U góry Howard przystanął i zaczekał.

Bourne dołączył do niego po upływie dwóch minut.

- Wszystko w porządku?

- zapytał Howard, gdy ruszyli w kierunku wschodnim.

- Tak - odparł Bourne.

- Ten facet nie miał na imię Abdul.

- Przerwał, po czym dodał: - Tak naprawdę nazywał się Hamood.

Hamood Nasir.

Była z niego niezła kanalia.

Siedzący z tyłu MacDonald zwrócił uwagę, że Bourne używa czasu przeszłego.

Wzdrygnął się i spojrzał przez tylną szybę, ale niczego już nie

zobaczył.

Ponton zniknął im z oczu.

Intuicja podpowiadała mu jednak, że ciało kaprala Hamooda Nasira płynęło po zaśmieconych wodach Eufratu, unoszone powoli przez wielką rzekę, która podążała na południe, w kierunku Bagdadu.

Oczy Kearwina były czerwone ze zmęczenia, ale rozbudzona ciekawość nie pozwalała mu myśleć o odpoczynku.

Wyśledził, że półciężarówka jechała nadmorską drogą z południa.

Zdjęcia z dwóch kolejnych przelotów KH-11, wykonane trzynastego kwietnia o 04.47 i 05.05, wskazywały, że wczesnym rankiem stała co najmniej przez osiemnaście minut w odludnym miejscu około stu kilometrów na południe od Al Wadż.

Oprócz półciężarówki nie było tam jednak niczego.

A może jednak?

Nie zatrzymała się przecież bez powodu.

Może chodziło o umówione spotkanie?

Nie.

Na drodze nie było żadnego innego pojazdu.

Poza tym półciężarówka zjechała z szosy, kilkaset metrów w dół, w kierunku...

Oczywiście!

W kierunku morza!

Nie zauważył jednak żadnego statku.

Na zdjęciu z wcześniejszego przelotu satelity widać było jedynie małą, jasną plamkę wielkości dwóch pikseli.

Znajdowała się tuż przy brzegu, niedaleko półciężarówki.

Jakiś niewielki, prawie niewidoczny obiekt.

Nawet komputer zignorował jego obecność.

Kearwin zastanawiał się.

Idiotyczna historia.

Obiekt o średnicy trzydziestu centymetrów?

Nie było o czym mówić.

Przypominało to wypatrywanie gołym okiem pojedynczej kulki śrutu z odległości ponad kilometra.

Szkoda zachodu!

A jednak z całą pewnością było tam jakieś źródło ciepła.

Człowiek?

Nie, to niemożliwe.

Żaden przekaz satelitarny nie miał wystarczającej rozdzielności, żeby zarejestrować obraz pojedynczego człowieka.

Poza tym widoczny na zdjęciu obiekt wydzielał za dużo ciepła.

Równocześnie nie aż tyle, co płonący ogień...

Silnik!

To musiał być silnik!

Kearwin wystukał pospiesznie na klawiaturze odpowiednie instrukcje, zamawiając zdjęcie wykonane przez satelitę KH-12 na pół godziny przed dwoma przelotami KH-11.

Gryzł nerwowo palce, czekając na fotografię.

W końcu zaczęła się ukazywać.

Wlepił wzrok w ekran.

Zobaczył jednolicie szarą powierzchnię cieplejszego niż ląd morza.

Przyglądał się uważnie.

Nie, niczego tam nie było.

Do diabła!

Zwiększył kontrast obrazu.

I wtedy zobaczył mały jasny punkt.

Znajdował się sześćset metrów od lądu!

To oznaczało...

Oczywiście!

Kamera mogła nie zarejestrować łodzi albo pontonu - różnica temperatur była za mała, zwłaszcza jeśli woda ochładzała burty.

Ale doczepiany silnik...

Tak, to musiał być ten sam obiekt.

To był silnik!

Teraz miał już nad czym pracować!

Pół godziny później Kearwin odrzucił głowę do tyłu z okrzykiem triumfu.

Koledzy spojrzeli na niego zdumieni i całe biuro na moment zamarło.

Mimo zmęczenia Walter Sorensen zerwał się na równe nogi i podbiegł do stanowiska Kearwina.

Wszystkie głowy zwróciły się w ich kierunku.

Nikt z obecnych nie przypominał sobie, by Mors kiedykolwiek się spieszył.

Chodził zawsze powolnym, dystyngowanym krokiem.

Tym razem dosłownie biegł.

Zaledwie kilka metrów, ale bez wątpienia biegł!

- Mam ich, Walterze!

- krzyknął Kearwin.

- Mam ich!

- Zaczął gorączkowo wyjaśniać, co odkrył.

Jego piskliwy głos załamywał się z podniecenia, górując nad zgiełkiem, który zapanował nagle w biurze.

Koledzy pracujący przy innych stanowiskach podchodzili bliżej, aby usłyszeć, co się dzieje.

Kearwin opowiedział im o pożarze i o swoich podejrzeniach, o tym, jak wysledził trasę pojazdów, które przekroczyły nielegalnie granicę, jak zauważył samolot obok bazy budowlanej, a potem na lotnisku w Ar "ar.

Wyjaśnił, w jaki sposób na podstawie raportów AWACS zdołał ustalić, że samolot przyleciał z Al Wadż.

Potem wspomniał o półciężarówce, którą zlokalizował na nadmorskiej drodze dzięki zdjęciu z satelity KH-11 i o dostrzeżonej na morzu samotnej, jasnej plamce wielkości dwóch pikseli...

Słowa Kearwina przepełniały Waltera Sorensena nieukrywaną dumą.

To był jeden z jego chłopców.

Słyszając pełne podziwu pomruki innych pracowników biura, rozmyślał o sukcesie swego podopiecznego.

To on, Walter Sorensen, wyszkolił młodego Johna Kearwina.

Teraz ten dzieciak - no dobrze, może już nie dzieciak - uczył innych, robiąc im wykład, który pewnego dnia mógł trafić do podręczników.

Kearwin mówił coraz głośniejszym głosem, starając się przekrzyczeć swym

piskliwym głosem narastającą wrzawę i wchodząc w techniczne szczegóły, które ilustrował obrazami na ekranie.

Mors był zatopiony w myślach, tylko połowicznie koncentrując uwagę na jego wywodach.

Nie ulegało wątpliwości, że John Kearwin dokonał właśnie czegoś niezwykłego, czegoś, co dowodziło być może, że jest najlepszy w zespole.

Kierując się głównie intuicją, chłopak przeszedł drogę, którą przebyły od Morza Czerwonego przez Arabię Saudyjską obiekty, znajdujące się aktualnie w głębi Iraku.

Odkrył, jaką trasę pokonały w ciągu dwóch tygodni na ogromnym obszarze cele, które uznano by normalnie za zbyt małe, aby zwracać na nie uwagę.

I osiągnął to wszystko korzystając z archiwalnych przekazów, a nie materiałów zebranych w wyniku celowej obserwacji.

Sorensen pomyślał, że w młodości jego także byłoby stać na podobny wyczyn.

Może z wyjątkiem ostatniego odkrycia.

Jeszcze raz się nad tym zastanowił.

No, no!

Dyrektor będzie zachwycony!

Kearwin zlokalizował na morzu obiekt o średnicy trzydziestu centymetrów i przeszedł jego drogę na przestrzeni ponad stu kilometrów.

Wreszcie, po tylu latach pracy, Sorensen dysponował materiałem, którego w Langley nikt nie będzie mógł zlekceważyć.

O tak, na pewno ich to ruszy!

Dostaną od niego mnóstwo informacji: przybliżony opis pojazdów,

lokalizację bazy, z której wyruszyły, trasę i czas podróży, dane dotyczące samolotu.

A przede wszystkim będzie im mógł powiedzieć o tym cholernym wielkim kontenerowcu.

39 Byli trzydzieści kilometrów od Hadity, gdy Howard zauważył magazyn.

Nie dostrzegłby go, gdyby nie zakręt.

Patrząc od niechcienia na pobocze zobaczył ogrodzony teren i stróżówkę.

Natychmiast podjął decyzję.

- Zatrzymaj się, Johnny.

Zjechali z drogi, by obejrzeć to miejsce.

- Zupełna cisza - zauważył Ziegler.

- Nic dziwnego.

Jest czwarta rano.

- Wkrótce może się tu zacząć ruch - stwierdził Howard.

- Do świtu zostały tylko dwie godziny.

Musimy się rozejrzeć i sprawdzić, czy ktoś tu jest.

Nie znajdziemy chyba bardziej odosobnionego miejsca.

Poza tym nie chcę zbliżać się za bardzo do Bajdzi.

Oba Land Cruisery podjechały ostrożnie do bramy.

Nie dostrzegli nigdzie żadnego ruchu.

Bourne wysiadł i potrząsnął bramą, krzyząc coś po arabsku.

Ze stróżówki wyszedł starzec, rozczochrany i tylko na wpół obudzony.

Bourne gawędził z nim przyjaźnie przez kilka chwil, a potem nagle

wycelował w niego karabin.

Starzec zbladł.

Mamrotał coś przerażony, pospiesznie otwierając bramę.

Wjechali na ogrodzony teren.

Bourne kazał starcowi zamknąć bramę i zabrał mu klucz.

Potem zaciągnął go do drugiego ambulansu i wepchnął do środka.

- Uważaj na niego, Bob - powiedział.

- Obejrzymy ten magazyn.

Wyobraźcie sobie, że facet pilnuje pustego budynku.

Przestronny magazyn zbudowano z betonu i stali.

Rzeczywiście był pusty.

Stróż pilnował go sam.

Bourne ocenił, że ma około sześćdziesiątki, ale wyglądał o wiele starzej.

Jego przerażona twarz wzbudzała litość.

Trząśł się ze strachu, siedząc cicho jak mysz z tyłu Land Cruseira, gdy MacDonald i Howard otwierali wielkie przesuwane drzwi magazynu.

Kiedy ukryli pojazdy w środku, Bourne oznajmił: - To idealne miejsce.

Nasz przyjaciel twierdzi, że od ponad roku stoi puste - od zakończenia wojny.

Staruszek pilnuje tego magazynu wspólnie z dwoma synami.

Zjawiają się o świcie, żeby go zluzować, a wieczorem znów zostaje sam na służbie.

Nocuje zawsze w stróżówce.

Mówi, że nikt się w tej okolicy nie pojawia.

Budynek należy do państwowej spółki rolnej - był tu kiedyś magazyn żywności.

Facet nie jest nawet uzbrojony.

Nie sprawi nam kłopotu.

- W porządku - powiedział Howard.

- Pora zrobić przegląd samochodów, zjeść coś i trochę odpocząć.

Zasłużyliśmy na to.

Ale zacznijmy od najpilniejszych potrzeb.

- Wyciągnął paczkę papierosów.

- Czy ktoś ma ogień?

40 Harry Cresswell był w podłym nastroju.

Przede wszystkim nie lubił, gdy budzono go o trzeciej nad ranem.

Zwłaszcza, jeśli późno położył się spać.

Poza tym chodziło najwyraźniej o jakąś parszywą sprawę.

Ogłoszono alarm.

Co się mogło zdarzyć, do cholery?

Inwazja?

Przemyt broni nuklearnej?

Diabli wiedzą.

Snuł najgorsze podejrzenia.

Musiało to być jednak coś ważnego.

Cresswell zaklął w duchu.

Jutro miał zacząć urlop.

Pomyślał smętnie, że może się z nim pożegnać.

Nie było na to rady.

Zastępca Dyrektora CIA wydał mu wyraźne polecenie.

Z jakiegoś powodu był cholernie wściekły.

- Rusz tyłek i sprawdź to!

- wrzeszczał do słuchawki.

Cresswell pomyślał ze złością, że łatwo mu mówić.

W Langley była dopiero dziewiąta wieczorem...

Do diabła, to dowodziło, że chodzi naprawdę o coś ważnego.

Skoro wicedyrektor dzwoni do niego po godzinach...

No dobrze.

Teraz on zepsuje niedzielny poranek kilku osobom, poczynając od ambasadora.

Tak, zadzwoni najpierw do niego.

Ambasador będzie musiał wydać mu zezwolenie na lot oraz zawiadomić o jego wizycie policję i służby celne.

Cresswell podniósł słuchawkę telefonu i wywołał centralę.

- Proszę mnie połączyć z ambasadorem - powiedział.

- Może pan skorzystać z bezpośredniej linii, panie Cresswell - usłyszał.

- Ale czy na pewno...

- Niech mnie pan połączy - rzucił ostrym tonem.

- Natychmiast!

A kiedy skończę, chcę rozmawiać z dyrektorem biura American Airlines na międzynarodowym lotnisku Jomo Kenyatta.

Albo lepiej proszę zadzwonić do niego do domu.

- Co za dupek siedział w tej centrali!

Ktoś powinien wsadzić mu szpilkę w tyłek.

Czekając na rozmowę z ambasadorem Cresswell przeczesał ręką włosy i ziewnął.

Czuł się jakiś zmarnowany i nie bardzo wiedział, z jakiego powodu.

Czyżby miał kaca?

Nie, to nie było to.

Kawa!

Właśnie.

Potrzebował filiżanki kawy.

Dziesięć minut później, oczekując na połączenie z przedstawicielem

American Airlines, był już w lepszej formie.

Kawa postawiła go na nogi.

Zawsze rano było to samo.

Od dzieciństwa miał problemy z wczesnym wstawaniem.

Jakże zazdrościł chłopakom, którzy o świcie wyskakiwali uśmiechnięci z łóżek, gotowi zacząć nowy dzień.

Przypomniawszy sobie rozmowę z ambasadorem zaczął się zastanawiać, czy nie potraktował go zbyt obcesowo.

Nawet szef placówki CIA powinien odnosić się do ambasadorów z szacunkiem.

Czy był wobec niego niegrzeczny?

Uznał, że nie.

Może tylko zbyt natarczywy.

Przeprosi go później, usprawiedliwiając się zdenerwowaniem.

Ambasador był przyzwoitym facetem.

Zadzwoił telefon.

Cresswell uzyskał połączenie z szefem biura linii lotniczych.

Przedstawił się i wyjaśnił zdumionemu rozmówcy, czego chce i od kogo ma zezwolenie.

Piętnaście minut później jechał na lotnisko.

Nie było dużego ruchu, pokonał więc dwunastokilometrową trasę w ciągu niecałego kwadransa.

O 04.05 Boeing 747 linii American Airlines wzniósł się łagodnie w powietrze nad pogrążonym jeszcze w mroku Nairobi.

Zatoczywszy powoli okrąg skierował się na południowy-wschód, do Mombasy.

Harry Cresswell zasiadł w przedziale pierwszej klasy do ciepłego śniadania, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia stewarda.

Miał nadzieję dotrzeć na miejsce, zanim ten przeklęty statek przybije do nabrzeża, by dokonać wyładunku ludzi i towarów.

Steward doszedł do wniosku, że świat stanowczo oszalał.

Cały Boeing 747 dla jednego pasażera?

Kim, do cholery, jest ten facet?

- Jestem pewien, że się zatrzymali, John - oznajmił Peter Stannard.

- J5TARS od dwudziestu minut nie obserwuje żadnego ruchu.

Kearwin odniósł wrażenie, że Peter jest zdenerwowany.

A może po prostu zmęczony?

Wszyscy odczuwali zmęczenie.

Była 21.25.

Pracowali już ponad piętnaście godzin.

Faceci w tych pojazdach pewnie też potrzebowali odpoczynku.

Tak, to całkiem prawdopodobne.

W Iraku była godzina 04.25.

Może zrobili sobie postój.

Miał taką nadzieję.

- Peter, poproś JSTARS o dokładne namiary tego miejsca - powiedział.

- Jeny, sprawdź, co widać na najnowszym zdjęciu satelitarnym i porównaj je z poprzednimi.

Może postanowili w ciągu dnia gdzieś odpocząć.

- Mam tutaj fotografię z archiwum - oznajmił Freedman.

-Zobacz.

To zupełne odludzie, ale w pobliżu głównej drogi jest jakiś duży budynek.

Może tam się zatrzymali.

Kearwin wiedział, że to tylko domysły.

Ale z ostatnich raportów JSTARS wynikało, że samochody przejeżdżały właśnie tą drogą.

Obejrzał uważnie zdjęcie, widoczne na monitorze Freedmana.

Wykonane było z ukosa i pokazywało północną elewację budynku.

Od strony południowej, w pobliżu szosy, stał niewielki domek, a cały teren otaczało ogrodzenie.

Nie było tam niczego więcej.

- Jaką wysokość ma ten budynek?

- zapytał.

- Około siedmiu metrów.

- OK.

Kiedy przelatuje tamtędy następny satelita?

- Za dziesięć minut.

To drugi KH-12.

Ma "odskoczyć" w dół.

- Dobrze - powiedział Kearwin.

- Niech zrobi ujęcie budynku pionowo z góry i sfotografuje południową elewację, tę od strony drogi.

Już po kwadransie obie fotografie pojawiły się na ekranie.

Pierwsza potwierdziła, że za budynkiem nie stoją ukryte żadne pojazdy.

Na drugiej widać było wielkie, zamknięte drzwi, przez które samochody z łatwością mogły wjechać do środka.

Kearwin zasięgnął rady Sorensena.

- Przypuszczam, że zatrzymali się tam na cały dzień - oznajmił.

- Są w drodze prawie od dwunastu godzin.

Mimo wszystko chciałbym, żeby JSTARS jeszcze przez jakiś czas nie przerywał obserwacji, na wypadek, gdyby zrobili tylko chwilowy postój.

Da się to załatwić, czy będą problemy?

Mors obdarzył Kearwina pełnym rozbawienia uśmiechem.

- John, możesz teraz prosić, o co tylko zechcesz.

Dostałbyś pewnie nawet samolot prezydenta.

- Kearwin wydawał się zaskoczony.

Mors jeszcze raz się uśmiechnął i ciągnął dalej: - Mniej więcej przed godziną zawiadomiłem o twoim odkryciu dyrektora.

Jest w siódmym niebie.

Właśnie przed chwilą do mnie dzwonił.

Postawił na nogi cały Waszyngton.

W centrali CIA w Langley zrobiło się piekielnie gorąco.

Dyrektor agencji jest wściekły jak diabli.

Chce wiedzieć, dlaczego CIA nie wie nic o tej sprawie.

Zmieszał z błotem swojego zastępcę, który teraz wyżywa się na podległych mu ludziach w Rijadzie i Nairobi.

Także w paru innych miejscach.

Biegają jak wariaci, próbując odnaleźć ten samolot i kontenerowiec.

Szef miał informacje z Departamentu Obrony, że jeden z agentów CIA dostał do dyspozycji Boeinga 747, żeby przewieźć swój tyłek do Mombasy.

Za...

- Sorensen spojrzął na zegarek.

- Za pół godziny zbiera się na nadzwyczajnym posiedzeniu Narodowa Rada Bezpieczeństwa, a prezydent odbył już rozmowę ze swoim doradcą.

Tak, można śmiało powiedzieć, że wywołałeś w tym mieście pewne poruszenie.

Kearwin był wyraźnie skonfundowany.

- Ale dlaczego?

O co tu chodzi?

Mors przyglądał mu się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Chyba byłeś zbyt zajęty swoim dochodzeniem, żeby się nad tym wszystkim zastanawiać.

- Podkreślił wąs i spojrzął na Kearwina rozognionym wzrokiem.

- Za to szef dokładnie przemyślał całą sprawę.

Wyciągnął pewne wnioski, z którymi w pełni się zgadzam.

Ci faceci z pewnością działają nielegalnie.

Przedostają się do Arabii Saudyjskiej od strony morza, a potem przekraczają potajemnie granicę Iraku.

To zdecydowani na wszystko zawodowcy.

Ryzykują życiem.

Dyrektor uważa, że chodzi o jakąś dużą akcję.

Naprawdę dużą.

- Mors przerwał na moment, zaciskając z przejęciem usta.

- Jak myślisz, o co - albo raczej o kogo - im chodzi?

Kearwin uświadomił sobie nagle, do czego Sorensen zmierza.

Przez dłuższą chwilę obaj milczeli.

W końcu John odezwał się niepewnie: - O tym nie pomyślałem.

Ale numer!

- Właśnie - powiedział Mors.

- Ale numer.

41 Harry Cresswell nie miał pojęcia, z kim rozmawiał ambasador, ale musiał to być ktoś wysoko postawiony.

Zapewne kenijski minister spraw zagranicznych.

Cresswell pomyślał, że tak czy inaczej prezydent Moi został powiadomiony o całej sprawie.

Nic nie działo się w tym kraju bez jego wiedzy.

Interwencja wywarła w każdym razie zamierzony skutek.

W Mombasie czekał na Cresswella szef kenijskiej policji, zawożąc go natychmiast do portu.

Dotarli tam o 05.30 nad ranem.

Właśnie świtało.

Port otaczali szczerlnie kenijscy żołnierze, ponurzy, złowrogo wyglądający faceci z gotowymi do strzału karabinami.

Wyglądało na to, że nie wahaliby się ich użyć.

W głębi portu widać było światła trzech łodzi patrolowych, krążących wokół holowanego powoli do nabrzeża motorowca "Manatee".

Trzy godziny później Cresswell siedział w klimatyzowanym biurze kapitana portu.

Odłożywszy słuchawkę telefonu zastanawiał się przez chwilę.

Zastępca dyrektora był w nieco lepszym nastroju niż podczas ich poprzedniej rozmowy.

Wstępny raport Cresswella, sporządzony po przesłuchaniu kapitana motorowca "Manatee", musiał go trochę udobruchać.

W zasadzie niewiele było do przekazania.

Jedynie istotne szczegóły dotyczyły trasy rejsu.

Wicedyrektor wiedział tylko, że przed zawinięciem do Mombasy statek był rozładowywany w Port Sudan i Dżibuti.

Informacja, że wyruszył z Felixstowe w Anglii i poza Suezem nigdzie się po drodze nie zatrzymywał, najwyraźniej dała szefowi Cresswella materiał do przemyśleń.

- Nie było na pokładzie pasażerów na gapę?

- zapytał.

- Nadal szukamy, sir.

Statek przeczesuje około stu kenijskich policjantów, a kilka grup celników zaczęło otwierać kontenery.

Nie powiedziałem im, że nasze ptaszki już uciekły - mogliby stracić cały zapal.

Kapitan statku awanturuje się, że policjanci zdemolowali mu kabinę. Są cholernie skrupulatni.

- Dobrze.

Zadzwoń do mnie, jak tylko coś znajdziecie.

- Tak, sir.

Cresswell wyjrzał ponownie za okno i uniósł brwi na widok panującego w porcie zamieszania.

Nie było najmniejszego sensu interweniować, ani skłaniać tych ludzi do bardziej metodycznych poszukiwań.

Wyglądało na to, że w dole panuje totalny chaos, a jednak kontenery znikwały szybko z pokładu.

Statek był już niemal w połowie rozładowany.

Cresswell obserwował, jak główny inspektor Robert Mwanza uwija się w tłumie Kenijczyków, wydając rozkazy i kierując całą akcją.

Na swój sposób był bardzo operatywny.

Osobiście Cresswell wątpił, by cokolwiek znaleźli.

Faceci, których ścigali, dawno już przecież uciekli.

Nie było sensu ich teraz szukać.

Chociaż nigdy nie wiadomo...

Rozległo się pukanie do drzwi i do biura wszedł młody policjant.

- Przepraszam, sah.

Główny inspektor prosi z panem rozmawiać.

- Już idę.

- Cresswell opuścił biuro i zbiegł po schodach.

Kiedy otworzył drzwi i znalazł się w blasku porannego słońca, dochodząca z przystani wrzawa zabrzmiała mu w uszach jak huk dział.

Podszedł do miejsca, gdzie główny inspektor Mwanza stał pochylony nad stolikiem, przeglądając stertę dokumentów.

-Jak idzie, inspektorze?

- zapytał.

Mwanza wskazał na stojący za jego plecami duży, pomalowany na żółto kontener-chłodnię.

- Jest pusty - oznajmił.

- Czy to się rzadko zdarza?

- zapytał Cresswell.

- Celnicy twierdzą, że raczej tak.

Czasem kontenery płyną puste, kiedy ich właściciele dostarczają ładunek tylko w jedną stronę.

- Co jest napisane w liście przewozowym?

- Właśnie próbuję to ustalić, panie Cresswell - oświadczył Mwanza, przerzucając nadal stertę papierów.

Cresswell podszedł do kontenera.

Przy otwartych drzwiach stało czterech ludzi, oglądając pieczęć brytyjskiego Urzędu Celnego.

Wejścia strzegł bardzo napuszczony posterunkowy.

Wyglądał dość śmiesznie, pilnując pustej skrzyni.

Cresswell zwrócił się do celników z pytaniem: - Czy pieczęć była nienaruszona?

Jeden z mężczyzn spojrzał na niego i skinął głową, mówiąc: - Tak, sah.

Cresswell zajrzał do kontenera.

Był całkiem pusty.

Obszedł go powoli, przyglądając mu się z zewnątrz.

Na tylnej ścianie pracował głośno wentylator.

Najwyraźniej miał własne zasilanie.

Chwileczkę.

Po cholere właściwie był włączony?

Skoro w kontenerze niczego nie przewożono...

Jakiś idiota musiał uruchomić go przez pomyłkę.

Cresswell podszedł z powrotem do Mwanzy.

- Ktoś włączył przypadkowo wentylator - oznajmił.

Mwanza podniósł na moment głowę, nic jednak nie odpowiedział, szukając nadal listu przewozowego.

Cresswell wrócił do kontenera i stanął pod jego tylną ścianą.

- Czy ktoś wie, jak wyłączyć to urządzenie?

- zapytał.

Odpowiedziały mu obojętne spojrzenia.

Wzruszył ramionami.

W porządku.

Niech się obraca.

Co go to w końcu obchodzi, że marnują energię, żeby utrzymać w kontenerze niską tem...

Zaraz, do diabła!

Co z tym chłodzeniem?

Cresswell włożył rękę do środka i dotknął wewnętrznej powierzchni ściany.

Wcale nie była zimna.

Pobiegł z powrotem do drugiego końca kontenera.

Wentylator nadal pracował.

Kapały z niego nawet krople wody.

A termometr wskazywał...

MINUS DWADZIEŚCIA STOPNI!

Cresswell popędził do stolika.

- Inspektorze!

- krzyknął.

- Chyba coś odkryłem!

- Ja też, panie Cresswell.

- Mwanza machnął mu przed nosem kartką.

- Mamy tu do czynienia z jakimś oszustwem.

Z listu przewozowego wynika, że ten kontener wypłynął z Felixstowe z ładunkiem mrożonek.

Przez następne pół godziny Cresswell przechadzał się zdenerwowany tam i z powrotem, czekając, aż policjanci sprawdzą, czy na kontenerze nie ma odcisków palców.

Znaleźli je tylko w jednym miejscu: tam, gdzie Cresswell dotknął wewnętrznej powierzchni ściany.

Mwanza obrzucił go chłodnym spojrzeniem, ale nic nie powiedział.

Kiedy skończyli, wewnątrz kontenera zaroilo się od policjantów ze śrubokrętami.

Zaczęli zdejmować metalowe płyty.

Pięć minut później usunęli przepierzenie i natrafili na właz.

Ze środka dobiegła seria głośnych uderzeń, gdy jeden z policjantów zaczął energicznie walić w niego młotem.

Stojący na zewnątrz Cresswell zobaczył, jak na gładkiej dotąd powierzchni tylnej ściany kontenera pęka farba i dokładnie o 09.02 otworzyła się nagle umocowana na zawiasach kłapa.

Po upływie kolejnej godziny wezwany na miejsce inżynier znalazł dwa zainstalowane w obudowie agregatu chłodniczego urządzenia do klimatyzacji i wyjaśnił, w jaki sposób zmieniony został celowo odczyt termostatu.

Cresswell nie czekał na pojawienie się inżyniera.

Gdy tylko otwarto właz, popędził z powrotem do kapitanatu portu.

Pokonując po trzy stopnie naraz wbiegł do gabinetu naczelnika, chwycił słuchawkę i zaczął wykręcać numer.

O 03.09 czasu wschodnioamerykańskiego w biurze zastępcy

dyrektora CIA w Langley w stanie Wirginia zadzwonił telefon.

Obudzony ze snu mężczyzna włączył światło, wstał rozespany z wersalki i podniósł słuchawkę.

Usłyszawszy, co Cresswell ma mu do przekazania, natychmiast zapomniał o zmęczeniu.

- Dzięki Bogu - mruknął, skończywszy rozmowę.

- Niech teraz Londyn babra się w tym gównie.

Nie mógł wiedzieć, że zaledwie sześć godzin później wszystko wyląduje z powrotem na jego głowie.

42 Nadzwyczajne posiedzenie Brytyjskiej Połączonej Komisji Wywiadu dobiegło końca i jej członkowie zaczęli się rozchodzić.

Komisarz policji metropolitalnej zmierzał właśnie do wyjścia, gdy podszedł do niego krótko ostrzyżony, szpakowaty mężczyzna w służbowym krawacie.

- Panie komisarzu, czy mogę coś zaproponować?

Komisarz spojrział na rozmówcę z zainteresowaniem.

- Proszę, panie Goodale.

Chętnie posłucham.

Max Goodale uśmiechnął się.

- Przede wszystkim chciałbym pana zapewnić, że bardzo ubolewam z powodu tych niefortunnych decyzji dotyczących IRA.

Niepotrzebnie nadano całej sprawie taki rozgłos.

Moi koledzy z Piątki są w większości tego samego zdania.

Komisarz skinął głową.

Pozbawienie policji udziału w operacjach antyterrorystycznych na terenie kraju i przekazanie tych zadań wydziałowi MI-5 było dla policjantów policzkiem.

Zraniono ich dumę i niektórzy funkcjonariusze czuli się bardzo urażeni.

- Miło mi to słyszeć, panie Goodale - stwierdził komisarz.

-Ja też odniosłem wrażenie, że nie załatwiono tej sprawy najlepiej.

- Ważne, żeby nasze organizacje nie były do siebie wrogo nastawione.

Możliwe, że będziemy w stanie pomóc wam w tej nowej operacji.

- Zastępca dyrektora MI-5 obserwował uważnie, czy jego rozmówca nie poczuje się dotknięty.

Zgodnie z oczekiwaniami nie zauważył takiej reakcji.

Komisarz był niezwykle inteligentny i Goodale wiedział, że - podobnie jak on - nie daje się wciągać w małostkowe konflikty między wydziałami.

- Zakładamy oczywiście - mówił dalej - że to wy prowadzicie

dochodzenie.

My dysponujemy jedynie różnymi środkami, które mogą okazać się przydatne.

Oferuję panu współpracę.

W końcu nie wiemy jeszcze, o co tu naprawdę chodzi.

- To szczodra oferta, panie Goodale - odparł komisarz.

-I bardzo cenię sobie sposób, w jaki ją pan przedstawił.

- Uśmiechnął się do wicedyrektora MI-5.

- Myślę, że to doskonały pomysł i chętnie będę z panem współpracował.

Mogę wiedzieć, czy zapytał pan o zgodę swoją szefową?

- Jeszcze nie - odparł Goodale.

- Ale jestem przekonany, że nie będzie miała zastrzeżeń.

Jeśli wolno coś zaproponować, chciałbym spotkać się najpierw z oficerem, któremu zamierza pan powierzyć prowadzenie śledztwa.

Byłbym z nim w stałym kontakcie.

- Dobry pomysł - przyznał komisarz.

- Może podrzuciłbym pana do Scotland Yardu?

Moglibyśmy razem zapoznać go z tą sprawą przy śniadaniu.

- Jest pan nader uprzejmy - powiedział Goodale.

Podeszli do samochodu komisarza.

Ubrany elegancko sierżant policji zasalutował i otworzył im tylne drzwi.

Goodale dał znak swojemu kierowcy, by jechał za nimi.

Obaj mężczyźni rozsiedli się wygodnie, a służbowy Jaguar ruszył szybko przez puste niemal ulice.

Zadanie, które przydzielono właśnie policji, miało niezwykle charakter.

- Zajmą się tą sprawą ludzie z SOI 1 - oznajmił komisarz.

- Zakładam, przynajmniej na razie, że to robota dla Wydziału Kryminalnego Wywiadu, z którym będą współpracowały, oczywiście, inne departamenty - włącznie z pańskim.

- Komisarz uśmiechnął się.

- Gdyby nie zwrócił się pan do mnie ze swoją uprzejmą propozycją, po namyśle pewnie sam poprosiłbym pana o pomoc.

Goodale wybuchnął śmiechem.

- Cóż, dobrze wiedzieć, że obaj myślimy podobnie.

Miejmy nadzieję, że wspólnie do czegoś dojdziemy.

Mogę spytać, kto poprowadzi dochodzenie?

- Dowódca SOI 1.

Jeden z naszych najlepszych ludzi, jeśli nie najlepszy.

Nazywa się Jones.

Patrick Jones.

- Znam go - powiedział zastępca dyrektora MI-5.

- Z oczywistych powodów już się kiedyś spotkaliśmy.

Potrafiemy znaleźć wspólny język.

- Jones poradzi sobie z każdą sprawą - stwierdził komisarz.

- A więc dobrze, panowie.

Oto, co zrobimy.

- Komendant Patrick Jones pochylił się nad stołem i rozejrzał po twarzach zebranych w pokoju ludzi.

Jego wzrok spoczął na niskim, krępym mężczyźnie o rzadziejących

rudych włosach i wąsko osadzonych oczach.

- Hughie, chcę, żebyś sprawdził ten adres w Swindon.

Skontaktuj się na miejscu z policją w Thames Yalley.

Unikaj zadrażeń, ale daj im wyraźnie do zrozumienia, że na polecenie góry śledztwo prowadzone jest bezpośrednio z Londynu.

Gdyby mieli jakieś zastrzeżenia, niech zwrócą się do swojej centrali w Kidlington.

Komisarz okręgowy jest właśnie informowany o całej sprawie i będzie przyjmował wszelkie skargi.

Prawdopodobnie pod tym adresem nikogo nie zastaniecie.

Wyłamcie drzwi i zróbcie dokładną rewizję.

Chcę, żeby poddano wszystko drobiazgowej analizie.

Trzeba się dowiedzieć, kto przebywał w tym budynku i do kogo on należy.

Popytajcie w okolicy, czy ktoś nie widział kręcących się tam ludzi.

Jeśli budynek wynajmowano, trzeba odszukać pośrednika i wydobyć z niego szczegółowe informacje.

Nazwiska, rysopisy, wszystko po kolei.

Dowiedzcie się, kto dostarczał im pocztę, mleko, kto wywoził śmieci.

Przyskrzyńcie każdego, kto widział któregoś z tych ludzi, jasne?

Detektyw-inspektor Hughie Carter cały czas robił notatki.

Podniósłszy wzrok skinął głową.

Zaczął zdawać sobie sprawę, że zanoszą się na dużą operację.

Świadczyła o tym liczba ludzi zaangażowanych do współpracy.

Jakbym mało miał własnych problemów, pomyślał z przekąsem.

Zadzwoń najpierw do swojej świeżo mianowanej asystentki i przekaże jej wszystkie bieżące sprawy.

Dzięki temu będzie się mógł skoncentrować na nowym zadaniu.

Tak.

Uznał, że to dobry pomysł.

Jego przebojowa asystentka przejdzie chrzest ogniowy.

Będzie miał okazję sprawdzić, jak radzi sobie z samodzielną pracą.

Dziewczyna wydawała się bardzo kompetentna - przynajmniej na razie.

Uznał, że musi dużo umieć, skoro tak szybko awansowała.

No cóż, wkrótce się przekona, ile jest warta.

Komendant przydzielał teraz zadanie noszącemu okulary w grubych oprawkach wysokiemu blondynowi o wyglądzie naukowca.

- Paul, chcę, żeby twoi ludzie zajęli się bankami.

Zacznij od największych central i sprawdź, gdzie ta firma miała rachunek.

Kiedy się tego dowiesz, skopiuj wszystkie wyciągi, wszystkie wystawiane przez nich чеки.

Chcę mieć szczegółowe dane na temat zawieranych transakcji i przepływu gotówki.

Zrób kopie wysyłanej do banku korespondencji.

Na pewno znajdzie się coś w aktach.

Porozmawiaj z ludźmi, z którymi prowadzili interesy.

Zgarnij pracowników biura.

Dowiedz się, kto kontroluje ich rachunki i przesłuchaj tę osobę.

Od ciebie także oczekuję nazwisk i rysopisów.

Czy to jasne?

Główny inspektor Paul Hallam z brygady do spraw oszustw skinął głową.

Brzmiało to interesująco.

Lubił wyciągać w niedzielny poranek z łóżek szanowanych obywateli.

Jones zwrócił się z kolei do bruneta, który wyglądał na byłego boksera wagi średniej - i rzeczywiście nim był.

- Jerry, niech twoi chłopcy spróbują dowiedzieć się czegoś więcej o tym samolocie.

Znamy tylko jego brytyjskie numery.

Sprawdźcie, gdzie ci ludzie go kupili i czy został przerejestrowany.

Jeśli tak, to na czyje nazwisko.

Ustalcie trasę jego przelotu do Arabii Saudyjskiej.

Dotarł tam...

- Jones sprawdził w notatkach - ...jedenastego kwietnia.

Dowiedzcie się, skąd wystartował, zakładając, że był w drodze jakieś trzy, cztery dni.

Zacznijcie od lotnisk na południu Anglii.

Nie zwracajcie sobie głowy tymi, na których nie ma urzędu celnego.

Weźcie do pomocy kogoś z Zarządu Lotnictwa Cywilnego.

Ustalcie, kto widział ten samolot, a co ważniejsze, kto go pilotował.

Chcę znać jego nazwisko i rysopis.

- W porządku.

- Detektyw-inspektor Jerry Willson powątpiewał w duchu, czy przeczesywanie w niedzielę cywilnych lotnisk da mu wiele satysfakcji, z determinacją zacisnął jednak usta.

Podobnie jak Hallam miał zamiar odkuć się na kimś za kolejny stracony weekend.

Zadzwoń najpierw do Zarządu Lotnictwa Cywilnego.

- A teraz chciałbym panom przedstawić naszego gościa - oznajmił Jones.

- Pan Goodale jest pracownikiem MI-5.

- Wśród obecnych zapanowała konsternacja.

Jerry Willson otworzył usta, aby zaprotestować, ale w ostatniej

chwili się zreflektował.

Jones mówił dalej.

- Proponuję, żeby każdy dobrze się zastanowił, w jaki sposób pan Goodale mógłby mu pomóc, czy to w sensie kadrowym, czy materialnym.

Współpracowaliście już wszyscy z Piątką.

Pan Goodale pozostanie w Londynie.

Będzie z nami w stałym kontakcie.

Nadzorujemy wspólnie tę operację.

- Jones zamilkł, aby jego słowa wywarły należyte wrażenie.

Zebrani w pokoju ludzie przyglądali się Goodale'owi z nagłym zainteresowaniem, uświadomiwszy sobie, że musi być wysokim funkcjonariuszem MI-5.

Jones pokiwał tylko głową.

Nie zamierzał wyjaśniać dokładniej, jakie Goodale zajmuje stanowisko.

- Mamy więc - ciągnął dalej - prowadzić skoordynowane działania.

Komisarz osobiście przekazał mi takie instrukcje.

Do każdej ekipy zostanie przydzielony agent służby bezpieczeństwa.

Należy maksymalnie korzystać z oferowanej przez niego pomocy.

Żądam pełnej współpracy.

Mam nadzieję, że dobrze się rozumiemy.

Oczekuję również konkretnych wyników - dodał.

- I to szybko.

Dochodzenie dało pierwsze rezultaty już po upływie kilku godzin.

Wstępne czynności okazały się łatwe.

Adres podany na liście przewozowym doprowadził policję na Loundis Road w Swindon, a pracownicy firmy, z której wypożyczono kontener potwierdzili, że został on dostarczony do hali numer 10.

Wkrótce kilkunastoosobowa ekipa śledcza przystąpiła do pracy, przeszukując skrupulatnie cały budynek.

Równocześnie ustalono bez trudu adres pośrednika handlu nieruchomościami, którego firmę reklamowała u wylotu ulicy Loundis Road duża tablica z napisem DO WYNAJĘCIA.

Przerażonego młodego człowieka wyciągnięto bezceremonialnie z łóżka, w którym spędzał niedzielne przedpołudnie z dziewczyną i poddano intensywnemu przesłuchaniu.

Zajęli się nim dwaj wzbudzający respekt funkcjonariusze.

Chłopak szybko uznał, że to nie żarty i wszystko im opowiedział.

Grupa dochodzeniowa rozszerzyła zakres prowadzonych działań na hale numer 8 i 9.

Zarządzono poszukiwania "pana Bryce'a" oraz jego niebieskiego BMW 325i.

Pośrednik bardzo dokładnie opisał samochód.

Była to, jak twierdził, niebieska czterodrzwiowa limuzyna z ręczną skrzynią biegów i srebrnoszarą, skórzaną tapicerką.

Miała nowego typu karoserię, wprowadzoną do produkcji dopiero w 1991 roku.

Nie pamiętał jedynie numeru rejestracyjnego wozu.

Tak więc ekipie Cartera polecono zdobyć od głównego dostawcy BMW w Bracknell pełny wykaz wszystkich samochodów, które odpowiadały temu opisowi.

Otrzymali szybko komputerową listę takich wozów, wraz z numerami podwozi i silników.

Wśród dwóch tysięcy sześciuset dziewięciu sprowadzonych w 1991 roku do Anglii samochodów BMW było sto siedem czterodrzwiowych niebieskich limuzyn z szarą tapicerką.

Urząd komunikacji w Swansea podał ich numery rejestracyjne.

Żaden z tych wozów nie należał do człowieka o nazwisku Bryce.

Zarządzono pilne sprawdzenie całej listy.

W ramach prowadzonej na dużą skalę operacji policjanci docierali do właścicieli poszczególnych pojazdów.

Siedemdziesięciu dziewięciu spośród tych, których zastali w domu, było na tyle podobnych do "pana Bryce'a", że zabrano ich na komisariat.

Kolejnych dwunastu zatrzymano na drodze.

Jedenastu zwolniono po długotrwałym przesłuchaniu.

Byli wściekli i grozili, że oskarżą policję o szykany.

Dwunasty dołączył do piątki czasowo zatrzymanych.

Czekano na potwierdzenie jego tożsamości.

Do Swindon wysłano faxem fotografie sześciu mężczyzn, ale młody pośrednik handlu nieruchomościami żadnego z nich nie rozpoznał.

Z pozostałych szesnastu właścicieli BMW czternastu było na wakacjach lub podróżowało służbowo.

Pytani o ich rysopisy sąsiedzi twierdzili za każdym razem, że użytkownik pojazdu - a w przypadku, gdy wóz należał do kobiety, jej narzeczony czy mąż - nie odpowiada pamięciowemu portretowi "pana Bryce'a".

Dwa ostatnie samochody okazały się najciekawsze.

Jeden został skradziony w połowie stycznia, a drugi sprzedany, ale nowy właściciel nie zarejestrował go na swoje nazwisko.

- Spójrz na datę, Trev - powiedział detektyw inspektor Hughie Carter.

- Ten wóz skradziono w styczniu.

Agent od nieruchomości twierdzi, że nasz pulchny jegomość jeździł nim w listopadzie.

Musi chodzić o inny samochód.

Czy masz rysopis faceta, który kupił to drugie BMW?

- Tak, sir, ale mało dokładny - odparł detektyw sierżant Trevor Smith.

- Jego były właściciel niewiele potrafi powiedzieć.

Twierdzi, że facet miał około trzydziestki.

I wyglądał zwyczajnie.

Tak go określił.

- Wspomniałeś mu o gościu z pulchną twarzą?

- Tak.

Niczego nie był pewien.

Bezużyteczny typ.

Carter powziął decyzję.

- Nieważne.

To musi być ten wóz.

Dobra.

Przekażemy prasie jego numer rejestracyjny.

Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Wkrótce miało się okazać, że zabrnęli w ślepy zaułek.

BMW Bourne'a, które zostało skradzione, przemalowane i zaopatrzone w nowe dokumenty, było już we Włoszech.

Jego obecny właściciel nigdy się nawet nie dowie o burzliwych losach swego pojazdu.

Główny inspektor Hallam także początkowo miał dobrą passę.

Barclays Bank szybko dostarczył dokumenty, dotyczące założonej przez Bourne'a spółki przewozowej.

Ujawniły one istnienie dwóch innych fikcyjnych firm.

Hallam wysłał natychmiast detektywów, aby je sprawdzili i wkrótce był w swoim żywiole, z entuzjazmem wzywając na przesłuchania nieszczęsnych, Bogu ducha winnych radców prawnych i księgowych oraz konfiskując dokumenty, by zdjąć z nich odciski palców.

Uzyskawszy informacje na temat przelewów z banku w liechtensteinie, zadzwonił do Jonesa.

Patrick Jones zaciskał usta, bębniąc palcami o biurko.

- Trzeba będzie z tym pewnie zaczekać do jutra, Paul - stwierdził.

- Nie możemy tak po prostu wszcząć dochodzenia przeciwko zagranicznej firmie.

Ale zobaczę, co się da zrobić.

- Odłożył słuchawkę telefonu i zmarszczył brwi.

Liechtenstein.

Z czymś mu się to kojarzyło.

Niewielka pociecha.

Na razie facet zacierał za sobą wszelkie ślady.

Jones był przekonany, że śledztwo w sprawie samochodu do niczego nie doprowadzi.

Hughie Carter meldował, że trzy hale produkcyjne są wymiecione do czysta.

Pachniało w nich środkami dezynfekującymi.

Najwyraźniej dokładnie tam posprzątało, niczego nie pozostawiając.

W jednej z hal znaleźli jedynie na podłodze niewielką plamkę żółtej farby, zapewne tej samej, którą malowano kontener.

Hughie Carter bardzo się rozemocjonował, gdy na klamce odkryto odciski palców człowieka, oskarżonego o kradzież samochodu.

Policja zrobiła nalot na mieszkanie podejrzanego.

Ustalono, że pracuje w firmie zajmującej się sprzątaniami pomieszczeń.

Jego szef potwierdził, że sprzątało trzy hale produkcyjne, nikogo tam jednak nie widzieli.

Banki i agencja sprzedaży nieruchomości okazały daleko idącą pomoc, ale na dostarczonych przez nie dokumentach były jedynie odciski palców personelu.

Wszyscy przysięgali, że facet o pulchnej twarzy podpisywał umowę dzierżawy i inne dokumenty bez rękawiczek.

Może miał na palcach jakąś przezroczystą błonkę?

Zapewne.

A niech to diabli, pomyślał Jones.

Facet musiał w którymś momencie się potknąć.

Hughie Carter na pewno coś znajdzie.

Niemożliwe, żeby nikt nie zauważył, co działo się przy Loundis Road.

Najprawdopodobniej trzeba będzie dotrzeć do jakiegoś dostawcy.

Hughie rozmawiał już z kierowcą, który przywiózł kontener.

Podobno widział tylko...

pucłowatego mężczyznę.

Ale facet nie mógł być sam.

Z pewnością miał współników.

Kierowca twierdził, że obok hali stały zaparkowane samochody, ale nie pamiętał jakie.

Musieli siedzieć ukryci w środku.

Pucłowaty mężczyzna pełnił rolę łącznika.

Co oznaczało, że nie obawiał się zdemaskowania.

Dlaczego?

To oczywiste: miał charakterystycję.

Zmienił wygląd twarzy.

Szkła kontaktowe, ufarbowane włosy...

Wkładki pod policzkami?

Właśnie.

A głos?

Neutralny, trudny do rozpoznania.

Pozbawiony akcentu.

Facet chodził, być może, do ekskluzywnej szkoły, ale niekoniecznie.

Mógł być nawet cudzoziemcem, mówiącym dobrze po angielsku.

Przeciętny mężczyzna średniego wzrostu, ubrany czasem w garnitur, czasem w roboczy kombinezon...

Wyglądało to beznadziejnie.

Chyba że Hughie znajdzie nowego świadka albo Paul odkryje coś w rejestrach bankowych.

Problem polegał na tym, że odnotowano tam niewiele operacji.

Tylko wewnętrzne przelewy między trzema fikcyjnymi firmami na konto w Liechtensteinie oraz zwykłe rachunki za prąd i telefon.

A co z narzędziami, niezbędnymi do przerobienia kontenera?

I z całą jego zawartością?

Musieli przecież gdzieś to wszystko kupić.

Zapłacili gotówką, pomyślał ponuro Jones.

O tak, facet o pulchnej twarzy skutecznie zacierał ślady.

Zadzwoił telefon.

Meldował się inspektor Wilson.

- Mamy ten samolot, szefie - oznajmił.

- Lotnisko w Southampton.

Wyleciał stamtąd siódmego kwietnia.

Ustaliliśmy, że został kupiony w Irlandii.

- Jakież rysopisy albo nazwiska?

- Jones pochylił się do przodu w fotelu.

- Mam nadzieję, szefie, że poprosi pan o pomoc dublińską Gardę.

Niech pogadają z poprzednimi właścicielami maszyny.

Lepiej, żeby oni to zrobili.

- Załatwione - obiecał mu Jones.

- A co z pilotem?

- Zachowywałem najlepszą wiadomość na koniec.

Dostaliśmy informacje z lotniska.

Facet nazywa się Sullivan.

Amerykanin, z licencją zawodowego pilota.

Mamy jego adres, numer paszportu, wszystko.

Leciał tym Islanderem sam.

Sprawdziłem w rejestrach Urzędu Imigracyjnego i linii lotniczych.

Podali mi dokładną datę jego przybycia do Wielkiej Brytanii.

Zaraz prześlę to wszystko faxem.

- Dobra robota, Jeny.

- Dzięki, szefie.

- I nie nazywaj mnie "szefem".

- Dobrze, szefie.

Jones wzniosł oczy do nieba, z uśmiechem odkładając słuchawkę.

Nareszcie coś mieli.

Jakiś konkretny ślad.

Co istotniejsze, będzie teraz o czym zameldować.

Spojrzał na zegarek.

Była czternasta dziesięć.

Jak na pół dnia pracy osiągnęli niezłe wyniki.

Usiadł wygodnie w fotelu, czekając na nadejście faxu.

Sporządzony przez Jonesa raport na temat postępów dochodzenia został szybko przekazany dalej.

Informacja o Sullivanie dotarła natychmiast do centrali CIA w Langley i o 09.25 czasu wschodnioamerykańskiego trafiła na biurko zastępcy dyrektora Agencji.

Nie był zachwycony, że w sprawę, którą przekazał już z ulgą Brytyjczykom, zamieszany jest Amerykanin.

Ludzie, którym przyszło kontaktować się z nim w ciągu następnej godziny, nie mieli najmniejszych wątpliwości, w jaki wprowadziło go to nastrój.

Przekazawszy do Federalnego Biura Śledczego lakoniczną prośbę o pomoc w uzyskaniu pełnego dossier Sullivana, wicedyrektor odezwał się ze złością do Jamesa Ansella, szefa sekcji bliskowschodniej: - Co ten idiota w Rijadzie sobie wyobraża?

Dlaczego nie mieliśmy od niego żadnych więcej informacji o tym samolocie?

- Ma pan na myśli Kenningsa?

- Tak, właśnie jego.

Po cholere tam siedzi?

Niech go pan pogoni do roboty, dobrze?

Chcę, żeby odnalazł ten samolot, i to szybko.

Ansell zareagował na wybuch gniewu zwierzchnika uniesieniem brwi.

Nie miał ochoty pozwalać, żeby na niego krzyczano.

Jeśli to się powtórzy, złożę skargę do szefa Agencji.

Zmierzył wicedyrektora obojętnym spojrzeniem i powiedział: - Alvin Kennings jest dobrym agentem.

Proszę nie zapominać, że zdobył numer tego samolotu.

Wiem z własnego doświadczenia, że Saudyjczyków nie jest łatwo skłonić do pośpiechu, zwłaszcza gdy nie widzą konkretnych powodów do wszczynania śledztwa.

A sam pan powiedział, że na obecnym etapie nie ma mowy o wtajemniczeniu ich w sprawę.

- Tak, pomyślał Ansell.

Kennings jak na razie dobrze się spisywał.

Wywnioskował logicznie, gdzie Islander mógł przekroczyć granicę Arabii Saudyjskiej, a potem skoncentrował poszukiwania na Dżuddzie.

Musiał wykorzystać trochę znajomości, żeby zdobyć informacje w tak krótkim czasie.

Wicedyrektor zastanawiał się przez chwilę.

- No cóż, niech go pan przypilnuje, dobrze?

- powiedział wreszcie.

- Scowcroft siedzi mi na karku, a to oznacza, że jest naciskany przez prezydenta.

Ansell milczał.

Uznał, że nie ma potrzeby wysyłać do Rijadu ponownych instrukcji.
Kennings go nie zawiedzie.

44 Alvin Kennings miał, niestety, pecha, gdyż prawie dwadzieścia godzin wcześniej Islander gdzieś zniknął.

Denard opuścił Badana wkrótce po zapadnięciu zmroku, zgłoszwszy po południu wieży kontrolnej w Ar 'ar lot do Tabuku, położonego czterysta pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód, za pustynią Nafud.

Wystartował o 19.00, godzinę po odjeździe Howarda i dwóch ambulansów.

Osiągnąwszy pułap trzech tysięcy metrów trzymał się zgłoszonego wieży kursu 204 stopnie.

Po pół godzinie jednostajnego lotu, uznając słusznie, że kontroler z Ar 'ar przestał się nim już zapewne interesować, wyłączył wszystkie światła, obniżył wysokość i zawrócił na północ, niemal w tym samym kierunku, z którego przybył.

Na pustyni nie było żadnych wzniesień, ale lecąc chwilami trzydzieści metrów nad ziemią i korzystając w ciemnościach jedynie z kompasu, należało wykazać się nie lada opanowaniem i umiejętnościami.

Po kolejnych trzydziestu minutach Denard był mokry od potu, nie odważył się jednak na wyższy pułap w obawie, że ktoś mógł zauważyć zniknięcie samolotu z ekranu radaru i wszcząć poszukiwania.

W istocie nie musiał się o to martwić.

Gdy tylko kontroler lotów w Ar 'ar stwierdził, że Islander obrał właściwy kurs, udał się na spoczynek.

Nie odprawiał już tego dnia innych maszyn, a gdyby zaszło coś

nieoczekiwanego, natychmiast by go zawiadomiono.

Lotnisko w Ar'ar nie należało do szczególnie ruchliwych.

Denard przemknął z prędkością dwustu kilometrów na godzinę nad autostradą prowadzącą wzdłuż rurociągu.

Leciał na północ, w kierunku granicy irackiej.

Kierowca jadącej do Zjednoczonych Emiratów Arabskich wielkiej ciężarówki odniósł niejasne wrażenie, że coś śmignęło mu w ciemnościach nad głową, był jednak mocno rozespany i doszedł do wniosku, że to pewnie halucynacje.

Denard włączył odbiornik GPS, zatoczył krąg i wylądował na szosie za znikającą w oddali ciężarówką.

W pobliżu nie było innych pojazdów.

Sprawdził swoją pozycję na mapie, stwierdzając, że zboczył z kursu tylko o trzy kilometry.

Ponownie wystartował, lecąc jeszcze przez osiemnaście minut na niskim pułapie.

Potem, uruchomiwszy podręczną krótkofalówkę małej mocy, powiedział tylko dwa słowa: - Wystrzelcie raketę.

Po upływie dziesięciu sekund zobaczył niewielką racę.

Pojawiła się w odległości około półtora kilometra, trochę na prawo.

Poszybowała na wysokość pięćdziesięciu metrów i zniknęła gdzieś w bezmiarze pustyni.

Świeciła zaledwie pięć sekund, ale Denardowi to wystarczyło.

Skierował samolot w prawo, dokładnie tam, skąd wystrzelono racę.

Czterdzieści sekund później minął widoczne na ziemi dwa równoległe rzędy świateł.

Zredukował obroty silnika i, wypuściwszy klapy, zatoczył powoli krąg, a potem wylądował na oświetlonym pasie.

Maszyna siadła miękko na wielkich balonowych oponach, kołując do końca zaimprovizowanego lądowiska.

Palmer czekał na niego w Land Cruiserze.

Dwa dni wcześniej przeprowadzili rekonesans i ustalili miejsce lądowania, określając jego dokładne położenie za pomocą odbiornika GPS.

Leżało na zupełnym pustkowiu, w Wadi al Ubajid, mniej więcej czterdzieści pięć kilometrów na północny wschód od Al Dżalamid i około trzydziestu pięciu kilometrów od granicy irackiej.

Denard był wyczerpany lotem na małej wysokości.

Usadowiwszy się na przednim siedzeniu Land Cruisera wypił dwie filiżanki słodkiej herbaty, którą miał dla niego w termosie Palmer.

Mechanik kończył tymczasem zabezpieczać samolot, mocując pokrywę silnika i przywiązując maszynę linami do ziemi dla ochrony przed wiatrem.

- Wolę już swoją robotę, Chris - zauważył Denard, gdy Palmer wsiadł do wozu.

- Nie zazdroszczę ci tej jazdy.

Co za cholernie monotony krajobraz.

- Nie ma sprawy, stary - odparł Palmer.

- Zachowuj się tylko przyzwoicie, dobrze?

- Jasne - odparł z przekąsem Denard.

- Ciekawe zresztą, co mógłbym tu zmalować?

- Znając cię wolę nie zgadywać.

- Palmer wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Masz dla mnie papiery?

Denard wręczył mu teczkę z dokumentami Sullivana.

- No to do widzenia - powiedział.

- Jedź ostrożnie i uważaj na wielbłądy.

- A ty nie zerznij jakichś zbłąkanych kóz.

Zobaczymy się za parę dni.

Denard wysiadł z samochodu i podszedł do namiotu, który rozbił Palmer.

Potrzebował długiego snu.

Pomyślał ziewając, że następnego dnia zgoli wąsy i zmyje farbę z włosów.

Nie musiał już udawać Sullivana.

Palmer uruchomił silnik Land Cruisera i ruszył na południe, w kierunku transarabskiego rurociagu.

Jechał po ciemku bocznymi drogami, korzystając z gogli noktowizyjnych.

Dotarł do głównej szosy o 22.11, wkrótce po tym, jak Bourne przeprowadził dwa ambulanse obok irackiego posterunku granicznego.

Iraccy żołnierze grzali się jeszcze przy ogniu, stojąc w pobliżu podpalonego przez Howarda składu paliwa.

Wysoko nad nimi przelatywał niezauważony satelita KH-12.

Minutę później znalazł się nad miejscem pożaru, rejestrując automatycznie obecność Land Cruisera akurat w momencie, gdy Palmer skręcał na główną drogę.

Zdjęcie trafiło do ogromnego archiwum banku danych i nikt się nim już później nie interesował.

Palmera czekała długa, osiemnastogodzinna jazda do Dżuddy.

45 Zapukano dwa razy do drzwi, cicho i delikatnie, tak jak życzył sobie tego siedzący za biurkiem wicedyrektor CIA.

- Proszę!

- powiedział, nadal przeglądając papiery i nie podnosząc wzroku na wchodzącego do gabinetu agenta.

- Raport FBI na temat Sullivana, sir.

Dopiero teraz wicedyrektor spojrział z zainteresowaniem na swego gościa.

- Niech mi pan to z grubsza zrelacjonuje - powiedział, gdy młody agent podał mu cienki plik papierów.

Jim Halsey zaczął recytować, jękając się ze zdenerwowania.

- T-ten człowiek n-nazywa się Ray Edwin Sullivan.

Urodzony p-piętnastego grudnia 1945 roku, 46 lat, obywatel amerykański, numer legitymacji ubez...

- To na razie nieważne.

Niech pan się trzyma istotnych szczegółów, dobrze?

- P-przepraszam, sir.

- Halsey odchrząknął i mówił dalej: - Poszukiwany jest kawalerem.

Ma siostrę w stanie Iowa i wujostwo w Yermont.

Do niedawna mieszkał w Granite Shoals w Teksasie i prowadził na lotnisku w Los Morelos jednoosobowe przedsiębiorstwo czarterowe.

W styczniu zamknął firmę i sprzedał samolot, dwusilnikową Cessne.

Czternastego marca wyprowadził się z wynajmowanego mieszkania, nie zostawiając żadnego adresu kontaktowego.

Dwudziestego siódmego marca wykupił bilet na rejs numer 1632 linii Delta Airlines.

O 15.10 wystartował z Houston w Teksasie, a o 19.20 przesiadł się w Atlancie, w stanie Georgia, na lot Delta Airlines numer 10 do Londynu.

Dwudziestego ósmego o godzinie 08.10 dotarł na lotnisko Gatwick.

To znaczy do Anglii, sir.

- Wiem gdzie jest Gatwick.

Jest notowany?

- Miał drobną sprawę za posiadanie narkotyków, sir.

Dawno temu, w 1967 roku.

Chodziło o dziesięć gramów marihuany.

- To wszystko?

Żadnych informacji o przebiegu służby wojskowej?

- Nie, sir.

Ciągle próbujemy się czegoś dowiedzieć.

- Czy ktoś rozmawiał z jego ciotką albo wujem?

- Nasi ludzie na razie do nich nie dotarli, sir.

Ale skontaktowali się z jego siostrą.

Twierdzi, że to lekkoduch, nieodpowiedzialny leń, który radzi sobie w życiu tylko dzięki osobistemu urokowi.

Podobno w wieku dwudziestu paru lat chorował poważnie na astmę, co wyjaśniałoby, dlaczego nie służył w wojsku.

Jego siostra mówi też...

- Halsey zawahał się, ale wicedyrektor dał mu znak, żeby kontynuował.

- Powtarzam tylko jej słowa, sir.

Mówi, że wszyscy go lubią, ale to nicpoń i ladaco.

- Co?

Czyżby nie byli w dobrych stosunkach?

- Na to wygląda, sir.

Siedem lat temu pożyczył od niej trzy i pół tysiąca dolarów na kupno samolotu i nigdy tych pieniędzy nie zwrócił.

W ogóle ze sobą nie rozmawiają.

Kiedy zapytano tę kobietę, czy jej brat nie współpracuje przypadkiem z jakąś przestępczą organizacją, po prostu się roześmiała.

- Hm.

Zdobyliście dokładniejsze informacje o sytuacji finansowej tego człowieka?

- Mamy kopie wyciągów z jego konta za ostatnich pięć lat, sir.

Nie posiadał żadnego majątku poza Cessną.

Wystarczało mu pieniędzy tylko na płacenie bieżących rachunków - zwykle z opóźnieniem.

- Nic więcej nie wiadomo?

- Nie, sir.

Czy mam zostawić panu te akta?

- Tak, proszę.

To wszystko, panie...

- Halsey, sir.

- Dziękuję, panie Halsey.

Młody agent wyszedł, zostawiając szefa pogrążonego w rozmyślaniach nad osobą Raya Sullivana.

Nicpoń i ladaco.

A sprawia tyle kłopotów.

Zastępca dyrektora CIA był zaskoczony tym, co usłyszał.

No cóż, dopilnuje, żeby Sullivan odpokutował za swoje winy.

Jeżeli kiedykolwiek pojawi się znowu w Stanach albo w miejscu, gdzie CIA będzie mogła dostać go w swoje ręce, pożałuje tego, co zrobił.

O tak, gorzko tego pożałuje.

Jedno tylko było pocieszające i podtrzymywało zastępcę dyrektora na duchu.

Taki nicpoń i ladaco jak Sullivan nie potrafiłby zorganizować operacji na międzynarodową skalę.

Musiał odgrywać w tym wszystkim jedynie podrzędną rolę.

Może był wyłącznie bezwolną marionetką.

Sądząc z raportów, które nadeszły właśnie z Londynu, nie zacierał za sobą śladów, tak jak pozostali.

Najprawdopodobniej w grupie nie było innych Amerykanów.

Wszystko wskazywało na to, że całą akcją kierowali jednak Brytyjczycy.

W porządku, pomyślał wicedyrektor Agencji.

Niech więc zajmują się tym Angole.

46 Mel Harris odłożył słuchawkę i zmarszczył brwi.

Łatwo uzyskał połączenie.

Łatwiej niż przypuszczał.

Ale nie na tym polegał problem.

Dlaczego Patel sam się nie odezwał?

Wiedział, że ma czekać na telefon i obiecał siedzieć w biurze przez całe popołudnie.

W niedzielę nie powinno tam być nikogo więcej.

Coś musiało się zdarzyć.

Patel nigdy nie zatrudniał w biurze Murzynów, tylko Hindusów, a przede wszystkim własną rodzinę.

Więc dlaczego telefon odebrał Murzyn?

Rozmowa była krótka i Harris z niczym się nie zdradził, szybko odkładając słuchawkę.

Nie spodobał mu się jednak spokojny głos czarnoskórego rozmówcy, który oznajmił, że pana Patela nie ma w biurze i zapytał, kto mówi.

Jeżeli Patel został aresztowany, co mógł powiedzieć policji?

Harris pomyślał, że właściwie nic.

Dostał tylko listę rzeczy, które należało kupić i załadować do kontenera, zanim statek wyruszy w powrotną drogę.

Patel miał smykałkę do handlu i zdobycie tych przedmiotów nie stanowiło dla niego problemu.

W zamian za premię w wysokości trzydziestu tysięcy dolarów przyjął skwapliwie zlecenie, nie zadając żadnych pytań.

Nic nie wiedział o przeznaczeniu kontenera.

Sprzęt i produkty, które miał dostarczyć, dziwnie może do siebie nie pasowały, ale nie powinny wzbudzać podejrzeń.

Nie, pomyślał Harris.

Patel niczego policji nie wyjawia.

Ale jeżeli go aresztowano...

Harris uznał, że nie może być tego pewny.

Spróbuj znowu do niego zadzwonić, może jutro.

Palmer przybędzie wkrótce z papierami.

Wtedy uwolnią się od Sullivana.

Będą mieli przynajmniej jeden kłopot z głowy.

Pomyślał, że wyniesie się wreszcie z tego pieprzonego hotelu.

Chodził po pokoju, zaciągając się nerwowo dymem z papierosa.

Ta rozmowa telefoniczna bardzo go zaniepokoiła.

Dobrze jednak, że postanowił sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Główny inspektor Robert Mwanza odłożył słuchawkę telefonu w biurze Patela w Mombasie, dwa tysiące czterysta kilometrów na południe od miejsca, z którego dzwonił Harris.

Zmarszczył brwi, podobnie jak jego rozmówca.

A więc ten Hindus, Patel, nie kłamał, opowiadając o "panu Harmonie".

Dzwoniący mężczyzna nie przedstawił się, ale fakt, że usłyszawszy jego głos odłożył słuchawkę, był dostatecznie wymowny.

Miał angielski akcent, tak jak twierdził Patel.

Nie amerykański.

Dlaczego więc interesują się nim Amerykanie?

Dzwonił z zagranicy, ale rozmowa trwała zbyt krótko, aby ustalić jego numer.

Inspektor przebiegł w myślach listę przedmiotów, którą pokazywał mu Hindus.

Najwyraźniej większość z nich stanowiła wyposażenie kontenera, w którym miało podróżować dwóch ludzi.

Ale do czego były potrzebne inne rzeczy: gumowy ponton, kombinezony nurków, liny i cała reszta?

Po głębszym zastanowieniu Mwanza doszedł do wniosku, że ten Amerykanin, Cresswell, nie powiedział mu prawdy.

Nie chodziło o żaden przemyt.

Postanowił dołączyć do raportu skargę w tej sprawie.

Pomyślał jednak, że tak czy inaczej udało mu się pokrzyżować

skutecznie czyjeś plany.

47 - Alvin?

- Tak.

Kto mówi?

- Jonathan Mitchell.

To nieoficjalna propozycja, ale może dobrze byłoby połączyć nasze siły?

Kennings natychmiast stał się czujny.

Znał dobrze Mitchella i lubił go, ale nie otrzymał jeszcze pozwolenia z Langley, żeby współpracować z nim w tej sprawie.

- Chyba nie bardzo cię rozumiem, Jonathanie - powiedział, udając zaskoczenie.

- Och, daj spokój, Alvin.

- Głos Anglika brzmiał poważnie, bez cienia drwiny.

- Nie bądź taki.

Chodzi o ten samolot.

Kennings nadal się nie poddawał.

- Co masz na myśli?

- zapytał.

- No dobrze - westchnął Mitchell.

- Skoro jesteś taki nieustępliwy, wyłożę karty na stół.

Wiem, gdzie jest ten Islander.

Albo przynajmniej gdzie powinien być - dodał.

- Co?!

- Okrzyk Kenningsa spowodował głośny rezonans w słuchawce telefonu.

- Jak się tego dowiedziałeś?

Gdzie on jest?

Na linii zaległa nieznośna cisza.

Kennings skapitulował.

- Więc czego ode mnie oczekujesz?

- To proste.

Masz do dyspozycji samolot.

Rząd Jej Królewskiej Mości nie zapewnia nam prywatnych odrzutowców.

W zamian za transport podzielę się z tobą informacjami.

Kennings zastanawiał się, skąd u diabła Mitchell wiedział o jego Learze.

Zresztą nieważne.

Warunki umowy były do przyjęcia Postanowił się zgodzić.

- W porządku - powiedział.

- Spotkamy się za dwadzieścia minut na lotnisku.

Obok stanowiska American Airlines.

- Dobrze.

Do zobaczenia.

Czterdzieści minut później dwaj przebywający w Arabii Saudyjskiej wysocy funkcjonariusze brytyjskich i amerykańskich służb specjalnych siedzieli w niewielkim Learze, który kołował po pasie międzynarodowego lotniska imienia króla Khaleda w Rijadzie.

Kennings zwrócił się do Anglika.

- A więc, Jonathanie, jak zdobyłeś informacje?

- W bardzo prosty sposób.

Pracownicy naszej ambasady obdzwonili wszystkie lotniska w całym kraju.

W końcu dopisało im szczęście.

To miejsce nazywa się Tabuk.

- Co?!

Telefonowałem tam przed niecałą godziną.

Nic mi nie powiedzieli, dlaczego lecimy do Ar "ar, skoro samolot jest w Tabuku?

- Nie ma go na żadnym z tych lotnisk.

Wyobraź sobie, że powinien był dotrzeć do Tabuku już ponad piętnaście godzin temu, a nikt nie zgłosił jego zaginięcia.

Zauważyli, że zniknął, dopiero wtedy, gdy spytałem, o której będzie na miejscu.

- Co za beznadziejne dupki!

- powiedział pieszczotliwie Kennings.

- Więc dlaczego lecimy do Ar ”ar?

- Z dwóch powodów.

Po pierwsze, Islander wystartował stamtąd wczoraj o 19.00.

Po drugie, stał tam przez ostatnie dwa tygodnie.

W każdym razie w tym rejonie.

- Co?!

- Po raz drugi w ciągu niecałej godziny spokojny zazwyczaj Kennings nie potrafił powstrzymać okrzyku zdziwienia.

W Langley musieli mieć te informacje.

I nikt nie raczył go zawiadomić.

Niech no tylko...

Mitchell obserwował wyraz twarzy Kenningsa i miał wrażenie, że odgaduje jego myśli.

Na trop samolotu wpadła przypuszczalnie CIA.

- Pewnie to przykład przestrzegania w źle pojęty sposób zasady: ”informować tylko tyle co trzeba” - stwierdził.

- Może pocieszysz cię fakt, że mnie też nie powiedzieli.

Po telefonie do Tabuku wydusiłem te informacje z pracownika lotniska w Ar ”ar.

Wszystko było tam już pozamykane.

Kazałem ściągnąć do telefonu jakiegoś urzędnika, który skończył służbę.

Kiedy mu trochę nagadałem, okazał się nawet dość pomocny.

Kennings słuchał tego tylko jednym uchem.

Kipiał z wściekłości, że musiał prowadzić beznadziejne

poszukiwania, gdy tymczasem w Langley przez cały czas wiedzano dokładnie, gdzie należy go skierować.

W końcu przestał o tym myśleć, zmieniając temat.

- Powiedz mi, Jonathanie, czy spółka Darcon jest w porządku?

- Dlaczego pytasz?

- Ponieważ z przedstawionej na lotnisku w Dżuddzie dokumentacji Islandera wynikało, że to ich samolot.

Zadzwoń do faceta, który nazywa się Hughes.

Reprezentuje firmę na tym terenie.

Twierdzi, że nie wie nic o Islanderze.

Jego zdaniem zaszła jakaś pomyłka.

Podobno mają już tutaj samolot - niewielką, jednosilnikową maszynę.

Mitchell nagle się zamyślił.

- To rzuca nowe światło na całą sprawę - stwierdził, marszcząc brwi.

- Dlaczego?

- Ponieważ parę dni temu Islander otrzymał z Ar ”ar zezwolenie na czasowy postój w pobliżu położonej przy szosie bazy budowlanej w Badanah.

Mój informator twierdzi, że pilot i jego koledzy właśnie tam mieszkają.

A baza należy do spółki Darcon.

- No cóż - powiedział Kennings - Chyba więc powinniśmy najpierw się tam rozejrzeć, prawda?

A po powrocie pogawędzimy sobie znowu z tym sympatycznym panem Hughesem na temat jego pracowników.

Należy nam się trochę wyjaśnić.

- Mam lepszy pomysł - stwierdził Mitchell.

- Zadzwońmy do niego od razu.

Zaoszczędzimy w ten sposób trochę czasu.

Jest tu telefon, prawda?

Korzystając ze znajdującego się w samolocie radiotelefonu Mitchell zadzwonił do Hughesa, który skończył właśnie pracę w biurze i zamierzał iść do domu.

Wydawał się szczerze zakłopotany i oburzony tym, co usłyszał, twierdził jednak stanowczo, że przybysze dysponowali wiarygodnymi dokumentami z Londynu, które podpisał osobiście sir Peter Dartington.

- Panie Hughes - powiedział Mitchell.

- Wyślę zaraz do pana jednego z moich ludzi z ambasady.

Będzie mu towarzyszył...

- Mitchell spojrzał na Kenningsa, który skinął głową - ...ktoś z ambasady Stanów Zjednoczonych.

Byłbym wdzięczny, gdyby udzielił im pan wszechstronnej pomocy.

Hughes obiecał, że to zrobi.

- I jeszcze jedno, panie Hughes.

Wspomniał pan, że ci ludzie prosili o cztery pojazdy.

Czy na pewno?

Hughes potwierdził, że tak było.

- Dobrze - rzekł Mitchell.

- Chciałbym, żeby zameldował pan natychmiast saudyjskiej policji, że te pojazdy zostały skradzione.

Proszę podać rysopisy mężczyzn, których pan widział.

W ciągu godziny będę w Badanaħ i potwierdzę panu telefonicznie zniknięcie tych wozów.

- Skończywszy rozmowę Mitchell zwrócił się do Kenningsa.

- Niech policja odwali za nas trochę żmudnej roboty, no nie?

Agent CIA uśmiechnął się.

- Dobry ruch, Jonathanie - stwierdził.

- To mi się podoba.

Nawet bardzo.

48 Tony Hughes, dezorientowany i zły, zebrał niezwłocznie dane na temat wysłanych do Badanaħ Land Cruiserów oraz faxy, które otrzymał z Anglii.

Zrobił trzy kopie całej dokumentacji: jedną dla policji i dwie dla przedstawicieli brytyjskiej i amerykańskiej ambasady, którzy zawiadomili go telefonicznie, że są już w drodze.

Czekając na przyjazd policji zadzwonił do londyńskiego biura swego przyjaciela i współpracownika, sir Petera Dartingtona.

Jego sekretarka powiedziała jednak, że prezes wyjechał z kraju i nie ma z nim żadnego kontaktu.

Hughes chciał właśnie prosić o połączenie z Dorothy Webster, osobistą asystentką Dartingtona, zamierzając wyciągnąć od niej informacje na temat miejsca pobytu szefa, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu wszedł ubrany w elegancki mundur sierżant saudyjskiej policji.

Hughes odłożył słuchawkę, wstał zza biurka i uprzejmie go powitał.

W Arabii Saudyjskiej notuje się stosunkowo niewiele pospolitych przestępstw, głównie dlatego, że ich wykrywalność jest wysoka, a za

drobne nawet wykroczenia grożą bardzo surowe kary.

Przypadki kradzieży i włamań są nader rzadkie.

Mając w perspektywie możliwość utraty prawej dłoni, którą skazańcowi ucina się podczas publicznej egzekucji, potencjalny przestępca stwierdza na ogół, że nawet proceder przynoszący duże zyski nie jest wart takiego ryzyka.

Oprócz tego, że sama kara dostatecznie odstrasza i zniechęca, brak właśnie prawej dłoni podwójnie człowieka hańbi.

Prawej ręki używa się do jedzenia, podczas gdy lewa służy do pielęgnacji tej części ciała, która nie powinna nawet pośrednio stykać się z pokarmem.

Podając lub biorąc pożywienie lewą ręką popełnia się nietakt, który nigdy nie zostanie wybaczony ani zapomniany.

Jeśli ktoś nie ma prawej dłoni, wiadomo natychmiast, co uczynił.

I nawet gdyby uznano, choć jest to mało prawdopodobne, że został już dostatecznie ukarany za popełnione czyny, będzie zawsze niepożądaną osobą przy posiłkach.

Otrzymawszy od swoich zwierzchników polecenie wszczęcia śledztwa w sprawie kradzieży aż czterech samochodów, sierżant policji potraktował to zadanie bardzo poważnie.

Hughes zrelacjonował mu w ciągu dwudziestu minut wszystko, co wiedział i wręczył przygotowane zawczasu informacje na temat "pana Bryce'a" i "pana Pottera".

Kiedy sierżant usłyszał, że Bryce i Potter mogli dostać się do kraju nielegalnie, udając pracowników Darcona, jego twarz jeszcze bardziej spochmurniała.

Uznawszy, że zapoznał się już z najistotniejszymi szczegółami sprawy, podziękował Hughes'owi oficjalnym tonem i wyszedł.

Była dokładnie godzina 17.00.

Saudyjska policja nie traciła czasu.

Informacje o dwóch poszukiwanych mężczyznach oraz czterech skradzionych Land Cruiserach przekazano komisariatom i patrolom w całym królestwie.

Hughes podał dokładne rysopisy obu podejrzanych, widział jednak Bourne'a i Palmera tylko w przebraniu.

Bourne, występujący jako "pan Bryce", miał pod policzkami plastikowe wkładki, a na oczach szkła kontaktowe, zaś Palmer nosił gęstą brodę, którą zapuszczał specjalnie od listopada.

Zgolił ją zaraz po przyjeździe do Adnanah.

Przekraczali granicę Arabii Saudyjskiej, posługując się własnymi paszportami i używając prawdziwych nazwisk, a na zdjęciach dołączonych do wniosków wizowych byli mało podobni do mężczyzn, których widział Hughes, nie mógł więc ich na tej podstawie zidentyfikować.

Hughes popełnił w istocie - choć trudno mieć mu to za złe - pewien poważny błąd, gdy podawał sierżantowi szczegółowe rysopisy poszukiwanych mężczyzn.

Chociaż podczas ich spotkania przed dwoma tygodniami Palmer - człowiek z brodą - powiedział tylko kilka słów, Hughes był pewien, że mówił on z południowoafrykańskim akcentem.

Zwrócił na to wyraźnie uwagę sierżantowi policji i Saudyjczy - czemu trudno się dziwić - bezkrytycznie przyjęli do wiadomości jego oświadczenie.

Co ciekawsze, nie zakwestionowali tego również Brytyjczycy i

Amerykanie.

Policjanci z irlandzkiej Gardy, przesłuchujący poprzednich właścicieli Islandera, usłyszeli od nich o południowoafrykańskim akcencie Palmera, a zeznania Hughesa potwierdziły jedynie tę informację.

W rzeczywistości istnieje nieznaczna tylko różnica między akcentem białego mieszkańca Zimbabwe oraz białego obywatela Południowej Afryki, którego przodkowie byli Anglikami, a nie Afrykanerami.

Gdyby Hughes potrafił rozpoznać tę różnicę, saudyjskie władze imigracyjne ustaliłyby szybko tożsamość Palmera, z tego prostego powodu, że oprócz niego przebywały wówczas w Arabii Saudyjskiej zaledwie dwie osoby, będące białymi obywatelami Zimbabwe: Denard oraz pewna kobieta, zatrudniana jako opiekunka do dzieci u żony dyrektora amerykańskiej spółki naftowej.

Palmer miał tego dnia podwójne szczęście.

Dokładnie wówczas, gdy do biura Hughesa wchodził sierżant policji, Palmer mijął w pobliżu Dzuddy punkt rutynowej kontroli drogowej, kończąc właśnie długą podróż na południe z miejsca, w którym pozostawił Denarda i samolot.

Znudzonych policjantów nie zainteresował szczególnie pozdrawiający ich przyjaźnie barczysty kierowca Land Cruisera.

Skoncentrowali uwagę na podążającej tuż za nim półciężarówce, w której jechało pięciu hinduskich imigrantów.

Jeden z Hindusów nie miał przy sobie iqaama i kiedy czterdzieści minut później dotarły na posterunek informacje o skradzionych samochodach, pasażerów półciężarówki przetrzymywano nadal na punkcie kontrolnym.

Policjanci zapomnieli już do tego czasu o Land Cruiserze, który zdążył minąć ich posterunek.

Przejechawszy morderczy dystans prawie tysiąca czterystu kilometrów Palmer dotarł do hotelu "Sheraton" w Dżuddie i odpoczywał teraz w hallu, popijając chłodnego drinka.

W Arabii Saudyjskiej kontrolą ruchu drogowego i zwalczaniem przestępczości zajmują się odrębne jednostki policji, w tym jednak przypadku postawiono w stan pogotowia obie formacje, polecając im prowadzić poszukiwania dwóch mężczyzn o podanych rysopisach.

Alvin Kennings i Jonathan Mitchell dotarli do Badanah, zastając tam w bazie budowlanej jedynie pakistańskiego kucharza, który siedział sam w swojej kwaterze.

Zorientowali się od razu, że nie ma on z całą sprawą nic wspólnego, przesłuchali go jednak szczegółowo, aby wydobyć z nieszczęśnika informacje na temat ludzi, którzy zamieszkiwali do niedawna obóz.

Zdenerwowany Pakistańczyk wyczuł natychmiast, że wplątał się w jakąś aferę i wychodził ze skóry, żeby im pomóc.

Zasypywał agentów SIS i CIA szczegółowymi zeznaniami.

Chcąc maksymalnie się wykazać, nie zważał na to, że są one nieścisle i mogą tylko utrudnić dochodzenie.

Kiedy nie znał albo nie pamiętał jakiegoś faktu, mówił agentom to, co jego zdaniem chcieli usłyszeć.

Kennings szybko zdał sobie sprawę, że Pakistańczyk przekazuje im masę bezwartościowych informacji, częściowo zmyślonych lub wprowadzających w błąd.

W dodatku kucharz nie miał pamięci do szczegółów.

Podane przez niego rysopisy ośmiu mężczyzn okazały się właściwie bezużyteczne.

- Z tym facetem do niczego nie dojdziemy - stwierdził Kennings, odciągawszy Mitchella na bok.

- Za bardzo stara się nam pomóc i opowiada bzdury.

Wiemy właściwie tylko, że było tu ośmiu białych mężczyzn, którzy wczoraj wieczorem opuścili bazę, mając do dyspozycji trzy samochody i samolot.

Prawdą jest też chyba, że dwa pojazdy pomalowano tak, żeby wyglądały na ambulanse i że jeden z silników, jak on to określił, robił "bardzo potworny hałas".

Te dwa wozy są na pewno w Iraku.

Trzeci też musiał stąd odjechać i należałoby założyć, że jest nadal w Arabii Saudyjskiej.

Po czwartym samochodzie została w warsztacie tylko karoseria.

Pewnie rozebrali go na części.

Chyba ograniczymy się do komunikatu, że poszukujemy teraz ośmiu białych mężczyzn, trzech samochodów i samolotu.

Przy założeniu, że Sullivan pilnuje swojej maszyny, pozostaje nam

siedmiu mężczyzn, podróżujących trzema pojazdami, z których dwa są w Iraku.

Myślę, że jeżeli dodamy do tego więcej informacji, zrobi się tylko niepotrzebne zamieszanie.

- Masz rację - stwierdził Mitchell.

- Zadzwoń do Hughesa, żeby powiadomił policję.

Miejmy nadzieję, że znajdą ten trzeci samochód.

Po telefonie od Mitchella Hughes szybko przekazał saudyjskiej policji stosowne informacje.

Rozszerzono odpowiednio zakres poszukiwań i zarządzono przesłuchanie wszystkich białych pracowników spółki Darcon.

Gdyby Kennings i Mitchell byli w bezpośrednim kontakcie z policją, zadbaliby o to, żeby nie zajmowano się jedynie personelem firmy.

Wiedzieli jednak, że jakakolwiek zdecydowana interwencja z ich strony doprowadziłaby do komplikacji na szczeblu dyplomatycznym i zagmatwała jeszcze bardziej całą sprawę.

O wiele lepiej było uznać, że chodzi po prostu o przypadek zgłoszonej przez spółkę Darcon poważnej kradzieży.

Hughes i policja mieli wszelkie powody zakładać, że przestępcy udają pracowników firmy.

Niestety, założenie to było błędne.

49 Kearwina ogarnęło w końcu zmęczenie.

Ustaliwszy, że ponton został zrzucony z kontenerowca i upewniwszy się, iż dwa śledzone przez nich pojazdy rzeczywiście zatrzymały się na całodzienny postój, przekazał pracę koledze i poszedł odpocząć do sali rekreacyjnej.

Padł wyczerpany na kanapę i spał jak zabity przez dziesięć godzin.

Obudził go zapach kawy i cichy szmer rozmów korzystających z krótkich przerw pracowników Biura.

Poszedł do męskiej toalety, aby się odświeżyć, a potem nalał sobie filiżankę kawy i wrócił do centrum sterowania.

Jego zmiennik był najwyraźniej zdziwiony.

- O, cześć, John.

Nie spodziewałem się ciebie tak szybko.

- Nie mogłem już wytrzymać - odparł Kearwin z szerokim uśmiechem.

- Co nowego?

Jack Fiske skrzywił się i westchnął.

- Żadnych zmian.

Mam tylko nadzieję, że ci faceci jeszcze tam są.

Ale wyniknął inny problem.

Naciskają nas w sprawie tego samolotu.

Zdaje się, że Langley nie może go znaleźć.

- Przecież był wczoraj w Badanaħ o...

18.30 czasu saudyjskiego, prawda?

Trzeba tylko zajrzeć do raportów AWACS i ustalić, dokąd poleciał.

Zajmie to trochę czasu, ale powinniśmy być w stanie go odszukać.

- No właśnie, John.

Wiadomo już, że o 19.00 wystartował z Badanaħ w kierunku Tabuku.

- Fiske wskazał to miejsce na mapie.

- Ale tam nie doleciał.

Przeglądałem raporty AWACS.

Wczoraj w nocy nie prowadzili obserwacji.

To było, oczywiście, jeszcze przed ogłoszeniem alarmu.

Skończyli służbę o 18.00.

Kearwin skrzywił się.

- Próbowałeś coś jeszcze zrobić?

- To beznadziejna sprawa, John.

Naprawdę.

Ten samolot mógł przelecieć setki kilometrów, w dowolnym kierunku.

Albo po prostu miał awarię silnika, rozbił się, czy coś w tym rodzaju.

Może być gdziekolwiek.

To tak jakbyśmy szukali igły w stogu siana.

Właściwie nawet gorzej.

Kearwin zdawał sobie z tego sprawę.

Kiedy wpadł na trop kontenerowca, wysłedziwszy trasę, którą płynął ponton, wiedział chociaż w przybliżeniu, w jakim rejonie prowadzić poszukiwania.

Fiske miał rację.

W zaistniałej sytuacji mogli odnaleźć Islandera tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi.

- Masz jakiś pomysł?

- zapytał.

- Przyjąłem pewne założenie - powiedział Fiske.

- Możemy uznać, że zniknięcie samolotu było celowe.

W końcu gdyby się rozbił, wypadłby z gry i już by nas nie interesował.

Zakładając więc, że nadal jest sprawny, z pewnością nie należy go szukać tam, dokąd oficjalnie miał lecieć, czyli na trasie do Tabuku.

Tylko tyle przychodzi mi do głowy.

- Chyba masz rację.

Więc dokąd poleciał?

- Moim zdaniem zawrócił i ukrywa się gdzieś na pustyni.

Może nawet na terenie Iraku.

Kearwin zastanawiał się przez chwilę.

W sumie przyznawał mu rację.

- Próbowalesz skorzystać z pomocy JSTARS?

- Poprosiłem ich godzinę temu, żeby spenetrowali ten rejon.

- Fiske wskazał wybrany na chybił trafił odcinek pustyni na południe od posterunku granicznego.

- A potem wpadłem w panikę.

Jeżeli przestaną mieć na oku tamten budynek, samochody mogą odjechać i zostaniemy na lodzie.

Nawet przy założeniu, że Islander przeleciał nie więcej niż sto pięćdziesiąt kilometrów, JSTARS musiałby prowadzić poszukiwania przez dwa - trzy dni bez przerwy, żeby go zlokalizować.

- Zgadza się - powiedział Kearwin.

- To za duże ryzyko.

A więc pozostają nam...

- Satelity KH-11 i KH-12.

- Fiske stłumił ziewnięcie, dodając: - Chyba że ten samolot znowu wystartuje i wtedy AWACS go zauważy.

Pozwoliłem sobie zlecić im w twoim imieniu prowadzenie całodobowej obserwacji.

- Bardzo słusznie - stwierdził Kearwin.

- No cóż, spróbujemy skorzystać ze zdjęć satelitarnych.

Może zauważymy gdzieś tego Islandera.

Przecież w końcu, do cholery, tak właśnie wpadliśmy na trop tych dwóch samochodów.

Musimy zobaczyć fotografie zrobione wczoraj, powiedzmy między 18.00 a 23.00 miejscowego czasu.

Nowszych nie ma sensu przeglądać.

Przy wystygniętych silnikach samolot byłby zbyt trudny do

zlokalizowania.

- Kearwin powziął nagle decyzję.

- W porządku, niech zajmą się tym stażyści.

To będzie najnudniejsza robota w ich życiu.

Musimy przejrzeć po kolei tysiące zdjęć i porównać każde z wzorcową fotografią Islandera.

Sprawdzenie tych materiałów może zająć wiele dni, a i tak są one niekompletne.

Miejmy nadzieję, że samolot ruszy się tymczasem z miejsca i pozwoli nam przerwać poszukiwania.

Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest Walter?

- Właśnie miałem ci to powiedzieć - odparł Fiske.

- Wpadł tu przed godziną, elegancki jak nigdy.

Był w swoim najlepszym garniturze i pod krawatem.

Powiedział, że wezwali go na nadzwyczajne posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

Zaczyna się o 11.00.

Dobry Boże!

pomyślał Kearwin.

Mors na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa!

Zawsze psioczył na tych "matołów", a teraz stał się jednym z nich!

O 17.55, gdy Palmer zamawiał w hallu hotelu "Sheraton" drugiego drinka, Harris załatwiał w recepcji niezbędne formalności, wymeldowując siebie i Sullivana, który czekał w pokoju na górze.

W tym momencie do recepcjonisty podeszli dwaj policjanci i zażądali rozmowy z kierownikiem, który natychmiast się zjawił.

Harris usłyszał jak starszy z funkcjonariuszy prosi o książkę gości.

W normalnych warunkach nie zwróciłby na to uwagi, ale zważywszy na podejrzenia, jakie miał tego popołudnia po swoim telefonie do Mombasy, był bardziej czujny niż zwykle.

Wyteżył słuch.

Rozumiał arabski na tyle, by wiedzieć mniej więcej, o czym mówią policjanci, ale dopiero na dźwięk słowa "Darcon" zdał sobie sprawę z zagrożenia.

Po chwili zobaczył, jak jeden z policjantów wręcza kierownikowi hotelu jakąś fotografię, pytając, czy rozpoznaje widocznego na niej mężczyznę.

Harris przysunął się ostrożnie, aby rzucić okiem na zdjęcie i serce zamarło mu w piersi.

Fotografia, choć niezbyt wyraźna, przedstawiała niechybnie Sullivana.

Harris zdążył jeszcze odczytać pierwsze trzy litery jego zapisanego po arabsku nazwiska, pozbywając się wszelkich wątpliwości.

Kierownik hotelu pokręcił jednak głową i oddał policjantowi zdjęcie.

Harris zastanawiał się gorączkowo.

Dziękował Bogu, że był na tyle ostrożny, by zarezerwować drugi pokój na nazwisko Denarda i że obaj mężczyźni zostali zameldowani jako pracownicy spółki Pan-Arabian Petroleum, a nie Darcona.

Kierownik nie rozpoznał na zdjęciu Sullivana, co było kolejnym szczęśliwym przypadkiem.

Harris pomyślał, że słusznie zrobił nalegając, by Amerykanin zaraz po przyjeździe zgolił wąsy.

Nie zmieniało to jednak faktu, że zostali zdemaskowani.

Zapłaciwszy rachunki i odebrawszy paszporty, swój i Denarda, Harris podszedł do Palmera.

- Chris, mamy kłopoty - oznajmił półgłosem, dzieląc się z nim pośpiesznie swymi podejrzeniami.

- Policja szuka Sullivana.

Widziałem właśnie, jak pokazywali w recepcji jego zdjęcie.

Musimy, niestety, zakładać, że nas też poszukują.

Już wczoraj coś podejrzewałem, kiedy nie mogłem skontaktować się z naszym agentem w Mombasie, który miał dopilnować załadunku kontenera na drogę powrotną.

- Psiakrew!

- zaklął siarczyście Palmer.

- Co teraz zrobimy?

- No cóż, spróbujemy dostrzec w tym wszystkim jasne strony.

Po pierwsze, twoja podróż nie była daremna.

Szef miał rację, każąc nam się zabezpieczyć.

Musimy teraz odprawić Sullivana, i to natychmiast.

W pewnym sensie spełnił swoje zadanie: Andy potrzebował tylko jego dokumentów.

Byłoby dobrze nie tracić samolotu, ale możemy nie mieć innego wyjścia.

Przypuszczam, że trzeba będzie go porzucić.

Teraz muszę przede wszystkim oddać Sullivanowi papiery i zawieźć go na lotnisko.

Niech spróbuje sobie poradzić.

Dobrze przynajmniej, że nie zna naszych nazwisk.

Jeżeli go złapią, poda co najwyżej rysopisy dwóch ludzi - mój i Andyego, bo tylko nas widział.

- W porządku - stwierdził Palmer.

- A co z samochodami?

Mogą mieć ich numery rejestracyjne.

- No właśnie - przyznał Harris.

- To by oznaczało, że twój Land Cruiser jest trefny.

Musimy przyjąć takie założenie.

Posłuchaj, co zamierzam zrobić.

Zawiozę Sullivana taksówką na lotnisko i wynajmę tam drugi samochód - w miarę możliwości Land Cruisera w takim samym kolorze.

Zamienię tablice rejestracyjne, żebyśmy mogli korzystać dalej z twojego wozu.

Nie chcę robić zbyt wielu kilometrów wypożyczonym samochodem - to mogłoby zwrócić uwagę.

Poza tym niewykluczone, że będziemy musieli go porzucić i wtedy byłbym spalony, bo w wypożyczalni muszę zapłacić własną kartą kredytową.

Lepiej korzystać z twojego Land Cruisera i przykręcić nowe tablice - zawsze można je zdjąć, gdyby trzeba go było gdzieś zostawić.

- Ale skoro chcesz wymieniać tablice, trefny będzie wóz z wypożyczalni.

Co nam to daje?

- Mam pewien pomysł - stwierdził Harris.

Szybko wyjaśnił Palmerowi swój plan, po czym odebrał od niego teczkę z dokumentami Sullivana i poszedł na górę.

Minąwszy swój pokój wślizgnął się do służbowego pomieszczenia i uważnie je obejrzał.

Na podłodze leżała torba z narzędziami.

Otworzył ją, wyjął ze środka ręczny świder, piłkę do metalu oraz śrubokręt i włożył to wszystko do nesesera.

Oczy zabłysły mu na widok podłużnej szafki, wyłożonej cienką płytą z białego, twardego plastiku.

Używając kuchennego noża podważył kawałek blatu i przełamał go na dwie części, dostatecznie małe, aby zmieściły się do nesesera.

Potem wrócił do pokoju po Teksańczyka, który skończył się już pakować i był gotowy do opuszczenia hotelu.

Zeszli obaj z torbami do hallu.

Mijając z boku recepcję Harris szybko wyprowadził Sullivana

wprost do taksówki.

Palmer trzymał się z tyłu.

Teksańczyk nie zdawał sobie w ogóle sprawy z jego obecności.

W drodze na lotnisko Harris poinformował zaskoczonego Sullivana, że zadanie zostało odwołane, ale tak czy inaczej dostanie obiecane pieniądze.

Wręczył mu świstek papieru z adresem banku w Belgii, który po otrzymaniu odpowiednich instrukcji i zaszyfrowanego numeru rachunku prześle na wskazane konto w dowolnym miejscu na świecie sumę dziewięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Harris uznał, że winien jest jowialnemu Teksańczykowi jakieś wyjaśnienia.

- Posłuchaj, Ray - szepnął, aby nie usłyszał go kierowca taksówki.

- Możliwe, że na lotnisku będą kłopoty.

Staraj się nie zwracać na siebie uwagi.

W hotelu byłeś zameldowany pod fałszywym nazwiskiem.

Mam nadzieję, że mnie nie sypniesz.

Możesz znaleźć się w tarapatkach.

Rozumiesz?

Ray Sullivan zrobił kwaśną minę.

- To jasne, że skoro dostaję dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, musiało chodzić o jakiś szwindel.

Nie martw się, Mitch.

Będę udawał głupiego.

Ale przypuszczam - stwierdził ironicznie - że nie nazywasz się naprawdę Mitch Hoskins, co?

Harris wyszczerzył zęby w uśmiechu, ignorując to pytanie.

- Jeżeli cię złapią - mówił dalej - przez jakiś czas może być gorąco.

Musisz powtarzać, że w ogóle nie opuszczałeś hotelu i nie masz pojęcia, o co chodzi.

Potwierdzi to wielu świadków.

Chcę cię tylko prosić, żebyś w razie czego nie podawał policji mojego dokładnego rysopisu.

- Nie ma sprawy, Mitch.

Wiesz, miło było cię poznać.

Cholernie jestem ciekaw, co to za historia, ale pewnie lepiej, żebym nie pytał.

Harris znów się uśmiechnął.

Naprawdę polubił tego beztroskiego Teksańczyka.

- Nie wyszłoby ci to na zdrowie, Ray - odparł.

- Ale może kiedyś przeczytasz o tym w gazetach.

Nawiasem mówiąc, na twoim miejscu nie wracałbym do Stanów.

Jeżeli gliny szukają cię tutaj, to pewnie tam też.

- Więc jest aż tak źle?

Nie martw się.

I tak nie zamierzałem tam wracać.

Co prawda jestem winien pieniądze mojej siostrze, ale pewnie wyślę je przekazem.

Chyba pojedę na wschód - stwierdził, przygryzając w zamyśleniu wargę.

- Zawsze miałem ochotę wybrać się do Tajlandii - dodał z szelmowskim uśmiechem.

Kiedy dotarli na lotnisko, Harris zapłacił za taksówkę i pożegnawszy się z Sullivanem poszedł prosto do agencji Avis, by zapytać, jakimi samochodami dysponują.

Urzędnik zaczął wymieniać ich nazwy.

- Czy macie Toyotę Land Cruisera?

- zapytał Harris.

- Ten wóz najbardziej by mi odpowiadał.

Ale koniecznie w jasnym kolorze.

Ciemne za bardzo się nagrzewają.

- Urzędnik spojrzał na niego zdziwiony, ale potwierdził, że rzeczywiście mają Land Cruisera.

Harris wypożyczył go od razu, płacąc kartą kredytową.

Odszukał stojący obok wypożyczalni kremowy samochód, uruchomił silnik i podjechał kawałek dalej, na ogólnie dostępną część parkingu.

Znalazłszy tam wolne miejsce zaparkował Land Cruisera tyłem, niemal na styk z innym wozem, po czym wysiadł, przyklęknął między dwoma pojazdami, wyjął z nesesera śrubokręt i odkręcił tylną tablicę rejestracyjną.

Wróciwszy do samochodu przyciął odpowiednio kawałek plastikowej płyty i ostrożnie, aby nie złamać kruchego materiału, wywiercił w niej dwa otwory na śruby.

Potem wziął do ręki czarny flamaster z wodoodpornym tuszem i zaczął robić dokładną kopię tablicy rejestracyjnej.

Kiedy skończył, porównał falsyfikat z oryginałem.

Nowa tablica wyglądała całkiem nieźle.

Nie była to idealna podróbka, ale wystarczająco dobra dla jego potrzeb.

Pomyślawszy o ewentualnym ryzyku zaczął się znowu zastanawiać, czy nie byłoby w sumie bezpieczniej korzystać z pożyczonego wozu.

Uznał jednak, że podjął słuszną decyzję.

Gdyby musieli pozbyć się samochodu, który wypożyczył na swoje

nazwisko, policja natychmiast wpadłaby na jego trop.

Poza tym na liczniku wynajętego Land Cruisera przybyłoby zbyt wiele kilometrów.

Zamiana numerów rejestracyjnych była jedynym rozwiązaniem.

Harris wysiadł z wozu i przykręcił w miejsce tylnej tablicy jej plastikową kopię.

Potem przestawił samochód tak, aby dokonać podobnej zamiany z przodu.

Następnie włożył dwie oryginalne tablice oraz dokumenty pożyczonego pojazdu do nesesera, zamknął drzwiczki i ruszył w kierunku budynku lotniska.

Zatrzymawszy taksówkę pojechał z powrotem do hotelu "Sheraton".

Palmer kręcił się w pobliżu hotelowego parkingu, obserwując dyskretnie swój samochód.

- Na razie nikt się nim nie interesował - oznajmił Harrisowi.

Harris postanowił dłużej nie czekać.

Pozostawiwszy Palmera na straży zamienił trefne tablice na te, które zdjął z wypożyczonego Land Cruisera.

Dziękował opatrności, że w miejscu, gdzie stał wóz Palmera, parking był słabo oświetlony.

Uporał się z zadaniem w ciągu pięciu minut.

Kiedy było już po wszystkim, obaj mężczyźni odetchnęli z ulgą.

Land Cruiser Palmera miał teraz numery wozu z wypożyczalni.

Dokładna kontrola dokumentów wykazałaby, co prawda, że jest innego koloru - kremowy, a nie beżowy - ale po podróży karoseria była tak zakurzona, że nikt nie zauważyłby różnicy.

Obaj mężczyźni wrócili do hotelu, szybko coś zjedli i wyruszyli w długą powrotną drogę, aby spotkać się ponownie z Denardem.

Wyjechali z hotelu "Sheraton" o 19.25.

Harris przyjąłby z ulgą wiadomość, że Sullivan zdążył już przejść bez problemów kontrolę paszportową i czekał teraz na zapowiedź lotu numer SV 384 do Bangkoku.

Samolot linii Saudia miał wystartować o 21.10.

Harris niepotrzebnie się martwił.

Policja saudyjska nie wydała w stosownym czasie władzom imigracyjnym nakazu zatrzymania Sullivana.

Kiedy po dwunastu godzinach ujawniono to niedopatrzenie,

odpowiedzialny za nie porucznik policji stracił pracę.

Ale Ray Sullivan był już poza granicami kraju.

51 Zadzwonivszy z Learjeta do brytyjskiej ambasady w Rijadzie Jonathan Mitchell wydał polecenie, aby o możliwości bezpośredniego związku spółki Darcon z badaną sprawą zostało powiadomione "Biuro".

Wymówił to słowo z naciskiem i agent służb specjalnych, który przeprowadzał wcześniej rozmowę z Hughesem, wiedział dokładnie, co Mitchell ma na myśli.

Natychmiast wysłał faxem kopie przekazanych mu dokumentów do centrali SIS w Londynie.

Otrzymał je błyskawicznie komendant Jones z New Scotland Yardu.

Jones przeczytał faxy - a właściwie ich kolejne kopie - które Hughes przedstawił na dowód, że wykonywał tylko czyjeś polecenia.

Zmarszczył brwi, zobaczywszy widniejący u dołu podpis.

Słyszał o Dartingtonie.

Był znanym i szanowanym przemysłowcem.

Mało prawdopodobne, by taki człowiek miał coś wspólnego z podobną sprawą.

Ale dowody wydawały się oczywiste.

Jones wezwał swego asystenta do spraw administracyjnych.

Po paru sekundach w drzwiach pojawił się detektyw-sierżant Mike Archer.

- Mike, skontaktuj mnie z inspektorem Hallamem - polecił mu komendant.

- Niech wyjaśnianie tych transakcji bankowych zostawi swoim ludziom.

Mam dla niego inne zadanie, którym powinien zająć się osobiście.

Gdy Archer wyszedł, Jones rozmyślał nadal nad konsekwencjami podjętej decyzji.

Tak, Paul Hallam najlepiej poradzi sobie z tym zadaniem.

Często prowadził dochodzenia przeciwko ludziom bogatym i wpływowym, wyczuwał niemal niezawodnie, gdy jego rozmówca kłamał albo coś ukrywał, a przy tym potrafił zachować całkowitą dyskrecję.

Cóż, w tej sprawie będzie to nieodzowne.

Zadzwoił telefon.

Hallam zawiadamiał, że zjawi się za kwadrans.

Niebawem słuchał w skupieniu najnowszych informacji.

Jego ukryte za grubymi ramkami okularów jasne oczy nie zdradzały, co myśli.

Jones przekazał mu papiery, mówiąc na koniec: - Bądź bardzo ostrożny, Paul.

Nie wolno dopuścić do żadnych przecieków.

Ani pracownicy firmy, ani nikt inny nie powinien wiedzieć o tej sprawie.

Nie chcę, żeby mnie oskarżano o szkalowanie dobrego imienia Dartingtona czy jego firmy.

- Oczywiście, sir - obiecał Hallam.

- Postaram się ominąć jakoś jego współpracowników.

- Wstał i wyszedł, spoglądając na zegarek.

Minęła właśnie czwarta po południu.

Trzydzieści minut później Hallam pojawił się w centrali spółki Darcon, a o 16.20 stanął przy drzwiach sekretariatu, w którym urzędowała

Dorothy Webster.

Zapukał i nie czekając na zaproszenie wszedł do środka.

Zaskoczona pani Webster zaczęła protestować, przerwał jej jednak, pokazując służbową legitymację.

- Inspektor Paul Hallam z policji metropolitalnej - oznajmił.

- Muszę zobaczyć się pilnie z sir Peterem Dartingtonem.

Pani Webster była zupełnie zbita z tropu.

Jakim cudem ten policjant dotarł do niej bez przepustki?

Nie mając czasu do namysłu, udzieliła mu rutynowej odpowiedzi.

- Obawiam się, sir, że musi pan ustalić wcześniej termin spotkania.

Czy mogę wiedzieć, o jaką sprawę chodzi?

Hallam przyjrzał się uważnie swojej rozmówczyni.

Przyjęła obronną postawę, ale było to naturalne.

Całkowicie ją przecież zaskoczył.

- Mogę zapytać, od jak dawna tu pani pracuje?

Słyszając to nieoczekiwane pytanie, Dorothy Webster zamrugła oczami, po czym odparła z dumą: - Jestem osobistą asystentką sir Petera od dwudziestu pięciu lat.

W porządku, pomyślał Hallam.

Nie omyliłem się.

Słowo "lojalność" określało najlepiej jej stosunek do pracy.

Potrafiła być dyskretna i bronić gorliwie interesów swego przełożonego.

Hallam miał pewność, że pani Webster zachowa w tajemnicy to, co usłyszy.

Musiał teraz opowiedzieć jej historyjkę, której nie ośmieliłaby się powtórzyć nikomu - zwłaszcza szefowi.

- Proszę wybaczyć - powiedział - ale chodzi o bardzo...

osobistą sprawę, dotyczącą pewnej młodej kobiety.

Obawiam się, że muszę pilnie porozmawiać z sir Peterem.

- Hallam celowo udawał zakłopotanie.

Spuścił oczy, czego nigdy w zasadzie nie robił.

Spojrząwszy ponownie na Dorothy Webster zobaczył, że jest wstrząśnięta.

Jej policzki spłoszowały, a półotwarte usta wyrażały bezgraniczne zdumienie.

Hallam spojrzał na nią przeproszającym wzrokiem i wskazał na drzwi gabinetu Dartingtona - Czy mogę tam wejść?

- zapytał.

Dorothy Webster odzyskała panowanie nad sobą.

- To bezcelowe - odparła.

- Sir Petera nie ma dzisiaj w biurze.

Tym razem Hallam był zaskoczony.

Nie dawał jednak za wygraną.

- Czy powie mi pani, gdzie mógłbym go znaleźć? Dorothy Webster nie zamierzała poddać się bez walki.

Jak ten' człowiek śmie przychodzić do biura i występować z jakimiś ohydnyimi insynuacjami pod adresem jej pracodawcy?

- Niestety, nie mogę panu pomóc - oświadczyła.

- Sir Peter polecił mi wyraźnie, żebym pod żadnym pozorem nie zdradzała nikomu miejsca jego pobytu.

- Obawiam się, proszę pani, że będzie to konieczne.

- Hallam świdrował ją przez moment spojrzeniem swych jasnych oczu, po czym zniżył głos i dodał konfidencyjnie: - Mówiąc między nami policja jest zdania, że wysunięto fałszywe oskarżenie.

Chcielibyśmy jak najszybciej wyjaśnić całą sprawę.

Dzięki temu uniknie się może niepotrzebnego rozgłosu.

Dorothy Webster skapitulowała.

Nie mogła przecież dopuścić do żadnego skandalu.

Sir Peter będzie oczywiście w stanie wszystko wyjaśnić.

Na pewno zaszło jakieś idiotyczne nieporozumienie.

Usiadła przy biurku i zanotowawszy adres wręczyła go bez słowa inspektorowi.

O, cholera, pomyślał Hallam, rzucając okiem na kartkę.

Przeklęte wyspy Bahama.

52 - A więc, panowie, zacznijmy od przedstawienia faktów.

-Brent Scowcroft, doradca prezydenta Busha do spraw bezpieczeństwa narodowego, rozejrzał się po sali i zaczął referować.

- Na początku grudnia ubiegłego roku człowiek mówiący z południowoafrykańskim akcentem kupuje w Irlandii niewielki samolot typu Britten-Norman Islander.

Poprzedni właściciele dostarczają go do Southampton w Anglii, gdzie stoi przez cztery miesiące.

Świadkowie twierdzą, że pracuje przy nim stale jakiś człowiek, odpowiadający rysopisem mężczyźnie z Południowej Afryki.

Od czasu do czasu pojawia się tam też pięciu czy sześciu innych, nie rozpoznanych ludzi.

Równocześnie pewien Anglik, prawdopodobnie z ucharakteryzowaną twarzą, zakłada fikcyjne spółki i dzierżawi budynki przemysłowe w południowej Anglii, korzystając z funduszy z banku w Liechtensteinie, przekazywanych za pośrednictwem kont w różnych bankach brytyjskich.

Jest on jedyną osobą, którą widziano na terenie wydzierżawionych budynków.

Do jednej z hal zostaje dostarczony kontener.

Po przeróbkach, z zamontowanymi ukrytymi drzwiami, gniazdkami elektrycznymi i klimatyzacją, płynie statkiem do Mombasy w Kenii, rzekomo z ładunkiem mrożonych warzyw.

W tym samym czasie pewien pilot z Teksasu o nazwisku Sullivan sprzedaje swoją firmę czarterową i dwudziestego ósmego marca przybywa do Anglii.

Wylatuje stamtąd Islanderem siódmego kwietnia.

Ósmego kwietnia Anglik i mężczyzna mówiący z południowoafrykańskim akcentem pojawiają się w biurze brytyjskiej spółki budowlanej Darcon International w Arabii Saudyjskiej.

Mają upoważnienie do korzystania ze starej bazy firmy w Badanah, na północy kraju, podpisane przez prezesa korporacji, sir Petera Dartingtona.

Zgodnie z jego poleceniem otrzymują do dyspozycji cztery terenowe pojazdy.

Jedenastego kwietnia Islander przylatuje do Dżuddy w Arabii Saudyjskiej, potem leci do Al Wadż, gdzie pozostaje przez dwa dni, a następnie, trzynastego kwietnia, dociera do Ar'ar.

Dwudziestego trzeciego kwietnia pilot dostaje zezwolenie na postój obok bazy budowlanej, kilka kilometrów od lotniska.

W bazie widziano kilku mężczyzn, ale brak ich dokładnych rysopisów.

Przemaalowują dwa samochody tak, aby wyglądały na wojskowe

ambulanse, a trzeci rozbierają na części.

Wczoraj wieczorem, dwudziestego piątego kwietnia, trzy sprawne pojazdy i samolot - wraz z ośmioma ludźmi - znikają z bazy.

Pilot Islandera zgłasza lot do Tabuku i wyrusza we wskazanym kierunku, ale nie dociera do celu.

Dziś rano, dwudziestego szóstego kwietnia - czyli wczoraj w nocy naszego czasu - kontener dociera do Mombasy.

Okazuje się, że jest pusty.

Żaden z członków załogi nie zauważył podczas rejsu niczego podejrzanego.

- To niezbite fakty - oznajmił Scowcroft.

- Potwierdzone na miejscu przez agentów CIA i FBI oraz brytyjską policję i służby wywiadowcze.

A teraz przejdźmy do hipotez.

- Rozejrzył się po twarzach siedzących przy stole ludzi.

- Sądząc z informacji, dostarczonych przez Narodowe Biuro Zwiadu, ich przypuszczenia są pewne w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach.

Proszę posłuchać.

W płynącym z Anglii kontenerze ukrywa się co najmniej dwóch ludzi.

W nocy z dwunastego na trzynastego kwietnia, gdy statek zmierza na południe przez Morze Czerwone, opróżniają oni kontener i spuszcza na wodę gumowy ponton z doczepianym silnikiem.

Być może przemycają jakieś towary.

O świcie trzynastego kwietnia docierają do wybrzeża Arabii Saudyjskiej, gdzie odbiera ich czekający w półciązarówce wspólnik.

Jadą do Al Wadż, potem lecą Islanderem do Arar, a stamtąd trafiają do Badanah.

Zeszłej nocy, dwudziestego piątego kwietnia, podróżujący dwoma ambulansami ludzie kierują się na północ, w stronę Iraku.

Dla odwrócenia uwagi wzniecają pożar w składzie paliw irackiego posterunku granicznego.

Przedostawszy się do Iraku jadą na północny wschód, drogą do Kirkuk.

Dziś rano, przed świtem miejscowego czasu, zatrzymują się na postój w dużym budynku na wschód od Hadity, gdzie przebywają do tej pory.

Trzeci pojazd i samolot wyruszają tymczasem w nieznanym kierunku.

Jeszcze ich nie zlokalizowano.

- Jak już mówiłem - zastrzegł się Scowcroft - są to tylko hipotezy.

Muszę nadal przyjmować takie założenie, ponieważ za słabo orientuję się w technicznych możliwościach NBZ, aby wiedzieć, czy tak szczegółowe informacje, uzyskane tylko na podstawie zdjęć satelitarnych i przekazu radarowego, są w stu procentach wiarygodne.

Jeżeli jednak Narodowe Biuro Zwiadu jest rzeczywiście w stanie śledzić na przestrzeni wielu tysięcy kilometrów ruchy tak niewielkiej i z pozoru nic nie znaczącej grupy ludzi - dodał z przekąsem - powinniśmy wykorzystać ich doświadczenia w walce z krajową przestępczością.

Ale to jedynie uwaga na marginesie.

Zanim zaczniemy snuć domysły na temat zamiarów tych ludzi, zechcecie panowie na pewno posłuchać, co ma do powiedzenia dyrektor

Narodowego Biura Zwiadu.

Poprosiłem, żeby przyprowadził na dzisiejsze posiedzenie kierownika sekcji NBZ, w której wykryto całą sprawę.

Panie dyrektorze, byłbym wdzięczny, gdyby pan Sorensen wyjaśnił nam, jak tego dokonano.

Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku barczystego mężczyzny z dużym sumiastym wąsem.

Mors był wyraźnie zakłopotany.

Odchrząknął, zamierzając przemówić, ale nagle się zreflektował i szepnął coś do siedzącego obok szefa.

Martin Faga, dyrektor NBZ, uśmiechnął się i odpowiedział mu na tyle głośno, by wszyscy słyszeli: - Tak, Walterze.

Możesz być pewien, że każdy z tych panów ma stosowne uprawnienia.

Kilka osób popatrzyło na Sorensena z zakłopotaniem, a z drugiego końca stołu rzucił mu złowrogie spojrzenie ubrany w szary garnitur człowiek o żabim obliczu i ziemistej cerze.

Mors rozpoznał go.

Był to Douglas Longmire, podsekretarz w Departamencie Skarbu.

Dziesięć minut później Mors skończył szczegółowe wyjaśnienia i podsumował: - Jak więc panowie widzicie, wpadliśmy na trop tej sprawy przez przypadek.

Muszę jednak podkreślić, że śledzenie celów wymagało najwyższego kunsztu i że całą pracę wykonał właściwie jeden człowiek.

Twierdzę z pełnym przekonaniem, że jest to bezprecedensowe osiągnięcie.

W normalnych okolicznościach tak niepozorny incydent nie zwróciłby zapewne niczyjej uwagi, ale nie mieliśmy wtedy żadnych pilnych zadań i dyrektor wyraził zgodę na wszczęcie dochodzenia.

- Sorensen skubnął wąs i zwrócił się do doradcy do spraw bezpieczeństwa.

- Może chce pan o coś zapytać, sir?

Brent Scowcroft pokręcił głową i rozejrzał się po sali.

- Czy któryś z panów ma jakieś pytania do pana Sorensena albo do dyrektora NBZ?

- Jeśli można, panie przewodniczący...

- odezwał się mężczyzna, siedzący na lewo od Scowcrofta.

- Proszę, John.

Podsekretarz Stanu John Kelly pochylił się w fotelu, złożył dłonie i patrząc na Sorensena powiedział: - Ze względu na potencjalne konsekwencje tej sprawy - a zakładam, że zaraz je tu omówimy - może dojść do poważnych komplikacji w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych.

Dlatego Departament Stanu uważa, że należy bezwzględnie zatrzymać tych ludzi i położyć kres ich działalności.

Ufam, że prezydent jest tego samego zdania.

- Spojrzał na Scowcrofta, który skinął głową.

- Niestety, wygląda na to, że przebywając w Iraku ludzie ci są na razie poza naszym zasięgiem.

Póki się tam znajdują, nie możemy im nic zrobić.

Pozostają więc dwa rozwiązania.

Pierwsze jest oczywiste, ale może do niczego nie doprowadzić.

Należałoby przesłuchać sir Petera Dartingtona i ustalić, co wie.

Jeżeli jest zamieszany w tę sprawę, może zdoła odwołać planowaną akcję.

Drugim rozwiązaniem byłoby odnalezienie samolotu.

Wspominał pan, że to trudne zadanie.

Gdyby pilot był w kontakcie z tymi ludźmi, można by go przekonać, żeby namówił ich do powrotu.

Mam więc następujące pytanie: jaka jest szansa na zlokalizowanie Islandera - Obawiam się, że niewielka, sir - odparł Mors, podkreślając węż bardziej energicznie niż zazwyczaj.

- Chyba że znowu wystartuje i wtedy przechwycą go niemal natychmiast radary AWACS.

Problem polega na tym, że dopóki jest na ziemi, nie wiemy, gdzie go szukać.

Dotychczas udawało nam się śledzić tych ludzi, bo znaleźliśmy w przybliżeniu miejsce ich pobytu.

A i tak nie było to łatwe zadanie.

Mielibyśmy największe szansę, korzystając z radarów samolotu E-8A JSTARS, ale musimy pozostawić pod obserwacją budynek, w którym są teraz podejrzeni.

Oczywiście, gdybyśmy dysponowali większą liczbą takich samolotów...

- Urwał w pół zdania, ze smutkiem kręcąc głową.

- Słuszna uwaga, panowie.

- Słowa te wypowiedział atletycznie zbudowany mężczyzna o krótko przystrzyżonych szpakowatych włosach, ubrany w mundur generała amerykańskich sił powietrznych.

Spojrzał z aprobatą na Sorensena, dodając: - Nalegaliśmy na dalsze dostawy samolotów JSTARS.

Wykazały swoją niewątpliwą przydatność, zarówno podczas wojny w Zatoce w 1991 roku, jak i ostatnio.

- Dziękuję, generale Burnside - powiedział uprzejmie Scowcroft do wiceprzewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów.

- Pańska uwaga została odnotowana.

Niestety, na razie musimy korzystać z tego, czym dysponujemy.

- Czy można, sir?

- wtrącił się Sorensen.

- Powiedziałem, że zlokalizujemy Islandera, gdy tylko wystartuje, ale...

No cóż, wtedy może już być za późno.

Jeżeli został gdzieś celowo ukryty, pilot czeka zapewne, aż podróżujący samochodami mężczyźni wykonają swoje zadanie i będą chcieli wracać do domów.

Może samolot ma im posłużyć do ucieczki.

Przypuszczam, że nie ruszy się z miejsca, dopóki go nie wezwą.

Siedzący naprzeciwko Sorensena Robert Gates, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, uniósł wskazujący palec i powiedział: - CIA zgadza się z tą opinią.

- Myślę - stwierdził Scowcroft, skinąwszy głową w kierunku Gatesa - że dochodzimy w ten sposób do pytania o zamiary tych ludzi.

Chyba że są jeszcze jakieś wątpliwości natury technicznej?

Nikt się nie odezwał, Mors wstał więc z miejsca, aby opuścić salę.

- Nie, proszę zostać, panie Sorensen - powiedział Scowcroft.

- Możemy jeszcze potrzebować pańskiej opinii.

Mors ponownie usiadł.

- A więc - kontynuował Scowcroft - omijaliśmy na razie istotę zagadnienia, ale uznałem, że należy się najpierw upewnić, czy nasze przypuszczenia są słuszne.

Narodowe Biuro Zwiadu, CIA i Departament Stanu doszły

niezależnie od siebie do analogicznych wniosków.

Być może niektórzy z panów domyślają się już, o co chodzi.

Naszym zdaniem istnieje tylko jedno logiczne uzasadnienie obecności tak dobrze zorganizowanej i sprawnie działającej grupy ludzi na terytorium Iraku.

Krótko mówiąc uważamy, że przygotowują oni zamach na Saddama Hussajna.

Siedzący na końcu stołu Longmire głośno westchnął, a generał Burnside mruknął pod nosem: - Najwyższa pora, żeby ktoś to zrobił.

Podsekretarz Stanu Kelly obrzucił go piorunującym spojrzeniem.

Generał wyszczerzył zęby do Sorensena, który ukrywał uśmiech pod sumiastym wąsem.

- To nie ma nic do rzeczy, generale - stwierdził stanowczo Scowcroft.

- Mamy zdecydować, jak należy postąpić.

Prezydent oczekuje naszej opinii.

Charles Burnside nie dał się łatwo zbić z tropu.

Gdyby służył w marynarce, doczekałby się niewątpliwie przydomku Torpeda, ale ponieważ był generałem lotnictwa, nazywano go pieszczotliwie Bombowcem.

Ponieważ spokojny i opanowany Sekretarz Obrony Dick Cheney nie zjawiał się na zebraniu, Burnside zabrał głos zamiast niego, oświadczając z pasją: - Moim zdaniem trzeba pozwolić tym ludziom działać.

W zeszłym roku nie dano nam załatwić sprawy do końca, kiedy nadarzała się okazja.

Najwyższy czas, żeby ktoś zrobił z tym sukinsynem porządek.

Życzę im powodzenia.

- Pozwolę sobie zauważyć, panie przewodniczący - odezwał się lodowatym tonem podsekretarz Stanu John Kelly - że generał Burnside nie dostrzega najwyraźniej pewnych uwarunkowań polityki zagranicznej...

- Do diabła z waszą polityką!

- przerwał mu Burnside.

- Zobaczcie, do czego doprowadziła.

Jesteśmy w ślepym zaułku.

Wydajemy sześćdziesiąt miliardów dolarów, żeby usunąć tego drania Saddama, a potem mięczaki z Departamentu Stanu każą w ostatniej chwili przerwać ofensywę, i teraz ten chuderlak, siedzący na końcu stołu, chce nam zredukować fundusze na obronę.

- Panie przewodniczący!

- Douglas Longmire zerwał się z miejsca, protestując piskliwym głosem.

- Proszę nie pozwalać, aby generał Burnside używał tak obraźliwych...

- Dupek - mruknął Burnside, szczerząc zęby.

- Panowie!

Panowie!

- Scowcroft również wstał, wznosząc ręce w uspokajającym geście.

- Proszę!

- Podsekretarz Departamentu Skarbu opadł z powrotem na fotel.

Na jego żabim obliczu malowało się oburzenie.

Burnside mrugnął do Sorensena, który słuchał tej wymiany zdań z szeroko otwartymi ustami.

Scowcroft zczekał, aż przy stole zapanuje cisza, po czym zwrócił się do Kelly'ego: - Myślę, John, że powinieneś przedstawić nam opinię Departamentu Stanu.

Muszę zaznaczyć - dodał, rzucając Burnside'owi ostrzegawcze spojrzenie - że prezydent całkowicie się z nią zgadza.

John?

Kelly zabrał głos, z trudem opanowując zdenerwowanie, spowodowane obraźliwymi słowami generała.

- Mówiąc najkrócej, chodzi o przyszłość państwa irackiego.

Składa się ono właściwie z trzech odrębnych państw.

Nie ulega wątpliwości, że przy braku silnego przywódcy doszłoby do ich rozpadu - i to zapewne bardzo szybko.

Na północy Kurdowie chcieliby ustanowić niepodległy Kurdystan.

Na południu ogłosiliby niezależność muzułmańscy szyici, pragnący stworzyć w prowincji Basra własne państwo na wzór dawnego Imperium Otomańskiego.

Reszta terytorium środkowego Iraku pozostałaby w ten sposób w rękach mniejszości sunnickiej.

Problem polega jednak na tym, że żadne z tych trzech państw nie miałyby szans na samodzielne istnienie.

Nie byłoby to w interesie ościennych państw.

Mam tu na myśli Turcję, Syrię, a zwłaszcza Iran.

Wchłonęłyby one przygraniczne tereny, wykorzystując próżnię, powstałą po upadku Iraku.

- Zajmijmy się teraz po kolei tymi trzema krajami - kontynuował Kelly.

- Turcja ma poważne problemy wewnętrzne.

W jej granicach żyje dziesięć milionów Kurdów.

Tureckie władze będą przeciwne utworzeniu nowego, wrogo do nich nastawionego państwa Kurdystanu, z którego mogą być kierowane przeciwko Turcji polityczne, a może i zbrojne ataki.

Postępowanie Syrii będzie zależało częściowo od tego, co zrobi Iran.

Syryjczycy nienawidzą Saddama Hussajna i od dawna pragną zaanektować Irak.

Prezydent Assad jest pod wieloma względami nie mniejszym despota niż Saddam Hussajn.

Co prawda - jeśli nie liczyć napaści na Liban - nie prowadzi tak agresywnej polityki jak Irakijczycy, nie ma jednak wątpliwości, że Syria wykorzystałaby upadek Iraku jako pretekst do interwencji.

W obu tych krajach rządzi wzorowana na modelu faszystowskim partia Baas, ale jej przywódcy wzajemnie się nienawidzą.

Jedno jest pewne: Assad nie tolerowałby żadnej irańskiej interwencji.

Niestety, naszym zdaniem byłaby ona nieunikniona.

Kelly przerwał, aby jego słowa wywarły należyte wrażenie, po czym ciągnął dalej.

- Od wielu lat Irak i Iran zachowują równowagę sił w walce o panowanie na Bliskim Wschodzie.

Pamiętacie panowie, jak bardzo była wszystkim - że się tak wyrażę - na rękę wojna między tymi dwoma krajami.

Po prostu w razie podziału Iraku Iran stałby się dominującą siłą ekonomiczną i wojskową w rejonie Zatoki Perskiej i nikt nie byłby w stanie temu zapobiec.

Irańczycy interweniowaliby początkowo z tych samych powodów co Turcy.

Iran ma dość własnych problemów z Kurdami.

Mieszka ich tam około pięciu milionów.

Z podobnych przyczyn co Turcja Iran przeciwstawiałby się zdecydowanie tworzeniu niepodległego państwa kurdyjskiego.

W chwili, gdy uwaga świata byłaby zwrócona na problem Kurdów, Iran dokonałby zapewne kolejnego posunięcia: zakwestionowałby suwerenność paru z pozoru nic nie znaczących wysp w Zatoce Perskiej.

A równocześnie, jak wiemy już z doświadczenia, propagowałby gorliwie islamski fundamentalizm w centralnych i południowych rejonach Iraku, a także poza jego granicami.

Niektórzy z panów mogą uważać, że przedstawiam tu zbyt pesymistyczny obraz sytuacji, ponieważ Iran nie prowadzi już tak radykalnej polityki, jak rok czy dwa lata temu.

Rzeczywiście, można by odnieść wrażenie, że po śmierci Ajatollaha Chomeiniego i dojściu do władzy prezydenta Rafsandżaniego pojawiły się oznaki normalizacji w stosunkach z Zachodem.

Podkreślam słowo: wrażenie.

Mogę panów zapewnić, że to tylko pozory.

Co więcej, Rafsandżani nie ma silnej pozycji.

Wpływy konserwatystów są nadal ogromne.

Czy któryś z panów - zapytał Kelly, rozglądając się po sali i obdarzając szczególnie drapieżnym spojrzeniem generała Burnside'a - pragnąłby szczerze, aby Iran zajął nie kwestionowaną, dominującą pozycję na całym Bliskim Wschodzie, a zwłaszcza w rejonie Zatoki Perskiej, z

wszelkimi tego konsekwencjami?

W sali zaległo milczenie.

Kelly potoczył wzrokiem po twarzach siedzących przy stole mężczyzn.

Wszystkie oczy zwrócone były w jego kierunku.

- Musimy więc uznać, że dalsze istnienie państwa irackiego ma podstawowe znaczenie dla równowagi sił, a zatem także dla utrzymania - mimo różnych napięć - stabilnej sytuacji w tym rejonie świata.

Niestety, tylko jeden człowiek może obecnie gwarantować zachowanie status quo.

Saddam Hussajn, którego nienawidzimy i którym pogardzamy za okrucieństwa, jakich dopuszcza się nawet wobec własnego narodu, jest niekwestionowanym dyktatorem Iraku.

Pozbył się wszystkich potencjalnych rywali.

Nie ma tam innego przywódcy.

Mogę panów zapewnić - dodał z naciskiem Kelly - że taka jest prawda.

Znam tego człowieka i od wielu lat mam z nim osobiste kontakty.

Gdy zabraknie Saddama, Irak niemal na pewno się rozpadnie.

Wynika z tego - kontynuował Kelly - że zamach na jego życie - jeśli rzeczywiście mamy tu z czymś takim do czynienia - narusza żywotne interesy Stanów Zjednoczonych i Zachodu.

Stawką jest pokój na Bliskim Wschodzie, a może i na całym świecie.

Dlatego ci ludzie stanowią tak poważne zagrożenie i w miarę możliwości należy ich powstrzymać.

Pozostaje więc tylko jedno pytanie: w jaki sposób to zrobić?

- Moglibyśmy ostrzec Saddama.

- Wszystkie głowy zwróciły się w kierunku człowieka, który to powiedział.

Był nim Douglas Longmire.

Wzruszył ramionami, widząc pogardliwe spojrzenia kilku osób.

- Czemu nie?

Wystarczy, żeby ten Alan-jak-mu-tam, przedstawiciel Iraku w ONZ, dostał od nas cynk.

Na pewno przekaze wszystko Saddamowi.

Prosta sprawa.

- Panie przewodniczący?

- odezwał się Robert Gates, dyrektor CIA.

- Niestety, sprawa nie jest aż tak prosta.

Po pierwsze, istnieje małe prawdopodobieństwo, żeby pan al Anbari uwierzył w tego rodzaju ostrzeżenie, nawet gdyby przekazała je jakaś neutralna osoba.

Nie ma nikogo, na kim moglibyśmy polegać, że przekona Irakijczyków o powadze zagrożenia, a równocześnie nie wyjawia źródła informacji.

Wiąże się z tym kolejna kwestia, o której nie powinniśmy zapominać.

- Dyrektor Agencji zawiesił znacząco głos, stukając palcem w blat stołu.

- Udzielanie jakiegokolwiek pomocy - choćby w formie ostrzeżenia - zdeklarowanemu wrogowi Stanów Zjednoczonych, jakim jest nadal Saddam, uznano by za akt zdrady.

Jeżeli pamiętacie panowie aferę Iran-contras i jej konsekwencje, wyobraźcie sobie, jaki byłby smród, zarówno w Stanach, jak i na arenie międzynarodowej, gdyby się wydało, że interweniowaliśmy, aby ocalić życie Saddamowi.

Prowadzący posiedzenie Scowcroft odchrząknął i unikając spojrzenia Longmire'a rzucił pospiesznie: - Myślę, że ostrzeżenie Saddama Hussajna nie wchodzi w rachubę.

Czy ktoś widzi jakieś lepsze rozwiązanie?

- Możemy tylko mieć nadzieję, panie przewodniczący, że zamach się nie uda.

- Tym razem zabrał głos dyrektor Federalnego Biura Śledczego.

- Na razie ci ludzie mieli szczęście.

Biorąc pod uwagę skład osobowy grupy jestem zaskoczony, że dotychczas nie wpadli.

Przeprowadziliśmy dochodzenie w sprawie ich pilota.

To obibok, kompletne zero.

Przywódca grupy, kimkolwiek jest, źle dobrał sobie współników.

Co więcej, na czele spisku stoi prawdopodobnie brytyjski przemysłowiec, człowiek nie obeznany ze sztuką wojenną.

Moim zdaniem można mieć uzasadnioną nadzieję, że i on, i wybrani przez niego ludzie, popełnią kolejne błędy.

Dalsze dochodzenie powinno ujawnić fakty, które pozwolą nam nie dopuścić do zamachu.

Może to zresztą tylko amatorska akcja, a jej dotychczasowe powodzenie wynika po prostu ze sprzyjających okoliczności.

Uspokajające słowa dyrektora FBI nie przekonały Sorensena.

Zerknąwszy w bok, na swego szefa, zobaczył że Faga również przyjął je ze sceptycyzmem.

Obaj czuli respekt dla spiskowców.

Wpadli na ich trop zupełnie przypadkowo.

Ci ludzie nie popełnili dotąd żadnych błędów, a przynajmniej takich, których mogli uniknąć.

- Jest sposób, żeby ich powstrzymać.

Stuprocentowo pewny.

- Wszystkie głowy zwróciły się ponownie w kierunku generała Burnside'a.

Siedział głęboko zamyślony, zmarszczywszy brwi.

Po chwili dodał, mówiąc jakby do siebie: - Tak, to dałoby się zrobić.

- Proszę wyjaśnić, co pan ma na myśli, generale - powiedział cicho Scowcroft.

- USS "Missouri" znajduje się teraz w północnym rejonie Zatoki Perskiej - oznajmił Burnside.

- Gdyby Narodowe Biuro Zwiadu podało mi dokładne współrzędne budynku, w którym ukrywają się ci ludzie, można by przekazać je natychmiast kapitanowi okrętu.

Na zaprogramowanie akcji wystarczy piętnaście minut Reszta zależy od tego, w jakiej odległości znajduje się cel.

Sądząc z mapy jest to mniej więcej siedemset pięćdziesiąt kilometrów.

Lot rakiety potrwałby więc w przybliżeniu godzinę.

Mogę zagwarantować, że za jakieś siedemdziesiąt pięć minut...

- rzucił okiem na zegarek - ...czyli około 19.45 czasu irackiego dwa

wystrzelone z morza pociski BGM-109C Tomahawk wleciałyby przez okno do tego budynku i rozniosły go na strzępy.

Przez dobre pół minuty w sali panowała martwa cisza.

Doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa powiódł wzrokiem po twarzach obecnych.

Nie dostrzegłszy żadnego sprzeciwu, podniósł powoli słuchawkę stojącego przed nim czerwonego telefonu.

Powiedział tylko kilka słów, po czym przekazał słuchawkę Burnside'owi.

Mors patrzył zafascynowany, jak generał wsłuchuje się w głos swego rozmówcy.

- Tak, panie prezydencie - powiedział w końcu Burnside.

- Wydam natychmiast rozkaz wystrzelenia rakiet.

53 - Peter, przyszedł do ciebie ktoś z konsulatu.

- Co?

- Sir Peter Dartington uniósł lekko brwi i przesunął na czoło ciemne okulary.

Postawiwszy obok siebie na stole szklanę ponczu podniósł oparcie leżaka.

- Czego on chce?

- zapytał, siadając prosto i spoglądając na żonę.

- Nie wiem, mój drogi - odparła.

- Czeka w gabinecie.

Dartington wsunął stopy w klapki i włożył koszulę, nie kryjąc niezadowolenia.

- Do diabła, jak się dowiedział, gdzie jestem?

- Chyba powiedzieli mu w biurze, mój drogi.

Chcesz go poprosić, żeby został na lunch?

- Nie.

- Dartington zmarszczył ze złością brwi i nadal utyskując zniknął w głębi domu.

Zastał swego gościa w gabinecie.

- Sir Peter Dartington?

- zapytał, wstając z miejsca, mężczyzna w lekkim jasnoszarym garniturze.

Miał wysokie czoło i wygląd naukowca.

- Tak - odparł Dartington, obrzucając go chłodnym spojrzeniem.

- Czym mogę służyć?

- Nazywam się Smith.

Detektyw-sierżant Smith.

Przydzielono mnie do brytyjskiego konsulatu w Nassau.

- Smith pokazał mu legitymację.

Dartington machnął ręką z wyrazem zniecierpliwienia, Smith mówił więc dalej: - Koledzy z Londynu prosili mnie o zbadanie pewnej sprawy, dotyczącej bezpieczeństwa kraju.

Przypuszczalnie będzie nam potrzebna pańska pomoc.

- Co to za sprawa?

Nie można by z tym zaczekać, aż wrócę do Londynu?

- Dartington stał się czujny.

- Niestety nie, sir.

- Policjant otworzył neseser, wyjął z niego cienki plik papierów i podał Dartingtonowi leżącą na wierzchu kartkę.

- Czy zechciałby pan potwierdzić autentyczność tego podpisu, sir?

Dartington znowu zmarszczył brwi.

- Chwileczkę, muszę wziąć okulary.

Gdzie one są, do cholery...

A, tutaj.

- Założył leżące na biurku szkła i zaczął czytać.

Smith uważnie go obserwował.

- Tak, to mój pod...

- Nagle wyraz twarzy Dartingtona zmienił się.

- Zaraz, co to znaczy, do diabła?

- powiedział.

- To poufny doku...

- Wczytując się w kopię faxu, który Bourne wysłał do Hughesa, Dartington przybierał coraz bardziej marsową minę.

Nagle wybuchnął, wyrzucając z siebie całą serię urywanych zdań: -
Ja tego nigdy nie wysyłałem!

O co tu chodzi, do cholery?

To jakieś fałszerstwo!

Skąd pan to wziął?

Smith milczał, przyglądając mu się nadal z uwagą.

Protesty Dartingtona w końcu ucichły.

Ale czy jego twarz wyrażała na pewno tylko gniew i zaskoczenie?

W trakcie czytania faxu Dartington uświadomił sobie nagle z całą wyrazistością, w jakich jest tarapatach.

Poczuł paniczny lęk.

Nie zdradził się z tym jednak, udając szczere oburzenie.

Zyskał w ten sposób parę sekund na zebranie myśli.

Usiadł i spojrział na swojego gościa.

- Powinien pan chyba wyjaśnić mi, o co tu chodzi, sierżancie.

Tak naprawdę Smith nie był detektywem, lecz oficerem brytyjskich służb specjalnych.

Został dokładnie zapoznany ze sprawą.

Główny inspektor Paul Hallam poinstruował go osobiście, jaką powinien przyjąć taktykę.

Smith był inteligentny i spostrzegawczy, ale nie miał doświadczenia w przesłuchiowaniu takich ludzi jak Dartington.

Przeoczył coś, co Hallam być może by zauważył: reakcję Dartingtona w momencie, gdy zdał on sobie sprawę, że ma kłopoty.

Dostrzegł jednak w wyrazie jego twarzy coś, co nie pasowało do zachowania człowieka, znajdującego się w trudnym położeniu: zbyt dużą pewnością siebie.

Smith pomyślał, że facet musi mieć jakieś alibi.

I nie mylił się.

Dartington uzmysłowił sobie nagle, jak przewidujący był Howard.

Wiedział już teraz, czego się spodziewać.

- Sir Peter - powiedział Smith - proszę rzucić okiem na nagłówek tej kartki.

Widać tam serię liczb i liter.

- Zgadza się - potwierdził Dartington.

- To oznaczenie kodowe i numer telefonu, z którego wysłano fax.

Proszę spojrzeć teraz dla porównania na drugi dokument.

- Smith wyjął z teczki kolejną kartkę i podał ją swojemu rozmówcy.

Dartington wziął do ręki drugi fax, który miał wcześniejszą datę i adresowany był również do Hughesa.

Rzeczywiście sam go wysyłał.

- Chwileczkę, skąd pan ma te papiery?

- zapytał z oburzeniem.

- Domagam się wyjaśnień!

- Sir Peter, proszę porównać te numery i kody.

- Są identyczne - stwierdził Dartington.

- Wskazują inne daty i godziny, ale poza tym nie widzę żadnej różnicy.

- Właśnie.

Każdy model faxu ma indywidualny system nagrywania i przekazu informacji.

Oba dokumenty nadano za pomocą urządzenia marki Canon Fax-220.

Czy zaprzecza pan, że je wysyłał?

- Oczywiście!

To znaczy...

niezupełnie.

Pamiętam, że wysłałem pierwszy z nich.

Ale ten drugi, z późniejszą datą, to fałszerstwo!

- Powtarzam, sir Peter, że oba faxy nadano z tego samego urządzenia.

Dartington zmarszczył brwi.

Pomyślał, że powinien teraz udawać zaskoczenie.

Porównywał przez dłuższą chwilę oba dokumenty.

Potem usiadł, jakby usiłując coś sobie przypomnieć.

Nagle zawołał: - Chwileczkę!

- zerwał się z miejsca i podszedł do biurka.

Wyjął z szuflady notatnik i wróciwszy na fotel zaczął przerzucać kartki.

Sprawdził ponownie daty faxów, po czym spojrzał na Smitha.

- Teraz wszystko jasne - powiedział z uśmiechem, siadając

wygodniej i obserwując detektywa z wyraźnym zainteresowaniem.

Tym razem Smith wydawał się zaskoczony.

Rozmowa nie przebiegała wcale tak, jak oczekiwał.

- Zechce mi pan to wytłumaczyć, sir Peter?

- W nocy dziewiętnastego listopada włamano się do mojego domu w Kent.

Zrobili to jacyś gówniarze.

Zginęło, między innymi, trochę papierów i mój prywatny fax - właśnie ten.

Na sfalszowanym dokumencie jest data drugiego grudnia.

Fax najwyraźniej wpadł w niepowołane ręce.

Wydrukowany w nagłówku numer telefonu o niczym nie świadczy - można samemu go wprowadzić.

Oznacza to tylko, że złodziej nie zmienił kodu.

Ma pan więc odpowiedź.

- Dartington westchnął z udaną irytacją.

- A teraz - kontynuował, nadając głosowi stanowcze brzmienie - proszę mi natychmiast powiedzieć, o co tu chodzi.

Co się wydarzyło i co robi w tej sprawie policja?

Smith był zupełnie zbity z tropu.

Zanotował datę włamania, postanawiając ochrzanić kogo trzeba w Londynie za przeoczenie tego faktu.

- Wygląda na to, sir Peter - powiedział, podnosząc wzrok - że jesteśmy panu winni przeprosiny i pewne wyjaśnienia.

Może zrozumie pan powagę sytuacji, gdy powiem, że ludzie odpowiedzialni za wysłanie tych faxów należą najprawdopodobniej do

organizacji, która wykorzystwała zamówiony sprzęt, aby dostać się na terytorium Arabii Saudyjskiej i przeprowadzić akcję terrorystyczną.

Dartington dosłownie zeszywniał.

Ta wiadomość naprawdę go zaskoczyła.

Smith był tak zakłopotany, że popełnił błąd, którego Hallam na pewno by uniknął: nie powiedział swemu rozmówcy całej prawdy.

Dowiedziawszy się, do jakiego stopnia plany operacji zostały już zdemaskowane, Dartington mógł wpaść w panikę.

Gdyby Smith posunął się jeszcze dalej i powiedział, że policja zna nazwiska spiskowców...

Nie zrobił tego jednak, dzięki czemu Dartington zdołał zachować zimną krew.

- Rozumiem - powiedział powoli z udaną troską na twarzy.

- Mój Boże.

To faktycznie wiele wyjaśnia.

Przepraszam, jeśli zbyt ostro pana potraktowałem.

Nie wiedziałem, że chodzi o taką sprawę.

Mam nadzieję, że złapiecie tych ludzi.

Gdybym mógł w czymś pomóc...

- Dziękuję, sir Peter.

To bardzo uprzejma propozycja. Rozumie pan jednak, że musimy być niezwykle ostrożni.

- Smith podniósł się z fotela.

- Jeszcze raz przepraszam, że pana niepokoiłem.

- Nie ma o czym mówić.

- Dartington odprowadził Smitha do drzwi i pożegnał się z nim.

Stał na ganku, gdy jego gość wsiadał do samochodu.

Też mi detektyw.-pomyślał.

Czuć na odległość, że to ktoś z bezpieczeństwa.

Julian Smith odjeżdżał powoli przed domu, niezadowolony z wyniku przesłuchania.

Za grosz nie wierzył Dartingtonowi.

O tak, facet zachowywał się swobodnie i przekonywająco.

Ale ta opowieść o skradzionym faxie była zbyt doskonała.

Nie miał wątpliwości, że okaże się prawdziwa, a jednak...

Nieważne, pomyślał.

Zdażył założyć podsłuch w mieszkaniu Dartingtona.

Może to coś da.

Wielki pancernik sunął po spokojnej powierzchni Zatoki Perskiej,

pozostawiając za sobą w ciemnościach fosforyzujący pas spienionej wody.

Potężne czterowalowe przekładniowe turbiny o mocy dwustu dwunastu tysięcy koni mechanicznych pchały go na północ z prędkością trzydziestu węzłów.

Komandor stał na mostku, prawie trzydzieści metrów nad powierzchnią morza.

Przed dziesięcioma minutami otrzymał rozkaz, który obudził w nim nadzieję na odroczenie wydanego na okręt wyroku.

Miał pływać jeszcze tylko przez trzy tygodnie.

USS "Missouri", jeden z czterech największych okrętów wojennych, jakie kiedykolwiek zbudowano, i ostatni pozostający jeszcze w czynnej służbie, zostanie zdemobilizowany.

Ten sam los spotkał wcześniej USS "New Jersey", następnie USS "Iowa", najstarszy z całej czwórki, a wkrótce potem USS "Wisconsin".

Za trzy tygodnie miała przyjść kolej na USS "Missouri".

Czyżby rzeczywiście odbywał swój ostatni rejs?

Może jednak nie.

Było to nie do pomyślenia.

„Missouri” i jego trzy bliźniacze jednostki zapisały się w historii złotymi zgłoskami.

Potędze tych najszybszych i najlepiej uzbrojonych okrętów wojennych nic nie mogło się oprzeć.

Dorównywał im co najwyżej japoński pancernik "Yamato", który spotkał jednak tragiczny koniec.

Komandor odtworzył jeszcze raz w pamięci chwalebną historię czterech amerykańskich pancerników.

Wprowadzone do służby w latach 1943/44, prawie przed półwieczem, walczyły dzielnie z Japończykami na Pacyfiku.

Kiedy Japonia poddała się, akt kapitulacji podpisano właśnie na pokładzie USS "Missouri".

Pod koniec lat czterdziestych trzy z czterech wielkich okrętów przeniesiono do rezerwy.

Uważano, że ich czas się skończył.

Tylko USS "Missouri" pozostał w czynnej służbie, głównie dzięki swym historycznym zasługom.

W 1950 roku jego trzy bliźniacze jednostki wykorzystano ponownie do ostrzału wybrzeży w czasie wojny koreańskiej.

„Missouri” służył też jako okręt flagowy dowódcy Siódmej Floty.

Pod koniec wojny koreańskiej, w 1953 roku, okręty znów przeniesiono do rezerwy.

Tym razem wszystkie cztery.

Miał to być, jak twierdzili znawcy, definitywny koniec ich służby.

Ale los zrządził inaczej.

Komandor pamiętał dokładnie tę chwilę, gdy pierwszy raz zobaczył okręt, którym teraz dowodził.

Już wtedy miał dziwne uczucie, że zwiąże z nim w jakiś sposób swoją przyszłość.

Był wówczas świeżo upieczonym porucznikiem.

Służąc pod koniec 1967 roku na pokładzie niszczyciela usłyszał, że USS "Missouri" ma wziąć udział w wojnie wietnamskiej.

Młody oficer marynarki był tym ogromnie podekscytowany.

Sześć miesięcy później dowiedział się, że jego niszczyciel będzie

towarzyszył USS "Missouri".

Nie spał przez całą noc, a gdy następnego dnia o świcie wyjrzał w morze, widok ogromnego pancernika zaparł mu dech w piersiach.

Jego sylwetka była groźna, majestatyczna...

Nie znajdował słów, aby go opisać.

Wpatrywał się jak urzeczony w widoczny na dziobie wielki numer 63, trzy trzydziałowe wieże z szesnastocalowymi działami i dziesięć dwudziałowych wieży z działami pięciocalowymi, które stanowiły dodatkowe uzbrojenie.

Wówczas miał styczność z tym okrętem tylko przez krótki czas.

Już dwa lata później dowiedział się z żalem, że "Missouri" znów odwołano ze służby.

Po roku, w 1970, został kapitanem, a po upływie pięciu lat awansował na komandora podporucznika.

W 1981, gdy był już od roku komandorem porucznikiem i pracował w sztabie marynarki, rozeszły się pogłoski, że nowy Sekretarz Obrony, Caspar Weinberger, myśli o przywróceniu do służby wszystkich czterech pancerników klasy Iowa.

Była to elektryzująca wiadomość.

Stopniowo dowiadawali się szczegółów.

Najpierw miał być odremontowany USS "New Jersey", a potem "Iowa", "Missouri" i "Wisconsin".

Planowano pozostawić szesnastocalowe działa.

Co prawda już ich nie produkowano i były one technicznie przestarzałe, ale w magazynach leżały jeszcze trzydzieści cztery zapasowe lufy i ponad dwadzieścia tysięcy pocisków.

Usuwać osiem z dwudziestu pięciocalowych dział, które nie miały już podstawowego znaczenia w systemie obrony przeciwlotniczej, można było zainstalować na stosunkowo niewielkiej przestrzeni nowe uzbrojenie.

Wszystkie przeróbki, łącznie z odnowieniem kajut i innych pomieszczeń, modernizacją urządzeń elektronicznych i systemu łączności, remontem silnika i zbudowaniem na rufie lądowiska dla śmigłowca, kosztowały Marynarkę mniej niż nowa fregata.

W lipcu 1987 roku, oczekując przydziału na stanowisko dowódcy, komandor uczestniczył w ceremonii przywrócenia do służby USS "Missouri", który wypływał z macierzystego portu, aby dołączyć do floty na Pacyfiku.

Znów miał nieodparte wrażenie, że los zwiąże go z tym okrętem.

I nie mylił się.

Wspominał teraz z dumą dzień, gdy półtora roku temu został dowódcą USS "Missouri" - tak wiele lat od momentu, gdy po raz pierwszy go zobaczył.

Nie przeżywał w życiu równie szczęśliwej chwili.

Dowodził tym okrętem podczas wojny w Zatoce Perskiej w 1991 roku, gdzie odegrał on razem z USS "Wisconsin" bardzo znaczącą rolę.

Wkrótce jednak wszystko miało się skończyć.

A może akcja, którą im zlecono, była sygnałem, że staruszek jeszcze trochę pociągnie?

Komandor otrząsnął się ze wspomnień i powiedział przez rurę głosową: - Obsługa wyrzutni?

Zameldować o postępie przygotowań.

- Za dwie minuty będziemy gotowi, sir - odparł komandor porucznik

James Boyd, oficer odpowiedzialny za uzbrojenie okrętu.

- Czekam na meldunek o gotowości.

- Komandor odwrócił się na mostku i uśmiechnął do siebie w ciemnościach.

Odkąd dziesięć minut temu ogłosił alarm, na pokładzie wyczuwało się wyraźne podniecenie.

Pomyślał, że oto w jednej chwili rzucił do akcji tysiąc sześciuset ludzi.

Czyżby już po raz ostatni rozbrzmiewał na pokładzie USS "Missouri" taki rozkaz?

Pomyślał o zadaniu, które otrzymał od Kolegium Szefów Sztabów.

Było dziwne, ale lepsze takie, niż żadne.

Miał nadzieję, że chodzi o jakiś ważny cel.

Musiał być ważny, skoro kierowali na niego aż cztery pociski...

Przyjrzał się z namysłem czterem płaskim kasetom, leżącym na górnym pokładzie, między kominami.

Każda zawierała cztery cylindry wypełnione śmiertelnościami ładunkiem.

W sumie było ich więc szesnaście.

Tej nocy mieli wystrzelić po jednym z każdej wyrzutni...

- SLCM są gotowe, sir - odezwał się ponownie Boyd.

- Radio?

Czy potwierdzono rozkaz odpalenia pocisków manewrujących?

- Tak jest, sir - odparł oficer łączności.

- Zaczynajcie.

Wystrzelony z pierwszej wyrzutni cylindryczny pocisk manewrujący

o wadze tysiąca siedmiuset kilogramów, długości sześciu metrów i średnicy pięćdziesięciu centymetrów poszybował poziomo nad powierzchnią morza, pozostawiając za sobą smugę białego dymu.

Przez moment jakby zawisł w powietrzu, stając na ogonie, a potem zaczął powoli się wznosić, nabierając prędkości.

Pół sekundy po opuszczeniu wyrzutni ze środkowej części jego korpusu wysunęły się dwa krótkie skrzydła, a z tyłu cztery mniejsze stateczniki.

U dołu otworzył się wlot powietrza, zapewniający dopływ tlenu do silnika marszowego Williams F107, który błyskawicznie osiągnął pełne obroty.

Pocisk jakby ożył.

Funkcjonował już jego taktyczny system naprowadzania.

Odłączył się silnik startowy.

Tomahawk BGM-109C wyrównał lot na wysokości stu pięćdziesięciu metrów i poszybował po zaprogramowanym kursie w kierunku północno-zachodnim.

Komandor usłyszał znowu głos Boyda.

- Pociski wystrzelone o 18.52.

Czas lotu: pięćdziesiąt pięć minut.

Przewidywane rażenie celu o 19.47.

Wszystkie cztery pociski zostały odpalone w ciągu trzydziestu sekund.

Twarz komandora wyrażała dumę i smutek zarazem, gdy przyglądał się, jak znikają w mroku.

54 - Jak tam na szosie, Mike?

- zapytał Ed Howard, spoglądając na Zieglera, który właśnie do niego podszedł.

- Większy ruch niż podczas przejazdu prezydenta przez Nowy Jork w godzinach szczytu.

Nigdy nie widziałem tak cholernie zatłoczonej drogi.

Jedzie tamtędy chyba cała dywizja.

Jeden wóz za drugim.

Korek na kilka kilometrów.

- Ziegler usiadł i nalał sobie filiżankę kawy.

- Uuu, zupełnie zimna.

- Odstawił ją z odrazą.

- Jak tam nasi goście?

- Są przerażeni.

Johnny jeszcze z nimi rozmawia.

- Howard wskazał kciukiem w kierunku grupki ludzi, skulonych w rogu magazynu.

Starzec opanował już strach.

Pogodził się z myślą o śmierci.

Słyszał o bezwzględnych Amerykanien i wiedział, że nie należy oczekiwać od nich litości.

Żałował tylko swoich synów.

Tak bardzo pragnął, żeby tym razem się nie zjawili.

Ale jego dobrzy, obowiązkowi synowie przyjechali o zwykłej porze i teraz starzec wiedział, że ci ludzie ich wszystkich zabiją.

Słyszał, że zawsze tak robią.

Jego wnuki pozostaną bez ojców i bez dziadka, kobiety stracą

mężów...

Ubolewał nad ich losem.

Byli biedni, niczego nie posiadali.

Prawdziwym zrządzeniem opatrności trafiło im się to zajęcie - pilnowanie magazynu.

Mieli dzięki temu przynajmniej trochę pieniędzy, które wystarczały na życie.

Teraz to wszystko przepadnie.

Starzec nie odczuwał gniewu, tylko smutek.

Nie odnosił się do tych Amerykaniyen z nienawiścią, zwłaszcza do tego, który mówił jak prawdziwy Arab.

Czyż nie dał jemu i jego synom jedzenia i kawy?

Tak dawno nie pili już prawdziwej kawy.

Czy ten Amerykani źle go traktował?

Czyż nie był uprzejmy, nie uszanował jego siwych włosów?

Nie mógł go nienawidzić.

Ten człowiek był żołnierzem i robił to, co mu kazano.

Nie sposób uniknąć przeznaczenia.

On i jego dwaj synowie musieli umrzeć.

- Sz'ib - powiedział Johnny Bourne.

- Wkrótce stąd odjedziemy.

Może za godzinę...

- Sidi, jestem sz'ib - powiedział starzec.

- Nic nie znacę.

Ale moi synowie...

- Wskazał na dwóch mężczyzn, którzy siedzieli przykuci kajdankami

do stalowego dźwigara.

- ...oni są jeszcze młodzi.

To dobrzy chłopcy.

Szanują swojego ojca.

Ciężko pracują, mają żony i dzieci.

Moje życie jest bez znaczenia.

Jestem już stary.

Możecie mnie zabić.

I tak długo już nie pociągnę.

Taka jest wola Boga.

Ale jeśli okażecie serce i darujecie życie moim synom, Bóg na pewno wam to wynagrodzi.

- Nie uważamy was za wrogów, starcze - powiedział Bourne oziębłym tonem.

- Wiem, sisi.

Byliśmy dobrze traktowani.

Ale teraz zamierzacie nas zabić.

To oczywiste.

Proszę tylko o darowanie życia moim synom.

Danny MacDonald siedział z boku, przysłuchując się tej rozmowie.

Wydawało mu się, że rozumie niektóre słowa.

Tylko niektóre, ale to i tak nie miało znaczenia.

Domyślał się, o czym mówi ten starzec.

Początkowo był potwornie przerażony, ale zdążył pogodzić się już chyba ze swoim losem.

Kiedy pojмали tego odzianego w brudne łachmany, wychudzonego

człowieka z przedwcześnie posiwiałą, rzadką brodą, przedstawiał żalosny widok.

Teraz jednak...

Danny zauważył, że nawet w obliczu śmierci starzec potrafił zachować spokój.

Bo przecież on i jego synowie niewątpliwie muszą zginąć.

Danny myślał o tym z odrazą.

Muszą umrzeć, żeby nie mogli nikogo ostrzec...

Danny widział wyraz bezwzględności na twarzy Bourne'a.

Jego nieubłagane, przerażające spojrzenie.

Nie mógł już tego znieść.

Wstał i podszedł do Howarda i Zieglera.

- Ed?

- odezwał się.

- Czy mogę cię o coś zapytać?

- Jasne.

- Czy naprawdę musimy zabijać tych trzech strażników, tego starca i jego synów?

Ed Howard rzucił MacDonaldowi badawcze spojrzenie.

- O co ci chodzi, Danny?

- zapytał ostrożnie.

Jego ciemne oczy pozostały obojętne.

- Posłuchaj, Ed.

Nie jestem głupi.

Wiem, co Johnny zrobił z tym żołnierzem na promie.

To było do przewidzenia.

Z nimi zamierzacie postąpić tak samo, prawda?

Żeby nie było żadnych świadków?

- Siadaj, Danny - powiedział Howard, cały czas uważnie mu się przyglądając.

Zaczekał, aż MacDonald usiądzie, po czym oznajmił: - Znałeś reguły gry, kiedy zdecydowałeś się na udział w tej akcji.

Nie możemy pozwolić, żeby ktoś nas wydał.

Dobrze o tym wiesz.

Johnny także.

Owszem, zabił tego żołnierza.

Nie musiałem mu mówić, żeby to zrobił.

Wiedział, że nie ma innego wyjścia.

Wcale zresztą nie sprawiło mu to przyjemności, mimo że facet był wyjątkowo nieprzyjemny i próbował dźgnąć Mike'a bagnetem.

Nie muszę więc mówić też Johnny'emu, co zrobić z tymi trzema strażnikami.

- Howard zamilkł na chwilę.

- Ale jeśli chcesz wiedzieć - dodał, pochylając się naprzód i patrząc na MacDonalda z powagą - nie mamy zamiaru ich zabijać.

- Co?

Więc dlaczego Johnny tak ich męczy?

Howard westchnął.

- Wszyscy trochę dzisiaj pospaliśmy, prawda, Danny?

- zapytał.

- Tak, ale co to ma do wspólnego z...

- Każdy z nas przespał się parę godzin - przerwał mu Howard.

- Dwóch było na straży, czterech miało wolne.

Wszyscy trochę odpoczęliśmy.

Wszyscy - dodał, zaciągając się dymem z papierosa - z wyjątkiem Johnny'ego.

Przyszedł do mnie rano, kiedy zjawili się synowie tego starca i powiedział, że próbuje przeprowadzić pewien eksperyment.

Sam to zaproponował.

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdził MacDonald.

- To był pomysł Johnny'ego, nie mój, żeby pozostawić tych ludzi przy życiu.

Uznał, że gdyby miał okazję z nimi porozmawiać i wzbudzić ich szacunek, istniałoby mniejsze prawdopodobieństwo, że zechcą nas wydać.

Ale przede wszystkim muszą czuć przed nami respekt.

Dlatego Johnny tak ich magluje.

Kiedy się dowiedzą, że zamierzamy darować im życie, będą nam wdzięczni.

Tak samo reagują często ofiary porywaczy.

Weźmy na przykład Patrycję Hearst.

Została współniczką człowieka, który ją porwał - tak bardzo była mu wdzięczna, że darował jej życie, a równocześnie tak obrażona na swoją rodzinę i władze, które niczego nie zrobiły, aby ją ocalić.

To znane w psychologii zjawisko, Danny.

Johnny próbuje tylko osiągnąć właściwy efekt w ciągu dwunastu godzin, zamiast kilku dni czy tygodni.

Dlatego w ogóle nie spał.

MacDonald nic nie odpowiedział.

Słowa Howarda zupełnie go zaskoczyły.

Źle ocenił Bourne'a.

Czuł w głowie pustkę.

- Powinni zresztą milczeć z jeszcze jednego powodu - dodał Howard konfidencyjnym tonem.

- Johnny powie im, że gdyby nas zdradzili, wrócimy, żeby się

zemścić?

- Ujmie to w trochę inny sposób.

Wspomni raczej o wzajemnym zaufaniu, kwestii honoru...

Ale miałem na myśli coś innego - stwierdził Howard.

- Damy im pieniądze.

Nawet dość dużo.

- Żeby kupić ich milczenie?

- Nie.

Taka propozycja wywołałaby wręcz przeciwną reakcję.

Człowiek honoru, choćby nawet bardzo biedny, mógłby poczuć się nią dotknięty.

To będzie rekompensata za szkody, wyrządzone jemu, jego synom i rodzinie.

Nie stawiamy żadnych warunków.

On to zrozumie.

Przyjmie od nas zapłatę.

A wówczas - Howard uśmiechnął się - tym bardziej nie będzie skłonny zgłaszać niczego irackim władzom.

Wie, że wypytywaliby go o wszystko, co widział i nie byłiby przy tym pewnie zbyt delikatni.

Gdyby do nich poszedł, wcześniej czy później dowiedzieliby się o pieniądzach.

A to by oznaczało śmierć dla niego i całej jego rodziny.

- Ach tak...

- mruknął MacDonald.

- Teraz jesteś już zadowolony?

- zapytał Howard.

- W porządku.

Więc zajmijmy się innymi sprawami.

Dochodzi siódma.

Chcę jak najszybciej stąd wyruszyć, ale mamy problem z korkiem na drodze.

Ten wielki konwój jakby nie miał końca.

Poczekamy do ósmej.

Jeżeli do tego czasu nic się nie zmieni, znajdziemy w nim jakąś lukę, przetniemy szosę i pojedziemy na przełaj.

- Wcale mi się ten pomysł nie podoba - mruknął Ziegler.

- Czemu nie?

- zapytał Danny.

- Czy nie byłoby bezpieczniej trzymać się z dala od głównej drogi?

- Właśnie wtedy prędzej nas zauważą - odparł Howard.

-Trudniej będzie się nam prześlizgnąć tak, jak wczoraj wieczorem.

Bo niby dlaczego dwa ambulanse miałyby jechać bocznymi drogami?

To może wzbudzić zdziwienie.

Nie, póki można, trzeba trzymać się szosy.

Byle tylko zjechać z niej w odpowiednim momencie.

Tak czy inaczej - mówił dalej, podnosząc się z miejsca - spróbujemy wyruszyć najpóźniej o 20.00.

Danny, zawołaj Tony ego, dobrze?

Mike przygotuje jakieś żarcie i coś do picia.

Za kwadrans będzie kolacja.

MacDonald skinął głową i poszedł obudzić Ackforda.

Ziegler zwrócił się do Howarda, mówiąc półgłosem: - Myślisz, że nam nie ufa?

- Nie wiem, Mike - odparł Howard, wkładając do ust kolejnego papierosa i przypalając go od niedopałka poprzedniego.

- Nie przypuszczam.

Historia z tym żołnierzem najwyraźniej wytrąciła go z równowagi.

Może należałoby delikatniej się z nim teraz obchodzić.

Niech myśli, że darujemy życie tym trzem facetom, ponieważ Johnny ma dobre serce.

Nie powiedziałem mu, że gdyby przepadli bez śladu, na pewno wszczęto by pościg.

Zniknięcie pojedynczego żołnierza nikogo nie zdziwi - uznają, że zdezerterował.

Ale gdyby zaginęło nagle trzech strażników?

Byłoby to podejrzane.

Chodź, chcę rzucić jeszcze raz okiem na ten konwój.

Cztery pociski manewrujące dotarły do lądu w odstępach dziewięćdziesięciu sekund.

Dwa poleciały na wschód, a dwa pozostałe w kierunku północno-zachodnim.

Pierwsza para zmierzała prosto do ujścia Szatt al Arab, drogi wodnej, stanowiącej granicę między Iranem i Irakiem.

Gdy obniżyły lot ze stu pięćdziesięciu do trzydziestu metrów, włączył się program TERCOM.

Na podstawie obserwacji ukształtowania terenu dokonana została drobna korekta inercyjnego systemu nawigacyjnego.

Początkowo pociski nie wzbudziły niczyjzego zainteresowania.

Gdy mijały ruiny wielkich rafinerii ropy i magazynów w Abadanie i Chorramszahr, usłyszeli je irańscy żołnierze.

Przez chwilę byli zaniepokojeni, nie wiedząc, co przelatuje z takim hałasem w ciemnościach nad ich głowami.

Mieli jednak wyraźne rozkazy, aby nie strzelać, o ile nie zostaną bezpośrednio zaatakowani, nie podjęli więc żadnych działań.

Pociski leciały dalej nad Szatt al Arab, docierając nad terytorium Iraku i mijając wschodnie przedmieścia irackiego miasta Basra.

Postawiły tam w stan pogotowia żołnierzy z dywizji pancерnej Republikańskiej Gwardii Hammurabiego, którzy bezskutecznie strzelali w niebo, oświetlone potężnym reflektorem.

Gdy zaczęła się kanonada, pocisków dawno już tam nie było.

Szybowały dalej nad wodą z prędkością ponad ośmiuset kilometrów na godzinę.

Pozostałe dwa pociski leciały wzdłuż Khawr abd-Allah, mijając od północy wyspę Bubiyan i docierając do cieśniny na granicy z Kuwejtem.

Trzydzieści kilometrów dalej znalazły się nad kanałem Szatt al Basra, który doprowadził je, podobnie jak dwa poprzednie, nad przedmieścia Basry, tyle że od strony zachodniej.

Przelatując między cywilnym i wojskowym lotniskiem spowodowały trochę zamieszania, nie podjęto jednak żadnych zdecydowanych działań.

Jedyną reakcją były znowu spóźnione strzały w powietrze z ręcznej broni i działek przeciwlotniczych.

Dotarwszy do końca kanału pociski znalazły się nad wodami Khawr al Hammar i skręciły niemal dokładnie na zachód, w kierunku miasta An-

Nasirija.

Te natomiast, które zmierzały na wschód, dotarły u wylotu Szatt al Arab do miejsca, gdzie zlewają się dwie wielkie rzeki i skręciwszy w prawo poleciały wzdłuż Nahr al Dijlah - czyli Tygrysu - w kierunku Bagdadu.

55 - Tony?

Mówi Peter.

Mógłbyś mi powiedzieć, co się tam u was dzieje, do cholery?

- Peter!

Jak dobrze, że dzwonicz!

- Tony Hughes najwyraźniej odetchnął z ulgą, słysząc głos Dartingtona.

- Gdzie jesteś?

- Spędzam urlop na Bahamach.

Był u mnie właśnie policjant i opowiadał o jakichś ludziach, którzy podrobili dokumenty Darcona, fałszując mój podpis, żeby uzyskać dostęp do naszej bazy w Arabii Saudyjskiej.

O co tu chodzi, do diabła?

Kim oni są?

I czego właściwie chcieli?

Hughes podzielił się z nim posiadanymi informacjami, wspominając o swoich rozmowach z "tajnikami z brytyjskiej i amerykańskiej ambasady".

Dartington przerywał mu często, pytając o szczegóły.

Na koniec Hughes stwierdził: - Nic więcej nie wiem.

Zdaje się, że wszyscy traktują tę sprawę bardzo poważnie, co jest

zupełnie zrozumiałe.

Przykro mi, że doszło do takiej sytuacji, ale dokumenty wyglądały na prawdziwe, a twój podpis do reszty mnie przekonał.

Dartington milczał przez chwilę.

Ależ spryciarz z tego Howarda, pomyślał, nie kryjąc podziwu.

- Posłuchaj, Tony - powiedział z troską w głosie.

- Chcę, żebyś służył ambasadzie wszelką niezbędną pomocą i powiadomił o całej sprawie saudyjską policję...

- Już to zrobiłem, Peter.

- W porządku.

Jestem wściekły jak diabli!

- wybuchnął Dartington.

- Nie na ciebie - dodał pospiesznie.

- To nie twoja wina.

Widziałem kopię faxu, który dostałeś.

Wcale nie wyglądał na falsyfikat.

Ci ludzie zepsuli mi urlop.

Nie pozwolę, żeby robili z nas osłów i kradli nam sprzed nosa sprzęt.

Chcę, żeby ich złapano - dodał z naciskiem.

- Postaraj się w tym pomóc, dobrze?

Miałeś rację, że sprawa jest poważna.

Podobno to jacyś terroryści.

- Tak myślałem.

Ci faceci z ambasady nic mi nie powiedzieli, ale cokolwiek się za tym kryje, nie wyglądali na zachwyconych.

- Przypuszczam.

- Głos Dartingtona brzmiał poważnie.

- Proszę cię w każdym razie, żebyś pomógł im złapać tych sukinsynów.

Zadzwoń do mnie, gdybyś się czegoś dowiedział.

- Dartington podał Hughesowi numer telefonu i odłożył słuchawkę.

- Czy coś się stało, kochanie?

- zapytała pani Dartington, wchodząc do domu.

- Na to wygląda.

Jacyś oszuści popełnili przestępstwo, udając w Arabii Saudyjskiej pracowników Darcona.

Do cholery - mruknął ze złością - Nie ujdzie im to na sucho.

Nie pozwolę skurwielom robić ze mnie głupca.

- Odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Pani Dartington nie mogła przeoczyć faktu, że jej mąż jest wściekły.

Postanowiła zachować milczenie.

Dobry Boże, pomyślała.

Teraz będzie w podłym nastroju przez resztę tygodnia.

Zdumiałaby się zapewne, widząc twarz Dartingtona po jego wyjściu z pokoju.

Był uśmiechnięty od ucha do ucha.

Znajdujący się o kilka kilometrów dalej Julian Smith westchnął i wyłączył magnetofon.

Cholera - zaklął w duchu.

- Miałem nadzieję, że go przyskrzynię.

Może jednak jest czysty.

Albo sprytniejszy niż mi się wydaje.

- Johnny, jest już żarcie - zawołał Ed Howard do Bourne'a, który siedział nadal w kącie w głębi magazynu obok trzech skulonych Arabów.

Bourne odwrócił się do niego i skinął głową.

- Zaraz przyjdę, Ed.

Zorientuję ich tylko w sytuacji.

Kilka sekund później dobiegł nagle z kąta szmer podnieconych głosów.

MacDonald podniósł wzrok znad garnka gęstej zupy, którą nalewał do ustawionych rzędem menażek i zobaczył w nikłym świetle, jak Johnny Bourne zdejmuje dwóm młodym Arabom kajdanki.

Gdy tylko ich uwolnił, wstali i mocno uścisnęli mu dłoń, okazując bezgraniczną wdzięczność.

Nareszcie im powiedział, pomyślał MacDonald.

Dwaj Arabowie trajkotali bez przerwy i nie przestawali się uśmiechać.

Po chwili przebiegli przez magazyn i nadal promieniejąc radością ściskali po kolei ręce wszystkim członkom grupy.

Spojrzenie MacDonalda powędrowało z powrotem w głąb magazynu.

Zobaczył w świetle dopalającej się świecy, jak starzec wstaje powoli z ziemi i mówi coś do Bourne'a uroczystym tonem.

Obaj mężczyźni podali sobie dłonie w geście wzajemnego zrozumienia.

Płomień świecy rzucał migotliwy blask na ich postacie.

MacDonald pomyślał, że gdyby nie charakter tego miejsca i wojskowy ubiór Bourne'a, byłyby to scena jak z Biblii, niczym na jednym z obrazów, wiszących w jego domu w Carvaig.

Nie mógł oderwać oczu od twarzy starca.

Było w niej coś ponadczasowego.

Zniknęły gdzieś zmarszczki i przygarbiona sylwetka.

MacDonald stwierdził, że mimo niechlujnego wyglądu ten stary, wychudzony człowiek miał w sobie jakąś patriarchalną godność.

Howard zjadł pospiesznie kolację z menażki, po czym spojrzał na zegarek.

Była 19.25.

- Zostawcie trochę dla Boba, chłopcy.

Pójdę do niego i sprawdzę, co z tym konwojem.

Szykujcie się do drogi.

Minąwszy miasto An-Nasirija, dwa lecące po zachodnim kursie pociski skierowały się nad Eufrat.

W pobliżu Samawah odbiły od rzeki i podążyły jeszcze bardziej na zachód, nad jałowe obszary skalistej pustyni na południe od Najaf.

Radarowy system naprowadzania TERCOM miał drobne problemy, gdy w dolinie Eufratu pojawiły się nieoczekiwanie sylwetki drzew, ale korelacja danych z pokładowym systemem pozycyjnym GPS potwierdziła, że pociski lecą we właściwym kierunku.

TERCOM miał również kłopoty nad płaskim terenem, pozbawionym charakterystycznych punktów.

Także w tym przypadku system GPS dokonywał na bieżąco

precyzyjnej korekty lotu.

Pozostawiwszy Najaf w odległości trzydziestu kilometrów na wschód, pociski trafiły bezbłędnie nad słone wody Buhayrat ar-Razzazah, dużego jeziora, położonego siedemdziesiąt pięć kilometrów na południowy zachód od Bagdadu.

Ważące trzysta kilogramów turbinowe silniki Williams F107 zmniejszyły na chwilę obroty, gdy pociski obniżyły wysokość, aby lecieć trzydzieści metrów nad wodą.

Cztery minuty później znów się wzniosły, dotarłszy do północnego krańca długiego na sześćdziesiąt kilometrów jeziora.

Zataczając krąg skrzyły w lewo, aby nie przelatywać nad zbombardowanym kompleksem nuklearnym i bazą wojskową w Majarrah, a potem skierowały się na północny zachód, ku przełęczy Muhammadi-Ramadi.

Śmignawszy nisko nad autostradą Bagdad-Amman, przecięły Eufrat i obrały kurs na północ.

Dwa pozostałe pociski leciały wzdłuż Tygrysu aż do Al-Amara, gdzie pozostawiły za sobą płynącą meandrami rzekę i podążyły w kierunku wschodnim, równoległe do granicy irańskiej.

Był to słabo zaludniony obszar i mało kto słyszał w ciemnościach ich świst.

Zapewne brano je zresztą mylnie za irackie samoloty, wracające po kolejnym bombardowaniu bagnistych terenów na południu kraju.

Pociski ominęły z daleka Bagdad, przelatując ponownie nad Tygrysem w Tarmiyah, na południowy zachód od Bakuby.

Była to najbardziej niebezpieczna część trasy: gęsto zaludniony,

rolniczy region o dużej koncentracji baz wojskowych i lotnisk.

Znów ogłoszono alarm, ale działka przeciwlotnicze były równie nieskuteczne jak poprzednio.

Za rzeką zmalała ponownie liczba pól uprawnych.

Pociski leciały teraz niemal dokładnie na zachód, trzymając się nisko nad ziemią i zmierając w kierunku południowego krańca Buhayrat at-Tartar.

Dotarły do południowo-wschodniej odnogi wielkiego jeziora w tym samym czasie, gdy para lecąca od zachodu przekraczała Eufrat.

Wszystkie cztery pociski były teraz w odległości około stu kilometrów od celu i zaczynały zmierzać w jednym kierunku.

Dwa lecące od zachodu nieco zwolniły, aby nie dotrzeć na miejsce dwanaście sekund przed czasem.

Była 19.41.

Cel miał zostać trafiony o 19.49, dokładnie za osiem minut.

- Konwój już przejechał - oznajmił Howard, wchodząc ponownie do magazynu przez niewielkie boczne drzwi.

- Od prawie dziesięciu minut droga jest wolna.

Ruszajmy.

Howard i Ackford podjechali Land Cruiserami w kierunku bramy, używając w ciemnościach gogli noktowizyjnych i reflektorów na podczerwień.

Usher - narzekając, że nie dano mu dokończyć kolacji - pomógł Bourne'owi i trzem Arabom zamknąć wielkie drzwi.

Potem wszyscy podeszli do bramy i Usher zajął miejsce na tylnym siedzeniu drugiego wozu, pożerając łapczywie to, co zostało w menażce.

Bourne tłumaczył coś jeszcze półgłosem trzem Arabom.

Kiedy skończył, ponownie uściskał im dłonie, Okazywali mu nieustannie swoją wdzięczność.

Z trudem się od nich uwolniwszy, zastąpił za kierownicą wozu Howarda, który przesiadł się tymczasem na sąsiedni fotel.

Za namową Bourne'a dwaj synowie starca zaczęli wracać pośpiesznie do domu, zaś on sam miał pilnować dalej magazynu, jakby nic się nie zdarzyło.

- Jesteś pewien, że możesz prowadzić, Johnny?

- zapytał Howard, zwracając się do Bourne'a.

- Bez problemu.

- No to jedźmy.

We wszystkich czterech pociskach, mających trafić w cel już za dwie minuty, włączyły się systemy końcowego naprowadzania DSMAC.

Komputer sprawdzał ukształtowanie terenu, porównując je z zapisanym w swojej pamięci cyfrowym obrazem.

Głowice były już uzbrojone.

Pociski dotarły niemal do celu podróży.

Rozpoznawszy poszukiwany obiekt zmierzały w jego kierunku.

Starzec przyglądał się odjeżdżającym samochodom, a potem zamknął bramę.

Cóż za piękna noc.

Dziękował Allachowi za opiekę.

Ci Amerykaniyen nie byli wcale tacy źli, jak mówiono.

Okazali się ludźmi honoru.

Potraktowali jego i jego synów z szacunkiem.

Był teraz bogatym człowiekiem.

Niewyobrażalna suma pieniędzy, jaką od nich otrzymał z pokornymi przeprosinami za kłopoty i zmartwienia, których mu przysporzyli, pozwalała myśleć z nadzieją o przyszłości.

I on, i jego synowie będą bardzo ostrożnie wydawać te pieniądze.

Muszą to robić powoli i dyskretnie.

Bezmyślne demonstrowanie bogactwa może być zgubne w skutkach.

Nie powinien też dać się złapać z takim majątkiem.

Niebezpiecznie jest nosić przy sobie tyle pieniędzy.

Pomyślał, że musi je natychmiast ukryć.

Znał dobre miejsce.

Za stróżówką była duża skała ze szczeliną u podstawy, ukrytą za krzakami i płaskim kamieniem.

Skała znajdowała się za ogrodzeniem, nikt więc nie znajdzie tych pieniędzy przez przypadek.

Tak, pomyślał.

Schowa je tam od razu.

Podszedł do skały, rozsunał suche zarośla i przykleknął, aby odrzucić płaski kamień.

To ocaliło mu życie.

Coś przeleciało nad nim w ciemnościach z głośnym świstem, a potem nagle noc zamieniła się w dzień i cały świat jakby rozpadł się na kawałki.

Stutrzydziestokilogramowy ładunek eksplodował z takim hukiem, że oszołomiony i ogłuszony starzec nie słyszał nawet, jak niemal w tej samej chwili nadleciały trzy następne pociski.

Upadł bez czucia na ziemię, trafiony w skroń przypadkowym odłamkiem kamienia.

Pięć minut później znaleźli go dwaj przerażeni synowie, którzy przybiegli z powrotem, aby sprawdzić, czy ich ojciec jeszcze żyje.

Odzyskawszy przytomność starzec zobaczył ze zdumieniem dymiące ruiny magazynu i zrównaną z ziemią stróżówkę.

Opowiadał potem wszystkim w nieskończoność, jak to ocalał podczas potwornego nalotu, ale ani on sam, ani jego synowie nie zdradzili nikomu, dlaczego w momencie, gdy spadły bomby, siedział ukryty za wielką skałą.

- Chryste!

Widziałeś to?

- Bourne nadepnął z całej siły na pedał hamulca, zatrzymując samochód.

Również drugi Land Cruiser zahamował z piskiem opon, stając obok.

Wszyscy odwrócili głowy.

Howard zobaczył przez lornetkę, że magazyn, który zostawili półtora kilometra za sobą, przestał istnieć.

Przechylił głowę na bok, nasłuchując.

- Co to było, do cholery?

- zapytał Bourne, najwyraźniej zaszokowany.

- Słyszałem trzy albo cztery eksplozje, jedną po drugiej - powiedział Ziegler, jadący w drugim wozie.

- Ja też - powiedział Howard.

- Ale nie powinniśmy tu stać.

Lepiej być jak najdalej od tego miejsca.

Ruszyli w dalszą drogę.

Przez chwilę w jadącym z przodu ambulansie panowała cisza.

Bourne odezwał się pierwszy.

- To musiał być atak z powietrza.

- Też tak myślę - stwierdził Howard.

- Za silna eksplozja jak na pociski czołgowe albo artyleryjskie.

Zresztą dotarłby do nas huk wystrzału.

Ale nie słyszałem żadnego samolotu, a ty?

- Chyba tak, ale nie jestem pewien.

Mógł go zagłuszyć hałas silnika.

Albo echo eksplozji.

To musiały być bomby.

Co o tym myślisz?

- Trudno powiedzieć - stwierdził Howard, marszcząc z namysłem brwi.

- Ale na pewno nie ma powodów do radości.

To nie był przypadek.

- Chyba jednak - rzekł Bourne.

- Gdyby chodziło im o nas, nie bombardowaliby tego magazynu.

Wysłaliby śmigłowce i zablokowali drogę.

A może rzeczywiście jest zablokowana?

Nie uważasz, że powinniśmy jednak z niej zjechać?

- Nie.

To niczego nie załatwi.

W ten sposób tylko bardziej rzucalibyśmy się w oczy i śmigłowce faktycznie mogłyby nas wyśledzić.

Jeżeli zjedziemy za szybko z szosy, będą nas mieli jak na dłoni.

- A co z tym konwojem?

- Jest już kilka albo kilkanaście kilometrów stąd - odparł Howard.

- Zapewne słyszeli eksplozję, ale założę się, że nie będą dochodzić, co to było.

Mają rozkaz dotrzeć w konkretne miejsce.

Nie przypuszczam, żeby z własnej inicjatywy chcieli zawrócić i sprawdzać, co się tu dzieje.

Zresztą uważają pewnie, że to ćwiczebny nalot, czy coś takiego.

W końcu ten magazyn stał na zupełnym odludziu.

Wątpię, żeby się nim interesowali.

- Obyś miał rację.

- Nawet jeżeli się mylę, i tak niczego to nie zmieni - stwierdził ponuro Howard.

-Ale ten konwój może się nam jeszcze przydać.

Dogonimy go i pojedziemy z nim, zgodnie z planem, aż do lotniska w Tartar.

Gdybyśmy trafili na blokadę drogi, będziemy udawali, że należymy do konwoju.

Oni używają tylko tylnych świateł.

Jeżeli wyłączymy reflektory, kierowca ostatniego pojazdu nie będzie nawet wiedział, że za nim jedziemy.

Bourne skinął głową i dodał gazu.

Kwadrans później dogonili konwój.

Bourne stwierdził z ulgą, że długi szereg pojazdów nadal posuwał się naprzód.

Zmniejszyli prędkość, utrzymując odległość niecałych czterystu metrów od ostatniego samochodu.

Jadąc w tym tempie potrzebowali kolejnej godziny, aby dotrzeć do miejsca, gdzie należało skrócić.

Howard siedział w ciemnościach obok Bourne'a, głęboko zamyślony.

Miał nieodparte wrażenie, że coś jest nie w porządku.

I to bardzo.

56 Przejazd długiego konwoju był obserwowany przez JSTARS.

Początkowo Kearwin miał obawy, że jeśli dwa śledzone samochody ruszą sprzed budynku i znajdą się wśród setek innych pojazdów na szosie, może stracić je z oczu.

Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że spiskowcy nie mają z pewnością najmniejszej ochoty na spotkanie z całą dywizją irackich żołnierzy.

Będą czekali, aż konwój przejedzie.

Sorensen wrócił do biura tuż po 12.30, prosto z posiedzenia Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

Był wyraźnie podekscytowany.

Nadal miał na sobie najlepszy garnitur.

Podszedł szybko do stanowiska Kearwina i zapytał: - John, czy te samochody na pewno tam jeszcze są?

- Oczywiście, Walterze.

- W porządku.

Chcę, żebyś przez najbliższych dwadzieścia minut uważnie obserwował ten budynek.

Bardzo uważnie.

I niech pierwszy satelita, który będzie przelatywał tamtędy po godzinie 13.00, czyli po 20.00 czasu irackiego, zrobi dokładne zdjęcie.

Jasne?

- Tak jest.

- Kearwin zaczął wystukiwać na klawiaturze odpowiednie instrukcje, zlecając satelicie KH-11 "odskok" z orbity o 13.05.

Podniósłszy wzrok zobaczył, że Mors stoi nadal obok niego, wyraźnie zatroskany.

Przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

- Jak było na zebraniu, Walterze?

- Lepiej nie pytaj, John.

Lepiej nie pytaj.

- Mors pokręcił głową z dezaprobatą.

- Cholerne matoly - powiedział dosadnie, odchodząc do swojego

biurka.

Kearwin uśmiechnął się pod nosem i spojrzał znowu w ekran.

O 12.42 radary JSTARS zlokalizowały jakiś ruch w okolicach budynku.

Mors zerwał się na równe nogi i podbiegł do stanowiska Kearwina.

- Czy to pewne?

- zapytał.

- Tak.

Sam zobacz.

Dwa pojazdy.

Zatrzymały się obok tego domku.

Mors wpatrywał się uważnie w ekran.

- Może jednak, może jednak...

- wyszeptał.

- Nie może, Walterze.

To są na pewno te samochody.

- Miałem co innego na myśli.

Obserwuj dalej.

Pięć minut później zobaczyli, że pojazdy oddalają się od magazynu.

- Kurwa mać!

- zawołał Mors, z szerokim uśmiechem spoglądając w ekran.

- Udało im się.

W ostatniej chwili!

- Walterze, możesz mi powiedzieć, co się właściwie dzieje?

- zapytał Kearwin, którego zżerała ciekawość.

- Nieważne, Johnny - odparł Mors.

- Po prostu śledź dalej te wozy.
- Zerknął na zegarek.

- Ale teraz popatrz sobie jeszcze raz na ekran.

Po upływie dwudziestu sekund obraz uległ nagle rozmyciu.

Kiedy po dłuższej chwili stał się znów wyraźny, magazynu już nie było.

- Wy...

wyleciał w powietrze!

- krzyknął Kearwin drżącym głosem.

- Cholera jasna!

Nie do wiary!

Po prostu rozpadł się na kawałki!

- właśnie - przytaknął Mors.

- Teraz obserwuj dalej te samochody, a ja pójde zadzwonić.

Sprawi mi to dużą przyjemność -

dodał.

- Cholerne matoly dostaną za swoje.

Ale numer!

- Sorensen wyszedł z biura, tłumiąc śmiech.

Kearwin patrzył na niego oniemiały z wrażenia, a potem odwrócił się powoli do klawiatury, aby zlecić komputerowi dalszą obserwację śledzonych pojazdów.

Harris i Palmer gawędzili sobie przez pierwszych dziewięćdziesiąt minut od wyjazdu z Dżuddy.

Palmera opuszczało stopniowo napięcie, które odczuwał od chwili, gdy omal nie zostali nakryci w hotelu "Sheraton".

Dyskutowali długo, w jaki sposób policja mogła wpaść na ich trop,

do niczego jednak nie doszli, zrezygnowali zatem z dalszych spekulacji.

Harris chciał wiedzieć, jak wyglądała sytuacja w Badanah, więc Palmer szczegółowo mu wszystko zrelacjonował.

Stopniowo zaczęło go ogarniać zmęczenie.

- Mel, jeśli ci to nie przeszkadza, zdrzemnę się trochę, dobrze?

- powiedział, tłumiąc ziewnięcie.

- To była cholernie długa i monotonna podróż.

Zeszłej nocy miałem po drodze tylko dwie godziny postoju.

Dasz sobie radę?

- Oczywiście.

Przez ostatnie dwa tygodnie cały czas siedziałem na tyłku.

Wypocząłem jak nigdy.

Prześpij się.

Czy jest coś, na co powinienem uważać?

- Tak, na parę rzeczy.

- Palmer znowu ziewnął.

- Uważaj na wielbłądy.

To głupie bestie.

Koło Taimy o mało jednego nie przejechałem.

Walęsają się po drogach, jakby w ogóle nie wyczuwały niebezpieczeństwa.

W dodatku nie różnią się kolorem od tej cholernej pustyni, więc trudno je zauważyć.

Widziałem w Qulibah samochód z martwym wielbłądem na masce.

Mówię ci, musiał go nieźle grzmotnąć.

Z biednego zwierzęcia niewiele zostało.

Wpadł przez przednią szybę do środka samochodu.

Trudno było potem odróżnić szczątki wielbłąda od zwłok kierowcy.

- Przygryzł górną wargę.

- A jaki był smród...

- Lepiej na wszelki wypadek usiądź z tyłu - stwierdził z uśmiechem Harris.

- Może to zrobię - odparł Palmer.

- Aha, i uważaj na te cholerne meduzy w małych, białych Mazdach.

Też płaczą się po drogach.

- Miałem już okazję zobaczyć, jak oni jeżdżą - stwierdził Harris.

- Ale dlaczego nazywasz ich meduzami?

- Tak określaliśmy terrorystów w Rodezji, zanim powstało tam rajskie państwo Zimbabwe - odparł Palmer sarkastycznym tonem.

- Kiedy któregoś ustrzelełeś, wiotczał jak galareta.

Ci faceci reagowaliby pewnie tak samo - mruknął pod nosem.

- No dobrze, teraz trochę się prześpię.

Możesz posłuchać sobie światowego serwisu BBC.

To te trzy przyciski.

Po prawej stronie jest radio Izrael.

Żeby mieć dobry odbiór, trzeba od czasu do czasu pokręcić gałką, bo fala często zanika.

Obudź mnie za jakieś dwie godziny, albo gdybyś poczuł się zmęczony.

O 21.05, gdy Sullivan odlatywał do Bangkoku, a w kierowanym przez Harrisa Land Cruiserze zaczynały brzęczeć szyby od pochrapywań Palmera, Howard zauważył po prawej stronie boczną drogę.

Minęli właśnie Wadi at-Tartar, rzekę płynącą w kierunku ogromnego jeziora, nad którym półtorej godziny wcześniej przeleciały dwa pociski.

Droga wyglądała nieźle, a odbiornik GPS potwierdził, że znajdują się we właściwym miejscu.

Dwa ambulanse zjechały z głównej szosy, pozostawiając za sobą znikające w mroku światła konwoju.

- No dobrze - odezwał się Harris.

- Teraz ostatni etap.

Na początku nie powinniśmy mieć problemów, ale w miarę zbliżania się do Tygrysu ryzykujemy coraz bardziej, że ktoś nas zauważy.

Wszystkie leżące luzem przedmioty zostały schowane lub przymocowane tak, żeby o nic nie uderzały.

Oba pojazdy poruszały się z prędkością niecałych czterdziestu kilometrów na godzinę.

Pracujące na wolnych obrotach silniki nie robiły dużego hałasu.

W pewnym momencie zaczął skrzypieć jeden z tylnych resorów w pierwszym Land Cruiserze.

Kiedy Ackford solidnie go naoliwił, posuwali się dalej niemal bezgłośnie.

Chyba tylko przyłożywszy ucho do ziemi można było ich usłyszeć z odległości większej niż sto metrów.

Mijając z rzadka osiedla słyszeli ujadanie psów, ale Bourne wiedział, że szczekają one i wyją z byle powodu.

Obudzeni ze snu mieszkańcy co najwyżej zaklną i obrzucą je kamieniami.

Psy, jako nieczyste stworzenia, traktowano tu z pogardą.

O 23.00 Howard wyliczył, że są najwyżej piętnaście kilometrów od celu podróży.

Nakazał zachować szczególną ostrożność.

Posuwali się teraz bardzo wolno.

Coraz częściej widzieli ślady ludzkiej obecności.

O 23.20, wjechawszy na wzgórze, zobaczyli w oddali światła ciężarówki, podążającej na południe, w kierunku Bagdadu.

- To jakieś cztery kilometry stąd - szepnął Bourne.

- Zgadza się.

Ten skalisty teren powinien być tuż przed nami, po lewej.

Jeszcze kilkaset metrów.

- Howard korzystał teraz ze szczegółowej mapy, opracowanej na podstawie zdjęć satelitarnych.

Przyłożywszy do niej latarkę śledził w zielonym świetle promieni

beta kolejne zakręty na drodze.

Okazało się, że są już bardzo blisko miejsca, które wybrał na miejsce postoju.

Trzy minuty później powiedział: - To tutaj.

Skręciwszy powoli w lewo, Bourne wjechał ostrożnie na zbocze, między skały i zarośla Drugi Land Cruiser podążał w ślad za nim.

Po dziesięciu minutach zobaczyli na horyzoncie, w odległości niecałych czterystu metrów przed sobą, sylwetkę budynku.

Howard wysiadł z samochodu.

Po chwili dołączył do niego Ziegler.

Obaj zniknęli w mroku, poruszając się szybko i bezgłośnie.

Kiedy wrócili po dwudziestu minutach, Howard oznajmił: - To idealna kryjówka, Johnny.

Nie ma sensu jechać do kamieniołomu.

Możemy wstawić wozy do tej zagrody, otoczonej kamiennym murem.

To zupełne odludzie i nie widać, żeby ktoś tam ostatnio bywał.

Gdzieniegdzie leżą tylko kozie bobki.

Ruszajmy.

- Jestem pewien, że się zatrzymali, Walterze - oświadczył z pełnym przekonaniem Kearwin.

- Najpierw stanęli tutaj...

- dodał, wskazując punkt na mapie - ...a potem przejechali jeszcze kilkaset metrów.

Od trzydziestu minut nie ruszyli się z miejsca.

Samochody są ukryte za jakimś murem.

Jestem pewien, że to planowy postój.

W ciągu ostatniej godziny posuwali się bardzo powoli.

W Iraku jest teraz trzydzieści minut po północy.

Mors podkreślił z namysłem wąsa i skinął głową, mówiąc: - Są jakieś półtora kilometra od głównej autostrady, biegnącej z północy na południe.

Może postanowili nie jechać na razie dalej, a jutro wyruszą do Bagdadu.

- Rozważał różne możliwości, w końcu doszedł jednak do wniosku, że takie spekulacje są bez sensu.

- No dobrze.

Co to za miasto?

Tutaj, po drugiej stronie autostrady?

Na ekranie nie było jego nazwy.

Kearwin spojrział na mapę.

- Nazywa się Tikrit.

Czy coś ci to mówi?

- Nie.

Lepiej skontaktuję się z dyrektorem.

Może on wpadnie na jakiś pomysł.

Tymczasem miej ich na oku.

- W porządku, ruszamy - oznajmił półgłosem Howard.

-Johnny, sprawdź przed świtem, czy na zboczach nie zostały ślady opon.

I pośpij trochę, słyszysz?

Wygląda na to, że jesteś wykończony.

- Zdrzemnę się rano, Ed.

Do zobaczenia za trzydzieści sześć godzin.

I pozdrówcie ode mnie tego sukinsyna.

- Z przyjemnością.

- Howard uśmiechnął się, błyskając zębami w ciemnościach.

Howard, MacDonald i Ziegler, wspomagani przez kolegów, wzięli na plecy ciężki ekwipunek.

MacDonald omal nie zachwiał się na nogach.

Ależ to waży, pomyślał.

Po chwili cała trójka ruszyła w drogę, uginając się pod ciężarem nieporęcznych ładunków.

Schodzili powoli po zboczu w kierunku autostrady.

Bourne odprowadził ich wzrokiem, po czym zwrócił się do Ackforda i Ushera: - W porządku, chłopcy, bierzemy się do roboty.

Wyładujmy najpierw z samochodów cały ten pieprzony sprzęt - Tikrit, mówisz?

- Dyrektor Narodowego Biura Zwiadu spoglądał na Morsa z zainteresowaniem.

- Tak, sir.

Są siedem kilometrów od tego miejsca.

Z dala od drogi, na skalistym wzgórzu.

Ukryli się tam za jakimś starym murem.

Martin Faga zastanawiał się przez chwilę, po czym powiedział powoli: - Walterze, chyba wiem, co zamierzają zrobić.

Możesz teraz trochę odpocząć.

Te samochody wyruszą w drogę dopiero pojutrze.

Przygotuj mi zdjęcia satelitarne miejsca, w którym są ukryte i całego obszaru miasta, dobrze?

Za godzinę jest kolejne nadzwyczajne posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa.

Muszę być dokładnie zorientowany w sytuacji.

- Potrzebuje pan również kopie fotografii z JSTARS?

- Nie, raczej nie.

Dla laika są zbyt trudne do odczytania.

Wystarczą zdjęcia satelitarne.

Czy mogę dostać za pół godziny pełny zestaw odbitek?

- Oczywiście, sir.

- Mors wstał, zbierając się do wyjścia, lecz po chwili wahania postanowił zadać nurtujące go pytanie.

- Przepraszam za śmiałość, sir, ale czy pańskim zdaniem zostaną wystrzelone następne pociski?

Faga przyjrzał mu się z uwagą.

- Walterze - rzekł łagodnym tonem.

- Czyżbyś sympatyzował z tymi ludźmi?

Sorensen czuł się wyraźnie zakłopotany.

Podkręciwszy mocno wąsa odchrząknął i powiedział: - Przykro mi,

sir, ale to nie było w porządku.

Rozumie pan chyba, co mam na myśli.

Kiedy ten dzieciak, to znaczy Kearwin, zobaczył, co się stało, spojrzał na mnie jak na jakiegoś potwora.

- Nie ty podejmowałaś decyzję, Walterze - stwierdził ostro dyrektor.

- Ale gdyby znów wydano podobny rozkaz, żaden z was nie powinien go kwestionować, ani poddawać ocenie.

Pamiętaj o tym!

- Faga obrzucił Morsa chłodnym spojrzeniem, jakby chcąc się upewnić, czy został dobrze zrozumiany, a potem dodał łagodniejszym tonem: - Ale skoro chcesz wiedzieć, wątpię, żeby powtórzyli atak.

Jeżeli się nie mylę i ci ludzie dotarli do celu podróży, z pewnego istotnego powodu użycie rakiet mogłoby teraz wywołać niepożądane skutki.

Nic więcej ci nie powiem.

Może po namyśle sam się zorientujesz, o co chodzi.

Mors przeprosił Fagę i wyszedł.

Kiedy był już za drzwiami, jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech.

Nie domyślał się, że dyrektor, który pozostał w gabinecie, zareagował w podobny sposób.

Dzięki wyteżonej pracy i stosowaniu bez ograniczeń przywiezionego w dwudziestolitrowym kanistrze spirytusu, Ackford i Usher oczyścili stopniowo karoserie pojazdów z pokładów brudu.

Zewnętrzna warstwa rozcieńczonego naftą lakieru o matowym zielonym kolorze nigdy dokładnie nie stwardniała i okazała się łatwiejsza do usunięcia niż przypuszczali.

Kiedy oba Land Cruisery były względnie czyste, umyli je jeszcze przy użyciu szamponu, a na koniec spłukali mydliny czystą wodą, do której Ackford dodał niewielką ilość parafiny.

- To stara sztuczka doświadczonych kierowców - powiedział.

- Daje o wiele lepszy efekt niż wymyślne pasty do woskowania i wychodzi dużo taniej.

Te cacka będą wkrótce wyglądały jak nowe.

Zobaczysz, jak tylko zaczniemy je polerować irchą.

Skończywszy mycie karoserii wyładowali wszystko z samochodów i wyczyścili je od środka.

Cały sprzęt medyczny, z wyjątkiem apteczki, został wypakowany i ułożony w rogu zagrody.

Noszy pozbyli się już wcześniej.

Stare butle tlenowe i reszta ekwipunku również nie były im już potrzebne.

Kiedy Usher poszedł zastąpić na warcie Bourne'a, Ackford zaczął rozpakowywać dużą skrzynię, która leżała pod noszami.

Wewnątrz znajdowały się różne części, wymontowane z czwartego Land Cruisera.

Zabrali się z Bourne'm do pracy, wymieniając stłuczone obudowy reflektorów i szyby, zakładając kołpaki na koła i prostując ostrożnie wygięte blachy.

Zmienili filtry w migających światłach na dachu, zastępując czerwone niebieskimi.

Filtry podczerwieni w reflektorach pozostały na miejscu.

Z tyłu przymocowali do każdego wozu pionowy drążek.

Potem Ackford wyjął płaską paczkę, zawierającą dwa zestawy nowych tablic rejestracyjnych, kalkomanie i dwie duże flagi.

- Flagi zawiesimy tuż przed odjazdem, Tony - stwierdził Bourne.

- Gdyby ktoś nad nami przelatywał, za bardzo rzucałyby się w oczy.

Teraz przykleimy kalkomanie, założymy siatki i rzucimy na nie trochę tych ciernistych krzewów.

- Spojrzał na zegarek.

Była czwarta rano.

- Nieźle nam poszło.

Ciekawe, jak radzą sobie tamci?

- Wszystko będzie okej, szefie - stwierdził ze spokojem Ackford, żując gumę.

Po chwili wypluł ją, mówiąc: - Psiakrew, przez ten spirytus cholernie zachciało mi się pić.

Może coś łykniemy?

- Daj spokój, Tony.

Wiesz, że nie możemy teraz rozpalać kuchenki.

Trzeba z tym poczekać do świtu.

- Wcale nie!

- rzekł ze śmiechem Ackford.

- Mam termos, widzisz?

Wszystko jest gotowe.

- No, no - powiedział z uznaniem Bourne.

Ackford nalał herbaty.

Usiedli, by chwilę odpocząć.

- Biedny Bob - stwierdził Bourne, dolewając sobie następną filiżankę.

- Najpierw nie daliśmy mu dokończyć kolacji, a teraz został bez herbaty.

- Jest nie tam, gdzie trzeba, kiedy coś się dzieje - stwierdził Ackford.

- Nieważne.

Nie zaszkodzi mu, jak trochę zaczeka.

Nie byłoby dobrze, gdyby pił na warcie, prawda?

57 Howard martwił się, jak przejdą przez autostradę, ale w sumie poradzili sobie bez problemów.

Przycupnęli w rowie na poboczu, uważnie nasłuchując, a kiedy na drodze nie było chwilowo żadnych pojazdów i nic nie mąciło ciszy, przemknęli szybko na drugą stronę, znikając w cieniu palm.

Krajobraz, który widzieli teraz przez gogle noktowizyjne, wyglądał zupełnie inaczej niż w miejscu, gdzie zostawili samochody.

Nie była to kamienna pustynia, lecz obszar upraw, sadów i pól, z widocznymi tu i ówdzie niewielkimi domostwami.

Wszędzie rosły kępki palm.

Podążający za Howardem MacDonald zauważył, że jest ich najwięcej wokół zabudowań.

Noc była cieplejsza niż poprzednia, przypuszczalnie dlatego, że zjechawszy w dolinę Tygrysu znaleźli się na mniejszej wysokości.

Zapowiadał się upalny dzień.

Mogło być nawet goręcej niż w Badanah.

Nic dziwnego, że Irakijczycy sadzili palmy; oprócz daktyli dawały im chłodny cień.

W drodze do miasta dostrzegli tylko ośmiu ludzi.

Najpierw starca, który wyszedł nagle z chaty, aby się załatwić, a potem grupkę sześciu mężczyzn, którzy rozmawiali cicho, siedząc przy wygasającym ognisku pięćdziesiąt metrów od ścieżki.

Trochę dalej natknęli się jeszcze na chłopaka, spieszącego samotnie w ich kierunku.

Mieli dość czasu, aby ukryć się w gąszczu.

MacDonald obserwował młodego Irakijczyka przez gogle.

Chłopak był czujny, a zarazem pewny siebie.

Szedł przypuszczalnie na potajemną randkę z dziewczyną.

Sporo ryzykował.

MacDonald słyszał od Bourne'a, że za przedmałżeńskie stosunki mogły mu grozić poważne konsekwencje ze strony ojca dziewczyny.

Półtorej godziny później, minąwszy główną linię kolejową i jeszcze jedną ważną drogę, znaleźli się w pobliżu miasta.

Howard zaczął obchodzić je od południa.

Wspinali się stopniowo coraz wyżej.

Przed trzecią dotarli na szczyt łagodnego zbocza, które opadało ukosem od Tikrit w kierunku południowym.

W dole widać było miasto, a za nim, w odległości kilkunastu kilometrów, światła wojskowej bazy lotniczej Sahra.

Na prawo, u podnóża stromej skarpy, płynęła rzeka Tygrys, a dalej znajdowało się drugie lotnisko, Tikrit-Wschód.

Byli zaledwie kilkaset metrów od najbliższych budynków.

Howard, korzystając teraz coraz częściej z mapy i odbiornika GPS, zaczął zbliżać się do miasta.

Na grzbiecie wzgórza nie było żadnej zabudowy ani pól uprawnych.

Gdzieniegdzie porastała je trawa, ale przede wszystkim rzadkie zarośla.

Nagle ujrzeli przed sobą rozległy plac.

Znajdował się na obrzeżach miasta i otoczony był z trzech stron budynkami.

MacDonald pomyślał, że wygląda jak ogromny rynek albo arena.

W głębi placu, bliżej centrum, widać było oświetlony reflektorami potężny mur, a na nim jakiś fresk.

MacDonald nie mógł się zorientować, co przedstawia.

Miał założone gogle, a światła były tak jasne, że raziły go w oczy.

Howard znów przystanął.

MacDonald zobaczył, że posługując się kompasem sprawdza usytuowanie areny, a potem mostu.

Był to punkt, w którym biegnąca z północy na południe autostrada przecinała szlak kolejowy.

Namierzywszy jeszcze trzeci obiekt, widoczne w oddali lotnisko Sahra, Howard nabrał pewności, że dotarli do celu.

- W porządku - szepnął do MacDonalda i Zieglera.

- Moim zdaniem jesteście we właściwym miejscu.

Mac, ustaw dalmierz i podaj mi dokładną odległość do tej oświetlonej ściany.

Trzej mężczyźni z ulgą zdjęli z pleców ciężki ekwipunek.

MacDonald ustawił niski trójnóg i zamontował dalmierz, podłączając do niego niewielką baterię, która oświetlała skalę.

Przesuwał powoli przyrząd na statywie, dopóki nie zobaczył ściany.

Zazwyczaj dalmierz nie dawał w ciemnościach na tyle dobrego obrazu, aby zapewnić wystarczająco dokładny odczyt, jasno oświetlony mur był jednak wyraźnie widoczny.

MacDonald zobaczył ze zdumieniem, że namalowany tam rysunek to gigantyczny portret.

Rozpoznał natychmiast uśmiechniętą dobrotliwie twarz Saddama Hussajna.

Ujrawszy krawędź ściany ustawił pokrętło tak, by zsynchronizować dwie połowy rozszczepionego obrazu i odczytał na skali odległość.

- Tysiąc sto sześćdziesiąt metrów - powiedział szeptem do Howarda.

- W porządku - odparł Howard.

- Tu będzie nasze główne stanowisko.

Mike, znajdź z Dannym najlepszy punkt w promieniu dwudziestu metrów stąd w kierunku miasta, a ja cofnę się sto kilkadziesiąt metrów i poszukam jakiegoś miejsca na zboczu.

Ziegler węszył przez pewien czas po okolicy, jak pies badający nowy teren.

Kilka razy kładł się na ziemi, sprawdzając, czy opadające łagodnie zbocze nie przesłania mu widoczności.

W końcu uznał, że znalazł właściwe miejsce.

Skinął na MacDonalda, aby sam je wypróbował.

Szkot pokiwał głową z zadowoleniem.

Wrócili po swój ekwipunek i przenieśli go o kilka metrów dalej, na wybrane stanowisko.

Potem wypakowali dużą brezentową płachtę oraz łopaty i zaczęli kopać.

58 Brent Scowcroft bębnił palcami o stół, marszcząc brwi.

- A więc Angolę niczego temu Dartingtonowi nie udowodnili?

- zapytał.

- Na to wygląda, panie przewodniczący - stwierdził Robert Gates, dyrektor CIA.

- Agenci brytyjskich służb specjalnych przesłuchiwali go na Bahamach, gdzie spędza urlop.

Mam pełny raport, jeśli to pana interesuje, ale mówiąc krótko Dartington zdołał udowodnić, że obciążające go dokumenty zostały sfabrykowane.

Co więcej, był już na Bahamach, kiedy to wszystko się zaczęło, a w każdym razie wtedy, gdy ci ludzie dotarli do Arabii Saudyjskiej.

Urząd telefonów na Bahamach potwierdza, że nie przeprowadzał w tym czasie żadnych zagranicznych rozmów.

Ściślej biorąc, do dzisiaj.

- Gates przerwał, aby wypić łyk wody ze stojącej przed nim szklanki.

- Dzisiejsza rozmowa była kontrolowana przez brytyjskie służby

specjalne.

Dartington zadzwonił do centrali firmy w Arabii Saudyjskiej.

Był najwyraźniej zaskoczony przebiegiem wydarzeń i mocno zirytowany.

Agent SIS założył podsłuch w jego mieszkaniu.

Wszystko wskazuje na to, że Dartington jest wściekły.

Wyładowywał złość na swojej żonie i gościach.

Podczas jednej z rozmów pani Dartington zwierzyła się znajomej, że ten incydent bardzo wytrącił jej męża z równowagi.

Chciał natychmiast wracać do domu i z trudem go od tego odwiodła.

Słyszałem nagrania tych rozmów - ciągnął Gates - i muszę przyznać, że Dartington sprawia takie wrażenie, jakby rzeczywiście nic nie wiedział.

Jednak ani nasi ludzie w CIA, ani Brytyjczycy nie są o tym całkowicie przekonani.

Nadal będą go obserwować.

- Hmm...

- powiedział w zamyśleniu Scowcroft.

- Proszę mnie na bieżąco informować.

- Czy Narodowe Biuro Zwiadu wie, gdzie są teraz ci ludzie?

- zapytał, zwracając się do Martina Fagi.

Faga rozłożył na stole dużą, złożoną z kilku części fotografię Tikrit.

Wszyscy zgromadzili się wokół niej.

Miejsce postoju pojazdów wskazywała czerwona plamka.

Przedstawiwszy szybko przebieg wydarzeń, Faga spojrzął na zegarek i podsumował: - Samochody stoją tam już dwie i pół godziny.

Moim zdaniem - dodał - nie ruszą się z tego miejsca przez

najbliższych trzydzieści sześć godzin.

Scowcroft podniósł nagle głowę znad fotografii.

- Dlaczego pan tak uważa?

- zapytał.

- Ponieważ Tikrit jest rodzinnym miastem Saddama.

A pojutrze, to znaczy dwudziestego ósmego, są jego urodziny.

Być może pojawi się tam publicznie, aby zrobić sobie reklamę.

W każdym razie - dodał, wznosząc ramionami - ci ludzie najwyraźniej na to liczą.

- Podzielam pańską opinię - wtrącił się znowu Gates, patrząc na Fagę i kiwając głową.

- W poprzednich latach organizowano już okolicznościowe obchody, a Iracka Agencja Informacyjna ogłosiła właśnie, że w tym roku znów się odbędą.

Nie podali jednak, czy Saddam weźmie w nich udział.

Nie mamy też podstaw przypuszczać, że pojedzie do Tikrit.

Jego rozkład zajęć stanowi pilnie strzeżoną tajemnicę.

Nigdy z góry nie wiadomo, kiedy i gdzie się pojawi.

Ci ludzie mogą działać na wycucie, ale - jak już powiedziałem na naszym poprzednim zebraniu - nie bardzo w to wierzę.

Ciekawe tylko, skąd zdobyli informacje.

- Czy to istotne?

- zapytał Scowcroft.

- Skoro wiemy, gdzie są i zakładamy, że przez pewien czas tam pozostaną, możemy wystrzelić następne pociski.

- Poprzednim razem zawiodły - odezwał się piskliwym, nosowym głosem Douglas Longmire.

- Zmarnowano bez sensu dwanaście milionów dola...

- Pociski nie zawiodły, ty kretynie - warknął generał Burnside.

- Wszystkie cztery trafiły w cel i eksplodowały, na czas i zgodnie z planem.

Budynek został zniszczony.

Zawsze istniało ryzyko, że ci ludzie wcześniej stamtąd odjadą.

Na to nie mieliśmy żadnego wpływu.

Panie przewodniczący - powiedział, zwracając się do Scowcrofta - proponowałbym, żeby pan podsekretarz Departamentu Skarbu zabierał głos tylko w tych sprawach, w których jest kompetentny.

Ponieważ obecny tu pan Ouagmire - dodał z sarkazmem, przekręcając celowo jego nazwisko - najwyraźniej na niczym się nie zna, niech trzyma gębę na kłódkę.

Burnside odwrócił głowę, wbijając wzrok w żabie oblicze Longmire'a.

Podsekretarz Departamentu otworzył usta, aby zaprotestować, ale zobaczywszy groźne, stalowe spojrzenie generała, opadł bez słowa na fotel.

Martin Faga i Robert Gates z trudem powstrzymywali się od śmiechu.

Brent Scowcroft, na którego twarzy widać było jedynie znużenie, zamierzał coś powiedzieć, ale uprzedził go Faga.

- Panie przewodniczący, poproszę o głos.

Rozważałem możliwość wystrzelenia następnych pocisków.

Myślę, że może być już na to za późno.

Jeżeli nasze przypuszczenia są słuszne i do zamachu ma dojść w Tikrit, wątpliwe, by ci ludzie zostali przy samochodach.

- Faga zobaczył, że siedzący naprzeciwko niego generał Burnside kiwa głową ze zrozumieniem.

- Zamachowcy zajmują już zapewne swoje pozycje.

Nie zabiorą ze sobą samochodów.

Nie mamy możliwości śledzenia za pomocą satelity ruchów pojedynczych ludzi.

Pociski mogą zniszczyć pojazdy, ale nie powstrzymają zamachowców.

To ludzie zdecydowani na wszystko.

Jeśli odetniemy im drogę ucieczki, zapewne zostaną złapani.

Wiemy już, że jeden z nich, pilot, jest Amerykaninem.

Czy można mieć pewność, że nie ma w tej grupie innych obywateli USA?

Jakie byłyby konsekwencje, gdyby ich złapano i postawiono przed kamerami irackiej telewizji?

Scowcroft szybko zdał sobie sprawę z ewentualnych propagandowych skutków takiej sytuacji.

Spojrzał przerażony na dyrektora NBZ, który celowo pozostawił swoje pytanie bez odpowiedzi.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

Milczenie przerwał Burnside, mówiąc cicho i spokojnie: - Pan Faga ma oczywiście rację.

Zamachowcy z pewnością wysiedli już z samochodów.

W Iraku jest teraz wczesny ranek.

Zajmują pozycje, przygotowując się do jutrzejszej akcji.

Przypuszczalnie ktoś czeka przy samochodach na ich powrót.

Chyba że je porzucili i zamierzają skorzystać z innego środka transportu.

- To całkiem możliwe - stwierdził posępnie Scowcroft.

- Więc co radzicie mi panowie powiedzieć prezydentowi?

- Może jedynie mieć nadzieję - powiedział Faga - że ta akcja z jakiegoś powodu się nie uda, ale zamachowcy zdołają zbiec.

- I wrócą do Arabii Saudyjskiej, gdzie dostaniemy ich w swoje ręce - dodał Gates.

59 Skończyli kopać pierwszą z dwóch kryjówek, kiedy było jeszcze ciemno.

Dopiero gdy Howard uznał, że jest całkowicie gotowa, przenieśli się na rezerwowe stanowisko u góry zbocza.

Howard i MacDonald przystąpili do pracy, a Ziegler poszedł rozstawić wiatromierze.

Wrócił po godzinie.

Znalazł odpowiednie miejsca dla dwóch spośród trzech anemometrów, w odległości czterystu i siedmiuset metrów od pierwszej kryjówki.

Umieścił jeden z tych niewielkich przyrządów wysoko na gałęzi ciernistego drzewa, a drugi na słupie elektrycznym w pobliżu areny.

- Cholerne kolce - mrucał, biorąc do ręki łopatę, aby pomóc kolegom.

- Jestem cały podrapany.

Przykro mi, Danny, ale nie znalazłem odpowiedniego miejsca na trzeci wiatromierz.

Nie było sensu zostawiać go na ziemi, bo ktoś mógłby go zauważyć.

- Słusznie - przyznał MacDonald.

- I tak zresztą nie wskazywałyby wtedy właściwej prędkości wiatru.

Anemometr powinien znajdować się chociaż z metr nad ziemią.

Te dwa będą musiały nam wystarczyć.

Kiedy skończyli kopać drugi dół, zamaskowali go i przykryli krzakami, zaczynało świtać.

Uprzątnąwszy wszelkie ślady swojej działalności zeszli z powrotem po zboczu do kryjówki położonej bliżej areny.

MacDonald przysięgał, że nie trafiłby do tego miejsca, gdyby nie pozostawili przy włazie małego światełka.

Wykopany przez nich dół był teraz zupełnie niewidoczny.

Część wydobytej ziemi wynieśli na brezentowej płachcie w gęste, cierniste zarośla, gdzie nikt nie powinien jej zauważyć.

Resztą przysypali dach kryjówki, sprawdzając nogami, na ile jest wytrzymały.

Chodziło się po nim jak po twardym gruncie.

Na koniec zamaskowali kryjówkę gałązkami i wyrwanymi z ziemi ciernistymi krzakami.

Howard i MacDonald wczołgali się do środka, zaś Ziegler pozostał na zewnątrz, by dokładnie oczyścić teren, zatrzeć odciski butów i usunąć wszelkie ślady ich obecności.

W końcu włożył do kieszeni latarkę i sam wpełznął do kryjówki.

Zamknawszy za sobą właz wysunął przez szczelinę gałązkę, aby zatrzeć jeszcze ślady, które pozostawił na miękkiej, piaszczystej ziemi.

MacDonald przyznawał w duchu, że ogarnęło go zmęczenie.

Napracował się, to prawda, ale w końcu był przyzwyczajony do fizycznego wysiłku.

Tu chodziło o coś więcej.

Odczuwał silne napięcie.

Gdy do kryjówki zaczęły przenikać przez szczeliny pierwsze promienie światła, z trudem potrafił sobie uzmysłwić, że to nie sen, że znajduje się w samym sercu terytorium wroga.

Czyżby zaczynał już nie wytrzymywać psychicznego napięcia, które towarzyszyło im od początku akcji?

Zmusił się do przeanalizowania swoich myśli.

Tak, odczuwał strach.

Ale w sytuacji, w jakiej się znalazł, było to normalne.

Akcja zaczynała nabierać rozpędu, zmierzała do nieuchronnego finału i miał wrażenie, że niczego nie może już zmienić.

Zastanawiał się, czy inni czują to samo.

Spojrzał na swoich kolegów.

Ziegler, ułożony w dole pod jego stopami, zdążył już zasnąć.

Spał spokojnie, prawie się nie poruszając.

MacDonald nie potrafił zrozumieć, jak w podobnej sytuacji można zachować aż taki spokój?

Czuł, że mimo całego zmęczenia nie zdołałby zasnąć, choćby bardzo się starał.

Obok niego Howard leżał nieruchomo na brzuchu, spoglądając przez szczelinę w kierunku areny.

Jako pierwszy pełnił wartę.

Mniej więcej co minutę obracał się, aby wyjrzeć przez szczeliny z boku i z tyłu, obserwując w ten sposób cały teren.

Jego twarz, wysmarowana brązową i czarną pastą, wyglądała niesamowicie.

Oczy lśniły mu w pomarańczowej poświacie poranka.

Na głowie i karku miał ciemnozielony arabski shemagh.

MacDonald wiedział, że on sam musi wyglądać równie dziwnie.

- Spróbuj trochę pospać, Danny - szepnął Howard, nie odwracając nawet głowy.

- Później zrobi się za gorąco.

Kiedy wzejdzie słońce, będzie tu jak w piecu.

- Spróbuję - odparł MacDonald, kładąc się ponownie i patrząc na dach kryjówki, który miał kilkanaście centymetrów nad głową.

To był sprytny pomysł, żeby wykorzystać do jego budowy nosze.

Wymontowane z nich twarde żerdzie ze stali i aluminium bardzo niewygodnie się niosło, ale teraz tworzyły one solidną konstrukcję, na której położyli mocną płachtę ze sztucznego tworzywa, przysypując ją od góry trzydziestocentymetrową warstwą ziemi.

Nosze nie były bynajmniej najbardziej nieporęczną rzeczą, którą dźwigali.

MacDonald stwierdził ze zdziwieniem, że najcięższym przedmiotem jest pojemnik z czterdziestoma pięcioma litrami wody.

Ważył około pięćdziesięciu kilogramów, co stanowiło ponad jedną czwartą całego niesionego przez nich ładunku.

Ale Howard i Ziegler uważali, że to konieczne.

- W stanie spoczynku człowiekowi wystarcza zazwyczaj litr wody dziennie - wyjaśniał Howard.

- Ale gdy wypija się tyle podczas upału, organizm ulega stopniowo odwodnieniu.

Aby pozostać w dobrej formie, potrzeba około czterech litrów płynu na dobę; nawet więcej, jeśli jest bardzo gorąco, a człowiek dużo się rusza.

Nie powinniśmy zabierać zapasów tylko na półtora dnia.

Możemy być w drodze dwa, trzy dni albo nawet dłużej, gdyby zdarzyło się coś nieoczekiwanego.

Żywność zajmowała stosunkowo niewiele miejsca i ważyła dużo mniej niż woda.

Mieli spożywać tylko zimne posiłki, ponieważ nie było mowy o gotowaniu.

Pozostałą część bagażu stanowiły trzy karabinki AK i amunicja, po dwa granaty na osobę - MacDonald miał gorącą nadzieję, że nie okażą się potrzebne - oraz reszta sprzętu: dalmierz, luneta, anemometry, niewielki komputer z zapasowymi bateriami, aparat fotograficzny 35 mm z automatycznym przewijaniem i teleobiektywem...

i oczywiście duży karabin.

Leżąc w kryjówce MacDonald czuł obok siebie jego wyścielany futerał.

W kieszeni na piersi miał płaską sakiewkę z dziesięcioma sztukami amunicji.

- W drodze powrotnej będzie ci lżej, Danny - żartował Usher, pomagając MacDonaldowi założyć plecak.

- Będziesz niósł tylko dziewięć naboí.

MacDonald uśmiechnął się na to wspomnienie.

Co jeszcze powiedział mu Bob?

„Głowa do góry”.

Właśnie.

Żartuj sobie ze wszystkiego.

Nie podchodź do życia zbyt serio - w każdej sytuacji jest coś zabawnego.

To jedyny sposób na przetrwanie.

Bob miał rację.

Humor, choćby czarny, stanowił antidotum przeciw strachowi, a nawet przeciw nieszczęściu.

MacDonald pomyślał, że teraz trochę lepiej to rozumie.

Stopniowo zaczął się odprężyć.

Dwadzieścia minut później już spał.

- O, dzień dobry.

Nie spodziewałam się, że pan wróci.

- Detektyw-inspektor Juliet Shelley podniosła ze zdziwieniem głowę, gdy do biura wszedł Hughie Carter.

Był zmęczony, wymięty i najwyraźniej nie w humorze.

- Na razie na niewiele się tam przydam - stwierdził ziewając.

- Przez dwadzieścia cztery godziny nic nie działaliśmy.

Drepczemy w kółko.

Pieprzona sprawa!

A co u ciebie?

- Och, zupełny spokój.

Naprawdę żadnych problemów.

- Zawahała się, starannie dobierając słowa.

- Wygląda na to, że jest pan zmęczony.

Może poszedłby pan do domu trochę odpocząć?

Zajmę się tu wszystkim.

- Nie mogę - odparł lakonicznie Carter.

- Muszę być w pogotowiu i natychmiast działać, gdyby zaszła potrzeba.

Ale może wyciągnę się na chwilę na wersalce w pokoju obok - powiedział ustępliwym tonem.

- Daj mi znać, gdybym był potrzebny, dobrze?

- Przyniosę panu filiżankę kawy - oznajmiła stanowczo Juliet, wstając z miejsca.

- Chciałby pan coś zjeść?

- Och, dziękuję.

Może tylko herbatniki.

Juliet wyszła z pokoju.

Herbatniki, pomyślała ze złością, schodząc na dół.

Od dwudziestu czterech godzin nie jadł pewnie normalnego posiłku.

Wkroczywszy energicznie do bufetu złożyła zamówienie.

Pięć minut później wróciła z tacą do biura Cartera.

Nadinspektor siedział na wersalce, rozluźniając sznurowadła.

Spojrzał zdumiony, gdy przysunawszy stolik postawiła przed nim tacę.

- Do diabła, Juliet, ja...

- Niech pan spróbuje coś przekąsić - powiedziała.

- Dobrze to panu zrobi.

Carter spojrzał najpierw na porcję boczku, sadzonych jajek, kielbasy i pomidorów, a potem na swą podwładną, która stała nad nim z surową miną.

Poczuł nagle, że jest głodny.

Zabrał się do jedzenia, pokazując Juliet, żeby usiadła na fotelu naprzeciw niego.

Między kolejnymi kęsami narzekał, jak bardzo miniony dzień dał mu w kość.

- Nie zostawili żadnego śladu, uwierzysz w to?

Wszystko uprzątnięte do czysta.

No cóż, prawie.

Straciłem tylko cholernie dużo czasu.

- O co to całe zamieszanie?

- zapytała z ciekawością Juliet.

- Podobno chodzi o jakąś grupę terrorystów - powiedział niewyraźnie Carter, przetykając kielbasę i jajka.

- Gówno prawda!

- zachnął się.

- Jacy terroryści organizowaliby tutaj akcję, żeby potem wyruszyć na Bliski Wschód?

Powinno być chyba odwrotnie, do cholery.

Zresztą, co nas obchodzi, że chcą wysadzić pałac królewski w Arabii Saudyjskiej, czy coś tam innego?

Niech Arabowie sami się o to martwią.

Trzeba by dać skurwielom nauczkę.

Słusznie im się należy - mówił bez wytchnienia Carter, machając nożem.

Przełknąwszy kolejny kęs, wypił łyk kawy i ponownie skoncentrował uwagę na talerzu.

- Arabia Saudyjska?

- spytała zaskoczona Juliet.

Tknęło ją złe przeczucie.

Tam właśnie pojechał Johnny.

Miała nadzieję, że nic mu nie grozi, że nie padnie ofiarą jakichś krwawych religijnych porachunków.

- Czego oni szukają w tym kraju?

- Nie mam pojęcia, dziewczyno - odparł Carter, wypijając kolejny

łyk kawy.

- Wiemy tylko, że ósmego kwietnia pojawiło się tam dwóch mężczyzn, udających pracowników firmy budowlanej.

Jakiś Anglik i facet z Południowej Afryki.

Byli też inni: amerykański pilot i ludzie, którzy przyплыnęli na statku w kontenerze.

Wyobrażasz to sobie?

Korzystali z przemysłowych hal w Swindon...

Juliet już go nie słuchała.

Myśli kłębiły jej się w głowie.

Ta data - ósmy kwietnia.

Jakiś Anglik i inni ludzie.

Johnny wyjechał siódmego kwietnia.

Dotarłby tam ósmego rano...

- ...w każdym razie za cholere nie wiem, o co chodzi - mówił dalej Carter.

- Pieprzona łamigłówka.

Oboje możemy tylko zgadywać.

Juliet intensywnie myślała.

Próbowała sobie przypomnieć, czy nie przeoczyła czegoś, co powinno było wzbudzić jej podejrzenia.

Po chwili uznała jednak, że to nie ma sensu.

Zgoda, Johnny niewiele jej mówił o swojej pracy, ale przypuszczenie, że mógł być zamieszany w jakieś przestępstwo...

I to w akcję terrorystyczną?

Nigdy w życiu!

- Powiedział pan, że nie zostawili po sobie śladów?

- zapytała, z trudem opanowując drżenie głosu.

- Żadnych.

Nie znaleźliśmy odcisków palców, włosów, ani włókien - zupełnie nic.

Tylko kilka plamek żółtej farby na podłodze.

- Farby?

- Juliet powtórzyła to słowo jakby bezwiednie.

Czuła ucisk w żołądku.

- Tak.

To oni musieli je pozostawić.

Tej hali nikt przed nimi nie dzierżawił.

Zapewne okaże się, że tą samą farbą malowano kontener.

- O czym pan mówi?

- zapytała prawie niedosłyszalnie.

- O kontenerze, w którym przesmuglowali swoich kolegów do Arabii Saudyjskiej - wyjaśnił Carter, przeżuając kawałek boczku.

- Podobno wycięli w nim dodatkowe drzwi, a potem je zamaskowali.

No wiesz, zamalowali szczeliny żółtą farbą.

Pewnie właśnie taką.

Juliet kręciło się w głowie.

Wbiła palce w poręcze fotela, wlepiając nieruchome spojrzenie w rzadniejące rude włosy na czubku głowy Cartera, który pochylił się znowu nad talerzem.

- Przepraszam pana, ale muszę coś jeszcze załatwić - powiedziała, z trudem wstając z miejsca i czując, że ma nogi jak z waty.

Nie poznawała własnego głosu.

Był dziwnie zduszony.

Dudniło jej w uszach i miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Przytrzymując się oparcia fotela ruszyła w kierunku drzwi.

Były jakby gdzieś daleko, na końcu ciemnego tunelu.

Złapała za klamkę i wyszła do sąsiedniego pokoju.

Nie słyszała prawie głosu Cartera, który zawołał za nią: - Dzięki za śniadanie, Juliet.

Masz u mnie drinka.

Podeszła chwiejnym krokiem do biurka, opadła zaszokowana na fotel i utkwiała niewidzące spojrzenie w pustą ścianę.

Żółta farba, myślała, nie mogąc otrząsnąć się z odrętwienia.

Ta plama na dzinsach, które Johnny zaniósł do pralni, ta, której nie potrafili usunąć, była z żółtej farby.

- Panie prezydencie, premier Major jest na linii.

- Dziękuję.

- George Bush po chwili namysłu podniósł słuchawkę.

- John?

Mówi George.

Co nowego?

- Wszystko w porządku, panie prezydencie.

A u pana?

- Jakoś leci.

Posłuchaj, John.

Mamy poważny problem z tą sprawą w Iraku.

Chodzi o planowany zamach na Saddama.

Czy dostałeś na ten temat informacje od swoich ludzi?

- Tak.

Może powstać dość niezręczna sytuacja.

Niezręczna sytuacja, pomyślał prezydent.

Dobre sobie.

Będzie z tego raczej cholerna afera.

- właśnie - powiedział na głos.

- Możemy się znaleźć w kłopotliwym położeniu.

Moi ludzie twierdzą, że nie jesteśmy w stanie powstrzymać zamachowców.

Są poza naszym zasięgiem.

Możemy liczyć tylko na dwie rzeczy: że im się nie uda albo że twoi ludzie wydobędą jakieś informacje z dyrektora tej korporacji i przekonają go, żeby odwołał akcję.

Czy ten facet coś wam powiedział?

- Sir Peter Dartington?

Był przesłuchiwany.

Zdaje się, że nie ma z tym nic wspólnego.

To szanowany biznesmen.

Chryste, pomyślał prezydent.

Szanowany biznesmen!

Jakby to uwalniało go od wszelkich podejrzeń!

- Rozumiem, John - powiedział głośno. Ale czy twoi ludzie trochę go przycisnęli?

Wiesz, co mam na myśli?

Nie powinniśmy tracić czasu.

- Nie, panie prezydencie - odparł z naciskiem Major.

- Nie możemy wywierać na niego presji.

Doszłoby do skandalu.

- Psiakrew, dojdzie do czegoś gorszego, jeżeli ten zamach na Saddama się powiedzie!

- odparował zdesperowany prezydent.

Niewzruszony, oficjalny ton Majora działał mu na nerwy.

- Rozumiem i podzielam pański niepokój, panie prezydencie - powiedział brytyjski premier.

- Pozwolę sobie wrócić do pierwszej kwestii, czyli szans powodzenia tej akcji.

Możemy chyba zakładać, że ci ludzie są zawodowcami.

Macie informacje o pilocie, ale innych dotychczas nie zdemaskowano.

Policja uważa, że to fachowcy, którzy bardzo precyzyjnie zaplanowali całą operację.

Naszym zdaniem istnieje prawdopodobieństwo, że zamach się uda.

- No cóż, John - powiedział prezydent, usłyszawszy to, na co czekał.

- Zastanawiamy się tylko, skąd ci faceci wiedzą, że Saddam pojawi się jutro w Tikrit.

Nie mamy pojęcia, w jaki sposób zdobyli te informacje.

- Prezydent zrobił znaczącą przerwę, dodając po chwili: - Ani CIA, ani Departament Stanu nie wie nic konkretnego o jego planach.

Specjalnie się o to dowiadywałem.

- Znów zamilkł, po czym zapytał ostrożnie: - Czy wasz wywiad potwierdza, że Saddam tam będzie?

- O ile się orientuję, nie posiadamy takich informacji.

Prezydent nie uzyskał oczekiwanej odpowiedzi.

Stwierdził z niechęcią, że będzie musiał nacisnąć premiera trochę bardziej.

- Posłuchaj, John.

Pozostaje pytanie, co zrobimy, aby zminimalizować straty.

Byłoby fatalnie, gdyby zamachowcy wpadli w ręce Irakijczyków.

W spisek zamieszany jest najprawdopodobniej jeden Amerykanin i co najmniej jeden z waszych ludzi.

-Prezydent zaakcentował lekko, ale wyraźnie, ostatnie dwa słowa.

Tym razem osiągnął zamierzony cel.

Premier odpowiedział natychmiast z wyraźnym rozdrażnieniem: -
Być może w spisku biorą udział obywatele brytyjscy, ale zapewniam pana,
panie prezydencie, że nie są to "nasi ludzie".

Nie pracują dla rządu Jej Królewskiej Mości, jeśli to pan insynuuje.

Proszę wykluczyć podobne podejrzenia.

- Ależ niczego takiego nie sugerowałem, John - stwierdził prezydent pojednawczym tonem.

- Ze swojej strony mogę cię zdecydowanie zapewnić, że rząd Stanów Zjednoczonych nie ma z tym zamachem nic wspólnego.

John Major milczał przez chwilę.

A więc stąd ten telefon, pomyślał.

Prezydent podejrzewa, że brytyjski rząd jest zamieszany w spisek i oczekuje ode mnie potwierdzenia lub zaprzeczenia.

Po krótkim namyśle dodał: - Mogę zapewnić pana równie stanowczo, panie prezydencie, że ci ludzie nie wykonują poleceń

brytyjskiego rządu, ani oficjalnych, ani nieoficjalnych.

Prezydent przez chwilę się wahał.

Brytyjski premier złożył mu właśnie uroczyste oświadczenie.

- Ciekawe zatem, John, kim są ci ludzie.

Zastanawialiśmy się, czy to nie robota kogoś z Południowej Afryki, skoro stamtąd pochodzi jeden ze spiskowców.

Ale jaki miałyby to sens?

Po co ryzykowałiby przyjazd do Anglii, jeśli o wiele łatwiej mogli zorganizować wszystko u siebie?

Poza tym, o ile nam wiadomo, nie interesują się specjalnie Saddamem.

Wchodzi jeszcze w rachubę Izrael, ale tam mamy swoje kontakty i gdyby coś planowali, zostalibyśmy uprzedzeni.

Zresztą, podobnie jak w przypadku Południowej Afryki, trudno pojąć, po co Izraelcykom baza w Anglii, skoro o wiele łatwiej i bezpieczniej mogliby przygotować zamach we własnym kraju.

Nie mamy pojęcia, kto za tym stoi.

A wy domyślacie się czegoś?

Znów mnie podpuszcza, pomyślał premier, odpowiadając poważnym tonem: - Niestety nie, panie prezydencie.

Nie wiemy, kto to może być.

Prezydent zrozumiał, że nic już nie działa.

Wyczuwał rozdrażnienie w głosie premiera i zdawkowość jego odpowiedzi.

Uznał, że czas zmienić temat rozmowy.

- No cóż, John.

Zdaje się, że na razie nic nie możemy w tej sprawie zrobić.

Nawiasem mówiąc, po dziewiątym kwietnia nie byliśmy jeszcze w kontakcie.

Gratuluje ponownego zwycięstwa w wyborach.

Dostałeś mój telegram?

- Owszem.

Bardzo dziękuję.

Muszę przyznać, że wyniki były satysfakcjonujące.

Prezydent pomyślał, że teraz brytyjski premier jest wreszcie na luzie.

- Wszyscy ci tu zazdrościmy, John.

Masz spokój na następnych pięć lat, a ja nie mogę pozbyć się problemów.

Chciałbym być już po wyborach.

Opozycja daje mi teraz w kość.

Przydałyby mi się czasem twoje wskazówki.

Wygrałeś w wielkim stylu.

Premierowi najwyraźniej schlebiały jego słowa.

- Jesteś bardzo miły - powiedział.

- Rzeczywiście, nieźle nam się wiedzie.

Podpisaliśmy traktat w Maastricht i Wspólnota Europejska zmierza we właściwym kierunku.

Perspektywy są bardzo pomyślne.

Jestem pewien, że u ciebie także wszystko dobrze się ułoży.

Jak wynika z mojego doświadczenia, kandydaci opozycji mogą liczyć bardziej na zainteresowanie wyborców niż na ich głosy.

W każdym razie życzę ci powodzenia w jesiennych wyborach.

- Dziękuję, John.

Wkrótce znowu porozmawiamy.

George Bush odłożył słuchawkę telefonu i przeanalizował w myślach to, co usłyszał.

Majora trudno było rozszyfrować.

Wydawał się szczery - czasem wręcz banalnie szczery - ale Bóg jeden wiedział, co naprawdę myśli.

Czy mówił prawdę?

Prezydent Stanów Zjednoczonych westchnął i uznał, że chyba tak.

MacDonald obudził się, słysząc cichy świst.

Drgnął i zamierzał usiąść, w porę przypomniał sobie jednak o niskim suficie.

Odwróciwszy głowę zobaczył, że Ziegler tkwi z procą w ręce przy jednej ze szczelin obserwacyjnych.

Usłyszał beczenie pierzchającego zwierzęcia.

- Cholerne kozy - mruknął Amerykanin.

W kryjówce było duszno i gorąco.

Powietrze dochodziło jedynie przez wąskie poziome szczeliny.

Howard nadal czuwał, leżąc w nie zmienionej pozycji.

MacDonald spojrzął na zegarek.

Spał pięć godzin.

Było już prawie południe.

Ziegler podał mu plastikową butelkę z wodą.

- Dzięki, Mike - powiedział szeptem Szkot, odkręcając korek i wypijając łyk ciepłej wody.

Czuć ją było plastikiem.

- Co z tymi kozami?

- zapytał.

- Pasą się, cholery, na zboczu.

Całe stado.

Problem polega na tym, że w pobliżu może być jakiś pastuch.

Postrzelałem im w tyłki z procy.

Jeśli ktoś ich pilnuje, pomyśli, że jest tu jakieś gniazdo os czy coś takiego i będzie trzymał się z daleka.

- Włożył do procy następną ołowianą kulkę, wycelował i strzelił.

Ponownie rozległo się beczenie.

MacDonald zobaczył, jak wychudzona, biała koza podskakuje w górę, odbiega około trzydzieści metrów, a potem znowu zaczyna się paść.

- Danny?

- szepnął Howard.

- Myślę, że Mikę poradzi sobie sam z tymi drapieżnymi kozami.

- Wskazał z uśmiechem na szczelinę obserwacyjną z przodu.

- Na dole dzieją się ciekawe rzeczy.

MacDonald odwrócił się na brzuch i wyjrzał w kierunku areny.

Panował tam ożywiony ruch.

Sięgnął po lornetkę i zaczął obserwować.

Wokół dużej prostokątnej areny stawiano maszty i zawieszano na nich sztandary.

Ogromne irackie flagi powiewały teraz ze wszystkich stron na większości budynków, także na tym, który znajdował się za murem z podobizną Saddama.

Na środku placu stało kilka dużych ciężarówek.

Jacyś ludzie wyładowywali z nich niewielkie słupki i roznosili je w różne miejsca.

- Po co rozstawiają te słupki?

- zapytał MacDonald.

- Pewnie wyznaczają na jutro stanowiska dla publiczności.

Ale spójrz, co jest tam dalej, tuż przed podobizną Saddama.

Masz, popatrz przez lunetę.

MacDonald skorzystał z jego rady.

Zobaczył obraz w sześćdziesięciokrotnym zbliżeniu.

Pod ścianą z portretem Hussajna wyładowywano z ciężarówek elementy wielkiej drewnianej trybuny.

Montowała ją grupa żołnierzy.

Stopniowo trybuna nabierała kształtu.

Dowodzący akcją oficer pilnował, aby była równo ustawiona.

MacDonald widział, jak wniesiono na jej środek pomalowane na biało części mniejszego podium.

Gdy zostało zmontowane, umocowano w narożnikach niewielkie słupki i rozwieszono między nimi gruby biały sznur.

Na koniec czterech żołnierzy przyniosło trzy solidnie wyglądające schodki, ustawiając je z tyłu podium.

MacDonald oddał lunetę Howardowi, który natychmiast przyłożył ją do oka.

- Strzał w dziesiątkę - powiedział cicho.

- Trybuna dla wodza.

I to w bardzo dobrym miejscu.

Skoro ściana jest w odległości tysiąca stu sześćdziesięciu metrów, do podium będzie około tysiąca stu dwudziestu.

Doskonale.

Zmierzymy to dokładnie.

Ustawienie dużego okrągłego dalmierza w odpowiednim miejscu przy szczelinie obserwacyjnej nie było prostą sprawą, ale po dziesięciu

minutach MacDonald zdołał umocować go bezpiecznie na niskim statywie i spojrzeć przez okulary w środku cylindra.

Widząc krawędź białego podium poruszył pokręteł.

Dwie połowy rozszczonego obrazu stopniowo się zeszyły.

Uzyskawszy właściwy efekt MacDonald odczytał na skali odległość.

- Tysiąc sto osiemnaście metrów - oznajmił.

Zdemontowali dalmierz i odstawili go na bok.

MacDonald sięgnął po niewielki przenośny komputer i włączył go.

Dzięki pomocy Ushera nabrał w Badanych wprawy w posługiwaniu się programem danych balistycznych.

- No dobrze, poćwiczmy trochę - zaproponował Howard.

-Prędkość wiatru...

- rzucił okiem na elektroniczny odczyt - ...jeden węzeł.

Wieje z prawej strony.

Ciśnienie atmosferyczne: dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć milibarów.

Wilgotność: osiemdziesiąt procent.

Temperatura powietrza: trzydzieści jeden stopni.

- Poproszę w stopniach Fahrenheita - powiedział MacDonald, wprowadzając do komputera pozostałe dane.

- Przepraszam - poprawił się Howard.

- Osiemdziesiąt sześć.

MacDonald polecił komputerowi zsumować podane parametry.

Po kilku sekundach odczytał wynik, odpowiadający odległości tysiąca stu dwudziestu metrów.

- Gdyby karabin był dalej wyregulowany na odległość tysiąca stu

metrów - oznajmił - pocisk przeszedłby o siedemdziesiąt centymetrów poniżej celu i dwadzieścia pięć centymetrów w lewo.

Trzeba więc przesunąć pokrętła dziesięć oczek w górę i trzy w prawo.

- W porządku - powiedział Howard.

- Czy ten odczyt zgadza się z twoimi notatkami?

- Robiłem obliczenia w przedziałach co dwadzieścia metrów, a nie co pięć, jak podaje program komputera.

- MacDonald przekartkował swój notes i znalazł stronę, dotyczącą najbardziej zbliżonych warunków atmosferycznych.

- Tak, pozostałe liczby się zgadzają.

Wynik jest na pewno dobry.

- Myślę, że wszystko się uda, Danny - powiedział Howard z szatańskim uśmiechem.

Za plecami usłyszeli znowu cichy świst procy.

- Cholerne kozy - mruknął Ziegler.

60 Znow ogarnęła go furia.

Im bardziej był wściekły, tym łatwiej tracił zdolność koncentracji, co z kolei potęgowało tylko jego gniew.

Miał wrażenie, że wpada w czeluście piekieł.

Straszliwa złość doprowadzała go niemal do obłędu, sprawiała, że gotów był rozszarpać każdego, kto wpadłby mu w ręce.

Z trudem nad sobą panując obrzucił jadowitym spojrzeniem stojące przed nim na długim stole potrawy, a potem służącego, który trzymał się z boku, zeszywniały ze strachu.

Beużyteczna kreatura!

pomyślał olbrzym.

Wszyscy oni są do niczego!

Zapłonął nagle niepohamowanym gniewem i zrzucił na podłogę wszystkie talerze, szklanki i butelki.

Jeszcze nie ucichł brzęk tłuczonej porcelany i szkła, gdy złowrogie, zimne spojrzenie ciemnych oczu spoczęło na postaci pod ścianą.

Służący stał jak sparaliżowany.

- Wynoś się - rzucił olbrzym lodowatym, groźnym tonem.
- Ekscelencjo, czy mam posprzątać...
- odpowiedział mu drżący, cichy głos.
- WYNOCHA!!

- Olbrzym uderzył ciężką pięścią w stół i dygocąc z wściekłości podniósł się z miejsca, purpurowy na twarzy.

Przerażony służący nie potrzebował dalszej zachęty.

Z bolesnym skomleniem wymknął się na zewnątrz, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Kopnąwszy ze złością krzesło, które poszybowało w powietrze, olbrzym zaczął chodzić po pokoju, jak bestia w klatce, próbując się uspokoić.

Zawsze doprowadzała go do wściekłości myśl o tym samym człowieku.

Człowieku, który go zdradził i okłamał.

Był jedynym cudzoziemcem, któremu zaufał, a teraz musiał znosić przez niego upokorzenia.

Kelly.

Zdrajca i oszust.

Samo brzmienie tego nazwiska doprowadzało olbrzyma do szewskiej pasji.

Jeszcze raz wypowiedział je przez zaciśnięte zęby w pustym pokoju.

Kelly!

Był jego przyjacielem, wykonywał rozkazy tego człowieka.

Był wiernym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych.

Ale został zdradzony.

Od tego czasu przysięgał sobie wiele razy, że pewnego dnia Kelly wpadnie w jego ręce, jak tylu innych.

A wtedy...

Olbrzym sięgnął odruchowo po pistolet, który miał u boku i wyjął go z kabury.

W pokoju zabrzmiał odgłos odciągania zamka.

Kelly!

Uniósł nagle pistolet i strzelił dwa razy w kierunku ciężkich drewnianych drzwi.

Hałas był ogłuszający.

Jeden z pocisków odbił się rykoszetem od szarej, wzmocnionej betonem ściany i trafił w ozdobny srebrny dzbanek do kawy na końcu stołu, dziurawiąc go i przewracając.

Olbrzym nie zwrócił na to uwagi.

Kawa rozlała się po stole i zaczęła kapać na podłogę.

Pomyślał, że nikt nie wejdzie teraz do pokoju.

Nikt by się nie ośmielił.

Słysząc było strzały.

Wiadomość o tym szybko się rozniesie.

Ludzie będą dygotać ze strachu, uciekając przed jego gniewem jak przerażone szczury.

Będą dostawali mdłości na myśl, że mogą być następni w kolejce.

Ogarnie ich trwoga...

To dobrze, pomyślał olbrzym.

Niech ten motloch się boi.

Będą posłusznie wykonywać rozkazy.

W odpowiednim czasie przyprowadzą mu Kell'ego.

Śmierć od kuli byłaby dla niego zbyt łagodną karą.

Będzie cierpieł nieskończone męki, długie, powolne katusze...

Wystrzeliwszy z pistoletu olbrzym poczuł się nieco lepiej.

Wyjął odruchowo nabój z komory i włożył go do magazynku razem z dwoma nowymi, które wyciągnął z szuflady stołu.

Myślał już o czymś innym.

O następnym dniu...

W górze, na ulicach, zapadł już pewnie zmrok.

Jutro będzie ważny dzień.

Okoliczności zmusiły go do podjęcia pewnych działań, ale jak zwykle potrafi obrócić wszystko na swoją korzyść.

Pomyślał gniewnie, że wywarto na niego presję.

Miał tylko dwa wyjścia: podpisać traktat z Irańczykami albo Syryjczykami.

Nienawidził i jednych, i drugich.

Ale Syryjczyków bardziej.

Pakt o nieagresji.

Nie pozostało mu właściwie nic innego, jak wystąpić z tą inicjatywą.

Gospodarka była w ruinie.

Musi zawrzeć umowę z jednym z tych krajów, zanim połączą siły przeciwko niemu.

Ten irański lokaj podpisze jutro stosowny dokument.

Demonstracja siły z pewnością zrobi na nim wrażenie.

Nie będzie miał wątpliwości, na co stać jego przeciwnika.

Nie zaprzepaści długich miesięcy przygotowań i negocjacji.

Złoży swój podpis.

Ale ani temu pachołkowi, ani jego mocodawcom w Teheranie nie można ufać.

W żadnym wypadku!

Będą próbowali kłamać, oszukiwać, albo...

Tak.

Zawsze istniała również możliwość spisku.

Wszędzie knuto intrygi...

Podjął już niezbędne środki ostrożności.

To było łatwe.

Jeśli ukartowano spisek, nie powiedzie się, tak jak wszystkie poprzednie.

Czyżby uważali go za głupca?

Cóż, stwierdzą wkrótce, że się mylili.

Już jutro.

Już jutro...

Saddam Hussajn przechadzał się nadal samotnie po mrocznym pokoju, ukrytym gdzieś w labiryncie głębokich bunkrów pod ulicami Bagdadu.

Stwierdzili nagle z ulgą, że upał zelżał.

Nocne powietrze ochłodziło nagrzaną ziemię i dach kryjówki.

Temperatura znów była do zniesienia.

Howard mógł wreszcie trochę odpocząć.

Położył się spać w głębokim dole.

Zastąpił go Ziegler, zajmując miejsce obok MacDonalda.

W mieście niewiele się już działo.

Nadal paliły się światła, a na obrzeżach areny widać było niewielkie ogniska, przy których biwakowali żołnierze, ustawiający wcześniej trybuny.

Najbliższe z ich stanowisk znajdowało się niecałe sześćset metrów od kryjówki.

Przez cały dzień na placu panował ożywiony ruch.

Tłumy ludzi przechodziły drogą wzdłuż linii wysokiego napięcia, mijając słup, na którym zawieszony był jeden z wiatromierzy.

Trzej siedzący w kryjówce mężczyźni pilnie obserwowali to miejsce, nikt nie zwrócił jednak uwagi na trzy niewielkie, wirujące na wietrze czasie umieszczonego wysoko przyrządu.

Ziegler sądził, że nie ma się o co martwić.

- Ludzie nie patrzą zwykle w górę, Danny.

Widzą to, co mają przed sobą albo pod nogami.

Nie zauważą wiatromierza.

A jeżeli nawet, będą myśleli, że powinien tam być.

- MacDonald uznał, że to logiczne.

Czerwone jelenie zachowywały się tak samo.

Patrzyły zwykle w dół zbocza.

Kiedy człowiek podkładał się do nich z góry, istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że go zauważą.

Mieli za sobą pełen napięcia dzień.

Danny wyczuwał, że jego kolegom też dało się ono we znaki, co nie przeszkadzało im jednak w ucinaniu sobie drzemki, gdy tylko nie pełnili warty.

MacDonald pomyślał, że przebywając z kimś w tak ograniczonej przestrzeni i prymitywnych warunkach można doprawdy dobrze go poznać.

Dzięki Bogu, że zabrali ze sobą szczelne plastikowe torebki.

Kilka z nich leżało teraz w głębokiej dziurze pod nogami Howarda.

Gdyby nie te torebki, smród byłby nie do zniesienia...

O dziwo, mijający dzień okazał się też jednak beznadziejnie monotony.

Mogli jedynie obserwować godziną po godzinie tę samą scenerię, jeść, pić, albo spać.

MacDonald był cierpliwy, ale z trudem znosił już długotrwałe siedzenie w kryjówce.

Zastanawiał się, jak jego koledzy - ludzie czynu - są w stanie to wytrzymać.

Takie wyczekiwanie...

- Psst.

- Ciche syknięcie Zieglera natychmiast wzbudziło czujność Danny'ego.

Odwróciwszy głowę zobaczył, że Amerykanin wygląda z uwagą przez szczelinę po lewej stronie, podążył więc za jego spojrzeniem.

Ziegler sięgnął ręką za siebie i pociągnął delikatnie za ucho Howarda, który natychmiast się ocknął, chwytając swój karabinek z tłumikiem.

Wszyscy trzej wyjrżeli przez szczelinę.

Wzdłuż grzbietu wzgórza zmierzał w ich kierunku kilkunastoosobowy patrol irackich żołnierzy.

MacDonald widział przez gogle noktowizyjne, że są w odległości około czterystu metrów.

Kiedy się zbliżyli, usłyszał odgłos szurania butów po ziemi.

Przystanęli jakieś dwieście metrów od nich i zaczęli o czymś

rozmawiać.

Po chwili dowódca patrolu znowu ruszył z miejsca, idąc tym razem w dół zbocza, prosto w kierunku kryjówki.

Miał ze sobą siedmiu ludzi.

Czterech zostało z tyłu.

Byli coraz bliżej.

Pięćdziesiąt metrów, potem czterdzieści.

Szli wprost na nich.

Musieli natknąć się na kryjówkę.

MacDonald wstrzymał oddech, zaciskając w dłoniach karabin.

Howard siedział skulony przy włączu, gotów w każdej chwili wyskoczyć.

Dwadzieścia metrów, dziesięć...

Patrol przeszedł tuż obok bocznej szczeliny obserwacyjnej.

Kopnięty przez jednego z Irakijczyków kamień wtoczył się do kryjówki, upadając obok plecaka MacDonalda.

Po chwili ośmiu żołnierzy było już daleko.

MacDonald widział, jak zmierzają w kierunku obozowiska u podnóża zbocza.

Przez pół godziny obserwowali widoczne na tle nieba sylwetki czterech ludzi, którzy pozostali na grzbiecie wzgórza.

Do kryjówki docierały odgłosy ich cichej rozmowy.

Jeden z Irakijczyków zapalił papierosa.

Trzech usiadło na ziemi, a czwarty chodził przez chwilę w pobliżu, zbierając chrust.

Zapłonęła kolejna zapalka i MacDonald zobaczył, że żołnierze

rozpalają ognisko.

Kiedy rozgorzało, ujrzał w jego świetle twarze siedzących teraz wokół ognia czterech mężczyzn.

Po godzinie trzech żołnierze rozwinęli koce i położyli się na ziemi.

Czwarty siedział nadal przy ognisku, dopóki trochę nie przygasło.

Wtedy wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, rozprostowując kości.

- Danny - szepnął ledwie dosłyszalnie Howard.

- Nie ruszaj się stąd.

Mikę i ja zajmiemy się tymi ludźmi.

- Przecież oni nas nie widzieli.

- Nie, ale zobaczą, jeżeli będą tu jeszcze rano, kiedy wystrzelisz z karabinu.

A już na pewno wtedy, gdy będziemy musieli stąd uciekać.

- Czy nikt nie zauważy ich zniknięcia?

Albo czy ktoś nie przyjdzie ich zmienić?

- Musimy się z tym liczyć.

Gdyby w irackim wojsku panowała jako taka dyscyplina, zauważono by, że zniknęli.

Ale spójrz na tych żołnierzy.

To oberwańcy.

Nie, wątpię, żeby ktoś się nimi interesował.

Nie mają nawet radionadajnika.

Przypuszczam, że kazano im pozostać tutaj do końca jutrzejszych uroczystości.

Pewnie nawet nie wiedzą, że przyjeżdża ich wielki wódz.

MacDonald skinął niepewnie głową.

Jego koledzy byli gotowi do wyjścia.

Ziegler odsunął bezgłośnie właz i wypełznął z kryjówki, a Howard podążył za nim.

MacDonald obserwował, jak skradają się po zboczu.

Przeszedłszy dziesięć metrów zniknęli wśród zarośli.

Chociaż Danny patrzył przez gogle noktowizyjne, stracił ich z oczu.

W głębi duszy uważał, że postępują słusznie.

W ich towarzystwie mógł czuć się bezpieczny...

Przez prawie pół godziny obserwował z niepokojem strażnika na wzgórzu.

Co jakiś czas żołnierz dorzucał gałęzi do ogniska, siadając przy nim na chwilę, a potem znowu wstawał i chodził tam i z powrotem.

Nagle MacDonald zobaczył jakiś cień i po chwili wartownik osunął się bezgłośnie na ziemię.

Trzej zawinięci w koce żołnierze nawet nie drgnęli.

Po upływie niecałej minuty MacDonald odniósł wrażenie, że coś poruszyło się w ciemnościach.

Potem nie widział już nic więcej, ani nie słyszał żadnego dźwięku.

Nie dotarł do niego nawet spodziewany odgłos strzału z wyposażonego w tłumik karabinka AK.

Panowała kompletna cisza.

Serce waliło mu jak młotem.

Co się stało?

Poczuł się nagle samotny, równie samotny i bezradny, jak wtedy, w gumowym pontonie, na środku Morza Czerwonego.

Co będzie, jeśli Ed lub Mikę zostali ranni albo zginęli?

A może obaj nie żyją?

Jak sam da sobie radę?

Czekanie dłużyło się w nieskończoność.

Piętnaście minut.

Dwadzieścia.

Trzydzieści.

Czterdzieści!

Coś musiało się stać!

Dlaczego tak długo nie wracają, skoro nie muszą się już obawiać, że żołnierze ich zauważą?

Dlaczego nie...

- Danny.

- MacDonald odwrócił głowę w kierunku, z którego dochodził głos.

Ziegler był w odległości dziesięciu metrów.

Wyszedł z krzaków i zbliżał się do kryjówki.

Howard podążał tuż za nim.

W ciągu kilku chwil zatarli ślady wokół dołu i weszli do środka.

- Co się stało?

- zapytał ochryplym szeptem MacDonald.

- Załatwiliśmy ich - odparł lakonicznie Howard.

MacDonald spojrział na długi nóż, który Howard miał w pochwie za pasem.

- Dlaczego to tak długo trwało?

- Musieliśmy tam trochę posprzątać - wyjaśnił Ziegler spokojnie.

- Nie mogliśmy przecież zostawić ich z całym sprzętem na wzgórzu, prawda?

Potem trzeba było jeszcze zatrzeć ślady, sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, i tak dalej.

- Gdzie ukryliście ciała?

- No cóż - wycedził przez zęby Ziegler.

- Ujmijmy to w ten sposób: mam nadzieję, że nie nastąpi zmiana planów i nie będziemy musieli korzystać z drugiej kryjówki.

Jest w tej chwili trochę przepelniona, a kiedy rano wzejdzie słońce,

nie będzie tam zbyt przyjemnie pachniało.

- A więc nie kopaliśmy tego dodatkowego dołu na darmo - stwierdził MacDonald, siląc się na uśmiech.

- Jest z niego jakiś pożytek.

Ziegler rzucił MacDonalldowi zdziwione spojrzenie, po czym powiedział do Howarda: - Wiesz co, Ed?

- Co?

- Myślę, że z tego Skocza da się jeszcze zrobić żołnierza - stwierdził Ziegler.

- Też tak sobie pomyślałem, Mike - przytaknął Howard.

61 - Walterze, z raportu JSTARS wynika, że do Tikrit zbliża się wielka kolumna pojazdów.

- Jakich?

- zapytał Mors, podchodząc do Kearwina, który siedział przed dużym ekranem.

- To głównie ciężarówki.

Od godziny ciągną w kierunku miasta.

To znaczy...

mniej więcej od siódmej rano lokalnego czasu.

Żadnych pojazdów opancerzonych.

Przypuszczam, że wiozą żołnierzy.

Może będzie jakaś wielka defilada.

Czy to prawda, że dzisiaj są urodziny Saddama?

- zapytał nieoczekiwanie.

- Podobno John - odparł Mors. - Co z tymi ostatnimi raportami?

- Tutaj, na północy, jest lotnisko.

Baza lotnicza Sahra północny Tikrit.

AWACS zaobserwował tam mniej więcej przed godziną duży ruch śmigłowców, ale po trzydziestu minutach wszystko się uspokoiło.

Potem, dwadzieścia minut temu, nadleciał z południa pojedynczy śmigłowiec.

Nadal stoi w bazie.

Był tam też duży konwój pojazdów pancernych.

Gdy tylko śmigłowiec wylądował, konwój wyruszył na południe, w kierunku miasta.

Widzisz?

Mors wpatrywał się w ekran.

Obraz był bardzo trudny do zinterpretowania, ale Kearwin miał w tym więcej praktyki i dzięki jego wyjaśnieniom Sorensen wiedział, o co chodzi.

Skinął głową.

- Tutaj, na dole, jest druga, mniejsza grupa pojazdów - lekkich wozów opancerzonych i samochodów - mówił dalej Kearwin.

- Nadjeżdżają autostradą z południa.

Obie kolumny dotrą chyba równocześnie do miasta.

Myślisz, że coś się wydarzy?

- Nie mam pojęcia, John, ale na to wygląda.

Wiadomo coś więcej o tych pojazdach pancernych?

- Ciężkie, jadące z północy, to duże czołgi.

No wiesz, T-54, T-55, T-62.

Może nawet T-72.

Lżejsze pojazdy, nadciągające z południa, to prawdopodobnie BTR-70 i BRDM-2.

Lekkie wozy opancerzone - na kołach, a nie na gąsienicach.

Tego typu sprzęt Towarzyszą im dżipy i samochody.

- W porządku.

Niech od tej chwili Keyhole przelatuje nad tym rejonem na małej wysokości.

Sprawdź, dokąd zmierzają te pojazdy i miej je na oku.

Chcę dostać zdjęcia ze wszystkich kolejnych przelotów, jasne?

- Oczywiście - odparł Kearwin.

- Posłuchaj, Walterze.

Dowiedzielibyśmy się o wiele więcej, gdyby mógł też przelecieć tamtędy samolot zwiadowczy TR-1.

- Nie ma szans.

Wspomniałem o tym dowództwu sił powietrznych.

Stwierdzili, że chyba oszalałem.

Nie chcą stracić tego diabelstwa, i trudno im się dziwić.

Pamiętasz raporty o wyrzutniach SA-4?

Jedna z nich jest w okolicach Samarry, w pobliżu Tikrit.

Pocisk przeciwlotniczy SA-4 z łatwością zestrzeliłby TR-1.

Myślę, że ten pomysł nie przejdzie.

Kearwin zaczął przekazywać komputerowi instrukcje dla satelity Keyhole, mając cały czas na oku główny ekran.

Dziesięć minut później przywołał ponownie Morsa.

- Kolumna pancerna zmierza najwyraźniej w kierunku tego dużego placu na skraju miasta - oznajmił podnieconym głosem.

Mors nic nie mówił, obserwując z uwagą ekran.

Za jego plecami zaczęli gromadzić się inni pracownicy biura.

W miarę, jak kolejne pojazdy docierały na plac i stawały, obraz radarowy był coraz bardziej nieczytelny.

Wszyscy obecni mieli wrażenie, że zdarzy się coś ważnego.

Nikt się nie odzywał.

- Hej!

- przerwał nagle ciszę piskliwy głos Kearwina.

- Ten śmigłowiec wystartował.

Leci w kierunku placu!

Zanim trzech siedzący w kryjówce mężczyźni zobaczyli czołgi, usłyszeli już z daleka huk ich silników i zgrzyt gąsienic.

Na arenie zgromadziły się tysiące ludzi, w większości żołnierzy, których dowieziono ciężarówkami, rozlokowanymi teraz na wielkich parkingach wokół miasta.

Stali w szeregach z przodu i z boków areny, zwróceniem twarzami w kierunku trybuny i białego podium.

Resztę placu zaczynała wypełniać cywilna ludność.

Mieszkańcy Tikrit odpowiedzieli posłusznie na wykrzykiwane przez głośniki komunikaty, nakazujące im wzięcie udziału w uroczystości, która miała się za chwilę rozpocząć.

Teren wokół ustawionej pod ścianą trybuny pozostał wolny.

Kolumna pancerna zbliżała się z coraz większym łoskotem.

Na arenę wjechał niewielki konwój pojazdów zwiadowczych BRDM, zatrzymując się w głębi po prawej stronie.

Howard był zaskoczony, zobaczywszy wśród nich czarną limuzynę.

Wyjechała przed pozostałe pojazdy i stanęła.

Z drzewca na masce samochodu zwisał niewielki proporzec, był jednak zbyt mały, żeby Howard zobaczył, co przedstawia.

Ruchy pojazdów kontrolowała nieduża, pięćdziesięcioosobowa grupa wojskowych.

Byli energiczni i zdecydowani.

Patrząc przez lunetę Howard zdał sobie nagle sprawę, że tylko oni mają broń.

- Straż prezydencka - wyszeptał cicho.

- Wszystko idzie zgodnie z planem.

Danny, przygotuj się.

Hałas powodowany przez silniki i gaśnice czołgów był teraz niemal ogłuszający.

MacDonald wyciągnął z futerału wielki karabin i oparł go o ziemię, wystawiając lufę przez szczelinę z przodu kryjówki.

Obok położył wyjętą z kieszeni na piersi sakiewkę z amunicją.

Potem sprawdził z Howardem stan pogody, wprowadzając błyskawicznie do komputera odpowiednie dane.

O ósmej rano było jeszcze względnie chłodno.

- Dziewiętnaście stopni - powiedział szeptem Howard.

- Ale ociepla się.

Wpisz dwadzieścia, Danny.

Czyli sześćdziesiąt dziewięć stopni Fahrenheita.

Albo raczej siedemdziesiąt.

- Wiatr?

- Ani śladu.

Jest zupełnie bezwietrznie!

Kiedy MacDonald skończył wprowadzać dane, komputer podał mu tor lotu pocisku.

Danny zaczął nastawiać pokrętełami odpowiedni kąt podniesienia celownika optycznego, a Howard załadował film do umocowanego na statywie aparatu z teleobiektywem.

Dotarłszy z rykiem silników na arenę kolumna czołgów rozjechała się w dwie strony.

Tłum poborowych w popłochu ustąpił im miejsca, naciskając na

zajmujących środek areny cywilów.

Pędzące czołgi stanowiły przerażający widok, nawet dla trzech mężczyzn, którzy siedzieli w kryjówce o tysiąc sto metrów dalej.

Mogli sobie jedynie wyobrażać, co odczuwają stłoczeni na arenie żołnierze i cywile.

Stalowe gaśienice czołgów wznieciły chmurę kurzu, która wkrótce przesłoniła widoczność.

Ryk silników rozbrzmiewał jeszcze przez dłuższy czas, a potem zaczął słabnąć.

Ustało skrzywienie gaśienic.

Silniki pracowały jeszcze chwilę na zwolnionych obrotach, po czym zostały wyłączone.

Chmura pyłu opadła i siedzący w kryjówce mężczyźni zobaczyli, co dzieje się na placu.

Czołgi i pojazdy opancerzone otaczały kordonem tłum ludzi.

MacDonald mógł się tylko domyślać, ilu ich jest.

Dziesięć tysięcy, może więcej.

Próbował oszacować liczbę czołgów, gdy usłyszał jakiś łoskot.

- Nadlatuje śmigłowiec!

- stwierdził z napięciem w głosie Howard.

Wielka maszyna przelatowała nisko nad miastem.

Znalazłszy się nad areną śmigłowiec wykonał raptowny skręt, zawisł w powietrzu i wylądował powoli na prawo od trybuny.

Gdy był trzydzieści metrów nad ziemią, łopaty wirnika zaczęły wzbijać kurz, znów przesłaniając widok.

Zanim śmigłowiec zniknął w chmurze pyłu, Howard zobaczył, że

żołnierze i cywile przytrzymują czapki na głowach, smagani silnym podmuchem powietrza.

Potem silnik śmigłowca zaczął pracować na zwolnionych obrotach i tuman kurzu opadł.

62 Howard zobaczył, jak otwierają się drzwi stojącej na prawo od śmigłowca limuzyny i wysiada z niej niski mężczyzna w czarnej szacie i turbanie.

Towarzyszył mu osobisty sekretarz i dwóch ochroniarzy z Amn al Khass - ochrony irackiego prezydenta.

- Wygląda jak jeden z tych irańskich Ajatollahów - mruknął Howard.

- Co on tu robi?

Myślałem, że Irańczycy są śmiertelnymi wrogami Saddama.

Irańczyk podszedł do śmigłowca, przystając poza zasięgiem obracających się coraz wolniej łopat wirnika.

Trzej ukryci na wzgórzu spiskowcy słyszeli cichnący łoskot maszyny.

W końcu łopaty wirnika znieruchomiały, zwisając bezwładnie.

W otwartych drzwiach śmigłowca pojawił się barczysty mężczyzna w oliwkowym mundurze i czarnym berecie.

Za nim szli trzej inni wojskowi.

Dowódca straży rozkazał swoim ludziom stanąć na baczność i energicznie zaszalutował.

Barczysty mężczyzna skinął głową i minawszy go podszedł do Irańczyka.

Długo ściskali sobie dłonie, a potem objęli się na moment w kurtuazyjnym geście.

Irańczyk dołączył do oficjalnej świty, podążając kilka kroków za mężczyzną w czarnym berecie.

Howard obserwował uważnie przez lunetę ruchy barczystego Irakijczyka.

Tyle razy widział jego twarz na fotografiach i kronikach filmowych, ale teraz nie mógł uwierzyć własnym oczom.

A jednak to działo się naprawdę.

Ten sukinsyn tam był.

- W porządku, to on - szepnął pełnym przejęcia głosem do MacDonalda.

- Bądź gotowy.

Idzie z przodu.

Zaczekaj, aż wejdzie na podium.

Ziggy, wszystko gra?

Ziegler osłaniał nadal ich tyły, patrząc przez szczeliny obserwacyjne i sprawdzając po raz ostatni, czy do kryjówki nie zbliża się jakiś intruz.

- Nikogo nie widać - odparł lakonicznie.

- Zaczynaj.

MacDonald wysunął już lufę karabinu przez szczelinę i ułożył się w pozycji strzeleckiej.

Odciągnąwszy zamek karabinu popchnął lekko kciukiem dużą mosiężną łuskę naboju.

Wsunięty do komory nabój cicho brzęknął.

MacDonald zarygłował zamek, oddychając spokojnie i równomiernie.

- Nie wolno wam się teraz odzywać ani poruszać - powiedział do Howarda i Zieglera.

- Muszę być maksymalnie skoncentrowany.

Iracki prezydent dotarł na trybunę i zmierzał w kierunku podium.

Zebrane tłumy umilkły.

Prezydent wszedł powoli na schodki.

Irańczyk i jego sekretarz zajęli miejsce na prawo od podium, a orszak prezydencki zatrzymał się po lewej stronie.

Dwaj obecni na trybunie iraccy dostojnicy cicho ze sobą rozmawiali.

Wszedłszy na podium Saddam Hussajn stanął nieruchomo, po czym podniósł prawą rękę, aby pozdrowić witających go żołnierzy.

Howard, który obserwował to wszystko przez lunetę, nagle spochmurniał.

- Coś jest nie w po...

- zaczął, ale w tym momencie MacDonald ściągnął spust.

Huk wystrzału wstrząsnął całą kryjówką.

Luneta zadrżała i Howard zobaczył zamazany obraz.

MacDonald załadował ponownie karabin.

- Powiedziałem, że masz być cicho, do cholery!

- zawołał z wściekłością do Howarda.

- Zobacz, czy trafiłem!

Duży pocisk potrzebował prawie dwóch sekund, aby dotrzeć do celu.

Uruchomiony przez Howarda aparat zaczął głośno terkotać.

Obserwując trybunę Howard i MacDonald zobaczyli, jak stojący na podium barczysty mężczyzna jakby pod działaniem jakiejś niewidzialnej siły traci nagle równowagę, zatacza się i pada martwy u podnóża schodów.

Zebrani na trybunie zamarli z przerażenia.

Jeden z ludzi Hussajna wyciągnął pistolet i trzymał go w górze, jakby zamierzał do kogoś strzelać.

Ochroniarze nie podeszli do ciała, tylko w panice rozglądali się wokoło.

Z tłumu dobiegły pierwsze krzyki i piski zatrwożonych widzów.

Ddduum!

Wielki karabin wystrzelił po raz drugi.

Howard i Ziegler byli kompletnie zaskoczeni.

Wydawało im się, że Danny krzyczy na cały głos: - Allah!

- Co jest, do cholery!

- Howard napadł z furją na MacDonalda, który gapił się ciągle w celownik karabinu.

- Przestań, na litość boską!

Co ty, kurwa, wyprawiasz?!

MacDonald nadal patrzył przez lunetę.

Oczy płonęły mu z emocji.

Widział, jak drugi pocisk trafia człowieka z pistoletem w żołądek.

Irakijczyk zgiął się nagle w pół i upadł na podłogę, wijąc się z bólu.

MacDonald triumfował.

- Kurwa mać, Mac, przestań!

- wrzasnął Howard.

- Uspokój się!

To nie był Saddam.

Mówię ci, że to nie on!

MacDonald odwrócił głowę.

- Jak to?

- zapytał zdziwiony.

- Przecież nie żyje!

Trafiłem go pierwszym strzałem w pierś.

Zobacz sam!

Na arenie rozpętało się istne piekło.

Ludzie krzyczeli, ogarnięci paniką.

Ochroniarze prezydenta, równie zdezorientowani jak wszyscy, zaczęli strzelać na oślep w tłum.

Gdy lecący z prędkością ponaddźwiękową pocisk trafił w cel, okrzyki przerażenia zagłuszyły huk wystrzału.

Ludzie z orszaku Saddama zeskoczyli z trybuny, pozostawiając na niej zwłoki swego przywódcy i jego asystenta.

Postać w czarnym berecie leżała nieruchomo.

Człowiek, którego MacDonald zranił drugim strzałem, jeszcze się ruszał.

Dwaj ochroniarze pochwycili irańskiego dyplomatę i wykręcając mu ręce przydusili go do ziemi.

Strzelanina nie ustawała.

Przerażeni cywile i poborowi rozpierzchali się na wszystkie strony.

Kule ochroniarzy raniły i zabijały kobiety i mężczyzn.

Nagle wstrząsnął ziemią potężny huk i z lufy stojącego z lewej strony areny czołgu T-72 wystrzeliła smuga szaro-czarnego dymu.

Pocisk kalibru 125 mm przeleciał ze świstem nad głowami przerażonych cywilów i nie uzbrojonych żołnierzy.

Ochroniarze rozglądali się wokół zdezorientowani.

Kanonada wyraźnie osłabła.

Po chwili z lufy T-72 wyleciał drugi pocisk.

Cywile i poborowi rzucili się na zakurzoną ziemię.

Ochroniarze przestali strzelać.

Ukryci na wzgórzu mężczyźni usłyszeli grzmiące echo eksplozji.

Potem zaległa cisza.

- Dobra, spieszajmy stąd - powiedział spokojnie Ziegler.

- Nie mam ochoty oglądać dalej tego cholernego przedstawienia.

- Zaczekaj!

- rzucił Howard, nie odrywając oka od lunety.

- Mówię wam, że to nie był Saddam, tylko jego sobowtór!

- Co ty wygadujesz?

- zdziwił się MacDonald.

- Ten facet nie miał pistoletu - odparł Howard.

- Saddam zawsze nosi broń.

Nigdy się z nią nie rozstaje.

To jakby jego znak firmowy.

Ten sukinsyn przysłał tu swojego sobowtóra.

Musimy poczekać.

- Szlag by to trafił!

- zaklął Ziegler.

Wszyscy trzej patrzyli teraz, co dzieje się na arenie.

W stojących za czołgiem T72 bojowych wozach piechoty BMP-1 otworzyły się z trzaskiem ciężkie stalowe drzwi i wyskoczyło przez nie około stu uzbrojonych żołnierzy ze straży prezydenckiej Amn al Khass.

Uformowawszy zwartą grupę pobiegli w kierunku trybuny, przedzierając się przez tłum i tratując leżących na ziemi ludzi.

Kiedy dotarli na środek areny, dowodzący nimi oficer wydał ostrą komendę.

Żołnierze rozbiegli się, wycelowując broń w ochroniarzy, którzy stali wokół trybuny.

Oficer zwrócił się do nich, wykrzykując serię rozkazów.

Ochroniarze opuścili powoli broń i podnieśli ręce.

Zostali natychmiast otoczeni przez żołnierzy z nowo przybyłej jednostki straży prezydenckiej, którzy odebrali im broń i kazali uklęknąć na piaszczystej ziemi.

Skuto ich kajdankami i wepchnięto brutalnie do szeregu, uciszając wszelkie protesty kolbami karabinów.

- Wolę zmianę warty przed pałacem Buckingham - stwierdził Ziegler.

- Te dupki nie mają pojęcia, co się dzieje.

Wszyscy rozbrojeni ochroniarze z Amn al Khass klęczeli teraz na ziemi.

Ich miejsce zajęli nowo przybyli żołnierze.

Uznawszy, że sytuacja jest opanowana, dowódca straży rzucił kolejny rozkaz i w towarzystwie sześciu ludzi pomaszerował energicznym krokiem na skraj areny.

Zatrzymał się przed czołgiem T-72 i stanął wyprężony na baczność.

Właz wieżyczki czołgu odchylił się powoli i siedzący w środku mężczyzna zaczął wychodzić na zewnątrz.

Jego widoczna pod czarnym beretem twarz pałała wściekłością i żądzą zemsty.

Saddam Hussajn zszedł ciężko z pancerza czołgu, wymownym gestem otrzepując z kurzu bluzę munduru.

Przez kilka sekund stał w miejscu i zmrużywszy oczy toczył wokół

złowrogim spojrzeniem.

Potem rozpiął powoli kaburę, wyjął z niej pistolet i odbezpieczył go.

Wokół panowała absolutna cisza.

Chyba wszyscy obecni na arenie słyszeli dźwięk odwodzonego kurka.

Kilka osób podniosło głowy, a potem ze strachem opuściło je ku ziemi.

Dowódca straży i jego ludzie drżeli w obliczu groźnego tyrana.

Saddam machnął pistoletem, dając im znak, żeby się cofnęli i ruszył powoli w kierunku trybuny.

Straż torowała mu drogę, gdy kroczył dumnie wśród tłumu leżących ciągle na ziemi ludzi.

Niektórzy zrywali się błyskawicznie, aby go przepuścić.

Tych, którzy oniemieli ze zgrozy, ochroniarze usuwali na bok, kopiąc ich i okładając pięściami.

Saddam nie spieszył się.

Celowo zwolnił kroku, doskonale zdając sobie sprawę, jaki wzbudza postrach.

Howard, MacDonald i Ziegler mieli wrażenie, że na placu jest tylko on.

Obecności tego człowieka nie sposób było nie zauważyć.

Wiedzieli, tak samo jak ludzie zebrani na arenie, kim on jest.

Tym razem bez żadnych wątpliwości.

Saddam Hussajn dotarł do trybuny i zatrzymawszy się spojrzął na swego martwego sobowtóra, a potem na rannego sekretarza, który jeszcze żył i jęczał w agonii.

Z żołądka sączyła mu się krew.

Saddam odwrócił od niego wzrok i wydał rozkaz dowódcy straży.

Dwaj żołnierze podnieśli bezceremonialnie z ziemi irańskiego dyplomatę i zaciągnęli go przed oblicze irackiego prezydenta.

Leżący u stóp Saddama Irańczyk próbował się podźwignąć, ale został natychmiast uderzony kolbą karabinu.

Cios był tak silny, że jego czarny turban upadł na zakurzoną arenę.

Saddam uniósł pistolet i strzelił Irańczykowi w tył głowy.

Martwe ciało odciągnięto zaraz na bok.

Potem przyszła kolej na dowódcę rozbrojonej jednostki straży.

Jego również przyprowadzono do prezydenta.

Szamotał się i bełkotał coś, przerażony i zrozpaczony.

Gdy spojrzał Saddamowi w oczy, ugięły się pod nim nogi.

Hussajn znów ściągnął spust i oficer padł martwy.

Potem zaczęli ginąć w ten sam sposób kolejni żołnierze.

MacDonald zdał sobie sprawę, że Saddam nie zamierza ruszyć się z miejsca.

Każdego człowieka, którego miał zastrzelić, przyprowadzano do niego.

MacDonald niemal niezauważalnie napiął mięśnie.

Wyczuwając, że przymierza się do strzału, Howard i Ziegler zastygli w bezruchu i patrzyli zafascynowani.

MacDonald wpatrywał się w optyczny celownik.

Postać Saddama była trochę niewyraźna.

Wraz ze wzrostem temperatury potęgowało się zjawisko mirażu.

MacDonald dostrzegł kątem oka, jak drgające powietrze u dołu obrazu przesuwają się nieco w lewo.

Jest lekki wiatr, pomyślał.

Wymierzył instynktownie o trzydzieści centymetrów w prawo, robiąc powolny wydech.

Linie optycznego celownika krzyżowały się dokładnie na prawym boku Saddama Hussajna.

Cel był idealnie nieruchomy.

MacDonald nacisnął spust.

Kolba potężnego karabinu jeszcze raz odskoczyła, uderzając go w ramię.

Pocisk poszybował w kierunku celu.

Minąwszy po drodze dwa anemometry przeleciał nad tłumem leżących plackiem Irakijczyków i dosięgnął tyrana.

Nie wiadomo, dlaczego strzał trafił za nisko.

Może zawinił nagły podmuch wiatru, minimalna różnica w ciężarze pocisku albo ilości prochu, zniekształcenie obrazu spowodowane zjawiskiem mirażu, drgnięcie ręki MacDonalda albo fakt, że lufa była gorąca po dwóch pierwszych strzałach.

Miało to pozostać na zawsze tajemnicą.

Saddam Hussajn stał nieruchomo na skraju trybuny, lekko rozstawiwszy nogi.

W prawej ręce trzymał pistolet wycelowany w człowieka, który leżał u jego stóp.

Pocisk karabinowy trafił w lufę broni i odbił się od niej rykoszetem.

Pistolet wypadł Saddamowi z ręki.

Pocisk, wytraciwszy częściowo energię, trafił go w dolną część kości miednicowej, a potem w genitalia, rozrywając mu niemal doszczętnie penisa i jądra.

Saddam przeraźliwie zawył i przysiadł ciężko na podłodze.

Spocząwszy całym ciężarem ciała na pękniętej miednicy, poczuł rozdzierający ból.

Położył się na trybunie, podciągając kolana i zaciskając ręce między nogami.

Krew sączyła mu się przez rozdarte spodnie i kapiała spod palców na

drewniany podest.

Stojący w pobliżu ludzie cofnęli się przerażeni, a człowiek, którego Saddam chciał zastrzelić, rzucił się do ucieczki.

Prezydent ryczał z bólu i wszyscy zgromadzeni na placu widzieli już teraz wyraźnie, jak poważnie jest ranny.

Przez sekundę panowała martwa cisza, którą zakłócały tylko jęki Saddama.

Potem rozpętało się piekło.

Wrzawa wybuchła akurat na czas, by zagłuszyć odgłos wystrzału.

Oczekujący na egzekucję żołnierze z rozbrojonej jednostki Amn al Khas dostrzegli szansę ocalenia i uwolniwszy się z rąk zaskoczonych oprawców sięgnęli po broń.

Ochroniarze Saddama ocknęli się na tyle szybko, by zastrzelić kilku buntowników, ale wielu z nich zdołało pochwycić karabiny i odpowiedzieć ogniem.

Na trybunie rozgorzała regularna bitwa między dwiema grupami żołnierzy straży prezydenckiej.

Jako jeden z pierwszych zginął oficer dowodzący.

Od tego momentu zapanował totalny chaos.

W ciągu niecałej minuty poległo lub zostało rannych ponad sześćdziesięciu ochroniarzy.

W ostrej wymianie ognia ucierpieli następni cywile.

Członkom straży prezydenckiej, strzelającym bez opamiętania długimi seriami z Kałasznikowów, zaczęło wkrótce brakować amunicji i musieli podjąć walkę wręcz.

Wśród przyglądających się temu bezradnie poborowych byli

żołnierze z pułku irackiej artylerii.

Tylko tyle pozostało z trzech dywizji, unicestwionych praktycznie przez amerykańskie bombowce B-52 w dniach poprzedzających lądowy atak aliantów podczas wojny w Zatoce w 1991 roku.

Iraccy artylerzyści byli wtedy w Kuwejcie, zamknięci w bezpiecznych podobno bunkrach, czekając na rozkaz użycia haubic D-30.

Potężne bombowce B-52 rozniosły w pył ich nędzne linie obrony.

W jednym tylko pułku zginęło ponad dziewięćdziesiąt procent ludzi.

Ci, którzy przeżyli - wycieńczeni, oszołomieni i wstrząśnięci - przypominali żywe trupy.

Całkowicie upadli na duchu.

Byli apatyczni, ogłupiali i w większości przypadków psychicznie nie zrównoważeni.

Utworzono z nich pojedynczy pułk.

Przekazanie dowództwa nowym oficerom z irackiej Gwardii Republikańskiej, którzy mieli przywrócić dyscyplinę i morale armii, nie na wiele się zdało.

Wojna nadal budziła w tych żołnierzach odrazę i przerażenie.

Wszyscy, jak jeden mąż, nienawidzili w głębi duszy człowieka, który odpowiadał za tragedię Iraku i ich cierpienia.

Saddam rzeczywiście mądrze robił, nie pozwalając takim ludziom nosić broni podczas oficjalnych uroczystości, w których brał udział.

Kiedy kule ochroniarzy zaczęły trafiać w tłum, żołnierze rozpierzchli się w panice razem z tysiącami mieszkańców Tikrit.

Nawykli do beznadziejności swojej egzystencji i pozbawieni wpływu na własne życie poddawali się na ogół pokornie wszelkiej narzuconej im władzy.

Godzili się z losem, wyzyskiwani i niezdolni do samodzielnego działania.

Teraz także, wstrząśnięci wydarzeniami kilku ostatnich minut, wykonywaliby posłusznie rozkazy i nie stawiali oporu, nawet gdyby zaczęto ich po kolei rozstrzeliwać.

Tym razem działo się jednak coś niezwykłego.

Podniósłszy głowy zobaczyli to na własne oczy.

Już sam widok walczących ze sobą żołnierzy elitarniej jednostki Saddama musiał budzić zdumienie, ale najbardziej utkwił wszystkim w pamięci inny obraz.

Dyktator leżał na trybunie z odstrzelonym członkiem.

Wyraźnie było to widać.

Ludzie wpatrywali się w niego z niedowierzaniem.

Nagle jakiś młody kapral zaczął chichotać.

W ciągu kilku sekund tłum wybuchnął histerycznym śmiechem.

Żołnierzom spływały po policzkach łzy szaleńczego rozbawienia i wściekłości.

Zatlił się w nich na nowo na pozór dawno już wygasły wewnętrzny płomień.

Długo tłumiony gniew znalazł nagle ujście.

Ruszyli naprzód, najpierw powoli, a potem biegiem, rzucając się z determinacją na ochroniarzy z Amn al Khass.

Pozostali przy życiu członkowie straży prezydenckiej nie zauważyli nawet, kiedy zostali otoczeni.

W ciągu kilku sekund ulegli miażdżącej przewadze napastników.

Rozwścieczony, wykrzykujący tłum poborowych zatłukł ich na śmierć.

Trwało to zaledwie dwie minuty.

Żaden z ochroniarzy nie ocalał.

Potem poborowi zwrócili swój gniew przeciw kolumnie pancernej, szturmując ustawione rzędem pojazdy.

Wspięli się na nie i osaczyli siedzących w środku żołnierzy.

Powstali także mieszkańcy Tikrit.

Oni również widzieli, jak urodzony w ich skromnym miasteczku okrutny dyktator, pod którego rządami cierpieli ucisk, bezprawie, głód i nędzę, leży bezradny i upokorzony na trybunie.

Zdrajca z Tikrit!

Otoczyli go z nienawiścią w sercach.

Howard, MacDonald i Ziegler obserwowali te sceny, nie mogąc oderwać oczu od brutalnego spektaklu.

Ukryci kilkaset metrów od areny odnosili dziwne wrażenie, że mają niewiele wspólnego ze sprowokowanymi przez siebie wydarzeniami, czuli jednak niemal namacalnie, z jaką gwałtownością rozgorzał tam bunt.

- Co oni teraz kombinują?

- mruknął Howard, bardziej do siebie niż do kolegów.

Niewielka grupa cywilów przejęła wojskowego dżipa i wjechała na środek areny.

Wkrótce otoczył ich rozkrzyczany tłum.

Ludzie machali rękami i gestykulowali z podnieceniem.

Po minucie tłum rozstał się, pozwalając dżipowi przejechać.

Samochód ruszył z miejsca.

Rozgniewany motłoch zafalował i zawył.

Przez chwilę trzech ukryci na wzgórzu mężczyźni nic nie widzieli.

Docierało jedynie do ich uszu dzikie skandowanie: - Sahhl!

Sahhl!

SahM Dżip przecisnął się przez największy tłum i zaczął okrążyć arenę, ciągnąc za sobą na linie przywiązanego za nogi, żyjącego jeszcze

Saddama Hussajna.

- Chryste!

- szepnął MacDonald.

Patrzyli przerażeni, jak rozpędzony pojazd wlecze po twardej ziemi krzyczącego człowieka.

Na arenie zostawały ślady krwi z poranionego kamieniami ciała.

- Czas ruszać w drogę - powiedział Howard.

Trzej mężczyźni zaczęli pakować pospiesznie do plecaków najpotrzebniejszy sprzęt.

Z oddali słyhać było nadal skandowanie potężniejącego tłumu.

MacDonald, z trudem się koncentrując, schował ostrożnie do futerału wielki karabin.

Włożywszy do kieszeni puste łuski po trzech wystrzelonych nabojach odwrócił się, żeby pomóc Howardowi.

Ziegler wypełznął z kryjówki i pilnował tyłów.

Nie tracąc czasu spakowali niezbędny ekwipunek: broń, trochę wody, gogle noktowizyjne i film z kamery.

Pozostawiwszy resztę rzeczy w kryjówce ruszyli szybko z powrotem w kierunku samochodów.

Arenę przesłaniał teraz niemal całkowicie tuman kurzu.

Trzej mężczyźni nie oglądali się za siebie.

MacDonald miał ciągle przed oczami oglądane sceny.

Podążał w milczeniu za Howardem i Zieglerem przez pola i palmowe gaje.

Przedśmiertne krzyki Saddama Hussajna, których nie było w stanie zagłuszyć triumfalne wycie tłumu, nagle ucichły.

CZĘŚĆ TRZECIA - CIEŃ ZNIKA

63

Pierwsze sensacyjne zdjęcie z satelity Keyhole dotarło do Waszyngtonu o godzinie 01.35.

KH-12 przelatywał nad Tikrit sześć minut wcześniej, o 08.29 czasu irackiego.

Kearwin, obserwujący ekran JSTARS, zauważył przybycie śmigłowca.

Spostrzegł też, że wokół rozległego placu, na którym stało mnóstwo pojazdów pancernych, jedzie jakiś niewielki samochód, prawdopodobnie dżip.

Zdjęcie z KH-12 było o tyle niezwykle, że świadczyło o pojawieniu się na arenie ognisk silnego promieniowania cieplnego oraz dymu.

Porównawszy je z fotografią wykonaną dwadzieścia minut wcześniej przez satelitę KH-11 Kearwin dokonał analizy źródeł ciepła.

- Walterze, tam pali się sześć czołgów!
- powiedział podekscytowanym głosem.
- Spójrz na tego dżipa.

Inne pojazdy ustawione są w równych rzędach, widzisz?

Tu jest śmigłowiec i chyba jakiś wóz sztabowy.

Reszta to czołgi, wozy zwiadowcze, transportery opancerzone - cały konwój, który JSTARS śledził przy wjeździe do miasta.

Jedynie dżip wyłamał się z szyku.

To pewnie ten, który jeździł wokół areny.

Tylko po co?

I dlaczego płonie tych sześć czołgów, skoro wszystko poza tym wygląda normalnie?

Walter Sorensen intensywnie myślał.

Nie było wątpliwości, że coś musiało się wydarzyć.

Ale co?

- W porządku, John - powiedział.

- Prześledźmy to po kolei.

Dwadzieścia minut temu na placu panował jeszcze idealny porządek.

W pewnym momencie pojawia się tam śmigłowiec.

Załóżmy, że przylatuje nim Saddam.

Wysiada, żeby dokonać inspekcji wojska, czy coś w tym rodzaju.

Piętnaście minut później robi się jakieś zamieszanie.

Ten cholerny dżip zaczyna nagle jeździć wokół areny, a sześć czołgów staje w płomieniach.

O czym to świadczy?

- Zabili Saddama, albo przynajmniej próbowali to zrobić - oznajmił z przekonaniem Kearwin.

- Jakie masz inne wytłumaczenie?

Jest jeszcze jedna sprawa - dodał.

- Na pierwszym zdjęciu satelitarnym arena wygląda inaczej niż na drugim.

Co prawda dym z płonących czołgów mógł zniekształcić obraz, ale nie sędzę, żeby tak było.

Przypuszczalnie znajdowała się tam początkowo bardzo duża grupa żołnierzy, ustawionych w szeregach, podobnie jak pojazdy.

Aktualne zdjęcie pokazuje co innego.

Na arenie jest pewnie nadal tłum ludzi, ale nie stoją już w uporządkowanym szyku.

Diabli wzięli całą ceremonię.

Moim zdaniem panuje tam teraz totalny chaos.

- Zgadzam się - stwierdził Sorensen.

- Załóżmy, że masz rację.

Ci ludzie wpadli w panikę.

Na widok sześciu płonących czołgów każdy by tak zareagował.

I jeszcze ten dziup jezdzący w kółko...

To wszystko dowodzi, że panuje tam zamieszanie.

Może więc faktycznie miał miejsce zamach na Saddama.

Pozostają w takiej sytuacji dwa pytania.

- Mors nadal wpatrywał się uważnie w ekran, mówiąc cicho, jakby tylko do siebie.

- Po pierwsze, w jaki sposób garstce spiskowców z Zachodu udało się tego dokonać.

I po drugie, czy Saddam jeszcze żyje?

- On zginął, Walterze - odparł bez wahania Kearwin.

Mors spojrzał na niego zdziwiony.

- Dlaczego tak uważasz?

- Śmigłowiec nie ruszył się z miejsca.

Ani żaden z pojazdów.

Po arenie jeździł tylko ten dziup.

Gdyby Saddam ocalał, próbowałyby natychmiast się stamtąd wydostać, kiedy tylko zaczęło być gorąco, prawda?

Wszystkie pojazdy pozostały na placu.

On nie żyje.

Udało im się!

- zawołał triumfalnie Kearwin.

Jego koledzy zaczęli wiwatować.

Mors podniósł do góry obie ręce.

- Cisza!!

- ryknął.

- Psiakrew, to nie jest powód do świętowania!

Wiem, że nikt nie będzie żałował tego sukinsyna, ale wchodzą tu w grę jeszcze inne względy...

- Dziękuję, Walterze. - Mors odwrócił się gwałtownie.

Wszyscy spojrzeli na człowieka, który wszedł niezauważony do pokoju.

Był to dyrektor Narodowego Biura Zwiadu.

Kearwin zerwał się na równe nogi i wraz z innymi stanął wyprostowany na baczność.

- Pan Sorensen ma rację - oznajmił spokojnie Martin Faga.

- To niekoniecznie powód do świętowania.

Dobrze się pan spisał, młody człowieku - powiedział do Kearwina.

- Wszyscy pozostali także - kontynuował, rozglądając się po pokoju.

- Ale prywatne odczucia i opinie w tej sprawie zachowajcie dla siebie.

Jak słusznie zauważył pan Sorensen, liczą się tutaj różne inne względy.

Nie życzę sobie więcej takiego zachowania.

Zrozumiano?

Rozległy się pełne zakłopotania pomruki: "Tak, sir" i "Przepraszamy, sir."

Mors, purpurowy na twarzy, wymamrotał: - To się więcej nie powtórzy, sir.

- No dobrze - powiedział dyrektor.

- wracajcie teraz wszyscy do pracy.

Chcę, żebyście śledzili dalej tych ludzi.

Ufam, że nie straciecie ich z oczu.

Na razie spisywaliście się znakomicie.

Jestem z was dumny.

Wiem, że mogę na was polegać.

A więc do roboty!

I skończcie, proszę, z tymi bzdurami.

- Faga obrócił się na pięcie i wyszedł z biura.

Analitycy patrzyli na niego w milczeniu.

Dziesięć minut później, gdy nieco przygaszeni pracowali znów gorliwie przy swoich monitorach, Walter Sorensen zastanawiał się nadal, czy on i jego ludzie dostali właśnie solidną burę czy zasłużoną pochwałę.

Wracając do samochodów trzech mężczyźni nie starali się specjalnie, by nikt ich nie zauważył.

W świetle dnia nie miałyoby to większego sensu.

Howard uznał, że ważniejszy jest pośpiech niż ukrywanie się.

Odziani w niechlujne i brudne arabskie szaty, nieśli plecaki przewieszane przez ramię, zamiast w tradycyjny sposób.

Pod szatami ukryli złożone AKMS.

Jedynym dużym bagażem był karabin AW.

MacDonald zawiesił go sobie na ramieniu razem z wiązką chrustu i udawał, że niesie drewno na opał.

Po drodze spotkali niewiele osób.

Howard przypuszczał, że większość miejscowej ludności zgodnie z nakazem władz podążyła do Tikrit na obchody urodzin Saddama.

Niewielkie grupy kobiet i dzieci przyglądały się trzem spieszącym przed siebie mężczyznom bez szczególnego zainteresowania.

Nikt nie próbował ich zatrzymać, ani o cokolwiek pytać.

Kobiety zbierające na polu arbuzy pomachały im nawet na powitanie, gdy je mijali.

Howard martwił się znowu najbardziej, jak przejdą przez prowadzącą z północy na południe główną autostradę.

Jedynie tam zatrzymał się na chwilę, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi.

Nie było w ogóle ruchu, bez przeszkód dotarli więc na drugą stronę, przez nikogo nie zauważeni.

O 09.15 znaleźli się w pobliżu miejsca, gdzie stały ukryte samochody.

Howard wyjął niewielką krótkofalówkę i powiedział do mikrofonu tylko jedno słowo: Thalaatha, co po arabsku oznacza "trzy".

Niemal natychmiast nadeszła odpowiedź Bourne'a: Arba'a - "cztery".

Pięć minut później wspięli się na zbocze i dotarli do murowanej zagrody.

Howard uniósł ku górze kciuk, przekazując Bourne'owi i innym informację, na którą czekali.

Trzech powracających mężczyzn powitały szerokie uśmiechy i mocne uściski dłoni.

Usher pozostał na straży, zaś Bourne pokazał kolegom trzy duże miski z czystą wodą.

Zdjąwszy zakurzone ubrania zaczęli zmywać z siebie warstwę brudu, którym obrośli, siedząc przez trzydzieści godzin w kryjówce pod Tikrit.

- Chyba ktoś powinien wywiesić tu tablicę z napisem ZMIANA DYREKCJI - powiedział z uśmiechem Ziegler, dokładnie się namydlając.

- Pewnie jeszcze nie zdecydowali, kto przejmie tę robotę.

Saddam miał paskudną śmierć.

Dobrze, że nie było przy tym jego żony.

- Co się właściwie stało?

- zapytał z zainteresowaniem Bourne, rozkładając trzy komplety czystej odzieży.

- No cóż, nasz Skocz trafił jakiegoś faceta prosto w klatę.

Ale to nie był Saddam, rozumiesz?

Potem Mac trochę za bardzo się napalił - stwierdził lakonicznie Ziegler, marszcząc brwi na wspomnienie tamtej chwili i obrzucając MacDonalda krytycznym spojrzeniem.

- Przeholował i rąbnął stojącego obok gościa, który próbował tylko ratować swoją skórę.

I wtedy rozpętało się piekło.

Ochroniarze zaczęli grzać z automatów do tłumu.

Jeden z czołgów huknął im dwa razy nad głowami, żeby trochę się uspokoili.

Potem wyskoczyli następni ochroniarze i aresztowali tych

pierwszych.

Co za dupki!

- Ziegler z odrazą potrząsnął głową.

-I zgadnij, kto wylazł z tego czołgu?

Stary Saddam, we własnej osobie.

Wierz mi, tym razem nie było żadnych wątpliwości.

Wyglądał na wkurzonego, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Wziął sprawy w swoje ręce i zastrzelił z własnej spluwy paru facetów.

Najpierw rąbnął irańskiego mułłę, co powinno doprowadzić do konfliktu dyplomatycznego, a potem zaczął rozprawiać się po kolei ze swoimi ludźmi.

Wtedy właśnie dopadł go Mac.

- Załatwił go jednym strzałem?

- zapytał Bourne z błyskiem w oczach.

- Niezupełnie - odparł Ziegler, szeroko się uśmiechając.

- Ale zafundował mu superskuteczną sterylizację.

- Co?

- zdziwił się Bourne.

- Właśnie tak - potwierdził Ziegler.

- Odstrzelił mu całe podwozie.

Paskudna historia.

Żebyś słyszał, jak on wrzeszczał!

Wtedy tłum postanowił włączyć się do akcji.

Żołnierze, cywile - całe to towarzystwo wpadło w szal.

Rozprawili się z ochroniarzami i obiegli czołgi.

Potem porwali dżipa, przywiązali Saddama do haka holowniczego i zaczęli ciągnąć go po arenie, żeby wszyscy mogli podziwiać robotę Maca.

Chyba jednak Saddam nie był tu za bardzo lubiany.

W tym momencie postanowiliśmy się zmyć.

-Ziegler zamilkł na chwilę, pochylając się, aby wyszorować od spodu stopy.

- Moim zdaniem - kontynuował - Saddam zrobił cholernie głupio, że wyskoczył z czołgu, kiedy oberwali tamci dwaj faceci.

Pewnie myślał, że jego ochroniarze kontrolują sytuację, ale bardzo się pomylił.

Załatwiliśmy go na cacy.

- Ej, wy dwaj - powiedział Howard, wycierając się do sucha i wkładając czystą koszulę.

- Przestańcie tyle gadać.

Ruszajmy w drogę.

Johnny, Ack, zdejmijcie z samochodów siatki i wetknijcie flagi.

Przed 09.30 wszyscy byli gotowi, ubrani po cywilnemu w koszule i spodnie.

Bourne, Ackford i Usher zdążyli się już ogolić.

MacDonald, Ziegler i Howard likwidowali za pomocą elektrycznych maszynek dwutygodniowy zarost, patrząc, jak z dwóch Land Cruiserów zdejmowane są maskujące siatki.

Oczyszczone z brudu i warstwy matowego zielonego lakieru, oba wozy lśniły i wyglądały jak nowe.

Wsiedli do nich i uruchomiwszy silniki ruszyli w dół zbocza, a potem skręcili w lewo, aby dotrzeć obok Tikrit do głównej autostrady.

Teraz, gdy nie było już potrzeby się ukrywać, jechali z dużą prędkością.

O 09.45 dotarli do autostrady i udali się na północ, w kierunku Bajdzi.

W oddalonym o siedem stref czasowych Waszyngtonie John Kearwin odetchnął z ulgą, zobaczywszy na ekranie JSTARS, że pojazdy ruszyły z miejsca.

65 Na szosie było dziwnie pusto.

Nie widzieli żadnych pojazdów.

Bourne siedział wyraźnie spięty za kierownicą pierwszego Land Cruisera.

Po chwili zapytał Howarda: - Jak myślisz, kiedy wyślą śmigłowce?

- Trudno powiedzieć - odparł Howard, wzruszając ramionami.

- Powstało takie zamieszanie, że mogą się w tym wszystkim nie połapać.

Zanim przyleciał śmigłowiec prezydenta, widzieliśmy parę maszyn typu Hind, ale odleciały przed pojawieniem się Saddama.

Pewnie mieli rozkazy, żeby trzymać się z daleka, dopóki tam będzie.

Mogą w ogóle nie wystartować.

Szosa może być pusta z tego samego powodu.

Kto wie?

W każdym razie, sądząc z naszych obserwacji, te pojazdy pancerne w Tikrit raczej się nie ruszą.

Opanowali je poborowi.

Niektóre zresztą podpalili.

To dla nas wyjątkowo korzystna sytuacja.

Może trochę potrwać, zanim ktoś zaprowadzi tam porządek.

- Przejechaliśmy już prawie pięćdziesiąt kilometrów od Tikrit.

Wkrótce powinniśmy dotrzeć do Bajdzi.

O Boże!

Zobaczcie!..

-powiedział z przejęciem Bourne, gdy minęli zakręt.

Dwieście metrów przed nimi drogę blokowały całkowicie wojskowe pojazdy i zapory.

Uzbrojeni żołnierze skoczyli na równe nogi, wymierzając karabiny w dwa Land Cruisery, które powoli się do nich zbliżały.

Nie było mowy o ucieczce.

- Cholera!

- mruknął Howard.

- To czerwone berety.

- Gwardia republikańska - stwierdził Bourne.

- Jest ich kilkuset.

Kurwa mać!

Kto zaczyna, ty czy ja?

- Teraz moja kolej - odparł Howard.

-Ale na wszelki wypadek chodź ze mną.

Danny, ty zostaniesz w wozie.

Samochody zatrzymały się przed zaporami.

Howard i Bourne powoli wysiedli, patrząc na rząd wymierzonych w ich piersi karabinów i kaemów.

- Wpadli w pułapkę, Walterze - jęknął zrozpaczony Kearwin.

- Chryste, tym razem się nie wywiną!

Zobacz!

Mors spojrzał na ekran.

Widać było wyraźnie, co się stało.

Dwa samochody natrafiły na dużą blokadę drogi.

- Niech satelita zrobi zdjęcie, John - powiedział cicho Sorensen, nadal wpatrując się w ekran.

- Chcę znać jak najwięcej szczegółów.

Kearwin zidentyfikował pozostałe pojazdy.

Nie było wątpliwości, że to kolumna wojska.

Lekkie wozy opancerzone i ciężarówki.

Całkiem spora grupa.

Młody Kearwin miał rację.

Tym razem wpadli jak śliwka w kompot.

- Cholerni głupcy!

- mruknął z pasją Mors.

Major Hassan Omair spojrzał zirytowany na porucznika, który wtargnął bezceremonialnie do jego namiotu.

- Szu tured?

- warknął.

- Ghurb - odparł butnie młody oficer, wskazując kciukiem na drogę.

- Ta'al.

- Jacy cudzoziemcy?

- zdziwił się major.

- Co to za jedni?

I stań na baczność, do cholery!

Nie zapominaj, do kogo mówisz!

- Inglizi.

Anglicy.

Chcą się z panem widzieć...

towarzyszu majorze - wycedził z szyderczym uśmiechem porucznik Saleh Masoud.

Zdziwiony major podniósł się z miejsca.

Poprawiwszy na głowie czerwony beret wyszedł za swym podwładnym na słońce.

Dwaj cudzoziemcy opierali się nonszalancko o karoserię pierwszego samochodu.

Jeden niecierpliwie bębnił palcami o maskę, a drugi spoglądał znacząco na zegarek.

Major wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ty durniu - powiedział z pogardą.

- Nie widziałeś nigdy takich samochodów?

- Porucznik był zbity z tropu.

Major z przekąsem ciągnął dalej.

- Sprawdziłeś ich papiery?

Nie?

Jesteś zbyt ograniczony, żeby pamiętać nawet o takim drobiazgu?

- Machnął lekceważąco ręką.

- Wracaj, kretynie, na swój posterunek.

Sam to załatwię.

I doprowadź się trochę do porządku!

Porucznik Saleh Masoud spojrział na niego spode łba i oddalił się,

mrucząc coś pod nosem.

Major podszedł do samochodów i zwracając się do starszego z dwóch stojących cudzoziemców powiedział Sabah al-khayr, co znaczyło "dzień dobry".

- Sabah an-nor - odpowiedział w imieniu wysokiego mężczyzny jego towarzysz.

Zaraz potem zapytał uprzejmie majora o zdrowie, a na koniec przedstawił siebie i swego kolegę.

- Gratuluję panu znajomości języka, soy/dBourne - odparł po arabsku major.

- Ułatwi nam to znacznie rozmowę.

Czy zechcieliby mi panowie pokazać swoje dokumenty?

- Oczywiście, majorze - odpowiedział Bourne.

- Mamy wszystkie niezbędne papiery w drugim samochodzie.

Są całkowicie w porządku.

Pozwoli pan...?

- Major podszedł z nim do stojącego z tyłu Land Cruisera.

Ziegler odkręcił szybę i powiedział "cześć", obdarzając oficera promiennym uśmiechem.

Major był trochę zmieszany.

- Papiery, Mike - ponaglił kolegę Bourne.

- A, jasne - odparł Ziegler, sięgając pod tablicę rozdzielczą.

Wyjął teczkę z dokumentami i podał ją przez okno majorowi.

Oficer zaczął przeglądać papiery z obojętnym wyrazem twarzy.

Za nim stało trzech uzbrojonych żołnierzy, którzy nadal odnosili się podejrzliwie do napotkanych cudzoziemców.

Ziegler mierzył ich wzrokiem, zaciskając dłoń na leżącym pod fotelem AKMS.

- Skąd panowie dziś wyruszyliście, sayid Bourne?

- zapytał rzeczowym tonem major.

- Jedziemy z Bagdadu, majorze - odpowiedział Bourne.

- Co on mówi, Johnny?

- zapytał swobodnie Ziegler, nie przestając się uśmiechać.

- No cóż, panie Bourne - stwierdził uprzejmie major, przechodząc nagle na płynną angielszczyznę.

- Na pańskie nieszczęście nie tylko mówię waszym językiem, ale także potrafię czytać po angielsku.

Co więcej, miałem ostatnio okazję oglądać podobne dokumenty.

Przed paroma tygodniami przebywał w Iraku niejaki pan Kay, który bardzo dał się nam we znaki.

Niestety, jego papiery były w porządku.

Z przykrością stwierdzam - dodał - że wasze im nie dorównują.

Nie zezwalają wam na przebywanie w tej części kraju.

- Spojrzał na Bourne'a z nieukrywanym zainteresowaniem.

- A więc, panie Bourne?

Ziegler zauważył, że kiedy major mówił, Howard przesunął się powoli w jego kierunku, zasłaniając widok trzem stojącym za nim żołnierzom.

Major próbował sięgnąć do kabury po broń.

- Niech pan tego nie robi - warknął Ziegler, wysuwając przez okno samochodu tłumik AKMS.

- To prawdziwy Kałasznikow.

Radzę zachować całkowity spokój.

- Uśmiechnął się promiennie, widząc osłupienie na twarzy majora.

Irakijczyk był kompletnie zaskoczony.

Zanim zdążył zareagować, usłyszał za plecami spokojny i uprzejmy głos Howarda.

- W porządku, majorze.

Jak powiedział mój kolega, proszę zachowywać się rozważnie.

Jesteśmy uzbrojeni i w razie potrzeby będziemy strzelać.

Proszę oglądać dalej te papiery i uważnie mnie słuchać.

Powiem po kolei, co zrobimy.

Czy to jasne?

- Tak - odparł szeptem zaszokowany major.

- Dobrze.

Zacniemy od bardzo prostej sprawy.

Kiedy panu powiem, proszę powoli się odwrócić i odprawić tych trzech stojących za nami żołnierzy.

Niech wrócą na swoje posterunki.

I nie radzę ich ostrzegać - jak pan słyszał, pan Bourne znakomicie mówi po arabsku.

Wystarczy jedno jego słowo, żeby pan Ziegler nacisnął spust.

Możemy zaczynać, majorze?

- Tak.

- A więc proszę.

Major odwrócił się, zachowując kamienną twarz.

- Wracajcie na swoje posterunki!

- rozkazał po arabsku trzem żołnierzom.

Irakijczycy wykonali jego polecenie.

- Dobra robota, majorze - powiedział Howard.

- A teraz następna sprawa.

Podejźmy powoli do pierwszego samochodu.

Pan Ziegler będzie trzymał pana na muszce.

W tamtym wozie siedzi pan MacDonald.

On również ma AK z tłumikiem.

Widzi go pan?

- Tak - odparł major.

Rzeczywiście, widział wyraźnie MacDonalda, nie mógł jednak wiedzieć, że Szkot nie ma pojęcia, co się dzieje.

Jego AKMS był nadal schowany pod fotelem.

- W porządku - kontynuował Howard.

- Podejźmy teraz do tamtego wozu.

Kiedy się przy nim znajdziemy, ma pan stanąć tyłem do przednich drzwi od strony pasażera.

Jasne?

- Major skinął głową.

Przeszli kilka metrów, dzielących ich od pierwszego samochodu.

Howard pochylił głowę, mówiąc przez okno z tyłu: - Danny, trzymaj karabin wycelowany w tył głowy majora.

Jeśli Johnny powie "ognia", strzelaj bez namysłu.

- Wyprostował się i nie zmieniając przyjacielskiego tonu dodał z uśmiechem: - A teraz, majorze, spróbujemy zrobić coś bardziej skomplikowanego.

Wyjaśnię panu dokładnie, o co chodzi.

MacDonald omal nie dostał zawału, kiedy Howard się do niego odezwał.

Sięgnął ostrożnie po swój karabin i wycelowwał go dyskretnie w

irackiego oficera.

Słuchał, jak Howard udziela majorowi instrukcji, przerywając co jakiś czas, żeby się upewnić, czy ten wszystko rozumiał.

Major był nadal w stanie szoku.

Howard bez przerwy mówił, nie pozwalając mu się skoncentrować.

Irakijczyk kiwał tylko głową.

W końcu, zebrawszy myśli, powiedział: - Jesteście bez szans.

Howard nadal się uśmiechał, ale jego oczy były zimne jak lód.

Przeszył wzrokiem irackiego oficera.

- Nie mamy nic do stracenia, majorze.

Dobrze pan o tym wie.

W razie potrzeby jesteśmy gotowi zginąć.

Na pewno pan rozumie - dodał cierpkim tonem - że z naszego punktu widzenia śmierć jest zdecydowanie lepsza niż niewola.

Ale gdybyśmy musieli umrzeć, pan umrze pierwszy.

Można tego uniknąć, jeśli wykona pan dokładnie moje polecenia.

Czy wyrażam się jasno?

- Tak jest.

- W porządku.

Proszę więc wydać rozkazy.

- Czy na pewno chce pan, żeby właśnie ten oficer...?

- Jest podejrzliwy.

Muszę go mieć na oku.

Niech go pan natychmiast wezwie i przekaże mu rozkazy.

Major zaczął otrząsać się powoli z oszołomienia.

Zawołał do jednego ze stojących przy zaporze żołnierzy: - Niech

zgłosi się do mnie zaraz porucznik Saleh Masoud.

Żołnierz pobiegł posłusznie wykonać rozkaz.

Dwie minuty później wrócił z patrzącym spode łba porucznikiem.

Kiedy major zaczął wyjaśniać, o co chodzi, twarz Masouda pociemniała z oburzenia.

Dwa razy próbował zaprotestować.

Major, będąc w podbramkowej sytuacji, nie mógł już dłużej tolerować zuchwalstwa swego podwładnego i straciwszy cierpliwość zmusił go krzykiem do milczenia.

- Stul pysk!

- zawołał.

- Masz wykonywać rozkazy!

Przygotuj wozy.

Natychmiast!

Porucznik otworzył usta, aby jeszcze raz zaprotestować, ale widząc wściekłość na twarzy dowódcy zmienił zdanie.

Obróciwszy się na pięcie odmaszerował.

- Czy wszystko było w porządku, Johnny?

- zapytał Howard.

- Dokładnie tak jak chciałeś - odparł Bourne.

- Okej - powiedział Howard.

- Na razie dobrze się pan spisuje, majorze.

A teraz proszę posłuchać.

Pojedzie pan na przednim siedzeniu w pierwszym samochodzie.

Pan Bourne będzie prowadził, a pan MacDonald i ja usiadziemy z tyłu.

Powie pan porucznikowi, że pilotujemy kolumnę.

On ma być w samochodzie opancerzonym tuż za nami.

Za nim pojedzie drugi Land Cruiser, a na końcu dwie ciężarówki.

Czy to jasne?

- Skoro pan tak mówi...

- Owszem - odparował Howard, przeszywając go zimnym jak stal spojrzeniem.

- Kiedy pojazdy będą gotowe, wezwie pan tutaj ich dowódców i powie im, co zamierzamy zrobić.

Niech to zabrzmii przekonująco.

Dzięki temu wszyscy pożyjemy dostatecznie długo, żeby opowiadać tę historię wnukom.

Dziesięć minut później niewielki konwój był przygotowany do drogi.

Ackford cofnął swój wóz o kilka metrów, aby opancerzony samochód zwiadowczy BRDM-2 mógł wjechać między dwa LandCruisery.

Na końcu stały dwie ciężarówki, wypełnione piętnasto-osobowymi grupami gwardzistów w czerwonych beretach.

Porucznik Saleh Masoud, drugi oficer i dwóch sierżantów podeszli do majora, który zaczął ich instruować.

- Ci cudzoziemcy - oznajmił - mają zgodę na przejazd do granicy jordańskiej w Trebil i opuszczenie Iraku.

Postanowiłem - dodał nieco zarozumiałym tonem - że zgodnie z obowiązującymi przepisami zapewnimy im eskortę, aby nie zboczyli z przewidzianej trasy i nie narazili na szwank bezpieczeństwa kraju.

Pojadę na czele kolumny, w ich samochodzie.

Reszta konwoju niech zachowuje obecny szyk.

Porucznik Aziz Ali - kontynuował, zwracając się do drugiego oficera
- pozostanie tutaj i przejmie dowództwo.

Zna pan rozkazy.

- Oficer skwapliwie skinął głową.

- Wrócimy jutro rano - zakończył major.

- Odsuńcie zapory.

Ruszamy w drogę.

Porucznik Aziz Ali - zachwycony, że przydzielono mu nieoczekiwane odpowiedzialne zadanie - zaczął natychmiast wydawać głośno rozkazy stojącym przy zaporach żołnierzom.

Z radością przejął dowodzenie, uśmiechając się bez skrępowania na myśl, że nie lubiany przez nikogo Saleh Masoud będzie musiał spędzić dwa dni w dusznym i niewygodnym transporterze opancerzonym.

Zapory odsunięto na bok i konwój ruszył w drogę za pierwszym Land Cruiserem.

Kiedy minęli posterunek, rozpromieniony Aziz Ali rzucił jeszcze ordynarną uwagę pod adresem jadącego w BRDM kolegi.

Stojący przy zaporze żołnierze wybuchnęli śmiechem.

- Zdaje się - powiedział Ziegler do Ackforda, gdy podążali za samochodem opancerzonym - że to, co właśnie słyszeliśmy, oznacza po arabsku "miłego dnia".

- Zabrzmiało mi to raczej jak "mam cię w dupie" - stwierdził Usher.

- Chryste - dodał, oddychając z wyraźną ulgą.

- Chyba nam się udało.

John Kearwin oglądał właśnie podretuszowane przez komputer

satelitarne zdjęcie blokady drogi, gdy zauważył na ekranie JSTARS, że pojazdy ruszyły z miejsca.

Przez chwilę obraz był mało czytelny.

Potem pięć pojazdów wyraźnie odłączyło się od pozostałych.

Kearwin rozpoznał wśród nich jeden lekki wóz opancerzony, dwie ciężarówki i dwa samochody.

Obraz był zbyt zamglony, aby mieć stuprocentową pewność, ale Kearwin uznał po namyśle, że dwa mniejsze pojazdy to nie Land Cruisery.

Dlaczego jeden z nich miałby jechać na przedzie?

Nie, pomyślał.

To nie mogą być oni.

Skoncentrował uwagę na otrzymanej przed dziesięcioma minutami fotografii z satelity Keyhole.

Widać było na niej dwa stojące przed zaporą Land Cruisery.

Nie próbowali ominąć blokady, ale też najwyraźniej jej nie staranowali.

Kearwin pomyślał, że zapewne zostali aresztowani.

Ale jakim cudem poddaliby się tak łatwo, po tym wszystkim co zrobili?

To nie miało sensu.

Nie...

- Jerry?

- powiedział do asystenta.

- Obserwuj dalej tych pięć wozów, dobrze?

Kearwin przyjrzał się ponownie zdjęciu satelitarnemu.

W Iraku była teraz godzina 10.37.

Land Cruisery zostały sfotografowane po raz pierwszy przy dziennym świetle.

Poprzedniego dnia, gdy stały w murowanej zagrodzie, ich obraz był

niewyraźny.

Kearwin nie wiedział, z jakiego powodu, dopóki nie porównał zdjęć wykonanych za pomocą promieni podczerwonych i w normalnym świetle.

Samochody przykryto maskującymi siatkami.

W podczerwieni i tak były, oczywiście, widoczne.

A jednak o świcie, tuż po przybyciu do Tikrit, Land Cruisery wyglądały jakoś inaczej, i to nie z powodu maskujących siatek czy zimnych silników.

Kearwin przywołał do siebie Sorensena.

- Walterze, te ambulanse były podobno pomalowane na matowozielony kolor, zgadza się?

- Tak mówił ten facet.

- Wiem, że nie da się określić koloru na podstawie zdjęcia satelitarnego, ale skoro irackie wozy pancerne są zielone, te dwa Land Cruisery na pewno mają inną barwę.

Zupełnie inaczej odbijają światło.

- Może irackie pojazdy opancerzone są piaskowe, a nie zielone.

To by wyjaśniało sprawę.

Nie wiem.

Czy jesteś pewien, jaki mają kolor?

Ja nigdy się tym nie interesowałem.

- To i tak bez znaczenia - stwierdził Kearwin.

- Gdyby nawet miały piaskowy kolor, nasze dwa ambulanse są od nich jaśniejsze.

Sam zobacz!

Sorensen obejrzał fotografię i westchnął.

- Nie widać tu wielkiej różnicy, John.

- A jednak - upierał się Kearwin.

- Myślę, że je przemalowali.

- I co z tego?

Zresztą jak, do cholery, mogli przemalować dwa samochody w środku tej pieprzonej pustyni?

A przede wszystkim, po co mieliby to robić?

Kearwin nie dał się już teraz zbić z tropu.

- Jestem pewien, że ci faceci mieli coś w zanadrzu - oznajmił.

- W przeciwnym razie po co pakowaliby się w biały dzień w tę blokadę?

Mogli przecież zaczekać, aż się ściemni, prawda?

Tak!

- powiedział rozemocjonowany, uderzając pięścią w otwartą dłoń.

Oczy mu błyszczały.

- Jestem pewien, że znowu coś wykombinowali!

- Zastanów się, John - próbował go ostudzić Mors.

- Jak mogli liczyć, że będą bezpieczni w nie zamaskowanych samochodach?

Pomyśl tylko.

Musiano ich zauważyć.

Kearwin nie zwracał uwagi na rozumowanie Sorensena.

- Walterze, ten agent CIA z Rijadu był w Badanah, prawda?

To on się dowiedział, że samochody miały matowozielony kolor?

Pozwól mi z nim pomówić!

Muszę zaraz do niego zadzwonić!

Mors spojrział na Kearwina zrezygnowany.

- Dobrze, John.

Skoro tak chcesz...

Ale nie rozumiem, co to zmieni.

Kearwin chwycił słuchawkę telefonu i zażądał natychmiastowego połączenia z ambasadą amerykańską w Rijadzie.

Czekając na rozmowę krzyknął podnieconym głosem do Freedmana:

- Jony!

Nie zgub tych pięciu pojazdów!

Oni tam są!

Wiem, że tam są!

Dziesięć minut później rozmawiał bezpośrednio z Alvinem Kenningssem.

Agent CIA w Rijadzie nie wiedział początkowo, o co chodzi.

Był trochę zniecierpliwiony, gdy Kearwin zaczął wypytywać go o bazę w Badanah.

Owszem, widział tam puszki z lakierem.

O tym, że Land Cruseiry były pomalowane na matowozielony kolor, dowiedział się od pakistańskiego kucharza.

Pewnie, że w warsztacie zostały ślady lakieru.

Zielonego, oczywiście.

Przypominał sobie jednak, że na karoserii czwartego wozu wypróbowywano najwyraźniej działanie pistoletu natryskowego...

i Tak, właśnie...

Kearwin odłożył słuchawkę.

- Biały lakier, Walterze - powiedział ze zdumieniem.

- Śnieżnobiały!

Co za idiota używałby w Iraku...

Walter Sorensen i John Kearwin spojrzeli na siebie, doznając nagle olśnienia.

- Niech mnie diabli!

- wyszeptał Mors z szerokim uśmiechem na ustach.

-Ależ ci faceci mają tupet!

To już szczyt wszystkiego!

Skurczybyki udają inspektorów ONZ!

66 Major Hassan Omair siedział milczący i zamyślony z przodu Land Cruisera.

Otrząsnął się już z szoku.

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że powinien był coś zrobić, aby zapobiec temu, co się stało.

Ale wysoki Anglik, Howard, nie dał mu czasu do namysłu.

A ten drugi człowiek, Bourne, mówił biegle po arabsku.

Gdyby próbował ostrzec swoich żołnierzy, z pewnością by zginął.

A może nie?

Zaczął się nad tym zastanawiać.

Chyba jednak nie miałby szans.

Ci ludzie byli zdecydowani na wszystko.

Nie wątpił, że spełniliby swoje groźby.

Jak słusznie zauważył Howard, gdyby zostali schwytani, ich sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia.

Wpadłszy w ręce ludzi z irackiej służby bezpieczeństwa, byłiby skazani na niewyobrażalne cierpienia i powolną, okrutną śmierć.

Major skrzywił się z odrazą.

Odczuwał pogardę dla metod stosowanych przez Muchabarat.

Bydlaki, pomyślał gniewnie.

Zdemoralizowane bydlaki, służące despotycznemu władcy.

Nienawidził Saddama Hussajna i jego reżymu.

Oficjalnie, podobnie jak inni wojskowi, deklarował dla niego poparcie, składając nieustanne zapewnienia o swojej lojalności, które - o czym powszechnie wiadomo - nic nie znaczyły.

Zdawał sobie sprawę, że wszyscy nienawidzą Saddama - wszyscy, z wyjątkiem głupców, pochlebców, łotrów i karierowiczów, nie zasługujących na miano ludzkich istot.

Jednym z nich był ten zuchwały pies, Saleh Masoud, który nigdy nie awansowałby wyżej niż do stopnia starszego szeregowca, gdyby nie jego niewolnicze oddanie partii Baas.

Obwieszczał głośno swą rytualną aprobatę dla represyjnych rządów Saddama i powtarzał jego absurdalne okrzyki triumfu w obliczu kolejnej katastrofalnej porażki.

Major zastanawiał się, kim są napotkani przez niego szpiegowie i co robią w Iraku?

Skąd mają samochody ONZ?

Może ukradli je w Bagdadzie.

Wyglądały na prawdziwe.

Czarne litery "UN" na drzwiach i z tyłu łatwo można było podrobić, ale nie błękitne flagi z białą kulą ziemską i liśćmi laurowymi.

A same pojazdy...

Tak, musieli jechać z Bagdadu, jak twierdził Bourne.

A może nie?

Zarządzono blokadę wszystkich dróg prowadzących na południe, aż do Samarry.

Bóg wie, z jakiego powodu.

Kompania majora otrzymała rozkaz, aby nie przepuszczać żadnych pojazdów na szosie w pobliżu elektrowni w Bajdzi.

Inną kompanię, wchodzącą w skład jego pułku, wysłano do Samarry z podobnym rozkazem.

Reszta dywizji Gwardii Republikańskiej z Tawakalna stacjonowała nadal w Kirkuk, rozprawiając się z tymi nędznymi Kurdami.

Skoro na północy i na południu zarządzono blokady dróg, w jaki sposób szpiegom udało się je ominąć?

Nie mogli jechać z Bagdadu, bo zostaliby zatrzymani w Samarze.

Musieli więc skrócić na szosę gdzieś bardziej na północy, powiedzmy w ad-Dawr albo...

Wielki Boże!

Tikrit!

Major zbladł, uświadomiwszy sobie nagle, co to oznacza.

Jeśli się nie mylił, byłoby oczywiste, dlaczego zarządzono blokadę dróg.

Za późno o tym pomyślał.

Jak zwykle wykonywał rozkazy, nie dociekając ich sensu.

Dawno już przestał się zastanawiać, po co jemu i jego ludziom kazano robić pewne rzeczy.

Teraz jednak intensywnie myślał.

Dzisiejsze uroczystości...

Nie mogło chodzić o nic innego.

Saddam z pewnością był w Tikrit, swoim rodzinnym mieście.

To by wszystko wyjaśniało.

A zatem ci szpieczy...

Miłosierny Boże!

Musieli dokonać zamachu na prezydenta!

Major spojrział na Bourne'a.

Anglik był uśmiechnięty, oczy mu błyszczały.

Sprawiał wrażenie człowieka, któremu się powiodło.

Czyżby więc naprawdę...?

- Co tu się stało, majorze?

- przerwał jego rozmyślenia siedzący z tyłu Howard, wskazując na ruiny oddalonego od drogi dużego budynku, który otaczały resztki drucianego ogrodzenia - Co?

Och, nie wiem.

To pewnie zniszczenia wojenne.

Dlaczego pan pyta?

- Bez szczególnego powodu.

Myślałem, że może pan wie.

- Howard wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Bourne odwrócił na chwilę głowę i mrugnął do niego.

Obaj zauważyli grupkę ludzi, stojących obok zniszczonego magazynu i rozpoznali drobną postać opowiadającego im coś z przejęciem starca.

A więc jednak ocalał, pomyślał Howard.

Niech Bóg ma go w opiece.

Major niewłaściwie zinterpretował reakcję obu mężczyzn.

Zmarszczywszy gniewnie brwi powiedział: - Nie rozumiem, co w tym zabawnego, że wasze lotnictwo zniszczyło tyle domów w moim kraju.

- Niech mi pan wierzy, majorze, że wcale się z tego nie śmiejemy - odparł Howard.

Tym razem on zmarszczył czoło.

Przypomniawszy sobie o niedawnym incydencie zastanawiał się nadal, co mógł oznaczać ten atak na magazyn.

- Pomyślałem tylko, że może jest pan przypadkiem zorientowany, co się tutaj wydarzyło.

- Nie mam pojęcia - odburknął major.

- Skąd mógłbym wiedzieć?

Rzadko informują nas o takich sprawach.

To dobrze, pomyślał Howard.

Major najwyraźniej czuł się urażony, że docierają do niego tak skąpe informacje.

Zapewne nie wiedział więc również o zaginięciu strażnika na promie w Hadicie.

Mógł nawet nie słyszeć o zwalonym moście.

Miejsce, gdzie konwój musiał się zatrzymać, było kolejnym niebezpiecznym etapem podróży.

Gdyby major wiedział, że most jest zniszczony, mógł próbować pomieszać im szyki.

Nie miał jednak o tym pojęcia.

W przeciwnym razie pomyślałby pewnie, co zrobić.

Postanowił, że nie pozwoli tym szpiegom ujść bezkarnie.

Szpiegom, a może zamachowcom?

Kimkolwiek byli, musiał przyznać, że w głębi duszy ich podziwiał.

Byli najwyraźniej profesjonalistami.

Jeśli załatwili Saddama, w jego mniemaniu wyświadczyli Irakowi przysługę.

Nie mógł jednak pozwolić, by uciekli.

Major nienawidził Saddama, ale był też człowiekiem honoru i patriotą.

Jego kraj - a właściwie cały Bliski Wschód - musiał znosić nieustannie ingerencję i wyzysk ze strony Zachodu.

Działalność tych ludzi stanowiła kolejny przykład obcej interwencji.

Nie można było tego tolerować.

Major zdecydował już, co zrobi.

Kiedy dotrą do granicy jordańskiej w Trebil, będzie miał okazję

podjąć odpowiednie kroki.

Pół godziny później stwierdził ze zdziwieniem, że Bourne zjeżdża z szosy w kierunku Eufratu.

- Co pan robi?

- zapytał.

- Most został zbombardowany, majorze.

Musimy skorzystać z promu.

Wkrótce dotarli do pochylni i major przekonał się, że Bourne mówił prawdę.

- Skąd pan wiedział o tym moście?

- zapytał zaskoczony.

- Widziałem zdjęcia lotnicze, majorze.

- Rozumiem.

Kiedy wjechali na pomost u dołu pochylni, Howard powiedział: - Proszę powoli wysiąść i stanąć przy drzwiach.

Gdyby porucznik albo któryś z pańskich żołnierzy wyszedł na zewnątrz, niech natychmiast wraca do wozu.

Porucznik Saleh Masoud postanowił skorzystać z okazji, żeby rozprostować nogi.

Zaledwie wygramolił się z opancerzonego samochodu, dowódca polecił mu ostrym tonem, aby wszedł z powrotem do środka.

Złorzecząc głośno, porucznik usłuchał rozkazu.

Major z trudem powstrzymał się od śmiechu.

W samochodzie pancernym musiało być gorąco jak w piecu.

Krnąbrny Saleh Masoud zasłużył sobie, żeby tam posiedzieć.

Pontonowy prom znajdował się po drugiej stronie rzeki i musieli

poczekać kwadrans, zanim przyłączył się.

Teraz nie obsługiwał go już pojedynczy żołnierz, lecz pięciu ludzi z wojsk inżynierskich pod dowództwem sierżanta.

Zobaczywszy czerwony beret majora sierżant natychmiast dał im znak, by wjechali na pokład.

- Niech pan z nim nie rozmawia, majorze - ostrzegł Howard.

- Proszę tylko powiedzieć, żeby przewiózł nas na drugą stronę.

Sierżant był trochę zaskoczony widokiem samochodów ONZ, ale nie zamierzał zadawać żadnych pytań majorowi Gwardii Republikańskiej, który z kamienną twarzą wydał mu lakoniczny rozkaz.

Miał już dość kłopotów przed dwoma dniami, kiedy okazało się nagle, że jeden z jego kaprali najwyraźniej zdezerterował.

Przełączyli przez rzekę bez komplikacji.

Na drugim brzegu, w opustoszałych poprzednio miasteczkach Hadita, Beni Dahir i Haqlanija, zobaczyli tłumy ludzi.

Major drgnął, gdy Howard włączył syrenę, reflektory i migające światło na dachu - zaopatrzone teraz w niebieski filtr zamiast czerwonego.

Ackford zrobił to samo w drugim samochodzie.

Światła i syreny odniosły zamierzony skutek.

Ludzie pospiesznie ustępowali im z drogi, gapiąc się bezmyślnie na dziwny konwój.

O 13.30 byli już na szosie prowadzącej do Ar-Rutba, jadąc tą samą trasą, którą przedtem pokonywali nocą.

Ze względu na obecność dwóch ciężarówek posuwali się teraz wolniej, ale Howarda to nie martwiło.

Najpoważniejszym potencjalnym problemem był major.

Najwyraźniej otrząsnął się już z oszołomienia i zaczął trzeźwo oceniać sytuację.

Musieli na niego uważać.

67 - Jest pan tego zupełnie pewien?

- zapytał dyrektor Biura, przyglądając się Kearwinowi z uwagą.

- Całkowicie, sir.

Pokazać panu zdjęcia, którymi w tej chwili dysponujemy?

- Proszę.

Faga pochylił się nad stołem, na którym Kearwin rozłożył fotografie wykonane przez satelitę Keyhole.

- Tutaj jest ta blokada drogi, sir - wyjaśnił.

- Dzięki analizie odbijanego światła widać, że te dwa pojazdy są innego koloru niż irackie wozy pancerne.

Jak zauważył pan Sorensen, różnica jest niewielka, ale skontaktowaliśmy się z agentem CIA, który był w bazie w Badanaħ.

Potwierdził, że te wozy miały białe karoserie.

- Kearwin zamilkł, ale Faga dał mu do zrozumienia, by kontynuował.

- Śledziliśmy ich przejazd od blokady, korzystając z pomocy JSTARS.

Na tym odcinku nie mieliśmy potwierdzenia, że są w obserwowanej kolumnie pojazdów.

Ale przy rzece musieli się zatrzymać i wtedy dostaliśmy drugie zdjęcie satelitarne.

Proszę zobaczyć.

Wszystko się zgadza.

To oni.

Jadą pod eskortą wojska.

Cały czas mamy ich na oku.

- Skąd wiadomo, że nie zostali po prostu aresztowani?

- Z dwóch powodów, sir.

Po pierwsze, gdyby tak się stało, po co jechaliby tą trasą?

Moim zdaniem zabrano by ich raczej do Bagdadu.

A są na szosie prowadzącej do Jordanii.

Po drugie, wracają tą samą drogą, którą przybyli.

Trudno uwierzyć w taki zbieg okoliczności.

To muszą być oni.

- Uważasz tak samo, Walterze?

- zapytał Faga, zwracając się do Sorensena.

- Owszem, sir.

Początkowo nie byłem przekonany, ale to wszystko brzmi logicznie.

Martin Faga skinął głową.

- Chyba macie rację, że ci faceci udają inspektorów ONZ.

Nie bardzo widzę, jak inaczej przekonaliby irackich żołnierzy, że wolno im w ogóle przebywać na terytorium tego kraju.

Z pewnością zostaliby aresztowani, a może nawet od razu by ich rozstrzelano.

Zresztą z jednego jeszcze powodu musieli zmienić wygląd samochodów.

Łamią jedną z najstarszych obowiązujących w wojsku reguł.

Albo więc nie mieli innego wyjścia, albo występują już w zupełnie nowej roli.

- Co to za reguła, sir?

- zapytał Kearwin.

- Nigdy pan nie był w wojsku, więc trudno się dziwić, że pan tego nie wie - odparł Faga.

- To proste.

Działając przez dłuższy lub krótszy czas na terytorium wroga, przeprowadzając akcję - jak w tym wypadku - lub zwykły rekonesans na ziemi, łądzie, czy w powietrzu, trzeba pamiętać zawsze o jednej zasadzie.

Nigdy nie należy wracać tą samą drogą, którą się przybyło.

W przeciwnym razie łatwo wpaść w zasadzkę.

- Faga wskazał na zdjęcie satelitarne i ponownie skinął głową.

- Ci ludzie wiedzą o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Nie ryzykowałiby powrotu tą samą trasą, nie mając żadnego zabezpieczenia.

Moim zdaniem potwierdza to teorię, że udają inspektorów ONZ.

- Tak sędzę, sir - stwierdził Kearwin.

- Nie znam się za bardzo na zasadach obowiązujących w wojsku, ale wyczuwam chyba tych ludzi.

Od samego początku postępują nieszablonowo.

Parę ich posunięć wprawilo nas w osłupienie.

Skoro twierdzi pan, że łamią obowiązujące reguły, tym bardziej jestem przekonany o słuszności naszych domysłów.

Faga uśmiechnął się.

- Panie Kearwin, jeszcze raz muszę stwierdzić, że znakomicie się pan spisał.

Ty także, Walterze - i cały wasz zespół.

Przekażę wszystko Narodowej Radzie Bezpieczeństwa.

Kiedy usłyszą o tych rzekomych inspektorach ONZ, dostaną pewnie zawału.

Chyba nie muszę wam mówić, jaka byłaby afera, gdyby cała sprawa wyszła na jaw.

A mam wrażenie - dodał, unosząc znacząco brwi - że w zaistniałej sytuacji nie da się tego uniknąć.

Tak czy inaczej, dziękuję wam obu.

I trzymajcie rękę na pulsie.

Opuszczając biuro dyrektora John Kearwin promieniał radością.

Martin Faga rzadko udzielał takich pochwał.

68 Na końcu długiego stołu siedział przygarbiony wysoki, kościsty mężczyzna z ufarbowanymi henną rudymi włosami i brzydkimi bliznami po ospie na twarzy.

Rozglądał się niespokojnie, obserwując swoich kolegów.

Zauważył, że oni także patrzą uważnie wokoło.

Wszyscy byli niespokojni, zdenerwowani, może nawet...

tak, przestraszeni.

Wszyscy, z wyjątkiem trupiobladego mężczyzny w okularach, byłego ministra spraw zagranicznych, który siedział po lewej stronie w połowie długości stołu, jak zawsze tajemniczo uśmiechnięty.

Ale czy i jego twarz nie lśniła od potu?

Czyżby był tak samo przerażony jak pozostali?

To oczywiste, pomyślał człowiek z rudymi włosami.

Wszyscy byli zaszokowani, kiedy przed pięcioma minutami przekazał im straszną nowinę.

Trwogę wyczuwało się w powietrzu jak zapach mgły nad bagnami.

Nie miał teraz jednak czasu na jałowe spekulacje na temat odczuć swoich kolegów.

Musiał zaatakować, zdecydowanie i błyskawicznie, jak wąż.

Nie powinien dać im chwili do namysłu, ani pozwalać na żadne dyskusje.

To była jego jedyna nadzieja.

Nie mógł okazać teraz słabości.

Gdyby przegrał...

Był już w pół drogi do sukcesu.

Przewodniczył zebraniu.

Zajął miejsce, na którym nikt inny nie odważył się usiąść.

Inni z pewnością to zauważyli.

Byli wstrząśnięci, przerażeni i zdumieni, kiedy wchodząc do pokoju zobaczyli go przy końcu podłużnego stołu.

Musieli natychmiast pojąć, co to oznacza.

Mężczyzna o rudych włosach uznał, że wszystko idealnie się układa.

Jako wiceprezydent był automatycznie następcą szefa państwa, człowiekiem, który w razie potrzeby miał zająć jego miejsce.

Ale gdyby jeden z pozostałych pretendentów usłyszał wcześniej, co się wydarzyło, z pewnością by go uprzedził.

Być może nie on, Izzat Ibrahim, siedziałby teraz w tym fotelu.

Kto inny sięgnąłby po władzę - zapewne ta cherlawa hiena, zastępca prezydenta.

Ale mężczyźni o rudych włosach doniósł o wszystkim służalczo mu oddany Sa'adi Tumah Abbas, były minister obrony, zdegradowany ostatnio do roli doradcy wojskowego prezydenta.

Izzat wiedział, że pewnego dnia tak się stanie.

Czyż nie schlebiał temu człowiekowi, wychwalając jego zdolności?

Czy nie umacniał w nim przekonania, że wiceprezydent ma swoje wpływy?

I czyż ten głupek ślepo mu nie wierzył?

Tak...

Zapewnił sobie jego lojalność bardzo sprytnym posunięciem: rozpuszczając pogłoski na temat stanu swojego zdrowia.

On, Izzat Ibrahim, wiceprezydent Iraku, wiceprzewodniczący Rady Rewolucyjnej i zastępca dowódcy irackich sił zbrojnych, nie czuł się zbyt dobrze.

Wkrótce miał być operowany.

Pewnego dnia będzie musiał zrezygnować ze stanowiska, a wtedy...

O, tak!

Sa'adi Tumah uznał, że ma w zasięgu ręki nie lada zaszczyty.

Ha! pomyślał Izzat Ibrahim.

Nie jest ze mną aż tak źle.

Termin operacji był już wyznaczony.

Za kilka tygodni polecą do Jordanii i wrócą zupełnie zdrowy.

Sa'adi Tumah Abbas wkrótce się o tym dowie.

A już za chwilę dostanie nauczkę.

Inni zadbają, by poczuł ostrze sztyletu.

Izzat Ibrahim zwrócił się do niego, mówiąc: - Bracie Sa'adi, przyjęliśmy z bólem otrzymane od ciebie nowiny.

Czy masz jeszcze coś do dodania?

Doradca wojskowy prezydenta bezradnie rozejrzał się wokół.

- Nie, bracie Ibrahimie - odparł.

- Brak na razie szczegółów...

- Zaczął powtarzać przekazane wcześniej informacje.

Najwyraźniej odnosił mylne wrażenie, że to dodaje mu prestiżu.

Za chwilę miał się przekonać, jak niewiele w istocie znaczy.

Izzat widział, że co najmniej dwóch spośród zgromadzonych przy stole mężczyzn z trudem pohamowuje gniew.

Jednym z nich był siedzący po lewej następca Tumaha na stanowisku ministra obrony, khinzd Hussajn Kamil al-Majid.

Izzat widział po wyrazie jego twarzy, że jest wściekły, iż nie poinformowano go wcześniej o tym, co zaszło.

Równie rozjuszony był siedzący po prawej Taha Yasin Ramadan, zastępca prezydenta.

Izzat pomyślał, że ta hiena jest bardziej niebezpieczna niż Hussajn Kamil, ale nie stanowi bynajmniej jedyne zagrożenia.

Który z nich pierwszy wybuchnie?

Ramadan uderzył dłonią w stół, uciszając Tumaha Abbasa jadowitym spojrzeniem.

- Chcesz powiedzieć, że tylko tyle masz nam do przekazania?

Że prezydent, nasz ukochany brat, został zamordowany i że doszło do rewolty?

Rewolta?

I to gdzie, w Tikrit?

Jakie są na to dowody?

I co zrobiono w tej sprawie?

- I dlaczego nikt mnie wcześniej nie zawiadomił?

- zawołał agresywnym tonem Hussajn Kamil, minister obrony, zięć Saddama.

Przyjrząwszy mu się Izzat doszedł do wniosku, że źle odczytał wyraz jego twarzy.

Na świńskim obliczu malowało się przede wszystkim maskowane złością przerażenie.

Próbował tylko zaznaczyć swoją obecność.

Był zaszokowany i najwyraźniej przestraszony.

Sa'adi Tumah Abbas starał się udzielić przekonujących odpowiedzi na zadane mu pytania.

Nie potrafił tego zrobić.

W ciągu następnych kilku minut posypały się na niego gromy ze strony pozostałych siedzących przy stole osób.

Izzat Ibrahim milczał, słuchając z satysfakcją, jak Sa'adi Tumah Abbas pada ofiarą rozwścieczonych i przerażonych uczestników zebrania.

Gdy w końcu burza ucichła, podniósł ręce i oznajmił: - Bracia, członkowie Rady Rewolucyjnej.

Muszę stwierdzić z wielkim smutkiem, że otrzymane informacje, chociaż niepełne, wydają się być prawdziwe.

Musimy stłumić na razie głęboki żal i uświadomić sobie fakt, że nasz ukochany brat i przywódca, Saddam Hussajn, padł ofiarą tchórzliwego, zradzieckiego zamachu.

Mogę potwierdzić, że wyruszył dziś rano do Tikrit...

- Izzat przerwał, napawając się pełnymi niechęci i zawiści spojrzeniami tych, którzy nic na ten temat nie wiedzieli.

- ...ale nie wrócił zgodnie z planem do Bagdadu.

Nie pojawił się też jego śmigłowiec.

Otrzymaliśmy informacje, że został zniszczony.

Jak wspomniał nasz brat, Sa'adi Tumah Abbas, nie powiodły się próby nawiązania łączności z dowódcą straży prezydenckiej Amn al Khas w Tikrit.

Znaleźliśmy jednak naocznych świadków tego, co się tam dziś rano wydarzyło.

Dowódca trzeciego pułku dywizji Gwardii Republikańskiej z Medyny i niektórzy jego oficerowie uszli z życiem.

Prawdopodobnie uciekli, widząc, co się dzieje.

Przesłuchiwali ich wyżsi funkcjonariusze Muchabratu i, że tak powiem, nie marnowali czasu.

Wszyscy podejrzani złożyli zgodne zeznania, zanim zostali na mój rozkaz straceni za tchórzostwo.

W Tikrit panuje zamęt.

Dowódca dywizji w Medynie otrzymał rozkaz, aby natychmiast wysłać tam żołnierzy i przy pomocy śmigłowców stłumić rewoltę.

Na moje polecenie miasto zostało odcięte od świata.

Jedyną osobą uprawnioną do przekazywania informacji jest dowódca dywizji.

Wszelkie meldunki ma składać bezpośrednio naszej radzie.

Izzat pozwolił sobie spojrzeć znowu na pulchne oblicze ministra obrony, Hussajna Kamila, który zaniemówił z wściekłości, usłyszawszy że ktoś uzurpuje sobie prawo do wydawania rozkazów podległym mu jednostkom.

Izzat wyszczerzył do niego poźółkłe zęby w parodii uśmiechu.

- Bracie Hussajnie, wybaczysz mi na pewno, że tym razem bez porozumienia z tobą skorzystałem z moich uprawnień zastępcy dowódcy sił zbrojnych.

Należało szybko działać, a w południe byłeś, że się tak wyrażę, nieosiągalny.

Chyba wyszedłeś na chwilę z ministerstwa.

Rozumiem, że miałeś do załatwienia pilne sprawy w pewnym mieszkaniu przy ulicy Khulafa...

- Izzat jeszcze bardziej wyszczerzył zęby w szkaradnym, drwiącym uśmiechu.

Wiedział, gdzie i z kim był Hussajn Kamil, do jakiego śmierdzącego koryta pakował ten swój świński ryj.

Hussajn Kamil zbladł nagle jak ściana.

Otworzył usta, ale zaraz je zamknął.

Izzat widział, jak nerwowo przełyka ślinę.

Tak, pomyślał Izzat, nadal szeroko się uśmiechając.

O tej aferze nie wiedział nawet psychopata Kusai, drugi syn Saddama i szef Muchabratu.

Nikt nie miał odwagi mu donieść o romansie jego żony i szwagra.

Ale on, Izzat, dowiedział się o tym...

Zapanowało milczenie.

Kilka osób okazało zainteresowanie, co może oznaczać ta aluzja.

W końcu Hussajn Kamil zdobył się na odpowiedź.

- Niewątpliwie słusznie postąpiłeś, bracie Ibrahimie - wyrzucił z siebie.

- Dziękuję - mruknął z zadowoleniem Izzat Ibrahim.

Błysnąwszy znów żółtymi zębami, zwrócił się do pozostałych.

- Musimy więc teraz jedynie znaleźć odpowiedź na proste pytanie.

Jakie działania należy podjąć, aby uniknąć poważnego kryzysu i dalszych rozruchów?

Sprawa wydaje się oczywista.

Krajem musi ktoś rządzić.

W tych tragicznych i niebezpiecznych chwilach nasz wielki naród potrzebuje silnego przywódcy.

Bez wątpienia należy podjąć niezbędne kroki, aby stłumić wszelkie przejawy buntu.

Może to wymagać drastycznych decyzji.

W tym strasznym momencie, mimo naszej rozpaczliwej sytuacji, jedno mnie pociesza: że wy, moi zgromadzeni wokół tego stołu bracia, jesteście na tyle szlachetni i stanowczy, by okazać pełne poparcie

przywódcy, który w zaistniałych okolicznościach musi zaprowadzić porządek.

Izzat Ibrahim uznał, że wyraził się dość jasno.

Trudno było nie pojąć sensu jego słów.

Nawet Sa'adi Tumah Abbas musiał zdać sobie sprawę, że Izzat zgłosił właśnie swoją kandydaturę na wakujący fotel prezydenta.

Wysunął głowę jak sęp, obserwując z błyskiem w oczach twarze kolegów.

Pierwsze oznaki sprzeciwu nadeszły z zupełnie nieoczekiwanej strony.

- Żaden z nas, bracie wiceprezydencie - stwierdził szyderczym tonem minister spraw wewnętrznych - nie kwestionuje faktu, że krajowi potrzeba silnego przywódcy.

Pozostaje tylko pytanie, w jakich dziedzinach trzeba będzie wykazać się siłą - i doświadczeniem.

Izzat był zbity z tropu.

Spodziewał się demonstracyjnego protestu ze strony Ramadana, ale to, co usłyszał, zaskoczyło go.

Ali Hassan al-Majid był kuzynem Saddama i Izzat dobrze wiedział, co znaczyły jego uwagi.

Ten śliniący się, wściekły pies wykonywał z niesłychaną gorliwością różne powierzone mu zadania.

Miał na swoim koncie potworne czyny.

To on rozkazał użyć gazów podczas walk z Kurdami w latach 1987-88.

Jego właśnie Saddam mianował gubernatorem Kuwejtu po inwazji w

1990 roku.

To on i służalczo mu oddany Ala'a Hussajn Ali ponosili odpowiedzialność za gwałty i rabunki w irackiej "dziewiętnastej prowincji".

Od tamtej pory, jako minister spraw wewnętrznych, Ali Hassan al-Majid miał za zadanie rozprawiać się z kurdyjskimi buntownikami na północy kraju oraz z szyitami, zamieszkującymi bagniste obszary na południu.

Jego brutalne metody okazywały się niezwykle skuteczne.

Nikt nie miał większego doświadczenia w tłumieniu zamieszek.

Izzat pomyślał, że Ali Hassan najwyraźniej zgłasza chęć objęcia rządów.

Ale był bez szans.

Ten pies miał zbyt wielu wrogów.

Zbyt wielu ludzi napawał przerażeniem.

Połączą siły przeciwko niemu, aby tylko nie sięgnął po absolutną władzę.

Izzat był wściekły, że Ali Hassan al-Majid z tak bezczelną drwiną w głosie nazwał go "wiceprezydentem", powstrzymał się jednak od riposty, pozwalając innym przystąpić do ataku.

Nie musiał długo czekać.

Pierwszy odezwał się człowiek-hiena, Taha Yasin Ramadan.

- Nasz brat, minister spraw wewnętrznych - warknął - słusznie zauważył, że przywódca powinien mieć niewątpliwie doświadczenie w sprawowaniu władzy.

Ale określanie całościowej polityki rządu wymaga znajomości nie

tylko lokalnych realiów.

Ze wszystkich stron otaczają nas wrogowie, którzy niewątpliwie spróbują wykorzystać nieszczęście, jakie spotkało dzisiaj Irak.

Musimy okazać siłę i niewzruszenie trzymać się zasad, którym hołdował nasz znakomity brat, Saddam Hussajn - niech Allah będzie przy nim w raju.

Tylko przestrzegając tych zasad zdołamy poradzić sobie z żądnymi krwi cudzoziemcami, którzy ciągle na nas czyhają.

Saddam przypominał nam osobiście zaledwie przed trzema dniami, że istnieje obecnie bezprecedensowe zagrożenie suwerenności Iraku.

Władze kraju nie mogą zaniedbywać polityki zagranicznej.

Konieczna jest zręczność i zdecydowanie w rozprawianiu się ze wszystkimi naszymi wrogami - wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Izzat zamrugał oczami ze zdziwienia.

Taha działał w tym momencie na jego korzyść.

Tak bardzo się obawiał, by Ali Hassan al-Majid nie przejął władzy, że zrezygnował nawet z własnych roszczeń.

W dodatku nie powiedział niczego, co zagroziłoby pozycji Izzata.

Najsilniejsi gracze zabrali głos.

Teraz nie będzie już z pewnością żadnych dyskusji i sprawa zostanie przypieczętowana.

Izzat otrzyma nominację!

- Nasz brat Taha ma słuszość - odezwał się nowy głos.

Izzat drgnął, odwracając głowę w kierunku mówcy.

Okazał się nim siedzący w połowie długości stołu i spoglądający z uśmiechem zza ciężkich okularów były minister spraw zagranicznych, a

obecnie wicepremier, Tarik Aziz.

- Można by pomyśleć, że opowiadając się z takim przekonaniem za przywódcą doświadczonym w kontaktach z zagranicą, brat Taha proponuje moją kandydaturę na stanowisko prezydenta.

- Aziz zaśmiał się z własnego żartu.

Izzat podejrzliwie zmrużył oczy.

Do czego ten szczywany lis zmierza?

- Oczywiście, odmówiłbym przyjęcia podobnego zaszczytu - dodał Tariq Aziz, przybierając poważniejszy wyraz twarzy.

- Tak, moi bracia.

Nie przyjąłbym tej zaszczytnej propozycji.

Prawdę mówiąc uważam, że stanowisko prezydenta powinno pozostać na razie nie obsadzone.

Izzat Ibrahim oniemiał ze zdumienia.

Przy stole rozległ się szmer zdziwionych głosów.

Izzat dostrzegł kątem oka, że Taha usiadł wygodnie w fotelu, najwyraźniej zadowolony z siebie.

A więc ci dwaj byli w zмовie!

Zastawili na niego pułapkę!

Zdrajcy!

Ale do czego właściwie zmierzali?

Blade policzki Izzata poczerwieniały, a głębokie dzioby po ospie przybrały purpurową barwę, gdy starał się ukryć swoje zdenerwowanie.

- Wszelkie spekulacje, dotyczące wyboru następcy prezydenta, byłyby na razie przedwczesne - kontynuował Tarik Aziz.

- Powiem więcej: mianowanie teraz kogoś na miejsce Saddama

mogłoby mieć katastrofalne następstwa.

Spieszę zapewnić - dodał z rozbrajającym uśmiechem - że wcale nie uważam, by wśród obecnych tutaj osób nie było godnych kandydatów na to stanowisko.

Proszę mnie źle nie zrozumieć.

Z radością stwierdzam, że wielu z was, moi szacowni bracia, udźwignęłoby z pewnością ciężar tego odpowiedzialnego urzędu, sprawowanego do niedawna przez naszego ukochanego brata, Saddama Hussajna.

Nie powinniśmy wybierać nowego prezydenta z innych, zupełnie oczywistych powodów.

Izzat całkowicie się już pogubił.

Do czego, na Boga, zmierzał ten szelmowsko uśmiechnięty, przebiegły lis?

- Jakakolwiek zmiana, czy nawet pozorna zmiana istniejącego stanu rzeczy, doprowadziłaby do katastrofy - oznajmił z naciskiem Tarik Aziz.

- Byłaby oznaką słabości, którą niewątpliwie ktoś by wykorzystał.

Bez względu na to, jak silny i kompetentny okazałby się nowy prezydent, ucierpiałby autorytet szefa państwa.

Gdyby ogłosić publicznie, że nasz brat Saddam został zamordowany, dowodziłoby to, że nie tylko osoba, lecz i urząd prezydenta narażony jest na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Gdybyśmy natomiast zbeczcęcili pamięć naszego przywódcy, wydając oświadczenie, że ktoś go zastąpił, uznano by to za przejaw wewnętrznego skłócenia, a zatem i słabości rady.

Tak czy inaczej, irackim przywódcom trudno by się było pozbierać

po takim ciosie.

Nasz kraj ma wystarczająco wielu wrogów, którzy tylko czekają na sprzyjające dla siebie okoliczności.

Wszystko musi więc pozostać po starym.

Nie możemy dopuścić do żadnych zmian.

- Ależ to absurd!

- zagrział Izzat Ibrahim, tracąc całkowicie panowanie nad sobą i z wściekłością wymierzając w Aziza chudy palec.

- Jak wszystko może pozostać po starym, skoro Saddam nie żyje?

Były minister spraw zagranicznych nadal się uśmiechał.

- Taha, mój bracie - zapytał, zwracając się do Ramadana.

- Ilu pozostało jeszcze tawagff?

Człowiek-hiena wydał pogardliwie usta, spoglądając na Izzata.

Poznaczona bliznami twarz mężczyzny o ufarbowanych henną włosach wyraźnie pobladła.

- Jest ich dziewięciu - odparł Taha.

- Z tego u pięciu - dodał, pokazując rozpostarte palce prawej dłoni - można dostrzec tylko powierzchowne podobieństwo do naszego zmarłego brata i przywódcy.

Każdy z nich był przewożony od czasu do czasu w samochodzie, aby ludzie mogli rzucić okiem na swego ukochanego prezydenta.

Dwaj inni - powiedział, ułożywszy dwa palce lewej dłoni w kształt litery V - nadają się do bardziej skomplikowanych zadań i występowali w krótkich filmach, przedstawiających wizyty Saddama w bazach wojskowych.

Operatorom nie wolno było robić żadnych zbliżeń, a w roli żołnierzy występowali przebrani członkowie Amn al Khass.

Filmy te pełniły pożyteczną rolę: udowadniały, że nasz przywódca nie obawia się kontaktów z masami.

- Człowiek-hiena przerwał, odliczając na palcach dwie kolejne osoby.

- Dwaj ostatni są najlepsi, najbardziej przekonujący.

Przeszli specjalną...

Urn al-jiraha, operację plastyczną.

Pierwszy, tagut Bakr Abdullah...

- Nie żyje!

- zasyczał Izzat Ibrahim.

- Został zastrzelony razem z prezydentem.

Twarz człowieka-hieny wykrzywił nerwowy grymas.

Tym razem on zbladł jak ściana.

- Skąd ta wiadomość?

- zapytał.

- Z tego samego źródła - warknął Izzat, bębniąc wychudłymi palcami o stół - z którego dowiedziałem się o zamachu.

Wspomnieli o tym przesłuchiwani świadkowie.

Zechcesz mi wyjaśnić, po co wspomniałeś o tawagft?

Do czego niby mieliby się teraz przydać?

Należy ich zlikwidować.

- Wprost przeciwnie - odparował człowiek-hiena, odzyskując równowagę.

- Są teraz potrzebni bardziej niż kiedykolwiek, aby zapewnić bezpieczeństwa Iraku.

- Spojrzał na Izzata Ibrahima.

- Wicepremier i ja - oznajmił, patrząc w kierunku Aziza, który uśmiechnął się i skinął głową - podejrzewaliśmy dziś rano, że coś jest nie w porządku.

Z Tikrit nie wróciła delegacja zagranicznych dyplomatów, dotarły także do nas pewne pogłoski...

które, niestety, okazały się prawdziwe.

Mieliśmy okazję omówić wstępnie sytuację przed naszym spotkaniem.

A więc to tak, pomyślał Izzat Ibrahim, czując, jak ściska go za gardło

wściekłość i niepokój.

Ci dwaj spiskują przeciwko mnie!

Zaczynał domyślać się z przerażeniem, o co im chodzi.

- Źle się stało, że tagut Bakr Abdullah zginął - kontynuował człowiek-hiena - ale bez wątpienia w razie potrzeby będzie można go kimś zastąpić.

Najważniejsze, że pozostaje do naszej dyspozycji ostatni na liście tagut Muhsen Hashim.

Jest najlepszy z nich wszystkich.

- Co więc właściwie proponujecie?

- zapytał Izzat, znając już w zasadzie odpowiedź.

- To proste - odparł Taha.

- Nie będzie komunikatu o zabójstwie prezydenta, ani o mianowaniu kogoś na jego miejsce.

Nie będzie w ogóle żadnego komunikatu.

Za to możliwie szybko nakręci się film.

Powinien być gotowy w ciągu dwóch, trzech dni.

Wystąpi w nim tagut Muhsen Hashim.

Odegra swoją rolę bardziej przekonująco niż kiedykolwiek.

Wiem, że go na to stać.

Na rozkaz naszego zmarłego brata osobiście nadzorowałem jego szkolenie.

Saddam Hussajn nie chciał zbyt często pokazywać się publicznie i życzył sobie, by zawsze wtedy, gdy jego obecność nie była naprawdę konieczna, zastępowali go tawagft.

Wszystko pozostanie więc bez zmian.

Poza osobami znajdującymi się w tym pokoju i zdrajcami, którzy są odpowiedzialni za dzisiejszy zamach, nikt nie będzie znał prawdy.

Zdraycy, naoczni świadkowie wydarzeń i wszyscy, którzy mogli o nich słyszeć, zostaną zlikwidowani.

Potem pozbędziemy się po kolei ludzi, prowadzących dochodzenie w sprawie spisku.

Tagut zajmie miejsce prezydenta.

Izzat Ibrahim był wstrząśnięty.

Stała się rzecz nie do pomyślenia.

Pozbawiono go zrećcznie nadziei na przejęcie władzy.

Ocenił pospiesznie sytuację.

Może nie wszystko było jeszcze stracone.

Tagut nie będzie tak pilnie strzeżony jak prezydent...

- Czy sugerujesz, że ten tagut powinien zasiadać w radzie?

- zapytał.

- Że powinien być jednym z nas?

- Oczywiście, że nie - odparł z pogardą człowiek-hiena.

- Będzie jedynie otrzymywał od nas instrukcje i wykonywał polecenia.

- Czy mogę zapytać - zasyczał Izzat - kto właściwie ma mu je wydawać?

- To bez znaczenia - powiedział ostrym tonem człowiek-hiena.

- Same instrukcje będą, oczywiście, istotne, ale nieważne, kto będzie je przekazywał.

Chodzi wyłącznie o to, by tałt wiedział, kiedy i gdzie ma się pokazać, i co ma robić - nic więcej.

Skoro jednak, bracie Ibrahimie, z niezrozumiałych powodów przywiązujesz do tego tak dużą wagę - dodał z triumfem w głosie, prychając pogardliwie - proponuję, żebyś osobiście występował w roli posłańca.

Obrażliwe słowa Ramadana sprawiły, że w pokoju zaległa martwa cisza.

Przez chwilę Izzat Ibrahim miał wrażenie, że się przesłyszał.

Potem zaczął nagle pojmować, o co chodzi.

Dał się podejść, przypisując specjalne prerogatywy osobie, która miała pełnić jedynie rolę gońca.

Na domiar złego padła propozycja, by wziął ten obowiązek na siebie!

Jego trupia, poznaczona bliznami twarz wykrzywiła się z wściekłości.

Zacisnął szponiaste palce na krawędzi stołu i przesywszy

człowieka-hienę morderczym spojrzeniem wrzasnął z furją: - To niedorzeczny pomysł! Wytwór chorej wyobraźni!

Ten szalony plan nie ma szans powodzenia!

Pewnie waszym zdaniem tagut powinien też nosić pistolet prezydenta?

- Nie!

- odszczeknął człowiek-hiena, uderzając pięścią w stół.

- O tym nie ma mowy!

Należy przestrzegać obowiązujących reguł.

Tagut musi zrozumieć, że wypełnia jedynie rozkazy rady.

W żadnym wypadku nie powinien się dowiedzieć, że jego osoba ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa Iraku.

Nie wolno pozwalać, by występował z własnymi pomysłami.

Może za parę miesięcy, jeśli okaże się całkowicie posłuszny, rada zezwoli mu na noszenie pistoletu - ale tylko w wyjątkowych sytuacjach, gdy będą wymagały tego okoliczności.

Skoro muszę, ustosunkuję się jeszcze do twojej pierwszej uwagi, bracie Ibrahimie.

Nasz plan jest o wiele mniej niedorzeczny niż inne alternatywne rozwiązania.

Twoja reakcja - dodał lekceważąco - była z pewnością nie przemyślana.

Ja natomiast długo się nad tą sprawą zastanawiałem.

Ten plan się powiedzie.

Musimy o to zadbać.

Nasz brat Tarik Aziz wyjaśnił już, dlaczego nie mamy innego

wyjścia.

- Człowiek-hiena, całkowicie panując teraz nad sytuacją, potoczył złowrogim spojrzeniem po twarzach siedzących przy stole mężczyzn.

- Jeśli przegramy, wtedy wszyscy bez wyjątku...
będziemy zgubieni.

Pokonany Izzat forahim wbił w Ramadana drapieżny wzrok.

Z małych nieruchomych oczu człowieka o poznaczonej dziobami twarzy emanowała dzika nienawiść.

69 Porucznik Saleh Masoud z trudem hamował gniew.

Chociaż słońce szybko zachodziło, w samochodzie opancerzonym BRDM było nadal gorąco jak w piecu.

Nie mogli się zatrzymać, żeby odpocząć albo coś zjeść.

Wyobrażał sobie, że gwardziści jadący z tyłu w ciężarówkach muszą też mieć już tego dość.

Kierowca jego wozu nie ukrywał w każdym razie, co myśli.

Piskliwy głos tego człowieka zaczął w końcu działać porucznikowi na nerwy, wrzasnął więc na niego, żeby się zamknął.

Kierowca miał, oczywiście, rację.

Dlaczego oni, żołnierze Gwardii Republikańskiej, musieli niańczyć tych znieawidzonych cudzoziemców?

Zamiast ich zamknąć i pozwolić, żeby zdechli, zapewniali im eskortę i pomoc - tym ludziom, którzy usiłowali odrzeć Irak z resztek godności!

Porucznik uznał, że skoro tak rozumuje jego kierowca, pozostali będą tego samego zdania.

Gdyby doszło do kolejnej konfrontacji z tym aroganckim majorem, mógł liczyć na poparcie ze strony swoich ludzi.

Niech szlag trafi majora!, pomyślał z oburzeniem.

Jechał sobie wygodnie samochodem tych cudzoziemców, podczas gdy jego ludzie tłukli się w rozklekotanych gruchotach.

Jazda w BRDM była szczególnie uciążliwa.

On, Saleh Masoud, chciałby dostać w swoje ręce tego Rosjanina, tego idiotę, który zaprojektował w samochodzie opancerzonym prawie pozbawione amortyzacji zawieszenie i silnik, wydzielający nadmiar ciepła do wnętrza pojazdu, zamiast do atmosfery.

Niech szlag trafi tego Rosjanina, majora, a zwłaszcza tych plugawych cudzoziemców.

Porucznik podjął decyzję.

Da im jeszcze pół godziny.

Jeżeli w tym czasie nie zatrzymają się na postój, on to zrobi.

Tak po prostu.

Nie pojedzie dalej.

Niech ten pieprzony major mówi sobie, co chce.

On, Saleh Masoud, też będzie mu miał parę rzeczy do powiedzenia.

Zaczął dobierać w myślach odpowiednie słowa.

Porucznik tak już przywykł do tego, że podążają za jadącym z przodu samochodem i tak bardzo zajęty był przygotowywaniem ciętej przemowy do swego dowódcy, że w ogóle nie zauważył, kiedy Bourne zjechał z głównej autostrady, prowadzącej w kierunku Trebil i Jordanii.

Konwój dotarł już niemal do Ar-Rutba, gdy Bourne nagle skręcił, ominął zwalony most, a za miastem ruszył na południe, w kierunku granicy saudyjskiej.

Była to ta sama droga, którą przyjechali.

Siedzący w samochodzie opancerzonym porucznik uznał, że robią objazd z powodu mostu, ale nie zwrócił uwagi, dokąd zmierzają.

Spojrzał na zegarek.

Jeszcze dwadzieścia minut.

Potem, do cholery, po prostu się zatrzyma.

70 Major Hassan Omair, w przeciwieństwie do swego krnąbrnego podwładnego, zauważył natychmiast, co się stało.

Było to dość zaskakujące.

Howard i Bourne nie rozmawiali o zmianie trasy, nic też nie wskazywało, że nie pojedą do Trebil.

Dla szpiegów była to w końcu najbardziej oczywista droga ucieczki.

Teraz podążali niespodziewanie na południe - w zupełnie nie zamieszkałe rejony.

Major zastanawiał się intensywnie, co może zrobić.

Jego plan zaareztowania szpiegów, kiedy dotrą do Trebil, spalił na panewce.

Musiał wymyślić coś innego.

Postanowił nie ujawniać swoich spostrzeżeń.

Może uśpi w ten sposób ich czujność.

Mogliby odgadnąć, że zauważywszy zmianę trasy stanie się podejrzliwy i spróbuje podjąć jakieś działania.

Nie, niczego nie da po sobie poznać.

Niewykluczone, że ten dureń Saleh Masoud zważa, co się stało i jakoś zareaguje.

Może nawet wystrzeli do nich z karabinu maszynowego 14,5 mm KPWT.

A niechby i to zrobił.

Ale co ci szpiedzy teraz kombinowali?

Howard podawał właśnie Bourne'owi lotniczy hełm.

Wyglądał jakoś dziwnie: był zaopatrzony w urządzenie przypominające lornetkę.

Bourne zakładał hełm, przesuwając gogle na czoło.

Ależ oczywiście!

To był noktowizor!

Bourne musiał mieć w tym momencie nieco rozproszoną uwagę...

Siedzący za nim Howard obserwował uważnie majora.

Kiedy zjechali z głównej drogi, Irakijczyk zachował kamienną twarz, znając jego opanowanie Howard podejrzewał jednak, że musiał zauważyć, dokąd zmierzają.

Sięgnąwszy po gogle noktowizyjne, które miały umożliwić im jazdę w ciemnościach, Anglik pomyślał, że wkrótce major i tak się tego dowie.

Minęli boczną drogę prowadzącą na lotnisko na południu Ar-Rutba.

Polny trakt zaczynał się zaledwie o dwa czy trzy kilometry dalej.

Howard podał drugi hełm MacDonaldowi, a trzeci Bourne'owi.

Kiedy Bourne zakładał hełm na głowę, zdarzyły się prawie równocześnie dwie rzeczy.

Ponieważ koncentrował się na tym, co robi, nie zauważył, że jadący z tyłu samochód opancerzony nagle stanął.

Gdyby patrzył we wsteczne lusterko, musiałby to spostrzec.

Niemal w tej samej chwili major uznał, że ma być może jedyną okazję, by spowodować trochę zamieszania, wytrącić tych cudzoziemców z równowagi i zaalarmować swoich ludzi w jadących z tyłu pojazdach,

chwycił więc nagle za kierownicę.

Bourne, zajęty chwilowo wkładaniem hełmu, dał się zaskoczyć.

Howard był jednak czujny.

Z całej siły uderzył majora w szyję kantem dłoni.

Irakijczyk osunął się bezwładnie na kolana Bourne'a, który szybko odzyskał równowagę i zepchnął go brutalnie z powrotem na fotel.

Cały incydent trwał najwyżej cztery sekundy, ale w tym czasie Land Cruiser oddalił się o jakieś siedemdziesiąt metrów od reszty konwoju.

Howard i Bourne zauważyli to równocześnie.

Bourne nacisnął raptownie na hamulec.

- Cofnij, Johnny - powiedział Howard.

- Powoli.

Mamy kłopoty.

Danny, wyskoczysz szybko, kiedy ci powiem.

Ziegler, Ackford i Usher, których wóz stał wciśnięty między samochód opancerzony i pierwszą z ciężarówek, zorientowali się natychmiast, że coś nie gra.

- Jeszcze nie teraz - rzucił Ziegler.

- Zaczekajcie, aż dowiemy się, o co chodzi.

Porucznik Saleh Masoud wysiadł już ze swego pojazdu.

Zauważył, że prowadzący kolumnę samochód nie zatrzymał się od razu.

Jechał dalej, dopóki jego kierowca nie spostrzegł w lusterku, że nie ma za sobą reszty konwoju.

Zapewne teraz zawróci, żeby zobaczyć, co się stało.

Wtedy porucznik wyłuszczy majorowi, co myśli.

Tymczasem postanowił dać popalić tym cudzoziemcom.

Podszedł do jadącego z tyłu Land Cruisera i warknął groźnie: -
Wysiadać!

- wykonując kciukiem jednoznaczny gest.

Ziegler uniósł lufę AKMS i strzelił porucznikowi w gardło, po czym poruszył gwałtownie łokciem, dając znak Ackfordowi i Usherowi.

- Spływamy!

- rozkazał.

Wszyscy trzej wyskoczyli z wozu i przekoziółkowali po ziemi, zostawiając obok Land Cruisera martwe ciało porucznika.

Sierżant, siedzący w kabinie pierwszej z dwóch ciężarówek, był weteranem wojny irańsko - irackiej.

Usłyszał cichy odgłos strzału z wyposażonego w tłumik AKMS i głośniejszy nieco szczęk zamka, a potem zobaczył, jak porucznik pada martwy.

Zareagował natychmiast.

- Z wozu!

- krzyknął do żołnierzy i zeskoczył na ziemię, załadowując swój AK.

Miał zacząć strzelać, gdy usłyszał jakiś okrzyk po angielsku.

Coś rozbłysło mu pod nogami i on także padł martwy.

Okrzyk pochodził z ust Ackforda.

Niemal równocześnie on, Usher i Ziegler cisnęli ręczne granaty w dwie stojące za nimi ciężarówki.

Jeden eksplodował między przednimi kołami pierwszego pojazdu, uśmiercając sierżanta i powodując pożar wozu.

Drugi wybuchł z tyłu ciężarówki, wyprawiając na tamten świat trzech wyskakujących z niej właśnie żołnierzy i raniąc jeszcze czterech.

Trzeci granat, rzucony przez Zieglera w kierunku drugiego pojazdu, nie wypalił.

Ackford i Usher ostrzeliwali teraz obie ciężarówki z karabinów AK.

Wielu znajdujących się w nich żołnierzy nie zdążyło wysiąść, ale trzynastu gwardzistów ze stojącego nieco dalej drugiego pojazdu, którego nie dosięgły granaty, zeskoczyło na ziemię i zaczęło odpowiadać ogniem.

Ziegler wymierzył dokładnie broń w cztery reflektory obu ciężarówek i przestrzelił je, pogrążając drogę w ciemnościach.

Teraz działały tylko światła samochodu opancerzonego, zwrócone były jednak w niewłaściwym kierunku.

Kierowca BRDM wykazał się godnym podziwu refleksem i przedsiębiorczością.

Gdy eksplodował pierwszy granat, wyskoczył z fotela, chwycił za rączkę zamontowanego w wieżyczce 14,5-milimetrowego KPWT i nie celując nacisnął spust.

Karabin maszynowy wymierzony był na wprost, w kierunku szosy i pierwsze trzy z serii dwudziestu pocisków trafiły w cofającego Land Cruisera, w którym siedział Howard.

Samochód zjechał z drogi, przewrócił się na bok i zapalił.

MacDonald poczuł nagle uderzenie w prawe ramię.

Było na tyle silne, że upuścił karabin.

Zaraz potem cały świat wywrócił się do góry nogami i Szkot grzmotnął o coś głową.

Uratował go hełm.

Wygramolił się przez drzwi, które trzeba było otwierać teraz w kierunku nieba.

Kiedy MacDonald wydostawał się na zewnątrz, Howard zanurkował w głąb samochodu i otworzył kopniakiem tylne drzwi.

Pod siedzeniem leżał granatnik RPG-7.

Chwycił go, rzucił się na ziemię i wycelował w BRDM.

Rozległ się ogłuszający huk.

Pocisk eksplodował zaraz potem, przebijając cienki pancerz pojazdu.

Jego przednia część rozpadła się na kawałki, światła zgasły, a we wnętrzu wybuchł pożar.

Kierowca zginął na miejscu.

Johnny Bourne miał mniej szczęścia niż jego koledzy.

Ominęła go kula, która ugodziła w ramię MacDonalda, ale następną został trafiony w łydkę.

Poczuł natychmiast, że drętwieje mu noga.

Trzeci pocisk trafił w tylne koło, całkowicie rozrywając oponę.

To dlatego Johnny stracił panowanie nad kierownicą i samochód przewrócił się na bok.

Ciało nieprzytomnego majora znów opadło na Bourne'a, tym razem go przygniatając.

Samochód zaczynał się już palić.

MacDonald był zupełnie bezradny.

Nie mógł strzelać z karabinu, bojąc się trafić Zieglera, Ackforda lub Ushera, którzy prowadzili teraz ogłuszającą wymianę ognia z pozostałymi przy życiu irackimi gwardzistami.

Złowrogi świst przelatujących nad głową pocisków nie pozwalał mu się skoncentrować.

Nigdy nie był równie dezorientowany i przerażony.

Przywierając do ziemi odwrócił głowę, aby zobaczyć, co robią Howard i Bourne.

Miał zamiar pójść za ich przykładem.

Zauważył, że Howard odbiega na bok.

Nagle MacDonald uświadomił sobie, że nie widać nigdzie Bourne'a.

Ich Land Cruiser zaczynał się już palić.

Przemknęło mu przez myśl, że Johnny musi być nadal w środku.

Pobiegł w kierunku samochodu, wskoczył do niego od tyłu i posługując się z wysiłkiem jedną sprawną ręką ściągnął z rannego w nogę Bourne'a przywalające go ciało majora.

- Dzięki, Danny!

- zawołał ochryplym głosem Bourne, przekrzykując zgiełk kanonady, gdy wspólnymi siłami zdołali odsunąć na bok nieprzytomnego Irakijczyka.

Wydostawszy się z trudem zza kierownicy, Bourne wypełznął za MacDonaldem z samochodu.

Będąc już na zewnątrz przypadli do ziemi i odczołgali się od rozbitego pojazdu, który płonął już na dobre.

- Co teraz, Johnny?

- krzyknął MacDonald.

- Na razie niewiele możemy zrobić - odparł Bourne, krzywiąc się z bólu.

- Mam rozwaloną nogę.

Najlepiej zostańmy tutaj i zobaczmy, co się będzie działo.

- Obaj mężczyźni założyli gogle noktowizyjne i zaczęli obserwować pole walki.

Ackfordowi zabrakło granatów, podczołgał się więc z powrotem do samochodu, aby wziąć następne.

Kiedy otworzył jednym szarpnięciem drzwi i sięgnął do wnętrza wozu, usłyszał serię wystrzałów i poczuł silne uderzenie w hełm.

Kropnęli mnie, powiedział do siebie, zaraz jednak zmienił zdanie.

Nie jest źle, skoro jeszcze myślę.

Chyba wszystko w porządku.

Odczołgawszy się od samochodu wyciągnął zawleczkę z pierwszego granatu, starannie wycelował i rzucił go z głośnym okrzykiem w miejsce w pobliżu drugiej ciężarówki, gdzie widać było błyski z luf karabinków szturmowych.

Usher, ukryty gdzieś na prawo od niego, nie przestawał strzelać.

Howard widział, że Usher i Ackford są na prawym skrzydle, skierował się więc w lewo, gdzie powinien być Ziegler.

Stopniowo krzyżowy ogień czterech karabinów zaczął przynosić efekty.

Irakijczycy, poruszający się po omacku w ciemnościach, zdezorientowani, zmęczeni i całkowicie zaskoczeni, nie mieli szans.

Ginęli jeden po drugim.

Z trzydziestu pięciu pozostało przy życiu zaledwie ośmiu.

Ocalał, między innymi, sierżant z drugiej ciężarówki.

Podobnie jak jego nie żyjący już kolega z pierwszego wozu był doświadczonym żołnierzem i nie stracił zimnej krwi.

Ukrył się, aby sprawdzić, czy ostrzał prowadzony jest w systematyczny sposób.

Wkrótce zdał sobie sprawę, że ich wrogowie są profesjonalistami.

I to dużej klasy.

Po oddaniu serii strzałów, które z reguły były celne i skuteczne, natychmiast przenosili się na inne miejsce.

Błyski ognia z luf pojawiały się co raz to gdzie indziej.

Nieprzyjaciel zajmował pozycję zaledwie o metr czy dwa metry dalej, ale wskutek tego nie można go było namierzyć i ostrzelać.

Sierżant widział, jak jeden z cudzoziemców staje przy samochodzie i otwiera drzwi, aby dostać się do środka.

Mógłby przysiąc, że go trafił, ale facet najwyraźniej uciekł i dalej strzelał, nie wiadomo tylko skąd.

Płonący Land Cruiser eksplodował nagle z głośnym hukiem, gdy ogień dotarł do zbiornika paliwa.

Major Hassan Omair zginął, nie odzyskując przytomności.

Błysk eksplozji oświetlił na chwilę pole walki i sierżant,

zauważywszy jednego z wrogów, wypuścił długą serię ze swego AK.

Człowiek, do którego strzelił, zadrgał konwulsyjnie i znieruchomiał.

Dostał, pomyślał sierżant.

W tym momencie jego ciałem wstrząsnęło kilka potężnych uderzeń.

Poczuł w ustach słony smak.

W głowie miał pustkę.

Przestał do niego docierać zgiełk potyczki.

Zanim pojął, co się stało, wydał ostatnie tchnienie, umierając z wyrazem zdziwienia na twarzy.

Strzelanina ustała.

Ostatni iracki żołnierz padł martwy.

- Mike?

- zawołał Howard.

- Jestem tutaj.

Wszystko w porządku.

- Johnny?

- Tutaj - odezwał się Bourne trochę spiętym głosem.

- Oberwałem w prawą łydkę.

- Mocno?

- Kość jest cała.

- To dobrze.

Danny?

- Dostałem w lewe ramię.

- Tony?

- Jestem.

Trafili mnie w hełm, ale jego zawartość chyba nie ucierpiała.

- Bob?

Przez dłuższą chwilę nie było odpowiedzi.

W końcu odezwał się Ackford: - Chyba jest tutaj, szefie.

- W porządku.

Zdaje się, że mamy wolną drogę.

Mike, sprawdź, czy któryś z tych wozów jest na chodzie - powiedział Howard, po czym podszedł do Tony'ego, który klęczał obok ciała Ushera.

Trzy kule trafiły jego kolegę w głowę i pierś.

Zginał na miejscu.

- Pieprzone szczęście - mruknął Ackford.

- Prawie nam się udało.

71 Kearwin oglądał ze zdumieniem widoczne na ekranie zdjęcie satelitarne.

Od dziesięciu minut samochody stały w miejscu.

Fotografię wykonał satelita Keyhole, przelatujący nad obserwowanym rejonem zaledwie przed trzema minutami.

Nie można było mieć żadnych wątpliwości, co się tam wydarzyło.

Z jakiegoś powodu doszło do potyczki z Irakijczykami.

„Inspektorzy ONZ” najwyraźniej dzielnie się bronili.

Transporter opancerzony - typu BTR albo BRDM - został wyeliminowany z walki.

Jego charakterystyka termiczna świadczyła o tym, że się pali.

Płonęła też jedna z ciężarówek i...

jeden z białych samochodów.

Coś jeszcze było z nim nie w porządku.

Miał jakby inny kształt niż przedtem.

Musiał to być jednak wóz ze znakami ONZ, bo pozostałe cztery pojazdy znajdowały się na swoich miejscach.

Może leżał na boku.

Kearwin nie był tego pewien.

Pomyślał, że przebyli taki szmat drogi, żeby teraz przegrać.

Ogromnie im współczuł.

Wiedział, że wcześniej czy później zostaliby schwytani - było to nieuniknione.

Kiedy tylko przekroczą granicę Arabii Saudyjskiej, nie zdołają już uciec.

Ale uszliby przynajmniej z życiem, a tak...

Zastanawiał się, czy wszyscy zginęli.

Byłoby to może lepsze niż trafienie do niewoli.

Bóg raczył wiedzieć, jaki straszny czekałby ich los, gdyby wpadli w ręce irackiej tajnej policji: tortury, publiczne upokorzenie przed kamerami telewizji, piekło irackiego więzienia, może nawet okrutna egzekucja...

Wolał o tym nie myśleć.

Nie, już lepiej, żeby zginęli!

A może jednak przeżyli.

Może pokonali Irakijczyków!

Wkrótce miał się tego dowiedzieć.

Musiał obserwować, który z pojazdów ruszy w dalszą drogę: Land Cruiser czy ciężarówka.

Z całego konwoju tylko te dwa wyglądały na nie uszkodzone.

Jeśli odjedzie ciężarówka, albo pojawi się inny pojazd, będzie to oznaczało, że zwyciężyli Irakijczycy.

W przeciwnym wypadku...

- John!

- krzyknął Jeny Freedman.

- Jeden z pojazdów rusza z miejsca!

- Land Cruiser czy ciężarówka?
- zapytał zdenerwowany Kearwin.
- Ciężarówka.

Kearwin jęknął, opadając na fotel.

Potwierdziły się jego najgorsze obawy.

- Jedzie na południe - dodał Freedman.
- Co?

Powiedziałeś na południe?

Jesteś tego pewien?

- Całkowicie.
- Śledź tę ciężarówkę!
- zapiszczał Kearwin.

A więc jednak wyszli z tego cało!

Irakijczycy nie jechaliby przecież na południe, w kierunku granicy.

Dzięki Bogu.

Jakimś cudem tym facetom znowu się udało.

- Tej pieprzonej ciężarówce nie da się prowadzić!
- oświadczył Ackford, przekrzykując łoskot silnika.
- Nic dziwnego, skoro ma rozwaloną przednią oponę - odparł

Howard, uśmiechając się pod nosem, aby ukryć swój niepokój.

Land Cruiser nie chciał zapalić.

Otworzywszy maskę Ackford zobaczył, z jakiego powodu.

W samochód trafiło kilka irackich kul.

Ucierpiał rozdzielacz i akumulator.

Cała komora silnika spryskana była kwasem i płynem hamulcowym.

Kiedy wyciągnęli z uszkodzonego wozu cały sprzęt, Ziegler wylał na

siedzenia paliwo z ostatniego kanistra i wrzucił do środka zapaloną szmatę.

Odjechawszy już ponad kilometr widzieli, że Land Cruiser nadal płonie.

W pewnej chwili Howard zobaczył w bocznym lusterku błysk eksplodującego pojazdu.

Dzięki Bogu, że mimo przestrzelonej opony ciężarówka była na chodzie.

Howard chciał jak najszybciej opuścić miejsce potyczki.

Nieważne, że światła ciężarówki nie działały; i tak by ich nie używali.

Ackford, wyrzuciwszy roztrzaskany hełm i gogle, korzystał teraz z noktowizora Bourne'a i bardzo dobrze wszystko widział.

- Po prostu jedź przed siebie, Tony - powiedział Howard.

- Chcę, żebyśmy znaleźli się jak najdalej od tych wraków.

- Robię, co mogę, szefie.

Pieprzona maszyna.

Howard usłyszał stukanie do kabiny i odwróciwszy się zobaczył Zieglera, który wysunął głowę zza brezentowej plandeki.

- Andy jest w drodze, Ed - oznajmił.

- Już wystartował.

Masz dla niego współrzędne?

- Jeszcze nie, Mike.

Dotrze tu dopiero za pół godziny.

Przejedziemy następnych parę kilometrów i rozejrzemy się za odpowiednim miejscem do lądowania.

- Dobrze.

- Jak tam Johnny i Danny?

- Danny'emu nic nie będzie.

Kula przeszła przez mięsień.

Nie krwawi zbyt mocno.

Nie jestem jednak pewien, co z Johnnym.

Założyłem mu opaskę uciskową, ale stracił sporo krwi.

Powinniśmy gdzieś się zatrzymać i dokładnie obejrzyć tę ranę.

Nadal nie ma czucia w nodze.

- Czy kości na pewno są całe?

- Tak, na ile mogłem to stwierdzić, badając go po ciemku w tym rozklekotanym gruchocie.

- Musicie cierpliwie poczekać.

Na razie nie możemy jeszcze stanąć.

- W porządku - odparł Ziegler.

Jego głowa zniknęła znowu za brezentową plandeką.

Howard nagle coś sobie przypomniał.

Wychyliwszy się ponownie przez okno kabiny zawołał: - Mike?

Głowa Zieglera pokazała się jeszcze raz.

- Tak?

- Mamy w ciężarówce jakichś martwych Irakijczyków?

- Tak.

Dwaj nie zdążyli wysiąść.

Miałem właśnie zamiar się ich pozbyć.

- Nie rób tego.

Będą nam potrzebni.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Mam przeczucie, że w Arabii Saudyjskiej jesteśmy spaleni - stwierdził Howard.

- Będziemy pewnie musieli porzucić samolot i pomyśleć o innej drodze ucieczki.

- Psiakrew - zaklął Ziegler.

- Dlaczego tak uważasz?

- Przypomnij sobie nalot na ten magazyn - powiedział Howard.

- Jestem pewien, że nie była to robota Irakijczyków.

Dowodzący bazą lotniczą na południu Ar-Rutba pułkownik irackich sił powietrznych ze zdziwieniem podniósł wzrok, słysząc głośnie pukanie do drzwi.

- Wejść!

- zawołał.

Drzwi otworzyły się na oścież i do biura wszedł zdenerwowany kapitan - Panie pułkowniku, doszło do buntu!

- oznajmił.

- Co takiego?

Czekam na wyjaśnienia!

Kapitan natychmiast złożył meldunek.

Wracając do Ar-Rutba zobaczył mniej więcej trzy kilometry od drogi prowadzącej do bazy jakiś pożar.

Potem nastąpiła eksplozja.

Gdy pojechał sprawdzić, co się dzieje, znalazł porzucone pojazdy i zwłoki żołnierzy.

Wszyscy byli martwi.

- Co oni tam robili?
- zapytał pułkownik, wyraźnie skonfundowany i zły.
- W tym tygodniu nie miał przejeżdżać tą drogą żaden konwój.
- Nie mam pojęcia, sir - odparł kapitan.
- Gwardia Republikańska nigdy nie informuje nas z góry o swoich posunięciach.

Pułkownik dobrze o tym wiedział.

Był to drażliwy temat.

Jak mógł dopilnować, co dzieje się w jego sektorze, skoro nie informowano go o takich sprawach?

Ale...

Chwileczkę!

- Kapitanie, powiedział pan, że to żołnierze Gwardii Republikańskiej?

- Tak jest.

Dwudziestu albo trzydziestu.

Wszyscy nie żyją.

Na Boga!

pomyślał pułkownik, zrywając się na równe nogi.

Wybiegł za drzwi, a kapitan podążył za nim.

To była poważna sprawa.

Gdyby nie podjął odpowiednich kroków...

- Kapitanie, natychmiast zarządzić alarm!

- rozkazał.

- Tak jest!

Pułkownik wsiadł do samochodu i popędził po płycie lotniska do

wieży kontrolnej.

W całej bazie włączano reflektory i syreny alarmowe.

Dżip podjechał na pełnym gazie pod wieżę.

Otwarto pośpiesznie drzwi.

Pułkownik ruszył biegiem po schodach.

Wiedział już, co zrobi.

- Skontaktujcie się z bazą H3!

- rozkazał.

- Dowodzi nią pułkownik Suba Ali.

Chcę z nim rozmawiać.

To pilne!

- Tak jest!

- odparł oficer operacyjny.

Zasalutował i szybko się oddalił.

Pułkownik uznał, że zrobi najlepiej, zawiadamiając bazę H3.

W Ar-Rutba mieli tylko samoloty transportowe.

Baza H3, znajdująca się zaledwie sześćdziesiąt kilometrów na zachód, dysponowała dywizjonem szturmowych śmigłowców Mi-24 Hind-A. W zaistniałej sytuacji należało z nich skorzystać.

- John, AWACS wykrył Islandera - zawołał do Kearwina Peter Stannard.

- Wystartował i przekroczył granicę.

Leci na północ, w głąb Iraku!

- Określ jego pozycję.

Chcę wiedzieć, kiedy dotrze do celu.

Kearwin spodziewał się, co prawda, że Islander wystartuje, ale

pewna uporczywa myśl ciągle nie dawała mu spokoju.

Przekazał Stannardowi współrzędne stojącej teraz w miejscu ciężarówki.

Niewątpliwie znaleźli odpowiednie lądowisko.

Zastanawiał się jednak, skąd pilot wie, kiedy i dokąd ma przylecieć?

Nie mogli z góry tego ustalić.

Ludzie jadący ciężarówką znaleźli się w awaryjnej sytuacji.

Kearwin był pewien, że w przeciwnym razie Islander nie naruszałby przestrzeni powietrznej Iraku.

Kiedy Stannard odbierał raport z samolotu E-3 AWACS, Kearwin poszedł porozmawiać z Sorensenem.

- Walterze, czy w EUNT są całkowicie pewni, że nie było żadnych przekazów radiowych z tego sektora?

- Twierdzą, że przez cały czas prowadzili nasłuch.

Niczego nie wykryli.

- Zupełnie?

- Rozmawiano tylko po arabsku.

W tym rejonie jest kilka baz lotniczych.

Mają je wszystkie na podsłuchu.

- Czy możemy jeszcze raz to sprawdzić?

Może były jakieś sygnały radiowe spoza baz?

Znamy dokładną trasę przejazdu tej ciężarówki i wiemy, gdzie teraz jest.

Zatrzymała się i czeka na samolot.

Mors podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z kierownikiem sekcji elektronicznego wywiadu.

Wysłuchawszy obszernych wyjaśnień szefa EUNT podziękował mu i zakończył rozmowę.

- Nie było żadnych sygnałów, John - oznajmił.

- Za to kilka minut temu ktoś nadawał po arabsku przez radio z miejsca położonego na południowy zachód od bazy lotniczej w Ar-Rutba.

Potem nastąpiła gorączkowa wymiana zdań między tamtejszą wieżą kontrolną i bazą H3.

- Co mówili?

- Baza Ar-Rutba poprosiła o wsparcie lotnicze.

Być może ma to związek z naszą sprawą.

Potyczka Irakijczyków z facetami, których śledzimy, odbywała się na tyle blisko, że mogli ją zauważyć.

- Nie o to mi chodzi.

Miałem na myśli przekaz radiowy z ciężarówki.

Niech nam dostarczą taśmę i przetłumaczony zapis tej rozmowy!

Mors skinął głową i ponownie podniósł słuchawkę.

- Rozumiem.

Myślisz, że mówią po arabsku...

O, Eddie - powiedział do telefonu - to jeszcze raz ja.

Posłuchaj.

Podejrzewamy, że ci faceci kontaktują się ze sobą po arabsku.

Czy możemy dostać tłumaczenie przekazu radiowego z tego miejsca na pustyni na południe od Ar-Rutba?

Tak.

Razem z kopią taśmy.

I niech wasz ekspert zrobi analizę językową nagrania, dobrze?

Dzięki, Eddie.

- Sorensen odłożył słuchawkę i oznajmił: - Obiecał, że postara się jak najszybciej nam to wszystko dostarczyć.

Andy Denard leciał najniżej jak mógł.

Trzymając się kursu 350 stopni przemknął nad granicą iracką i zmierzał wprost w kierunku miejsca, z którego Bourne nadał ostatni meldunek.

Dziesięć minut później siedzący na fotelu drugiego pilota Harris sprawdził ponownie współrzędne i Denard zmienił nieco kurs na 342 stopnie, uwzględniając aktualną pozycję ciężarówki.

Ich koledzy musieli już się orientować, że coś jest nie w porządku.

Rozmowa Harrisa i Bourne'a przez radio trwała bardzo krótko.

Bourne nie wspomniał, czy akcja się udała, a Harris o nie nie pytał.

Z pewnością zdawali sobie sprawę, że ich zdemaskowano.

Denard zastanawiał się, skąd o tym wiedzą.

- W jakim są nastroju, Mel?

- zapytał lakonicznie, obserwując uważnie trasę przelotu.

- Trudno to stwierdzić, kiedy Johnny mówi po arabsku, a ja próbuję sobie przypomnieć, co mam mu odpowiedzieć.

Nie wiem, Andy.

Na pewno są zdenerwowani.

Tak samo zresztą jak ja, gdy widzę, jak pilotujesz ten samolot.

- Nie martw się.

Niedługo będziemy na miejscu.

Za dziesięć minut.

- Postarzę się w tym czasie o dziesięć lat - Więc zamknij oczy i

pomyśl o jakimś kociaku.

- Teraz bym nie potrafił - stwierdził Harris.

- Ale żebyś ty nie ważył się tego robić!

Denard wybuchnął śmiechem, ale spojrzawszy mu w oczy Harris zauważył, że tym razem pozbawione są wesołości.

Psiakrew, pomyślał posepnie.

Skoro Andy ma stracha, musi być cholernie kiepsko.

Śmigłowiec Mi-24 Hind-A dotarł już prawie do miejsca potyczki.

Iracki pilot nie mógł się w tym wszystkim połapać.

Co to za afera z żołnierzami Gwardii Republikańskiej?

Co tu robili i dlaczego się pozabijali?

Wcale nie był tym zachwycony.

Doszło chyba do jakiejś poważnej rebelii.

To zawsze oznaczało kłopoty, a on lubił mieć spokój.

Baza H3 była przyjemnym, cichym miejscem.

Przynajmniej dotychczas.

W leżących na południu miastach An-Nasirija i Basra żyło się dużo gorzej.

Służył do niedawna w bazie lotniczej Tallil, w pobliżu An-Nasirija.

Razem z innymi musiał wykonywać zadania, których cholernie nie lubił.

Nie bawiło go codzienne latanie nad przeklętymi bagnami i strzelanie do cywilnej ludności.

Nienawidził tego i poczuł ogromną ulgę, gdy przed dwoma miesiącami został przeniesiony do bazy H3.

Nie odczuwał bynajmniej żadnej sympatii dla mieszkańców bagien -

nie miał czasu interesować się ich losem.

Po prostu to, co kazano mu robić, było nie fair, zwłaszcza wobec tak dzielnych ludzi.

Tak, mieszkańcom bagien naprawdę nie brakowało odwagi, graniczącej czasem z głupotą.

Czyż nie wiedzieli, że opór nie ma sensu?

Przecież nic nie mogli działać.

A jednak podejmowali walkę.

Wielu z nich strzelało do niego, gdy przystępował do kolejnego ataku.

Z pewnością zdawali sobie sprawę, że nie strącą maszyny typu Hind za pomocą karabinu czy kaemu.

Był to najsilniej opancerzony śmigłowiec na świecie, niemożliwy do zestrzelenia przy użyciu ręcznej broni.

Pilot czuł się całkowicie bezpieczny, gdy kule odskakiwały od pancerza.

Było to nawet dość zabawne.

Pamiętał przerażenie na twarzy młodszego kolegi, który siedział przed nim, biorąc udział w swoim pierwszym bojowym locie.

Postanowił z niego zakpić.

Celowo zawisnął w powietrzu tuż nad stanowiskiem partyzantów, aby śmigłowiec stanowił dla nich łatwy cel.

Od pancerza odbijał się grad kul!

Początkujący lotnik wrzeszczał ze strachu, dopóki nie przypomniał sobie w końcu, czego uczono go na kursie i nie pojął, że nic mu nie grozi.

Irakijczyk uśmiechnął się w duchu na to wspomnienie.

- Dolatujemy do celu - oznajmił strzelec-nawigator, przerywając jego rozmyślenia.

- Jeszcze jeden kilometr.

Pilot zobaczył w tym momencie cztery płonące pojazdy.

Dwa z nich spaliły się już niemal doszczętnie.

Okrażyli miejsce potyczki.

Wszędzie leżały zmasakrowane ciała.

Gdzie podzieli się napastnicy?

Dokąd uciekli?

- Czy radar coś pokazuje?

- zapytał przez interkom.

Obserwator spojrział uważnie w ekran i odparł: - Tylko nadlatujący z południa samolot.

Jest trzydzieści trzy kilometry stąd.

Ale w promieniach podczerwonych widać na drodze dziwne ślady jakiegoś pojazdu.

Musiał niedawno stąd odjechać.

Zdaje się, że ma uszkodzone koło.

- Samolot z południa?

Jesteś pewien?

Co to za maszyna?

- Nie potrafię na razie powiedzieć.

Leci bardzo nisko.

Sygnal zanika.

- Sprawdzimy to - stwierdził pilot.

- Na południu nie ma baz lotniczych, a w tym sektorze nie

planowano żadnych lotów.

W pojeździe mogą być buntownicy odpowiedzialni za tę jatkę.

Śmigłowiec zmienił kurs i nabierając szybkości skierował się wzdłuż drogi na południe.

MacDonalda zaczynała cholernie boleć ręka.

Bourne leżał obok niego na ziemi z uniesioną nogą, a Ziegler kończył opatrywać mu ranę.

MacDonald widział, że twarz Johnny'ego jest napięta z bólu.

Bourne był z pewnością poważniej ranny niż on.

Czeka nas pobyt w saudyjskim szpitalu, a potem długi wyrok, pomyślał beznamiętnie Danny.

Tylko tego mogli się teraz spodziewać.

A tak niewiele brakowało...

- Chyba słyszę samolot, szefie!

- zawołał Ackford.

- W porządku - odparł Howard.

- Zapalajcie światła!

- Jeszcze cztery kilometry, Mel.

Rozglądaj się za światłami.

- Na razie nic nie widzę.

- Polecę trochę wyżej.

- I dzięki Bogu - stwierdził Harris.

Denard pociągnął dźwignę i wznosił maszynę na wysokość sześćdziesięciu metrów.

Dwie minuty później zobaczyli w dole ułożone rzędem latarki.

Denard wykonał skręt i zaczął podchodzić do lądowania.

Gdy koła uderzyły o ziemię, Harris poczuł silny wstrząs.

Wylądowali.

Harris rozpiął pasy, przygotowując się do wyjścia.

Islander stanął w miejscu z włączonymi silnikami.

- Samolot właśnie wylądował - oznajmił obserwator w kabinie śmigłowca.

- To lekka, dwusilnikowa maszyna.

Pojazd stoi w pobliżu.

- Jaka odległość?

- Dwa kilometry.

- Odpal AT-3 i zniszcz ten pojazd - rozkazał pilot, zwracając się do strzelca-nawigatora.

- Potem przygotuj karabin maszynowy.

Trochę się zabawimy.

Strzelec-nawigator uzbroił jeden z czterech przeciwczołgowych pocisków AT-3 Sagger podwieszonych z prawej strony maszyny i nakierował go na cel.

Zaciekawszy, aż śmigłowiec znajdzie się kilometr od namierzonego obiektu, wcisnął guzik.

Pocisk poszybował w mrok.

MacDonald nie słyszał nadlatującego pocisku.

Znajdująca się czterdzieści metrów za nim ciężarówka stanęła nagle w płomieniach.

Siła eksplozji powaliła go na ziemię.

Kiedy usiadł, nieco oszołomiony, coś przeleciało mu z hukiem nad głową.

Założył natychmiast na oczy gogle noktowizyjne.

- Śmigłowiec!

- wrzasnął Bourne, chwytając AK i próbując się podźwignąć, aby oddać strzał.

- To Hind Danny!

Załaduj do swojego karabinu naboje przeciwpancerne!

Tylko w ten sposób można go zestrzelić!

- Nic z tego!

- krzyknął w odpowiedzi MacDonald.

- Karabin spłonął w Land Cruiserze!

Harris wyskoczył właśnie z samolotu, gdy zobaczył, jak stojąca o sto metrów dalej ciężarówka rozpada się na kawałki.

Po upływie jednej trzeciej sekundy dotarł do niego huk eksplozji, ale warkot silników Islandera zagłuszył odgłos przelatującego w górze śmigłowca.

Zobaczył w łunie płonącego pojazdu, że Ackford i Ziegler strzelają do czegoś w powietrzu.

Nie czekał ani chwili dłużej.

Podbiegł do nich i zawołał: - Co to jest?

- Chyba pieprzony Hindl - krzyknął w odpowiedzi Ackford.

Harris zobaczył nagle śmigłowiec przez gogle noktowizyjne.

Zatoczył krąg i znowu nadlatywał.

Zmierzał w kierunku Islandera.

- Macie dla mnie jakąś broń?!

- wrzasnął Harris.

- Leć do Johnny'ego i Maca - ryknął Ackford.

- I przynieś zapasową amunicję!

Harris popędził do kolegów.

Denard nie tracił czasu.

Zwiększył gwałtownie obroty silników i samolot zaczął kołować.

Widział przez moment śmigłowiec i zdawał sobie sprawę, że znajdujący się na ziemi Islander jest łatwym celem.

Wiedział też jednak, że w powietrzu nie byłby wcale bezpieczniejszy.

Dwa silniki Lycoming 10-540-K1B5 o mocy trzystu koni wyły przeraźliwie, gdy samolot pędził po pasie startowym.

Denard manipulował dźwigniami przepustnic i sterem, wykonując gwałtowne skręty.

Tylko tyle mógł zrobić.

Musiał liczyć na to, że jego koledzy zestrzelą śmigłowiec.

Sam był bezsilny.

Pilot Hinda uśmiechnął się, widząc że jego przeciwnik podejmuje rozpaczliwą próbę ucieczki.

Zapowiadała się lepsza zabawa niż przypuszczał.

Pociski uderzały w kadłub śmigłowca, jak za dawnych czasów.

Nie zwracając na nie uwagi zawisnął w powietrzu, aby dokładnie

wycelować w samolot z umieszczonego z przodu karabinu maszynowego 12,7 mm.

Będzie to bardziej emocjonujące niż gdyby użyli niekierowanych rakiet kalibru 57 mm.

Mieli okazję poćwiczyć trafianie do celu.

Potem wykończy tych idiotów, którzy ostrzeliwali śmigłowiec z karabinów.

Czterolufowy karabin maszynowy 12,7 mm zaczął terkotać pod jego stopami.

Harris dotarł do Howarda, który ładował właśnie RPG-7.

- Daj mi granatnik!

- krzyknął.

- Znam się na tym!

Ty załaduj następny!

Howard skinął głową i rzucił mu granatnik.

Harris przyłożył go do ramienia, wycelował w śmigłowiec, wiszący w powietrzu w odległości niecałych dwustu metrów i odpalił pocisk.

Strzelec-nawigator Hinda dostrzegł rozbłysk w pobliżu szczątków ciężarówki i zaraz potem zauważył, że coś przeleciało w ciemnościach obok jego maszyny.

- Pocisk!

- wrzasnął z przerażeniem.

Pilot śmigłowca niczego nie zauważył.

Koncentrował uwagę na samolocie, który okazał się trudnym celem, wykonując szaleńcze skręty w różnych kierunkach.

- Jaki pocisk?

- zapytał zdziwiony.

- Właśnie nas minął!

Jestem tego pewien!

Pilot zmarszczył brwi.

To zmieniało postać rzeczy.

Musiał natychmiast działać.

Pchnął do przodu drążek i zwiększył obroty silnika, wiedząc, że śmigłowiec nie powinien tkwić nieruchomo nad ziemią.

W tym momencie w grubą pancerną szybę kabiny uderzył drugi pocisk RPG-7.

Umieszczony w jego głowicy ładunek kumulacyjny potrafił przebić pancerz grubości piętnastu centymetrów.

Pocisk eksplodował, wytapiając w twardym szkle niewielki otwór o średnicy jednego centymetra.

Do wnętrza kabiny dostał się strumień rozgrzanej do białości metalowej plazmy.

Oślepiający wybuch uśmiercił w jednej chwili załogę śmigłowca.

Hind przechylił się i zaczął nagle spadać.

Runął na ziemię jak martwy ptak i stanął w płomieniach.

Harris i Howard przez kilka sekund klęczeli jeszcze na ziemi, nie ruszając się z miejsca i patrząc w milczeniu na płonące szczątki śmigłowca.

Potem Harris mruknął: - Piekielnie szybko załadowałeś ten drugi pocisk, Ed.

- Ważniejsze, Mel, że ty cholernie dobrze trafiłeś - stwierdził Howard.

Patrzyli obaj, jak Islander przestaje kręcić piruety i zaczyna kołować w ich kierunku.

Howard podniósł się powoli z ziemi.

- Ruszajmy - powiedział.

- Chyba wystarczy już na dzisiaj kłopotów.

72 Kearwin śledził na bieżąco wydarzenia, rozgrywające się na południe od Ar-Rutba.

Tłumacz z sekcji EL1NT przekazał informację, że maszyną, o którą proszono przez radio, był śmigłowiec Mi-24 Hind-A.

Kearwin patrzył z przerażeniem, jak zbliża się on do miejsca, gdzie wylądował właśnie Islander.

Potem śmigłowiec nagle zniknął.

Kearwin nie potrafił stwierdzić, z jakiego powodu.

Żeby się tego dowiedzieć, musiał czekać dwadzieścia pięć minut na kolejny przelot satelity Keyhole.

Wszystko wskazywało na to, że spiskowcy zdołali zestrzelić iracką maszynę.

Mors zapoznał Kearwina pobieżnie z możliwościami śmigłowca Hind, dodając: "Myślę, John, że tym razem już po nich".

A jednak się mylił!

Samolot znowu wystartował!

Zostało im zaledwie pięćdziesiąt kilometrów do granicy.

Co zrobią, kiedy ją przekroczą?

Były dwie możliwości.

Albo polecą dalej, mając nadzieję dotrzeć przez Arabię Saudyjską aż do Jordanii, albo wylądują i przesiądą się do jakiegoś samochodu.

Kearwin rozważył po kolei obie ewentualności, odrzucając niemal od razu pierwszą z nich.

Samolot zniknął i jego pilot, Sullivan, z pewnością zdawał sobie sprawę, że będzie musiał gęsto się z tego tłumaczyć, nawet jeśli nie wiedział - jak należało przypuszczać - o zakrojonych na szeroką skalę poszukiwaniach.

Lot Islandera nie został nigdzie zgłoszony.

Nie, nie mogli liczyć na to, że przelecą sobie spokojnie nad Arabią Saudyjską.

Będą więc musieli lądować.

Pozostawało pytanie: gdzie?

Kearwin uznał, że samolot powinien wrócić na miejsce, z którego wystartował.

Tam będzie zapewne czekał trzeci pojazd.

Problem polegał na tym, że AWACS nie zlokalizował Islandera od razu po starcie, gdyż ten leciał za nisko.

Kearwin wiedział, gdzie pierwszy raz go zauważono i polecił, by radar JSTARS obserwował ten rejon.

Dotychczas nie otrzymał żadnych informacji.

Obserwacja trasy przelotu Islandera też nie dawała na razie efektów.

Nie miało to zresztą większego znaczenia.

Kiedy samolot wyląduje, naprowadzi go na ślad trzeciego Land Cruisera.

Pozostało jeszcze około dwudziestu minut lotu.

Kearwin przewinął taśmę, którą przysłano mu z sekcji elektronicznego wywiadu i zaczął słuchać ponownie prowadzonej po

arabsku rozmowy.

Jego przypuszczenia były słuszne.

Człowiek, który zdaniem ekspertów z ELINT znajdował się w rejonie postoju ciężarówki, miał zdenerwowany głos.

Kearwina wcale to nie dziwiło.

Biegły językoznawca stwierdził, że mężczyzna ten mówi po arabsku płynnie i bezbłędnie, ale nie ma saudyjskiego akcentu.

Nie potrafił sprecyzować swoich zastrzeżeń, uważał jednak, iż człowiek ten nie jest prawdopodobnie Arabem.

Jego lecący samolotem rozmówca z całą pewnością był cudzoziemcem.

Mówił w bardziej sztuczny sposób i ekspert rozpoznał natychmiast angielski akcent.

Zdradziło go słabe opanowanie gardłowych arabskich spółgłosek.

Zdaniem eksperta niewielu Anglików czy Amerykanów potrafiło prawidłowo je wymawiać.

Człowiek ten musiał nauczyć się arabskiego podczas służby wojskowej w Bahrajnie albo w Omanie.

Kearwin westchnął.

Informacje te nie miały właściwie znaczenia.

Tak naprawdę interesowały go jedynie głosy tych ludzi.

Chciał usłyszeć, jak mówią.

Śledząc od tak dawna ich posunięcia był tego ogromnie ciekawy.

Po raz czwarty przewinał taśmę, by jeszcze raz ją odtworzyć: Kim jesteście?

zastanawiał się, słysząc zniekształcony zakłóceniami głos pierwszego z mężczyzn.

Nigdy się nie spotkamy, ale wiele bym dał, żeby to wiedzieć...

73 - Jeszcze osiem minut, Ed - oznajmił Denard.

- Zaczynamy się wznosić.

Howard spojrział na niego.

Twarz pilota była bardzo blada i napięta.

Czoło miał zroszone potem i mówił przez zaciśnięte zęby.

Najwyraźniej nie panował nad maszyną tak dobrze, jak przedtem.

Leciał też na większej wysokości niż podczas ich rekonesansowego lotu.

Marszcząc w zamyśleniu brwi Howard odwrócił się, aby wydać polecenia siedzącym z tyłu kolegom.

Silniki pracowały teraz na zwiększonych obrotach i Islander zaczął nabierać wysokości.

- No dobra, Andy - powiedział Howard, zwracając się ponownie do Denarda.

- Nastaw automatycznego pilota i zakładaj spadochron.

- To bez sensu, Ed.

- Co?

O czym ty mówisz?

- Oberwałem - powiedział Denard, krztusząc się.

Howard był wstrząśnięty, widząc jego wykrzywioną z bólu twarz.

- O Boże, Andy!

Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Gdzie cię trafili?

Czy to coś poważnego?

- Gdzieś w brzuch.

Straciłem dużo krwi.

Nie mam czucia w nogach.

Nie zauważyłeś, że od startu nie panuję nad sterami?

- Denard próbował się uśmiechnąć, ale jego twarz wykrzywił znów grymas bólu.

- Już po mnie, Ed.

- Opatrzę cię, Andy!

Nie poddawaj się!

Coś na to poradzimy!

- Nie!

- krzyknął nagle Denard.

Znowu się zakrztusił, a po podbródku spłynęła mu strużka krwi.

Niemal szepcząc, powiedział z ogromnym wysiłkiem: -

Automatyczny pilot jest spieprzony.

Próbowałem niedawno go włączyć.

Ten cholerny śmigłowiec załatwił i mnie, i jego.

Wyskakujcie.

Dam wam sygnał.

- Andy, błagam!

Możemy przecież wylądować!

Znajdziemy jakiś szpital.

Nie mogę cię tak zostawić!

- Nie, Ed - wyszeptał Denard.

Howard pochylił się, aby go usłyszeć.

- Nigdy nie lubiłem siedzieć w więzieniu.

Jak pomyślę - o tym cholernym arabskim żarciu...

No i nie ma tam kobiet.

Zresztą i tak bym nie przeżył.

Wyskakujcie.

Masz tutaj moje dokumenty.

I pozdrów ode mnie Chrisa.

Zrozpaczony Howard przeszedł chwiejnym krokiem na tył samolotu i zaczął przygotowywać się do skoku.

Najpierw Bob, a teraz Andy.

Czy warto było płacić taką cenę?

Znowu zaczęły go nurtować dawne wątpliwości.

Mechanicznie zaczął zakładać spadochron.

Miał nadzieję, że nie będą musieli skakać, ale skoro zostali zdemaskowani, nie było innego wyjścia.

Podejrzenia Howarda potwierdził Harris, opowiadając o tym, jak razem z Palmerem o mało nie wpadli w Dżuddzie.

Przy zwłokach Ushera nie pozostały żadne dokumenty.

Teraz Howard włożył jeszcze do kieszeni papiery Denarda.

Podniósłszy wzrok zobaczył, że jego koledzy są gotowi.

Widział, że żaden z nich nie zdaje sobie sprawy, co przytrafiło się Denardowi.

Ziegler otworzył duże drzwi ładowni i do wnętrza samolotu wpadło rzeźkie nocne powietrze.

Zaczęli wyrzucać broń i inne kompromitujące ich przedmioty.

Spadały na dół, roztrzaskując się gdzieś na pustyni.

Howard czekał na sygnał od Denarda.

Kiedy nadeszła pora, uderzył MacDonalda w ramię.

Szkot zacisnął powieki i wyskoczył.

Odliczywszy powoli do trzech pociągnął za linkę spadochronu.

Howard i Ziegler pomagali rannemu Bourne'owi wydostać się z samolotu.

Ziegler, Harris i Ackford wyskoczyli tuż za nim.

Howard odwrócił się jeszcze do Denarda.

Spojrzeli na siebie po raz ostatni, a potem Ed zniknął w mroku.

Gdy opadał w dół na spadochronie, słyszał nikiący stopniowo w ciemnościach warkot silników odlatującego Islandera.

74 Kearwin był zdezorientowany.

Z trudem oderwawszy wzrok od zdjęcia satelitarnego, które przedstawiało płonącą ciężarówkę i śmigłowiec, skupił uwagę na śledzonej przez AWACS trasie przelotu Islandera.

Samolot nie leciał tym samym kursem, co poprzednio.

Nie kierował się do miejsca, z którego wystartował.

Dokąd miał zamiar dotrzeć?

Kearwin wzruszył ramionami.

Było to bez znaczenia.

Tam, gdzie ci ludzie wylądują, będzie czekał na nich samochód.

JSTARS może go śledzić, dopóki nie zapadnie decyzja, że należy ten pojazd zatrzymać.

Saudyjskie lotnictwo, odpowiedzialne za kontrolowanie przestrzeni powietrznej w Królestwie, ma już zapewne Islandera na swoich radarach.

Kearwin zastanawiał się, dlaczego pilot samolotu najwyraźniej nie próbuje tym razem umknąć zdemaskowania.

Z raportów wynikało, że jest teraz na wysokości trzech tysięcy metrów.

Poprzednio leciał tuż nad ziemią i nawet AWACS miał problemy ze śledzeniem go.

Na ekranie pojawił się uaktualniony obraz.

Islander minął właśnie drogę, biegnącą wzdłuż rurociągu transarabskiego.

Kearwin spodziewał się, że do tego czasu gdzieś wyląduje, a

tymczasem samolot leciał dalej, prosto w kierunku pustyni Nafud, jednej z największych na świecie.

Dokąd zmierzał?

Saudyjskie lotnictwo mogło go już wykryć.

Wyślą przeciwko niemu myśliwce albo śmigłowce...

Faceci po raz pierwszy popełnili głupi błąd.

Instynkt jednak podpowiadał Kearwinowi, że się myli.

Ci ludzie po prostu nie popełniali błędów.

Samolot miał tylko zmylić pościg.

Oni wcale nim nie lecą.

Ale przecież z miejsca, gdzie pozostał zniszczony śmigłowiec i ciężarówka, nie wyruszyło nic innego.

Musieli odlecieć z Iraku tym samolotem!

A jednak nie wylądował nigdzie, aby ich wysadzić.

To oznaczało...

- Jeny!

- krzyknął Kearwin.

- Niech JSTARS prześledzi całą trasę lotu Islandera od granicy irackiej!

Dajcie mi znać, gdybyście zauważyli jakiś pojazd, poruszający się po bezdrożach!

Zacznijcie w pobliżu rurociągu transarabskiego!

Oni wyskoczyli na spadochronach!

Po upływie dwóch minut nadeszła oczekiwana wiadomość.

Omiał nie było za późno.

Kearwin przekonał się natychmiast, jak sprytni są ci ludzie.

Radar JSTARSw ostatniej chwili zlokalizował pojazd wyruszający z Al Mira - opuszczonego lądowiska, które leżało zaledwie pięć kilometrów od rurociągu transarabskiego.

Jeszcze kilka minut i samochód znalazłby się na zatłoczonej, ruchliwej drodze.

Ponieważ był już teraz na terytorium Arabii Saudyjskiej, a nie w głębi Iraku, zidentyfikowanie go nie nastęczało żadnych trudności.

Kearwin sam mógł się o tym przekonać, Obraz zarejestrowany przez JSTARSw przedstawiał niewątpliwie Land Cruisera.

Odnaleźli wreszcie trzeci z pojazdów.

W Land Cruiserze jechało teraz siedmiu mężczyzn.

Byli przygaszeni i milczący.

Wstrząsnęła nimi wiadomość o losie Denarda.

Harris i Ackford siedzieli ściśnięci na fotelu obok kierowcy, a wyraźnie przygnębiony Palmer prowadził wóz, starając się jechać z równomierną prędkością po asfaltowej nawierzchni.

Wiedział, że dla dobra podróżujących z tyłu kolegów powinien unikać wstrząsów i nagłych skrętów.

Howard uznał, że na razie nie mogą się zatrzymywać.

MacDonald siedział w bagażniku z Zieglerem, który opatrywał mu ramię.

Było im tam ciasno, lecz Danny nie narzekał na brak wygód.

Zastrzyk, który zrobił mu Amerykanin, złagodził ból, ale czuł teraz dziwne otępienie i zobojętnienie.

Zastanawiał się, co to był za środek.

- W porządku, Mac, teraz trochę zaboli - powiedział Ziegler,

zdejmując z rany prowizoryczny opatrunek.

- Muszę to oczyścić.

Ale nie masz się czym martwić, naprawdę.

MacDonald spojrział beznamiętnie na ranę.

Pocisk przebił na wylot mięsień po wewnętrznej stronie ramienia, pozostawiając dużą dziurę, która była teraz zabrudzona krwią i włóknami tkaniny.

Szkot czuł, że ręka jest zimna i odrętwiała.

Ziegler wylał do trzymanej między kolanami miseczki płyn antyseptyczny i zaczął oczyszczać ranę kawałkiem czystej gazy, ściągając stopniowo brud i zakrzepłą krew.

MacDonald był dziwnie odprężony.

Nie rozumiał, dlaczego w ogóle nie odczuwa bólu.

Widział, jak Ziegler dotyka rany, ale przyjmował to obojętnie.

- Co było w tej strzykawce, Mike?

- zapytał sennym głosem.

- Morfina - odparł z szerokim uśmiechem Ziegler.

- Dziesięć miligramów siarczanu morfiny.

Trochę sobie pobujasz w obłokach.

Naciesz się tym, bo więcej nie dostaniesz.

Kiedy zastrzyk przestanie działać, będą ci musiały wystarczyć tabletki.

Nie chcę, żebyś wpadł w nałóg.

- Ziegler przyjrzał się oczyszczonej ranie i pokiwał głową z zadowoleniem.

- Dobrze, wystarczy.

Teraz obandażuję ci rękę.

Nie ruszaj się.

Kiedy Ziegler zakładał nowy opatrunek, MacDonald był myślami gdzieś daleko.

Uświadamiał sobie niejasno, że odczuwa coś w rodzaju bólu.

Tak, to musiał być ból, ale jakby nie miał znaczenia.

Ujrawszy oczami wyobraźni Glen Carvaig, Danny zaczął unosić się nad górami.

Bourne leżał na tylnym siedzeniu, trzymając zranioną nogę na kolanach Howarda.

Kiedy odnaleźli go po skoku na spadochronie, był prawie nieprzytomny.

Howard założył mu natychmiast nad kolanem opaskę zaciskającą i podłączył go do kroplówki.

Zawiesili na haku w samochodzie plastikową, półlitrową butelkę preparatu Hetastarch, doprowadzając rurkę do cewnika w żyłę na przedramieniu Bourne'a.

Miał normalne ciśnienie, ale był bardzo blady.

Gdy przenieśli go do Land Cruisera, stracił przytomność.

Howard korzystał teraz z okazji, by opatrzyć mu nogę.

Szybko oczyścił i obandażował ranę.

Wyglądała paskudnie.

Howard podejrzewał, że uszkodzona została tętnica w łydce.

Jeśli się nie mylił, Bourne musiałby w ciągu dwudziestu czterech godzin przejść operację, bo inaczej groziła mu amputacja.

Dobrze, że udało im się chociaż powstrzymać krwawienie.

Howard zastanawiał się, ile krwi stracił Bourne.

Pewnie z litr, może więcej; był w stanie szoku.

Howard miał strapioną minę.

Bourne musiał w jakiś sposób przejść przez odprawę na lotnisku, nie sprawiając wrażenia, że jest zbyt chory, aby wsiadać do samolotu.

Howard wiedział, że Bourne to twardy facet, ale perspektywy nie były zbyt obiecujące.

Kiedy Howard wyskoczył na spadochronie, Denard - bliski śmierci - wyrównał lot tak, że nie wymagał on już żadnych korekt.

Widząc coraz gorzej, skoncentrował uwagę na przyrządzie, który wskazywał prędkość wznoszenia się lub opadania samolotu i nastawił go w ten sposób, by Islander wytracał wysokość czterdzieści pięć metrów na minutę.

Tuż nad wspomnianym wskaźnikiem, również w zasięgu wzroku Denarda, znajdował się wysokościomierz.

Lecąc dwa tysiące sto metrów nad ziemią, samolot opadał z prędkością trzech kilometrów na godzinę.

Teoretycznie powinien się rozbić po upływie czterdziestu pięciu minut, ale tracąc paliwo był coraz lżejszy, co wpływało w pewnym stopniu na jego lot.

Denard próbował zebrać myśli, ale szybko tracił przytomność.

Czy powinien coś jeszcze zrobić?

Być może...

Zmarł siedemnaście minut po minięciu rurociągu transarabskiego.

Islander leciał dalej sam, wytracając stopniowo wysokość.

Dziesięć minut później natrafił na gwałtowny prąd powietrza i

zanurkował lekko nosem w dół.

Ruch ten był na tyle raptowny, że martwe ciało Denarda uległo przesunięciu.

Kiedy został ranny, rozpiął uciskające go boleśnie pasy bezpieczeństwa i teraz jego bezwładne ciało osunęło się na drążek sterowniczy.

Samolot nagle zanurkował, a wkrótce potem wpadł w korkociąg i w ciągu niecałej minuty runął na ziemię w odludnym pustynnym rejonie na północny zachód od Sakaka.

Wrak maszyny natychmiast stanął w płomieniach.

Jedynymi świadkami katastrofy byli operatorzy AWACS.

Przekazali natychmiast informację kontrolerom ruchu powietrznego w Arabii Saudyjskiej.

Wojsko i lotnictwo podjęło wspólną akcję, aby przeprowadzić śledztwo w tej sprawie.

Pierwsze śmigłowce przybyły na miejsce wypadku po upływie czterdziestu pięciu minut, gdy samolot już się dopalał.

Pracując przy świetle lamp łukowych, Saudyjczycy ugasili pożar i zaczęli przeszukiwać wrak maszyny.

Znaleźli zwłoki trzech ludzi: Denarda i dwóch irackich żołnierzy, którzy zginęli w ciężarówce.

Dopiero następnego dnia natrafiono na szczątki Ushera.

Wszystkie cztery ciała były całkowicie zwęglone i niemożliwe do zidentyfikowania.

Przeprowadzona przez saudyjską policję sekcja zwłok nie przyniosła jednoznacznych wyników, ale rany postrzałowej u czterech ofiar i kurs

maszyny wskazywały niezbicie, że mężczyźni ci zginęli podczas próby ucieczki z Iraku.

Policjanci uznali, że człowiekiem, który siedział przy sterach, był poszukiwany przez nich Ray Sullivan.

75 Gdy Land Cruiser pędził pogrążoną w ciemnościach szosą, MacDonald zapadał co chwila w niespokojny sen.

Nie wiedział, gdzie się znajdują, ani nawet od jak dawna są w drodze.

Monotonna jazda po gładkim asfalcie działała usypiająco i Danny był zadowolony, że może zdać się całkowicie na kolegów.

Przed północą morfina przestała działać i MacDonald poczuł rwący ból w ręce.

Początkowo był on do zniesienia, ale około drugiej stał się na tyle dotkliwy, że nie pozwalał mu już zasnąć.

Ramię bolało jak diabli.

- Gdzie jesteśmy, Mike?

- zapytał szeptem, starając się nie obudzić Bourne'a.

- Jak ręka, Mac?

- odparł Ziegler, ignorując jego pytanie.

- Boli - przyznał MacDonald.

- Nic dziwnego - stwierdził Ziegler, sięgając do apteczki po tabletki.

- To był pocisk kalibru 14,5 mm.

Zrobił dużą dziurę.

I tak długo wytrzymałeś bez dodatkowych proszków.

Możesz poruszać palcami?

- Jako tako, ale to boli.

- Wylizesz się - powiedział Ziegler.

- Masz, weź to - dodał, podając mu dwie nieduże tabletki, trochę większą kapsułkę i butelkę wody.

MacDonald przełknął lekarstwa, popijając je wodą.

- Co mi dałeś?

- zapytał.

- Ta kapsułka to ampicylina, antybiotyk.

Plus dwie tabletki pe-tydyny, pięćdziesiąt miligramów.

Są o jakieś dwa oczka słabsze niż morfina na liście środków przeciwbólowych, ale i tak wystarczająco silne.

Powinny złagodzić ból na kilka godzin.

Zanim dotrzemy do Dżuddy, dam ci coś jeszcze słabszego, DF 118 albo Co-proxamol.

Nie chcę, żebyś biegał naszprycowany po lotnisku.

- W porządku, doktoru - powiedział MacDonald, uśmiechając się cierpko.

- Kiedy te proszki zaczną działać?

- Za dziesięć albo piętnaście minut.

- Gdzie teraz jesteśmy?

- Nie mam pojęcia - odparł Ziegler.

- Jadę z tyłu jako bagaż, tak samo jak ty.

Mel pilnuje drogi.

Wiem tylko tyle, że cały czas widać tę cholerną pustynię.

- Nie było żadnych problemów?

- Nie.

Zupełny spokój.

No, prawie.

W Al Jawf jechał za nami jeden z tych wozów patrolowych z szerokim zielonym pasem, ale kiedy zobaczyli rejestrację samochodu, przestali się nim interesować.

Mel zmienił w Dzuddzie tablice.

Dobrze, że Johnny leży na fotelu, a ty i ja siedzimy tu z tyłu na podłodze.

Gdyby gliniarze zobaczyli w jednym wozie siedmiu ludzi, mogliby nabrać podejrzeń.

- Dojeżdżają do Al Quliba - poinformował Sorensena Kearwin.

- Ciekawe, którą drogę teraz wybiorą.

- Jakie mają możliwości?

- zapytał Mors.

- Mogą pojechać prosto, w kierunku Tabuku i DUBY na wybrzeżu Morza Czerwonego, albo skręcić w lewo, do Shuraif, Medyny i Dzuddy.

Nie próbuję nawet zgadywać, co robią.

Tych facetów nie da się rozszyfrować.

- Daj mi znać, którą jadą.

W Langley czekają na tę informację.

Chcą ich przyskrzynić.

- W porządku - powiedział Kearwin z nutą żalu w głosie.

-Jedno mnie zastanawia, Walterze.

Ci ludzie korzystają z trefnego samochodu.

Saudyjczycy mają jego numery rejestracyjne.

Dziwne, że dotychczas ich nie zatrzymano.

- Gliny pewnie jeszcze śpią - stwierdził Sorensen.

- Chyba tak - przyznał z rezygnacją Kearwin.

- Jonathan?

Mówi Alvin Kennings.

- Cześć, Alvin - powiedział do słuchawki Mitchell.

- Co nowego?

Dokąd dotarli?

- Rozmawiałem właśnie z Langley.

Wyruszyli z Al Cniliba do Tabuku.

Stamtąd mają tylko dwie możliwości.

Pojadą na wybrzeże, albo skręcą w lewo, w kierunku Medyny.

Tak czy inaczej, wpadną nam w ręce.

Chyba nie powinniśmy dłużej zwlekać.

W miarę możliwości należy ich dopaść, zanim zrobi to policja.

- Zmiana planów?

- zdziwił się Mitchell, marszcząc brwi.

-Dlaczego?

- Na rozkaz góry.

Mamy ich jak najszybciej zatrzymać i wylegitymować.

W zależności od tego, kim są, dostaniemy potem instrukcje, jak dalej z nimi postępować.

- Możesz mi powiedzieć, o co tu chodzi, Alvin?

- zapytał zaskoczony Mitchell.

- Dziwię się, że nie wiesz, Jonathanie.

W Langley są przekonani, że ci ludzie to agenci...

eee...

obcego państwa.

Chcą się dowiedzieć jakiego, chociaż właściwie nie ma co do tego wątpliwości.

Prawdę mówiąc, zważywszy na okoliczności jestem bardzo zdziwiony, że o niczym nie wiesz.

- Co?

Czy mam przez to rozumieć, że ponieważ ci ludzie pracują dla rządu zaprzyjaźnionego kraju, CIA chce ukrećić łeb całej sprawie?

- Coś w tym rodzaju - odparł Kennings.

- Prezydent nie jest przekonany o słuszności takiego rozwiązania, ale Langley i owszem.

Jeśli wicedyrektor Agencji ma rację, również Waszyngton może być bezpośrednio uwikłany w tę aferę z powodu swoich powiązań.

- Ale dlaczego?

- dopytywał się Mitchell.

Zagadkowy ton Kenningsa zaczynał go już irytować.

- Który kraj mają na myśli?

- Twój, Jonathanie - odparł powoli Kennings.

- Chodzi o brytyjski rząd.

- O Boże!

- jęknął Mitchell.

- Boże wszechmogący!

76 James Ansell, szef Sekcji Bliskowschodniej CIA, czekał w milczeniu, aż wicedyrektor Agencji skończy czytać tekst najnowszego serwisu informacyjnego.

Twarz pogrążonego w lekturze mężczyzny była wyraźnie napięta.

- Czy to dosłowny zapis?

- zapytał.

- Tak jest, sir.

- Doniesienia irańskiej agencji są bardzo szczegółowe - stwierdził wicedyrektor.

- Pasują też do posiadanych przez nas informacji na temat zamachowców i ich posunięć.

Jest tu mowa o tym, że Saddam został zastrzelony.

Nie zabity, tylko zastrzelony.

Podobno stało się to wczoraj o ósmej rano miejscowego czasu.

Zginął również irański dyplomata.

Po co Irańczycy mówiliby, że Saddama zastrzelono i podawali dokładny czas, gdyby nie było to prawdą?

Jego śmierć mógł przecież spowodować wybuch bomby, pchnięcie sztyletem, trucizna, czy cokolwiek innego.

- Wicedyrektor przerwał, próbując uporządkować sobie wszystko w myślach.

- Czy mamy coś na potwierdzenie tych informacji poza faktem, że zamachowcy byli wówczas dokładnie w tamtym rejonie?

Ansell skinął głową, mówiąc: - Rozeszły się pogłoski, że zniknął gdzieś mianowany niedawno ambasador irański w Iraku.

Miał odwiedzić wczoraj wieczorem szwedzką ambasadę w Bagdadzie, ale tam nie dotarł.

Irańczycy nie potrafili początkowo wyjaśnić, co się stało.

Potem ich ambasada zaczęła nadawać pilne depesze do Teheranu, które nadal próbujemy rozszyfrować.

Wszystko układa się w logiczną całość.

Myślę, że trzeba potraktować tę sprawę poważnie.

- Ale jest jeszcze drugi komunikat - stwierdził wicedyrektor, prychając pogardliwie.

- Zobacz.

Irackie władze wszystkiemu zaprzeczają.

Mówią, że to idiotyczne plotki.

Pokazali w telewizji, jak Saddam przewodniczy posiedzeniu Rady Rewolucyjnej, czyli irackiego rządu.

W całym kraju odbywają się uroczystości z okazji rocznicy jego urodzin.

Irakijczycy twierdzą, że informacje o zamachu to kompletna bzdura.

- Właśnie tego należało się po nich spodziewać - stwierdził Ansell.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat Iracka Agencja Informacyjna nie powiedziała chyba słowa prawdy.

Wszystko, co podają, to czysta propaganda.

Proszę spojrzeć na sprawę z ich strony. Gdyby Saddam rzeczywiście został zamordowany, na pewno; woleliby tego nie ujawniać, przynajmniej na razie, dopóki nie zostanie wybrany jego następca.

Inaczej mogłoby dojść do masowych zamieszek, może nawet powstania.

Irackie władze podałyby wiadomość o zamachu dopiero wtedy, gdy nowy prezydent umocniłby swą władzę i w pełni opanował sytuację.

- Hmm - mruknął wicedyrektor CIA.

- Muszę przyznać, że przychyliam się do twojego zdania.

Co ważniejsze, nasze przypuszczenia potwierdzają dokładnie raporty Narodowego Biura Zwiadu. - Mnie to także przekonało - przyznał Ansell.

- Chociaż, prawdę mówiąc, nie wydawały mi się nigdy szczególnie wiarygodne.

Wicedyrektor spojrział zamyślony przez okno.

- Dlaczego stało się to o ósmej rano?

- zapytał.

- Dziwna pora; na zamach, nie sądzisz?

Po jaką cholereę Saddam zorganizował defiladę przed śniadaniem?

- Ze względu na upał - stwierdził Ansell.

- Co?

- Tikrit leży w dolinie Tygrysu, na małej wysokości - wyjaśnił Ansell.

- Po dziesiątej rano robi się tam paskudnie gorąco i wilgotno, nawet o tej porze roku.

Wszelką fizyczną pracę należy wykonywać wcześniej rano albo tuż przed zmrokiem.

Saddam nie chciał pewnie, żeby telewizja pokazywała, jak jego żołnierze mdleją z powodu upału.

- Rozumiem - powiedział wicedyrektor CIA beznamiętnym tonem.

- Dzięki za wszystkie informacje, James.

Przekażę je zaraz szefowi.

Pewnie będzie chciał porozmawiać z prezydentem.

- Panie prezydencie, premier Major jest na linii.

- Dziękuję - odparł prezydent, podnosząc słuchawkę telefonu.

- John?

Mówi George.

Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

- Nic nie szkodzi, panie prezydencie - odparł sennym głosem John Major.

Położył się zaledwie pół godziny temu i zaraz musiał wstać do telefonu.

- W czym mogę pomóc?

- John, powinienesz wiedzieć, że irańska agencja informacyjna podała właśnie wiadomość o zamordowaniu Saddama Hussajna.

Podobno został zastrzelony wczoraj rano.

Moi ludzie uważają, że to prawda.

- O!

- Major natychmiast oprzytomniał.

- Czy są tego pewni?

- Nie na sto procent - odparł prezydent.

- Ale prowadzona przez nas obserwacja ludzi, którzy wdarli się na terytorium Iraku, potwierdzałyby te doniesienia.

Satelita śledził przez cały czas ich ruchy.

Wszystko idealnie pasuje.

Pozostaje teraz pytanie, jakie podejmiemy kroki?

Z dyplomatycznego punktu widzenia musimy być chyba przygotowani na rozpad Iraku.

Jeśli chodzi natomiast o konkretne działania, musimy postanowić, co zrobić z zamachowcami.

Chętnie wysłucham twojego zdania.

John Major zebrał myśli i powiedział: - Znajdziemy się niewątpliwie w niezręcznej sytuacji.

Jeżeli Saddam nie żyje, wiele będzie zależało od tego, kto przejmie po nim władzę.

Gdyby był to kolejny dyktator, rozpadu Iraku można by uniknąć.

- Niewykluczone - powiedział wolno prezydent.

- Ale nadzieje są raczej nikłe.

Nie przypuszczamy, żeby następcą Saddama okazał się dostatecznie silny.

Ciekawe, że Bagdad dementuje doniesienia Irańczyków.

Gdyby ktoś gotów był przejąć władzę, zapewne już by tego dokonał.

- Kto twoim zdaniem będzie teraz rządził?

- zapytał Major.

- Uważamy, że jest czterech głównych pretendentów, nie licząc oczywiście dwóch synów Saddama, Udai i Kussai, którzy są zwykłymi zbirami.

Pierwszy poważny kandydat to przyrodni brat Hussajna, Barzan, rezydujący w Szwajcarii stały przedstawiciel irackiej misji dyplomatycznej w ONZ.

W normalnych warunkach to on przejąłby zapewne władzę, ale fakt, że przebywa poza krajem, zmniejsza jego szansę.

Co o tym sądzisz?

- Zgadza się z twoją oceną - stwierdził brytyjski premier.

- Zamach stanu organizowany za granicą rzadko przynosi efekty.

- Jak to?

- odparł gniewnie prezydent.

- Przecież tym razem się udał, prawda?

- Ach, rozumiem - powiedział Major.

- Więc twoim zdaniem to sprawka Barzaniego?

- Oczywiście, że nie!

- wybuchnął zirytowany Bush.

- Chciałem tylko powiedzieć...

Cholera, ta dyskusja do niczego nie prowadzi!

Zajmijmy się listą kandydatów.

Następnym pretendentem jest Tarik Aziz, podczas wojny minister spraw zagranicznych, a obecnie wicepremier.

Nie sądzimy, aby miał dostateczną władzę lub był wystarczająco

bezwzględny, by pokonać rywali.

Trzeci kandydat to Taha Yasin Ramadan, zastępca prezydenta.

Jest sprytny - może sprytniejszy od pozostałych - ale właśnie dlatego jego pozycja wydaje nam się dość niepewna.

Masz coś do powiedzenia na temat tych ludzi?

- No cóż - rzekł powoli Major.

- Niewiele wiem o Yasinie, ale nie wykluczałbym tak od razu Tarika Aziza.

Ten człowiek ma głowę na karku.

Pamiętam, że kiedy byłem ministrem spraw zagranicznych...

- Tak, tak...

- przerwał mu Bush.

- Ja też przypominam sobie, jak byłem szefem wywiadu, ale to nie ma nic do rzeczy.

Kontynuujmy.

Czwartym kandydatem jest wiceprezydent Izzat Ibrahim - zwolennik twardych rządów, mający idealną wręcz pozycję.

Przypuszczamy, że to on właśnie sięgnie po władzę.

Jesteś tego samego zdania?

- Niezupełnie - odparł Major.

- Z pewnością należy do "twardogłowych", ale uważam, że brak mu charyzmy i nie porządziłby zbyt długo.

Poza tym ma podobno problemy ze zdrowiem.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, John - stwierdził prezydent.

- Właśnie do tego zmierzałem.

Naszym zdaniem Izzat nie utrzyma się długo przy władzy.

Czy sądzisz, że pod jego rządami Irak przetrwa jako jedno państwo?

- Nie można tego wykluczyć - odparł premier.

- Mimo że Izzat był tylko lokajem Saddama, dochowywał mu zawsze wierności, zechce więc zapewne sprawować władzę i utrzymać jedność kraju przy użyciu podobnych metod.

O ile nie zostanie obalony.

- W porządku - podsumował prezydent.

- Założmy, że nie będzie rządził długo.

Jeżeli Irak się rozpadnie, na Bliskim Wschodzie dojdzie do poważnego kryzysu.

Powstaną trzy kadłubowe państwa: Kurdów na północy, muzułmańskich sunnitów w centrum kraju i Arabów, zamieszkujących bagienne tereny na południu.

Nie przypuszczamy, żeby któreś z nich miało szansę przetrwania.

- Arabowie z bagien to szyici - poprawił go Major.

- Musimy zawsze tak ich nazywać.

Uzasadnia to religia, którą wyznają.

Określenie „Arabowie z bagien” brzmi zbyt niewinnie.

Jeśli zostaną uznani za ofiary reżimu, opinia publiczna może zacząć się domagać, żebyśmy bronili ich przed Saddamem.

Nazwa „szyici” budzi natomiast negatywne skojarzenia.

Ludzie uważają ich za fanatyków i nikt nie będzie się domagał, żebyśmy im pomagali.

- W porządku - mruknął Bush, zirytowany, że brytyjski premier go poucza.

- Ale to potwierdza tylko moje obawy.

Irańczycy są również szyitami i będą mieli pretekst do interwencji.

To, naszym zdaniem, najpoważniejsze zagrożenie.

Konsekwencje mogą być przerażające.

- Sytuacja w Iranie uległa poprawie - stwierdził Major.

-W niedawnych wyborach odniosły sukces siły umiarkowane, co

stanowi pomyślną wiadomość.

Rafsandżani, który jest liberałem, umocnił swoją władzę.

Nie przypuszczamy, żeby kontynuowali dotychczasową politykę szerzenia terroryzmu i propagowania rewolucji.

- Nie byłbym takim optymistą - powiedział prezydent.

- Zakładamy, że nie zmienią swego stanowiska.

- Trudno mi się z tym zgodzić.

To chyba błędne założenie.

Moim zdaniem sytuacja w Iranie jest o wiele bardziej obiecująca niż pod rządami Chomeiniego.

- A więc różnimy się w poglądach na tę sprawę - oznajmił Bush.

- Ci przekłęci ajatollahowie i konserwatyści mają nadal duże wpływy.

Chcę, żebyśmy zajęli wspólne stanowisko wobec Iranu.

Myślę, że Rafsandżani powinien uzyskać nasze poparcie.

Przeciwstawiając się Chomeiniemu niczego nie osiągnęliśmy, chyba więc jego następcy należałoby okazać więcej życzliwości.

Mając z Irańczykami lepsze stosunki możemy ich przekonać, że umiarkowanie popłaca.

- To rozsądna propozycja - przyznał Major.

- Bardzo rozsądna.

Może mój minister spraw zagranicznych i twój Sekretarz Stanu wspólnie by nad tym popracowali.

- Dobrze - powiedział Bush.

- Musimy też postanowić, co zrobić z tymi zamachowcami.

CIA wkrótce ich przechwyci.

Pozostaje pytanie, jak powinniśmy postąpić?

- Ciekawe, co teraz powie, pomyślał prezydent.

- Proponuję, żeby zajęła się tą sprawą saudyjska policja - odparł brytyjski premier.

Prezydent był zaskoczony.

- Co?

Chcesz przekazać ich w ręce Saudyjczyków?

- Tak - potwierdził Major.

- Ci ludzie złamali tamtejsze prawo.

Nie uważam, żeby należało interweniować.

- Zdajesz sobie sprawę, że mamy nagrania rozmów, które prowadzili przez radio i że dwaj z nich mówili z angielskim akcentem?

- Mimo wszystko nie powinniśmy się wtrącać - powtórzył stanowczo Major.

- Jeżeli staną tam przed sądem, przeciekną do prasy mniej szczegółów na temat tego, co zrobili.

Saudyjski sąd nie będzie tolerował prób umniejszania ich winy, do których dochodziłoby na Zachodzie.

Proszę sobie wyobrazić, jak rozdmuchałby tę sprawę angielski obrońca.

Nie, myślę że będzie zdecydowanie lepiej, jeśli zostaną zatrzymani i osądzeni na miejscu.

Gdyby dostali szczególnie surowe wyroki, moglibyśmy starać się o ich złagodzenie, na przykład o zamianę kary śmierci na dożywocie.

Nie będę jednak prosił o ulaskawienie dla ludzi, którzy popełnili tak poważne przestępstwa.

Saudyjczycy byliby wściekli.

- No cóż, przede wszystkim chciałbym wiedzieć, kto za tym stoi - powiedział z pasją Bush.

- Czeka nas teraz cholernie dużo dodatkowej pracy.

Sytuacja na Bliskim Wschodzie jest wystarczająco zła i nikt nie powinien na własną rękę eliminować przywódcy państwa, choćby nawet był tyranem.

- Z pewnością warto by wiedzieć, kto to wszystko zorganizował - powiedział powoli Major, zastanawiając się nad stwierdzeniem prezydenta.

Odchrząknawszy energicznie, dodał: - Ale teraz niczego już nie zmienimy.

Pozostaje nam jedynie oddać tych ludzi w ręce wymiaru sprawiedliwości.

- Wracaj więc do łóżka - rzekł Bush.

- Dziękuję za ciekawą rozmowę.

- Dobranoc, panie prezydencie - powiedział z ulgą brytyjski premier, niezupełnie przekonany, czy cokolwiek uzgodnili.

George Bush odłożył słuchawkę telefonu.

On także nie był zachwycony przebiegiem rozmowy.

Postanowił nie dzwonić więcej do Majora w środku nocy.

Premier najwyraźniej nie był w najlepszej formie, kiedy nagle go budzono.

Prezydent zastanawiał się nad tym, o czym mówili na końcu.

Może ludzie z CIA mieli jednak rację.

W takim razie z Majora byłby kawał przebiegłego sukinsyna.

W porządku, pomyślał.

Skoro brytyjski premier chce, żeby jego agenci zgnili w saudyjskim więzieniu, niech tak się stanie.

77 Howard siedział zamyślony.

W ogóle nie zmrużył oka.

Kilka elementów łamigłówki nie pasowało mu do całości obrazu.

Jego podejrzenia co do przyczyn zbombardowania magazynu, który stanowił ich kryjówkę, zamieniły się w pewność.

Nie było wątpliwości, że zostali w jakiś sposób zdemaskowani.

Trudność polegała na ustaleniu, co dokładnie o nich wiedziano.

- Mike?

- powiedział, odwracając się do Zieglera.

- Co wiesz o możliwościach zwiadu powietrznego?

- Chodzi ci o zdjęcia lotnicze i tego typu rzeczy?

- Właśnie.

Posłuchaj.

Zakładaliśmy, że Islandera zlokalizował saudyjski radar.

Mieliśmy nadzieję, że uznają teraz sprawę za zakończoną.

A jeżeli nasz samolot został wykryty za pomocą jakiejś bardziej skomplikowanej aparatury?

- Masz na myśli AWACS?

Tak, to możliwe.

Saudyjczycy dysponują takimi maszynami.

- Nie myślałem o Saudyjczykach, Mike.

- Cholera!

- zaklął Ziegler, zrozumiałwszy nagle sens słów Howarda.

Usiadł wyprostowany, mieszcząc się z trudem w ograniczonej przestrzeni bagażnika Land Cruisera.

- Przypuszczasz, że to nasi?

- zapytał.

- Obawiam się, że tak - odparł Howard.

- Nie widzę innego wytłumaczenia.

Myślę, że dość wcześnie wpadli na nasz trop.

i z jakiegoś powodu nie są do nas przychylnie nastawieni.

Nalot na magazyn jest na to dostatecznym dowodem.

Pytanie tylko, co potrafi AWACS?

Czy może śledzić pojazdy?

- Nie sądzę - odparł z namysłem Ziegler.

- Psiakrew, Ed.

Myślę, że masz rację.

Sam powinienem był na to wpaść.

Wszystko się zgadza.

Ten nalot na magazyn był zbyt precyzyjny.

Musieli użyć bomb naprowadzanych laserowo albo pocisków manewrujących.

Irakijczycy nie mają takiej broni.

- Doszedłem właśnie do takiego wniosku - stwierdził Howard.

- Ale wracając do mojego pytania: czy nasze lotnictwo ma możliwość śledzenia samochodów?

Czy mogli przez cały czas nas obserwować?

Czy mogą robić to także teraz?

Mam przeczucie, że tak.

Jak inaczej dowiedzieliby się, że jesteśmy w tym magazynie?

- Nie znam najnowszej techniki.

Ale podczas wojny w Zatoce stosowano już jakieś urządzenia do wykrywania poruszających się irackich czołgów.

Korzystano z systemu podobnego do AWACS.

Skoro było to możliwe...

Howard powziął decyzję.

- W porządku.

Nie będziemy ryzykować.

Zakładamy, że mają nas w tej chwili na jakimś monitorze.

Posłuchajcie, co zrobimy.

- Walterze, przejeżdżają właśnie przez Al Wadż - zawołał Kearwin.

- Nie zatrzymali się tam.

Gdzie są chłopcy z CIA?

- Nie przejmuj się nimi - odparł Mors.

- Nie spuszczaaj tylko z oka tego Land Cruisera.

W Arabii Saudyjskiej jest już świt i wkrótce na drodze zrobi się ruch.

- Nie powinno być z tym problemu.

Są teraz bardzo blisko.

JSTARS wisi praktycznie tuż nad nimi.

Nie zgubi tego pojazdu, nawet w dużym tłoku.

Kearwin obserwował na ekranie, jak Land Cruiser pędzi nadal drogą wzdłuż wybrzeża na południe, w kierunku Yanbu i Dżuddy.

Zastanawiał się, co ci ludzie zamierzają zrobić.

Czy zatrzymają się w miejscu, do którego dotarli pontonem i wyruszą znowu na morze?

Jeżeli tak, to dokąd popłyną?

Tą drogą nie mieli szansy ucieczki.

A może planowali dojechać do Dżuddy?

Kearwin żałował, że tego nie wie.

Gdzieś na trasie czekali już agenci CIA i saudyjska policja.

Trzydzieści kilometrów za Al Wadż Land Cruiser na chwilę przystanął, a potem znowu ruszył w drogę.

Trwało to najwyżej dziesięć sekund.

Zapewne zmieniają się za kierownicą, pomyślał Kearwin.

Na drodze nie było w tym momencie innych pojazdów.

Nowy kierowca jechał już wolniej.

Byli jeszcze ponad siedemdziesiąt kilometrów od skalistej plaży, do której dopłynął ponton.

Droga biegła tam bezpośrednio nad morzem.

Czy zatrzymają się w tym miejscu?

Stanowiło to kolejną zagadkę.

Kearwin usiadł wygodnie i czekał.

Czterdzieści pięć minut później wyprostował się nagle w fotelu.

Land Cruiser, zjechawszy z drogi w kierunku morza, rzeczywiście stanął tam, gdzie wcześniej przybił ponton.

A więc zamierzali przesiąść się znowu na statek!

Tak, samochód tkwił nieruchomo na brzegu.

I nie zmierzał w jego kierunku żaden inny pojazd.

Pięć minut później poinformowano o tym fakcie ambasadę amerykańską w Rijadzie, która z kolei przekazała wiadomość AMnowi Kenningsowi, czekającemu na drodze na północ od Yanbu.

Kennings spojrział na mapę i zaklął.

Był co najmniej godzinę jazdy od miejsca postoju Land Cruisera.

Zanim dotrze na miejsce, ci ludzie mogą już odpłynąć.

Chociaż właściwie nie miało to znaczenia.

Może nawet dobrze się złożyło.

Trzydzieści kilometrów do brzegu stał amerykański okręt wojenny, fregata klasy FFG-7, która miała na pokładzie dwa gotowe do startu śmigłowce Sikorsky SH-60B Seahawk.

Te maszyny nie przeoczą żadnego pontonu.

Kennings pomyślał, że w ten sposób uniknie przynajmniej ewentualnych problemów z saudyjską policją.

Nacisnął pedał gazu i ruszył z miejsca.

Kennings nie wiedział, że godzinę wcześniej, zanim Land Cruiser dotarł do Al Wadż, wyskoczył z niego tylnymi drzwiami Mikę Ziegler.

Nałożywszy na siebie kilka dodatkowych warstw odzieży i ostatni nie uszkodzony jeszcze hełm, wytoczył się z samochodu na jezdnię.

Land Cruiser jechał z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Ziegler uderzył mocno o ziemię i kilkakrotnie przeokoziółkował.

Trwało to zaledwie kilka sekund, a nie całą minutę, jak mu się wydawało.

Stanąwszy na nogi zdjął poszarpane wskutek upadku wierzchnie warstwy ubrania i strzaskany hełm.

Bolała go głowa i miał kilka siniaków, ale poza tym nic mu się nie stało.

Pomachał ręką za odjeżdżającym Land Cruiserem i pobiegł truchtem prowadzącą na północny zachód boczną drogą.

Wiedział, że jest sześć kilometrów od lotniska w Al Wadż.

Ranek był ciepły, ale nie na tyle, by utrudniać mu bieg.

Wyliczył, że dotrze na miejsce w ciągu dwudziestu pięciu minut.

Nie widział po drodze żadnych samochodów.

Trzydzieści kilometrów za Al Wadż, jak zauważył na monitorze Kearwin, Land Cruiser na chwilę się zatrzymał.

Rzeczywiście nastąpiła zmiana kierowców.

Prowadzenie wozu przejął Harris.

Kearwin nie mógł jednak wiedzieć, że w tym krótkim czasie wszyscy pozostali wysiedli z samochodu.

Howard i Ackford wynieśli Bourne'a i ułożyli go na poboczu, zaś Palmer pomógł MacDonaldowi wyjąć leżące z tyłu bagaże.

Kiedy Land Cruiser został rozładowany, Harris odjechał.

Postój trwał niecałe dziesięć sekund.

Przeniósłszy Bourne'a i bagaż ukryli się za krzakami z dala od szosy.

Howard wrócił na drogę i ustawił tam dwie chorągiewki: jedną dwieście metrów od miejsca, gdzie czekali, a drugą na wysokości ich kryjówek.

Ziegler dotarł na lotnisko o 06.45, mniej więcej o tej samej porze, gdy jego koledzy wysiedli z Land Cruisera.

Poszedł prosto na parking, aby zabrać stamtąd wynajętego Dodge'a, którym przewoził Howarda i MacDonalda, kiedy przyплыnęli pontonem.

Uruchomił silnik i odjechał.

Minąwszy Al Wadż znalazł się na głównej drodze.

Była to trasa, którą Land Cruiser podążał niecałe pół godziny wcześniej.

O 07.18 zwolnił, zauważywszy przy szosie pierwszą chorągiewkę.

Kiedy dotarł do drugiej, zatrzymał samochód.

Upewniwszy się, że droga jest pusta, nacisnął trzy razy na klakson.

Howard i pozostali wyszli z kryjówki, niosąc Bourne'a i bagaże.

Kiedy załadowali się do Dodge'a, Ziegler ruszył dalej, zmierzając ciągle na południe, w kierunku Dżuddy.

Harris wyprzedzał ich o dobre trzydzieści minut.

Kiedy dotarł do miejsca, które opisał mu Howard, zjechał z drogi na brzeg, zatrzymał samochód i wysiadł.

Odkręciwszy tablice rejestracyjne ruszył biegiem wzdłuż szosy.

Chciał być możliwie daleko, gdy dogoni go Dodge Ram Charger.

Pół godziny później Harris znajdował się już siedem kilometrów od porzuconego Land Cruisera, na odcinku szosy, którego prawdopodobnie nikt nie obserwował.

Usłyszawszy klakson półciężarówki obejrzał się i przygotował do skoku.

Samochód zwolnił.

Harris poczekał, aż przejedzie, po czym wskoczył do niego od tyłu, z trudem łapiąc oddech.

Była godzina 07.51.

- Już, Mike - powiedział Howard.

Ziegler znowu przyspieszył.

- Myślisz, że nam się udało?

- zapytał, spoglądając na Howarda.

- Mam nadzieję - odparł Howard.

- Zresztą przekonamy się w Dżuddzie, prawda?

Dokładnie trzydzieści pięć minut później, o 08.26, Ram Charger minął jadącego w przeciwnym kierunku dużego Chewoleta.

Oba samochody przemknęły obok siebie, nie rzucając się w oczy wśród innych pojazdów.

O 08.52 Chevrolet dotarł do miejsca, gdzie miał znajdować się Land Cruiser.

Alvin Kennings wysiadł z wozu w towarzystwie dwóch krzepkich żołnierzy Piechoty Morskiej z ambasady amerykańskiej.

- Nikogo tu nie ma - powiedział zupełnie bez potrzeby jeden z nich.

Kearwin nie zwracał na niego uwagi.

Obserwował przez lornetkę morze, szukając śladu jakiejś łodzi.

Jak daleko mogli odpłynąć?

Skontaktował się przez radio z ambasadą i pół godziny później zobaczył w oddali krążący nad wodą śmigłowiec.

- Dopadną ich - mruknął pod nosem, nadal patrząc przez lornetkę.

Dopiero po godzinie, o 10.32, otrzymał wiadomość, że ani radary fregaty, ani śmigłowce Seahawk nie zlokalizowały żadnej łodzi.

Kapitan okrętu twierdził stanowczo, że od strony brzegu nic nie płynęło.

Alvin Kennings natychmiast zdał sobie sprawę, że zamachowcy musieli przesiąść się do innego wozu, ale ani on, ani John Kearwin, siedzący za biurkiem w odległym o kilka tysięcy kilometrów Waszyngtonie, nie mieli się nigdy dowiedzieć, jak ci ludzie to zrobili, przystając tylko na dziesięć sekund.

78 - Wygląda więc na to, panowie, że ci ludzie wymknęli się na razie z sieci zarzuconej przez CIA - podsumował swoje wystąpienie dyrektor Ml-6, brytyjskiego wywiadu.

Podniósłszy wzrok znad notatek zobaczył parę zdziwionych

spojrzeń, ale poza tym członkowie Połączonej Komisji Wywiadu nie zareagowali w żaden widoczny sposób.

- Dziękuję, sir Arthur - powiedział koordynator wywiadu.

- Panowie, myślę, że zanim uzgodnimy, jakie należy podjąć teraz kroki, aby ustalić tożsamość zamachowców i odpowiednio się nimi zająć, warto by przeanalizować potencjalne reperkusje przeprowadzonej przez nich w Iraku akcji.

- Koordynator, który sam był kiedyś dyrektorem SIS, przerwał na chwilę i potoczył wzrokiem po twarzach zebranych przy stole mężczyzn.

- Spróbujmy przede wszystkim ustalić, co się dokładnie wydarzyło.

Jak powiedział sir Arthur, wywiad amerykański posiada nieodparte dowody, że wczoraj rano prezydent Saddam Hussajn zginął od kuli snajpera.

Irańska agencja informacyjna - której doniesień w normalnych okolicznościach nie uważalibyśmy, co prawda, za wiarygodne - podała dokładny czas i miejsce zamachu.

Dane te potwierdzają dokładnie przekazy amerykańskich satelitów szpiegowskich.

Zgodzą się panowie, że trochę tego za wiele jak na przypadkowy zbieg okoliczności.

Były też jednak inne, przeciwstawne komunikaty.

Najistotniejsze są, oczywiście, wiadomości napływające z samego Iraku.

Oficjalne źródła irackie kilkakrotnie zaprzeczyły doniesieniom Irańczyków.

W telewizji pokazano Saddama Hussajna, który przewodniczył posiedzeniu irackiej Rady Rewolucyjnej.

Były również migawki z wczorajszych obchodów rocznicy jego urodzin w różnych miastach w całym kraju.

Koordynator splótł mocno dłonie, wciągnął głośno powietrze i mówił dalej.

- Jesteśmy obecnie przekonani, że Irakijczycy celowo zataili prawdę.

Zapewne to panów nie zdziwi, zważywszy na reputację Irackiej Agencji Prasowej.

Ustaliliśmy, że wykorzystali w telewizji materiały archiwalne.

BBC posiada w swoich zbiorach pokazany przez nich fragment filmu.

Brytyjska telewizja nadawała go jakieś pół roku temu.

Wynika z tego, że wczoraj Saddam Hussajn nie został sfilmowany, albo że celowo nie dopuszczono do projekcji nakręconych zdjęć.

Dostałem też informację, że jedna z sekwencji pokazujących wczorajsze uroczystości, które według Irakijczyków odbywały się w Tikrit, pochodzi z całą pewnością z innego miasta.

Sceny te sfilmowano w Al Mahmudija, na południe od Bagdadu, co stwierdził autorytatywnie pewien godny zaufania i znający się na rzeczy dziennikarz.

Moim zdaniem te trzy fakty dowodzą-jeżeli w ogóle potrzebne są jakieś dodatkowe dowody - że doniesień Irakijczyków nie należy traktować poważnie.

Jest jeszcze artykuł, którego wiarygodność byłoby z pozoru trudniej zakwestionować.

Ukazał się w dzisiejszym "Timesie" - oznajmił koordynator, pokazując egzemplarz gazety.

- Relacjonuje dość obszernie wczorajsze uroczystości w Tikrit.

Wspomina o dziesiątkach tysięcy ludzi, którzy tłoczyli się przed trybuną w rodzinnym mieście prezydenta, krzycząc: "Wszyscy kochamy Saddama".

W artykule jest również mowa o tym, że Hussajn nie przybył do

Tikrit osobiście, obawiając się zamachu.

Można by potraktować ten tekst poważnie, gdyby nie dwie sprawy.

Po pierwsze, został nadesłany z Kairu - dziennikarz, który go napisał, nie był w tym czasie w Tikrit, ani nawet w Iraku, tylko w Egipcie.

Po drugie, człowiek ten przyznaje bez ogródek, że czerpał swoje informacje z dziennika "Al Dżamahirija", który - jak zapewne panowie wiecie - jest oficjalnym organem irackiego rządu.

Chyba więc będziemy zgodni - mówił dalej koordynator - że należy wierzyć raczej doniesieniom prasy irańskiej.

Przejdę teraz do omówienia stanowiska rządu w tej sprawie.

Odbyłem dziś rano spotkanie z premierem i ministrem spraw zagranicznych...

Gdy koordynator zaczął wyjaśniać zasady nowej, bardziej pojednawczej polityki brytyjskiego rządu wobec Iranu, Max Goodale - wicedyrektor MI-5, czyli kontrwywiadu - zamyślił się na chwilę.

A więc zamachu dokonał snajper?

Pierwszy raz o tym słyszał.

Ciekawe.

Przypomniał sobie, że policja nie natrafiła właściwie na żaden ślad spiskowców, a w całą sprawę zamieszany był w dziwny sposób sir Peter Dartington.

Goodale błędził myślami gdzieś daleko.

Uznawszy, że musi ustalić jeszcze parę faktów, ocknął się z zadumy.

Koordynator ciągnął dalej: - ...A więc, panowie, takie jest oficjalne stanowisko rządu Jej Królewskiej Mości.

O ile nie ma żadnych uwag, chciałbym teraz ustalić, jakie kroki

podejmiemy przeciwko zamachowcom.

- Panie przewodniczący - wtrącił się Goodale.

- Myślę, że dobrze byłoby wiedzieć, z jakiego rodzaju ludźmi mamy doczynienia.

Na pewno każdy z nas mógłby wyrazić na ten temat swoje zdanie, ale najbardziej miarodajna będzie chyba opinia dyrektora Sił Specjalnych.

Koordinator wydawał się nieco zaskoczony, skinął jednak przyzwalająco głową.

- Owszem, panie Goodale, to słuszna uwaga - powiedział, po czym zwrócił się do człowieka siedzącego przy końcu stołu.

- Czy możemy wysłuchać pańskiej oceny, generale?

Dyrektorem Sił Specjalnych był dawny dowódca 22.

Pułku Spadochroniarzy, koordynujący teraz z centrali w Londynie całą działalność SAS i SBS.

Jak zwykle nie występował w mundurze.

Mówił krótko i rzeczowo.

- Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z wysokiej klasy specjalistami.

Z pewnością w akcji biorą udział byli żołnierze, może nawet z sił specjalnych.

Działania tych ludzi są niekonwencjonalne, ale skuteczne i pomysłowe.

Muszą mieć silną motywację i być gotowi na wszystko.

Przyznaję, że z czysto profesjonalnego punktu widzenia podziwiam ich umiejętności.

Jedno tylko mnie w tej sprawie zastanawia.

- Co takiego, panie generale?

- zapytał koordynator.

- Skąd mieli informacje.

Niewielu ludzi na świecie potrafiloby wykonać takie zadanie.

Byłoby na to stać niemal wyłącznie doświadczonych żołnierzy SAS lub SBS.

Ale żaden z nich - powiedział z naciskiem generał - niczego by nie zdziałał bez odpowiedniego rozpoznania.

Gdyby nam zlecono tego rodzaju akcję, zapewne zdołalibyśmy ją przeprowadzić, ale muszę podkreślić, że bylibyśmy bez szans - a właściwie nawet nie ruszylibyśmy z miejsca - nie dowiedziawszy się z góry, gdzie ma przebywać Saddam.

Ci ludzie najwyraźniej otrzymali takie informacje.

Bardzo chciałbym wiedzieć od kogo.

Koordynator skrzywił się, gdy generał brygady SAS mówił ze spokojem o umiejętnościach swoich żołnierzy.

Postanowił sprowadzić rozmowę z powrotem na właściwy temat.

- Dziękuję, panie generale - powiedział.

- Nie dowiemy się z pewnością, skąd zamachowcy mieli informacje, dopóki nie rozwikłamy do końca całej zagadki.

Może ustalimy teraz, co zrobić z tymi ludźmi, kiedy zostaną odnalezieni.

Chciałbym podkreślić, choć może jest to oczywiste, że premier żywi obawy, by rząd Jej Królewskiej Mości nie znalazł się w niezręcznej sytuacji...

Goodale znów intensywnie myślał.

Tak, rzeczywiście.

Rząd nie może, rzecz jasna, znaleźć się w "niezręcznej" sytuacji.

Przypomniał sobie słowa generała.

Sam zastanawiał się nad tym, jacy ludzie byliby w stanie przeprowadzić taką akcję.

Generał potwierdził jego przypuszczenia.

Goodale również stykał się w młodości z ludźmi tego pokroju.

Prawdę mówiąc zamierzał nawet kiedyś wstąpić na ochotnika do SAS, znalazł się jednak w bardziej tajemniczym świecie wojskowego wywiadu...

Posiedzenie komisji trwało jeszcze pół godziny.

Potem Goodale wyszedł z budynku, aby wrócić do biura.

Wsiadając do samochodu usiłował coś sobie przypomnieć.

Chodziło o jakiś drobiazg.

Zastanawiał się, czy przypadkiem...

- George - powiedział niespodziewanie do kierowcy.

- Zmieniłem zdanie.

Możemy pojechać w kierunku Edgware?

- Oczywiście, sir - odparł z niewzruszonym spokojem szofer i zawróciwszy ruszył na północ.

Trzy godziny później wyraźnie ożywiony Goodale wrócił do biura.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer swego starego przyjaciela.

Rozmawiali przez kilka minut.

Goodale zadał mu tylko jedno pytanie i otrzymał oczekiwaną odpowiedź.

Potem zadzwonił jeszcze do dwóch osób.

W pierwszym przypadku odezwał się automat zgłoszeniowy, informując go, że człowiek, którego poszukuje, wyjechał.

Pod drugim numerem nikt nie odbierał telefonu.

Tego właśnie się spodziewał.

No, no... pomyślał Goodale.

Zszedł do piwnicy i wyciągnął sześć teczek z aktami.

Wróciwszy z nimi do gabinetu usiadł przy biurku i zagłębił się w lekturze.

Kiedy skończył; oparł się wygodnie o fotel, patrząc w przestrzeń.

Po chwili usłyszał pukanie do drzwi i do gabinetu weszła jego sekretarka.

Była wyraźnie zakłopotana.

- Sir, czy mogłabym z panem porozmawiać?

- zapytała.

- To sprawa osobista.

Dotyczy...

mojej przyjaciółki.

- Oczywiście, Janey.

Proszę, usiądź.

Dziewczyna poczuła ulgę.

Szef był zdecydowanie w dobrym nastroju.

Opowiedziała mu pośpiesznie całą historię.

- Jedna z moich przyjaciółek ma kłopoty.

Chodzi o jej chłopaka.

Pomyślałam, że może będzie pan mógł coś poradzić.

Ta dziewczyna jest inspektorem policji.

Nie wspominałam jej, jakie zajmuje pan stanowisko.

Wie tylko, że pracuję w wywiadzie.

Ten jej chłopak, a właściwie narzeczony, wplątał się chyba w jakąś aferę i dziewczyna nie wie, co ma robić.

Chciałaby z panem porozmawiać.

Max Goodale uśmiechnął się.

- Czy ten jej narzeczony nie nazywa się przypadkiem Bourne?

- zapytał, rzucając okiem na jedną z leżących przed nim na biurku teczek.

79 - Szefie, punkt kontroli policyjnej pod Dżuddą jest zaledwie trzydzieści kilometrów stąd - zawołał do Howarda siedzący z tyłu Harris.

- W porządku, Mel.

Jak to tutaj wygląda?

- Nie powinno być żadnych problemów.

Jeżeli uśmiechniesz się do tych facetów i spróbujesz powiedzieć coś w ich języku, od razu cię przepuszczą.

- Czy sprawdzają papiery?

- Tak.

Paszporty, dokumenty wozu - no wiesz.

Nic specjalnego.

- Niestety, jest pewien problem.

W dwóch paszportach - moim i Danny'ego - nie ma saudyjskiej wizy.

- Howard zastanawiał się przez chwilę.

- Wiesz co?

Damy im paszporty Andy'ego i Boba zamiast naszych.

Dostaną wszystkie razem.

Mało prawdopodobne, by przyglądali się dokładnie zdjęciom.

Większe jest ryzyko, że zauważyliby brak wiz.

- Okej, szefie.

Howard odwrócił się do Bourne'a, który leżał na tylnym siedzeniu w dużej kabinie, trzymając mu nadal nogę na kolanach.

Potrząsnął delikatnie jego ramieniem, - Johnny?

Pora wstawać.

Jak się czujesz?

Bourne otworzył oczy.

Był ciągle blady.

Spał niespokojnie, budząc się co chwila przy kolejnym ataku bólu.

- Jestem bardzo osłabiony - powiedział zachrypniętym głosem.

Po chwili odchrząknął i dodał: - Trochę szumi mi w głowie.

Ale ból zelżał.

Nie jest już tak dokuczliwy jak przedtem.

- To dobrze - stwierdził Howard.

Środki przeciwbólowe z pewnością zrobiły swoje.

Tuż po północy musiał wstrzyknąć Bourne'owi drugą dawkę morfiny, ale od tamtej pory wystarczały mu tabletki petydyny, popijane dla wzmocnienia organizmu roztworem glukozy.

Johnny przeżywał najcięższe chwile, kiedy co pół godziny trzeba było na kilka minut rozluźnić opaskę uciskową i krew docierała z powrotem do kończyny.

Howard zmienił mu znów przed godziną opatrunek.

Rana już nie krwawiła.

Bourne otrzymał też dożylnie siedemset pięćdziesiąt milimetrów preparatu Hetastarch.

Obie nogi miał owinięte elastycznymi bandażami, aby ograniczyć krążenie krwi.

Kuracja przynosiła chyba efekty, ale chłopak do niczego się nie nadawał.

Howard pomyślał, że powinien trafić do szpitala.

Cóż, nic na to nie mogli poradzić.

- Posłuchaj, Johnny - powiedział.

- Zbliżamy się do punktu kontroli.

Kiedy będziemy go mijać, musisz siedzieć i wyglądać w miarę normalnie.

Poradzisz sobie?

- Jasne - odparł Bourne, podnosząc się na łokciu.

- Pomóż mi, dobrze?

- Jeszcze nie teraz, Johnny - powiedział Howard, pokazując mu, żeby się położył.

- Nie chcę, żebyś zemdlał, zanim dotrzemy na miejsce.

Zaczekaj do ostatniej chwili.

Teraz doprowadźmy się wszyscy do porządku - oznajmił.

- Skorzystajcie z elektrycznych maszynek do golenia i włóżcie czyste koszule.

Mamy wyglądać jak szacowni obywatele.

- My?

- powiedział Ackford, szczerząc zęby.

- Szkoda gadać.

Wyglądamy, jakbyśmy uciekli z więzienia.

- Tam właśnie trafimy, jeżeli nie będziemy należycie się prezentować - krzyknął siedzący w tyle Harris.

Pogrzebawszy w torbach znalazł czystą odzież i zaczął podawać ją do kabiny.

Przed blokadą drogi stał długi sznur pojazdów.

Harris i Palmer stwierdzili zgodnie, że nie powinno tam być takiego zatoru.

Howard próbował ich uspokoić.

- Słuchajcie, oni nic nie wiedzą o tej półciężarówce.

Jeżeli szukają jakiegoś pojazdu, chodzi im o Land Cruisera.

Nie mają pojęcia, kim jesteśmy, ani jak wyglądamy.

Nie znają naszych prawdziwych nazwisk, tylko te, które figurowały w dokumentach Darcona.

Nie wiedzą nawet, ilu nas jest.

Myślę, że wszystko będzie w porządku, o ile tylko nie będą przyglądać się zbyt dokładnie fotografiom w paszportach.

- Co ze zdjęciem Boba?

- zapytał Harris.

- Żaden z nas nie jest łysy.

Na pewno to zauważą.

- Miał w paszporcie stare zdjęcie - odparł Harris.

- Jeszcze z czasów, gdy siedzieliśmy razem w tureckim więzieniu.

Nie był wtedy zupełnie łysy.

Kiedy stały przed nimi już tylko dwa samochody, Howard pomógł Bourne'owi usiąść.

Zobaczył, że Johnny zaciska usta, Po dziesięciu sekundach jego pobladła twarz wykrzywiła się z bólu.

Napływająca do kończyny krew przysporzyła mu nowych cierpień.

Czoło miał zroszone potem i Howard obawiał się, że zemdleje.

Ziegler obdarzył znudzonego saudyjskiego policjanta promiennym uśmiechem - As-salam aleikum - pozdrowił go po arabsku, starając się, by zabrzmiało to jak najlepiej.

- Kajfhalak?

Podał Saudyjczykowi paszporty, dokumenty wozu i swoje prawo jazdy.

Policjant sprawdzał w nieskończoność papiery i zaglądał do wozu,

aby przyjrzeć się twarzom podróżujących nim mężczyzn.

Bourne zdobył się na uśmiech, kiedy przyszła jego kolej, nie próbował jednak nic mówić.

Potem policjant poszedł zajrzeć do tyłu, gdzie siedzieli Ackford, Harris i MacDonald.

O Boże, pomyślał Howard.

Dokładnie się nam przygląda.

Po chwili policjant był z powrotem.

Podał Zieglerowi przez okno paszporty i pozostałe dokumenty, dając mu znak ręką, że może jechać.

Kiedy samochód ruszył, Bourne jęknął z bólu.

Howard ułożył go ostrożnie na siedzeniu, unosząc zranioną kończynę.

Bourne niemal natychmiast poczuł ulgę.

- Ed - mruknął słabym głosem - Nie wiem, czy długo jeszcze wytrzymam.

Lepiej mnie zostawcie.

Nie dam rady wsiąść do samolotu.

Howard powziął decyzję.

- Dostaniesz następny zastrzyk morfiny, Johnny.

Pamiętaj tylko, żebyś za dużo nie mówił.

I nie zasypiaj.

Na lotnisku zdobędziemy dla ciebie wózek inwalidzki.

- A co z paszportami?

- zawołał Harris.

- Jak to załatwić?

Facet, który robi odprawę paszportową, nie da się nabrać tak łatwo jak glina z drogówki.

Ty i Mac nie jesteście w ogóle podobni do And'ego i Boba.

- Zmienię fotografie - oznajmił Howard.

- Ty, Mikę i Tony zostawicie nas na lotnisku i pojedziecie na zakupy

- dodał, wręczając po chwili Harrisowi listę sprawunków.

Harris pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Myślisz, że się uda?

- Wątpię - odparł oschle Howard, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

- Ale przynajmniej nie będę musiał spędzić następnych dwóch tygodni w tym przeklętym kontenerze.

Masz zresztą lepszy pomysł?

Kiedy dotarli na lotnisko, Ziegler i Palmer poszli szukać wózka inwalidzkiego, a Howard i MacDonald - kabiny z automatem do robienia zdjęć.

Harris podjechał półciężarówką na parking i czekał z Bourne'm i Ackfordem w kabinie wozu.

Była jedenasta przed południem.

Słońce mocno prażyło, Harris nie wyłączał więc silnika i nastawił klimatyzację na maksimum.

Po upływie dziesięciu minut zobaczył, że Palmer i Ziegler wracają z wypożyczonym wózkiem.

- Luksusowy model, Johnny - oznajmił z dumą Ziegler.

- Ma oparcie na stopy, więc będziesz mógł trzymać nogę w górze.

Posadzili Bourne'a na wózku i Palmer odwiózł go w kierunku

terminalu.

Ziegler wskoczył do kabiny, mówiąc do Harrisa i Ackforda: - W porządku, chłopcy.

Jedziemy zrobić zakupy, a potem muszę odstawić ten samochód do wypożyczalni.

- Ja swój także - przypomniał Harris.

- Ale najpierw powinienem zrobić nim parę kilometrów.

Zostawmy półciężarówkę i pojedźmy moim wozem.

- Nie - sprzeciwił się Ziegler.

- Będą zatrzymywali wszystkie Land Cruisery.

Nie możemy ryzykować.

Posłuchaj.

Tony i ja zrobimy zakupy, a ty możesz pojeździć w tym czasie swoim wozem po parkingu.

Pół godziny później zebrali się w hallu lotniska.

Ziegler i Ackford wrócili jako ostatni.

Howard kupił dla wszystkich bilety na dwa najbliższe loty.

On i MacDonald mieli lecieć później niż pozostali.

Harris przykręcił do wypożyczonego Land Cruisera oryginalne tablice.

Na liczniku wozu przybyło zaledwie dwanaście kilometrów.

Pracownik wypożyczalni nie okazał z tego powodu zdziwienia.

Podrobione plastikowe tablice Harris połamał na kawałki i wrzucił do kubła na śmieci.

Trafiła tam też cała zawartość apteczki, z wyjątkiem potrzebnych dla Bourne'a i MacDonalda tabletek petydyny i Coproxamolu.

Ziegler wręczył Howardowi niewielką torbę z zakupionymi rzeczami i poszedł oddać wypożyczonego Dodge'a.

Howard zamienił kilka słów z każdym z kolegów, po czym zniknął za drzwiami toalety i zamknął się w kabinie.

Wyciągnąwszy skalpel przeciął ostrożnie cienką warstwę przezroczystego plastiku wokół zdjęcia w paszporcie Ushera i zaczął podważać je ostrzem.

Klej mocno trzymał i udało mu się odgiąć jedynie brzegi fotografii.

To wystarczyło.

Nowe zdjęcie wszystko zakryje.

Korzystając z wyłaczarki do papieru i zestawu prostych matryc zaczął odtwarzać na swojej nowej fotografii pieczęć urzędu paszportowego.

Wymagało to koronkowej roboty, ale po dwudziestu minutach - i zmarnowaniu jednego zdjęcia - uznał, że osiągnął zadowalający efekt.

Fałszerstwo było dość prymitywne i nie dałby się na nie zapewne nabrać żaden brytyjski urzędnik kontroli paszportowej, ale chwilowo

musiało wystarczyć.

Howard przykleił ostrożnie swoje zdjęcie w miejsce zdartej częściowo podobizny Ushera, zestawiając równo krawędzie wytłoczonej pieczęci.

Następnie wyjął kawałek cienkiej, przezroczystej folii, przyciął ją do odpowiedniej wielkości, przyłożył do paszportu i wyrównał dokładnie skalpelem brzegi.

Opuściwszy kabinę podszedł do wiszącej przy umywalkach suszarki do rąk.

Przez dwie minuty trzymał paszport w strumieniu gorącego powietrza, a potem położył go na płaskim blacie obok umywalki i mocno docisnął.

Ogrzana i zmiękczone folia przywarła do wytłoczonej pieczęci.

Howard przyjrzał się końcowemu efektowi swojej pracy.

W paszporcie Ushera widział teraz własną twarz.

Miał tylko nadzieję, że saudyjski urzędnik kontroli paszportowej nie zwróci uwagi na jego wzrost; był prawie dziesięć centymetrów wyższy od Ushera.

Wyjąwszy zdjęcie MacDonalda zabrał się za preparowanie paszportu Denarda.

Wyszedł z toalety o 12.45.

- Odlecieli bez problemów, Danny?
- zapytał siedzącego samotnie MacDonalda.
- Tak - odparł Szkot, dziwnie na niego patrząc.
- Wcale nie miałem ochoty się z nimi żegnać.

To cholernie równi faceci - dodał z pasją.

- Będzie mi ich brakowało.

- Musieliśmy w końcu się rozdzielić, Danny - powiedział spokojnie Howard.

- Gdybyśmy wrócili do kraju wszyscy razem, mogłoby to zwrócić uwagę.

Zwłaszcza mając dwóch rannych.

- Dlaczego my dwaj lecimy na końcu?

Czy Johnny był królikiem doświadczalnym?

Chciałeś sprawdzić, czy mu się uda?

- Nie - odparł Howard.

- Wprost przeciwnie.

Z tą swoją "zwichniętą kostką" nie powinien wzbudzać podejrzeń.

Mel i Tony zaopiekują się nim w samolocie.

Będzie siedział sobie wygodnie w pierwszej klasie, z nogą podniesioną do góry.

Dostarczą go bezpiecznie do domu.

Wiesz, że Mel zna się na medycynie.

My dwaj najwięcej ryzykujemy, bo mamy fałszywe paszporty.

Lecimy więc na końcu, żeby dać szansę pozostałym.

- Co będzie z tymi paszportami w Anglii?

Przejdziemy z nimi przez odprawę?

- To nie będzie konieczne - odparł Howard.

- Jak tylko wsiądziemy do samolotu, podrę je na drobne kawałki i wrzucę do toalety.

Kiedy dotrzemy do Rzymu, zaczekamy chwilę i ustawimy się w kolejce z pasażerami samolotu z jakiegoś europejskiego kraju.

Przejdziemy odprawę, korzystając z własnych paszportów.

Obywatelom krajów EWG nie przybijają tam pieczętek.

W Rzymie powiemy sobie "do widzenia".

Będziesz musiał kupić bilet na następny lot do Wielkiej Brytanii.

W twoim paszporcie nie pozostanie żaden ślad, że kiedykolwiek wyjeżdżałeś z Europy.

Chodźmy.

Kiedy szli w kierunku stanowiska odprawy paszportowej, usytuowanego przy wejściu do sali odlotów, MacDonald miał wrażenie, że wszyscy go obserwują.

Rzucił okiem na Howarda.

- Zachowuj się naturalnie, Danny - mruknął Ed.

Oszołomiony MacDonald podał urzędnikowi paszport Denarda.

Starął się być nonszalancki i swobodny, ale serce waliło mu jak młotem.

W końcu urzędnik przystawił pieczętkę i oddał mu paszport, mówiąc szkolną angielszczyzną: - Dziękuję, panie Denard.

Mam nadzieję, że pański pobyt w Arabii Saudyjskiej był udany.

- Owszem - odparł MacDonald, uśmiechając się niespodziewanie.

- Nigdy w życiu nie miałem tylu wrażeń.

CZEŚĆ CZWARTA GROM Z JASNEGO NIEBA

80

Samochód skręcił z drogi prowadzącej do Spean Bridge i zatrzymał się za bramą.

Wysiadł z niego zastępca dyrektora MI-5.

Poszedł ścieżką w kierunku domu, zapukał dwa razy do drzwi i czekał, przyglądając się od niechcienia stojącemu z boku zadaszonemu warsztatowi.

Otworzył mu Danny MacDonald.

Miał rękę na temblaku.

Jego twarz wyrażała najpierw zaskoczenie, a potem radość.

- Dzień dobry panu!

Cóż za miła niespodzianka!

Proszę wejść!

- Dziękuję, Danny - odparł Max Goodale.

Podążył za MacDonaldem do salonu.

Był to ciepły, przytulny pokój.

Piękna, młoda kobieta o kasztanowych włosach zawieszała na szynach kolorowe zasłony.

Kiedy zjawił się Goodale, zeszła ze stołka.

- To moja narzeczona, Sheila - przedstawił ją MacDonald.

Dziewczyna uśmiechnęła się zawstydzona.

- Miło mi cię poznać, moja droga - stwierdził z uśmiechem Goodale.

- Jak poznałaś Danny'ego?

- Och, mieszkam niedaleko stąd - odparła.

- W Carvaig.

Moja mama prowadzi tam gospodę.

Pomagam jej.

- Oho!

- powiedział Goodale, mrużąc oko.

- Zostawiłaś ją samą, tak?

- Wcale nie!

- zaprotestowała Sheila.

- Mama zrobiła sobie wakacje.

I bardzo dobrze.

Od lat nigdzie się nie ruszała.

Postanowiła nagle wyjechać.

Gospoda jest zamknięta na trzy tygodnie.

- Och, przepraszam, moja droga.

Nie chciałem cię urazić.

Proszę o wybaczenie.

Mam nadzieję, że pojechała w jakieś ciekawe miejsce?

- O tak.

Do Włoch - odparła Sheila, znowu się uśmiechając.

- Jest w Rzymie.

Zasłużyła na wypoczynek.

Napije się pan herbaty?

- zapytała, przykładając rękę do szyi.

- Z przyjemnością - powiedział Goodale.

- A potem będę musiał, niestety, porozmawiać na osobności z

Dannym.

Chyba nie masz nic przeciwko temu?

Sheila wydawała się zaskoczona, ale Danny uspokoił ją skinieniem głowy.

Poszła do kuchni nastawić czajnik, a obaj mężczyźni usiedli w salonie.

Czekając na herbatę rozmawiali o nieistotnych sprawach.

Sheila zjawiła się po kilku minutach, niosąc na tacy filiżanki i kruche ciastka.

Goodale podziękował jej za uprzejmość.

Dziewczyna wróciła do kuchni, pozostawiając obu mężczyzn samych.

Przez kilka sekund panowało milczenie.

Potem Goodale powiedział cicho: - To paskudna rana, Danny.

Czy obejrzał ją lekarz?

MacDonald miał niewyraźną minę.

- Zwyczajne skaleczenie, sir.

Nic takiego - stwierdził, siląc się na uśmiech.

- A ja słyszałem, że to cholernie wielka dziura o średnicy ponad centymetra - odparował Goodale.

Jego wzrok stał się nagle lodowato zimny.

MacDonald zbladł jak ściana.

- Kto...

kto, u licha, to panu powiedział?

- Widziałem się wczoraj z twoim znajomym - odparł Goodale, nie spuszczać oczu z twarzy Dann'ego.

- Nazywa się Johnny Bourne.

Ale to nie on mi o tobie powiedział.

Wiedziałem już wcześniej.

A ta twoja opalenizna - dodał zgryźliwie - wszystko potwierdza.

MacDonald był zdruzgotany.

Otworzył szeroko usta, a kiedy w końcu wydobył z siebie głos, zapytał ledwie dosłyszalnym szeptem: - Jak dużo pan wie?

- Prawie wszystko - odparł Goodale, patrząc mu nieubłaganie prosto w oczy.

- Mam nadzieję, że reszty dowiem się od ciebie.

- Co ze mną będzie?

- zapytał cicho MacDonald.

- To zależy od tego, co mi powiesz, Danny - odparł spokojnie Goodale.

- Jak wpadliście na nasz trop?

Co nas zdradziło?

- Przyczyn było kilka.

Głównie pech i czysty przypadek.

Ale o tym za chwilę.

Najpierw opowiem ci pewną historię.

Popraw mnie, gdybym coś przekreślił.

MacDonald skinął głową w milczeniu.

- Nie wiedziałem, z jakiego powodu zmarł twój brat, Fergus - zaczął Goodale, przyglądając się uważnie fotografii nad kominkiem - ale w ubiegłą środę przypomniałem sobie coś, o czym czytałem swego czasu w prasie, a czego nie skojarzyłem wcześniej z twoją osobą.

Poszedłem więc do biblioteki przejrzeć stare numery gazet.

Fergus ożenił się z dziewczyną z Bahrajnu, prawda?

- MacDonald nie zaprzeczył, więc Goodale mówił dalej.

- Wyjechał do Kuwejtu, gdzie pracował dla spółki naftowej.

Tam się ożenił i osiedlił.

Po irackiej inwazji on i jego rodzina zostali aresztowani.

Fergus był torturowany.

Iraccy żołnierze pobili i zgwałcili na oczach twojego brata jego żonę i córkę.

Dwa dni później znaleziono ich zmasakrowane ciała.

Fergus był przetrzymywany jako jeden z zakładników, stanowiących dla Saddama Hussajna "żywe tarcze".

W końcu uwolniono go wraz z innymi.

Zmarł trzy miesiące później, zupełnie załamany.

Czy tak było?

- Tak, sir - odparł MacDonald zachrypniętym głosem, przeżywając na nowo bolesne wspomnienia.

Zaraz potem wybuchnął: - Tylko dlatego zgodziłem się wziąć udział w tej akcji!

- Wiem, Danny - stwierdził Goodale łagodnym tonem.

- Ed Howard też słyszał o Fergusie, prawda?

Dzięki temu cię zwerbował?

- Tak - przyznał MacDonald.

- Powiedział, że istnieją trzy powody, dla których powinienem podjąć się tego zadania.

Zrozumiałem natychmiast, co ma na myśli.

Mówił o Fergusie, jego żonie i córce.

Ale jak trafiliście na ślad Eda?

- zapytał Danny, nie kryjąc zdziwienia.

- Mój znajomy, niejaki Henry Stoner, przypomniał sobie, że Howard pytał go o ciebie.

Na pewno o nim słyszałeś.

Próbował cię namówić, żebyś wstąpił do jego klubu strzeleckiego.

- Tak.

- Znalazłem potwierdzenie moich podejrzeń w Brytyjskiej Bibliotece Czasopism.

W listopadzie zeszłego roku Howard prosił o skopiowanie artykułów na temat Fergususa.

Kiedy do niego zadzwoniłem, usłyszałem, że wyjechał.

Twój telefon także nie odpowiadał.

Wszystko się zgadzało.

Posłuchaj, Danny.

- Goodale znów spojrzał MacDonaldowi prosto w oczy.

- Chcę, żebyś odpowiedział na moje pytania.

Przede wszystkim, co dokładnie wydarzyło się tamtego dnia w Tikrit?

- Ed panu nie powiedział?

- Nie rozmawiałem z nim, tylko z Bourne'm, który pilnował samochodów.

Odpowiedz na moje pytanie.

Danny MacDonald zrelacjonował mu przebieg wydarzeń.

Trwało to prawie godzinę.

Opisywał wszystko barwnie i szczegółowo.

Goodale prawie mu nie przerywał.

Danny mówił z ogromną pasją.

Opowiadał z błyskiem w oczach o śmierci Saddama Hussajna, a potem ze smutkiem o dwóch poległych kolegach.

Kiedy skończył, Goodale doszedł wreszcie do głosu.

- Czy masz na to jakieś dowody?

- zapytał.

- Poza pogłoskami docierającymi z Iranu nie było żadnego potwierdzenia, że coś takiego się wydarzyło.

Po chwili wahania MacDonald skinął głową.

Wstał, podszedł do szuflady i otworzywszy ją wyjął kopertę z plikiem czarno-białych fotografii.

Podał je Goodale'owi.

- Ed miał aparat fotograficzny na niewielkim statywie, z teleobiektywem i elektrycznym napędem.

Zrobił nim te zdjęcia.

Goodale obejrzał je po kolei z wielką uwagą.

Wprawiły go w zdumienie.

Na kilku pierwszych widać było wyraźnie, jak zginął od kuli sobowtór Saddama, a potem jego asystent.

Kolejne fotografie przedstawiały przybycie prawdziwego prezydenta i zabójstwo irańskiego dyplomaty.

Ostatnie zdjęcia pokazywały śmierć tyrana.

- Przysłał ci je Howard?

- zapytał Goodale, podnosząc wzrok.

- Nadeszły dzisiejszą pocztą.

Goodale zauważył dopiero teraz na kopercie znaczek z Włoch.

Wielki Boże, pomyślał.

Czyżby Ed Howard i matka Sheili...?

Postanowił na razie dać temu spokój.

Spojrząwszy ponownie na MacDonalda zapytał: - Danny, kim był ten drugi człowiek, którego zastrześliłeś?

Ten, który stał na trybunie obok sobowtóra Saddama?

- Nazywał się Ala'a Hussajn Ali - odparł powoli MacDonald.

- Kiedy Irakijczycy wtargnęli do Kuwejt, był pułkownikiem w Muchabaracie, ich tajnej policji.

Saddam mianował go oficjalnie premierem Kuwejt, tak zwanej dziewiętnastej prowincji Iraku.

Ten człowiek osobiście nadzorował torturowanie mojego brata.

Fergus powiedział mi o tym przed śmiercią.

Pokazywał mi jego zdjęcie.

Rozpoznałem go na tej trybunie.

- Głos MacDonalda stał się szorstki i ostry.

- Celowo mierzyłem nisko, żeby ten sukinsyn cierpiał i, na Boga, dopiąłem swego.

Ed nigdy mnie nie pytał, dlaczego go zastrzeliłem, ale chyba znał powód.

Człowiek, który siedział z nami w kryjówce, myślał, że zwariowałem.

Wydawało mu się, że wzywam Allacha, jakbym był jakimś fanatykiem religijnym.

A ja wykrzykiwałem imię tego sukinsyna.

- Moje następne pytanie, Danny - odezwał się Goodale po chwili milczenia.

- Nie wymieniłeś nazwisk twoich współników.

Przyznałeś tylko, że znasz Bourne'a i Howarda.

Kim są pozostali?

Oczy MacDonalda pociemniały.

- Przykro mi, sir, ale nie zamierzam wydać przyjaciół - oznajmił z determinacją.

- Będzie pan musiał dowiedzieć się ich nazwisk od kogoś innego.

Goodale nie zmienił obojętnego wyrazu twarzy.

MacDonald udzielił mu nieświadomie odpowiedzi, na którą czekał.

Mimo że chodziło o jego własną przyszłość, odmówił zdradzenia kolegów.

- Mam jeszcze jedno pytanie, Danny.

Dobrze pomyśl, zanim na nie odpowiesz.

- Zamilkł i pochylił się do przodu, bacznie go obserwując.

- Czy wiesz, kto stał za tą operacją?

Kto zwerbował Howarda?

- Nie - odparł bez namysłu MacDonald.

- Ed nigdy mi tego nie powiedział.

Żadnemu z nas.

Często się zastanawialiśmy, kto to mógł być.

Podejrzewaliśmy wszyscy, że maczał w tym palce brytyjski rząd.

Goodale wydawał się zadowolony.

- W porządku, Danny.

Wierzę ci.

Usłyszałem to, czego chciałem.

-Twarz MacDonalda wyrażała zaskoczenie.

Goodale ciągnął dalej: - Powiem ci, co się teraz stanie i wyjaśnię powody.

Najpierw jednak musisz mi uroczyście przyrzec, że już nigdy nie będziesz z nikim rozmawiał o tym, co zrobiłeś.

Przestaniesz dociekać, kto zlecił Howardowi tę operację, i zapomnisz o naszej dzisiejszej rozmowie.

Zrozumiałeś?

- Ma pan na to moje słowo, sir - odparł MacDonald, skinąwszy głową.

- Dobrze - przytaknął Goodale.

- Posłuchaj.

Moglibyśmy postawić ciebie, Howarda, Bourne'a i innych przed sądem.

Popełniliście w tym kraju dostatecznie dużo poważnych przestępstw.

Ich lista jest długa: nielegalne posiadanie broni, oszustwa, włamanie, przemyt...

Nie muszę chyba wszystkich wymieniać.

Wystarczy stwierdzić, że gdyby was skazano, trafilibyście na wiele lat do więzienia.

A mówię na razie tylko o przestępstwach, które popełniliście w Anglii.

Czy wyrażam się jasno?

- Tak, sir - odparł zgnębiony MacDonald.

- Jednakże każdy obrońca, nawet półgłówek - kontynuował Goodale - wykorzystałby do maksimum tło całej tej historii i wasze wyczyny za granicą.

Wszystko wyszłoby z pewnością na jaw.

Minęły czasy, kiedy takie rzeczy można było utrzymać w tajemnicy, pilnując, aby informacje nie przeciekły do gazet i nie wzbudziły powszechnego zainteresowania.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że powstałby wokół tej sprawy cholerny szum.

Mogłoby to mieć katastrofalne następstwa dla naszych stosunków dyplomatycznych z różnymi krajami - przede wszystkim z Arabią Saudyjską, a oskarżanie was i tak okazałoby się, moim zdaniem,

bezelowe.

Rozumiesz, do czego zmierzam?

- Nie bardzo, sir - wymamrotał MacDonald, bezgranicznie zdumiony.

Czyżby miała ominąć go kara?

- To bardzo proste, Danny - ciągnął dalej Goodale.

- Gdyby cała historia wyszła na jaw - a z pewnością by tak było - ty i twoi koledzy stalibyście się z dnia na dzień bohaterami narodowymi.

Zapewne mówiłby o was cały świat.

Nie wyobrażam sobie, żeby jakikolwiek sąd zastanawiał się długo nad wyrokiem.

Choćby nawet prokurator przedstawił najbardziej przytłaczające dowody, zostalibyście uniewinnieni.

Na sali sądowej natychmiast wybuchłaby wrzawa, wszyscy by wiwatowali i chcieli uścisnąć wam ręce.

W całym kraju nie byłoby chyba ani jednego człowieka, który nie podzielałby powszechnego entuzjazmu.

Nie wykluczając sędziego - dodał z przekąsem Goodale - Teraz rozumiesz?

Wszystko uszłoby wam na sucho, że się tak wyrażę.

- Hmm...

- mruknął MacDonald.

- Tak więc - kontynuował Goodale - zamierzam zaoszczędzić brytyjskim podatnikom kosztów niepotrzebnego procesu, którego wynik byłby z góry przesądzony, a w dodatku dowodziłby bezsilności prawa, zachęcając być może innych postrzelenców do podobnych wyczynów.

Właściwie nie ja powinienem decydować, czy postawić was przed sądem, ale w tym przypadku liczą się jeszcze trzy dodatkowe czynniki.

Po pierwsze, rząd dał wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie rozdmuchiwania tej historii.

Po drugie, widziałem się wczoraj z generalnym prokuratorem.

Towarzyszył mi ktoś, kto jest osobiście zainteresowany tą sprawą.

Odbyliśmy nieoficjalną rozmowę z szefem prokuratury.

Nie padły żadne nazwiska.

Prokurator nie miał najmniejszych wątpliwości.

Potwierdził, że wniesienie oskarżenia byłoby sprzeczne z interesem publicznym.

Trzecim czynnikiem, wpływającym na moją decyzję, jest fakt, że tylko ja oraz osoba, w której towarzystwie odwiedziłem prokuratora generalnego, znamy wasze nazwiska, nie ma więc ryzyka, że cała sprawa wyjdzie na jaw.

Na rozkaz ministra spraw wewnętrznych policja przerwała dochodzenie.

Wygląda na to - podsumował Goodale - że ty i twoi koledzy unikniecie kary.

Tym razem.

Ale już nigdy nie myślcie nawet o powtórzeniu podobnej akcji.

MacDonald był oszołomiony.

Goodale puszczał go wolno.

Odchrząknąwszy powiedział drżącym głosem, z wdzięcznością i ulgą: - Bardzo dziękuję, sir.

Goodale uśmiechnął się, mówiąc swobodniejszym tonem: - Johnny Bourne przesyła ci pozdrowienia.

Jego noga trochę ucierpiała, ale będzie chodził.

I to prostymi drogami.

Mogę cię o tym zapewnić.

Pierwszą podróż - dodał, śmiejąc się pod nosem - odbędzie za dwa lub trzy tygodnie do kościoła, chociaż niewiele brakowało, a nic by z tego nie wyszło.

Znasz jego narzeczoną?

Pewnie nie - stwierdził, nie czekając na odpowiedź.

- Jest inspektorem Policji Metropolitalnej.

Niezwykła dziewczyna.

Przyszła do mnie w sprawie Johnny'ego.

To musiał być najtrudniejszy wybór w jej życiu: wypełnić obowiązek oficera policji czy chronić swojego chłopaka.

Zbyt wielu ludzi podejmuje w takiej sytuacji niewłaściwą decyzję.

Zorientowała się, w co Johnny jest zamieszany.

Kiedy się u mnie zjawiła, już o wszystkim wiedziałem.

Poszliśmy razem do prokuratora generalnego.

Gdy spotkałem potem Bourne'a, był pokorny jak baranek.

Musiała nieźle zmyć mu głowę.

Myślę w każdym razie, że teraz będzie się już zachowywał jak należy.

- Skąd dowiedział się pan o Johnnym?

- zapytał MacDonald.

- Kiedy poznałem nazwisko Howarda, wystarczyła prosta dedukcja - stwierdził Goodale.

- Bourne był dla niego najbardziej oczywistym kandydatem spośród pracowników agencji ochrony.

Chciałbym porozmawiać kiedyś z Howardem, ale jest ciągle, że tak powiem, nieuchwytny.

Przynajmniej na razie - dodał, myśląc znów o matce Sheili.

- Przypuszczam, że w akcji brał udział Ziegler, może również Harris, Usher...

Jeszcze tego nie wiem.

Sullivan, ten amerykański pilot, jest trochę zagadkową postacią, i facet z Południowej Afryki...

Ale nie sądzę, że mi o nich opowiesz, i wcale tego nie chcę.

W przyszłym miesiącu idę na emeryturę - tym razem na dobre - oświadczył z uśmiechem.

- Będę miał się nad czym zastanawiać.

Spróbuję poskładać to wszystko do kupy.

Fascynująca sprawa.

Ale niech tam.

Zapomnijmy o tym, dobrze?

MacDonald czuł się tak, jakby ktoś zdjął mu z ramion ogromny ciężar.

- Nie wiem, co powiedzieć, sir.

Jestem panu bardzo wdzięczny.

Ja...

- To głupstwo, Danny - przerwał mu Goodale z promiennym uśmiechem.

- Powinienem chyba zatrzymać te fotografie, nie uważasz?

- Nie czekając na odpowiedź otworzył teczkę, włożył do niej kopertę ze zdjęciami i zatrzasnął zamki.

- Nie byłoby dobrze, gdyby wpadły w niepowołane ręce, prawda?

- Ponownie się uśmiechnął.

- Na twoim miejscu - dodał - nie trzymałbym też na kominku tych trzech łusek.

Są trochę za duże jak na potrzeby tropiciela jeleni.

Mogą zwrócić czyjąś uwagę.

Prawdę mówiąc sporo ryzykowałeś, przewożąc przez granicę takie pamiątki.

- Goodale pokręcił głową z dezaprobatą.
- No cóż, muszę już iść - dodał, podnosząc się z miejsca.
- Gratuluję zaręczyn.

Sheila to urocza dziewczyna.

Z przyjemnością myślę o tym, że w październiku zobaczymy się znowu w Glen Carvaig na dorocznym polowaniu.

Ale nie będziesz już strzelał z dalekiego dystansu, jasne?

- dodał z naciskiem.

MacDonald szeroko się uśmiechnął.

- Ma pan na to moje słowo, pułkowniku.

81 Sir Peter Dartington siedział samotnie w swoim biurze w Londynie, rozpamiętując niezwykle wydarzenia mijającego dnia.

Był wtorek, piątego maja 1992 roku.

Nie zapomni szybko tej daty.

Kiedy rano zszedł do gabinetu w swej wiejskiej posiadłości, znalazł wśród pliku korespondencji grubą przesyłkę z Włoch.

Otworzywszy kopertę przysiadł z wrażenia.

Wewnątrz znajdowała się seria fotografii.

Na każdej zaznaczona była data i godzina.

Wykonano je bez wątpienia aparatem z elektrycznym napędem.

Pokazywały zamach na Saddama Hussajna.

- Wielki Boże - szepnął Dartington.
- Ed Howard wykonał zadanie.

Udało mu się!

Zamknął pośpiesznie zdjęcia w sejfie i pojechał do Londynu.

W biurze czekała go druga niespodzianka.

Nie rozumiał początkowo powodów radosnego podniecenia swoich współpracowników.

Wszyscy uśmiechali się, ściskali mu dłoń, składali gratulacje.

Zapytał zdumiony, o co chodzi.

Wyjaśniła mu wszystko Dorothy Webster.

Darcon otrzymał trzy duże kontrakty, o które się ubiegali.

Nie jeden, nie dwa, ale trzy!

Dartington triumfował.

Przez chwilę czuł wyrzuty sumienia, przypomniawszy sobie, w jaki sposób uzyskał dwa z nich, ale trwało to tylko kilka sekund.

Przypomniał sobie, co obiecywano mu w zamian za zorganizowanie zamachu.

Tak, dwa spośród trzech kontraktów musiały wiązać się z tą sprawą.

Na pewno poszerzenie autostrady na północy Anglii...

ale co rząd mógł mieć wspólnego z dwoma pozostałymi?

Było to zresztą bez znaczenia.

Otworzył kilka butelek szampana, aby oblać ze współpracownikami sukces firmy.

I wtedy właśnie spotkała go trzecia niespodzianka.

Dorothy Webster oznajmiła, że ktoś koniecznie chce się z nim widzieć.

- To niejaki pan Goodale, sir Peter.

Pokazał mi legitymację.

Jest z policji.

Dartington dowiedział się nader szybko, z kim naprawdę ma do

czynienia.

Goodale wcale nie był policjantem.

Przeszedł od razu do rzeczy.

Dartington był zaszokowany.

Siedział teraz w fotelu, nie tknąwszy nawet stojącego na biurku kieliszka szampana.

Po wyjściu pułkownika Goodale'a potrzebował czegoś mocniejszego.

Miał teraz pod ręką pustą już niemal szklanekę czystej whisky.

Zastanawiał się nad tym, co powiedział mu wicedyrektor MI-5.

Goodale - energiczny człowieczek o przenikliwych, błękitnych oczach - sprawił, że Dartington czuł się jak ćma na szpilce.

To jego spojrzenie...

Dartington już dawno nie był w równie niezręcznej sytuacji.

Darcon miał mimo wszystko otrzymać te trzy kontrakty, ale MI-5...

Siedział pogrążony w myślach.

Co Goodale mówił o kontraktach?

Przez chwilę, gdy powiedział, że wie o zamachu, Dartington był zbyt wstrząśnięty, aby się skupić.

Potem, wychodząc, Goodale rzucił jeszcze: - Proszę się zastanowić nad tymi dwoma kontraktami, dobrze?

Jak pan myśli, kto mógł je załatwić?

Tak właśnie powiedział.

O co mu właściwie chodziło?

To nie miało sensu.

Żadnego.

Chyba że...

Nie.

Co za absurdalny pomysł.

Gdyby tak było, oznaczałoby to, że...

Dartington intensywnie analizował fakty.

Jego niepokój przerodził się w przerażenie, gdy zdał sobie sprawę, że znalazł rozwiązanie zagadki.

Wydarzenia układały się w logiczną całość.

Po śmierci Ashera ujawniono, że był on oszustem i kłamcą...

Na Boga, nie!!

To niemożliwe!

Niemożliwe!

Wszystko stało się nagle oczywiste.

Było to jak grom z jasnego nieba.

Uświadomiwszy sobie, co zrobił, Dartington ukrył twarz w dłoniach.

82 Minister był zadowolony z siebie.

Spotkanie z premierem przebiegło nawet pomyślniej niż oczekiwał.

Wracając samochodem do domu delektował się ponownie pochwałami, którymi został obsypany.

Premier gratulował mu serdecznie zorganizowania udanego zamachu na Saddama Hussajna, zapewniając, że w nowym rządzie otrzyma odpowiednio wysokie stanowisko.

Ashera trzeba było się oczywiście pozbyć.

Szkoda.

Przez tyle lat korzystali z jego usług.

Był odrażającą świnią, pozbawionym zasad, chciwym degeneratem -

ale bardzo się przydawał.

Lada chwila mógł wybuchnąć skandal.

Asher był uwikłany w różnego rodzaju finansowe machlojki.

Gdyby wszczęto śledztwo...

Nie, koniecznie musiał zniknąć.

Minister osobiście się tym zajął.

Ten "wypadek na morzu" to był jego pomysł.

Wszystko poszło gładko.

Jego ludzie nie popełniali błędów, nie pozostawiali śladów.

Późniejsze spekulacje na temat przyczyn śmierci Ashera jeszcze bardziej zaciemniły sprawę.

Doszło nawet do tego, że spółki ubezpieczeniowe odmówiły wypłaty polisy, podejrzewając samobójstwo.

Premier wyraził zadowolenie również z tego powodu i bez wahania podpisał zgodę na przyznanie firmie Darcon dwóch kontraktów budowlanych.

Tak, minister miał wszelkie powody do satysfakcji.

Mercedes zatrzymał się na podjeździe przed jego luksusowym domem na peryferiach wielkiego miasta.

Kierowca otworzył drzwi i do klimatyzowanego wnętrza pojazdu wpadła fala gorąca.

Było niezwykle upalnie, nawet jak na tę porę roku.

Na schodach domu pojawił się służący w turbanie, niosąc na tacy szklanekę i dzbanek zimnej lemoniady.

Minister wypił łyk orzeźwiającego napoju.

W tym momencie rozległ się w oddali wzywający do południowej

modlitwy głos muezzina.

Minister uśmiechnął się i odstawił szklanę.

Jako człowiek odpowiedzialny za protokół w rządzie irańskim wiedział, że nie powinien ignorować tego wezwania.

Postanowił zmówić specjalną modlitwę za duszę zamordowanego ambasadora swego kraju.

Epilog

W środę, szóstego maja 1992 roku iracka telewizja pokazała na początku wieczornych wiadomości krótki film.

Był to najwyraźniej typowy materiał propagandowy, przedstawiający rutynową wizytę irackiego prezydenta w bazie wojskowej na przedmieściach Bagdadu.

Saddama pokazano tylko przez moment.

Dokonywał inspekcji kompanii honorowej.

W tle widać było dużą jednostkę wojsk pancernych i żołnierzy, stojących na baczność przy pojazdach.

Prezydent z nikim nie rozmawiał, ani nie wygłaszał przemówienia.

Przeszedł po prostu, jakby nigdy nic, obok żołnierzy i pojazdów pancernych.

Towarzyszył mu Izzat Ibrahim, chudy i trupio blady wiceprezydent Iraku oraz kilku doradców w wojskowych mundurach.

Jeden z nich niósł gazetę, którą podsunął do kamery.

Był to egzemplarz "Al Qad-dissiya", dziennika irackiego Ministerstwa Obrony, z wyraźnie widoczną datą 5 maja.

Amerykańska sieć CNN, brytyjskie BBC i inne agencje informacyjne na całym świecie pokazały ten materiał w swoich programach, ponieważ były to pierwsze od wielu tygodni zdjęcia Saddama Hussajna, pozwalające zdementować fałszywe niewątpliwie pogłoski z ostatnich dni.

Doniesienia z Iraku pojawiały się, co prawda, dość często, ale prezydenta od dawna nie widziano.

Jego osoba budziła zainteresowanie, nawet jeśli nie robił nic

ciekawego.

Sieć CNN uzupełniła film komentarzem na temat zamieszek i represjonowania Kurdów na północy Iraku.

Na całym świecie zdjęcia te obejrzało w tej czy innej formie około czterdziestu milionów widzów.

Większość ludzi nie zwróciła na nie szczególnej uwagi.

Wyłączywszy telewizory zapomnieli o całej sprawie.

Bardziej uważni widzowie odnieśli nieodparte wrażenie, że iracki prezydent jest nieco mniej pewny siebie i mniej opanowany niż zazwyczaj.

Nie szedł, jak zwykle, zamaszystym krokiem.

Poruszał się bardziej sztywno, jakby brakowało mu energii.

Stracił w przedziwny sposób całe swoje dostojęstwo i siłę.

Był tylko cieniem dawnego Saddama Hussajna.

W niczym nie przypominał tej imponującej postaci, która pojawiała się na ekranach telewizorów.

Trudno było to sprecyzować, ale...

patrzyli teraz jakby na innego człowieka.

Jednakże tylko nieliczna grupa widzów oglądała pokazywany film naprawdę uważnie.

Spostrzegłszy pewien drobny z pozoru szczegół siadali nagle wyprostowani, sięgając po telefon.

Prezydent nie miał w kaburze pistoletu.

Był bez broni.